

POWIEŚĆ PISARKI ZWANEJ „KRÓLOWĄ SMOKÓW”



ANNE  
**McCaffrey**



**MORETA,  
PANI SMOKÓW  
Z PERN**

*«Książnica»*



**MCCAFFREY ANNE**

**Moreta pani smokow z Pern**

**(Przełożyła: Anna Wojtaszczyk)**

**SCAN-dal**

**Warownia Fort**

**Nerilka – córka pana Warowni Fort, Tolocampa, i lady Pendry**

**Bracia i siostry, wedle starszeństwa: Campen, Pendora (zamężna), Mostar, Doral, Theskin, Silma, Nerilka, Gallen, Jess, Peth, Amilla, Mercia i Merin (bliźnięta), Kista, Gąbin, Mara, Nia i Lilia**

**Munchaun – ulubiony stryj Nerilki, starszy brat Tolocampa**

**Sira – ciotka nadzorująca tkanie**

**Lucil – ciotka sprawująca opiekę nad najmłodszymi dziećmi w Warowni**

**Felim – szef kuchni**

**Brandy – rządcą Warowni**

**Casmodian – główny harfiarz**

**Theng – naczelnik straży**

**Sim – osobisty pomocnik Nerilki**

**Garben – pan małej Warowni, konkurent Nerilki**

**Anella – druga żona Tolocampa**

**Cech Harfiarski i Cech Uzdrowicieli**

**mistrz uzdrowiciel Capiam**

**mistrz uzdrowiciel Tirone**

**Desdra – czeladniczka kształcząca się w sztuce lekarskiej**

**mistrz Fortine, główny zastępca Capiama**

**mistrz Brace, główny zastępca Tirone’a**

**Macabir – uzdrowiciel w obozie dla internowanych**

**Siedziba Górską**

**Bestrum – pan małej Warowni graniczącej z Fortem i Ruathą**

**Gana – żona Bestruma**

**Poi – parobek zajmujący się biegoniami**

**Sal – jego brat**

**Trelbin – uzdrowiciel uznany za zmarłego**

**Warownia Ruatha**

**Alessan – nowo ustanowiony pan Warowni**

**Oklina – jego młodsza siostra**

**Tuero – czeladnik harfiarski przebywający w Warowni podczas epidemii**

**Dag – główny nadzorca tajni**

**Fergal – wnuczek Daga**

**Deefer – mieszkaniec Warowni**

**Lord Leef – nieżyjący ojciec Alessana**

**Suriana – zmarła żona Alessana, wychowana wraz z Nerilką w Warowni Mgieł**

**Jeźdźcy smoków z różnych Weyrów**

**Moreta – pani Weyru Fort, ujeżdżająca Orlith**

**Len – była pani Weyru Fort, jeżdżąca na Holth**

**Falga – pani Weyru Dalekich Rubieży, jeżdżąca na Tamianth**

**Bessera – pani Weyru Dalekich Rubieży, jeżdżąca na Odioth**

**Kamiana – pani Weyru Fort, jeżdżąca na Pelianth**

**G’drel -jeździec smoka z Weyru Fort, smok – spizowy Dorianth**

**B’lerion – jeździec z Weyru Dalekich Rubieży, smok – spizowy Nabeth**

**Sh’gall – pan Weyru Fort, smok – spizowy Kadith**

**M’tani – pan Weyru Telgar, smok – spizowy Hogarth**

**S’peren – jeździec z Weyru Fort, smok – spizowy Clioth**

**K’lon -jeździec z Weyru Fort, smok – błękitny Rogeth**

**M’barak -jeździec z Weyru Fort, smok – błękitny Arith**

**Pozostali**

**Ratoshigan – pan Warowni Południowy Boll**

**Balfor – mistrz hodowli, Warownia Keroon**

**Prolog**

Rukbat w gwiazdozbiornie Strzelca była złocistą gwiazdą typu G. Miała pięć planet, dwa pasy asteroidów i jedną zabłąkaną planetę, którą przyciągnęła i zatrzymała przed kilkoma tysiącami lat. Kiedy ludzie osiedlili się na trzeciej z planet Rukbatu i nazwali ją Pernem, niewiele poświęcali uwagi tej dziwnej planecie, która błędziła wokół swej przybranej gwiazdy po szalenie kapryśnej orbicie. Przez dwa pokolenia koloniści nie zastanawiali się nad jaskrawo świecącą Czerwoną Gwiazdą aż szlak, po którym błędziła, przywiódł ją w peryhelium w pobliże przyrodniej siostry. Kiedy warunki bytu sprzyjające i nie zakłócały ich koniunkcje innych planet tego układu, formy życia z wędrującej planety usiłowały pokonać kosmiczną odległość dzielącą ich dom od bardziej gościnnego Pernu. I wtedy z perneńskiego nieba opadały srebrzyste Nici, niszcząc wszystko, czego tylko dotknęły. Początkowo koloniści ponosili ogromne straty. W rezultacie podczas późniejszej walki o przetrwanie słaby kontakt Pernu z macierzystą planetą został zerwany.

Chcąc stawić czoło atakom straszliwych Nici – a Perneńscy zniszczyli swoje statki transportowe niemal od razu po przybyciu na Pern i odrzucili wszelkie wyszukane technologie, jako niezajdujące zastosowania na tej sielankowej planecie – co bardziej pomysłowi ludzie opracowali pewien długoterminowy plan działania. Pierwsza jego faza miała polegać na wyhodowaniu wyspecjalizowanej odmiany jaszczurki ognistej, jednej z miejscowych form życia na ich nowym świecie.

Mężczyzn i kobiety o wysokim wskaźniku empatii i pewnych wrodzonych zdolnościach telepatycznych nauczono, jak korzystać z tych niezwykłych zwierząt i jak się z nimi obchodzić. Smoki – nazwane tak na pamiątkę mitycznych ziemskich zwierząt, do których były podobne – miały dwie cenne cechy: potrafiły błyskawicznie przemieszczać się z miejsca na miejsce, a po przeżyciu bogatej w fosfinę skały ziały ogniem. Ponieważ smoki umiały latać, mogły atakować Nici w powietrzu i spalać je, zanim dosięgły one ziemi.

Minęło wiele pokoleń, zanim w pełni rozwinięto potencjalne możliwości tych zwierząt. Druga faza proponowanej ochrony przed zabójczymi atakami miała trwać jeszcze dłużej. Nici, które były wędrującymi przez kosmos zarodnikami grzybopodobnego tworzywa, z bezmyślną żarłocznością pożerały wszystkie substancje organiczne, a kiedy już gdzieś wylądowały, zagrzebywały się w ziemi i rozmnażały z przerażającą szybkością. Wyhodowano więc symbiotyczny organizm, mający przeciwdziałać atakom tego pasożyta i tak powstałe robaki wprowadzono do ziemi na Południowym Kontynencie. Zgodnie z planem, smoki miały stanowić widzialną ochronę i zwęglać Nici, kiedy będą się jeszcze one unosiły w powietrzu, oraz chronić domy i żywy inwentarz kolonistów. Robaki – symbioty miały chronić roślinność, pożerając wszystkie Nici, którym udało się uniknąć smoczego ognia.

Twórcy tego dwufazowego planu obrony nie wzięli pod uwagę warunków geologicznych. Południowy Kontynent, pozornie dużo bardziej atrakcyjny niż surowszy kraj na północy, okazał się niestabilny i cała kolonia zmuszona była szukać ochrony przed Niciami na północy, w naturalnych jaskiniach na płycie kontynentalnej.

Pierwotna Warownia Fort, wybudowana na północnym kontynencie we wschodniej ścianie Wielkiego Zachodniego Pasma Górskiego, stała się wkrótce za ciasna dla kolonistów, a jej stajnie nie mogły pomieścić rosnącej liczby smoków. Rozpoczęto więc budowę nowej osady nieco dalej na północ, gdzie w pobliżu pełnej jaskiń ściany skalnej utworzyło się duże jezioro. Jednakże i w Warowni Ruatha po kilku pokoleniach zrobiło się tłoczno.

Ponieważ Czerwona Gwiazda pojawiała się na wschodnim horyzoncie, Perneńczycy zdecydowali, że nowe osiedla założą w górach na wschodzie, jeśli znajdą się tam jaskinie. Nici nie spalały tylko litej skały i metalu, których niezmiernie mało było na Pernie.

Skrzydlate, ogoniaste, zionące ogniem smoki osiągnęły tymczasem takie rozmiary, że potrzebowały bardziej obszernych pomieszczeń niż domostwa wykute w skałach. Odpowiednie do tego okazały się podziurawione jaskiniami stożki wygasłych wulkanów, jeden wysoko nad Fortem, drugi w Górach Bendeńskich. Nie trzeba było wielkich przeróbek, żeby nadały się do zamieszkania. Jednak na realizację tych planów zużyto resztki paliwa, napędzającego wielkie maszyny do cięcia kamieni, przeznaczone do prac górniczych, a nie do wycinania jaskiń w ścianach skalnych. Następnie warownie trzeba już było budować ręcznie.

Smoki i ich jeźdźcy w położonych wysoko siedliskach, a także ludzie w wydrążonych w głębi skał jaskiniach, tworzyli własne zwyczaje i tradycje, które stawały się prawem. A kiedy zagrażał opad Nici, kiedy przez Gwiazdne Kamienie wzniesione na obrzeżu każdego Weyru można było zobaczyć o świcie Czerwoną Gwiazdę, smoki i ich jeźdźcy mobilizowali się do obrony mieszkańców Pernu.

Potem, przez dwieście Obrotów planety Pern wokół macierzystej gwiazdy, kiedy Czerwona Gwiazda, ta zamarznięta, samotna branka, znajdowała się na drugim końcu swojej nieregularnej orbity, na Pern nie spadały żadne Nici. Mieszkańcy usunęli ślady zniszczeń, uprawiali zboża, sadzili sady i myśleli o zalesieniu zboczy огоłoconych ongiś przez Nici. Zdołali nawet zapomnieć, że był czas, kiedy groziła im zagłada. A później, gdy wędrująca planeta powróciła w pobliże Pernu, Nici znowu zaczęły opadać. Ich ataki trwały przez następne pięćdziesiąt lat. I znowu Perneńczycy składali dzięki swoim nieżyjącym od wielu pokoleń przodkom, że stworzyli smoki, które ognistym tchnieniem spopielały w powietrzu opadające Nici.

Rodzaj smoczy również rozkwitł podczas tej przerwy i zasiedlił cztery następne miejsca zgodnie z podstawowym planem rozwoju obrony.

Wspomnienia o Ziemi z każdym pokoleniem słabły w pamięci Perneńczyków, aż wiedza o pochodzeniu człowieka przetrwała się w legendę. W codziennej walce o przetrwanie znaczenie południowej półkuli oraz instrukcje dotyczące smoków i robaków, sformułowane przez kolonistów, uległy zniekształceniu, a potem zapomniano o nich.

Kiedy nadeszło Szóste Przeżycie Czerwonej Gwiazdy, zdążyła już powstać skomplikowana struktura społeczno-polityczno-ekonomiczna, mająca zaradzić tym powtarzającym się kataklizmom. Sześć Weyrów, jak nazywano osiedla smoczych ludzi w wygasłych wulkanach, przysięgło bronić Pernu, przy czym każdy Weyr miał jakąś część Północnego Kontynentu pod swoimi skrzydłami, w dosłownym znaczeniu tych słów. Pozostali mieszkańcy zgodzili się składać im daniny, ponieważ w

wulkanicznych osiedlach smoczycy jeźdźców nie było ziemi uprawnej. Poza tym podczas Przerw jeźdźcy musieli zajmować się szkoleniem smoków i nie mogli pozwolić sobie na naukę innych zawodów, a podczas Przejsć cały ich czas pochłaniała obrona Pernu.

Osady, zwane Warowniami, zakładano tam, gdzie można było znaleźć naturalne jaskinie. Trzeba było silnego człowieka, żeby w czasie ataków Nici zapanować nad rozszałymi z przerażenia ludźmi; trzeba było mądrej administracji, żeby zgromadzić żywność na czas, kiedy niczego nie dawało się bezpiecznie wyhodować, i trzeba było niezwykłych zabiegów, żeby nie spadła produktywność ludzi i nie pogorszył się ich stan zdrowia, póki nie przeminie zagrożenie.

Ludzie wykazujący szczególne uzdolnienia do obróbki metalu, do tkactwa, hodowli, rolnictwa, rybołówstwa czy górnictwa, grupowali się w każdej większej Warowni w cechy i podporządkowywali się jednej Siedzibie Cechu, gdzie uczono podstaw rzemiosła, a zasady danej sztuki przekazywano z pokolenia na pokolenie. Lord Warowni nie miał prawa odmówić innym tego, co wyprodukował Cech usytuowany w jego Warowni, ponieważ Cechy były niezależne od Warowni. Każdy mistrz cechowy winien był wierność Mistrzowi, wybieranemu na ten urząd za biegłość w rzemiośle i zdolności administracyjne. Mistrz danego Cechu odpowiedzialny był za jego produkcję i za rozprowadzanie tej produkcji, sprawie dliwej i bez uprzedzeń, w skali planetarnej.

Przywódcy Warowni i Mistrzowie Cechów, a także smoczy jeźdźcy, od których cały Pern oczekiwał ochrony podczas Opadów Nici, mieli swoje prawa i przywileje.

To właśnie w obrębie Weyrów dokonał się przewrót społeczny, ponieważ potrzeby smoków stały na pierwszym miejscu. Samice smoków były złote i zielone, a samce, brunatne i błękitne. Tylko złote smoczyce były płodne; zielone stawały się jałowe żując smoczy kamień, z czego wszyscy byli zadowoleni, ponieważ ich inklinacje seksualne szybko doprowadziłyby do nadmiernego wzrostu populacji. Jednak to one były najzwinniejsze i nieocenione przy zwalczaniu Nici, nieustraszone i agresywne. Za płodność trzeba było płacić pewną niewygodą i jeźdźcy smoczycy królowych nosili miotacze płomieni, żeby spalać Nici. Błękitne samce były silniejsze niż ich mniejsze siostry, a brunatne smoki bardziej wytrzymałe podczas długich, trudnych walk przeciw Niciom. Teoretycznie wielkie, złote, płodne królowe parzyły się z każdym smokiem, któremu udało się je dogonić w czasie morderczego lotu godowego, ale na ogół zaszczyt ten przypadał którymś ze spizowych smoków. W konsekwencji jeździec spizowego smoka, który dogonił najstarszą rangą królową Weyru, stawał się jego Przywódcą i jemu podlegały bojowe Skrzydła podczas Przejscia. Tymczasem kobieta, dosiadająca najstarszej rangą królowej, odpowiadała za Weyr podczas Przejscia i po nim, kiedy to do Władczyni Weyru należała pielęgnacja i zachowanie smoczego rodzaju, troska o utrzymanie Weyru, o jego rozwój i o wszystkich jego mieszkańców. Silna Władczyni Weyru była równie niezbędną dla przetrwania Weyru, jak smoki dla przetrwania Pernu.

To do niej należało zaopatrywanie Weyru, oddawanie dzieci na wychowanie, organizowanie w cechach i warowniach poszukiwań kandydatów, którzy mieliby szansę połączyć się w pary ze świeżo wyklutymi smoczątkami. Przynależność do Weyru dodawała prestiżu, a życie było tam łatwiejsze zarówno dla mężczyzn jak i kobiet, więc warownie i cechy z dumą oddawały wybrane w trakcie poszukiwań dzieci i chełpiły się znakomitymi członkami rodu, którzy zostali jeźdźcami smoków.

Zaczynamy naszą opowieść pod koniec Szóstego Przejscia Czerwonej Gwiazdy, około czternastu setek Obrotów po tym, jak człowiek przybył na Pern...

## Rozdział I

### Weyr Fort i Warownia Ruatha, Przejscie bieżące, 3. 10. 43-1541

–Sh’gall pojechał załatwiać inne sprawy Weyru – po raz trzeci powiedziała Moreta do Nesso i zaczęła rozluźniać przeпоconą, poplamioną olejem tunikę, żeby dać jej do zrozumienia, że to już koniec rozmowy.

Powinien dotrzymać ci towarzystwa na Zgromadzeniu w Ruacie, tym się powinien przede wszystkim zająć. – Nawet będąc w świetnym humorze Nesso mówiła jęczącym tonem, a w tej chwili Ochmistrzynię Weyru przepełniała uraza i czuła się oburzona, że Władczyni ją lekceważy. Jej głos drażnił Moretę jak zgrzyt piłki do kości.

–Sh’gall widział się wczoraj z Alessanem. Zgromadzenie to nie czas na omawianie poważnych spraw. – Moreta podniosła się, usiłując zakończyć tę rozmowę, na którą w ogóle nie chciała się zgodzić, Nesso może tak bez końca wywlekać zarzuty, rzeczywiste lub wymaginowane, przeciw Sh’gallowi. Moreta często musiała ich godzić i tłumaczyć jedno przed drugim. Koniecznie chciała zatrzymać przy sobie Nesso, ponieważ pomimo wszystkich wad była ona niezmiernie sprawną i pracowitą Ochmistrzynią. – Muszę się wykapać, Nesso, bo spóźnię się do Ruathy.

–Wiem, że przygotowałaś dobrą kolację dla wszystkich, którzy tu zostają. K’lon już teraz wyzdrowieje, kiedy gorączka

zaczęła mu opadać. Berchar będzie do niego zaglądał. Zostaw go w spokoju.

Moreta spojrzała ostrzegawczo na Nesso dla podkreślenia wagi swoich słów. Nesso miała okropny zwyczaj wtrącania się do wszystkiego, kiedy Władczyni była nieobecna.

–A teraz zmykaj, Nesso. Masz wystarczająco dużo roboty, a ja marzę o tym, żeby się wreszcie umyć. – Mówiąc to, Moreta lekko popchnęła Nesso w kierunku wyjścia z sypialni.

–Sh’gall powinien był z tobą pojechać. Powinien był... – mruzczała Nesso, kiedy Moreta odchyliła barwną zasłonę w drzwiach. Umilkła dopiero wtedy, kiedy zbliżyła się do śpiącej smoczce królowej.

Ociężała od jaj złocista smoczyca Orlith drzemała nadal, nieświadoma, że mija ją Nesso. Cała wspaniale lśniła od oleju, który Moreta wtarła jej w skórę w czasie porannych przygotowań do Zgromadzenia w Ruacie. Ułożyła się na swoim kamiennym posłaniu tak, żeby zachować ten połysk. Moreta właśnie szła do upragnionej kąpieli, kiedy poproszono ją, żeby zbadała K’lona. W ten sposób spóźniła się na rozmowę z Leri, a chciała mieć pewność, że stara Władczyni ma wszystko, czego jej będzie trzeba tego dnia. Z rąk Nesso Leri nie chciała przyjąć żadnej pomocy.

Okazało się, że rozmowy z Nesso nie da się uniknąć. Ochmistrzyń słyszała, że Sh’gall i Moreta poróżnili się, skutkiem czego Przywódca Weyru oddalił się w swoim codziennym ubraniu, zamiast wystroić się na Zgromadzenie. Moreta musiała także uspokoić Nesso, że K’lon nie zapadł na żadną złośliwą gorączkę, która może rozszerzyć się szybko na cały Weyr na trzy dni zaledwie przed Opadem.

Moreta zrzuciła z siebie ubranie. Powinna już od dłuższego czasu być na Zgromadzeniu i odbyć obowiązkową wymianę grzeczności przed wyścigami.

–Orlith! – zawołała łagodnym głosem. – Wstawaj, ty moja złota piękności. Niedługo odlatujemy do Ruathy na Dzień Zgromadzenia.

–Czy w Ruacie jest jeszcze słońce? – zapytała z nadzieją Orlith.

–Powinno być. Trał poleciał na poranny patrol – powiedziała Moreta i otworzyła skrzynię na ubrania. Wydostała nową suknię, całą w stonowanych ciepłych brązach i złocie, w kolorach, które podkreślały urodę oczu Morety. – A wiesz, jakie wyczucie pogody ma Trał.

Smoczyca zadudniła z satysfakcją i przeciągnęła się.

–Nie tarzaj się teraz za dużo – powiedziała Moreta.

–Wiem. Nie mogę stracić połysku – przytaknęła Orlith. – Nie pobrudzę się, dopóki nie dolecimy do Ruathy. A potem będę się wygrzewać na słońcu. Jak mi się zrobi zbyt gorąco, popływam w Jeziorze Ruathy.

–Czy to będzie rozsądne, najmilsza, przecież zaraz masz składać jaja? To jezioro jest takie zimne. – Moretę przeszedł dreszcz na samo wspomnienie jego zasilanych przez śniegi wód.

–Nic nie szkodzi – odpowiedziała stanowczo Orlith.

Przygotowawszy swoje świąteczne szaty, Moreta udała się do pokoju kąpielowego. Chwyliła garść pachnącego piasku i weszła do sadzawki, której powierzchnia lekko parowała. Stojąc po pas w wodzie, nacierała piaskiem ciało, aż skóra zaczęła ją szczytać. Zanurzyła się na moment, wychynęła na powierzchnię, pochyliła głowę, a jej krótkie włosy rozsypały się wachlarzem po wodzie. Podpłynęła do brzegu i sięgnęła po następną porcję piasku, który wtarła sobie w skórę na głowie i we włosy.

Dużo czasu zajmuje ci doprowadzenie się czystości, chociaż wcale nie jesteś taka wielka – zauważyła Orlith, która teraz, kiedy już nie spała, zaczynała się trochę niecierpliwić.

Być może nie, ale za to ty jesteś zbyt duża, by cię kąpać i smarować oliwką.

–Zawsze to mówisz.

–Ty też.



Przekomarzały się tak z wielką miłością i pełnym zrozumieniem. Królowa i Moreta stanowiły parę już od niemal dwudziestu lat, chociaż dopiero poprzedniej zimy zostały pierwszą parą Weyru Fort, kiedy Holth Leri nie wzniosła się do godowego lotu.

Moreta wymyśla głowę i przyglądała palcami włosy, żeby krótka fryzura ułożyła się w naturalne fale. W czasie Opadu Nici nosiła skórzaną czapkę, i włosy tak się jej przetłuszczały, że trzeba było obciąć długie, jasne warkocze, z których była bardzo dumna jako dziewczyna. Kiedy zakończy się to Przejście, będzie mogła znów zapuścić włosy.

Kiedy zakończy się to Przejście... Moreta przerwała wkładanie czystej koszulki. Przecież to Przejście zakończy się za osiem Obrotów. Nie, za siedem, jeżeli uznać, że ćwierć tego Obrotu już minęło. Moreta surowo skarciła się za taki optymizm. Minęło zaledwie siedemdziesiąt dni tego Obrotu. A więc osiem Obrotów. Za osiem Obrotów nie będzie już musiała latać z Orlith na wyprawy przeciw Niciom. Czerwona Gwiazda znajdzie się zbyt daleko, by niszczyć perneński kontynent. Jeźdźcy smoków nie będą musieli wznosić się do lotu, bo żadne Nici nie zamglą już nieba.

„Czy Nici po prostu się kończą – zastanawiała się Moreta, wsuwając stopy w miękkie, brązowe buty – jak nagle letnia burza? Czy może będą kapać coraz rzadziej, jak zimowy deszcz?”

Przydałby im się jakiś deszcz. A jeszcze lepszy byłby śnieg. Albo porządny ostry mróz. Mróz był zawsze sojusznikiem Weyrów.

Włożyła sukienkę, wygładziła ją na swoich zbyt szerokich ramionach, na jej drnych piersiach, wzdłuż szczupłej talii i pośladków, spłaszczonych od długich godzin jeżdżenia okrakiem. Suknia kryła jej silnie umięśnione uda. Moreta często odczuwała do nich niechęć, ale one również stanowiły efekt jazdy na smoku przez dwadzieścia Obrotów. Przywilej latania na królowej wart był tego.

Naprawdę żałowała, że Sh'gall nie zdecydował się z nią pojechać. Nie знаła nowego Lorda Warowni Ruatha, Alessana. Wyobrażała sobie, że musi to być długonogi młodzieniec o jasnozielonych oczach, kontrastujących ze smagłą twarzą i kręconymi, czarnymi włosami. Wiedziała, że zawsze trzymał się o krok za starym Lordem Warowni, swoim ojcem. Lord Leef był gospodarzem surowym, chociaż sprawiedliwym, po którym Weyr mógł spodziewać się wypełnienia wszystkich tradycyjnych zobowiązań i daniny spłaconej do ostatniej krzty; właśnie takiego człowieka Weyr i Pern potrzebowały jako przywódcy kwitnącej Warowni. Ruathańskich tradycji zawsze gorliwie przestrzegano, a wielu ludzi z tego rodu naznaczało królowe i spiszowe smoki.

Żaden z licznych synów, których spłodził Lord Leef, nie wiedział, kto zostanie wyznaczony na jego następcę. Lord Leef całą tę gromadę trzymał w garści, zapobiegając niesnaskom. Pomimo Opadów Nici i innych niebezpieczeństw związanych z Przejściem, udało mu się wbudować kilka nowych warowni w strome zbocza dolin Ruathy, żeby mieli gdzie mieszkać jego najbardziej wartościowi synowie i ich rodziny. Rozbudowa Warowni była częścią jego różnorodnych planów dotyczących utrzymania porządku w krainie. W planach uwzględnił i koniec Przejścia, i spokojną sukcesję. Moreta nie miała mu za złe takiej zapobiegliwości, chociaż Sh'gall i inni smoczy jeźdźcy martwili się stałym rozrostem populacji warowni. Sześciu Weyrom, dwudziestu trzem setkom smoków, niełatwo było w czasie tego Przejścia nie dopuszczać Nici na pola uprawne. Toczyły się rozmowy o założeniu nowego Weyru podczas Przerwy. Jednak to już nie będzie jej problem.

Moreta założyła na szyję złotą, wysadzaną zielonymi kamieniami opaskę, a na ręce ciężkie bransolety. Alessan to pewnie ten jasnooki mężczyzna, którego często widywała pod koniec Opadu z ekipami obsługującymi miotacze płomieni. Zawsze zachowywał się poprawnie, spokojnie, ale na każdym kroku wyczuwało się jego obecność. Za żadne skarby świata Moreta nie potrafiła przypomnieć sobie pozostałych dziewięciu synów Lorda Leefa, chociaż wszyscy mieli silne rysy, odziedziczone po ojcu, a nie po matkach.

Dzisiaj szemu Zgromadzeniu po raz pierwszy miał przewodniczyć Alessan, z początkiem Obrotu zatwierdzony przez Konklawę Lordów Warowni na zaszczytnym stanowisku Lorda Ruathy. Dni wypoczynku, dni wolne od Nici i piękna pogoda nieczęsto się ze sobą zbiegały.

–Ponieważ są dwa Zgromadzenia, ja wezmę udział w Istańskim – oznajmił jej Sh'gall tego ranka. – Powiedziałem tak wczoraj Alessanowi i nie sprawiło mu to przykrości. – Sh'gall parsknął pogardliwie. – Będzie tam u niego tłum ludzi, więc powinnaś się dobrze bawić. – Sh'gall nie pochwalał tego, że Moreta tak pasjonuje się wyścigami; od czasu lotu godowego Orlith z Kadithem niekiedy razem uczestniczyli w Zgromadzeniach, ale wtedy nie potrafiła cieszyć się tym sportem. – Marzę o słońcu, rybach, skorupiakach. Lord Fitatric zawsze przygotowuje znakomite uczy. Mogę tylko wyrazić nadzieję, że równie dobrze spędzisz czas w Ruacie.

–Nigdy dotąd nie narzekałam na ruathańską gościnność. W głosie Sh’galla było coś, co powodowało, że czuła się zmuszona bronić tej Warowni. Sh’gall odczuwał nabożną cześć wobec Lorda Leefa, ale nie odnosiło się to do nowego, młodego Lorda. Moreta nie zawsze zgadzała się z pochopnymi opiniami Sh’galla, więc postanowiła, że zaczeka i sama wyrobi sobie zdanie o Alessanie.

–Poza tym obiecałam, że podrzucę Lorda Ratoshigana do Isty. Nie zależy mu na tym, żeby być w Ruacie. Za to ma ochotę zobaczyć to osobliwe, nieznanne zwierzę, które zostanie wystawione na pokaz w Iście.

–Co to takiego?

–Myślałam, że coś o tym wiesz. – Z tonu Sh’galla można było wnioskować, że powinna wiedzieć, o czym mówi. – Marynarze z Morskiej Warowni w Igenie znaleźli to zwierzę, jak dryfowało z Wielkim Prądem. Uczępiło się drzewa, które unosiło się na wodzie. Nigdy nie widzieli czegoś takiego i zabrali je do Mistrza Hodowcy do Keroonu.

„Aha – pomyślała Moreta – to dlatego powinnam była wiedzieć”. Nie miała pojęcia, czemu Sh’gall zakładał, że wie o wszystkim, co dzieje się w jej rodzinnej warowni. Już dziesięć Obrotów temu zaangażowała się ostatecznie i z pełnym oddaniem w sprawę Weyru Fort.

–To jakiś gatunek wielkiego kota – dodał Sh’gall. – Prawdopodobnie coś, co pozostawiono na Południowym Kontynencie. Całkiem dzika bestia. Mądrzej byłoby zostawić takie zwierzę w spokoju.

–Mamy takie mnóstwo węży tunelowych, że przydałby się nam jakiś głodny dziki kot. Psy nie są wystarczająco szybkie.

Sh’gall rzucił na nią ponure spojrzenie i sztywno wyszedł z Weyru. Ta niespodziewana reakcja zirytowała Moretę. Nie po raz pierwszy żałowała, że to Kadith dogonił Orlith w locie godowym. Potem powiedziała sobie stanowczo, że stary L’mal uważał Sh’galla za jednego z najzdolniejszych przywódców skrzydła. Aż do końca Przejścia niezbędny był im taki człowiek. Wszyscy myśleli, że L’mal dotrwa do końca Przejścia, dlatego też wszyscy go oplakiwali, gdy zachorował i umarł. Moreta zawsze lubiła L’malą, a Leri miała o nim bardzo wysokie mniemanie. Nie był to dobry moment na przejmowanie Przywództwa Weyru i Sh’gall cierpiał, że porównywano go ze starszym, bardziej doświadczonym L’malem. Czas nauczy go tolerancji i pokory.

Kiedy Moreta narzucała futrzaną pelerynkę na ramiona, zadźwięczały jej bransolety. Były one podarunkiem od starego Lorda Leefa za to, że prześcignęła Nici opadające nad ulubionymi drzewami owocowymi Lorda, lecąc tak nisko, że narażała Orlith na niebezpieczeństwo. Wspomagana przez zręczne manewry Orlith Moreta spopieliła Nici miotaczem płomieni. Była wtedy bardzo młodzianka, dopiero co przeniesiono ją do Weyru Fort z Isty, i chciała dowieść swoim nowym współmieszkańcom, jaka Orlith jest zwinna i sprytna. Teraz nie podjęłaby takiego ryzyka, wcale zresztą nie dlatego, że pamiętała wściekłość w oczach L’malą, ówczesnego Przywódcy Weyru, kiedy wymyślał jej za brak rozważli. Ciągle jeszcze czuła wstyd i wyrzuty sumienia, ale bransolety dobrze wyglądały przy tej nowej sukni.

–Czy my w ogóle polecimy na to Zgromadzenie? – zapytała tęsknie Orlith.

–Tak, polecimy – odparła Moreta, potrząsając głową, żeby pozbyć się takich refleksji.

Będzie się dobrze bawiła na tym Zgromadzeniu, bo Warownia Ruatha jest wesoła, kolorowa, zdominowana przez młodych przyjaciół Alessana. Sh’gall twierdzi, że wciąż jeszcze przepełnia ich radość z odniesionego sukcesu. Musiał przypominać Alessanowi, że Nici są stale groźne i że jako Lord Warowni musi przede wszystkim wypełnić swoje obowiązki, zanim odda się zabawie.

–Może to i lepiej, że Sh’gall zdecydował się udać do Isty... i zabrać ze sobą Lorda Radoshigana – powiedziała Moreta, przekonując równocześnie samą siebie.

–Mają obydwaj z Kadithem sporo do roboty – zauważyła Orlith, wychodząc za swoją jeźdźczynią z weyru.

Orlith zatrzymała się na półce skalnej i obrzuciła spojrzeniem Nieckę Weyru. Większość nasłonecznionych pól skalnych, które zwykle zajmowały smoki, była pusta.

–Wszyscy polecieci? – zapytała zaskoczona Orlith wyciągając szyję, żeby zobaczyć zacienione zachodnie półki.

–Przecież odbywają się dwa Zgromadzenia. Mam nadzieję, że nie spóźnimy się na wyścigi.

Orlith zamruwała swoimi wielkimi oczami.

–Ty bawisz się na nich równie dobrze jak ja i miałas dużo lepszy widok ze wzgórz ogniowych. Nie martw się, przecież ja jeżdżę tylko na tobie.

Ułagodzona Orlith przycupnęła, ustawiając przednią łapę tak, żeby Moreta zdołała wspiąć się na swoje miejsce pomiędzy dwoma ostatnimi wyrostkami grzebienia na jej barkach. Moreta ułożyła równo spódnicę i otuliła się opończą. Nie istniało takie ubranie, które mogłoby ochronić ją przed zmarznięciem w straszliwym, absolutnym zimnie przestworzy, ale ten lot potrwa tylko kilka oddechów.

Orlith zeskoczyła z półki. Chociaż ciężarna, nie była leniwa, i znalazłszy się w powietrzu niemal natychmiast zrobiła użytek ze swoich skrzydeł. Stara królowa, Holth, zatrafiła na pożegnanie; smok wartownik rozłożył skrzydła, zasłaniając Gwiazdne Kamienie na szczycie. Jeździec na warcie wyciągnął rękę w geście pozdrowienia.

Orlith złapała wiatr płynący wzdłuż podłużnej Niecki, krateru wygasłego wulkanu, który był domem dla Weyru. Dawno, dawno temu obsunęła się ziemia ze zboczy i przedarła się przez południowo-wschodnią część Weyru do jeziora. Kamieniarze oczyścili jezioro i podparli skraj obrywu masywnym murem, ale nie dało się oczyścić utraconych jaskiń i weyrów, ani przywrócić symetrii Niecki.

–Przeprowadzasz inspekcję swego Weyru, królowo? – zapytała Moreta niespiesznie szybującej Orlith.

–Z wysokości widzi się wiele szczegółów we właściwym porządku.

Morecie zwiłał śmiech z ust i musiała mocno złapać się za uprzęż. Niespodziewane obserwacje Orlith stała ją zaskakiwały. Z drugiej strony, kiedy Morecie potrzebna była porada, Orlith odpowiadała, że nie rozumie żadnego jeźdźcy poza Moretą. Można było jednak liczyć na to, że królowa w ogólny sposób omówi sprawę Weyru, albo morale skrzydeł bojowych, dostarczy informacji o Kadicie, smoku Przywódcy Weyru. Nie była już taka otwarta, gdy chodziło o samego Sh'galla. Po dwudziestu Obrotach ich symbiotycznego współzycia Morecie tyle samo mówiły uniki królowej, co jej szczerze komentarze. Bycie jeźdźcą królowej nigdy nie było łatwe. Bycie Władczynią Weyru, jak to jej nieraz mówiła Leri, podwajało zaszczyty i zagrożenia. Trzeba polubić i dobre, i złe strony tego życia i nie nadużywać fellisowego soku.

Moreta wyobraziła sobie ogniowe wzgórze Warowni Ruatha, z ich wyrazistym układem rynien ogniowych, boi świetlnych i wschodnim szańcem wartowników.

–Lećmy teraz do Ruathy – powiedziała do Orlith i zacięła zęby w oczekiwaniu na zimno „pomiędzy”.

Czarne, czarniejsze, najczarniejsze; zimniejsze od złodowaceń. Gdzie jest „pomiędzy”, kiedy Życiu została jedynie Para kruchych smoczycy skrzydeł.

Moreta powtarzała słowa starej pieśni, jak gdyby stanowiły talizman chroniący przed tą przerażliwie zimną podróżą. Ruatha znajdowała się niedaleko Weyr Fortu i wkrótce ogrzały je ciepłe promienie słońca, oświetlającego ruathańskie wzgórze ogniowe pod nimi. Kiedy Orlith pojawiła się w powietrzu, zastępy smoków wylegujących się na szczycie skalistego urwiska pozdrowiły ją. Orlith poczuła radość, że spotkała się z takim życzliwym przyjęciem. Smoki bardzo rzadko spotykały się dla przyjemności. Przyczyną były Nici. Już nie długo, za osiem Obrotów...

Kiedy królowa szybowała w dół, Moreta rozpoznała kilka smoków z innych Weyrów po wzorach, jakie na ich ciałach i skrzydłach tworzyły blizny.

–Spizowe z Telgaru i Dalekich Rubieży – zakomunikowała jej Orlith. – Ale Benden już odleciał. Powinniśmy być przylecieć wcześniej.

W jej głosie zadźwięczała nuta żalości, jako że Orlith odczuwała szczególną sympatię do bendeńskiego spizowego smoka, Tuzutha.

–Przepraszam, najmilsza, ale tyle miałam roboty. Orlith prychnęła. Moreta poczuła, jak napinają się mięśnie smoczycy. Orlith zaczęła zataczać kręgi, opuszczając się w stronę wzgórz ogniowych. W oczekiwaniu na lądowanie Moreta uchwyciła się mocniej rzemieni uprzęży. Orlith przeleciała nad wzgórzami, kierując się nad drogę zatłoczoną straganami i kłębiącą się cizbą ludzi, wesoło poubieranych z okazji Zgromadzenia. Nagle Moreta zdała sobie sprawę, że Orlith ma zamiar wylądować na pustym placu do tańców, otoczonym pierścieniem słupów pod lampy, stołów na koziołkach i ław.

–Nie zapominam, że jesteście teraz najstarsze rangą – powiedziała skromnie Orlith – i że ta Warownia powinna oddać hołd Władczyni Weyr Fortu.

Wylądowała z wielką precyzją na placu do tańców, unosząc wysoko swoje szerokie skrzydła, żeby nie spowodować nadmiernego wiatru. Chorągiewki na słupach gwałtownie zatrzepotały, ale z samego placu, wymiecionego już do twardej ziemi, niewiele się podniosło kurzu.

–Wspaniale, moja najmilsza – powiedziała Moreta, z uczuciem drapiąc swojego wierzchowca po grzebieniu na grzbiecie.

Rzuciła okiem na imponujące urwisko Warowni Ruatha, zwieńczone szeregami wygrzewających się na słońcu smoków. W nie zakrytych okiennicami oknach Warowni widać było chorągiewki i barwnie tkane makaty. Na dziedzińcu wystawiono stoły i krzesła, żeby dostojni goście mogli przypatrywać się kramom i placowi do tańców. Moreta rzuciła okiem w drugą stronę, gdzie na płaskim terenie miały odbywać się wyścigi. Daleko po prawej stronie zobaczyła rzędy boksów. Nie było jeszcze jaskrawo pomalowanych tyk startowych, a więc nie straciła żadnego wyścigu.

Wszyscy zebrani na Zgromadzeniu ludzie oderwali się od tego, co aktualnie robili, żeby przyglądać się, jak ląduje Orlith. Teraz wśród przyglądających się nastąpiło poruszenie i ludzie rozstąpili się, żeby przepuścić jakiegoś mężczyznę.

–Widzisz? Zbliży się Lord Warowni – powiedziała Orlith. Moreta przerzuciła prawą nogę nad karkiem Orlith, obciągnęła spódnice i przygotowała się do zsiadania. Potem rzuciła okiem na mężczyznę, który się do nich zbliżał. Z trudem rozpoznawała te rysy twarzy, które pasowały do jej wspomnień o jasnookim synu Lorda Leefa. Barczysty mężczyzna szedł wyprostowany pewnym, długim krokiem.

Nagle się zatrzymał i złożył ukłon Orlith, która w odpowiedzi na jego powitanie skłoniła głowę. Potem podszedł szybko, żeby pomóc Morecie zsiść, bacznie jej się przy tym przypatrując.

Jasnozielone oczy, niezwykle u człowieka o tak śniadej cerze, pochwyliły jej spojrzenie. Jego wzrok był oficjalny i bezosobowy. Chwylił ją w pasie i zsadził z łapy Orlith. Skłonił się, a Moreta mimo woli zauważyła, że jego bujna czupryna była świeżo ostrzyżona i ładnie uczesana.

–Witaj w Warowni Ruatha, Władczyni Weyru. Zaczynałem się już obawiać, że nie zjawicie się z Orlith. – Mówił tenorem, zaskakującym u mężczyzny tak wysokiego i postawnego.

–Przywożę przeprosiny od Przywódcy Weyru.

–Przekazał mi je już wczoraj. Gdybyś i ty się nie zjawiała, ja i Ruatha przyjęlibyśmy to ze smutkiem. Orlith ma wspaniały kolor – dodał, a w jego głosie niespodzianie pojawiło się ciepło jak na królową tak bliską składania jaj.

Moreta zaskoczona była tym oficjalnym przyjęciem. Królowa zamrugła oczami o tęczyowych odcieniach, najwidoczniej czując to samo. Moreta nie spodziewała się, żeby młody człowiek umiał wysławiać się tak gładko. Lord Leef dobrze wyszkolił swojego następcę. Poza tym Moreta zawsze była gotowa porozmawiać o Orlith.

–Cieszy się wspaniałym zdrowiem i zawsze ma taki niezwykły odcień.

Ponieważ jej odpowiedź nie była zgodna z konwenansami, Alessan zawahał się.

–Niektóre smoczyce są tak jasne, że wydają się bardziej żółte niż złote, podczas gdy inne są tak ciemne, że mogłyby iść w zawody ze spizowymi smokami Ale ona – Moreta otwarcie spojrzała na swoją królową – nie ma klasycznego odcienia.

Alessan zaśmiał się.

–Czy odcień ma jakiegokolwiek znaczenie?

–Dla mnie nie. Wcale by mi to nie przeszkadzało, gdyby Orlith była zielonozłota. Ona jest moją królową, a ja jestem jej jeźdźcą. – Zerknęła na Alessana, zastanawiając się, czy z niej nie kpi. Jednakże w jego zielonych oczach z małymi brązowymi plamkami wokół źrenicy widniało tylko uprzejme zainteresowanie.

Alessan uśmiechnął się.

–I jest najstarsza rangą w Weyrze Fort.

–Podobnie jak ty w Ruacie. – Czują się nieco speszona, ponieważ pomimo tych niewinnych i ceremonialnych zdań wyczuwała w tym, co mówił, jakiś podtekst. Czy Sh'gall rozmawiał o swojej Władczyni Weyru z Lordem Warowni?

–Co ty na to, Orlith?

–Wzgórze ogniowe jest ciepłe w pełnym słońcu – odpowiedziała wymijająco smoczyca, odwracając ku niej głowę. Jej wielofasetowe oczy zabarwiał błękit pragnienia.

–No to leć, najmiłsza. – Moreta z miłością klepnęła Orlith po barku, a potem z Alessanem u boku ruszyła w stronę drogi. Kiedy doszli na skraj placu, Orlith skoczyła, unosząc się nad ziemię przy pierwszym machnięciu szerokich skrzydeł. Smoczyca wzbijała się w powietrze w kierunku pionowego urwiska Ruathy pod bardzo małym kątem. Kiedy przelatywała zaledwie tuż nad kramami, Moreta usłyszała okrzyki przerażenia. Alessan zdrętwiał.

–Czy ty aby na pewno wiesz, co robisz, kochana? – zapytała Moreta spokojnie, ale stanowczo. – Jesteś nieco zbyt ociężała od jaj na takie figle.

–Pokazuję im, jakie talenty ma ich królowa. Nikomu to nie zaszkodzi.

Orlith precyzyjnie oceniła kąt lotu, chociaż Morecie, z miejsca, gdzie stała, wydawało się, że przednimi łapami zawadzi o skraj urwiska. Jednakże Orlith w łatwością przeleciała nad urwiskiem i przechyliwszy się zakręciła prawie na czubku skrzydła. Usadowała się niemal nad głównym wejściem do Warowni, w miejscu zwolnionym przez inne smoki. Potem złożyła skrzydła na grzbiet, przycupnęła i umieściła trójkątną głowę na przednich łapach.

„Ekshibicjonistka” – pomyślała o niej Moreta i rzekła głośno:

–Teraz jest już jej wygodnie, Lordzie Alessanie.

–Słyszałem już, że Orlith znana jest z tego, iż lata o włos nad przeszkodami.

Spojrzał na biżuterię Morety.

A więc młody Lord wiedział o podarunku starego Lorda.

–Przydaje się to w czasie Opadu Nici.

–Teraz jesteśmy na Zgromadzeniu – powiedział Alessan głosem Lorda Warowni.

–A gdzież można lepiej pochwalić się zręcznością, umiejętnością i urodą? – Moreta gestem wskazała wesoło przybrane kramy i barwne tuniki oraz suknie tłumu. Wysunęła rękę spod jego ramienia, częściowo po to, żeby okazać swoją irytację na jego krytykę, a częściowo, żeby rozluźnić oponkę. Chłód przestworzy zastąpiło teraz ciepło popołudniowego słońca. – Chodźmy, Lordzie Alessanie – znowu go wzięła pod rękę – gdy jako Lord Ruathy poprowadzisz swe pierwsze Zgromadzenie, nie chciałabym słyszeć nieżyczliwych słów o mojej pierwszej wycieczce od czasu zimowej równonocy.

Doszli do drogi i kramów, w których ludzie oglądali towary i targowali się. Moreta uśmiechnęła się do Lorda Alessana, stanowczo postanawiając, że będzie się dobrze bawiła. Patrzył na nią, mrugając oczami i lekko ściągając ciemne brwi. Potem twarz jego rozjaśniła się w uśmiechu, wciąż jeszcze powściągliwym, ale znacznie bardziej szczerym niż wcześniejsza ceremonialna sztywność.

–Obawiam się, że nie posiadam żadnej z cnót mojej matki, pani Moreto.

–A za to wszystkie przywary ojca?

–Mój zacny ojciec Leef nie miał żadnych przywar – odpowiedział Alessan, a jego oczy rozbłysły wesoło, co przekonało Moretę, że ma on przynajmniej odrobinę tego poczucia humoru, co jego rodzic.

–Wyścigi jeszcze się nie zaczęły? Alessan bacznie spojrzał na nią.

–Nie, jeszcze nie. Czekaliśmy na spóźnionych przybyszów.

–W pobliżu boksów zebrał się spory tłum. Ile ma być gonitw? zapytała Moreta i pomyślała: „Czyżby nie pochwałał wyścigów?”

– Zaplanowano dziesięć gonitw, ale zgłoszeń było mniej, niż się spodziewałem. Czy lubisz wyścigi, pani Moreto?

– Pochodzę z Keroony, gdzie hoduje się biegusy, Lordzie Alessanie, i nigdy nie straciłam zainteresowania dla tego rodzaju sportu.

– A więc wiesz, na co stawiać?

– Lordzie Alessanie – powiedziała lekkim tonem – Nigdy na nic nie stawiam. Wystarcza mi radość z obserwacji dobrze prowadzonej gonitwy. – W jego zachowaniu wciąż znać było niepewność, więc zmieniła temat. – Mam wrażenie, że minęliśmy się z gośćmi ze wschodu.

– Bendeńska Władczyni i Przywódca Weyru dopiero co nas opuścili. – Oczy Alessana załśniły dumą, że podejmował takich dostojnych gości.

– Miałam nadzieję, że z nimi porozmawiam. – Żal Morety był szczery, ale odczuwała również ulgę. Przywódcom Bendenu podobnie jak jej samej nie podobało się zafascynowanie Orlich Tuzutem, spiżowym smokiem Bendenu. Takie między weyrowe zainteresowania popierano u młodych królowych, ale nie u senierek. – Czy przyleciał także Lord Warowni Benden?

– Tak. – W głosie Alessana wyczuwało się radość. – Odbyliśmy z Lordem Shadderem króciutką, ale bardzo sympatyczną rozmowę. Nieczęsto zdarza się, żeby wschód i zachód mogły się spotkać. Czy znasz Lorda Shaddera?

– Poznałam go, kiedy byłam w Weyrze Ista. – Moreta odpowiedziała Alessanowi z uśmiechem, bo Shadder z Bendenu był niewątpliwie najbardziej popularnym Lordem Warowni na Pernie. Jego serdeczność i troska zawsze robiły takie wrażenie, jak gdyby płynęły prosto z serca. Westchnęła. – Naprawdę żałuję, że nie mogłam przylecieć wcześniej. Kto jeszcze jest tutaj?

Twarz Alessana na moment spochmurniała.

– W tej chwili – powiedział żywo – gospodarze i Mistrzowie Cechów z Ruathy, Fortu, Gromu, Nabolu, Tilleku i Dalekich Rubieży. Przebyli kawał drogi, ale wszyscy wydają się zadowoleni, że utrzymała się ciepła pogoda. – Rzucił okiem na zatłoczone kramy, podziwiając, jak kwitnie handel – Lord Warowni Tillek może przybędzie później z Przywódcą Weyru Dalekich Rubieży. Lord Tolocamp nadjechał godzinę temu i przebiera się.

Współczując Alessanowi, Moreta uśmiechnęła się do niego. Lord Tolocamp był energicznym, porywczym mężczyzną, który mówił to, co myśli, i wyrażał swoją opinię na każdy temat, jak gdyby był ekspertem od wszystkiego. Ponieważ nie miał za grosz poczucia humoru, rozmowa z nim często stawała się niezręczna i nudna. Moreta wołała unikać jego towarzystwa, kiedy tylko było to możliwe. Ponieważ jednak była teraz najstarszą rangą Władczynią Weyru, mniej miała wymówek, żeby tak postępować.

– A ile jego pań przybyło razem z nim?

– Pięć – odpowiedział Alessan obojętnym głosem. – Moja matka, pani Oma, zawsze cieszy się z odwiedzin pani Pendry.

Moreta z trudem powstrzymując śmiech odwróciła twarz. Cały Pern wiedział, że Pani Pendra zamierza wydać jedną ze swoich licznych córek, siostrzenic czy kuzynek za Alessana. Młoda żona Alessana, Suriana, tragicznie zmarła poprzedniego Obrotu po upadku. Lord Leef nie nalegał wtedy na swojego syna, żeby zawarł następne małżeństwo, z którego to faktu wielu ludzi wyciągało wnioski, że nie Alessan zostanie jego następcą. Ponieważ dziewczęta Fortu były równie zaradne jak brzydkie, Moreta uważała, że nie mają szans, ale Alessan będzie się musiał wkrótce ożenić, jeżeli to jego ród ma objąć spuściznę.

– Czy byłoby to po myśli Władczyni Weyr Fort, gdyby Lord Ruathy pojął za żonę pannę z Warowni Fort? – Głos Alessana był zimny i twardy.

– Niewątpliwie stać cię na coś lepszego – odparła Moreta i roześmiała się. – Przepraszam. Nie jest to temat do żartów, ale nie masz pojęcia jak brzmiał twój głos.

– A jak brzmiał? – Oczy Alessana błysnęły.

– Jak głos człowieka, którego siłą pchają w kierunku, w którym nie życzy sobie podróżować. To twoje pierwsze

Zgromadzenie. Ty też powinienes się dobrze bawić.

–Czy pomożesz mi? – zapytał z figlarnym wyrazem twarzy.

–Jak?

–Jesteś moją Władczynią Weyru. – Twarz jego spoważniała. Ponieważ Sh’gall ci nie towarzyszy, ja muszę być twoim partnerem.

–Sumienie nie pozwala mi zajmować ci tyle czasu. – Mówiąc to, Moreta zdała sobie sprawę, że chętnie by to właśnie zrobiła.

–A może jednak trochę zajmiesz? – Jego głos nie pasował do błyszczących oczu i szerokiego uśmiechu. – Wiem, co do mnie należy, ale...

–Będą tu dziewczęta z całego...

–Tak, przeprowadzono dla mnie Poszukiwania.

–A czegoż innego spodziewałeś się, Lordzie Alessanie, kiedy jesteś taką dobrą partią?

–Suriana polubiła mnie takiego, jakim byłem – powiedział Alessan niewesołym głosem. – Kiedy aranżowano tamten związek, nie miałem żadnych wielkich nadziei na przyszłość.

A więc to dlatego pozwolono mu odprawić żałobę i odroczyć drugie małżeństwo. Moreta nie przypuszczała, że starego Lorda Lee’fa stać było aż na tyle współczucia.

–Miałeś więcej szczęścia niż inni ludzie – powiedziała, czując dziwną zazdrość. Kiedy już Naznaczyła królową, jej osobisty wybór przestał już się liczyć. Kiedy Naznaczyła Orlith, ich miłość wynagradzała jej wiele; w porównaniu z tym bladła miłość do drugiego człowieka.

–Byłem boleśnie świadom mojego szczęścia. – To spokojne zdanie Alessana nie tylko kryło w sobie poczucie straty, ale i świadomość, że musi wywiązać się z obowiązków wobec swojego nowego stanowiska. Moreta nie rozumiała, czemu Sh’gall poczuł do tego człowieka antypatię.

Szli pomiędzy uczestnikami Zgromadzenia, mijali kramy. Moreta głęboko wdychała aromat pachnącego przyprawami gulaszu i słodkich ciastek z owocami, woń dobrze wyprawionych skór, gryzący zapach z budki szklarzy, mieszaninę zapachów perfum i ziół, ludzkiego i zwierzęcego potu. Napawała się miłą atmosferą, która przenikała tu wszystko.

–Przyjmuję twoje towarzystwo w granicach zasad przyzwoitości. Pod warunkiem, że lubisz wyścigi i tańce.

–W tej kolejności?

–Ponieważ najpierw są wyścigi.

–Doceniam twoją uprzejmość, o Władczyni Weyru! – powiedział z pewną kpina.

–Czy przybyli już harfiarze?

–Wczoraj... – Alessan skrzywił się.

–Tylko by jedli, prawda?

–I gadali. Jednakże plac do tańców będzie pełny aż do świtu, po tym, jak zaszczyciła go twoja królowa. Sam nasz jowialny Mistrz Harfiarz obiecał, że swoją obecnością uczci nasze Zgromadzenie.

Moreta zmarszczyła brwi na ten następny podtekst w wypowiedzi Alessana. Czyżby nie lubił Tirone’a? Mistrz Harfiarz był zwałistym, serdecznym mężczyzną o mocnym basowym głosie, dominującym nad tymi, z którymi śpiewał. Uwielbiał ballady i wzruszające sagi, w których najlepiej mógł się popisać swoimi zdolnościami, ale była to jego jedyna próżność i Moreta nigdy nie uważała jej za przywarę. Sama dopiero od niedawna była Władczynią Weyru, nie widywała go tak często w roli Mistrza Harfiarza Pernu jak Alessan. Nie chciała zrazić do siebie Tirone’a.

–On ma piękny głos – powiedziała dyplomatycznie. – Czy przybędzie Mistrz Capiam?

–Chyba tak.

Z wyjątkiem Lorda Shaddera Alessan najwyraźniej nie podzielał żadnego z jej upodobań co do przywódców Pernu. Nigdy dotąd nie słyszała, żeby ktoś nie lubił Mistrza Uzdrawiciela Capiama. Czyżby Alessan winił go za to, że nie uleczył złamanego kręgosłupa jego żony?

–Czy tego typu wyczyny nie zaszkodzą Orlith w tym okresie, Moreto? – zapytał Lord Tolocamp, zbliżając się do nich szybkim krokiem. Musiał śledzić którądy szli, żeby się z nimi spotkać.

–Powinna złożyć jaja dopiero za dziesięć dni. – Moreta zeszywniała, zirytowało ją zarówno pytanie, jak i pytający.

–Orlith lata z wielką precyzją – powiedział Alessan – co Ruatha wysoko sobie ceni.

Lord Tolocamp przystanął, odkaszlnął, za późno zakrywając usta, i najwidoczniej nie zrozumiał, do czego odnosi się aluzja Alessana.

–Ona zachowuje się wprost bezwstydnie – powiedziała Moreta – kiedy tylko może popisać się przed kimś nowym. I nigdy nawet jeszcze się nie skaleczyła.

–Tak, no cóż... Alessanie, chciałbym, żebyś poznał moje córki.

–W tej chwili, Lordzie Tolocampie, muszę towarzyszyć Władczyni Weyru, jako że nie ma tu Sh'galla. Twoje córki – Alessan obejrzał się na młode kobiety, które rozmawiały z jednym z jego podwładnych – chyba dobrze się bawią.

Lord Tolocamp nie mógł ukryć rozdrażnienia.

–Kieliszek wina, Moreto? Proszę, tedy. – Alessan stanowczo odprowadził ją od Lorda Tolocampa, który stał zaskoczony ich nagłym odejściem.

–Tym jego uwagom nigdy nie będzie końca – powiedziała Moreta.

–No, to utopimy swoje smutki w bendeńskim białym winie, które kazałem ochłodzić. – Dał znak słudze, żeby nalał do kieliszka.

–Bendeńskie białe? Uwielbiam je.

–A ja sobie myślałem, że wolisz wino z Tilleku. Moreta skrzywiła się.

–Mam obowiązek udawać, że przepadam za winami z Tilleku.

–Dla mnie są zbyt cierpkie.

–To prawda, ale Tillek składa Weyr Fortowi daninę w swoich winach. A dużo jest łatwiej zgadzać się z Lordem Diatisem, niż się z nim sprzeczać.

Alessan roześmiał się.

Kiedy sługa wrócił z dwoma pięknie grawerowanymi czarkami i małym bukłakiem wina, Moreta kątem oka dostrzegła Lorda Tolocampa i panią Pendrę oraz panią Omę, prowadzących córki w ich kierunku. W tym momencie stentorowy głos ogłosił rozpoczęcie wyścigów biegusów.

–Widzę, że nie uda nam się uniknąć pani Pendry. Gdzie możemy się schronić? – zapytała Moreta, ale Alessan wpatrywał się w tor wyścigowy.

–Koniecznie chcę obejrzeć pierwszy bieg. Jeżeli się pospieszymy. Wskazał na drogę wijącą się w kierunku płaskiego terenu wyścigów.

–Nie uda nam się umknąć przed nimi, chyba że zawołalibyśmy Orlith na pomoc. Jednak ona śpi. – Moreta zauważyła rusztowanie, otaczające mur, który budowano właśnie na południowym skraju dziedzińca. – A czemu by nie wejść tam na



górze?

–Świetnie, przecież nie masz lęku wysokości! – Alessan wziął ją za rękę i poprowadził przez tłum.

Ludzie rozstąpili się, żeby przepuścić Lorda Warowni i Władczynię Weyru. Alessan przełożył bukłak do drugiej ręki i zgrabnie wskoczył na mur. Potem uklęknął, gestem pokazując jej, by podała mu obydwie czarki.

Przez moment Moreta zawahała się. L'mal często strofował ją, mówiąc, że powinna zachowywać się godnie Władczyni Weyru, zwłaszcza poza terenem Weyru, gdzie gospodarze, rzemieślnicy i harfiarze mogli przyglądać się jej i krytykować. Przypomniała sobie zuchwale popisy Orlith. I na nią działała urocza atmosfera Zgromadzenia, dająca wytchnienie po całym Obrocie żmudnych obowiązków. Wyścigi, bendeńskie wino, a później będą tańce... Moreta, Władczyni Weyr Fort, miała zamiar dobrze się zabawić.

–Pospiesz się – powiedział Alessan. – Stoją już na starcie. Moreta odwróciła się do najbliższego smoczego jeźdźca pod murem.

–Podsadz mnie, R'limeaku, dobrze?

–Moreto!

–Och, przestań się gorszyć. Chcę zobaczyć początek wyścigów. – Podciągnęła spódnicę. – Tylko uważaj, R'limeaku, nie chciałabym rozbić nosa o kamienie.

R'limeak podsadził ją po chwili wahania. Gdyby nie podtrzymały jej mocne ręce Alessana, byłyby się ześliznęła.

–Ależ on ma zgorszoną minę! – Alessan zaśmiał się, a jego zielone oczy skrzyły się radośnie.

–Błękitni jeźdźcy są strasznie pruderyjni! – Wzięła swoje wino od Alessana. – Cóż za wspaniały widok! – Ponieważ wyścigi jeszcze się nie zaczęły, odwróciła się powoli i zaczęła napawać się widokiem. Ziemia opadała w dół od stóp ściany skalnej, gdzie znajdowały się ruathańskie zabudowania. Moreta patrzyła ponad dachami udekorowanych kramów, rzuciła okiem na pusty plac tanceczny, spojrzała dalej na pola, ogrodzone murem sady po obu stronach, a potem na zbocze opadające stopniowo do rzeki, mającej swoje źródła w Lodowym Jeziorze wśród gór. To prawda, że sady były nagie, pola zbrązowiałe od mrozów, które przyszyły w tym Obrocie, ale bezchmurne niebo miało żywą, zielonkawoniebieską barwę, a powietrze było ciepłe. Obdarzona długowzrocznością Moreta zobaczyła, że jeszcze trzech opieszalnych wyścigowców zamierza dołączyć do startujących.

–Ruatha wygląda dziś tak wesoło – powiedziała. – Zwykle, kiedy tutaj jestem, wszystkie okiennice są zamknięte w celu ochrony przed Nićmi, a w zasięgu wzroku nie ma ani żadnego człowieka, ani zwierzęcia. Dzisiaj jest całkiem inaczej.

–Z nami często można tu mile spędzić czas – powiedział Alessan. Oczy miał utkwione w to, co się działo przy tykach startowych. – Ruathę uważa się za jedną z najlepiej położonych Warowni. Fort jest być może starszy, ale nie zaplanowano go tak dobrze.

–Harfiarze uczą nas, że Warownię zbudowano jako tymczasowe schronienie po Przeprawie.

–Marne czternaście setek Obrotów prowizorki. Podczas gdy my w Ruacie zawsze wszystko planowaliśmy. Mamy nawet specjalne kwatery dla odwiedzających nas entuzjastów wyścigów.

Moreta szeroko się do niego uśmiechnęła. Zdawała sobie sprawę, że w podnieceniu przed zbliżającą się gonitwą przeskakuje z tematu na temat.

–Spójrz! Wreszcie się ustawili!

Powiew wiatru rozwiął kurz. Zobaczyła, jak opada biała flaga i aż wstrzymała oddech, gdy zwierzęta rzuciły się do przodu.

–Czy to sprint? – zapytała, próbując rozpoznać lidera w masie kiwających się głów, podrygujących ciał i migających nóg.

W ciasnocie nie dało się rozpoznać ani koloru kapeluszy dżokejów, ani koloru bardeli

–Zgodnie ze zwyczajem zaczyna się od sprintu – powiedział z roztargnieniem Alessan, osłaniając ręką oczy, żeby lepiej widzieć.

–Jaki świetny jest ten tor. Przysięgłabym, że lider nosi kolory Ruathy!

–Mam taką nadzieję! – wykrzyknął Alessan z podnieceniem. Gdzieś w pobliżu rozległy się wiwaty.

–Fort nie rezygnuje tak szybko! – powiedziała Moreta, kiedy drugi jeździec oddzielił się od grupy.

–Żeby tylko wytrzymał! – Słowa Alessana brzmiały na wpół jak groźba, a na wpół jak błaganie.

–Wytrzyma! – Spokojna pewność Morety spowodowała, że Alessan zerknął na nią niedowierzająco. Po chwili pierwszy jeździec minął tyczkę. – Wytrzymał!

–Czy jesteś pewna?

–Bez wątpienia. Z tego miejsca widać tyczki w jednej Unii. Jesteś zwycięzcą! Sam wyhodowałeś tego biegusa?

–Tak, sam. A więc wygrał? – Wydawało się, że potrzebuje potwierdzenia sukcesu.

Nie ma co do tego wątpliwości. O dobre dwie długości. Znam się na wyścigach. A więc za twojego zwycięzcę! – Uniosła swój puchar.

–Za mojego zwycięzcę! – powiedział, a jego oczy błyszczały triumfalnie.

–Pójdę z tobą na metę – zaproponowała zauważając, że sprinterzy zatrzymują się wreszcie na ściernisku.

–Chętnie będę cieszyć się tą chwilą w twoim towarzystwie powiedział Alessan i dodał z szerokim uśmiechem: – Tam jest Dag, mój pasterz. To jest w równym stopniu jego zwycięstwo, co moje. Nie wypada jednak, żeby Lord Warowni cieszył się tak z powodu zwykłego zwycięstwa w sprincie.

–Chyba to nie jest twój pierwszy zwycięzca?

–Szczерze mówiąc, pierwszy. – Rozkazującym gestem kazał jednemu słudze podać więcej wina. – Osiem Obrotów temu Lord Leef wyznaczył mi za zadanie wyhodowanie biegusów o pewnych szczególnych cechach. – W głosie Alessana wciąż jeszcze czuć było zdenerwowanie. – Hodowla należy do perneńskiej tradycji.

–Osiem Obrotów temu? – Moreta obrzuciła Alessana przeciągłym spojrzeniem. – Jeżeli hodowałeś je od tak dawna, chyba nie może to być twój pierwszy zwycięzca?

–A jednak tak jest. Lord Leef życzył sobie, żeby moje zwierzęta miały wielką wytrzymałość w zaprzęgu na długich trasach i mało zużywały paszy.

–Mniej zwierząt, mniej paszy, a więcej pracy? – Bardzo pasowało to do starego Lorda. – I z tej hodowli wyszedł ci wyścigowy sprinter?

–W sposób niezamierzony. Ten zwycięzca pochodzi z wybrakowanej odmiany: żyłastej, wytrzymałej, ale drobnej, o cienkich kościach. Niewiele jedzą, a energii starcza im na bardzo krótki dystans. Na odległość powyżej dziewięćdziesięciu długości smoka nie nadają się. Pozwól im jednak odpocząć pół godziny, a powtórzą zwycięski bieg. I są długowieczne. To Dag zauważył ich zdolności do sprintu.

–Oczywiście nie mogłeś urządzić im wyścigów za życia twojego ojca. – Moreta zaśmiała się z tego szachrajstwa Alessana.

–Raczej nie – uśmiechnął się Alessan.

–Wyobrażam sobie, że twoja dzisiejsza wygrana będzie bardzo wysoka.

–Spodziewam się. Zbyt długo troszczyliśmy się o to nędzne stworzenie w oczekiwaniu na taką właśnie okazję.

–Moje najszczersze gratulacje, Lordzie Alessanie! – Moreta podniosła do góry swój świeżo napełniony puchar. – Za przechytrzenie Lorda Leefa i za wygranie pierwszego wyścigu na twoim pierwszym Zgromadzeniu. Nie tylko jesteś przebiegły, stanowisz zagrożenie dla amatorów wyścigów.

–Gdybym wiedział, że jesteś taką entuzjastką wyścigów, byłbym ci podszepnął...

–Ja obserwuję, ale nie gram. Czy wystawisz go do wyścigów na następnym Zgromadzeniu w Forcie?

–Biorąc pod uwagę jego talent, mógłbym wystawić go w ostatnim sprincie jeszcze dzisiaj i mieć pewność, że wygra, ale to nie byłoby w porządku. – Błysk w jego oczach pozwalał sądzić, że gdyby nie był Lordem Warowni, niczym takim by się nie krępował. – I tak większość ludzi uzna, że to tylko fuks. Wystawię go jednak na wszystkich Zgromadzeniach, na które będziemy się mogli dostać. Lubię wygrywać.

Jego otwartość zaskoczyła ją.

–Czy twój ojciec nie wiedział, w co ty się wdajesz? Wydawało mi się, że miał pod ścisłą kontrolą wszystko, co dzieje się w jego Warowni, i na całym zachodzie.

Alessan obrzucił ją przeciągłym, twardym spojrzeniem.

–A wiesz, wcale nie byłbym zaskoczony, gdyby rzeczywiście to odkrył. Dag i ja podjęliśmy różne nadzwyczajne środki ostrożności. Zdawało nam się, że zatarliśmy za sobą wszelkie ślady, że nikt nas nie nakryje. Nie uwierzyłybyś, jak daleko się posunęliśmy... ale niewykluczone, że masz rację. Stary Lord mógł wiedzieć.

–Przypuszczam, że nie wyznaczyłby cię na swojego następcę wyłącznie na podstawie twoich osiągnięć jako hodowcy. Co ty jeszcze zmalowałaś?

Alessan puścił do niej oko.

–O pani, Weyr ma prawo żądać ode mnie usług, nie tajemnic.

–Jedną z nich właśnie odkryłam. Czy mam... – Moreta przerwała, zdając sobie nagle sprawę, że R'limeak pilnie śledzi ich wesołą rozmowę. A czemu nie miałyby śmiać się na Zgromadzeniu? Spiorunowała R'limeaka wzrokiem i błękitny jeździec odwrócił oczy.

Zauważywszy zmianę jej wyrazu twarzy, Alessan rozejrzał się dookoła i zaklął półgłosem.

–Nawet na tym murze znajdujemy się na oczach całego Zgromadzenia! – powiedział kwaśno. Zaklął znowu, widząc, jak Lord Tolocamp i jego kobiety zdecydowanie zmierzają w tym kierunku.

–Na Odłamki Skorup! – powiedziała Moreta. – Nie dopuszczę, żeby paplanina i zaloty zepsuły nam wyścigi. Popatrz, równie dobrze będziemy widzieli stamtąd! – Wskazała na niewielkie wzniesienie na polu. Zebrała w garść spódnicę i zaczęła ostrożnie schodzić w dół po stosie kamieni przygotowanych do budowy. – A nie zapomnij zabrać tego bukłaka z winem.

–Uważaj, bo kark sobie skręcisz! – zawołał Alessan i pośpiesznie ruszył za nią, zanim ktokolwiek zorientował się w ich zamiarach.

Spod stóp Morety i Alessana usuwały się kamienie, ale szczęśliwie doszli do drogi, skręcili za kramy i skierowali się otwartym polem na wzniesienie. Kiedy Moreta poczuła, że jej szerokiej spódnicy czepiają się rzepty, podwinęła ją wyżej.

–Nie masz cienia przyzwoitości.

To jest Zgromadzenie, to nie jakaś przypadkowa wyprawa.

–Ale jak jesteś ubrana? – Chwycił ją za łokieć, kiedy się potknęła. – To nie jest sukienka do biegania po polach. No, jesteśmy. – Zatrzymał się gwałtownie. – Oto niczym nie skrupowany widok na start i metę. Pozwól, że napełnię twój puchar.

–Proszę bardzo.

–I czemu ja nie wiedziałem, że Władczynie Weyru tak lubi wyścigi, że porzuci dla nich frontowy dziedziniec i jego rozkosze?

–Byłam na wszystkich Zgromadzeniach w Ruacie przez ostatnie dziesięć Obrotów...

–Ale tam, na górze. – Gestem wskazał w tył, na dziedziniec.

–Oczywiście, jak mi przystało na tym stanowisku. L'mal nie lubił, kiedy włóczyłam się między boksami.

–A ja na ogół byłem właśnie tam.

–Ucząc się hodować biegusy?

–Ależ oczywiście. Miałem zadbać o ich wytrzymałość, a nie szybkość. Na Zgromadzeniach zaś pomagałem naszemu zarządcy wyścigów, Normanowi.

Moreta ponownie uniosła puchar.

–Zdrowie człowieka, który wytrwał i wygrał wyścig. Alessan uśmiechnął się, widząc jej przenikliwość. Oczy ich spotkały się. Moreta poczuła, jak rośnie jej sympatia do tego nowego Lorda Warowni, i to nie tylko z powodu ich wspólnego zainteresowania wyścigami. Miał niespodziewane pomysły, wcale nie w stylu Lordów Warowni, jeżeli porównać go z Tolocampem, Ratoshiganem czy Diatisem. Dobrze się z nim bawiła, miał wspaniałe poczucie humoru; jeżeli równie dobrze tańczył, to niewykluczone, że zatrzyma go przy sobie na cały wieczór.

Kiedy podniosła oczy, odrywając wzrok od jasnozielonego, zniewalającego spojrzenia Alessana, zobaczyła, że w powietrzu pojawiły się jeszcze dwa smoki. Potem opuściła wzrok i zaczęła podziwiać Orlith, która przycupnęła w przytulnym miejscu tuż nad głównym wejściem do Warowni, i pomyślała, jak wspaniałe złota skóra Orlith podkreśla piękno makat w oknach na piętrze. Zażenowana uświadomiła sobie, że Alessan jej się przygląda.

–Mam już takie przyzwyczajenie – powiedziała z nieśmiałym wzruszeniem ramion.

–Chyba po dwudziestu Obrotach partnerstwa...

–Czy przyzwyczałeś się już, że jesteś Lordem Warowni Ruatha?

–Jeszcze nie. Byłem tylko... – Alessan urwał, patrząc jej w twarz. – Nawet po dwudziestu Obrotach?

–Och, popatrz! Flaga na następny wyścig! – Odwróciła jego uwagę. Ktoś, kto nie był smoczym jeźdźcem, nie pojmie nigdy, jakie są to więzy. Naznaczenie było istnym cudem. Bardzo osobistym cudem.

## Rozdział II

Warownia Ruatha, Przejście bieżące, 3. 10. 43

Druga gonitwa odbywała się na dłuższym dystansie, tyczki wyznaczające metę zostały przesunięte dalej w pole i rozstawione szerzej, żeby pomieścić większą liczbę średniodystansowych biegusów.

–Czy do tego biegu też kogoś zgłosiłeś? – zapytała Moreta Alessana, kiedy biegusy runęły do przodu z Unii startu.

–Nie. Z moich krzyżówek wyszły albo szudlaste sprintery, albo masywne pociągowe zwierzęta. Jednakże jeden z moich gospodarzy ma silnego zawodnika – jego kolory to niebieski z czerwonym oblamowaniem. Chociaż i tak nie uda ci się ich rozpoznać.

Stawka zaczęła się już rozciągać, kiedy nagle jedno ze zwierząt w środku grupy upadło, a dwa inne potknęły się o nie. Moreta nigdy nie potrafiła bez niepokoju patrzeć na takie widowisko. Wstrzymując oddech, ponaglała w myśli każde ze zwierząt, żeby stanęło na nogi. Dwoje z nich podniosło się, jedno niepewnie potrząsało głową, drugie bez jeźdźca pobiegło w pole. Trzecie nie uczyniło żadnego wysiłku, żeby się podnieść.

Moreta zakasała spódnicę i pobiegła w kierunku leżącego biegusa.

–Dlaczego on upadł?

–Jest duży tłok. Potknął się. – Alessan, przejęty niepokojem Morety, dotrzymywał jej kroku.

–Nie, on się nie potknął. – Biegła dalej, chociaż widziała już, że jacyś dwaj jeźdźcy badają leżące zwierzę, a od Unii startu zbiegają się trenerzy. „Orlith, co się stało? Dlaczego on nie wstaje?” – zwróciła się w myślach do swojej smoczycy.

Podbiegłszy bliżej, Moreta zobaczyła, jak spazmatycznie podnoszą się i opadają boki zwierzęcia. Biegus nosem dotykał ziemi, ale nie czynił żadnych wysiłków, żeby się podnieść. Już samo to było niezwykle.

„Czy on sobie złamał nogę, Orlith?”

–Nie może złapać tchu – mówił jeden jeździec do drugiego. Krew mu leci z nosa.

–Pewnie mu pękła tętnica, kiedy się przewracał. Postawcie go na nogi. Pomogę wam. – Drugi jeździec zaczął ciągnąć za uzdę.

„Orlith, obudź się, jesteś mi potrzebna!”

–Powinien był wstać. Lord Alessan! Pani Moreta! – Pierwszy jeździec odwrócił się do nich z niepokojem i Moreta rozpoznała w nim Helly’ego, znanego pasterza i wyścigowca.

„On nie może oddychać – odpowiedziała sennie Orlith. Brzmiało to tak, jakby była zła, że ją zbudzono. – Ma pełno płynu w płucach.”

Moreta uklękła przy głowie zwierzęcia i dostrzegła rozszerzone spazmatycznie chrapy i krwawą wydzielinę. Poszukała pulsu na gardle: był słaby i stanowczo zbyt nierówny jak na zwierzę, które przebiegło tylko kilka długości smoka, zanim upadło.

Naokoło niej ludzie pokrzykiwali, że biegusa trzeba podnieść na nogi. Kilku z nich ustawiło się, żeby go podźwignąć. Moreta odsunęła ich zdecydowanie.

–On nie może oddychać. Powietrze nie dostaje się do jego płuc.

–Rozciąć mu tchawicę. Kto ma ostry nóż?

–Już za późno – powiedziała Moreta, odwijając górną wargę zwierzęcia i odsłaniając jego zbielałe dziąsła.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że zwierzę umiera. Od strony mety dolatywały odgłosy wiwatów. Zwierzę westchnęło po raz ostatni, jakby przepraszająco, i głowa opadła mu na bok.

–Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego – odezwał się drugi jeździec. – A jeżdżę, odkąd potrafiłem zaciągnąć popręg.

–To ty na nim jechałeś, Helly? – zapytał Alessan.

–Tak, poprosił mnie o to Yander, kiedy zachorował mu dżokej. Nigdy na nim wcześniej nie jeździłem. Był bardzo spokojny. – Helly zastanowił się chwilę. – Chyba nawet zbyt spokojny. Dobrze wystartował, chętnie pobiegł. – W tonie Helly’ego mieszały się rozpacz, gniew i zaskoczenie.

–Może to serce – podsunął jeden z przyglądających się tonem człowieka o wielkim doświadczeniu. – Zapadają na to nagle. Nie ma jak się rozeznaczyć. W jednej chwili biegus jest w doskonałym humorze, a w następnej nie żyje. Ludzie też tak kończą.

„Nie z taką krwawą wydzieliną z nosa” – pomyślała Moreta.

–Słuchajcie no! – zawołał jakiś donośny głos. – Co się tu dzieje? Czemu to zwierzę... O, Lord Alessan. Nie wiedziałem, że pan tu jest! – Zarządca wyścigów przepchnął się przez krąg ludzi. – Nie żyje? Przepraszam, Lordzie Alessanie, ale musimy uprzątnąć bieżnię przed następnym wyścigiem.

Alessan wziął wstrząśniętego Helly’ego pod rękę. Moreta stanęła po jego drugiej stronie i poprowadzili go drogą poprzez rozstępujący się tłum.

Nie rozumiem. Nic nie rozumiem – szeptał wstrząśnięty Helly.

Moreta uświadomiła sobie, że wciąż jeszcze trzyma w ręce pucharek. Wyciągnęła go w kierunku Alessana, który szybko zsunął z ramienia bukłak z winem i napełnił czarkę. Moreta podała ją Helly’emu. Dżokej opróżnił ją jednym haustem.

–Helly, co się stało? Czy mu się nogi poplątały? Krępy mężczyzna, ubrany w barwy Ruathy, zatoczył się, wychodząc im naprzeciw. Próbując przytrzymać mokry okład na czole, usiłował równocześnie ukłonić się Alessanowi i Morecie. I znowu się zachwiał.

–Helly, co się stało? Och, na Skorupy! – To ostatnie dodał półgłosem, kiedy z turkotem mijał ich wóz, odwożący nieżywe zwierzę z toru.

–Yander, co ci jest? – zapytał Helly. Podał swój puchar Morecie i podszedł do półprzytomnego gospodarza. Podtrzymał Yandera i ruszyli w ślad za wozem.

Moreta z Alessanem u boku przyglądała się, jak podekscytowany wyścigami tłum zamyka się za tym smutnym pochodem. Obladowani jedzeniem, derkami i wiadrami wody ludzie żywo ruszyli w kierunku szeregu boksów. Odgłos rozmów zagłuszane były chwilami kwikiem podnieconych biegusów.

–Nie mogę sobie przypomnieć żadnej choroby układu oddechowego, której wynikiem byłyby tak szybka śmierć – powiedziała Moreta.

–Byłem przekonany, że to zwierzę jest tylko oszołomione upadkiem i zaraz się podniesie – zauważył Alessan. – Skąd wiedziałaś tak szybko, co mu dolega?

–Moja rodzina zawsze hodowała biegusy – wyjaśniła pospiesznie Moreta, ponieważ fakt jej współpracy z Orlith przy uzdrawianiu nie był znany poza Weyrami.

–Dużo na tym skorzystałaś. A mnie się wydawało, że też już coś niecoś wiem o biegusach.

–Jeżeli przez dobór biegusów pod względem wytrzymałości udało ci się wyhodować tego sprintera, to coś niecoś wiesz.

Właśnie w tej chwili mijały ich dwa biegusy, sądząc po ich wyglądzie, długodystansowce, i Moreta odprowadziła je wzrokiem, aż wmieszały się w tłum.

–Nic im nie dolega, prawda?

–Och, nie. Wyglądają bardzo dobrze. Nie znać nawet na nich zdenerwowania.

–Czy przyszło ci na myśl, że biegus Yandera padł od jakiejś choroby?

–Owszem – przytaknęła Moreta – ale to wielce nieprawdopodobne. Helly mówił, że ten biegus chciał się ścigać. Chory biegus nie okazywałby takiej ochoty. Może rzeczywiście było to serce?

Alessan zmarszczył brwi, powoli odwrócił się na pięcie i rzucił okiem na szeregi biegusów w boksach.

–To miał być fuks. Znam Yandera. Jego gospodarstwo leży o dobry dzień drogi na południe. Wiązał z tym biegusem wielkie nadzieje. – Alessan westchnął. – Możemy przyjrzeć się pozostałym biegusom, trenowanym w jego stajni. Są gdzieś w tamtych boksach. – Alessan wziął Moretę pod rękę i prowadził ją na prawo.

„Jeżeli to zwierzę było w dobrej formie – pomyślała Moreta – to jak mogły mu się tak szybko wypełnić płuca?” Zastanawiała się, czy nie zapytać Orlith, ale wyczuła, że królowa znowu zasnęła. Dla smoka biegusy nie były takie ważne, jak dla jeźdźca.

Alessan przyciągnął ją nagle do siebie, kiedy jakieś długonogie zwierzę, podrzucając zadem, przemknęło obok nich; oczy miało nieprzytomne z radosnego podniecenia przed biegiem, a jego jeździec z trudem trzymał się na siodle. Obok kłusowało dwóch trenerów, trzymając się z daleka od kopyt biegusa. Moreta przyglądała im się, jak jechali na linię startu.

–No i co? – usłyszała tuż przy uchu głos Alessana. Uświadomiła sobie nagle, że Alessan wciąż jeszcze opiekuńczo obejmuje ją ramieniem.

–Ten biegus w żadnym wypadku nie wygląda na chorego. Odsunęła się od niego.

–A oto boksy Yandera. – Alessan przeliczył je. – O ile pamiętam, zgłosił siedem biegusów. Czy nie mówiłaś, że jesteś z Keroonu? To jest biegus, którego zeszłego Obrotu kupił w Keroonie.

Moreta roześmiała się i pozwoliła biegusowi obwąchać swoją dłoń. Gładziła go po głowie, aż zaakceptował jej dotyk, a potem pomacała jego ciepłe ucho, szukając piętna hodowcy.

–Nie, nie pochodzi z gospodarstwa mojej rodziny.

– Są w dobrej formie – zauważył Alessan. – Vander przybył tutaj przed dwoma dniami, żeby dać im dobrze odpocząć przed wyścigami. Zamienię z nim parę słów później. Czy wracamy na wyścigi... Na Skorupy! – Okrzyki i poruszenie wśród tłumu wskazywało, że rozpoczęła się następny bieg. – No i straciłaś jedną gonitwę.

– Oglądam wyścigi, ponieważ dużo bardziej przystoi to Władczyni Weyru, niż płatanie się między boksami. A to by mi dużo bardziej odpowiadało. Skoro już tutaj jesteśmy, czy mogłabym zobaczyć twojego zwycięzcę? Chyba że tylko poczucie obowiązku wobec gościa powstrzymało cię przed tym, żeby do niego zajrzeć.

Alessan chętnie przystał na jej propozycję. Właśnie wskazywał ręką kierunek, kiedy, uśmiechając się od ucha do ucha, podszedł do nich niski mężczyzna o szerokiej piersi, silnych rękach i szczupłych nogach jeźdźca.

– Lordzie Alessanie, czy szukałeś może Kwiczka?

– Właśnie tak, Dagu. Dobrze się spisałeś! – Alessan potrząsnął ręką Daga i klepnął go po ramieniu. – Wspaniały bieg. Idealny!

Dag skłonił się sztywno przed Moretą.

– Muszę pogratulować ci zwycięzcy – powiedziała Moreta. A potem, nie mogąc się powstrzymać, dodała: – Nie wielu ludzi potrafiło przechytrzyć Lorda Leefa.

Na twarzy Daga pojawiła się konsternacja. – Pani Moreto, ja nigdy bym... ja wcale... Alessan roześmiał się i klepnął Daga w ramię.

– Pani Moreta wychowała się w gospodarstwie, gdzie hodowano biegusy. Pochwała to, co uczyniliśmy.

– Gdzie jest ten twój Kwiczek, Dagu? Bardzo chciałabym go zobaczyć z bliska po takim sukcesie.

– Tędy, pani. Tylko że z tak bliska nie bardzo jest na co patrzeć – zaczął Dag tonem, właściwym wszystkim trenerom. Proszę na prawo, jeśli państwo tak łaskawi. Spacerowałem z nim, aż ochłodził, i umyłem go letnią wodą. Wcale się nie zmęczył. Ten ogier mógłby powtórzyć bieg... – Tu Dag ugryzł się w języki rzucił spłoszone spojrzenie na Lorda Warowni i Władczynię Weyru.

– Ogier? – zapytała Moreta.

– Tak. Jest taki chudy, że zawsze udawało mi się przekonać mistrza pasterzy, że jest za młody, żeby go trzebić, albo zbyt chorowity, i powinniśmy jeszcze troszkę zaczekać. A potem przechodziłem się z nim na inne pole.

– Obrót za Obrotem?

– Kwiczek nie ma żadnych wyróżniających go cech, które mogłyby człowiekowi utkwąć w pamięci – powiedział Alessan. Oto i on.

Moreta stanęła twarzą w twarz z kościstym, brązowym biegusem o cienkich nogach i wielkich kolanach, stojącym samotnie przy końcu pustawego boksu. Kiedy zastanawiała się, co by tu powiedzieć pochlebnego o tym zwierzaku, w oczy rzucił jej się długi szereg pustych bokсів.

– Ma ładne oczy – powiedziała wreszcie. – Dobrze rozmieszczone.

Kwiczek, jak gdyby wiedząc, że to o nim mowa, odwrócił głowę i przyglądał się jej.

– Takie inteligentne. Spokojne.

Jak gdyby zgadzając się z tym, co mówiła, Kwiczek skinął łbem i wszyscy troje się roześmieli.

– Zdaję sobie sprawę, że niewiele dobrego da się o Kwiczku powiedzieć – odezwał się Alessan, zwalniając ją z obowiązku dalszych komentarzy. Klepnął z sympatią biegusa po karku.

– Kwiczek wygrał swój pierwszy bieg, Lordzie Alessanie. Wystarczy tyle o nim powiedzieć. Oby wygrywał ich jeszcze wiele. Jednakże – dodała Moreta chytrze – nie wszystkie tego samego dnia.

Dag jęknął i odwrócił się zawstydzony.

–Lordzie Alessanie, czy spodziewałeś się, że będzie więcej zgłoszeń? – zapytała Moreta wskazując niewykorzystane boksy.

–Myśleliśmy, że zjedzie się cała kupa ludzi, przecież ostatnio była wspaniała pogoda, a po drodze pełno jest gospodarstw, gdzie pędzone zwierzęta mogą znaleźć schronienie. Spodziewałem się, że Lord Ratoshigan przyśle swojego sprintera – tego, którym zwyciężał przez cały sezon. Przechwalali się na ich Zgromadzeniu...

–Wcale się tym nie martwię, że Kwiczek nie musiał stawać przeciw najlepszym na zachodzie biegusom, może to nieobecność Ratoshigana zapewniła mu zwycięstwo.

–Nic podobnego... – Dag zaprotestował porywczo i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że się z nim drocą. – Kwiczek już ostygł. Zabiorę go z powrotem na górę, do pomieszczeń dla zwierząt.

–Gdzie pójdziemy, na start czy na metę? – Alessan zapytał Moretę.

–Może uda nam się dostać na metę.

Poszli obejrzeć finisz. Droga wiodła pomiędzy boksami, z czego Moreta była bardzo zadowolona.

–Ciekaw jestem, czemu nie przyjechał Ratoshigan.

–Jego nieobecność to dla nas dobrodziejstwo. – Moreta nie próbowała ukryć rozdrażnienia w swoim głosie.

–Być może, ale z chęcią wystawiłbym Kwiczka przeciw jego sprinterowi.

–Żeby mieć satysfakcję pokonania Ratoshigana? No, to pochwalam.

–Południowy Boli jest pod opieką Weyr Fortu, prawda?

–To nie znaczy, że muszę go lubić.

–A chciałaś pić to kwaśne wino, które robi Lord Diatis. Moreta już otwierała usta, żeby mu odpowiedzieć, kiedy nagle została oblana wodą. Kwieciste przekleństwa rozłoszczonego Lorda Alessana świadczyły o tym, że i on nie uniknął pomyj. „Kto cię zdenerwował?” Orlith zareagowała bezzwłocznie, a Morecie, która stała z zamkniętymi oczami, żeby nie wpadała do nich ściekająca z włosów woda, potrzebne było to moralne wsparcie.

–Jestem mokra, nic więcej! – poinformowała spokojnym głosem swoją królową.

„Na słońcu jest ciepło. Szybko wyschniesz” – odparła Orlith.

–Mokra, nic więcej? – ryknął Alessan. – Jesteś przemoczona do suchej nitki

Trener, który poniewczasie odkrył, że chlusnął wiadrem brudnej wody na Władczynię Weyru i Lorda Warowni – po prawdzie nie powinni byli przechadzać się między boksami, kiedy wszyscy przyglądali się wyścigowi – zaproponował Morecie ręcznik, ale tej szmaty używano już do wielu celów i tylko pogorszyło to sprawę. Alessan kazał, żeby przyniesiono mu czystą wodę i świeże ubranie do jakiegoś pustego namiotu.

Każdy, kto nie był zajęty rozpoczynającym się wyścigiem, przyglądał im się z zaciekawieniem. Na rozkaz Alessana ludzie zaczęli biegać tu i tam, a Moreta stała w swojej ślicznej, brązowo-złotej sukni przylepionej do ciała. Usiłowała dodać otuchy trenerowi, który gotów był ze wstydu zapaść się pod ziemię, mówiąc mu, że wcale się nie gniewa, ale jedno wiedziała, że ma popsute całe popołudnie, na które tak się cieszyła. Równie dobrze może już teraz zawezwać Orlith i wrócić do Weyru. Czy się jednak nie przeziębi lecąc w tej mokrej szmacie, w jaką zmieniła się jej wieczorowa suknia?

–Wiem, że do innych rzeczy jesteś przyzwyczajona, Moreto powiedział Alessan, ciągnąc ją za rękaw, żeby zwróciła na niego uwagę. – Ale jest czysta i sucha. Możesz w niej oglądać resztę wyścigów. Nie jestem pewien, czy damy mojej matki i moje siostry zdołają wyczyścić i wysuszyć twoją suknię i opończyć przed wieczorem, wiem jednak, że po wyścigach przygotowują ci w Warowni odpowiednie suknie.

Alessan wyciągał w jej stronę ręce. W jednej trzymał czystą, prostą brązową sukienkę, a w drugiej sandały i ładny pasek



pleciony z kolorowych sznurków. Gestem wskazywał na pobliski pasiasty namiot zarządcy wyścigów. Trener już podbiegał z wiadrem czystej, parującej wody i pękiem czystych ręczników przewieszonych przez ramię.

–No, Moreto, pozwól nam wszystko naprawić. – Cicho wypowiedziana prośba i bardzo naturalne zatroskanie, wyraźnie widoczne w oczach Alessana, poruszyłyby każdego.

–A co z tobą, Alessanie? – zapytała uprzejmie, zakasując mokrą spódnicę, żeby dojść do namiotu. Wspaniały, wieczorowy strój Alessana był przemoczony po prawej stronie.

–Mam wrażenie, że to ty przyjęłaś na siebie całą siłę uderzenia. Ja wyschnę na słońcu. Kiedy pójdziemy przyjrzeć się wyścigom?

–Za chwilę.

Wzięła świeże ubranie i pozwoliła trenerowi umieścić wiadro i ręczniki w namiocie; potem weszła i spuściła klapę.

Ponieważ koszulkę miała również mokrą, była zadowolona, że sukienka utkana została z gęstego materiału. We włosach czuła piasek, gdyż tej brudnej wody użyto przedtem do obmycia zakurzonych nóg biegusa. Zanurzyła szybko głowę w czystej wodzie, umyła dokładnie twarz i ręce, zużywając całe mnóstwo dostarczonych płócien. Już ubrana wyszła z namiotu akurat w chwili, kiedy wiwaty oznajmiły koniec czwartej gonitwy.

–Teraz skłonny jestem uwierzyć, że naprawdę byłaś kiedyś gospodarską córką – powiedział Alessan z cichym śmiechem. Podał jej pełen puchar wina.

Trener zbliżył się cały w ukłonach, tak przepraszając i niemal padając do nóg, że Moreta przerwała mu mówiąc, że z boksów wylatują niekiedy gorsze rzeczy i że jest wdzięczna, iż była to tylko brudna woda. Alessan poprowadził ją w kierunku mety.

–Ten ostatni bieg to był sprint, mieli zaledwie pięć zgłoszeń wyjaśnił po drodze.

–A Kwiczek nie był zgłoszony? – Zaśmiała się, kiedy Alessan, naśladując Daga, rzucił jej zażenowane spojrzenie.

Następne podniecające gonitwy pozwoliły jej zapomnieć o tragedii z drugiego biegu. Oboje z Alessanem, który w pomiętym i brudnym ubraniu znacznie mniej wyglądał na Lorda, znaleźli sobie punkt obserwacyjny niedaleko mety, gdzie siedzieli popijając wino. Zakładali się ze sobą, kto wygra, bo Moreta nie zezwoliła Alessanowi iść do bukmachera. Cieszyła się, że jest w samym środku tłumu amatorów wyścigów, podobnie jak to się jej często zdarzało za młodu w Keroonie, w towarzystwie Talpana, przyjaciela z lat dziecińczych. Już przez całe Obroty o nim nie myślała.

Jakiś przedsiębiorczy piekarz przedierał się przez tłum z tacą gorących, pikantnych bułeczek. Dopiero teraz Moreta poczuła jak bardzo jest głodna.

–Dzisiaj ja zapraszam – powiedział Alessan, odgadując jej myśli. Wziął ją pod rękę i razem przepchnęli się do piekarza.

Puszyste ciasto miało jakieś smakowite nadzienie i Moreta błyskawicznie pochłonęła trzy bułki.

–Czy oni wam w Weyrze nie dają nic do jedzenia w dni Zgromadzeń? – zapytał Alessan.

–W Jaskini zawsze stoi na ogniu garnek z gulaszem – odparła Moreta, oblizując palce. – Teraz jednak nic by mi tak nie smakowało jak te pikantne bułki.

Alessan przyglądał jej się z dziwnym wyrazem twarzy.

–Nie jesteś podobna do tej Władczynie Weyru, jakiej się spodziewałem, Moreto – powiedział poważnym głosem, który natychmiast przykuł jej uwagę. Ciekawe, co też Sh’gall o niej naopowiadał. Alessan ciągnął dalej: – Leri znam dosyć dobrze. Zwykle zatrzymuje się tutaj, żeby zamienić parę słów z naziełnymi drużynami...

–Też bym to robiła, gdybym tylko mogła – powiedziała Moreta. – Jednak po Opadzie muszę natychmiast wracać do Weyru.

–Musisz? – Alessan wysoko unióśł jedną brew.

–Czy nigdy nie zastanawiałaś się, kto opatruje smokom rany? – odezwała się ostrzej, niż zamierzała, bo przypomniała

sobie, że za dwa dni będą musieli wyprawić się na Nici i znowu jakieś smoki mogą odnieść obrażenia.

–Sądziłem, że w Weyrze muszą oczywiście znajdować się najlepsi z uzdrowicieli. – Odpowiedź Alessana była tak rzeczowa, że Moreta pożałowała swojej gniewliwej riposty. Położyła mu dłoń na rękę, chcąc, żeby powrócił poprzedni swobodny nastrój.

–Nigdy nie pomyślałem, że to możesz być ty. – Uśmiechnął się i nakrył jej dłoń swoją. – Może jeszcze jedną bułeczkę, zanim ktoś inny je zje?

–Lordzie Alessanie... – Dag podszedł do nich rozkołysanym krokiem. – Runel ciągle gada, że Kwiczek się wyrodził. Powiedziałem mu, od kogo pochodzi, ale nie chce przyjąć tego do wiadomości.

Alessan spochmurniał i przymknął na moment oczy.

–Miałem nadzieję, że na tym Zgromadzeniu uda mi się uniknąć Runela.

–Całkiem dobrze ci poszło, panie, ze wszystkimi innymi, ale tego za ciebie nie mogę zrobić.

Alessan westchnął z rezygnacją.

–Kto to jest ten Runel? – zapytała Moreta. Obydwaj mężczyźni popatrzyli na nią ze zdumieniem.

–Czy to znaczy, że do dziś udawało ci się unikać Runela? No cóż, przynajmniej raz musisz go spotkać.

Dag próbował protestować, ale Alessan mu przypomniał:

–Zaraz ma się zacząć gonitwa. Władczyni Weyru, jedynie to wydarzenie, poza Opadem, może powstrzymać deklamacje Runela.

Teraz Moreta poczuła się zaintrygowana.

–Oto on i jego serdeczni druhowie – wskazał palcem Dag. Moreta zauważyła trzech mężczyzn, stojących w pewnej odległości od kłębiącego się tłumu. Dwóch z nich było gospodarzami, jeden z Fortu, a drugi z Ruathy; trzecim był zasuszony pastuch, którego ubranie, mimo że porządnie oczyszczone, wydierało silny zapach związany z jego rzemiosłem. Najwyższy z mężczyzn, ten ruathański gospodarz, wyprostował się dumnie, zauważywszy zbliżającego się Alessana. Na Moretę rzucił tylko przelotne spojrzenie.

–Jak chodzi o tego mojego sprintera, Runelu – zaczął energicznie Alessan, zwracając się do pasterza – to sam go wyhodowałem. Urodził się cztery obroty temu z klaczy sprinterki Dextry Lorda Leefa i Evesta, brązowego ogiera Yandera.

Runel odrzucił do tyłu głowę i nieobecny wzrokiem wpatrzony w przestrzeń zaczął recytować:

–Sprinter Alessana, Kwiczek, wygrał swoją pierwszą gonitwę, sprint, na Zgromadzeniu w Ruacie trzeciego miesiąca, czterdziestego trzeciego Obrotu, szóstego Przejscia. Wyhodowany przez Alessana z Dextry Leefa, pięciokrotnie zwyciężczyni w sprintach na zachodzie, i Evesta Yandera, który był dziewięciokrotnym zwycięzcą na takim dystansie. Dextra po Dimnalu z Tranu, dziesiętnastokrotnym zwycięzcy. Dimnal po Fairexie z Cricka, Fairex...

–Zaczął się – powiedział półgłosem Dag do Morety, potrząsając ponuro głową.

–Długo tak może mówić?

–Bardzo długo. Będzie deklamował rodowód Kwiczka wstecz, aż do samej Przeprawy – mruknął Alessan stojąc z założonymi rękoma i uprzejmie przysłuchując się monologowi Runela.

–On zna się tylko na zachodnich wyścigach – stwierdził Dag krytycznie.

–Jest ejdetykiem? Słyszałam o takich ludziach, ale nigdy nie zdarzyło mi się ich spotkać.

–Wystarczy podać mu imię jakiegoś zwierzęcia i już zaczyna. Problem w tym, że musi zawsze zacząć od początku.

–Czyż nie zaczął od dzisiejszej wygranej Kwiczka? Runel śpiewnym głosem wyliczał zwycięzców, ich ojców i matki.

–Ten ostatni wyścig to właśnie dla niego początek, pani Moreto.

–Czy ona zjawia się na wszystkich Zgromadzeniach?

–Kiedy tylko może. – Dag rzucił okiem na Alessana.

„Zdziwiłabym się, gdyby Lord Warowni wiedział choćby o połowie tych wyścigów, na które uczęszcza Runel – pomyślała Moreta.

–Do niczego się więcej nie nadaje – powiedział Alessan.

–Na śmierć mógłby zanudzić – mruknął Dag, oglądając się przez ramię na płac wyścigów. – Zaczyna się! – stwierdził z ulgą.  
– Wyścig! – zawołał głośno do Runela.

Towarzysze Runela zaczęli go szarpać za ręce.

–Wyścig, Runelu! Wyścig się zaczyna!

Runel wyszedł z deklamatorskiego transu i rozejrzał się dookoła ze zdumieniem.

–Wyścig się zaczyna, Runelu – powiedział gospodarz z Fortu uspokajająco i poprowadził ejdetyka w kierunku linii mety.

Kiedy oddalali się, Alessan odciągnął Moretę na stronę, a Dag popędził za Lordem Warowni.

–Czy taki człowiek nie przydałby się bardziej w Siedzibie Harfiarzy, niż w warowni?

–Mój ojciec miał na tyle rozumu, że do tego nie dopuścił.

–Dlaczego? Przy jego pamięci...

–Ponieważ jeden z jego przodków był tutaj harfiarzem i czasem zapamiętywał więcej niż należało. – Alessan złośliwie się uśmiechnął. – Wydaje mi się, że to mój dziadek dopilnował, żeby ukierunkować jego cechę na dziedzinę... powiedzmy... mniej dochodową. W Siedzibie Harfiarzy zawsze byli jacyś jego krewni, którzy pilnie badali pergaminy i zapamiętywali je, zanim atrament całkowicie wyblakł.

Znaleźli sobie miejsce przy mecie i przyglądali się zawziętej rywalizacji podczas szóstej gonitwy. Kiedy czekali na następny bieg, dochodziły do nich strzępy rozmów. Komentarze na temat nowego Lorda Warowni i obecnego Zgromadzenia przeważnie były bardzo pochlebne. Większość rozmów dotyczyła jednak pogody.

–Za ciepło jak na tę porę. Roztopimy się tego lata.

–Wolę taką pogodę zamiast deszczu i zawiei, ale nie jest to normalne. Przewraca porządek Obrotu do góry nogami.

–W tym ciepłe nad stadami kłębią się owady i gryzione przez nie zwierzęta zbijają się w kupę i nie chcą się ruszać. Bardzo cierpią.

–Przydałoby się trochę mrozu. Bez niego węże tunelowe rozmnażają się jak szalone.

–Nie mogę się zdecydować, czy już teraz ostrzyć owce, czy pozwolić im, żeby się grzały w zimowej szacie.

–Potrzeba też trochę śniegu, żeby wyginęło robactwo w ziemi, które niszczy nasze zasiewy.

–Powinieneś być wdzięczny, Alessanie, że nie narzekają na nic poza pogodą. Przecież żaden z gospodarzy nie spodziewa się po swoim Lordzie Warowni, żeby umiał zmieniać pogodę.

Końcowy bieg miał niespodziewany finisz. Dwa biegusy nos w nos przekroczyły linię mety. Klótnia o to, które z tych zwierząt zwyciężyło, stała się tak gorąca, że Alessan wystąpił do przodu jako mediator, pociągając Moretę za sobą. Żeby rozwiązać sytuację, która mogła przybrać zły obrót, Alessan głośno oznajmił, że podwaja nagrodę, aby żaden z rywali, którzy dostarczyli tak pasjonującego przeżycia całemu Zgromadzeniu, nie poczuł się rozczarowany.

Była to bardzo trafna decyzja. Właściciele, jeźdźcy, trenerzy i widzowie rozeszli się w jak najlepszym nastroju.

– Jesteś rozsądnym i szczodrym człowiekiem, Alessanie.

– Dziękuję ci, pani Moreto. A, w samą porę – powiedział.

Moreta odwróciła się i zobaczyła, że jakiś trener podprowadza grubokościstego biegusa o długim grzbiecie, pokrytego derką w kolorach Ruathy. – Pani, twój wierzchowiec.

– Czy tego właśnie oczekiwał twój ojciec po tej hodowli?

– Takie właśnie zwierzęta wyhodowałem dla niego – odparł Alessan z szerokim uśmiechem. Podsadził ją, zaczekał, aż przetrzuci nogę przez kulę u siodła, a potem dosiadł swego biegusa.

– Chyba wolę twojego Kwiczka – powiedziała, kiedy zwierzę zakolysało się i ruszyło ponaglone przez Alessana.

– Przemawia przez ciebie entuzjastka wyścigów, a nie rozważny gospodarz.

Kiedy odjeżdżali przez rżysko, Alessan spojrział w bok, zapewne znów starając się rozwikłać zagadkę pustych boksów.

– To niepodobne do Ratoshigana, żeby przepuścić taką okazję. – Powinien był przyjechać też Soover – znasz go z Południowego Bollu – przeszkodzić mógł mu tylko Opad, ogień lub mgła. Nie zdawałem sobie sprawy, że pogoda ma aż tak wielkie znaczenie.

– Jednakże nie brak ludzi na tym Zgromadzeniu – powiedziała Moreta.

Przy kramach wciąż było wielu kupujących, chociaż wyścigi przyciągnęły taki tłum.

Ludzie zaczęli już zajmować miejsca przy stołach wokół placu tanecznego. Aromat pieczonego niósł się kusząco z wiatrem, dominował zapach pikantnych intrusiów.

Alessan skierował swego wierzchowca na drogę. Moreta rzuciła okiem na wzgórza ogniowe, pokryte wygrzewającymi się na słońcu smokami. Zauważyła u boku Orlich jeszcze jedną królową. Sądząc po wielkości i kolorze, była to Tamianth z Dalekich Rubieży.

– Niektóre stworzenia lubią słońce i ciepło – powiedział Alessan. – Czy takie wygrzewanie się pomaga im znosić zimno „pomiędzy”?

Moreta mimowolnie zadygotała i Alessan objął ją mocniej.

– Kiedy się wyprawiamy na Nici, wdzięczna jestem za chłód przestworzy – odpowiedziała wymijająco, myśląc o Opadzie za dwa dni.

Alessan skierował zwierzę w górę nasypu, prowadzącego na frontowy dziedziniec; ciężkie kopyta biegusa głucho załomotały, uprzedzając zebranych tam gości. Moreta wesoło pomachała ręką Faldze, Władczyni Weyru Dalekich Rubieży.

– Czy twoja nowa suknia nie była gotowa, Moreto? – zapytała Falga podchodząc, żeby się z nimi przywitać.

– Nowa suknia? – szepnął zaskoczony Alessan.

– Pokażę się w niej na następnym Zgromadzeniu, Falgo odparła Moreta pogodnie. – To jest moja suknia na wyścigi.

– Ciągłe myślisz tylko o tych wyścigach! – Falga uśmiechnęła się wyrozumiale i odwróciła się znów do gospodarzy, z którymi rozmawiała.

Nagle pojawił się Tolocamp. Choć uśmiechał się jowialnie, z dezaprobatą spoglądał na zakurzoną suknię Morety.

– Zsiądę sama, Lordzie Tolocampie – powiedziała, nie chcąc skorzystać z jego pomocy.

– Proszę tędy, pani Moreto – odezwała się pani Oma, przeciskając się przez ciżbę ludzi i biorąc ją pod swoją opiekę.

Moreta ruszyła za matką Alessana, wdzięczna jej, że może usunąć się z zasięgu krytycznego Lorda Tolocampa. Natychmiast jednak uświadomiła sobie, że pani Oma jest do niej równie nieprzychylnie ustosunkowana jak Lord Tolocamp, ponieważ Moreta pokrzyżowała jej plany na popołudnie. Kiedy szły przez wielką salę, wspaniale udekorowaną z okazji

Zgromadzenia, a następnie w górę po schodach do prywatnych apartamentów Warowni, pani Oma milczeniem dawała odczuć Morecie swe niezadowolenie. W pokoju pani Omy przygotowano już różnorodne suknie, spódnice i tuniki, a z łazienki napływał wilgotny zapach pachnącej kąpeli i słychać było chichoty dziewcząt, które ją przygotowywały.

–Twoja suknia została oczyszczona, pani Moreto – powiedziała pani Oma, zamykając za Moretą drzwi. – Wątpię jednak, czy wyschnie na tańce. – Zmierzyła Moretę wzrokiem. – Jesteś szczuplejsza, niż myślałam. Może ta ruda... – Wskazała ręką szatę, ale natychmiast z dezaprobatą pokręciła głową. – Nie, ta zielona jest bardziej odpowiednia dla twojej rangi.

Moreta podeszła do rudej sukni i wzięła ją w palce, badając splot miękkiego materiału. Przyłożyła ją do siebie. Szerokość dobra, ale spódnica nie sięgała kostek. Rzuciła okiem na wspaniałą zieloną suknię. Jeżeli będzie tańczyć tak jak miała zamiar, żeby powetować sobie utraconą część wyścigów, bardzo się w niej spoci.

–Ta ruda będzie dobra. Jestem wdzięczna za jej pożyczenie. Uśmiechnęła się do kobiet, próbując zorientować się, której z nich to zawdzięcza, ale wszystkie miały opuszczone oczy. – Będzie wspaniała. Uśmiechnęła się znowu i weszła do łazienki, zaciągając za sobą zasłonę.

Leniuchowała w ciepłej, wonnej wodzie dłużej, niż zamierzała, rozluźniając mięśnie zeszywniałe po pasjonujących przeżyciach popołudnia. Kiedy w końcu wyszła z wody i wycierała do sucha włosy, usłyszała w pokoju jakiś hałas i zdała sobie sprawę, że ktoś na nią czeka.

–Pani Oma? – zawołała, lękając się odpowiedzi.

–Nie, to ja, Oklina – odparł przepraszająco jakiś młody głos. – Czy znalazłaś koszulkę?

–Mam ją już na sobie.

–Czy nie trzeba ci pomóc przy układaniu włosów?

–Są tak krótkie, że szybko wyschną.

–Ach tak.

Moreta uśmiechnęła się, słysząc smutek w jej głosie.

–Jestem samowystarczalna, pani Oklino – powiedziała, wciągając przez głowę rudą sukienkę – ale nie poradzę sobie z zapięciem na plecach – Odciągnęła zasłonkę i Oklina natychmiast do niej podbiegła.

Miedzy Oklina a jej bratem istniało wyraźne podobieństwo, ale dziewczyna nie była wcale podobna do pani Omy. Smągła cera, którą tak podziwiała u Alessana, nie dodawała dziewczynie urody, jednakże jej twarz była subtelna, a ruchy wdzięczne, co samo w sobie miało już urok. Moreta z zazdrością patrzyła, jak grube, czarne warkocze dziewczyny lśnią w jasno oświetlonym pokoju.

–Bardzo mi przykro, że to tylko ja, pani Moreto, ale już czas podawać pieczyste, a przy tylu gościach... – Oklina zaczęła zręcznie sznurować z tyłu stanik Morety.

–Gdybym dobrze patrzyła, gdzie idę...

–Och, Marl omal się pod ziemię zapadł ze wstydu, że oblał panią pomyjami, pani Moreto. Przyleciał tu pędem z twoją suknią, martwiąc się, że mogą zostać plamy. Musiałaś być wściekła, że zniszczono ci nową suknię, zanim zdążyłaś się pokazać czy zatańczyć w niej. – Z głosu Okliny przebijała groza, co było całkiem zrozumiałe, ponieważ sama nosiła sukienki po starszych siostrach.

–Jeszcze lepiej będzie mi się tańczyło w tym. – Moreta na próbę zakręciła rudą spódnicą.

–Alessan powiedział, że musimy cię skusić wystarczająco ładną sukienką, żebyś tylko została na tańce.

–Tak?

–Och! – Oklina natychmiast zdała sobie sprawę z tego, jaką popełniła niedyskrecję. Zamrugła powiekami, żeby pohamować napływające do oczu łzy. – On ani raz nie był na Zgromadzeniu, nie tańczył od czasu, kiedy umarła Suriana. Nawet gdy został Lordem Warowni. Powiedz mi, czy cieszył się, kiedy Kwiczek wygrał?

–Był zachwycony! – Moreta uśmiechnęła się widząc, jak Oklina uwielbia swojego brata. – Kwiczek zwyciężył o pięć długości.

–I naprawdę się uśmiechał? Dobrze się bawił? – Gdy Moreta przytaknęła, w jej w oczach zabłyśły łzy. – Widziałam start i słyszałam wrzaski. Założę się, że najgłośniej krzyczał Alessan. A czy widziałaś potem Kwiczkę? I spotkałaś Daga? Dag nigdy nie oddala się zbyt od tego biegusa. Jest bardzo oddany Alessanowi i tak dużo wie o wyścigach, bo jeździł w młodości dla Lorda Leefa. Zawsze potrafi wskazać zwycięzców. Miał zaufanie do tej hodowli rozplodowej Alessana, kiedy wszyscy inni uznali, że powinien zrezygnować z tego, zanim Lord Leef... – Oklina urwała. – Za dużo mówię.

–Słuchałam cię z ciekawością. – Nie pierwszy raz Moreta stykała się z takim potokiem tłumionych uczuć. – Myślę, że Kwiczek wynagrodzi Alessanowi i Dagowi wysiłek, jaki w niego włożyli.

–Naprawdę tak myślisz?! – wykrzyknęła z zachwytem Oklina. – Słyszysz, właśnie zaczęli grać harfiarze.

–No to chodźmy tańczyć. Czas, żebyśmy się zaczęły bawić. Przez moment wyglądało na to, że Oklina nie jest pewna, czy nie zabronią jej się bawić. Młodszy członkowie rodzin w Warowniach często obarczani byli uciążliwymi obowiązkami, związanymi ze Zgromadzeniem, ale Moreta uparła się, że Oklina też musi potańczyć.

Korytarze i Wielka Sala były puste, ale kiedy pospiesznie przechodziły przez frontowy dziedziniec, jakiś sługa otwierał właśnie porozmieszczane tam koszyczki z żarami. Moreta przystanęła na nasypie i podniosła wzrok na wzgórza ogniowe. Orlith spała w świetle zachodzącego słońca, oczy miała zamknięte; prawdopodobnie zbudzi się dopiero wtedy, kiedy wieczorny wietrzyk ochłodzi powietrze. Pozostałe smoki przyglądały się temu, co działo się na dole, a ich tęczne oczy lśniły.

–Och! – Oklina aż pisnęła z pełnym zachwytem lękiem. Jakże to groźne stworzenia. Czy bardzo się bałaś w dzień Naznaczenia?

–Bardzo. Złapano mnie, zawieziono do Isty, kazano się przebrać, a potem wepchnięto mnie na teren Wylęgarni zanim zorientowałam się, co się dzieje. Orlith – Moreta nie mogła powstrzymać radosnego uśmiechu – wybaczyła mi, że się spóźniłam.

Oklina marzyła o tym, żeby zostać jedną z kandydatek i Naznaczyć smoczą królową. Kiedyś Moreta miała nie jasne poczucie winy, że los tak był dla niej łaskawy, iż mogła Naznaczyć Orlith, swoją przyjaciółkę, swoją pociechę, swoje życie.

–Gdyby brat nie został następcą mojego ojca, mógłby zostać smoczym jeźdźcem – zwierzyła się nagle szeptem Oklina Morecie.

–Naprawdę? – Moreta czuła się zaskoczona. Nie wiedziała o tym, że zwracano się do Warowni Ruatha o jednego z jej synów, nie słyszała nic o tym, odkąd przed dziesięcioma Obrotami dołączyła do Weyru.

–Dag mi powiedział. – Oklina energicznie pokiwała głową. To było dwanaście Obrotów temu. Dag mówił, że Lord Leef był wściekły, ponieważ Alessan miał zostać dziedzicem. Jednakże nikogo innego nie chciały zaakceptować.

–Smoki, które latają na Poszukiwania, zawsze wszystko lepiej wiedzą – powiedziała Moreta tajemniczym głosem. Tyle razy już powtarzała to ludziom. – W każdym Weyrze są smoki, które wyczuwają, z kim spośród młodzieży można się połączyć. Moreta jeszcze bardziej tajemniczo zniżyła głos. – Są ludzie, którzy dobrze znają smoki i jeźdźców, a nie Naznaczą, i są ludzie kompletnie obcy – jak ja sama – którzy Naznaczą. Smoki zawsze wiedzą lepiej.

–Smoki zawsze wiedzą... – szepnęła Oklina. Zerknęła spod oka na wzgórza ogniowe, jak gdyby obawiała się, że jeżeli smoki ją usłyszą, mogą się obrazić.

–Chodź, Oklino – powiedziała żywo Moreta. – Mam straszną ochotę na tańce.

### Rozdział III

#### Warownia Ruatha, Przejsście bieżące, 3. 11. 43

Moreta brała już udział w wielu Zgromadzeniach, ale to Ruathańskie Zgromadzenie o zmierzchu wydawało jej się zawsze kwintesencją tego, co w Zgromadzeniach najlepsze – zbiorowisko ludzi z weyrów, cechów i warowni, którzy zebrali się by jeść, pić, tańczyć i bawić się wspólnie w swoim towarzystwie. Żary w koszyczkach rzucały ze słupów plamy złocistego światła na załoczone stoły, na tancerzy, na grupki ludzi stojących tu i tam, na mężczyzn słończonych wokół beczek z winem. Między

nimi prze mykały figurki dzieci, to wpadając w plamy światła, to nękając w cieniu. Chwilami ich śmiech i okrzyki prze bijały się przez muzykę i tupot tancerzy. Zapach pieczonych mięs i ciepłego, wieczornego powietrza, kurzu, ostro pachnącego żaru oraz wina potęgował jeszcze niezwykle nastrój zabawy.

Estradę zaszczyliło dziewięciu harfiarzy, a pięciu jeszcze siedziało i czekało na swoją kolej. Morecie nie udało się dostrzec Tirone'a, ale Mistrz Harfiarz mógł krążyć wokół stołów. Alessan nie lubił Mistrza Harfiarza, ale było pewne, że Tirone dobrze wywiąże się ze swoich obowiązków na pierwszym Zgromadzeniu nowego Lorda Warowni.

Moreta i Oklina doszły do kręgu przypatrujących się tańcom ludzi, którzy z szacunkiem rozstępowali się i pozdrawiali je półgłosem. Doprowadziwszy Moretę do głównego stołu – naprzeciw estrady z harfiarzami, Oklina chciała odejść, ale Moreta ujęła ją za rękę. Kiedy Alessan podniósł się, gestem zapraszając Moretę, żeby koło niego usiadła, pociągnęła ona za sobą również Oklinę, ignorując protesty dziewczyny.

– Jest chyba dość miejsca, prawda? – zapytała Moreta, rzucając Alessanowi znaczące spojrzenie. – Oklina bardzo mi się przysłużyła.

– Miejsca oczywiście wystarczy – powiedział łaskawie Alessan, pokazując pozostałym biesiadnikom, że mają się rozsunąć. Kiedy Moreta usiadła, Alessan przyjrzał się jej i zmarszczył brwi. Czy niczego lepszego nie można było dla ciebie znaleźć?

– Ta suknia bardzo mi odpowiada. Znacznie lepiej nadaje się do tańca niż moja własna. Chociaż mogłam wybierać spośród wielu – dodała pospiesznie. – Chyba powinnam na każde Zgromadzenie zabierać dwie sukienki: jedną, w której będę oglądała wyścigi – tu figlarnie na niego popatrzyła – a drugą, w której będzie można mnie oglądać.

Ułagodzony Alessan uśmiechnął się do niej i dał znak, żeby nalano jej wina do czar ki.

– Dla ciebie mam jeszcze wino bendeńskie. – Uniósł czar kę, pijąc jej zdrowie.

Zdążyła pociągnąć tylko łyce k, kiedy harfiarze zagrali żywo do tańca.

– Czy uczynisz mi ten zaszczyt i zatańczysz ze mną, Władczyni Weyru? – zapytał Alessan, zrywając się na równe nogi i wyciągając do niej rękę.

– A po cóż innego bym tu przyszła? – Odwróciła się z uśmiechem do Okliny. – Pilnuj mojego miejsca i mojej czar y. Potem ujęła rękę Alessana, który klucząc poprowadził ją na plac taneczny. Wsłuchiwała się w pulsowanie rytmu i kierowana przez mocne dłonie swojego partnera zaczęła tańczyć, czując tuż przy sobie jego silne, męskie ciało.

Uwielbiała tańczyć, ale w Weyrze, chociaż niekiedy grano i śpiewano wieczorami, tańczyło się wyłącznie na uroczystościach po Wylęgu. Czasami zieloni i błękitni jeźdźcy pozwalali sobie na dzikie akrobacje taneczne, kiedy mieli już dobrze w czubie po jakimś fatalnym Opadzie albo po śmierci smoka i jeźdźca, lecz Moretę takie tańce przejmowały grozą. Leri i L'mal uważali, że ekscesy działają na jeźdźców oczyszczające, ale Moreta wołała ich unikać i odlatywała na Orlith gdzieś daleko od przyprawiającego o szaleństwo bicia w bębny i wściekłego tańca.

Przy pięknej muzyce zapomniała o tych wspomnieniach i zatoczyli z Alessanem koło i z powrotem znaleźli się koło stołu; obydwoje z całego serca oklaskiwali grę harfiarzy, te ich proste, wesołe, znane melodie.

– Muszę teraz zatańczyć z Falgą – powiedział Alessan, posadziwszy Moretę – ale chyba zarezerwujesz dla mnie jeszcze jakiś taniec?

– Czy dobrze ci się tańczyło z Alessanem? – zapytała Oklina nieśmiałym głosem, stawiając puchar bendeńskiego wina przed Moretą.

– Tak. On świetnie tańczy.

– To Alessan nauczył mnie tańczyć. Kiedy grają w Wielkiej Sali, zawsze chociaż raz prosi mnie do tańca. Dzisiaj jednak tyle jest tu dziewcząt...

No to znajdę ci innego partnera. – Moreta rozejrzała się za jakimś próżnującym smoczym jeźdźcem.

– Och nie, nie wolno mi. – Oklina rzuciła nerwowe spojrzenie na plac, gdzie tancerze ustawiali się do nowego tańca. Powinnam usługiwać gościom.

–Właśnie to robisz, troszcząc się o moją wygodę i pilnując mojego bendeńskiego wina. – Moreta ciepło się do niej uśmiechnęła. – Dzisiaj w nocy koniecznie musisz tańczyć!

–Moreta! – Mocna dłoń zacisnęła się na jej ramieniu. Podniosła oczy i zobaczyła B’leriona, jeźdźca spizowego Nabetha z Weyru Dalekich Rubieży. – Nie można marnować tak dobrej muzyki.

Spizowy jeździec nie czekał na jej zgodę, wziął ją za rękę i, śmiejąc się, objął ją wpół.

–Wiedziałem, że mi się nie oprzesz. – Puścił oko nad ramieniem Morety do zdumionej Okliny i poprowadził Władczynię Weyru na plac tancezny.

Moreta dostrzegła zachwyty na twarzy Okliny, ale tak na B’leriona reagowało wiele kobiet. Był przystojny i wysoki, dobrze zbudowany, miał błyszczące ciemne oczy i zawsze był skłonny do śmiechu. Miał niewyczerpany zapas anegdot i zabawnych plotek. Moreta związała się z nim na krótko, kiedy tylko przybyła do Weyr Fortu, i była pewna, że to on jest ojcem jej trzeciego dziecka. Żałowała, że musiała je oddać na wychowanie, ale uzdrawianie zajmowało jej zbyt dużo czasu. Chociaż B’lerion nie był przywódcą tej rangi co Sh’gall, Moreta miała nadzieję, że to Nabeth dogoni jej królową w tym ostatnim, decydującym locie godowym. Zawsze najsilniejszy, najbardziej sprytny smok doganiał królową, co stanowiło jedyny sposób na poprawę rasy. Dwa razy z rzędu Kadith Sh’galla był najsilniejszy i najszybszy.

B’lerion tryskał dobrym humorem, jeszcze zbyt nie popił, bo mówił wyraźnie, a krok miał pewny. Słyszał już, jak ją oblano, żartował, że Moreta podbija serce młodego Lorda Warowni, że namiętność do wyścigów nie wyjdzie jej na dobre. Zapytał, czemu nie ma tu Sh’galla, żeby pilnował własnych interesów.

–Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego pozwoliłaś, żeby to Kadith dogonił twoją królową, podczas gdy byłoby jej dużo lepiej z Nabethem, a ja zostałbym Przywódcą Weyr Fortu. Znacznie zabawniej miałabyś ze mną niż z Sh’gallem. Przynajmniej tak mi kiedyś mówiłaś.

Sądząc po intensywnym błysku w oczach i po tym, jak silnie objął ją wpół podczas ostatniej figury tańca, Moreta uświadomiła sobie, że B’lerion mówi pół żartem, pół serio. Przypomniała sobie, że B’lerion w danym momencie zawsze traktuje zupełnie serio to, co mówi. Czarujący oportunistą, który nie ogranicza swojej działalności do jednego Weyru. Ani Warowni.

–Co? Ty Przywódcą Weyru? Nie lubisz tego rodzaju odpowiedzialności.

–Przy tobie jako Władczyni Weyru stałbym się prawdziwym ideałem. A poza tym jeszcze tylko osiem Obrotów i przyjdzie czas na zabawę. – Przyciągnął ją do siebie mocniej. – Chyba pamiętasz, jak dobrze bawiliśmy się razem.

–Ty się zawsze dobrze bawisz.

–To prawda, a przeznaczeniem dzisiejszej nocy jest zabawa, czyż nie?

Roześmiała się i wyzwoliła się z uścisku. Ktoś mógłby źle zrozumieć zaloty B’leriona. Winna była Sh’galowi wierność, przynajmniej dopóki nie skończy się Opad. Skierowała się z powrotem do stołu, a B’lerion poszedł za nią, uśmiechając się do Okliny z niezmaconym dobrym humorem. Kiedy Moreta zauważyła, jak Oklina zareagowała na obecność B’leriona, pożałowała, że za nią poszedł.

–Czy mogę prosić o następny taniec, pani Oklino? Moreta sama ci powie, że jestem nieszkodliwy. Nazywam się B’lerion i jestem jeźdźcą spizowego Nabetha z Dalekich Rubieży. Czy mogę upić łyczek twojego wina?

–Ależ to jest wino pani Morety – zaprotestowała Oklina, usiłując odebrać mu czarę.

–Ona nigdy by mi nie odmówiła łyku wina, ale napiję się za ciebie i twoje czarne oczy.

Moreta, która zdążyła się już opanować, dostrzegła, jak dziewczyna się rumieni, zmieszana komplementami B’leriona. Widziała, jak na jej szczupłej szyi tętni z podniecenia żyłka, jak przyspieszył się jej oddech. Oklina mogła mieć nie więcej jak szesnaście Obrotów. Urodziła się w Warowni i pewnie wkrótce wydadzą ją za jakiegoś gospodarza albo mistrza rzemiosł na wschód albo na południe daleko od Ruathy, żeby wzmocnić więzy krwi. Zanim Przejdzie się skończy, Oklina będzie miała dzieci i dawno zapomni o tym Zgromadzeniu. A może będzie je lepiej pamiętała dzięki zalotom B’leriona? Moreta uśmiechnęła się, kiedy harfiarze zagrali powolną melodię do tańca, a B’lerion poprowadził zachwyconą dziewczynę na plac.



Ponieważ większość ludzi sądziła, że podolają sobie z tym tańcem, stoły opustoszały. Pani Oma, siedząc na ławie, przysłuchiwała się z powagą temu, co mówiła jakaś dostatnio ubrana dama. Kiedy obydwie pobłażliwie uśmiechnęły się, spoglądając w kierunku placu tanecznego, Moreta zauważyła Alessana, który statecznie prowadził w tańcu jakąś młodą dziewczynę. Córka tej pani, może kandydatka na drugą żonę Alessana? Dziewczyna, całkiem ładna, z wijącymi się, czarnymi włosami, wdzięczyła się z uśmiechem do Alessana. Takie niewiniątko nie miało szans, żeby mu się spodobać. Jako Lord Warowni mógł wybierać, kogo chciał, z każdej warowni czy cechu w całym kraju. Potem Moreta zauważyła S'perena, spizowego jeźdźca z Weyr Fortu, który przyglądał się tańcom. Wydawało jej się, że S'peren miał być w Iście.

– Czy Zgromadzenie w Iście tak szybko się skończyło? – zapytała go zaskoczona.

– Rozczarowałem się nieco, zwłaszcza kiedy już zabrali to zwierzę. Żadnych wyścigów. A i ludzi znacznie mniej niż w Ruacie... – Wskazał głową w kierunku zatłoczonego placu do tańca. – I nastrój nie tak odświętny. W Igenie, Telgarze i Keroonie panuje jakaś choroba.

– Pomór wśród zwierząt? – Przypomniała sobie niespodziewany upadek tamtego biegusa.

– Nie, chorują ludzie. Powiadają, że to jakaś gorączka. Słyszałem, że był tam też Mistrz Capiam, chociaż go nie widziałem.

– Czy istańscy Przywódcy Weyru są zdrowi? – Z F'galem i Wimmią zaprzyjaźniła się podczas Obrotów, jakie spędziła w Weyrze Ista.

– Tak. I przesyłają ci serdeczne pozdrowienia. Nawiasem mówiąc, mam też dla ciebie pozdrowienia od Talpana, uzdrawiacza zwierząt. Podobno zna cię z warowni twojego ojca.

„Dziwne – pomyślała ruszając dalej Moreta, kiedy pożartowała już z innymi jeźdźcami Dalekich Rubieży. – Przez całe Obroty nawet o nim nie pomyślała, a teraz mam od niego pozdrowienia.”

Zaczęła się rozglądać, gdzie jest Alessan, żeby z nim zatańczyć. Był takim dobrym partnerem. Zobaczyła, że tańczy z jakąś dziewczyną o długich, czarnych włosach. Moreta w pierwszej chwili pomyślała, że to Oklina. Dziewczyna odwróciła się i okazało się, że to jakaś następna panna na wydaniu. Poczuła wielkie współczucie dla Alessana, kiedy przypomniała sobie, jak dwa Obroty temu ją samą oblegali spizowi jeźdźcy, zanim Orlith wzniosła się do lotu godowego.

Moreta osuszyła puchar i udała się na poszukiwanie wina albo partnera. Bardzo chciała znowu zatańczyć, ale najpierw zatrzymała się przy antalku z winem. Niestety trunek ten pozostawiał w ustach kwaśny posmak: Tillek, a nie bogaty, dojrzały smak Bendenu. Omal go nie wypłuła.

Tym razem tańczono szybką, dziką galopkę. Można było dobrze się zabawić patrząc na tańczących. Potem nadszedł czas na pieśni harfiarzy. Moreta oczekiwała, że pojawi się Tirone, jako że to on powinien prowadzić śpiewy na Zgromadzeniu w Ruacie, ale zamiast niego do przodu wystąpili młody Mistrz Harfiarz z Warowni Ruatha oraz jakiś starszy czeladnik.

Kiedy Moreta znowu popatrzyła w stronę stołu, zobaczyła Alessana, a po jego obu stronach parę ładnych dziewcząt, z których jedna była ruda. Nie było żadnych wątpliwości, że pani Oma na tym Zgromadzeniu nie zasypiała gruszek w popiele. Nie mając chęci wracać do stołu, Moreta znalazła sobie wolny stółek.

Spodobała jej się pierwsza piosenka, wzruszająca ballada, i wraz z innymi ludźmi podchwyciła refren. W połowie drugiego refrenu Moreta w myślach powiedziała do Orlith.

„Tobie ten śpiew też się podoba, prawda?” przesłała swojej królowej.

„Śpiewanie jest miłym zajęciem, które rozwesela i jednoczy wszystkich” – odpowiedziała smoczyca.

Moreta omal nie parsknęła śmiechem, ale przecież nawet Władczyni Weyru nie wypadało śmiać się w czasie poważnej pieśni.

Harfiarze zaintonowali cztery tradycyjne pieśni. Każdą z nich śpiewano z coraz większym zapalem, w miarę jak tancerze odzyskiwali oddech. Młody ruathański harfiarz, świetny tenor, zaśpiewał nieznaną piosenkę, którą jak im powiedział, odnalazł w starych kronikach. Była to chwytająca za serce melodia o zaskakującej rytmice. „Bardzo stara pieśń – stwierdziła Moreta – odpowiednia dla tenora.” Orlith też się podobała.

„Na ogół mamy zbieżne gusty” – powiedziała Moreta.

„Nie zawsze.”

„Co masz na myśli?”

Jednakże Orlith nie udzieliła jej odpowiedzi.

Potem harfiarze pytali słuchaczy o ich ulubione piosenki. Moreta miała ochotę poprosić o jedną z piosenek z równin swojego Keroonu, ale była to ponura melodia, nie pasująca do nastroju tego wieczoru. Talpan często ją nucił. Znowu dziwny zbieg okoliczności!

Po śpiewach na estradę wszedł Alessan, podziękował harfiarzom, chwalił ich grę i dziękował za przybycie. Prosił, by korzystali swobodnie z ruathańskiego wina, i grali tak długo, dopóki ostatni tancerz nie opuści placu do tańców. Wszyscy głośno klaskali, wiwatowali, okazując tym jak cenią Lorda Warowni, który nie poskapił niczego na swoim pierwszym Zgromadzeniu. Wiwaty trwały dużo dłużej niż nakazywała zwykła uprzejmość i towarzyszyły Alessanowi w drodze powrotnej do stołu.

Harfiarze zaczęli następną rundę od tańca w kółeczku, który pozwolił Alessanowi zaprosić obydwie dziewczyny. B'lerion tańczył znowu z Oklina. Pani Oma wydawała się tego nie zauważać, tak skoncentrowana była na partnerkach Alessana.

Morecie zaschło w gardle od śpiewu i wiwatowania, więc zdecydowała, że musi znaleźć więcej bendeńskiego białego wina. Kiedy szła do stołu, zatrzymywali ją gospodarze, pytając o Leri i Holth i wyrażając szczery żal, że ta Władczyni Weyru nie bierze udziału w Zgromadzeniu.

„Przekaż te pozdrowienia, Orlith. Ucieszą się, że nie zostały zapomniane.”

Po chwili Orlith odparła, że Holth jest całkiem zadowolona, że nie musi przez całą noc siedzieć na zimnej skale.

„Nie jest ci chyba zimno?” – zapytała niespokojnie Moreta.

„Wzgórza ogniowe utrzymują ciepło, a Nabeth i Tamianth ogrzewają mnie. Powinnaś coś zjeść. Zawsze mnie to powtarzasz.”

Ten ton Orlith rozbawił Moretę. Ponieważ od ostrego wina z Tilleku kręciło jej się odrobinę w głowie, a z głodu burczało w brzuchu, postanowiła poszukać sobie czegoś do jedzenia, zanim skończy się kołowy taniec. Nabrała pełen talerz pikantnego, pieczonego mięsiwa, bulw i innych smakołyków. Kiedy szukała bendeńskiego wina, kołowy taniec się skończył. Ledwie tylko Alessan podziękował dziewczętom, pani Oma już przedstawiała mu następną. Moreta zauważyła kierującego się w jej stronę Lorda Tolocampa i szybko skrzyła w bok, jak gdyby go nie zauważywszy. Miał ponury wyraz twarzy, a ona nie miała ochoty wysłuchiwać na Zgromadzeniu jego wykładów. Przeciskając się przez moment zastanowiła się, czyby nie zatrzymać się przy stole harfiarzy, bo oni mają najlepsze wino, ale stwierdziła, że w towarzystwie harfiarzy Tolocamp tak samo będzie jej zagrażał. Poza tym, oni pewnie i tak mieli go po dziurki w nosie, ponieważ Siedziba Harfiarzy usytuowana była tak blisko Warowni Fort. Zamiast tego dała więc nura za podium harfiarzy i przystanąła na moment, żeby oczy przyzwyczaiły jej się do ciemności.

Omali nie potknęła się o siodła, ułożone w stos za podium. Ustawiała jedno z nich i usiadła jak na fotelu, zachwycona, że udało jej się uciec od Tolocampa. Kiedy nadejdzie koniec Przejścia, człowiek ten stanie się powodem wielu zadrażeń. Sh'gall nie poradzi sobie z nim tak łatwo, jak radził sobie z Opadem.

„To dobrze, że jesz!” – powiedziała Orlith.

Moreta odgryzła olbrzymi kęs pieczeni. Mięso było kruche i soczyste.

„Cudowne!” – powiedziała swojej królowej.

Jadła z apetytem, oblizując palce, nie chcąc uronić ani kropelki sosu. Ktoś potykając się wszedł za estradę i Moreta, balansując talerzem i klnąc, że jej przerwano, usunęła się w głębszy cień. Czyżby to Tolocamp tu za nią trafił? A może to ktoś, kto miał naturalną potrzebę?

„Alessan” – powiedziała jej Orlith, co zaskoczyło Moretę, bo smoczyca nie zapamiętywała imion ludzi.

–Moreta? – powiedział niepewnie Alessan. – A, tutaj jesteś – dodał, kiedy zrobiła krok do przodu. – Tak mi się wydawało, że tu się schowasz, żeby uniknąć spotkania z Tolocampem. Przyniosłem mnóstwo jedzenia i picia. Czy nie przeszkadzam ci w

twoim odosobnieniu?

Nie przeszkadzasz, jeżeli tylko przypadkiem przyniosłeś więcej tego bendeńskiego wina. Żebyś wiedział, że to tilleckie, które podajesz, nie jest złe...

–Ale zupełnie nie wytrzymuje porównania z bendeńskimi mam nadzieję, że nikomu o tej różnicy nie wspomniałaś.

–Co? Żeby je nam wypili? Pełne uznanie dla kucharza: ta pieczeń jest fantastyczna, a ja umieram z głodu. Siadaj tutaj. Pchnęła w jego kierunku siodło i opróżniwszy swoją czarę z pośledniego wina, wyciągnęła ją do niego. – Mogę jeszcze dostać trochę wina z Bendenu?

–Mam tutaj pełny bukłak. – Alessan nalewał ostrożnie.

–Chyba musisz się nim dzielić ze swoimi partnerkami?

–Żebyś mi się nie ośmieliła... – Alessan udał, że chce jej odebrać puchar, niby to chcąc jej odebrać wino.

–No tak, rozumiem. Jako Lord Warowni robiłeś tylko to, co do ciebie należało.

–Spełniłem już swoje obowiązki jako Lord Warowni, a teraz zamierzam towarzyszyć tobie. Dopiero teraz będę się dobrze bawił na tym Zgromadzeniu.

–Gospodarzom rzadko to się zdarza.

–Moja matka, kobieta dobra i zacna...

–I świadoma obowiązków...

–... zaprezentowała mi wszystkie nadające się do zamęścia panny z zachodu i z każdą z nich sumiennie tańczyłem. Nie były bardzo rozmowne. A skoro już mowa o rozmawianiu, czy ten spiżowy jeździec, który adoruje Oklinę, to honorowy człowiek?

–B'lerion ma dobre serce i można z nim świetnie się bawić. Czy Oklina jest świadoma skłonności smoczycy jeźdźców?

–Jak każda prawdziwa mieszkanka warowni. – Alessan chłodnym tonem skwitował kaprysy i słabostki smoczycy jeźdźców.

–B'lerion ma dobre serce, a ja znam go od wielu Obrotów – wyjaśniła uspokajająco Moreta. Uwielbienie Okliny dla brata nie było bezpodstawne, skoro zadał on sobie trud, by porozmawiać z Władczynią Weyru o spiżowym jeźdźcu, który wyraźnie zalecał się do jego siostry. Jedli w milczeniu, bo Alessan był równie głodny jak Moreta. Nagle harfiarze rozpoczęli nową melodię. Tym razem był to skoczny taniec, w którym należało partnerkę podnieść, podrzucić i złapać w powietrzu. Zauważyła wyzwanie w błyszczących oczach Alessana: tylko ludzie młodzi i w bardzo dobrej formie mogli pokusić się o wykonywanie tego akrobatycznego tańca z podrzutami. Roześmiała się niskim, gardłowym śmiechem. Nie była żadnym nieśmiałym, niepewnym siebie podlotkiem, ani też stateczną panią na warowni, której żywotność i ciało wyczerpały ciągłe porody; była gotową do boju jeźdźczynią królowej i mogła prześcignąć w tańcu każdego mężczyznę – gospodarza, rzemieślnika, jeźdźca. Na dodatek Orlith zachęcała ją do tego.

Zostawiła resztki jedzenia i wino, złapała Alessana za rękę i pociągnęła go za sobą na plac do tańców, gdzie jedną parę już spotkało niepowodzenie: runęli na ziemię, a reszta tancerzy dobrodusznie się z nich nabijała.

Władczyni Weyru i Lord Warowni byli jedyną parą, która ukończyła ten trudny taniec bez żadnego upadku. Ich zręczność nagrodziły wiwaty i oklaski. Usiłując złapać oddech i utrzymać równowagę po szaleńczych obrotach, Moreta zesła z placu. Ktoś włożył jej puchar do ręki; od razu wiedziała, że to Benden. Wzniosła toast za Alessana, który stał obok niej, ciężko łapiąc powietrze, zarumieniony, zachwycony, że tak im dobrze poszło.

–Na Skorupy, mając odpowiedniego partnera, naprawdę mogłaś pokazać, na co cię stać – zawołała podchodząc do nich Falga. – Jesteś w wyjątkowo świetnej formie, Moreto. Alessanie, to najlepsze Zgromadzenie, na jakim byłam od całych Obrotów. Zaćmiłeś swego ojca, który od tej chwili przestaje być nieodżałowany. Wydawał dobre biesiady, ale nie mogą się one równać z dzisiejszą. S'ligar będzie żałował, że nie przyleciał ze mną.

Pozostali jeźdźcy smoków wzniesli swoje puchary na cześć Alessana.

–Do zobaczenia w Gromie – powiedziała Falga do Morety na pożegnanie. Harfiarze rozpoczynali właśnie spokojną, starą

melodię.

–Czy możesz się jeszcze ruszać? – zapytał Alessan, pochylając się nad Moreta i szepcząc jej wprost do ucha.

–Oczywiście! – Moreta rzuciła okiem w tę stronę, gdzie patrzył Alessan, i zobaczyła, że pani Oma prowadzi jakąś dziewczynę przez parkiet.

–Już dosyć mi dzisiaj deptały po nogach! – Alessan mocno przytulił Moretę, położył prawą dłoń płasko na jej łopatkach, palce lewej splótł z jej palcami i poprowadził ją na środek placu.

Moreta chwiała się w rytm rozkołysanej melodii; sunąc w tym statecznym tańcu, przelotnie dostrzegła zasępioną panią Omę. Czuła, jak im obojgu wałą serca z wysiłku po poprzednim tańcu, ale stopniowo ten łomot złagodniał, twarz jej ochłonęła, a mięśnie przestały drżeć. Uświadomiła sobie, że nie tańczyła tej melodii odkąd opuściła Keroon – od ostatniego Zgromadzenia, na którym była z Talpanem, tak wiele, wiele Obrotów temu.

–Myślisz o jakimś innym mężczyźnie? – szepnął Alessan z wargami tuż przy jej uchu.

–O chłopcu, którego znalazłam w Keroonie.

–Czule go wspominasz?

–Mieliśmy iść na naukę do tego samego mistrza uzdrowiciela. Czyżby to była nuta zazdrości w głosie Alessana? – On wyczuł się tego zawodu, a mnie zabrano do Isty, gdzie Naznaczyłam Orlith.

–A teraz uzdrawiasz smoki. – Na moment uścisk Alessana osłabł, ale zaraz objął ją jeszcze silniej. – Tańcz, Moreto z Keroonu. Wzeszły księżycy. Możemy tańczyć przez całą noc.

–Harfiarze mogą mieć jakieś inne plany.

–Na pewno nie, dopóki nie wyczerpią się moje zapasy bendeńskiego wina...

Tak więc Alessan pozostał u jej boku, troszczył się, by miała zawsze pełny puchar i nalegał, że by zjadała malutkie, pikantne bułeczki, które podawano kurczącym się szeregom wesołych biesiadników. Nie odstępował jej też żadnym innym partnerom.

Wino zmogło harfiarzy tuż przed brzaskiem. Nawet Alessan, którego energia wydawała się niespożyta, zaczynał tracić już siły, kiedy Orlith ponownie wylądowała na placu do tańca.

–To była niezapomniana zabawa, Lordzie Alessanie – powiedziała Moreta oficjalnie.

–Twoja obecność uczyniła ją taką, Władczyni Weyru – odparł, podsadzając ją na przednią łapę Orlith. – Na Skorupy! Nie ześlizguj się, kobieto. Czy doleczysz do swojego weyru, nie zasypiając po drodze? – Powiedział to wesoło, ale w jego głosie zadźwięczała nuta niepokoju.

–Zawsze zdołam dolecieć do mojego własnego weyru.

–Orlith, czy ona da radę?

–Lordzie Alessanie! – Co za zuchwałość ze strony tego mężczyzny, żeby tak naradzać się z jej smokiem.

Orlith odwróciła głowę, z połyskującymi złością sennymi oczyma. „On ma dobre intencje” – usłyszała Moreta jej myśli

–Orlith mówi, że masz dobre intencje! – Moreta była tak zmęczona, że aż język jej się plątał. Zmusiła się do śmiechu. Nie chciała, żeby ten cudowny wieczór zakończył się zgrzytem.

–O tak, moja pani na złocistym smoku, mam dobre intencje. Leć ostrożnie!

Alessan pomachał jej na pożegnanie i odszedł powoli poprzez bezład porzuconych ławek i zalanych stołów w kierunku opustoszałej drogi, gdzie większość kramów została już rozebrana i zapakowana do wywiezienia.

–Wracajmy do Weyr Fortu – powiedziała cienkim głosem Moreta. Powieki jej ciążyły, czuła miłe zmęczenie. Z trudem

wyobraziła sobie układ Gwiazdnych Kamieni w Weyr Forcie. Potem Orlich wyprysnęła w górę, a chorągiewki wokół placu do tańca zatrzepotały od wiatru spod jej skrzydeł. Znalazły się w powietrzu, Ruatha oddalała się, w ciemnościach świeciło jeszcze tylko kilka ostatnich, świecących żarów.

## Rozdział IV

Południowy Boll i Weyr Fort, Przejście bieżące, 3. 11. 43

–No i co?

Capiam podniósł głowę; siedział przy drewnianym stoliku w aptece, własne ręce służyły mu przed chwilą za poduszkę. Ze zmęczenia czuł się całkiem oszołomiony i w pierwszej chwili nie wiedział, kto do niego mówi.

–No i co, Mistrzu Uzdrawicielu? Powiedziałaś, że zaraz wrócisz i powiadomisz mnie, jaka jest sytuacja. Działo się to kilka godzin temu. A teraz widzę, że sobie śpisz.

To Lord Ratoshigan obudził go tak gwałtownie. Z tyłu wyglądał zza drzwi wysoki Przywódca Weyru, który przewiózł Capiama i Lorda Ratoshigana ze Zgromadzenia w Iście do Południowego Bollu.

–Przysiadłem tylko na moment, Lordzie Ratoshiganie – Capiam zerwał się przerażony – żeby uporządkować swoje notatki.

–No i co? – warknął Ratoshigan z niedwuznaczną dezaprobatą, ponaglając go po raz trzeci. – Jaką postawiłeś diagnozę tym... – nie powiedział „symulantom”, ale implikacja była wystarczająco jasna, zwłaszcza że już wcześniej jego zatroskany szpitalny poinformował Capiama, iż Lord Ratoshigan za symulanta uważa każdego, kto korzysta z jego chleba i opieki, a nie odplaca się porządną pracą.

–Oni są bardzo chorzy, Lordzie Ratoshiganie.

–Wyglądali na całkiem zdrowych, kiedy wyjeżdżałem do Isty! Przecież to nie są suchoty. – Ratoshigan kiwał się na nogach; był chudy, miał pociągłą, kościstą twarz, cienkie wargi, z głębokich oczodołów patrzyły małe oczka o twardym spojrzeniu. Capiam uważał, że Lord Warowni wygląda dużo gorzej niż ludzie, którzy umierali w infirmerii.

–A jednak dwóch ludzi na coś umarło – powiedział powoli Capiam. Wcale się nie kwapił poinformować ich, do jakiego przerażającego wniosku doszedł, zanim pokonało go zmęczenie.

–Umarło? Dwóch? A ty nie wiesz, co im było? Kątem oka Capiam zauważył, że na wzmiankę o śmierci Sh’gall cofnął się o krok od drzwi. Przywódca Weyru brzydził się ran i chorób, zwłaszcza że jak dotąd jednego i drugiego udawało mu się unikać.

–Nie, nie wiem dokładnie, co im było. Te objawy – gorączka, bóle głowy, brak apetytu, suchy, szarpiący kaszel – nie poddają się żadnemu leczeniu.

–Ale ty musisz to wiedzieć. Jesteś Mistrzem Uzdrawicielem!

–W moim rzemiośle ranga nie przynosi wszechwiedzy. – Capiam mówił przyciszonym głosem ze względu na wyczerpanych uzdrawicieli, którzy spali w sąsiednim pokoju. Natomiast Ratoshigan nie okazywał im żadnych względów i w miarę, jak wzmagало się jego oburzenie, mówił coraz głośniejszym głosem. Capiam obszedł stół dookoła. Wiele zapomnieliśmy, ponieważ nie stykaliśmy się z wszystkimi chorobami. – Capiam westchnął znużony. Nie powinien był pozwolić sobie na sen. Tyle było do zrobienia. – Te zgony to dopiero początek, Lordzie Ratoshiganie. Na Pernie wybuchła epidemia.

–Czy to dlatego kazaliście z Talpanem zabić to zwierzę? Sh’gall odezwał się po raz pierwszy, a w jego głosie brzmiało gniewne zaskoczenie.

–Epidemia? – Ratoshigan gestem uciszył Sh’galla. – Epidemia! O czym ty mówisz, człowieku. Paru chorych...

–Nie paru, Lordzie Ratoshiganie. – Capiam wyprostował ramiona i oparł się o chłodną, pokrytą stiukami ścianę. – Dwa dni temu otrzymałem pilne wezwanie do Morskiej Warowni w Igenie. Umarło tam czterdziestu ludzi, w tym trzech marynarzy, którzy uratowali tamto zwierzę. Oby je byli zostawili w morzu!

–Czterdziestu? – W głosie Ratoshigana brzmiało niedowierzanie, a Sh’gall odsunął się jeszcze o krok dalej od infirmerii.

–W Warowni Morskiej zaniemogło jeszcze więcej mieszkańców, chorują też mieszkańcy pobliskiego gospodarstwa, którzy

zeszli z gór, żeby zobaczyć tego niewiarygodnego, pływającego po morzu kota!

–No to po co go sprowadzono na Zgromadzenie do Isty? – Teraz Lord Warowni był już oburzony na dobre.

–Żeby go można było oglądać – powiedział Capiam gorzko. Zanim ludzie zaczęli chorować, zabrano go z Igeny do Keroonu, aby Mistrz Hodowca go zidentyfikował. Byłem w Warowni Morskiej i robiłem, co mogłem, by pomóc uzdrowicielom, kiedy sygnał wielkiego bębna zaważwał mnie do Keroonu. U Mistrza Hodowcy, Sufura, choroba atakowała ludzi i zwierzęta gwałtownie i w osobliwy sposób. Miała taki sam przebieg, jak w Morskiej Warowni w Igenie. I znowu na sygnał bębna brunatny smok przewiózł mnie do Telgaru. Tam też wybuchła ta choroba. Przywlekli ją dwaj gospodarze, którzy kupowali biegusy. Wszystkie te zwierzęta zdechły, umarli też ich właściciele, a z nimi jeszcze dwudziestu innych. Nie potrafię oszacować, ile setek ludzi zostało zarażonych przez kontakt z roznoszącymi chorobę. Ci z nas, którzy przeżyją, będą mieli dług wdzięczności wobec Talpana, tu Capiam popatrzył surowo na Sh'galla – że był tak mądry i skojarzył podróże tego kota z rozprzestrzenianiem się choroby.

–Ależ to zwierzę było okazem zdrowia! – zaprotestował Sh'gall.

–Było – powiedział Capiam z krzywym uśmiechem. – Pewnie zostało uodpornione na tę chorobę, którą przyniosło do Igeny, Keroonu, Telgaru i Isty.

Sh'gall obronnym gestem skrzyżował ręce na piersi.

–W jaki sposób zwierzę siedzące w klatce mogło roznosić chorobę? – zapytał Ratoshigan, a jego cienkie nozdrza rozděły się.

–Nie siedziało w klatce ani w Igenie, ani na statku, kiedy było osłabione pragnieniem i podróżą. W Keroonie Mistrz Sufur trzymał je na wybiegu, kiedy próbował je zidentyfikować. Miało aż nadto okazji i mnóstwo czasu, żeby pozarażać ludzi. – Capiam z rozpaczą pomyślał, że uzdrowicielom nigdy nie uda się wytropić wszystkich ludzi, którzy oglądali to dziwo, dotykali jego płowej sierści i powracali do swoich warowni już jako nosiciele zarazy.

–Ale... ale... ja właśnie otrzymałem cały statek cennych biegusów z Keroonu!

Capiam westchnął.

–Wiem, Lordzie Ratoshiganie. Mistrz Quitrim powiadomił mnie, że zmarli pracowali przedtem w stajniach. Otrzymał także pilną wiadomość o chorobie z tej warowni, gdzie ludzie i zwierzęta po drodze z wybrzeża zatrzymali się na noc.

Ratoshigan i Sh'gall zaczęli w końcu doceniać powagę sytuacji.

–Jesteśmy w samym środku Przejscia! – powiedział Sh'gall.

–Dla tego wirusa nie ma to żadnego znaczenia – odrzekł Capiam.

–W twoim cechu macie wszystkie kroniki. Przejrzyj je! Wystarczy, żebyś porządnie poszukał.

„Czyżby Sh'gallowi nigdy nie zdarzyło się szukać czegoś i nie znaleźć?” – pomyślał Capiam z ironią. Któregoś dnia miał zamiar zanotować, w jak różny sposób mężczyźni i kobiety reagują na kataklizmy. Jeżeli sam ten kataklizm przetrzyma!

–Moi ludzie prowadzą gruntowne poszukiwania od momentu, kiedy zobaczyłem doniesienia o liczbie śmiertelnych przypadków w Warowni Morskiej w Igenie. A teraz oto co musisz zrobić, Lordzie Ratoshiganie.

–Co muszę zrobić? – Lord Warowni wyprostował się na całą swoją wysokość.

–Tak, Lordzie Ratoshiganie, co musisz zrobić. Przyszedłeś do mnie po diagnozę. Postawiłem diagnozę: to jest epidemia. W tych okolicznościach, jako Mistrz Uzdrowiciel Pernu, przejmuję władzę nad Warowniami, Cechami i Weyrami. – Rzucił okiem na Sh'galla, żeby upewnić się, że Przywódca Weyru również go słucha. – Rozkazuję wam niniejszym ogłosić za pomocą bębnów, że ta Warownia oraz gospodarstwo, w którym twoi trenerzy gościli po drodze z wybrzeża, objęte zostały kwarantanną. Nikomu nie wolno odwiedzać ani opuszczać Warowni. Zakazane są podróże i zgromadzenia.

–Ależ oni muszą zbierać owoce i...

–Wszystkim chorym, ludziom i zwierzętom, zorganizujesz opiekę. Mistrz Quitrin i ja omawialiśmy kurację empiryczną,

ponieważ środki homeopatyczne okazały się nieskuteczne. Poinformuj swojego Zarządcę i swoje panie, żeby przygotowały Wielką Salę dla chorych...

–Moją Wielką Salę? – Ratoshigan osłupiał na ten pomysł.

–I opróżnij stajnie i obory, żeby zmniejszyć tłok w salach sypialnych.

–Wiedziałem, że poruszysz ten temat! – Ratoshigan aż zapłuł się ze złości.

–Na własnej skórze przekonasz się, że dawne obiekcje uzdrowicieli były uzasadnione! – Capiam dał upust swoim długo tłumionym troskom i lękom i zakrzyczał protestującego Ratoshigana. – Odizolujesz chorych i będziesz o nich dbał, co należy do twoich obowiązków jako Lorda Warowni! Albo pod koniec tego Przejęcia nie będziesz już miał nad kim panować!

Capiam mówił to z taką pasją, że Lord Ratoshigan nie otworzył już ust. Capiam odwrócił się do Sh'galla.

–Przywódcu Weyru, przewieziesz mnie teraz do Warowni Fortu. Zgodnie z nakazem chwili muszę jak najprędzej wracać do mojej siedziby. A i ty ostrzeż swój Weyr.

Sh'gall zawahał się.

–Przywódcu Weyru!

Sh'gall przełknął ślinę.

–Czy ty również dotykałeś tego zwierzęcia?

–Nie, nie dotykałem. Talpan mnie ostrzegł. – Kątem oka Capiam zauważył, jak Ratoshigan drgnął nagle.

–Nie możesz stąd wyjechać, Mistrzu Capiamie – wykrzyknął Ratoshigan, rzucił się i przerażony złapał go za rękę. – Ja dotykałem tego zwierzęcia. Ja też mogę umrzeć.

–Możesz. Pojechałeś na Istańskie Zgromadzenie, żeby dźgać to zamknięte w klatce zwierzę i znęcać się nad nim, a ono za okrucieństwo odplaciło się wam w tak niespodziewany sposób.

Sh'gall i Ratoshigan szeroko otwartymi oczami wpatrywali się w Mistrza Uzdrowiciela, który zawsze był taki spokojny i taktowny.

–Chodź, Sh'gallu, nie wolno nam tracić czasu. Trzeba będzie odizolować tych jeźdźców, którzy brali udział w Istańskim Zgromadzeniu, a zwłaszcza tych, którzy mogli znaleźć się w pobliżu tej bestii.

–Ale co ja mam robić, Mistrzu Capiamie, co mam robić?

–To, co ci kazałem. Za dwa albo trzy dni będziesz wiedział, czy zostałeś zarażony. Tak więc zalecałbym, żebyś jak najszybciej doprowadził swoją Warownię do porządku.

Capiam skinął na Sh'galla, żeby poprowadził ich na dziedziniec, gdzie czekał spiżowy smok. W ciemnościach przedświtę wielkie, jarzące się oczy Kaditha wskazywały obydwu mężczyznom drogę.

Sh'gall zatrzymał się nagle.

–Czy smoki też na to chorują?

–Talpan mówił, że nie. Wierz mi, Przywódcu Weyru, że chyba tym najbardziej się martwił.

–Jesteś pewien?

–Talpan był pewien. Nie zachorował na to żaden wher ani wher-stróż, chociaż wszystkie stykały się z tym wielkim kotem w Warowni Morskiej w Igenie lub w Stajniach Keroonu. Ciężko chorują biegusy, natomiast nie choruje bydło. Smok, który zabrał tego kota z Igeny do Keroonu, nie zachorował, a przenosił go ponad dziesięć dni temu.

Sh'gall wciąż miał jakieś wątpliwości, ale skinął ręką, żeby podeszli do Kaditha.

Spizowy smok opuścił już łapę, żeby jego jeździec i uzdrowiciel mogli wsiąść. Jednym z przywilejów, jakie dał Capiamowi tytuł mistrzowski, było właśnie jeżdżenie na smoku; przywilej ten sprawiał mu największą radość, chociaż Capiam starał się go nie nadużywać. Z wdzięcznością usadowił się za Sh'gallem. Nie miał żadnych skrępowań, że wykorzystuje Sh'galla i Kaditha, żeby w tej krytycznej sytuacji przewieźli go do jego siedziby. Przywódca Weyru był młody i silny i miał szansę na przeżycie każdej zarazy, której nosicielem mógł być Capiam.

Capiam tak głęboko zamyślił się nad tym, czego musi dokonać w ciągu najbliższych kilku godzin, że nie potrafił cieszyć się startem smoka. Talpan obiecał zainicjować kwarantannę w Iście, ostrzec wschód i odizolować wszystkich, którzy mogli mieć kontakt z tamtym kotem. Będzie próbował wytropić wszystkie biegusy, które opuściły Stajnie Keroonu w ciągu ostatnich osiemnastu dni. Capiam ostrzeże zachód i przyspieszy przeszukiwanie kronik. Bębny Fortu rozgrzeją się jutro od tych wszystkich wiadomości, które musi wysłać. Na pierwszym miejscu znajdzie się Warownia Ruatha. Jeźdźcy smoków brali udział w Istańskim Zgromadzeniu, a potem polecili jeszcze na kilka godzin do Ruathy, by potaćzyć i napić się wina. Gdyby tylko Capiam nie był się poddał zmęczeniu. Stracił cenny czas, a nieświadom zagrożenia ludzie roznosili chorobę coraz dalej.

Sh'gall uprzedził Capiama przyciszonym głosem i Uzdrowiciel mocno chwycił za ramię bojowe. Lecąc w przestworzach; zastanawiał się, czy to okropne zimno nie byłoby w stanie zabić zarazków choroby.

Wynurzyli się nagle nad wzgórzami ogniowymi Warowni Fortu i wylądowali na polu przed siedzibą. Sh'gall nie miał zamiaru przebywać w towarzystwie Mistrza Uzdrowiciela ani chwili dłużej, niż musiał. Zaczekał, aż Capiam zsiądzie, a potem poprosił go, aby powtórzył swoje zalecenia.

–Powiedz Bercharowi i Morecie, żeby sami próbowali leczyć objawy choroby. Jeżeli znajdę skuteczną kurację, natychmiast was zawiadomię. Ta zaraza ma okres inkubacji dwa do czterech dni. Są tacy, którzy ją przeżyli. Spróbuj ustalić, gdzie byli twoi jeźdźcy. – Pełna swoboda poruszania się działała na niekorzyść Weyrów. – Nie zbierajcie się...

–Jest Opad!

–Weyry mają swoje obowiązki wobec ludzi... ale spróbujcie ograniczyć kontakt z drużynami naziemnymi. – Capiam z wdzięcznością klepnął Kaditha po barku. Kadith zwrócił swoje jarzące się oczy na Mistrza Uzdrowiciela, potem przebiegł kilka kroków i wzbił się w powietrze.

Capiam przyglądał się im, aż zniknęli na tle jaśniejącego na wschodzie nieba. Polecili w góry za Warownią Fortem. Uzdrowiciel ruszył łagodnie wznoszącym się zboczem w stronę swojej siedziby i łóżka, za którym bardzo tęsknił. Najpierw jednak musi tak ułożyć wiadomości, żeby bęben sygnalizacyjny zdołał ją przekazać do Ruathy.

W porannym powietrzu było nieco wilgoci, więc wyglądało na to, że później podniesie się mgła. Na głównym dziedzińcu Warowni Fortu nie zawieszono koszy z żarem, a przy wejściu do Siedziby Harfiarzy wisiał tylko jeden. Capiam był zaskoczony widząc, jak przez te dwa dni posunęły się prace nad przybudówką do Siedziby. Parskając podszedł do niego wher-stróż, rozpoznał go po zapachu i zagulgotał na powitanie. Capiam czule poklepał Rzepa po łbie i uśmiechnął się słysząc pełne szczęścia posapywanie. Whery – stróże miały wiele zalet, ale na skutek pewnego niefortunnego wydarzenia stały się tak szpetne, że wywoływały obrzydzenie u tych, którzy widzieli w nich nędzne kopie wspaniałych smoków. A przecież whery – stróże były lojalne, wierne jak smoki i można je było nauczyć rozpoznawać ludzi, którzy mieli prawo swobodnie wchodzić do Siedziby. Niektóre legendy mówiły, że whery – stróże wykorzystywano jako ostateczną obronę przed Nićmi, chociaż Capiam nie miał pojęcia, jak by to było możliwe, skoro te nocne stworzenia nie znosiły słońca.

Rzep był jeszcze całkiem młody, miał dopiero kilka Obrotów, a odkąd się wylągł, Capiam utrzymywał z nim bliski kontakt. Obydwaj z Tironem dali do zrozumienia terminatorom, że absolutnie nie będą tolerowali złego traktowania tego stworzenia. Kiedy na Fort opadały Nici, Capiam albo Tirone, zależnie od tego który z tych dwóch Mistrzów był na miejscu, zabierali whera – stróża do głównego wejścia do Siedziby, chcąc przypomnieć młodzieży, że wher-stróż może odegrać ważną rolę w tym zgubnym okresie.

Gwałtowne przywitania Rzepa omal nie zbiło Capiama z nóg, ale było tak szczere, że aż go wzruszyło. Rzep dumnie człapał obok niego, grzechocząc łańcuchem po bruku. Capiam jeszcze raz ostatni pogłaskał go po głowie, i wbiegł na schody, żeby otworzyć ciężkie drzwi Siedziby.

Wewnętrzny korytarz był oświetlony jednym mdłym żarem. Capiam zamknął drzwi, już nie długo będzie mógł położyć się i odpocząć. Poruszał się teraz szybko, skręcił z głównego korytarza w lewo i przeszedł przez drzwi które prowadziły do archiwów.

Gdy nagle usłyszał chrapanie, zajrzał do wysoko sklepionej sali bibliotecznej. Jeden z uczniów spał z głową złożoną na



kronice którą miał czytać, a drugi oparty nieco wygodniej o ścianę. Świt był już blisko, i zaraz zjawi się tu Mistrz Fortine, który popędzi ich do roboty i zbeszta za słabość. Będą uważnie czytali, jak dostaną burę. Capiam poczuł, że jest zbyt zmęczony, żeby odpowiadać na pytania, którymi na pewno by go zasypali, gdyby ich obudził.

Nie robiąc hałasu, wziął arkusz porządnie zeszkrobanej skóry i ułożył zwięzłą wiadomość dla mistrza bębniaków, by nadał do Weyrów i większych Warowni, które z kolei miały ją przekazać mniejszym gospodarstwom i cechom. Położył wiadomość na stole Mistrza Fortine'a. Fortine zobaczy ją, skoro tylko zje śniadanie, i zawiadomienie o epidemii zostanie rozesłane jeszcze przed południem.

Capiam szedł do swojej kwatery powłócząc nogami w rytm zgrzytliwego chrapania. Prześpi się trochę, zanim zahuczą bębny. Niewykluczone, że nawet ich nie usłyszy. Wspiął się po stopniach do tej części Siedziby Harfiarzy, która była przeznaczona dla uzdrowicieli. Kiedy się skończy to Przejście, musi wreszcie rozpocząć budowę Siedziby Cechu Uzdrowicieli.

Doszedł do swojego pokoju i otworzył drzwi. Przytłumiony żar rzucał łagodne światło na jego sypialnię. Na stoliku przy łóżku ktoś postawił miskę świeżych owoców i dzbanek wina. Pościelone łóżko aż zapraszało do spania. Desdra! I znowu wdzięczny był jej za troskliwość. Rzucił worek w kąt i usiadł na łóżku; ściąganie butów niemalże przekraczało jego siły. Rozluźnił pasek, a potem zdecydował, że nie będzie zdejmował tuniki i spodni – wymagałoby to za dużo wysiłku. Runął na materac i naciągnął na ramiona futro. Marzył o tym, żeby złożyć na poduszce zmęczoną, obolałą głowę.

Jęknął. Przecież zostawił te wiadomości na wielki bęben. Fortine będzie wiedział, że wrócił. A on musi się przespać! Przejechał cały Pern wzdłuż i wszerz. Jeżeli nie zadba o własne zdrowie, sam padnie się ofiarą tej zarazy zanim jeszcze odkryje, co to właściwie jest.

Chwiejąc się na nogach przeszedł od łóżka do stołu.

„Nie budźcie mnie – napisał wielkimi literami i chwytając się drzwi, żeby nie upaść, przypiął wiadomość tam, gdzie wszyscy musieli ją zobaczyć.

Następnie opadł na wygodne łóżko, odprężył się i zasnął.

## Rozdział V

Weyr Fort, Przejście bieżące, 3. 11. 43

Moreta była przekonana, że zdrzemnęła się zaledwie na kilka minut, kiedy obudziła ją Orlith.

–Spałaś dwie godziny, a tymczasem Kaditha coś doprowadziło do szału.

–Co się stało? – Moreta z wielkim trudem oderwała głowę od poduszki, chociaż bolały ją nogi, a nie głowa. Czy od tańca, czy od wina, tego nie wiedziała i prawdopodobnie nie będzie miała czasu zastanowić się nad tym, jeżeli Sh'gall wyprawia jakieś fanaberie.

–Panuje jakaś choroba – powiedziała Orlith niepewnym głosem.

–Sh'gall poszedł najpierw do K'lona i obudził go.

–Obudził K'lona? – Moreta była oburzona; włożyła pierwszą lepszą tunikę, jaka jej wpadła w rękę. Ubranie było nieco wilgotne, w jej sypialni też było wilgotno i zimno. Widocznie pogoda musiała się zmienić.

–Nad Weyrem leży mgielka – uprzejmie doniosła jej Orlith. Ubierając się Moretę przeszedł dreszcz.

–Po co on właściwie budził K'lona? Ten człowiek jest chory i potrzebuje wypoczynku.

–On jest przekonany, że to K'lon przyniósł tu tę chorobę. W głosie Orlith wyczuwało się konsternację. K'lon był w Igenie.

–Klon często bywa w Igenie. Ma tam przyjaciela, zielonego jeźdźca.

Moreta opłukała twarz wodą, potem potarła zęby łydźką mięty. Niewiele to pomogło i w dalszym ciągu miała w ustach niesmak. Jedną ręką przygładziła krótkie włosy, a drugą sięgnęła po gruszkę goru, leżącą w misce. Może ten kwaśny owoc pomoże zneutralizować następstwa zbyt wielkiej ilości bendeńskiego wina.

–Moreto! – usłyszała od progu wołanie Sh’galla. Moreta zdążyła tylko pogłodzić Orlith po pysku, a już Sh’gall wpadł do pokoju. Królowa zamknęła powieki, udając, że śpi.

–Cały Pern ogarnęła jakaś choroba – zawołał Sh’gall. Ludzie umierają i nic nie można na to poradzić. Biegusy też umierają. Nikomu nie wolno opuszczać Weyru.

Zaskoczona Moreta dostrzegła w jego oczach przerażenie.

–Jutro będą opadały Nici, Sh’gallu. Jeźdźcy smoków muszą opuścić Weyr.

–Nie zbliżaj się do mnie. Może też jestem zarażony.

–Mógłbyś jednak podać mi trochę szczegółów – odezwała się spokojnie Moreta.

–To zwierzę, które pokazywano w Iście, było zarażone zabójczą chorobą. Ta choroba rozprzestrzeniła się z Igenu na stajnie Keroonu i na Telgar. Jest już nawet w Południowym Bollu! Ludzie poumierali na nią w Warowni Lorda Ratoshigana. A on został poddany kwarantannie przez Mistrza Capiama. My również!

–Mówisz, że chorują także biegusy? – Moreta z lękiem spojrzała na swoją smoczycę. – A smoki? – Dotykała tamtego biegusa i jeżeli zaraziła Orlith...

–Nie, nie! Capiam i Talpan doszli do wniosku, że one na to nie chorują. Kazali zabić to zwierzę. A przecież nie wyglądało na chore!

–Powiedz mi, proszę, jak ludzie mogli umierać w Południowym Bollu, skoro ten kot był jeszcze w Iście?

–Bo mamy epidemię! Zaczęła się, kiedy marynarze wywlekli to zwierzę z wody i przywieźli je do domu. Wszyscy chcieli je zobaczyć, więc zabrali je do Warowni Igen, potem do Keroonu i do Isty, zanim Talpan zdał sobie sprawę, że było ono nosicielem. Tak właśnie wyraził się Capiam: ten kot był nosicielem.

–I wystawiono go na pokaz na Istańskim Zgromadzeniu?

–Nikt się nie zorientował! Dopiero kiedy Talpan porozmawiał z Capiamem... On był we wszystkich objętych zarazą warowniach.

–Kto? Talpan?

–Nie, Capiam! Talpan jest uzdrowicielem zwierząt.

–Tak, wiem. – Moreta usiłowała zachować cierpliwość, chociaż wzburzony Sh’gall mówił bez ładu i składu. – O niczym takim nie wspomiano na Zgromadzeniu w Ruacie.

Sh’gall spojrzał na nią spode łba.

–Widocznie nikt o tym nie wiedział. Kto by zresztą rozmawiał o nieprzyjemnych sprawach na Zgromadzeniu! Jednakże ja właśnie odwiozłem Capiama do jego Siedziby. Musiałem też odwiedzić Ratoshigana i Capiama do Południowego Bollu, bo bębny podały pilną wiadomość. U niego umierali ludzie. Otrzymał też transport nowych biegusów z Keroonu; to prawdopodobnie one sprowadziły tę chorobę na zachód. – Sh’gall gwałtownie zadygotał. – Capiam mówił, że jeżeli nie dotykałem tego kota, to może nie zachoruję. Nie wolno mi chorować. Jestem Przywódcą Weyru. – Znowu wstrząsnął nim dreszcz.

Moreta popatrzyła na niego z niepokojem. Miał wilgotne włosy, przygniecione przez hełm. Wargi mu zsiniały, a twarz pobladła.

–Nie wyglądasz dobrze.

–Nic mi nie jest! Wykąpałem się w Lodowym Jeziorze. Capiam powiedział, że ta choroba jest jak Nici. A zimno zabija Nici.

Moreta podniosła swoją futrzaną opończę, którą zsunęła z ramion zaledwie dwie godziny temu, i ruszyła z nią w jego kierunku. – Nie zbliżaj się do mnie. – Sh’gall cofnął się o krok i wyciągnął ręce, jakby chciał ją odepchnąć.

–Sh’gall, przestań się wygłupiać! – Rzuciła mu opończę. Ubierz się, bo jak się przeziębisz, będziesz bardziej podatny na każdą chorobę. – Odwróciła się do stołu i nalała wina, w pośpiechu je rozchlapując. – Wypij to. Wino również odkaża. Nie, nie podejść do ciebie. – Z ulgą zobaczyła, że Sh’gall się uspokaja i zarzuca sobie opończę na ramiona; Moreta cofnęła się od stołu, żeby mógł dosięgnąć wina. – To była ostateczna głupota nurkować w Lodowym Jeziorze zanim wzeszło słońce, a potem lecieć w przestworza. Usiądź teraz i powiedz mi jeszcze raz, co zdarzyło się na Zgromadzeniu. Powtórz każde słowo Capiama.

Przysłuchiwała się jednym uchem temu, co mówił Sh’gall, równocześnie zastanawiając się, jakie środki ostrożności może podjąć i co należy zrobić, żeby jej Weyr zachował zdrowie.

–Z Południowego Kontynentu nigdy nie przychodzi nic dobrego! – podsumował Sh’gall. – Należałoby zabronić tam jeździć.

–Nigdy tego nie zakazywano. A teraz powiedz mi, jakie są objawy tej szerzącej się choroby? – Moreta przypomniała sobie krwawą wydzielinę z nosa padłego biegusa, jedyny zewnętrzny objaw jego śmiertelnej dolegliwości.

Sh'gall wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, aż wreszcie zebrał myśli.

–Gorączka. Chorzy gorączkują.

–Istnieje wiele typów gorączki, Sh'gallu.

–Berchar będzie wiedział. Capiam mówił, że gorączkują i mają ból głowy i suchy kaszel. Czemu by ludzie i biegusy mieli przez coś takiego umierać?

–O jakich lekarstwach mówił Capiam?

–Jak mógł coś radzić, skoro nie wiadomo, co to za zaraza? Ale dowiedzą się. Muszą tylko dobrze poszukać. Ach tak, powiedział, żeby objawy leczyć empirycznie.

–Czy wspomniał coś o okresie inkubacji? Nie możemy mieć w Weyrze takiej niekończącej się kwarantanny.

–Wiem. Jednak Capiam powiedział, że nie wolno nam się gromadzić. Gwałtownie zaatakował Ratoshigana za tłok w jego Warowni. – Sh'gall uśmiechnął się kąśliwie. – Ostrzegaliśmy tych panów i lordów, ale nie słuchali. Zapłacą teraz za to.

–Sh'gallu, Capiam musiał ci powiedzieć, jak długo trwa, zanim ta choroba się rozwinie.

Przywódca Weyru dopił wino. Zmarszczył brwi i potarł twarz.

–Jestem zmęczony. Czekałem przez pół nocy u Ratoshigana na Mistrza Uzdrawiciela. Powiedział, że choroba rozwija się przez dwa do czterech dni. Mam zakazać wszelkich zgromadzeń. Ten Weyr też ma swoje obowiązki. Muszę się trochę przespać. Ponieważ już się obudziłaś, ostrzeż wszystkich. – Rzucił jej twarde, ostrzegawcze spojrzenie. – I żebyś nie pocieszała ich na wszelkie możliwe sposoby.

–Epidemia to zupełnie coś innego, niż dodawanie ducha jeźdźcowi, którego smok uszkodził sobie skrzydło.

–I poszukaj Berchara. Chcę dokładnie wiedzieć, na co był chory K'lon. – Sh'gall wychował się w warowni i nie miał zrozumienia dla zielonych i błękitnych jeźdźców.

–Pomówię z Bercharem. – Sądziła, że go znajdzie u zielonego jeźdźca, S'gora.

–I uprzedzisz Weyr? – Wstał i zachwiał się na nogach ze zmęczenia i od wypitego na pusty żołądek wina. – Nikomu nie wolno opuszczać Weyru ani do niego przyjeżdżać. Dopilnuj, żeby stojący na warcie jeździec przekazywał wszystkim ten rozkaz! Pogroził jej palcem.

–Chyba trochę za późno trąbić na alarm, kiedy zagrażają nam, prawda? – odparł gorzko. – Powinno się było odwołać Zgromadzenia.

–Wczoraj jeszcze nikt nie wiedział, jakie to jest poważne. Natychmiast przekaz innym moje rozkazy!

Kurczowo otulając się futrem, Sh’gall wyszedł z weyru. Morecie głowa pulsowała z bólu. Dlaczego nie odwołano Zgromadzeń? Tylu ludzi było w Ruacie! I ci smoczy jeźdźcy ze wszystkich Weyrów, latający to do Isty, to do Ruathy! Co to jej mówił S’peren – choroba w Igenie, Keroonie i Telgarze? Nie wspominał jednak nic o żadnej epidemii. Ani o tym, żeby ktoś umarł. A tamten biegus Yandera? Czy Alessan nie mówił o nowym biegusie z Keroonu w gospodarstwie Yandera? Moreta aż jęknęła, kiedy pomyślała o długich szeregach boksów na terenie ruathańskich wyścigów. Jak bardzo niebezpieczny dla otoczenia był ten umierający biegus, kiedy tłoczyli się wokół niego jeźdźcy i chętni do pomocy widzowie? Nie powinna była się do tego mieszać. To nie jej sprawa!

–Martwisz się? – powiedziała Orlith, a jej oczy świeciły kojącym błękitem. – Nie powinnaś się martwić byle biegusem.

Moreta oparła się o głowę smoczycy, zaczęła głaskać ją po wyrostku kostnym nad okiem. Koiła swój niepokój, dotykając delikatnej skóry Orlith.

–Tu nie chodzi tylko o tego biegusa, moja najmilsza. W kraju panuje choroba. Gdzie jest Berchar?

–Razem ze S’gorem. Śpi. Jest jeszcze bardzo wcześnie i mgliście.

–A wczoraj był taki piękny dzień! – Przypomniała sobie, jak podczas tańca obejmowały ją ramiona Alessana, jak błyszczały wyzwaniem jego jasnozielone oczy.

–Dobrze się bawiłaś! – powiedziała Orlith z głęboką satysfakcją.

–Nie ma co do tego wątpliwości – westchnęła Moreta z żalem.

–Nic nie zmieni wczorajszego dnia – zauważyła filozoficznie Orlith, – Teraz musisz sobie radzić z dniem dzisiejszym. – Kiedy Moreta zaśmiała się na tę smoczą logikę, królowa dodała: – Leri życzy sobie z tobą mówić, skoro już się obudziłaś.

–Tak, Leri mogła już kiedyś coś kiedyś słyszeć o jakiejś epidemii. Może będzie wiedziała, jak mam o tym powiadomić Weyr na dzień przed Opadem.

Ponieważ Sh’gall zabrał jej opończę, Moreta narzuciła na siebie swoją kurtkę do lotów. Jak zwykle Orlith miała rację co do pogody. Kiedy Moreta wyszła z weyru, kierując się na schody prowadzące do Leri, z gór spływały już kłęby mgły. Nici jutro opadną niezależnie od wszystkiego. Jeżeli wiatr nie rozwieje mgły, prawdopodobieństwo zderzeń potroi się. Smoki widziały we mgle, ale ich jeźdźcy nie i czasami dochodziło do kolizji z nagimi zboczami gór.

–Orlith, powiedz smokowi wartownikowi, że nikogo, ani żadnego smoczego jeźdźca, ani gospodarza, nie wolno dzisiaj wpuszczać do Weyru. I nikomu nie wolno również Weyru opuszczać. Ten rozkaz ma zostać przekazany wszystkim jeźdźcom na warcie.

–A kto by chciał odwiedzać Weyr w taką mgłę? – zapytała Orlith. – I to następnego dnia po dwóch Zgromadzeniach.

–Orlith!

–Przekazałam wiadomość. Balgeth jest taki śpiący, że nawet nie zapytał, o co tu chodzi.

Głos Orlith brzmiał podejrzenie potulnie.

–Dzień dobry, Holth – powiedziała uprzejmie Moreta, wchodząc do pomieszczeń starej Władczyni Weyru.

Holth na moment uniosła głowę, a potem zamknęła powieki i wtuliła łeb jeszcze bardziej między przednie łapy. Stara królowa była już niemal spiżowa ze starości.

Obok niej na skraju kamiennego podestu, który był legowiskiem smoczycy, siedziała na stosie poduszek Leri, owinięta w grube koce. Leri mówiła, że sypia obok Holth zarówno dla ciepła, które smoczyca zgromadziła w sobie, wygrzewając się na słońcu przez tyle Obrotów, jak i po to, żeby oszczędzić sobie kłopotów z chodzeniem. Przez ostatnich kilka Obrotów stawy Leri buntowały się, jeżeli ich nadużywała. Wielokrotnie już Moreta i Capiam nalegali na nią, żeby wykorzystwała stałe zaproszenie z Weyru Ista i przeniosła się na południe. Leri nieugięcie odmawiała, oświadczając, że nie jest wężem tunelowym, żeby zmieniać skórę:

urodziła się w Weyr Forcie i miała zamiar dożyć swoich Obrotów we własnym domostwie, razem z kilkorgiem starych przyjaciół, którzy jej jeszcze zostali.

–Słyszę, że bawiłaś dłużej, niż do pierwszej straży – powiedziała Leri. Uniosła brwi pytająco. – Czy to dlatego Sh’gall tak ci wymyślał?

–On nie wymyślał. Wyrażał ubolewanie. Na Pernie wybuchła, epidemia.

Z twarzy Leri zniknęło rozbawienie, a pojawiła się troska.

–Co? Nigdy nie mieliśmy epidemii na Pernie. Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Ani nie czytałam.

Ponieważ ruchliwość Leri ograniczały dolegliwości stawowe, podjęła się prowadzenia kronik, żeby Moreta miała więcej czasu na leczenie. Leri często przerzucała co starsze kroniki w poszukiwaniu „ploteczek”, jak to określała.

–Na Skorupy! A ja miałam nadzieję, że gdzieś coś wyczytałaś. Coś, co by nam dodało otuchy!

–Może za mało cofnęłam się w czasie i dlatego nie doszłam jeszcze do tak ekscytujących rzeczy, jak epidemie. – Leri rzuciła Morecie poduszkę ze swojego stosu i władczo wskazała jej mały, stojący z boku stołeczek dla gości. – Na ogół zdrowi z nas ludzie. Najczęściej zdarza nam się łamać kości, spalają nas Nici, czasami dopadają jakieś gorączki, ale nie jest to nic o zasięgu kontynentalnym. Co

to jest za choroba?

–Mistrz Capiam jeszcze nie postawił diagnozy.

–Oj, nie podoba mi się to! – Leri podniosła oczy do góry. A wczoraj mieliśmy dwa Zgromadzenia, prawda?

–Nie doceniano w pełni niebezpieczeństwa. Mistrz Capiam i Talpan...

–Ten Talpan, który był twoim przyjacielem?

–Tak, został uzdrowicielem zwierząt i to on zorientował się, że ten kot, którego pokazywano w Iście, jest nosicielem choroby.

–Ten wielki kot z Południowego Kontynentu? – Leri cmoknęła. – A jakiś cholerny idiota woził tego zwierzaka tu i tam i wystawiał go na pokaz, tak że wszędzie mamy teraz chorobę! Zaś wszyscy jeźdźcy, łącznie z naszym szlachetnym Przywódcą Weyru, polecieli rzucić na niego okiem!

–Sh'gall mówił nieco nieskładnie, ale zrozumiałam, że zabrał Lorda Ratoshigana i polecieli do Isty zobaczyć tego kota; potem przybył Capiam, który wcześniej pojechał do Warowni Morskiej w Igenie, do Keroonu i do Telgaru, żeby zobaczyć, co im dolega...

–Na wielką Faranth! Moreta skinęła głową.

–I oczywiście do Isty. Potem Ratoshigan otrzymał pilną wiadomość, wzywającą go do powrotu z powodu choroby, więc Sh'gall przewiózł Ratoshigana i Mistrza Capiama.

–Jakim cudem ta choroba dotarła tam tak szybko? Przecież to zwierzę nie było dalej niż w Iście!

–Tak, ale najpierw było w Stajniach Keroonu, gdzie Mistrz Sufur miał je zidentyfikować. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że jest ono nosicielem choroby.

–A ponieważ zima nie była ostra, biegusy rozsyłano już po całym kontynencie! – zakończyła. Leri i obydwie kobiety spojrzały na siebie z powagą.

–Talpan powiedział Capiamowi, że smoki na to nie chorują.

–Przynajmniej za to powinniśmy być wdzięczni losowi – powiedziała Leri.

–A jutro jest Opad. Stanie się to, zanim ktoś z nas zachoruje, gdyż okres inkubacji trwa dwa do czterech dni.

–Niewiele nam to pomoże, prawda? Chociaż ty nie byłaś w Iście. – Leri zmarszczyła brwi.

–Nie, ale Sh'gall był. Jednakże w Ruacie podczas drugiego biegu jeden z biegusów nie wiadomo dlaczego upadł...

Leri skinęła głową. Teraz rozumiała wszystko.

–A ty oczywiście stałaś wystarczająco blisko, żeby mu się dobrze przyjrzeć. Czy ten biedak zdechł?

–Tak, a pochodził z Keroonu.

–Ohoooo! – Leri wzniosła oczy do góry i westchnęła z rezygnacją. – Jakie więc lekarstwa zaleca Capiam? Chyba już coś wymyślił, skoro latał po całym kontynencie?

–Zaleca, żeby tymczasem objawy leczyć empirycznie.

–A cóż to są za objawy?

–Ból głowy, gorączka i suchy kaszel.

–Od tego się nie umiera.

–Tak było dotąd.

–Nie podoba mi się to wszystko – powiedziała Leri, naciągając szal na ramiona. – Chociaż wiesz co, mieliśmy tu kiedyś takiego harfiarza – Umai przegonił go, bo był strasznym ponurakiem – który zwykł mówić, że „nie ma nic nowego pod słońcem”. Niewielka to nadzieja w tych okolicznościach, ale sadze, że nie wolno nam niczego zaniedbać. Przynieś mi więcej kronik. Tych z zeszłego Przejścia. Na szczęście nigdzie się nie wybierałam dziś rano.

Moreta uśmiechnęła się, ponieważ Leri opuszczała swój weyr wyłącznie wtedy, kiedy miała lecieć ze skrzydłem królowych.

–Sh' gall tobie powierzył zawiadomienie Weyru?

–Mam powiadomić wszystkich tych, którzy nie śpią, I Nesso...

Leri parsknęła.

–To od niej należy zacząć. Upewnij się, że dobrze wszystko rozumiała, bo w innym razie już w południe ludzie wpadną w histerię. Może zechciałabyś, Moreto, przygotować mi wino? Leri poruszyła się niespokojnie. – Ta zmiana pogody nie najlepiej wpływa na moje stawy. Jeżeli sama przygotujesz wino, będziesz miała pewność, że nie przekroczę właściwej dawki soku fellisowego. – Spojrzała z ukosa na młodą Władczynię Weyru. Morecie nie podobało się to, że Leri zażywa tyle soku fellisowego. W ogóle mogłaby się obyć bez niego, gdyby tylko udała się na południe, gdzie ulgę przyniosłaby jej cieplejsza pogoda.

Od wilgotnego zimna sama czuła się zeszywniała, więc Leri musiało być bardzo źle.

–A teraz powiedz mi, czy dobrze bawiłaś się na Zgromadzeniu? – zapytała Leri, kiedy Moreta odmierzała sok fellisowy do jej wysokiego pucharu.



–Tak, świetnie. Poszłam na tereny gonitw i oglądałam większość wyścigów razem z Lordem Alessanem.

–Co? Zajmowałaś czas Lordowi Alessanowi, kiedy wszystkie panny na wydaniu...

–Spełniał swoje obowiązki wobec tych dziewczyn na placu do tańca. A nam – uśmiechnęła się szeroko – udało się utrzymać na nogach w tańcu z podrzutem!

–To dobrze, że Alessan doszedł już do siebie po śmierci tej szalonej dziewczyny, z którą się ożenił. Smutne to było! A przecież jego dziadek, ojciec Leefa... ale pewnie o tym wszystkim już słyszałaś. Mam zwyczaj pogawędzić chwilę z Alessanem, kiedy drużyny naziemne zgłaszają się z raportem. On zawsze ma przy sobie flaszkę bendeńskiego wina.

–Doprawdy? Leri roześmiała się.

–Czyżby na tobie również próbował tych sztuczek, i to na swoim własnym Zgromadzeniu? – Leri głośno zachichotała, a potem rzekła udając jego głos: – Tak się składa, że mam tu bukłak białego bendeńskiego wina... – Roześmiała się jeszcze serdeczniej, widząc reakcję Morety. – Pewnie ma go całą jaskinię. Cieszę się jednak, że to jemu Leef polecił objąć sukcesję. Ma więcej odwagi i fantazji, niż ten jego starszy brat – nigdy nie mogłam zapamiętać, jak się nazywa. Nic nie szkodzi. Alessan jest wart trzech takich, jak on. Czy wiedziałaś, że smoki wybrały Alessana w trakcie Poszukiwania?

–I że Lord Leef nie wyraził zgody. – Moreta zmarszczyła brwi. Z Alessana byłby wspaniały spizowy jeździec.

No cóż, jeżeli ten chłopak miał być jego następcą, to Lord Leef słusznie uczynił, odmawiając. To było dwanaście Obrotów temu. Zanim przybyłaś tu z Isty. Jestem pewna, że Alessan byłby Naznaczył spizowego smoka.

Moreta skinęła głową i podała Leri wino z sokiem fellisowym. Twoje zdrowie! – powiedziała Leri z ironią, podniosła czarę i ostrożnie upiła łyk wina. – Hm. Spróbuj dziś troszkę odpocząć, Moreto. Dwie godziny snu nie wystarczą, skoro jutro mamy Opad Nici. Kto wie, ilu smoczycich jeźdźców będzie wyrabiało różne głupoty z powodu tych dwóch Zgromadzeń, nie mówiąc już o niezidentyfikowanej chorobie Capiama.

–Odpocznę trochę, jak załatwię parę spraw.

–Czasami zastanawiam się, czy dobrze zrobiliśmy z L'malem, zachowując twoją sztukę uzdrawiania wyłącznie dla Weyru.

–Otóż to! – odpowiedziała Moreta, a Holth i Orlith zawtórowały jej.

–Nie ma sensu zadawać sobie takich głupich pytań. – Leri uspokoiła się i poklepała Holth po policzku.

No właśnie. A jakie kroniki mam ci przysłać?

–Najstarsze, jakie znajdziesz, które dadzą się jeszcze odczytać.

Moreta rzuciła Lerii pożyczoną od niej poduszkę.

–I żebyś mi coś zjadła! – zawołała Leri, kiedy Moreta odwróciła się i wyszła z weyru.

Pasma mgły przesączały się w kierunku zachodniego obrzeża Niecki, a jeździec wartownik usadowił się pomiędzy przednimi łapami swojego smoka, usiłując znaleźć jakąś osłonę. Morelę przeszedł dreszcz. Nawet po dziesięciu Obrotach nie polubiła tych pomocnych mgieł, ale z podobną niechęcią traktowała wilgotne upały w Iście. A dawno minął już czas, żeby wrócić na mające przyjemny klimat wyżyny Keroonu. Czy ta choroba panowała również na wyżynach? Przecież to Talpan ją zdiagnozował! Jakie to dziwne, że wczoraj przez cały czas o nim myślała. Czy ta epidemia znowu ich ze sobą połączy?

Zaczęła schodzić na dno Niecki. Najpierw odwiedzi K’lona, potem odszuka Berchara, nawet jeżeli miałyby to oznaczać zakłócenie spokoju weyru S’gora.

Kiedy doszła do infirmerii, Klona spał, a na jego czole nie było już ani kropelki potu wywołanego gorączką. Jego jasna skóra miała zdrowy odcień, a na policzkach – tam, gdzie nie okrywały ich osłony na oczy – była wysmagana wiatrem. Berchar leczył K’lona od pierwszych dni jego choroby i Moreta nie widziała powodu, żeby budzić błękitnego jeźdźca.

O tej porze pokazali się już w Niecce spowici w wirującą mgłę ludzie, którzy rozpoczęli przygotowania do mającego nastąpić za dobę Opadu Nici. Okrzyki i śmiech weyrzątek, napełniających worki smoczym kamieniem, tłumione były przez mgłę. Moreta pomyślała, że warto sprawdzić u Mistrza Weyrzątek, Fneldrila, ile weyrzątek wylosowało poprzedniego dnia dyżur przy przewożeniu ludzi. To rzadkie zwierzę w Iście z łatwością mogło niektóre z nich skusić do nieposłuszeństwa, pomimo surowych rozkazów, że po dowiezieniu na miejsce pasażerów mają natychmiast wracać.

–Przyłóżcie się do pracy, chłopaki. Oto Władczyni Weyru przyszła dopilnować, żeby worki na jutrzejszy Opad były napełnione jak trzeba.

Powszechnie uważano w Forcie, że Fneldrila słuchały wszystkie tutejsze smoki, już jako weyrzątka znajdujące się pod jego kuratelą. „Rzeczywiście musi mieć niesamowite wyczucie – pomyślała Moreta – jeżeli zdołał zobaczyć mnie przez falującą mgłę.” Pojawił się tuż przy niej. Był mężczyzną o czerstwej twarzy, którą od czoła do ucha przecinała głęboka blizna po Niciach. Przy uchu brakowało mu małżowiny, ale Moreta zawsze go lubiła. Był jednym z jej najbliższych przyjaciół w Weyr Fortie.

–Jak się masz, Władczyni Weyru? A co z Orlith? Już niedługo będzie składać jaja, prawda?

–Pojawią się następne weyrzątka, które będziesz mógł tyranizować, Fneldrilu.

–Ja? – Wskazał na swoją pierś długim, zakrzywionym kciukiem, – Ja? Tyranizować?

Jednakże to zwyczajowe przekomarzanie nie podniosło jej na duchu.

–Marny kłopoty, Fneldrilu...

–Któryś coś przeszkrobał? – zapytał.

–Nie, to nie twoje weyrzątka. Jakaś choroba o zasięgu epidemii szerzy się na południowym wschodzie i kieruje na zachód. Chcę wiedzieć, ile weyrzątek miało wczoraj dyżur przy przewożeniu ludzi, gdzie zabierali swoich pasażerów i jak długo pozostawali w Iście. Cały Weyr będzie odpowiadał na te same pytania. Jeżeli mamy zapobiec szerzeniu się epidemii, musimy to wiedzieć.

Dowiem się dokładnie. Jak chodzi o to, nie bój się, Moreta.

–Ja się nie boję, ale musimy unikać paniki, chociaż sytuacja jest bardzo poważna. A Leri chciałaby, żeby przyniesiono jej najstarsze kroniki, które się jeszcze dadzą odczytać.

–A czymże w takim razie zajmuje się Mistrz Uzdrawicieli wszyscy jego uczniowie, skoro sami musimy wykonywać tę robotę?

–Im więcej nas będzie szukać, tym szybciej znajdziemy; im szybciej znajdziemy, tym lepiej – odparła Moreta.

–Leri dostanie swoje kroniki, jak tylko chłopcy skończą ładować w worki smoczy kamień i trochę się obmyją. Przecież kurz z kamienia nie może poplamić kronik... Hej, ty tam, M'baraku, dosyp jeszcze do worka.

Fneldril nigdy nie zabierał się do następnej pracy, póki nie skończył tego, co robił. Moreta nie miała jednak wątpliwości, że Leri nie będzie musiała długo czekać na kroniki.

Poszła do Niższych Jaskiń i na chwilę przystanęła na progu patrząc, jak niewielu ludzi zajmowało miejsca przy stołach. Większość z nich miała potężnego kaca. Jakże to fatalne, że epidemia wybuchła następnego dnia po dwóch Zgromadzeniach, kiedy połowa jeźdźców uzna tę wiadomość za kiepski kawał, a reszta nie będzie na tyle trzeźwa, żeby się zorientować o co chodzi. I do tego jutro jest Opad Nici! Jak miała powiadomić mieszkańców Weyru, jeżeli większość z nich była nieosiągalna?

–Jak zjesz, to zaraz coś wymyślisz – usłyszała głos swojej smoczycy.

Doskonały pomysł. – Moreta podeszła do niewielkiego paleniska śniadaniowego, nalała sobie kubek kłahu, dodała wielką łyżkę słodzika, wzięła świeżą bułkę z piecyka, gdzie się grzały, i rozejrzała się, gdzie by tu usiąść i porozmyślać. A potem zobaczyła Peterpara, pasterza Weyru, który ostrzył nóż do podcinania kopyt. Włosy miał zmierzwiłone, a twarz zmiętą ze snu. Nie zwracał na nic uwagi, zajęty mocowaniem ostrza na pasie.

–Nie skalecz się – powiedziała cicho, siadając. Peterpar drgnął na jej głos, ale nie przerwał swego zajęcia.

–Czy byłeś wczoraj w Iście albo Ruacie?

–Niestety tu i tam. W Iście piłem piwo, a w Ruacie ohydne kwaśne wino z Tilleku.

–Czy widziałeś w Iście tego kota? – Moreta uważała, że należy go powiadomić w sposób jak najbardziej delikatny.

–Tak. – Peterpar zmarszczył brwi. – Był tam Mistrz Talpan. Powiedział, żeby nie podchodzić za blisko, to zwierzę było w klatce. Kazał ci przekazać ukłony. A potem – Peterpar zmarszczył się, jak gdyby nie całkiem ufał swojej pamięci – oni pozbyli się tego zwierzęcia.

–Mieli ku temu powody. – I Moreta wszystko mu powiedziała.

Peterpar zamarł bez ruchu. Natychmiast jednak odzyskał zimną krew.

–Co ma być, to będzie. – I znów zaczął ostrzyć nóż.

–Z którego gospodarstwa pochodziły te biegusy, które otrzymaliśmy jako daninę? – zapytała Moreta i łyknęła kłahu.

–Z Tilleku. – Na twarzy Peterpara odbiła się ulga. – Słyszałem w Iście, że biegusy z Keroonu na coś chorują. Czy o to właśnie chodzi?

Skinęła głową.

–Jak może wielki kot, pochodzący z Południowego Kontynentu, zarazić ludzi i zwierzęta?

–Mistrz Talpan stwierdził, że tak się właśnie stało. Ani ludzie, ani biegusy nie wykazują żadnej odporności na tę chorobę, którą przyniósł ten wielki kot.

Peterpar skrzywił się.

–A więc na to był chory ten biegus, który padł trupem w czasie wyścigów w Ruacie?

–Całkiem prawdopodobnie.

–Tillek nie otrzymuje biegusów rozplodowych z Keroonu. Jak tylko skończę kłah, sprawdzę nasze stada. – Schował nóż do kopyt do pochewki, zwinął pas do wecowania i wepchnął go do kieszeni tuniki. – Smoki na to nie zapadają?

–Mistrz Talpan uważa, że nie. Jednakże jeźdźcy mogą zachorować.

–My, mieszkańcy Weyrów, jesteśmy twardzi – powiedział z dumą Peterpar. – Będziemy teraz

ostrożni. Sama zobaczysz. Niewielu z nas zapadnie na tę chorobę. Nie martw się teraz tym, Moreto. Przecież jutro Opad.

Moreta pomyślała, że pociecha przychodzi z najmniej spodziewanej strony. Ludzie Weyrów byli tacy odporni dlatego, że odżywiali się właściwie. Wielu chorobom można zapobiec, albo złagodzić ich skutki, dzięki odpowiedniej diecie. Jednym z jej najważniejszych obowiązków jako Władczyni Weyru było zmienianie diety z sezonu na sezon. Moreta rozejrzała się po jaskini, żeby zobaczyć, czy Nesso już wstała. Lepiej zawiadomić ją natychmiast; informacje tego rodzaju Nesso przekaże wszystkim z rozkoszą.

–Nesso, chciałam cię prosić, żebyś do gulaszu przez pewien czas dodawała ostre pory i białe bulwy.

Nesso w charakterystyczny dla siebie sposób pociągnęła z urazą nosem. – Właśnie zamierzałam to uczynić, a w porannych bułeczkach jest cytron. Gdybyś zjadła przynajmniej jedną, to byś sama wiedziała. Szczypta zapobiegliwości warta jest funta leczenia.

–Miałas już takie plany? Więc słyszałaś o tej chorobie? Nesso znowu siąknęła nosem.

–Jak już obudzono mnie o pierwszym brzasku...

–Sh’gall ci powiedział?

–Nie, nie powiedział mi. Łaził dookoła paleniska i mówił sam do siebie, jakby go coś opętało, nie zważając na tych, którzy spali w pobliżu.

Moreta wiedziała bardzo dobrze, dlaczego Nesso zgłosiła się do dyżuru przy nocnym palenisku w noc Zgromadzenia. Ta wścibska kobieta uwielbiała przyłapywać ludzi wymykających się z Weyru i wślizgujących do niego; dawało jej to swego rodzaju poczucie władzy.

–Kto jeszcze o tym wie?

–Wszyscy, którym powiedziałaś, zanim przyszałaś do mnie. Rzuciła przez ramię ponure spojrzenie na Peterpara, który ciężkim krokiem wychodził z Jaskini.

–A co mówił Sh’gall? – Moreta znała skłonność Nesso do plotek i do przekręcania zasłyszanych wiadomości

–Że na Pernie wybuchła epidemia i wszyscy umrą. – Nesso rzuciła Morecie pełne oburzenia spojrzenie. – Przecież to jakaś głupota.

–Tak stwierdził Mistrz Capiam.

–No, przynajmniej dobrze, że u nas jej nie ma! – Nesso machnęła chochlą, – Klon czuje się dobrze, śpi jak niemowlę chociaż obudzono go i przesłuchiowano. To gospodarze umierają od epidemii. – Nesso czuła pogardę dla wszystkich, którzy niebyli ściśle związani z Weyrami. – A czegoż innego

można się spodziewać, jeśli upycha tyle ludzi na powierzchni, która by nawet na nie starczyła dla whera – stróża! – Całe oburzenie Nesso zniknęło, kiedy podniosła wzrok i zobaczyła wyraz twarzy Morety. – Ty mówisz na serio? – Oczy jej się rozszerzyły. – Myślałam, że Sh’gall wypił za dużo wina! Och! Przecież wszyscy byli albo w Iście, albo w Ruacie! – Nesso mogła kochać plotki, ale niebyła głupia i natychmiast pojęła grozę sytuacji. Otrząsnęła się, wzięła chochlę, wytarła ją ścierką i tak zamieszała owsiankę, że aż chlusnęła na rozpalony czarny kamień. – Jakie są objawy?

–Ból głowy, gorączka, dreszcze, suchy kaszel.

–To pojawiło się u K’lona.

–Jesteś pewna?

–Oczywiście, że jestem pewna. Jednakże K’lon czuje się już dobrze. Mieszkańcy Weyrów mają dobre zdrowie! – Zapewnienia Nesso, podobnie jak zapewnienia Peterpara, nieco pocieszyły Moretę. – Z K’lonem nikt się nie widział oprócz ciebie, kiedy do niego wczoraj zagłądałaś, i Berchara, który go leczył ale on już wtedy wracał do zdrowia. Wiesz, nie trzeba chyba od razu opowiadać wszystkim o tych objawach. Dziś rano i tak ludzie będą się uskarżali na ból głowy, gdyż ostatniej nocy zmogła ich epidemia wina. – Znów zamieszała owsiankę i odwróciła się do Morety. – Jak długo trwa rozwój choroby?

–Capiam mówi, że dwa do czterech dni.

–No to przynajmniej jeźdźcy będą mogli skupić się na jutrzejszym Opadzie.

–Ludziom zakazano gromadzenia się. Nie wolno do Weyru wpuszczać żadnych gości, ani nikogo wypuszczać. Powiedziałam to już jeźdźcowi wartownikowi.

–I tak mało prawdopodobne, żeby ktoś przyjechał, po wczorajszych Zgromadzeniach. W dodatku jest taka mgła, że nie widać drugiego skraju Niecki. Berchara znajdziesz w weyrze S’gora.

–Tak przypuszczałam. I nie przeszkadzajcie Sh’gallowi.

–Co? – Nesso uniosła brwi. – Czy on sobie wyobraża, że już zapadł na tę chorobę? Przecież jutro Opad Nici. Co mam powiedzieć przywódcom skrzydeł, jeżeli będą o niego pytali?

–Powiedz, żeby przyszli do mnie. On nie jest chory, ale woził wczoraj Mistrza Capiama i jest bardzo wyczerpany.

Tymi słowami Moreta pożegnała Nesso. Jak się Sh’gall wyśpi, przejdzie mu ten pierwszy atak paniki i jak zawsze będzie czekał z podnieceniem na Opad. Lubił przewodzić skrzydłom bojowym.

Kiedy Moreta wyszła z Niższej Jaskini, dostrzegła kłębiącą się mgłę.

„Orlith, czy skontaktujesz się z Malth i poprosisz, żeby podrzuciła mnie do jej weyru?” – Moreta

zapytała w myślach swoją smoczycę.

„Sama przylecę” – odpowiedziała Orlith.

„Wiem, że przyleciałabyś, najmilsza, ale jesteś ciężka od jaj, a na dworze panuje gęsta mgła. Zresztą w ten sposób uprzedzę ich, że się do nich wybieram.”

„Malth zaraz przyleci.”

Coś w głosie Orlith nasunęło Morecie myśl, że Malth niezbyt chętnie posłuchała wezwania. Malth powinna wiedzieć, że Władczyni Weyru nie żądałaby tego bez powodu.

„Malth wie” – usłyszała natychmiast Orlith.

W tejże chwili z mgły wynurzyła się zielona smoczyca i usadowiła się tuż obok Morety.

„Wyraź jej moją wdzięczność, Orlith.”

„Zrobiłam to.”

Moreta przerzuciła nogę przez grzebień grzbietowy Malth. Zawsze czuła się nieswojo, kiedy dosiadała smoka o tyle mniejszego niż jej królowa. Nie ma obawy, zielona smoczyca, której jeździec, S’gor, był wysokim, zwalistym mężczyzną, uniesie ją bez trudu.

Malth odczekała z szacunkiem chwilę, chcąc mieć pewność, że Moreta się usadowiła, a potem lekko podskoczyła i dała nura w oślepiającą mgłę; dezorientowało to Moretę, chociaż w pełni ufała Malth.

„Gdybyś siedziała na mnie, to byś się nie martwiła – powiedziała Orlith żałośnie. – Jeszcze nie jestem taka ociężała od tych jaj!”

„Wiem, najmilsza!”

Malth szybowała przez moment w szarym mroku, a potem wylądowała na półce przed weyrem.

–Dziękuję ci, Malth! – Moreta powiedziała to donośnym głosem, chcąc uprzedzić mieszkańców weyru. Zsiadła i ruszyła w kierunku blasku światła. Nie widziała nawet swoich stóp na półce skalnej. Obejrzała się na smoka, który jak gdyby wisiał w powietrzu. Oczy Malth zawirowały, dodając jej odwagi.

–Nie wchodź tutaj – zawołał S’gor, a jego postać zasłoniła światło.

–S’gorze, naprawdę nie mogę stać tutaj we mgle. Uprzedziłam was już dawno o moim przybyciu.

–To ta epidemia, Moreto, Berchar zachorował. Strasznie źle się czuje. Powiedział, żeby nie wpuszczać nikogo do weyru. Moreta zdecydowanie szła naprzód, S’gor cofnął się do alkowy

sypialnej i stanął z rozpostartymi ramionami, zasłaniając wejście.

–Muszę z nim pomówić, S’gorze.

–Nie, Moreto. Nic ci to nie da. On majaczy. I mnie nie dotykaj. Prawdopodobnie też się zaraziłem...  
– S’gor odsunął się na bok, wołał ją wpuścić, żeby go tylko nie dotknęła. Usłyszeli bredzenie chorego w gorączce człowieka. – Sama widzisz.

Moreta odsunęła zasłonę oddzielającą część sypialną od weyru i stanęła na progu. Nawet w tym przyćmionym świetle widać było zmiany, jakich w Bercharze dokonała choroba. Rysy miał ściągnięte gorączką, skórę bladą i wilgotną. Moreta zobaczyła, że jego torba z lekami leży otwarta na stole, i podeszła do niej.

–Od jak dawna jest chory? – zapytała, biorąc jedną z butelek.

–Już wczoraj źle się czuł. Strasznie go bolała głowa, więc nie pojechaliśmy na żadne ze Zgromadzeń.  
– S’gor nerwowo przebierał palcami po buteleczkach. – Przy śniadaniu był jeszcze zupełnie zdrow. Wybieraliśmy się do Isty, żeby zobaczyć to zwierzę. Potem Berchar powiedział, że głowa mu pęka z bólu i musi się położyć.

–Zażył słodki korzeń na ból głowy?

–Wierzbowy salicyl – S’gor podniósł do góry buteleczkę z kryształkami.

–A potem słodki korzeń?

–Tak, ale nic mu nie pomogło. W południe był już cały rozpalony. Uparł się, żeby dać mu tojad. Kiedy zdziwiłem się, ofuknął mnie, żebym nie podawał w wątpliwość tego, co mówi uzdrowiciel. Dziś rano kazał naparzyć sobie pierzastej paproci, co zrobiłem, i powiedział mi, żebym dodał dziesięć kropli soku fellisowego.

Moreta nie okazała zdziwienia. Tojad na ból głowy i gorączkę? Pierzasta paproć i sok fellisowy, to co innego.

–Czy miał wysoką gorączkę?

–W każdym razie wiedział, co robi.

–Jestem pewna, że wiedział, S’gorze. On jest Mistrzem Uzdrowicielem, a Weyr Fort miał szczęście, że skierowano go do nas. Co jeszcze kazał ci zrobić?

–Kazał nie wpuszczać żadnych gości – Popatrzył z urazą na Moretę. Moreta nawet okiem nie mrugnęła i czekała, aż jeździec znowu się opanuje. – Mieliśmy mu podawać esencję z pierzastej paproci co dwie godziny, aż gorączka opadnie, i sok fellisowy co cztery godziny.

–Czy uważał, że zaraził się od K’lona?



–Berchar nigdy by ze mną nie mówił o swoich pacjentach!

–Szkoda, że tym razem tego nie zrobił. S’gor spojrział na nią przerażony.

–Czy K’lon czuje się gorzej?

–Nie, śpi sobie spokojnie. Chciałabym zamienić kilka słów z Bercharem, kiedy mu opadnie gorączka, S’gorze. Nie omieszkaj mnie zawiadomić. To bardzo ważne. – Opuściła wzrok na chorego. Jeżeli K’lon zapadł na tę samą chorobę, którą Mistrz Capiam zdiagnozował jako epidemię, to czemu wyzdrowiał, skoro ludzie na południowo-wschodnim Pernie umierali? Czy mogło to wynikać z warunków życia w gospodarstwach i warowniach? Czy nadmierne zatłoczenie gospodarstw i wyjątkowo jak na tę porę roku ciepła pogoda sprzyjały rozszerzaniu się tej choroby? Zdała sobie sprawę, że jej milczenie przeraża S’gora. – Rób, co ci Berchar polecił. Dopilnuję, żeby ci więcej nie zakłócano spokoju. Każ Malth powiadomić Orlith, kiedy Berchar będzie mógł ze mną rozmawiać. I nie zapomnij podziękować Malth, że mnie tu przyniosła.

S’gor nieobecny wzrokiem wpatrywał się w dal, co wskazywało na to, że rozmawia ze swoim smokiem. Uśmiechnął się, patrząc na Moretę.

–Malth mówi, że zrobiła to z miłą chęcią, a teraz zabierze cię na dół.

Opadanie przez gęstą mgłę do Niecki robiło niesamowite wrażenie.

„Malth nie ośmieliłaby się upuścić swojej Władczynie Weyru” – powiedziała zdecydowanie Orlith.

„Szczерze wierzę, ale jest taka mgła, że nic nie mogę dostrzec.” Zielona smoczyca zgrabnie wyhamowała skrzydłami i wylądowała z Moreta w tym samym miejscu przy Niższych Jaskiniach, skąd wystartowała. Kiedy Malth wracała do swojego weyru, mgła zafalowała wielką spiralą.

„Użył pierzastej paproci, żeby obniżyć gorączkę – myślała Moreta. – Tojad na uspokojenie serca? Aż taka wysoka gorączka? I sok fellisowy na bóle. Sh’gall nic nie mówił, żeby Capiam wspominał coś o bólach.” Żałowała, że nie miała okazji porozmawiać z Bercharem. Może powinna sprawdzić, czy nie obudził się K’lon?

„Śpi – powiedziała Orlith. – I ty powinnaś się trochę przespać.”

Teraz, kiedy opadło podniecenie wywołane zaskakującą wiadomością, przyniesioną przez Sh’galla, Moreta poczuła ogromne znużenie. Poranna mgła tak zgęstniała, że można się zgubić, próbując znaleźć infirmerię.

„Mnie zawsze znajdziesz – zapewniła ją Orlith. – Skręć troszkę na lewo, a potem kieruj się prosto na mnie. Doprowadzę cię bezpiecznie z powrotem do weyru.”

–Prześpię się tylko parę godzin – powiedziała Moreta. Zrobiła wszystko, co było w jej mocy, a lekarstwa sprawdzi, zanim pójdzie na górę do weyru. Skręciła w lewo.

„A teraz idź prosto” – doradziła jej Orlith.

Nie było to takie łatwe do wykonania. Po kilku krokach straciła już nawet z oczu jaskrawożółte światło z Niższych Jaskiń; kierując się wskazówkami Orlith ufnie szła dalej, a mgła wirowała z tyłu i rozstępowała się przed nią za każdym krokiem.

K’lon wyzdrowiał. Jeżeli nawet gospodarze umierali, K’lon, smoczy jeździec, wyzdrowiał. Sh’gall był bardzo zmęczony, i może nie wszystko właściwie zrozumiał. S’peren mówił coś o chorobie. Jutro ma być Opad Nici, a ona tak się świetnie bawiła, tylko że ten biegus padł martwy.

„Nie zamartwiaj się – poradziła jej Orlith. – Zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy. Nikomu więcej nie możesz o tym powiedzieć, zanim się ludzie obudzą. Na pewno coś będzie w kronikach. Leri to znajdzie.”

–To ta mgła tak mnie przygnębia. Czuję się, jak gdybym już od dawna szła donikąd.

„Już jesteś blisko mnie. Jesteś niemal na schodach.” Moreta natrafiła stopą o najniższy stopień. Z tyłu napływały kłęby mgły. Wymacała ścianę, a potem framugę drzwi do magazynu. Zamek w drzwiach był tak stary, że Moreta nieraz zastanawiała się, po co się go w ogóle używa. Gdy skończy się to Przejście, porozmawia z którymś z mistrzów kowalskich. Pchnęła masywne drzwi i z rozkoszą poczuła uspokajający zapach ziół. Kiedy weszła w głąb pokoju, zaczęła rozróżniać delikatniejsze aromaty i wonie. Nie musiała zapalać światła; wiedziała, gdzie są przechowywane środki przeciwgorączkowe. Tego, co zapełniało półki oraz wiązek pierzastej paproci, suszących się na stelażach, powinno wystarczyć gdyby nawet wszyscy w weyrze zapadli na tę chorobę. Usłyszała szmer pełzających węży tunelowych. Te szkodniki miały swoje własne ścieżki przez skały. Musi kazać Nesso, żeby położyła więcej trucizny. Tojad stał na prawo: kwadratowy, szklany pojemnik, pełen sproszkowanego korzenia. Mieli mnóstwo wierzbowego salicylu i cztery duże słoje soku fellisowego. Sh’gall wspominał coś o kaszlu. Moreta znalazła podbiał, żywokost, hizop, tymianek, macierzankę, ogórecznik. Aż nadto wystarczy. W czasie Przeprawy starożytni zabrali ze sobą wszystkie lecznicze zioła i drzewa. Przecież chyba znajdzie się jakiś odpowiedni lek, żeby zaradzić tej nowej chorobie.

Wróciła do drzwi, zamknęła żar, oparła na moment dłoń na framudze wygładzonej przez całe pokolenia ludzi. Pokolenia! Tak, całe pokolenia, które przeżyły różne dziwne zdarzenia i niezwykle choroby!

Schody wyglądały we mgle jak pasmo cienia. Potknęła się o pierwszy stopień.

„Uważaj” – powiedziała Orlith.

–Dobrze. – Wchodząc po schodach, Moreta prawą dłonią dotykała ściany. Za każdym razem, kiedy szukała stopą następnego stopnia, wydawało jej się, że otacza ją pustka; mgła kłębiła się wokół niej. Orlith nie przestawała mrużyć do niej uspokajająco. Potknęła się, wchodząc na podest, bo światło z jej weyru ledwie było dostrzegalne.

W weyrze było wyraźnie cieplej. Oczy złotej smoczyicy lśniły, kiedy Moreta podeszła, żeby ją popieścić, drapiąc po wyrostkach nad oczami. Oparła się z wdzięcznością o głowę Orlith, stwierdzając, że Orlith pachnie najlepszymi ziołami i przyprawami.

–Jesteś zmęczona. Musisz się teraz przespać – powiedziała Orlith.

–Znowu mi rozkazujesz? – Oburzyła się, idąc już do części sypialnej. Ściągnęła tunikę i spodnie, wśliznęła się między futra, otuliła nimi ramiona i natychmiast zasnęła.

## Rozdział VI

Warownia Ruatha, Przejście bieżące, 3. 11. 43

Alessan przyglądał się, jak wielki smok skoczył w powietrze z Moretą, która uniosła rękę na pożegnanie. Smok jarzył się na ciemnoszarym niebie i to nie od słabego światła gasnących na słupach lamp. Może działo się tak dlatego, że smoczyca była ciężarna? A potem: złociście lśniąca królowa i śliczna Władczyni Weyru zniknęły. Od podmuchu wiatru zakołysały się obwisłe flagi.

Alessan uśmiechnął się i odetchnął głęboko, był bardzo zadowolony z tego swojego pierwszego Zgromadzenia. Jak często powtarzał jego ojciec, istotą sukcesu było dobre planowanie. Sprawdziło się to w odniesieniu do jego sprintera, który właśnie dzięki temu wygrał. W najśmielszych marzeniach Alessan nie spodziewał się jednak, że Moretą będzie mu towarzyszyła w czasie wyścigów. Nie przewidział też, że będzie z nim tańczyła. Nigdy dotąd nie miał tak zwinnej partnerki w tańcu z podrzutem. Gdyby jego matce udało się znaleźć dziewczynę, która choćby po części przypominałaby Moretę...

–Lordzie Alessanie...

Odwrócił się gwałtownie, ten ochryply szept wyrwał go z zadumy. Z ciemności wypadł Dag i stanął jak wryty.

–Lordzie Alessanie... – Niepokój w głosie Daga i ten oficjalny zwrot obudziły jego czujność.

–Co się stało, Dagu? Kwiczek...

–Z Kwiczkiem wszystko w porządku, ale zachorowały zwierzęta Vandera. Kaszlą, mają gorączkę, złane są zimnym potem.

Niektóre biegusy z sąsiednich boksów też kaszlą i pocą się. Norman nie wie, co o tym sądzić, ale ja nie mam żadnych złudzeń. Chcę zabrać stąd nasze zwierzęta, te które były w stajniach i nie zbliżały się do biegusów w boksach. Mam zamiar zabrać je stąd, zanim się ten kaszel rozprzestrzeni.

–Dagu, przecież...

–Może kaszlą przez tą ciepłą pogodę, albo z powodu zmiany trawy, ale nie będę ryzykował teraz,

kiedy Kwiczek wygrał.

–Zabiorę nasze rasowe zwierzęta na położone wysoko łąki dla źrebaków... dopóki oni się nie wyniosą. – Wskazał palcem na tereny wyścigów. – Zapakowałem trochę zapasów, a mogą się też żywić węzami szczelinowymi. I wezmę ze sobą tego urwisa, mojego wnuka.

Dag kochał Fergala, najmłodszego syna swojej siostry, prawie tak, jak Kwiczka; Fergal dawał się wszystkim we znaki bardziej niż jakiegokolwiek inne gospodarskie dziecko. Alessan ukradkiem podziwiał przemyślność chłopaka, ale jako Lord Warowni nie mógł dłużej tolerować jego kawałów. Ostatnio tak zdenerwował panią Omę, że zakazano mu pójść na Zgromadzenie i, na wszelki wypadek, zamknięto go w celi Warowni.

–Gdybym uważał...

Dag przytknął palec do zadartego nosa.

–Lepiej przesadzić w ostrożności, niż potem żałować.

–No dobrze. – Alessan marzył, żeby się przespać, a Dag mógłby go jeszcze długo zabawiać rozmową. – I zabierz tego...

–Tego gałgana?

–Tak, dobrze go określiłeś.

–Będę czekał na wiadomość od ciebie, Alessanie, że wszyscy goście się wynieśli i zabrali ze sobą ten kaszel. – Dag uśmiechnął się, odwrócił na pięcie i ruszył żywo w kierunku stajni, kolebiąc się na boki.

Alessan, patrząc w ślad za nim, zastanawiał się, czy nie daje Dagowi za wiele swobody. Może stary trener chciał ukryć jakąś nową psotę Fergala.

Nie mógł jednak zapomnieć o tych kaszlących biegusach. Jak się trochę prześpi, pogada z Normanem, dowie się, czy wiadomo, od czego padł biegus Yandera. Ten incydent nie dawał Alessanowi spokoju. Jednakże tamtego biegusa nie zabił kaszel. Czy to możliwe, żeby Yanderowi tak zależało na wygranej, że zignorował oznaki choroby? Alessan wolałby tak nie myśleć, ale dobrze wiedział, jak silnie może człowieka opanować żądza wygranej.

Ruszył do domu omijając ludzi leżących w futrzanych śpiworach. Udało się to Zgromadzenie, a i pogoda nie zawiodła. O brzasku lekka wilgoć w powietrzu zapowiadała mgłę. A tego dnia zamglone będzie nie tylko niebo.

Wielka Sala też była pełna śpiących; Alessan stawiał ostrożnie nogi, żeby nikogo nie obudzić. Nawet na szerokim korytarzu uczestników Zgromadzenia rozłożono na podłodze słomiane sienniki. Uznał, że i tak ma szczęście, przecież jego matka mogła nalegać, żeby dzielił z innymi swoje pokoje.

Zamykając drzwi uśmiechnął się i zaczął ściągać z siebie odświętne ubranie. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że Moreta nie odebrała swojej wieczorowej sukni. Nic nie szkodzi. Będzie miał wymówkę, żeby z nią porozmawiać przy następnym Opadzie. Wyciągnął się na łóżku, przykrył się i w jednej chwili zasnął.

Miał wrażenie, że niemal natychmiast ktoś zaczął nim silnie potrząsać.

–Alessanie! – Okrzyk pani Omy spowodował, że nagle oprzytomniał. – Gospodarz Vander jest ciężko chory, a Mistrz Uzdrowiciel Scand twierdzi, że to nie od nadmiaru wina. Dwóch z ludzi, którzy towarzyszyli Vanderowi, także gorączkuje. Twój zarządca wyścigów powiedział mi też, że cztery biegusy padły, a inne chyba zaczynają chorować.

–Czyje to zwierzęta? – Alessan zląkł się, czy Dag czegoś przed nim nie zataił.

–Skąd miałabym wiedzieć, Alessanie? – Pani Oma nie objawiała żadnego zainteresowania biegusami, które stanowiły podstawę ekonomiczną Ruathy. – Lord Tolocamp omawia tę sprawę z...

–Lord Tolocamp za wiele sobie pozwala! – Alessan sięgnął po spodnie, i wstał, zapinając pas. Wdział tunikę przez głowę, włożył buty, kopnięciem odrzucił na bok świąteczne stroje. Zapomniał o ludziach śpiących na korytarzu i omal nie nadepnął komuś na rękę. W Wielkiej Sali większość ludzi już się obudziła i do drzwi można było przejść swobodnie. Alessan przeklinał w myślach Tolocampa, starając się równocześnie uśmiechem witać tych, których spotykał.

Tolocamp stał na dziedzińcu pocierając sobie brodę, głęboko pogrążony w myślach. Obok niego Norman niespokojnie przestępował z nogi na nogę, z twarzą wymizierowaną po bezsennej nocy. Kiedy Alessan wypadł na dwór, twarz Normana rozjaśniała się na widok Lorda Warowni.

–Dzień dobry, Tolocampie – powiedział Alessan, nie siląc się na kurtuazję i z trudem opanowując gniew. Starszy Lord wtrącał się w nie swoje sprawy, nawet jeżeli miał jak najlepsze intencje. Co się tu dzieje, Normanie?

Usiłował odciągnąć Normana na bok, ale nie tak łatwo było pozbyć się Tolocampa.

–To może być bardzo poważna sprawa, Alessanie – powiedział zatroskany Tolocamp.

–Wybacz, ale o tym ja zdecyduję. – Alessan odezwał się tak ostro, że Tolocamp popatrzył na niego ze zdumieniem. Alessan skorzystał z tej okazji i odszedł z Normanem na bok.

–Cztery biegusy Vandera padły – powiedział Norman cichym głosem – a następny zdycha. Dziewiętnastoro sąsiadujących z nimi zwierząt poci się i kaszle, aż przykro słuchać.

–Czy odizolowałeś je od zdrowych?

–Kazałem ludziom zabrać się za to, jak tylko się rozjaśniło, Lordzie Alessanie.

–Pani Oma mówiła, że Yander jest chory, a także dwóch jego ludzi.

–Tak, panie. Wezwałem poprzedniej nocy Mistrza Uzdrawiciela Scanda, żeby się nimi zajął. Najpierw myślałem, że Vandera wytrąciła tak z równowagi strata tego biegusa, ale gorączkuje też dwóch jego ludzi. A teraz Helly skarży się na piekielny ból głowy. Helly nie pije, i nie może być to efekt ostatniej nocy.

–Yandera bolała głowa?

–Nie wiem, Lordzie Alessanie. – Norman ciężko westchnął i ręką potarł czoło.

–Tak, oczywiście, musiałeś się zająć tyloma rzeczami, a wyścigi naprawdę udały się świetnie.

–Cieszę się, że tak uważasz, ale... – Normana zainteresowało coś na drodze i zwrócił uwagę Alessana na wyjeżdżający właśnie wóz. Do tyłu wozu uwiązane były cztery biegusy. – Martwię się tym, że Kulan wyjeżdża.

Kiedy tak patrzyli w tamtą stronę, jeden z biegusów gwałtownie zaczął kaszleć.

–Powiedziałem Kulanowi, że nie powinien podróżować z tym biegusem, ale on nie chce mnie słuchać.

–Ilu ich wyjechało dziś rano? – Alessan poważnie się zaniepokoił. Orka jest dopiero na półmetku. Jeżeli po obszarze Warowni rozniesie się ten kaszel...

–Kilkunastu, głównie ci, którzy podróżowali na wozach. Ich zwierzęta nie miały wyznaczonych pastwisk w pobliżu zwierząt wyścigowych. Wiem jednak, że jedno zwierzę Kulana jest chore.

–Porozmawiam z nim. A ty dowiedz się, ilu ich wyruszyło do domu. Powiedz paru gospodarzom, żeby się tu do mnie zgłosili jako gońcy. Odszukamy tych naszych gości, którzy nas opuścili. Żadnemu zwierzęciu nie wolno opuścić Warowni, aż dowiemy się co powoduje ten kaszel.

–A co z ludźmi?

–Nie wolno również wyjeżdżać ludziom. Muszę jeszcze porozmawiać z Mistrzem Scandem o Yanderze.

Kulan nie był zadowolony, że go zatrzymano. Zapewniał, że ten zwierzak kaszle z powodu kurzu i zmiany trawy. Nic mu nie będzie. Kulan zaczynał się denerwować. Miał przed sobą trzy dni ciężkiej drogi. Zostawił zarządzanie gospodarstwem drugiemu co do starszeństwa synowi i miał wątpliwości, jak on sobie z tym poradzi. Alessan stanowczo zwrócił Kulanowi uwagę, że nie chciałby chyba sprowadzić do domu zarażonego zwierzęcia i wpuścić go między zdrowe. Lepiej będzie spóźnić się o jeden dzień, żeby przekonać się, co to za dolegliwość.

Tolocamp, który przyszedł tu za Alessanem i usłyszał koniec tej dyskusji. Na twarzy starszego Lorda

odmalował się wyraźny niepokój, ale milczał, dopóki Kulan i jego ludzie nie zawrócili na pola Zgromadzenia.

–Czy takie drastyczne środki są konieczne? Chodzi mi o to, że ci ludzie muszą wrócić do swoich gospodarstw, podobnie jak ja muszę wrócić do siebie...

–To tylko niewielkie opóźnienie, Tolocampie, musimy zobaczyć, jak zwierzęta będą się czuły. Przecież chyba ty i twoje panie będziecie zadowoleni z dłuższej wizyty?

Tolocamp zamrugał oczami, zaskoczony nieprzejednaniem Alessana.

–One mogą zostać, jeżeli sobie tego życzą, ale ja właśnie miałem cię prosić, żebyś postarał się o transport dla mnie.

Jak sam powiedziałeś kilka minut temu, Tolocampie, może to być poważna sprawa. To jest poważna sprawa. Nie wolno dopuścić, żeby ta choroba rozszerzyła się wśród biegusów. Oczywiście, może się okazać, że zapadają na nią tylko biegusy wyścigowe, ale czułbym się nie w porządku, gdybym nie podjął działań zapobiegawczych, zanim ta infekcja zdoła się rozprzestrzenić na większy obszar. – Alessan widział, jak Tolocamp rozważa korzyści płynące z dłuższego pobytu. – Kulan jest moim człowiekiem, ale byłoby bardzo uprzejmie z twojej strony, gdybyś porozmawiał z ludźmi z twojej Warowni, którzy świętowali razem z nami. Nie chcę wywoływać popłochu, ale w boksach cztery biegusy wyścigowe padły, a następne kaszlą...

–No cóż...

–Dziękuję ci, Tolocampie. Wiedziałem, że mogę liczyć na twoją współpracę.

Alessan szybko oddalił się, zanim Tolocamp zdobył się na sprzeciw. Skierował się do kuchni, gdzie znużona służba przygotowywała wielkie dzbany kłahu i tace owoców i ciast. Oczywiście nad tym wszystkim czuwała Oklina. Sądząc po zmęczeniu na jej twarzy, w ogóle nie spała.

–Okline, mamy kłopoty – powiedział jej cicho. – Choroba na terenach wyścigów. Powiedz pani Omie, że dopóki nie upewnię się, co to jest i jak to leczyć, nikomu nie wolno opuszczać Warowni. Przyda się jej siła perswazji i gościnność.

Oczy Okliny rozszerzyły się z przerażenia, ale opanowała się i stanowczym tonem przywołała do porządku jednego z posługaczy za to, że rozlał klah.

–Gdzie jest nasz brat, Makfar? – zapytał Alessan. – Śpi na górze?

–Nie ma go. Wyjechał dwie godziny temu.

Alessan potarł twarz. Dwa biegusy Makfara brały udział w wyścigu.

–Po rozmowie z matką wyślij za nimi gońca. Na ile znam sposób podróżowania Makfara, nie ujechali

daleko. Powiedz mu...

–Że pilnie potrzebujesz jego rady. – Oklina szeroko się uśmiechnęła.

–Otóż to. – Poklepał ją czule po ramieniu. – I poinformuj naszych pozostałych braci, że trzeba podjąć środki ostrożności w samej Warowni.

Zanim Alessan wrócił na dziedziniec, przybył Norman z kilkoma ruathańskimi gospodarzami. Alessan kazał im uzbroić się w krótkie miecze i udać się parami na główne drogi, gdzie mają zawracać podróżnych pod byle pretekstem. Nakazano im użyć siły, gdyby zawiodły argumenty. Zgłosili się też jego bracia, niezbyt zadowoleni z zaistniałej sytuacji. Alessan wysłał ich po broń i kazał, jeżeli będzie trzeba, pilnować razem z gońcami, żeby nikt więcej nie opuścił Warowni. Właśnie w tym momencie pośpiesznie wyszedł z Warowni Lord Tolocamp.

–Alessanie, wcale nie jestem taki pewien, czy konieczne jest to całe zamieszanie...

Z Warowni Nad Rzeką dał się słyszeć odgłos bębnow sygnałizacyjnych, ich dudnienie odbijało się echem z południa. Wiadomość, zapowiedziana jako szczególnie pilna, nadawana była przez uzdrowiciela. Bębny były dobrym sposobem porozumiewania się, ale nie dawało się zachować żadnej tajemnicy.

„Epidemia – grzmiały bębny – rozszerza się gwałtownie na cały kontynent od Igeny, Keroonu, Telgaru, Isty. Bardzo zaraźliwa. Dwa do czterech dni inkubacji. Bóle głowy. Gorączka. Kaszel. Zapobiegać wtórnym infekcjom. Wysoka śmiertelność. Leczyć objawowo. Biegusy wysoce podatne. Powtarzam ostrzeżenie o epidemii. Wszelkie podróże zakazane. Odradza się spotkania. Capiam.”

Końcowy grzmot nakazywał przekazanie wiadomości dalej.

–Przecież nikt tu nie zachorował poza paroma biegusami. A one nie były ani w Igenie, ani w Keroonie, ani nigdzie! Tolocamp spojrział spode łba na Alessana, jak gdyby to on spowodował ten alarm.

–Zachorował Vander i dwóch z jego trenerów...

–Za dużo wypili – zapewnił go Tolocamp. – To nie może być to samo. Capiam powiedział tylko, że ta choroba się rozszerza, a nie że jest już w Ruacie.

–Kiedy Mistrz Uzdrowiciel Pernu ogłasza kwarantannę – powiedział Alessan przyciszonym, gniewnym głosem – jest moimi i twoim obowiązkiem, Lordzie Tolocampie, uszanować jego autorytet! – Alessan nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo w tym momencie podobny był do własnego ojca, ale Tolocamp nagle umilkł.

Nie mieli czasu na rozmowę, bo ci, którzy zrozumieli wybębnioną wiadomość, szukali teraz obydwu Lordów.



–O czym ten Capiam mówił?

–Nie możemy poddać się kwarantannie! Muszę wracać do mego gospodarstwa.

–Zostawiłem zwierzęta, które niedługo będą miały młode...

–Moja żona została w chacie z małymi dziećmi... Tolocamp stanął teraz po stronie Alessana, potwierdzając straszliwą wiadomość i prawo Capiama, żeby nałożyć na nich restrykcje kwarantanny.

–Mistrz Capiam nie jest panikarzem! Dowiemy się czegoś więcej, jak przekażemy dalej tę wiadomość. To tylko środki ostrożności. Tak, jakiś biegus padł wczoraj. Mistrz Scand powie nam coś więcej. Nie, nikt nie może otrzymać pozwolenia na wyjazd. Można w ten sposób narazić własne gospodarstwo i dalej roznieść chorobę. Kilka dni to niewiele, gdy w grę wchodzi zdrowie.

Alessan odpowiadał niemal automatycznie, pozwalając, by pierwsza fala paniki przetoczyła się nad jego głową. Podjął już pierwsze kroki, mające zawrócić ludzi i zapobiec masowym wyjazdom. Obydwaj z Tolocampem robili co mogli, żeby uśmierzyć obawy. Alessan szybko przeliczał, ile ma jedzenia w podręcznych magazynach. Zgromadzeni szybko wyczerpią własne racje podrózne. Zakładając, że niektórzy ludzie mogą zarazić się od Vandera – jeżeli była to epidemia – czy nie lepiej będzie ich pomieścić w Wielkiej Sali? A może opróżnić jedną ze stajni? W infirmerii Warowni nie pomieści się więcej niż dwudziestu chorych. Cztery padłe biegusy, następne umierają, a Norman mówił, że jeszcze dziewiętnaście kaszle. Dwadzieścia cztery biegusy ze stu dwudziestu dwóch w dwadzieścia cztery godziny? Uczył się przewyćzać różne przeciwności losu, ale ta sytuacja była całkiem wyjątkowa. Nie miała też nic wspólnego z tym złem, które od niepamiętnych czasów pustoszyło Pern. To nowe i zdradliwe zagrożenie, równie obojętne jak Nici, porazi mieszkańców w taki sam sposób, jak Nici dewastowały kraj. Wysoka śmiertelność – tak powiedziano w komunikacie. Czy smoki nie mogą zwalczyć tej choroby? Czy znajdzie jakiś ratunek przed tą klęską w kronikach Warowni, do których zawsze odwoływał się jego ojciec?

–Nadchodzi twój uzdrowiciel, Alessanie – powiedział Tolocamp.

Obydwaj Lordowie Warowni wyruszyli na spotkanie Mistrza Scanda, zanim wszedł on na frontowy dziedziniec. Jego zwykle łagodna twarz była purpurowa z wysiłku, a usta zaciśnięte ze zdenerwowania. Obficie się pocił i wycierał twarz i kark niezbyt czystą szmatą. Alessan zawsze uważał, że Scand jest co najwyżej średniej klasy uzdrowicielem, który potrafi zajmować się licznymi ciężkimi Warowni i leczyć skutki drobnych wypadków, ale nie poradzi sobie w żadnej poważniejszej sytuacji.

–Lordzie Alessanie, Lordzie Tolocampie – wydyszał Scand, jego pierś unosiła się z wysiłkiem. – Chyba słyszałem bębny? Chyba rozpoznałem kod uzdrowiciela? Czy coś się dzieje?

–Co dolega Vanderowi?

Alessan zadał to pytanie tak ostrym tonem, że Scand zaczął się mieć na baczności. Odchrząknął, otarł twarz.

–No cóż, sam nie wiem, bo nie zareagował na napar ze słodkiego korzenia, który przygotowałem dla niego ostatniej nocy. A była to dawka, po jakiej nawet smok by się spocił. Scand znowu otarł twarz. – Ten człowiek skarży się na palpitanie serca i na ból głowy, który nie ma nic wspólnego z winem, ponieważ zapewniono mnie, że nie przebrał miary. Czuł się źle już wczoraj, jeszcze przed wyścigami.

–A ci dwaj jego trenerzy?

–Nie czują się dobrze. – Alessana zawsze irytował pompatyczny sposób wyrażania się Scanda. Uzdrowiciel robił typowe dla siebie, afektowane pauzy i wywijał przepoconą szmatą. – Cierpią na silne bóle głowy, które nie pozwalają im się podnieść z sienników, jak również na te palpitanie, na które uskarżał się gospodarz Yander. Czy ta wiadomość z Siedziby Uzdrowicieli w jakiejś mierze dotyczy mnie?

–Mistrz Capiam zarządził kwarantannę.

–Kwarantannę? Z powodu trzech ludzi?

–Lordzie Alessanie – powiedział wysoki, chudy mężczyzna ubrany w błękit harfiarzy. Miał siwiejące włosy i złamany nos. Śmiało patrzył prosto w oczy. – Jestem Tuero, czeladnik harfiarzy. Chętnie podam Mistrzowi Scandowi pełny tekst, żebyś mógł się zająć innymi sprawami. – Tuero wskazał głową na ludzi kłębiących się w podnieceniu na dziedzińcu.

I w tym właśnie momencie ruathański bęben zaczął przekazywać wiadomości do gospodarstw na zachodzie i północy, a głębokie dudnienie tego instrumentu jeszcze wzmogło ogólny nastrój lęku. Pani Oma wyszła z Warowni z panią Pendrą i jej córkami. Przysłuchiwała się w skupieniu bębnowi, a następnie rzuciła Alessanowi przeciągłe spojrzenie. Razem z kobietami z Warowni Fort skierowała się do Harfiarza Tuero i uzdrowiciela, który trząsał się cały ze szmatą w dłoni.

Po raz pierwszy w życiu Alessan miał powód, żeby być wdzięcznym za ślepe poparcie swoich krewnych, a nawet za natręctwo Lorda Tolocampa. Jeden z jeźdźców przygalopował z powrotem, prosząc o pomoc w sprowadzeniu jednego z bardziej agresywnych gospodarzy, z którym Alessan już wcześniej miał kłopoty. Potem grzmiąc i roztrącając ludzi wtoczył się wóz Makfara. Alessan powierzył mu kierowanie urządzeniem prowizorycznych pomieszczeń w boksach i wozach podróży. Można było przespać się na korytarzu przez jedną noc, czy zdrzemnąć się przez parę godzin w Wielkiej Sali, ale tłoczyć się tak przez cztery noce, to zupełnie co innego. Tolocamp na propozycje Makfara wysuwał swoje własne kontrpropozycje. Alessan zostawił ich, żeby rozwiązali ten problem, bo chciał towarzyszyć Normanowi na tereny wyścigów i przyjrzeć się chorym biegusom. Tymczasem ludzie zaczęli już zakładać obozowiska na polach.

Chociaż szedł zobaczyć chore biegusy, to z ulgą oddalił się od zgietliwego tłumu.

–Nigdy nie widziałem, żeby coś w tak krótkim czasie powaliło tyle zwierząt, Lordzie Alessanie. – Norman musiał niemal biec, żeby dotrzymać kroku długonogiemu Alessanowi. Nie mam pojęcia, co mogę dla nich zrobić. Jeżeli w ogóle coś można zrobić. Uzdrowiciel ledwie o nich wspomniał,

prawda? A biegus nie potrafi powiedzieć, jak mu coś dolega.

–Przestaje jeść i pić.

–Biegusy pociągowe będą szły dotąd, aż padną. Obydwaj spojrzeli na pola, gdzie pasły się mocne, pociągowe biegusy Warowni – te, które Alessan wyhodował zgodnie z zaleceniami swojego ojca.

–Utwórz strefę buforową. Rozdziel biegusy pociągowe i wyścigowe.

–Dobrze, Lordzie Alessanie, ale wyścigowe były pojone w górze rzeki!

–To szeroka rzeka, Normanie. Miejmy nadzieję, że wszystko skończy się dobrze.

Pierwszą rzeczą, jaką Alessan zauważył na terenie wyścigów, było to, że zdrowe zwierzęta znajdowały się dosyć daleko od chorych. W spokojnym, nieco chłodnym powietrzu rozlegał się kaszel chorych biegusów. Kaszlały wyciągając szyje, z otwartymi pyskami, wydając głucho, bolesne szczeknięcia. Nogi miały opuchnięte, sierść matową i zmierzwioną.

–Dodaj im do wody pierzastej paproci i tymianku. Jeżeli nie będą chciały pić, Normanie, użyj szprycy, żeby wprowadzić im do organizmu trochę płynu, zanim się całkiem odwodnią. Można by im też podać trochę pokrzywy. Przynajmniej pokrzyw nam nie zabraknie. – Alessan rzucił okiem na łąki, gdzie jeszcze nie zaczęła się coroczna batalia o ujarznienie tej byliny. – Czy byłoby też kaszle?

–Po prawdzie, nie miałem czasu, żeby o nim pomyśleć. Norman jak i inni amatorzy wyścigów, lekceważąco odnosił się do takich spokojnych bydlatek. Usłyszałem od harfiarza, że bębny mówiły tylko o biegusach.

–No cóż, będziemy musieli zarznąć bydło, żeby wykarmić naszych niespodziewanych gości. Nie zostało mi po Zgromadzeniu wystarczająco dużo świeżego mięsa.

–Lordzie Alessanie, czy Dag... – zaczął Norman i machnął ręką w kierunku urwiska i wielkich szczelin, gdzie zwykle chroniły się zwierzęta Warowni podczas Opadu Nici.

Alessan czujnie spojrzał na Normana.

–To ty o tym wiedziałeś?

–Tak, panie, wiedziałem – odpowiedział lojalnie Norman. Dag i ja martwiliśmy się, że ten kaszel się szerzy. Nie chcieliśmy ci przerywać tańców, ale ponieważ rasowe zwierzęta nie miały kontaktu z tymi... Popatrz na to!

–Na Skorupy!

Zobaczyli, jak pod biegusem, prowadzącym zaprzężoną do wozu czwórkę, ugięły się nogi i padł, pociągając swojego towarzysza.

–W porządku, Normanie. Zorganizuj ludzi, żeby zajęli się padłymi zwierzętami. Palcie je tam. – Alessan wskazał na zagłębienie na dalekich polach, którego nie było widać z dziedzińca i które znajdowało się po zawietrznej. – Pamiętaj, że ludziom trzeba będzie powetować straty.

–Nie mam nikogo, kto by to notował.

–Przyślę ci jednego z uczniów. Chcę także wiedzieć, ilu ludzi zostało tu na noc.

–Została większość trenerów i trochę takich zapaleńców, jak stary Runel i jego dwaj przyjaciele. Niektórzy z hodowców plątali się to tu, to tam, ale kiedy domyśliłeś się, żeby przysłać tu kilka antałów, przestały ich interesować tańce.

–Żałuję, że nie wiemy więcej o tej chorobie. „Leczenie objawowe”, tak mówiły bębny. – Alessan obejrzał się na szereg kaszlących zwierząt.

–A więc damy im tymianek, pierzastą paproć i pokrzywy. Może otrzymamy jakąś wiadomość od Mistrza Hodowcy. Może już tu zmierza. – Norman z nadzieją spojrział w kierunku wschodnim.

„Ze wschodu rzadko można otrzymać pomoc” – pomyślał Alessan, ale uspokajająco klepnął Normana po ramieniu.

–Zrób, co tylko będziesz mógł!

–Możesz na mnie liczyć, Lordzie Alessanie.

Cicho wypowiedziane przez Normana zapewnienie podniosło Alessana na duchu i ruszył na skróty przez rżysko do warowni. Zaledwie wczoraj zatrzymali się z Moretą na tym wzniesieniu, żeby popatrzeć na wyścigi. A ona dotykała tego umierającego biegusa Vandera! Weyr pewnie otrzymał komunikat wcześniej niż Ruatha. Moretą na pewno zna już konsekwencje swojego uczynku. Prawdopodobnie też lepiej od niego wie, jak ustrzec się przed tą chorobą.

Podobnie jak wszyscy w Ruacie, Alessan widywał już przedtem Władczynię Weyru. Odkąd zajęła tę najwyższą pozycję w Weyrze, bywała na spotkaniach w Warowni, ale on zawsze trzymał się od nich z daleka. Uważał, że jest chłodna i całkowicie zaabsorbowana sprawami Weyru. Odkrycie, że jest równie namiętną wielbicieleką wyścigów jak on sam, sprawiło mu niespodziewaną radość. Wieczorem pani Oma zganiła go, że zajmuje Morecie tyle czasu. Alessan doskonale wiedział, że chodziło jej raczej o to, że on sam nie wykorzystuje do maksimum możliwości poznawania nowych panien na wydaniu. Zdając sobie sprawę, że musi zapewnić ciągłość swojemu rodowi, usiłował okazywać im zainteresowanie, aż nagle zauważył, że Moretą przemyka za podium harfiarzy. Miał już po uszy jąkających się, nieśmiałytek panienek. Wywiązał się ze swego obowiązku jako Lord Warowni i postanowił też się zabawić na swoim pierwszym Zgromadzeniu. W towarzystwie Morety. I zabawił się. Alessana wychowano tak, że oczekiwał zarówno sprawiedliwej nagrody, jak i sprawiedliwej kary. Przez moment przemknęła mu przez głowę myśl, że dzisiejsze nieszczęście rekompensuje wczorajszą przyjemność, ale szybko odrzucił tę myśl jako dziecinadę.

Zapoznał się już z sytuacją na terenach wyścigów i uznał, że następną pod względem wagi sprawą jest przesłanie wiadomości do oczekujących na powrót uczestników Zgromadzenia gospodarstw, nie objętych siecią bębnow. W innym razie zaniepokojeni ludzie zaczną się schodzić do Warowni. Następnie będzie musiał dowiedzieć się, kto jeszcze sprowadzał zwierzęta z Keroonu, tak jak Yander, czy te zwierzęta były na polach czy w gospodarstwach, i kazać je zniszczyć. Będzie musiał również wymyślić, jak radzić sobie z buntownikami. W jedynej niewielkiej celi Warowni można było zamknąć małego chłopca, takiego jak Fergal, ale nie agresywnego gospodarza.

Na drodze Alessanowi stanął Tolocamp, który doglądał właśnie rozbijania namiotu pod murem.

–Lordzie Alessanie – powiedział sztywno, oficjalnie z zaciśniętymi szczekami. – Chociaż zdaję sobie sprawę, że ta kwarantanna dotyczy i mnie, muszę powrócić do Warowni Fort. Zamknę się w odosobnieniu w moim apartamencie, nie będę kontaktował się z nikim. Pomyśl, jakie wrzenie wywoła moja nieobecność w Warowni Fort.

–Milordzie Tolocamp, zawsze odnosiłem wrażenie, że twoi synowie zostali wspaniale wyszkoleni, żeby w razie konieczności przejąć wszelkie obowiązki Warowni i wykonać je bez zarzutu.

–I tak jest. – Tolocamp wyprężył się jeszcze bardziej. Wyjeżdżając na twoje Zgromadzenie, przekazałem ster władzy Campiamowi. Żeby nabrał doświadczenia obejmując przywództwo...

–Świetnie. Ta kwarantanna powinna dać mu niezrównaną szansę.

–Mój drogi Alessanie, ta krytyczna sytuacja przerasta również i jego doświadczenie.

Alessan zaciął zęby zastanawiając się, czy nie za nisko oceniał spostrzegawczość Tolocampa.

–Lordzie Tolocampie, czy pozwoliłbyś, żeby ktokolwiek nie podporządkował się rozkazom Mistrza Cechu?

–Nie, oczywiście, że nie. Jednakże w tych niezwykłych okolicznościach...

–No właśnie. Twój syn nie musi borykać się z gośćmi Zgromadzenia. – Widać stąd było, jak dwaj bracia Alessana z obnażonymi mieczami zaganiają jakąś grupę z powrotem. Campena w tej krytycznej sytuacji pouczy zarówno Siedziba Uzdrowicieli, jak Mistrz Harfiarz. – Alessan powściągnął rozdrażnienie. Nie może sobie zrazić Tolocampa. Będzie potrzebował jego poparcia w stosunku do niektórych starszych ludzi w swojej Warowni, którzy nie przywykli jeszcze do otrzymywania rozkazów od kogoś tak młodego i niewprawnego w zarządzaniu Warownią. – Jak przekazały nam bębny, dwa do czterech dni inkubacji. Spędziłeś tu już jeden dzień – perswadował, rzucając okiem na wysokie o południu słońce. – Jeszcze jeden dzień i jeżeli nie będziesz odczuwał żadnych dolegliwości, dyskretnie powrócisz do Warowni Fort. Tymczasem powinieneś dawać innym przykład.

–Dobrze. – Wyraz twarzy Tolocampa złagodniał – To prawda, że okazałbym całkowity brak karności, gdybym teraz wyłamał się z kwarantanny. Ten wybuch choroby ograniczy się

prawdopodobnie do terenów wyścigowych. Nigdy nie byłem amatorem sportu. – Lekceważąco machnął ręką na jedną z głównych namiętności Pernu. Alessan nie zdążył zareagować, ponieważ grupa jakichś mężczyzn skierowała się właśnie w stronę obydwu Lordów Warowni; twarze mieli zacięte, złe.

–Lordzie Alessanie...

–Słucham cię, Turvine – odpowiedział Alessan hodowcy zbóż z południowo-wschodniego zakątka Ruathy, któremu towarzyszyli pasterze.

–W pobliżu naszych domów nie ma bębnow, a w domu czekają na nas. Nie chciałbym postępować wbrew radom Uzdrowiciela, ale trzeba też wziąć pod uwagę inne okoliczności. Nie możemy się tu zatrzymać...

Alessan kątem oka zauważył, że jego brat Makfar dał sygnał kilku uzbrojonym gospodarzom, żeby zgromadzili się dookoła.

–Zatrzymacie się tutaj! To rozkaz! – powiedział Alessan gwałtownie, a mężczyźni cofnęli się, szukając poparcia u Tolocampa. Lord Warowni Fort zeszywniał, ignorując ich milczącą prośbę. Alessan odezwał się głośnie, żeby jego głos doszedł aż do grupy na dziedzińcu, która obserwowała ich i przysłuchiwała się rozmowie. – Bębny zarządziły kwarantannę! Jestem Lordem waszej Warowni. Macie obowiązek mnie słuchać. Żaden człowiek, ani żadne zwierzę nie odejdzie stąd, dopóki bębny – tu Alessan podniósł rękę w kierunku wieży – nie oznajmią nam, że zniesiono kwarantannę.

Zapadła cisza. Alessan ruszył wielkimi krokami do drzwi do Wielkiej Sali, Tolocamp szedł przy jego boku.

–Będziesz musiał rozesłać te wiadomości, żeby zapobiec schodzeniu się ludzi – powiedział przyciszonym głosem Tolocamp, kiedy znaleźli się wewnątrz Sali.

–Wiem o tym. Muszę tylko wymyślić, jak to uczynić. Żeby nie narażać ludzi ani zwierząt – Alessan skręcił do gabinetu, gdzie w oskarżycielskich szeregach stały kroniki, z którymi nie miał się czasu zapoznać. Na czas Zgromadzenia gabinet przekształcono w sypialnię, ale teraz był pusty, pozostały tylko porozrzucane śpiwory futrzane. Alessan kopnął kilka z nich na bok, żeby dostać się do map. W końcu znalazł dokładną mapę terenów podległych Warowni, na której drogi wytyczone były różnymi kolorami, oznaczającymi szlak, trakt lub ścieżkę. Gospodarstwa również zróżnicowano za pomocą kolorów. Tolocamp aż wykrzyknął ze zdumienia nad jakością tej mapy.

–Nie miałem pojęcia, że jesteś aż tak dobrze wyposażony powiedział niezbyt taktownie.

–Jak lubią nam mówić harfiarze – powiedział Alessan z lekkim uśmiechem – Warownia Fort zaistniała, a Ruatha została zaplanowana. – Przesunął palcem po północnym szlaku aż do miejsca, skąd drogi rozchodziły się na północny zachód, na zachód i na północny wschód, prowadząc do dwudziestu gospodarstw dużych i małych i trzech osiedli górniczych. Główny szlak na północ

prowadził przez góry i od czasu do czasu sięgał aż do płaskowyżu.

–Lordzie Alessanie...

Odwrócił się i zobaczył przy drzwiach Tuero, a za nim innych harfiarzy.

–Pomyślałem, że moglibyśmy się zgłosić na ochotnika jako posłańcy. – Tuero szeroko się uśmiechnął, a jego długi, krzywy nos jeszcze bardziej się przekrzywił na lewo. – Ludzie na dworze bardzo gwałtownie dyskutują na ten temat. A więc harfiarze Pernu są na twoje usługi.

–Dziękuję ci, ale stykałeś się z tą chorobą tak jak i wszyscy inni. To chorobę chcę zatrzymać, nie ludzi.

–Lordzie Alessanie, wiadomości można przekazywać sztafetą. – Tuero podszedł do mapy. – Ktoś z tego gospodarstwa mógłby zanieść wiadomość do następnego i tak dalej, przekazując instrukcje nie gorzej od bębnow.

Alessan wpatrywał się w mapę, w myśli przeliczając mieszkańców gospodarstw i chat. Nawet to najbardziej odległe osiedle górnicze przy kopalni żelaza było nie dalej jak o trzy dni jazdy. Dag na pewno zabrał najszybsze biegusy, takie jak Kwiczek, ale na pierwszy etap tej sztafety można by wysłać inne zwierzęta.

–Nie mamy powodów, żeby rezygnować z twojej gościnności, więc możesz nam wierzyć, że wrócimy. Poza tym jest to nasz obowiązek.

–Trafna uwaga – powiedział półgłosem Tolocamp.

–Zgadzam się. Trzeba więc napisać komunikat i instrukcje, które twoja sztafeta będzie przekazywać. Czy zajmiesz się tym Tuero?

–Za pomocą bębna wiadomości zostały przekazane tutaj, tutaj, tutaj i tutaj. – Alessan wskazał najważniejsze gospodarstwa. – Wątpię, czy pomyślano, żeby o tej złej nowinie powiadomić mniejsze osady. Siedem gospodarstw będzie mogło dostarczyć biegusów dla sztafety, każdy z nich dojedzie do osad na peryferiach.

–Jakże szczęśliwie się składa, że jest nas akurat siedmiu! Alessan uśmiechnął się szeroko.

–Rzeczywiście. Niech harfiarze rozgłoszą, że mamy heroldów. Nasz bębniasta jest pewnie wciąż jeszcze na wieży, ale znajdziesz jego rzeczy w tych szafkach: atrament, pergamin i pióro. Dajcie mi znać, kiedy będziecie gotowi. Mam mapy. Załatwię wam wierzchowce. Będziecie się musieli spieszyć, żeby nie narażać się na ryzyko noclegów w polu.

–Zaręczam ci, że to żadna nowość dla harfiarzy.

–I gdyby się wam udało, dowiedzcie się, kto jeszcze sprowadzał w ciągu ostatnich kilku tygodni

zwierzęta z Keroonu.

–Tak? – Tuero uniósł ze zdziwienia brwi.

–Yander odebrał nowe biegusy ze statku z Keroonu...

–Bębny wspominały o Keroonie, prawda? Dowiemy się. Brak lodu tej zimy to jednak nie takie błogosławieństwo, jak się wydawało.

–Otóż to!

–No, zima jeszcze się nie skończyła! – Skłoniwszy się, Tuero wyprowadził swoich towarzyszy do holu.

–Alessanie, jest tak wiele do zrobienia również w Forcie – błagał Tolocamp.

–Tolocampie, Farelly jest na wieży bębnow, gotów ci w każdej chwili służyć. – Skinieniem ręki Alessan wskazał mu stopnie prowadzące na wieżę i opuścił gabinet. Lord Leef powiedział mu kiedyś, że najlepszym sposobem na uniknięcie kłótni jest niedopuszczanie do niej. Nazywał to taktycznym odwrotem.

Alessan zatrzymał się na króciutko w drzwiach Wielkiej Sali, przyglądając się temu, co działo się na dziedzińcu i na drodze. Rozbijano namioty, nad ogniskami stały trójnogi z zawieszonymi kociołkami, w jamie do pieczenia rozpalono świeży ogień i ustawiono ponownie rożen. Ze wschodu posuwała się powoli droga, grupa jeźdźców i biegusów. Alessan dostrzegł swego brata Dangela i dwóch ruathańskich gospodarzy z obnażonymi mieczami. Nad zagłębieniem terenu, gdzie kazał Normanowi palić padłe zwierzęta, unosiła się smuga czarnego dymu. Każdy, kogo przyłapano na opuszczaniu Warowni, powinien zostać zatrudniony w oddziale grabarzy.

Jakiś jeździec ostro popędzał swojego wierzchowca, który galopem wjechał na rżysko, załomotał kopytami po drodze, wyminął namiot i ognisko. Biegus zatrzymał się, a jeździec zeskoczył i rozejrzał się niespokojnie. Kiedy Alessan wyszedł z cienia, jeździec rzucił uzdę i podbiegł do niego.

–Lordzie Alessanie, Vander nie żyje!

## **Rozdział VII**

Siedziba Uzdrowicieli i Weyr Fort, Przejście bieżące, 3. 11. 43

Grzmiący odgłos huczał w czaszce Capiama, aż wreszcie uzdrowiciel zbudził się i obronnym gestem chwycił się za głowę. To bębnienie słyszał już w koszmarach sennych, sprawiających mu istne męki. Leżał teraz w łóżku wyczerpany wysiłkiem związanym z powrotem do rzeczywistości. Przy następnym grzmocie bębnow osłabłą ręką naciągnął sobie poduszkę na głowę.

Czy oni nigdy tego nie skończą? Nie miał pojęcia, że bębny są tak piekielnie głośne. Dlaczego nigdy



nie zwracał na nie uwagi? Uzdrowicielom należał się jakiś własny, spokojny kąpiel. Musiał sobie jeszcze dodatkowo zatkać uszy rękami, żeby to pulsowanie nieco przycichło. Potem uświadomił sobie, że przecież zostawił te wszystkie komunikaty z poleceniem, by przekazano je do ważniejszych Cechów i Warowni. Dlaczego wysyłają je dopiero teraz? Pewnie już jest południe! Czy mistrz bębniaków nie zdaje sobie sprawy, jak ważną rzeczą jest kwarantanna? A może to jakiś złośliwy uczeń schował gdzieś komunikaty, chcąc zyskać nieco czasu na sen?

Capiam nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek tak go bolała głowa. To było nie do zniesienia. A serce biło mu coraz szybciej, dostosowując się do rytmu bębnów. Dziwna sprawa! Capiam leżał w łóżku, w głowie mu boleśnie huczało, a serce kołatało mocno.

Na całe szczęście bębny wreszcie umilkły, ale ani jego głowa, ani serce nie zareagowały na to. Capiam przetoczył się na bok, usiłując usiąść. Musi poszukać jakiegoś lekarstwa, żeby uśmierzyć ten ból głowy. Zwiesił nogi nad podłogą, podparł się i podniósł.

Kiedy udało mu się usiąść prosto, aż jęknął z dotkliwego bólu. Skierował się chwiejnym krokiem do swojej szafki. Głowa bolała go coraz bardziej.

Sok fellisowy. Kilka kropli. To mu pomoże. Nigdy go nie zawiódł. Odmierzył dawkę, zamrugnął oczyma, żeby rozkleić powieki, nalał wody do kubka i przełknął miksturę. Zataczając się wrócił do łóżka, niezdolny utrzymać się w pionie. Zdyszał się od tego niewielkiego wysiłku, serce biło mu jak oszalałe i oblewał się potem!

Miał już za sobą zbyt wiele bezsennych nocy i wypełnionych napięciem pracą dni, żeby to im przypisywać winę za ten stan rzeczy. Jęknął znowu. Przecież on nie ma czasu, żeby chorować. Nie powinien był złapać tej przekłętą choroby. Uzdrowiciele nie poddawali się żadnym dolegliwościom. Poza tym tak bardzo przestrzegał tego, żeby zawsze, po zbadaniu każdego pacjenta, dokładnie umyć się w roztworze czerwonego ziela.

Czemu sok fellisowy nie działa? Głowa bolała go tak, że nie był w stanie myśleć. Musi się jednak skoncentrować. Tyle było do zrobienia. Musi uporządkować swoje notatki, przeanalizować przebieg choroby, żeby zapobiec takim komplikacjom jak zapalenie płuc i choroby układu oddechowego. Jak miał jednak pracować, skoro oczy mu się same zamykały? Wyrzekając na niesprawiedliwość losu, przycisnął dłonie do skroni, a następnie do swojego gorącego, wilgotnego czoła. Na Skorupy! Jest rozpalony od gorączki.

Uświadomił sobie, że ktoś jest w pokoju, zanim jeszcze usłyszał cichy szmer przy drzwiach.

–Nie podchodź do mnie – powiedział z naciskiem, podnosząc gwałtownie rękę; od tego nieostrożnego ruchu ból głowy ponownie przybrał na sile i Capiam aż jęknął.

–Nie podejdę.

–Desdra! – Odetchnął z ulgą.

–Postawiłam ucznia przy drzwiach, żeby nasłuchiwał, czy się nie obudził. – Jej słowa działały kojąco. – I ty dostałeś tej gorączki?

–Wiesz, jest w tym jakaś sprawiedliwość. – Capiama rzadko opuszczało poczucie humoru.

–Byłoby tak, gdyby nie to, że jesteś najbardziej poszukiwanym człowiekiem na Pernie.

–Ta kwarantanna nie została przyjęta z entuzjazmem?

–Można by tak powiedzieć. Wieża bębnow przeżywa stan oblężenia. Fortine jak dotąd radzi sobie jakoś.

–W plecaku są moje notatki. Daj je Fortine’owi. Jest dużo lepszy w systematyzowaniu niż w diagnozowaniu. Będzie miał wszystko, czego dowiedziałem się o tej epidemii.

Desdra lekkim krokiem przeszła przez pokój i wyjęła z plecaka notatnik Uzdrowiciela. Otworzyła go szybkim ruchem.

–Niewiele tego.

–Nie, ale wkrótce będę już dużo lepiej rozumiał tę chorobę.

–Nie ma to jak osobiste doświadczenie. Czego ci trzeba?

–Niczego! Może wody, jakiegoś soku...

–Nie mamy żadnych dostaw przez tę kwarantannę...

–No to wystarczy woda. Nikomu nie wolno wchodzić do tego pokoju, ty też nie przekraczaj progu. Jeżeli o coś poproszę, macie mi to zostawiać na stole.

–Chcę tu przy tobie posiedzieć. Capiam pokręcił głową.

–Nie. Wolałbym zostać sam.

–No to cierp w milczeniu.

–Nie drwij, kobieto. Ta choroba jest niesłychanie zaraźliwa. Czy ktoś w Cechu albo w Warowni zapadł na nią?

–Jeszcze pół godziny temu nie.

–Jaka jest teraz pora dnia? – Capiam nie był w stanie dojrzeć zegara.

–Późne popołudnie.

–Każdego, kto był na jednym z tych Zgromadzeń i przyjedzie tutaj...

–Czego zabrania komunikat, który rozesłałeś za pomocą bębnow...

–Jakiś mądrała na pewno uzna, że wie lepiej... Każdego, kto tu przyjedzie, trzeba odizolować na cztery dni. Wydaje mi się, że okres inkubacji trwa dwa dni, sądząc po doniesieniach...

–I po twojej zacnej osobie...

–Doświadczenie to dobry nauczyciel. Nie wiem jeszcze, jak długo człowiek przekazuje zarazki. Dlatego też musimy być w dwójnasób ostrożni. Będę notował objawy i postępy mojej choroby na wypadek, gdyby...

–No, no, ależ dramatyzujemy.

–Zawsze utrzymywałaś, że umrę na coś, czego nie będę umiał wyleczyć.

–Nie mów tak, Capiamie! – W głosie Desdry dało się słyszeć więcej gniewu niż lęku. – Uczniowie i czeladnicy Mistrza Fortine’a siedzą nad kronikami dzień i noc.

–Wiem. Słyszałem wczoraj w nocy, jak chrapali.

–Mistrz Fortine domyślił się tego, gdy nikt nie umiał mu powiedzieć, kiedy wróciłeś. Niestety sam Mistrz Fortine mógł dopiero teraz udać się na spoczynek. Później będzie chciał się z tobą zobaczyć.

–Ma tu nie wchodzić.

–Bez wątpienia będzie wolał trzymać się z daleka. Czemu ten sok fellisowy nie działał? Serce tłukło się jak oszalałe.

–Bądź tak dobra, Desdro, i powiedz Fortine’owi, że słodki korzeń w ogóle nie działa i nie przynosi żadnej ulgi. Wydaje mi się nawet, że ma odwrotne działanie. Właśnie to lekarstwo stosowano w pierwszym stadium choroby w Igenie i Keroonie. Powiedz Fortine’owi, żeby próbował obniżyć gorączkę za pomocą pierzastej paproci. Powiedz, żeby wypróbował też inne środki na obniżenie gorączki.

–Co? Wszystkie na tym samym biednym pacjencie?

–Będzie miał dość pacjentów, żeby wypróbować różne środki. Idź, Desdro. W głowie mi huczy, jak w wieży bębnow.

Desdra była tak okrutna, że cicho zachichotała. A może zdawało jej się, że w ten sposób okazuje mu współczucie? Nigdy nie było wiadomo, jakiej reakcji spodziewać się po Desdrze. Na tym częściowo polegał jej urok, ale nie pomoże jej to w otrzymaniu stopnia mistrzowskiego. Miała zwyczaj mówić co myśli, a uzdrowiciel niekiedy powinien przemawiać dyplomatycznie i kojąco. Bez wątpienia Capiamowi nie przyniosła ukojenia. Jednakże odczuł ulgę na myśl, że to ona się nim zajmuje.

Leżał bezwładnie, starając się jak najlżej opierać głowę na poduszce, która chyba zamieniła się w kamień. Siłą woli próbował stłumić ból, zmusić sok fellisowy, by udzielił mu swej znieczulającej magii. Serce mu waliło. Wielu pacjentów wspominało o nieregularnym biciu serca. Nie miał pojęcia, że ten objaw będzie aż taki dotkliwy. Miał nadzieję, że serce uspokoi się trochę, kiedy zacznie działać sok fellisowy.

Leżał, jak mu się zdawało, przez bardzo długi czas i chociaż ból pod czaszką znacznie zelżał, palpacje nie ustawały. Gdyby tylko serce zaczęło mu bić normalnie, może udałoby mu się zasnąć. Czuł się śmiertelnie znużony, gdyż tamten przepełniony koszmarami sen nie dał mu wytchnienia. Zastanawiał się, które zioła mogłyby tu pomóc: głóg, miłek, naparstnica, wrotycz, tojad? Zdecydował się na ten ostatni, to był stary, godny zaufania korzeń.

Z ogromnym wysiłkiem i zduszonym jękiem podniósł się z łóżka. Powstrzymywał jęk, ponieważ nie chciał, żeby jakiś uczeń był świadkiem jego słabości. Wystarczy, że Mistrz Uzdrawiciel nikczemnie poddał się chorobie; nie ma co rozgłaszać ponurych szczegółów jego cierpienia.

Powinny wystarczyć dwie krople. To był silny lek i zawsze trzeba go było stosować z rozwagą. Pamiętał, żeby wziąć arkusz pergaminu, atrament i pióro. Zabrał to wszystko do łóżka, przy którym ustawił sobie stołek w charakterze biurka. Serce mu ciągle waliło. Capiam starannie odnotował dzień i godzinę.

Starał się oddychać równomiernie i zmusić serce, żeby biło wolniej. W pewnym momencie zmorzył go sen.

–Holth się denerwuje. On się złości i Leri też. – Zatroškany głos Orlich wyrwał Moretę z głębokiego snu.

–Czemu nie zostawi zarządzania Weyrem mnie?

–On mówi, że Leri jest za stara, żeby latać, a ta zaraza zabija najpierw starych.

–Żeby go szlag trafił! Ta epidemia całkiem mu zamąciła rozum!

Ubrała się szybko i skrzywiła się, wsuwając stopy w wilgotne buty.

–Leri twierdzi, że musi rozmawiać z załogami naziemnymi, zwłaszcza w takim czasie jak teraz, żeby dowiedzieć się, kto choruje, i żeby przekazać wieści. Mówi, że może to zrobić, nie dotykając nikogo.

–Pewnie, że może. – Leri nie miała zwyczaju zsiadać ze smoka, żeby przyjmować raporty od drużyn naziemnych. Nie była wysoka i wolała pozostawać na grzbiecie królowej.

Morela pognęła przez gęstą mgłę pod górę po schodach. Pomruki Holth słychać było już przy wejściu do weyru. Na gniewny głos Sh'galla jeszcze przyspieszyła.

–Jak śmiesz wtrącać się do skrzydła królowych? – zapytała, wpadając do środka.

Sh'gall odwrócił się gwałtownie, podniósł obie ręce, żeby nie dopuścić jej do siebie, i cofnął się. Holth mrugała oczami ze zdenerwowania i kiwała z boku na bok głową nad Leri.

–Jak śmiesz denerwować Holth i Leri? – krzyczała Moreta.

–Nie jestem jeszcze taką zgrzybiałą staruchą, żebym miała sobie nie poradzić z rozhisteryzowanym spiżowym jeźdźcem! – odparła Leri, a oczy jej rzucały gromy.

–Wy, królowe, zawsze trzymacie się razem – odkrzyknął Sh'gall – wbrew wszelkiemu rozsądkowi i logice!

Holth zaryczała, a w weyrze zatrąbiła Orlith; chwilę potem cała mgła rozdzwoniła się od pytającego nawoływania smoków.

–Uspokój się, Sh'gallu! – Niepotrzebny jest nam w Weyrze cały ten harmider! – Leri odezwała się napiętym, ale opanowanym głosem i spojrzała Sh'gallowi w oczy. Chociaż ustąpiła ze stanowiska najwyższej Władczyni Weyru, to zajmowała je przez wiele Obrotów i wciąż miała niepodważalny autorytet. Kiedy Sh'gall odwrócił wzrok, Leri spojrzała surowo na Moretę. Moreta odezwała się uspokajająco do Orlith i zgiełk na zewnątrz weyru ucichł. Holth przestała ze zdenerwowania wymachiwać głową.

Leri złożyła ręce na nieporęcznej kronice, którą usiłowała utrzymać na podołku.

–Wspaniały moment, żeby się kłócić o drobiazgi. Weyrowi bardziej niż kiedykolwiek potrzebne jest teraz jednolite przywództwo – musimy uporać się z podwójnym zagrożeniem. Tak więc pozwól, Sh'gallu, że poinformuję cię o kilku sprawach, o których zdajesz się nie pamiętać w swojej godnej najwyższej pochwały trosce o ochronę Weyru przed tą Capiamową zarazą. Na wczorajszych Zgromadzeniach większość jeźdźców zetknęło się z tą zarazą. A najbardziej prawdopodobnym nosicielem jesteś ty sam, ponieważ byłeś w infirmerii w Południowym Bollu, jak również w Iście, gdzie oglądałeś to biedne zwierzę.

–Wcale nie wchodziłem do infirmerii i nie dotykałem tego kota. Umyłem się dokładnie w Lodowym Jeziorze, zanim wróciłem do Weyru.

–Ach, to dlatego tak powoli myślisz – fatalna sprawa, że najpierw ci odtajał język! – Chwileczkę, Przywódco Weyru! – Władczy ton Leri powstrzymał spiżowego jeźdźca od wygłoszenia repliki – Kiedy spałaś, Moreto, ja pracowałam. – Uniosła z trudem ciężką kronikę. – Każdy jeździec stojący na warcie wie, że ma nikogo nie wpuszczać do Weyru, chociaż jest mało prawdopodobne, żeby ktoś chciał latać w tej mgle, po dwóch Zgromadzeniach. Wieże bębnow w Warowni Fort grzmiały przez cały dzień. Peterpar sprawdził, czy wśród stad nie ma jakichś oznak choroby, co jest mało prawdopodobne, bo ostatnia partia przybyła z Tilleku. Nesso zajęta była rozmowami z ludźmi, którzy wytrzeźwieli na tyle, że przyswoić sobie tę informację. K'lon nadal czuje się coraz lepiej. Moreto, jak myślisz, co właściwie dolega Bercharowi? Moreta nie miała nigdy wątpliwości, że Leri doskonale orientuje się we wszystkim, co dzieje się poza jej weyrem, ale dawna Władczym Weyru była zbyt dyskretna, żeby okazywać, co wie.

–Bercharowi? – wykrzyknął Sh’gall. – Co mu jest?

–Prawdopodobnie zachorował na to samo co K’lon. Zgodnie z pouczeniem Berchara S’gor odizolował go i sam pozostanie w weyrze.

Sh’gall z trudem powstrzymywał się od zadania kolejnego pytania, które chciał zadać.

–Jeżeli K’lon wyzdrowiał, powinien wyzdrowieć i Berchar powiedziała Moreta.

–Dwóch chorych! – Sh’gall podniósł dłoń do gardła, a potem do czoła.

–Jeżeli Capiam mówi, że pierwsze symptomy pojawiają się po dwóch do czterech dni, nie powinieneś jeszcze czuć się chory stwierdziła Leri bez ogródek, chociaż dosyć życzliwie. – Poprowadzisz skrzydła w czasie jutrzejszego Opadu. Holth i ja polecimy ze skrzydłem królowych, a ja przyjmę raporty od drużyn naziemnych, jak to mam w zwyczaju – o ile w ogóle będą jakieś drużyny naziemne. Mało prawdopodobne, żeby Nabol i Crom wpadły w panikę. Musiałaby to zaiste być niezwykła choroba, gdyby chciała szukać ofiar w tych odludnych warunkach. Zgodnie z moim zwyczajem nie będę zsiadała z Holth, i w ten sposób do minimum zredukuję możliwość zarażenia. Utrzymywanie kontaktu ze wszystkimi gospodarzami należy do podstawowych obowiązków Weyrów. Bez pomocy drużyn naziemnych mielibyśmy dwa razy tyle roboty. Czy zgadzasz się ze mną, Przywódco Weyru?

Sądząc po konsternacji na twarzy Sh’galla, nie przyszło mu jeszcze do głowy, że wsparcie drużyn naziemnych może okazać się niewystarczające.

–Zresztą nie będzie tragedii, jeżeli złapię tę zarazę Capiama. Nie tylko jestem jeźdźcem w podeszłym wieku – tu Leri złośliwie spojrzała spod oka na Sh’galla – ale do tego łatwo mnie zastąpić.

Holth i Orlith zatrąbiły przerażone. Nawet Kadith się odezwał. Moreta ze ściśniętym gardłem rzuciła się, żeby objąć Leri.

–Nie da się ciebie zastąpić! Nie da się! Jesteś najmężniejszą ze wszystkich jeźdźczyń królowych na Pernie!

Leri łagodnie wyzwoliła się z uścisku Morety, a potem rzekła władczo do Sh’galla: – Idź. Wszystko, co można było zrobić, zostało zrobione.

–Uspokoję Kaditha – powiedział Sh’gall i wypadł, jakby go kto gonił.

–Ty się też uspokój – powiedziała Leri do Morety. – Nie jestem warta niczyich łez. Poza tym to prawda. Można mnie z łatwością zastąpić. Wydaje mi się, że Holth chciałaby już zasnąć w spokoju, a nie może tego uczynić przede mną.

–Leri! Nie mów takich rzeczy! Co ja bym bez ciebie zrobiła? Leri rzuciła na nią przeciągłe, badawcze spojrzenie.

–No cóż, dziewczyno, robiłabyś to, co trzeba. Zawsze tak będziesz postępować. A teraz najlepiej będzie, jeśli zejdiesz do Jaskini. Na pewno wszyscy słyszeli podniecone głosy królowych i Kaditha. Trzeba ich uspokoić.

Moreta cofnęła się o krok od legowiska Holth i Leri, zawstydzona swoją spontaniczną reakcją.

–Nie martwisz się tym, że dotykałaś tego biegusa w Ruacie, prawda?

–Nieszczególnie. – Moreta wzruszyła niepewnie ramionami. – Cóż, stało się. L'mała zawsze martwiły moje nieprzemyślane odruchy.

–Znacznie bardziej cieszył się z tego, że tak sobie radzisz z obrażeniami smoków. A teraz idź już, zanim oni się zaczną zamartwiać. Czy nie zabrałabyś tego kawałka uprzęży, żeby go Tral naprawił? Przecież nie mogę spać ze smoka, prawda? Taki sromotny koniec! Idź już, dziewczyno. I sprawdź swoją własną uprzęż – rutynowe czynności działają uspokajająco w takich chwilach. Idź już! Zamierzam kontynuować tę fascynującą lekturę!

Moreta wyszła z weyru Leri. W kiepskim nastroju sprawdziła swoją własną uprzęż, którą po ostatnim Opadzie naoliwiła i potem starannie powiesiła na kołkach.

–Niechętnie cię budziłam, ale Holth bardzo o to prosiła.

–Zrobiłaś to, co powinnaś była zrobić.

–Holth to wspaniała królowa. – Oczy Orlith zawirowały jaskrawie.

–A Leri jest cudowna. – Moreta podeszła do swojej królowej, która opuściła głowę, żeby Moreta mogła ją pogłaskać. Przez jakiś czas nie będziesz uczestniczyć w Opadach – dodała, oceniając wypukłość brzucha Orlith.

–Będę latała jutro. A jak zajdzie potrzeba, to później też polecę.

–I żebyś nie miała mi za złe, że polecałam ten kawałeczek z Malth!

–Nie mam ci tego za złe. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że zawsze z tobą polecę.

–Nie istnieje tak wielka potrzeba, żebyś miała opuścić swoje jaja, najmilsza. – Moreta pogładziła ją ze zrozumieniem po wypukłościach. – To będzie spora kupka jaj.

–Wiem. – W głosie Orlith dał się słyszeć ton satysfakcji

–Lepiej już zejdę do tej Niższej Jaskini. – Moreta wzdrygnęła się na myśl, co ją czeka. Potem przypomniała sobie, że mieszkańców weyrów charakteryzuje nie tylko hart ciała, ale i hart ducha. Na każdy Opad lecieli ze świadomością, że niektórzy z nich doznają obrażeń, a może nawet zginą. Znosili to z hartem i odwagą. Czemu to niewidzialne niebezpieczeństwo miało być groźniejsze niż Nici, które wypalały w nich bruzdy?

Podstępnie udzieliło jej się przerażenie Sh'galla. Przecież nikt nie miał pewności, że kontakt musi prowadzić do choroby. K'lon i Berchar? No cóż, można to było uznać za nieszczęśliwy przypadek – K'lon tak często odwiedzał Amurry'ego w Igenie. Prędzej niż Sh'gall zachoruje ona, ponieważ chciała pomóc temu biegusowi.

Moreta wzięła pasek Leri i wyszła z weyru, obejrzawszy się na Orliith, która układała się wygodnie. Mgła była już rzadsza i Moreta widziała zarysy całych schodów, chociaż Niższe Jaskinie zobaczyła dopiero wtedy, kiedy przebyła prawie połowę drogi przez Nieckę.

W Niższej Jaskini było sporo ludzi. Siedziała tam, posilając się, większość mieszkańców Weyru. Kobiety i weyrzątka krążyły pomiędzy jedzącymi z dzbanami klanu, ale bukłaki z winem należały do rzadkości. Pozostałe partnerki królowych – Lidora, Haura i Kamiana – zajmowały miejsce przy stole na podwyższeniu, a obok siedzieli ich partnerzy.

Zauważono ją i rozmowy na chwilę przycichły. Moreta odszukała Trala, który jak zwykle zajęty był naprawianiem różnych skórzanych rzeczy. Szła przez jaskinię, kiwając głową i uśmiechając się do jeźdźców i mieszkańców weyru. Uspokoila się trochę, widząc wyczekiwanie zebranych.

–Trzeba zreperować ten rzemyk Leri, Tralu.

–Oczywiście nie możemy jej stracić – powiedział brunatny jeździec, wziął pasek i położył go na wierzchu, na innych rzeczach przygotowanych do naprawy.

–Czyżbyśmy źle zrozumieli bębny, Moreto? – zapytał nagle jeden z młodszych brunatnych jeźdźców. Jego głos brzmiał zbyt głośno i obcesowo.

–Zależy od tego, jak bardzo cię rano bolała głowa – odpowiedziała Moreta ze śmiechem, któremu zawtórowali inni.

–Klah czy wino? – zapytała ją Haura, kiedy weszła na podium.

–Wino – powiedziała stanowczo Moreta, a jej sąsiedzi z aprobatą przyjęli ten wybór.

–To może pójść w nogi – zauważył ktoś.

–A czyż nie świetnie tańczyło się w Ruacie? – Pociągnęła łyk wina, a potem popatrzyła na zwrócone ku sobie twarze. – Kto z was nie wie jeszcze, jaką wiadomość przekazały bębny?

–Tych, którzy przespali komunikat, poinformowała podczas śniadania Nesso – zauważył ktoś z samego środka sali.

–A więc wiecie tyle, co i ja. Na Pernie wybuchła epidemia, spowodowała ją ta bestia, którą żeglarze wyciągnęli z morza pomiędzy Igenem a wyspą Ista. Zapadają na nią biegusy, ale Mistrz Talpan mówi, że whery-strażnicy, intrusie i smoki nie chorują na to. Mistrz Capiam nie wie jeszcze, jak się ta choroba nazywa, ale jeżeli ma ona swój początek na Południowym Kontynencie, to jest szansa, że



będzie o niej jakaś wzmianka w starych kronikach...

–Jak o wszystkim innym – zawołał jakiś dowcipniś.

–Tak więc jest to tylko kwestią czasu, zanim dowiemy się, jak ją leczyć. Jednakże – tu Moreta spoważniała – Mistrz Capiam ostrzega, żeby się nie spotykać w większych grupach...

–Powinien był nam o tym powiedzieć wczoraj...

–Jutro jest Opad. Nie życzę sobie żadnego heroizmu. Objawami choroby są bóle głowy i gorączka.

–A wiec K’lon złapał tę zarazę?

–Być może, ale wyzdrowiał.

Gdzieś od wschodniej strony jaskini rozległ się jakiś zmartwiony głos: – A co z Bercharem?

–Najprawdopodobniej zaraził się od K’lona, ale obydwaj z S’gorem odizolowali się, jak pewnie wiecie.

–A Sh’gall?

W jaskini nastąpiło poruszenie.

–Czuł się znakomicie dziesięć minut temu – powiedziała sucho Moreta. – Poleci jutro przeciw Niciom. I my też.

–Moreto – T’nure, jeździec zielonej Tapeth, podniósł się od swojego stołu – jak długo potrwa ta kwarantanna?

–Aż ją zniesie Mistrz Capiam. – Zobaczyła, że na twarzy T’nure’a odmalowało się niezadowolenie. – Weyr Fort będzie posłuszny! – Zanim skończyła, odezwało się łatwe do rozpoznania trąbienie królowych. Żaden smok nie okaże królowej nieposłuszeństwa. Moreta podziękowała Orlith za ten komentarz. – Wobec niedyspozycji Berchara na ciebie, Declanie i na ciebie, Maylone, spada odpowiedzialność za rannych. Nesso, musisz być ze swoją grupą przygotowana, żeby im pomóc. S’perenie, czy mogę liczyć na twoją pomoc?

–Zawsze, Władczyni Weyru.

–Hauro? – Jeźdźczyni królowej skinęła głową niezbyt chętnie.

–Czy zostało nam coś jeszcze do omówienia?

–Czy Holth poleci? – zapytała cicho Haura.

–Tak! – powiedziała Moreta kategorycznie. Nie pozwoli, by ktokolwiek to kwestionował. – Leri jak

zwykle porozmawia z naziemnymi drużynami, trzymając się od nich z daleka na swojej Holth.

–Moreto – odezwał się T’ral – skoro już mowa o naziemnych drużynach, to wiem, że Nabol i Crom stawia się jutro, ale co będzie przy następnym Opadzie – nad Tillekiem, a potem w Ruacie? Jeżeli ta zaraza się rozprzestrzeni i nie będzie kim obsadzić załóg?

–Zacniemy się tym martwić przy następnym Opadzie – powiedziała Moreta pospiesznie, z beztroskim uśmiechem. Ruatha! Ileż ludzi przybyło na tamto Zgromadzenie! – Warownie wypełnią swoje obowiązki, a Weyry wykonają swoje!

To powtórne zapewnienie spotkało się z pełnym aprobaty aplauzem. Usiadła, dając tym poznać, że dyskusja się skończyła. Nesso weszła na podium z talerzem jedzenia.

–Powinnaś wiedzieć – powiedziała przyciszonym głosem że na wszystkich wiadomościach jako nadawca podpisany jest teraz Fortine.

–Nie Capiam?

Nesso powoli pokręciła głową.

–Ani razu od południa.

–Czy ktoś jeszcze to zauważył?

Nesso siąknęła nosem z obrażoną godnością.

–Ja również znam swoje obowiązki, Władczyni Weyru.

Capiam stwierdził, że głowa boli go tak samo jak przedtem. Usiłował znaleźć jakąś pozycję, która przyniosłaby mu ulgę. Zegar chyba się późni: dopiero za godzinę będzie mógł zażyć czwartą porcję soku fellisowego. Dzięki tojadowi serce biło mu bardziej regularnie. Uzdrowiciel ostrożnie przekręcił się na prawy bok. Rozluźnił mięśnie karku i pozwolił głowie opaść na wypchaną włosiem poduszkę. Mógłby teraz zliczyć wszystkie włókienka w poszewce, tak gniotły go w przewrażliwioną skórę.

Jego cierpienia jeszcze się wzmożyły, bo wieża bębnow zaczęła przekazywać jakąś pilną wiadomość. O tej porze? Czyżby obsadzali wieżę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę? Czy nikt już nigdy nie będzie mógł się wyspać? Capiam zorientował się, że wiadomość przekazywana jest do Weyru Telgar, ale nareszcie nie mógł się skoncentrować.

Jeszcze godzina, zanim będzie mógł napić się soku fellisowego? Powinien bacznie obserwować przebieg choroby. To jego obowiązek względem Pernu. Czasami obowiązki bywają bardzo trudnym zadaniem.

Capiam westchnął, pragnąc, żeby minął wreszcie ten ohydny ból głowy. Powinien był posłuchać tej

wiadomości z Telgaru. Skąd ma wiedzieć, co dzieje się na Pernie? Czy choroba się rozszerza? Co ma o tym myśleć?

## Rozdział VIII

Weyr Fort, Przejście bieżące, 3. 12. 43

Kiedy następnego ranka o świcie Orlith obudziła Moretę, mgła już zniknęła ze zboczy gór otaczających Weyr Fort.

–A na północnym zachodzie? W kierunku na Nabol i Crom? – zapytała Moreta, ubierając się do lotu.

–Jeździec wyleciał już na rekonesans. Zaraz będziemy wiedzieli – odparła Orlith.

–A Sh’gall?

–Wstał i ubiera się. Kadith mówi, że czuje się dobrze i jest wypoczęty.

–A co Malth mówi o Bercharze?

Nastąpiła chwila przerwy w rozmowie, kiedy Orlith dowiadywała się, co z Bercharem.

–Malth mówi, że Berchar czuje się gorzej niż wczoraj. Moreta zaniepokoiła się. Jeżeli zażył słodki korzeń, powinien być już wypocić gorączkę z ciała.

–Ani ty, ani Przywódca Weyru nie jesteście chorzy – zwróciła jej uwagę Orlith, jak gdyby chcąc podnieść ją na duchu.

Moreta objęła królową za szyję i czule podrapała po wyrostkach nad oczami. Potem mimo woli zwróciła uwagę na wypukłości brzucha Orlith. – Czy naprawdę możesz dziś wyprawiać się na Nici?

–Oczywiście, że mogę. – Orlith wyciągnęła szyję, żeby przyjrzeć się tym sterczącym baniom. – Jak już będę w powietrzu, to się ułożą.

–Jak tam Holth i Leri?– Jeszcze śpią.

–Pewnie do świtu ślęczały nad kronikami. Orlith zamrugała oczami.

Kiedy po spotkaniu w Weyrze Moreta poszła zwrócić Leri naprawiony pasek, zastała ją zatopioną w lekturze.

–Mieszkańcy Weyrów nigdy nie chorują – powiedziała zniechęcona. – Mogą ich pobruździć Nici. Zdarza im się pokieraszować w czasie głupich zderzeń albo poranić w walce na noże. Jak się któryś przeje albo wypije za dużo młodego wina, to czasem go boli brzuch. Ale żeby mieli chorować? Przejrzałam dwadzieścia Obrotów od ostatniego Opadu – tu Leri przerwała, żeby szeroko ziewnąć – ależ to było nudne. Czytam dalej, ale tylko dlatego, że wymaga tego obowiązek. Jeźdźcy smoków to

tacy zdrowi ludzie!

Moreta z miłą chęcią przyjęła to do wiadomości i udała się na spoczynek. Nesso mogła się dziwić, że to Fortine wysyła wiadomości, ale Moreta doszła do logicznego wniosku, że Capiam po prostu odsypia zmęczenie wywołane objazdem dotkniętych chorobą Warowni. Sh'gall mówił, że Capiam podróżował tak przez kilka dni. Bojąc się wszelkich obrażeń i dolegliwości, Sh'gall aż do przesady przeraził się epidemii. Moreta patrzyła teraz na świat z większym optymizmem. To, że dotknęła tego padłego biegusa nie mogło jej zaszkodzić.

W efekcie spała dobrze i wyszła z weyru w jasny, rześki, wietrzny dzień, gotowa śmiało stawić czoło atakom Nici. Woląca do Opadu wyruszać wcześniej rano, zwłaszcza w taki dzień jak dziś. Zwykle to Berchar przygotowywał wszystko, co mogło się przydać do opatrywania pobrużdżonych smoków. Skoro jednak Berchar był chory, sama musi tego dopilnować.

W pobliżu infirmerii przygotowaniami zajmowali się Declan, Maylone i jeszcze sześciu innych mieszkańców Weyru. Declan był dwudziestoletnim młodzieńcem o szczupłej twarzy. Podobnie jak ona sama, Declan, i Maylone pochodzili z warowni, gdzie hodowano biegusy. Jeźdźcy trafili na nich podczas Poszukiwania kandydatów dla jaj Pelianth, ale chłopcy nie Naznaczyli. Pozwolono im jednak zostać w Weyrze, ponieważ Declan okazał się użyteczny dla Berchara, a Maylone był tak młody, że mógł jeszcze Naznaczyć. Zresztą gdyby nawet Declan został smoczym jeźdźcem, nadal wspierałby Moretę swymi umiejętnościami, a pomoc była jej bardzo potrzebna. W żadnym Weyrze nie było nigdy dość uzdrowicieli ludzi i smoków.

Kiedy Moreta zajmowała się sprawdzaniem przygotowań, Declan przyniósł jej kubek klahu. Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy nie wysłać kogoś z weyrzątek do Siedziby Uzdrowicieli po jakiegoś bardziej doświadczonego uzdrowiciela, który mógłby zastąpić Berchara, ale zdecydowała, że skoro jest kwarantanna, a Declan i Maylone tak dobrze sobie radzą, nie ma takiej konieczności. Większość jeźdźców umiała opatrywać drobne pobrużdżenia, własne i smocze.

Nałożyła sobie właśnie z kociołka owsianki, kiedy do jaskini wszedł Sh'gall. Skierował się prosto na podium i odsunął od stołu wszystkie krzesła poza jednym. Usiadł, skinął na senne weyrzątko, a kiedy chciało wejść na podium, bezapelacyjnie mu tego zakazał. Zebrani w jaskini przyglądali się z rozbawieniem, jak weyrzątko przynosi kubek klahu i miskę owsianki i ustawia je na drugim końcu stołu. Sh'gall zaczekał, aż weyrzątko odejdzie, i dopiero potem wziął śniadanie.

Moreta zniecierpliwiła się, widząc takie środki ostrożności. Było wystarczająco dużo pracy, przecież w południe miał być Opad. Jednak, chcąc uszanować autorytet Przywódcy Weyru, zachowała kamienny wyraz twarzy. Nesso przyprawiła czymś owsiankę i Moreta starała się rozpoznać, co to takiego.

Przywódcy skrzydeł i ich zastępcy zaczęli się schodzić i składać Sh'gallowi raporty o gotowości skrzydeł. Przezornie nie zbliżali się zbyt blisko.

Trzy jeźdźczynie królowych przyszły razem i przysiadły się do Morety. Moreta dała znak weyrzątku,

żeby obsłużyło panie i dołało jej kłahu. Kamiana, o kilka Obrotów młodsza od Morety, jak zwykle była niewzruszona, jej ciemne, krótkie włosy sterczały po kąpieli na wszystkie strony, twarz miała opaloną i gładką. Lidora, która tyle razy już odpierała ataki Nici, że nie musiała się szczególnie niepokoić, wyraźnie była czymś wyprowadzona z równowagi, ale ponieważ niedawno zmieniła partnera, często ulegała zmiennym nastrojom. Haura, najmłodsza z nich, zawsze denerwowała się przed Opadem, ale uspokajała się, kiedy skrzydło królowych wkraczało do akcji

–Nie chce się narażać? – powiedziała Kamiana zauważywszy, że Sh’gall odizolował się od wszystkich.

–To on wiózł Capiama z Isty do Warowni Południowej i Fortu.

–Jak się ma Berchar?

–Ciągle gorączkuje. – Moreta wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że należało się tego spodziewać.

–Mam nadzieję, że nie będzie żadnych poważnych obrażeń. Kamiana skierowała tę uwagę do Haury, która nie lubiła występować w roli pielęgniarki.

–Holth nas poprowadzi – powiedziała Morela strofując wzrokiem Kamianę. – Haura i ty polecicie z tyłu. My z Lidorą na górnym poziomie. Może w Nabolu i Gromie nie będzie mgły...

–Czy któryś z jeźdźców wybrał się na rekonesans?

–Sha’gall nigdy nie poleci na ślepo – sucho odpowiedziała Moreta. Weyrzatko wróciło z owsianką i klanem i obsłużyło Władczynię Weyru. Jeźdźcy smoków zaczęli się schodzić grupami, podchodzili do paleniska śniadaniowego, a potem rozchodzili się do stołów. Zastępcy przywódców skrzydeł krążyli po sali, sprawdzali jeźdźców, wydawali polecenia. Wszystko odbywało się całkiem normalnie, dopóki nie wszedł jeździec, który polecał na rekonesans.

–Jeździec Dalekich Rubieży powiedział mi, że niebo jest czyste aż do wybrzeża – ogłosił A’dan wesołym głosem, ściągając hełm i kierując się do paleniska.

–Jeździec Dalekich Rubieży? Rozmawiałeś z nim? – zapytał Sh’gall.

–Oczywiście – A’dan ze zdumieniem odwrócił się do Przywódcy Weyru. – A skąd miałbym to wiedzieć? Spotkaliśmy się...

–Czy nie powiedziano wam wczoraj... – Sh’gall podniósł się, wydawało się, że urósł z gniewu. Spiorunował Moretę przeszywającym, oskarżycielskim spojrzeniem. – Czy nie powiedziano wam, że zakazany jest kontakt z kimkolwiek?

–Jeźdźcy to nie jest ktokolwiek...

–Z innymi jeźdźcami! Z kimkolwiek! Nie możemy dopuścić, żeby ta zaraza dostała się do Weyr Fortu, a to oznacza, że musimy trzymać się z daleka od wszystkich. Dzisiaj podczas Opadu żadnemu z jeźdźców tego Weyru nie wolno zbliżyć się do żadnego jeźdźca ani gospodarza z Dalekich Rubieży. Wszelkie rozkazy macie wydawać z grzbietu smoka, najlepiej z powietrza. Nie dotykajcie nikogo ani niczego, co należy do kogoś spoza tego Weyru. Czy tym razem zrozumieliście moje rozkazy? – Jeszcze raz przeszył Moretę wzrokiem.

–Ciekawe jaką Sh’gall przewiduje karę dla nieposłusznych? Wygłoszone półgłosem pytanie Kamiany było przeznaczone tylko dla uszu Morety.

Moreta rozkazującym gestem uciszyła Kamianę. Sh’gall nie skończył jeszcze mówić.

–Dzisiaj mamy Opad Nici! – ciągnął dalej Sh’gall stentorowym, chociaż już mniej groźnym głosem, którego nikt w Niższych Jaskiniach nie ośmieliłby się zignorować. – Tylko smoki i ich jeźdźcy są w stanie uratować Pern od Nici! To dlatego żyjemy na osobności, w Weyrach, dlatego musimy trzymać się na osobności, dbając o swoje zdrowie. Pamiętajcie! Tylko smoczy jeźdźcy są w stanie uratować Pern od Nici! Musimy wszyscy sprostać temu zadaniu!

–Ale nas zagrzewa do walki – powiedziała Lidora, pochylając się w stronę Morety. – Jak długo mamy tu siedzieć? W jej głosie dźwięczała irytacja.

Moreta zmierzyła ją przeciągłym spojrzeniem i Lidorę zagryzła dolną wargę.

–To z pewnością przykre, Lidoro, ale na Zgromadzeniach najczęściej nawiązuje się tylko przelotne romanse. – Odgadła przyczynę zdenerwowania Lidory i zastanawiała się, kto na ruathańskim Zgromadzeniu wpadł jej w oko. Znowu pomyślała o Alessanie i o tym, jak dobrze jej było w jego towarzystwie. Biegła tak do tego padłego biegusa, usiłowała zwrócić na siebie uwagę Alessana.

Z chwilowego zamyślenia wyrwał ją szurgot nóg i ław o kamienie. Podniosła się pośpiesznie. Zgodnie ze zwyczajem powinna wysłuchać najświeższych instrukcji Sh’galla, dotyczących skrzydła królowych. Zatrzymała się o kilka metrów od podium. Sh’gall podniósł wzrok. Na twarzy miał wypisane, żeby się do niego nie zbliżać.

–Leri uparła się lecieć?

–Nie ma powodu, żeby ją powstrzymywać.

–Przypomnisz jej oczywiście, żeby nie zsiadała. – Nigdy tego nie robi.

Sh’gall wzruszył ramionami, czując się zwolniony z wszelkiej odpowiedzialności za Leri.

–Zajmij się więc swoimi smoczymi. Opad Nici przewidziany jest na południe. – Odwrócił się i skinął na przywódców skrzydeł, żeby podeszli bliżej.

–Czy on znowu narzeka na Leri? – zapytała Kamiana, zapominając o swoich własnych obiekcjach.

–Nie za bardzo – odparła Moreta, torując sobie drogę do wyjścia z jaskini. W ślad za nią udały się jeźdźczynie królowych.

W całej Niecce, na półkach skalnych i na ziemi, jeźdźcy zakładali uprząż na swoje smoki i poprawiali worki ze smoczym kamieniem na smoczycy szyjach. Inni wcierali olej w świeże blizny i badawczo przyglądali się szorstkim plackom na skórze i na błonach skrzydeł. Przywódcy skrzydeł i ich zastępcy kierowali przygotowaniami. Posyłane po rozmaite rzeczy weyrzątka biegały wokół smoków i jeźdźców. Wszyscy pracowali pilnie. Przechodząc na drugą stronę Niecki, Moreta stwierdziła, że wszystko odbywa się normalnie. Aż dziw pomyśleć, że gdzieś na Pernie ludzie i zwierzęta umierają w tej chwili od zarazy.

„To nie są dobre myśli” – powiedziała Orlith surowo.

–Prawda. Nie należy takiej myśli zabierać ze sobą na Opad. Wybacz mi.

„Nie ma czego wybaczać. Jest jasny dzień! Uda nam się to spotkanie z Nićmi!”

Pewność Orlith napełniła Moretę optymizmem. Słońce zalewało Nieckę od wschodu, a rzeńskie powietrze działało ożywczo po wilgotnej pogodzie, jaka panowała ostatnio. Największym dobrodziejstwem byłby teraz porządny, ostry mróz. Nie jakieś długotrwałe oziębienie, tyle jednak, żeby wymrozić te szkodliwe owady i zmniejszyć populację węży tunelowych. – Najpierw założę uprząż na Holth.

„Leri ma pomoc.”

Moreta uśmiechnęła się na niecierpliwość Orlith. Takie właśnie powinno być nastawienie smoka. Kiedy weszła do weyru, Orlith zlazła już z legowiska, a jej oczy błyszcząły i wirowały coraz szybciej w radosnym podnieceniu. Orlith opuściła głowę. Serce Morety przepełniła miłość do swojej partnerki i przyjaciółki. Zarzuciła ręce na jej trójkątny pysk i tuliła go z całych sił, wiedząc, że dla tej potężnej bestii jest to jak muśnięcie piórkiem. Orlith zadudniła i Moreta wyczuła tę pełną miłości wibrację. Niechętnie wypuściła Orlith z objęć. Sięgnęła po uprząż rozwieszoną na kołkach na ścianie.

Przesuwała wprawnymi rękami po pasach. Zimno przestworzy wżerało się w wyposażenie i większość jeźdźców zmieniała uprząż trzy albo cztery razy na Obrót. Kiedy upewniła się, że wszystko jest w porządku, poddała oględzinom skrzydła Orlith, pomimo rosnącego zniecierpliwienia królowej, która chciała już znaleźć się na wzgórzu Gwiazdnych Kamieni i nadzorować ostateczne przygotowania. Moreta sprawdziła jeszcze wskaźnik na pojemniku z hanoczem i sprawdziła, czy dysza jest czysta. Królowa i jeźdźczynie wyszły na skalną półkę. Na wyżej położonej półce czekały już Holth i Leri.

Moreta pomachał do Leri, która również ją pozdrowiła. Założywszy ochraniacze na oczy, Moreta zapięła hełm, przyczepiła u pasa nieporęczny miotacz płomieni i dosiadła Orlith. Potężnym wymachem skrzydeł Orlith wystartowała w kierunku Obrzeża.

–Czeka cię ogromny wysiłek, moja najmilsza – powiedziała Moreta.

–Kiedy jestem w powietrzu, nie czuję zmęczenia. Chcąc rozproszyć niepokój Morety, Orlith skrzyła bardzo zwinnie i wylądowała precyzyjnie tuż obok Kaditha. Kadith był smokiem sporych rozmiarów, miał kolor spizu, głęboki, bogaty, o zielonkawym odcieniu. Nie był największym ze spizowych smoków w Weyrze Fort, ale podczas lotów godowych z Orlith dowiódł, że jest najbardziej zwinny, śmiały i energiczny. Podniósł teraz oczy na Orlith i z uczuciem pogłaskał ją głową po karku. Orlith przyjęła skromnie te karesy i odwróciła głowę, żeby mogli się dotknąć pyskami.

A potem Sh'gall dał sygnał, żeby niebiescy, zieloni, brunatni i spizowi jeźdźcy zaczęli karmić swoje smoki smoczym kamieniem. Mimo że był to istotny etap przygotowań do niszczenia Nici, Moreta nigdy nie potrafiła traktować go poważnie. Śmiać jej się chciało, gdy smoki z zamyśloną miną z na wpół przymkniętymi oczami przekładały smoczy kamień na trącą powierzchnię zębów, zwracając jak największą uwagę na to, żeby precyzyjnie ułożyć skałę zanim zacisną paszcze. Rozgryzając na proszek smoczy kamień, mogły sobie poważnie uszkodzić języki.

Kiedy już skończyły przeżuwać, Morecie widok tych dwunastu smoczych skrzydeł nieodmiennie dodawał ducha. Ich zielone, błękitne, brunatne i spizowe skóry lśniły w słońcu, fasetowe oczy przybierały czerwonawożółty odcień bojowy, skrzydła niespokojnie drżały, a ogony uderzały w skały Obrzeża.

Orlith przestąpiła z łapy na łapę i przysiadła na zadzie. Moreta czule klepnęła ją po barku i kazała jej się uspokoić.

„Są gotowe. Brzuchy mają pełne kamienia smoczego. Czemu nie lecimy, Kadith?”

Moreta nie posiadała tej wyjątkowej zdolności, która pozwalała niektórym partnerkom królowych porozumiewać się z każdym smokiem. Kadith zwrócił swoje podobne do płynnego metalu czy na Orlith i smoczyca natychmiast się uspokoiła. Orlith była królową Weyru, była królową seniorką, najpotężniejszym smokiem w Weyrze, a ponieważ Fort był najstarszym i największym z Weyrów na całej planecie, ona i jej jeźdźczyni przewyższały rangą wszystkie inne pary. Kiedy jednak opadały Nici, ster rządów obejmował Przywódca Weyru i Orlith musiała słuchać Kaditha i Sh'galla. I Moreta również.

Nagle najdalsze skrzydło wystrzeliło wysoko w powietrze. Będą lecieli w pierwszej, zachodniej formacji trzech skrzydeł. Wystartowało skrzydło drugiego poziomu, potem trzeciego. Kiedy każde z nich osiągnęło przepisana dla siebie wysokość, zniknęły w „pomiędzy”. Następnie wystartowało skrzydło północ – południe, mające przeciąć przewidywaną trasę Opadu Nici. Wlecieli w „pomiędzy”. Skrzydła przekątne, które miały ruszyć w kierunku północ – zachód, wzbity się i zniknęły. Sh'gall uniósł rękę jeszcze raz i tym razem Kadith zatrząbił. Czekał z równą niecierpliwością jak Orlith, żeby wreszcie móc ruszyć. Przywódca Weyru zamierzał zabrać swoje trzy skrzydła na wschód, na skraj cromiańskiego płaskowyżu, gdzie spodziewano się pierwszego ataku Nici. Skrzydło królowych zajmowało końcową pozycję i miało lecieć jak najniżej nad ziemią. Ich potężne skrzydła pozwalały na większą stabilność lotu w kapryśnych prądach powietrznych.



Teraz Kadith zeskokczył z Obrzeża, a Orlith poleciała za nim tak szybko, że Moretę szarpnęło w tył w uprzęży. Zajęły swoją pozycję. Dołączyła do nich Leri na Holth. Haura i Kamiana zajęły wyznaczone im miejsca, a Lidora dołączyła do Morety na wyższym poziomie.

–Kadith mówi, że mamy lecieć „pomiędzy”.

–Określił pozycję?

–Bardzo dokładnie.

–No to lećmy, Orlith!

Czarne, czarniejsze, najczarniejsze,

Zimniejsze od złodowaceń,

Gdzie jest „pomiędzy”, kiedy życiu...

Daleko na horyzoncie rysowały się potężne góry Nabolu, zimowe słońce ogrzewało im plecy. Pod nimi leżały gołe jak kość równiny wschodniego Cromu, lśniły na nich jakieś plamy i smugi, które przywodziły na myśl szron albo obfitą rosę.

Moreta spojrzała na Leri i Holth, które radziły sobie świetnie. Haura i Kamiana ustawiły się za nimi, tworząc formację w kształcie litery V. Skrzydła bojowe znajdowały się nad nimi, najwyższa ich grupa wyglądała jak szybujące powoli na zachód kropki. Pozostałe dziewięć skrzydeł szybowało na wyznaczonych pozycjach w kierunku niewidocznego na razie wroga. Moreta obejrzała się przez ramię.

–Czy jest silny wiatr? – Nie taki, żeby miał jakieś znaczenie. – Orlith na próbę skrzyła lekko w prawo, potem w lewo.

„A więc Nici będą opadały nieco pod kątem” – pomyślała Moreta. Problemy zaczną się w pobliżu gór Nabolu, gdzie są nagłe zawirowania powietrza. Podczas zimnej pory Nici opadały szybciej, ale dziś, chociaż się ochłodziło, nie było mrozu.

–Nadchodzi!

Moreta znowu obejrzała się za siebie. Zobaczyła srebrzyste, zasnuwające niebo pasma, nieubłagane pełzące w kierunku ziemi. Opad Nici!

Orlith gwałtownie poruszyła swymi potężnymi skrzydłami i skierowała się na spotkanie niszczycielskiego deszczu.

Moreta wstrzymała oddech i oparła się o pasy bojowe. Za chwilę dojdzie do starcia z Nićmi. Rzuciła spojrzenie Holth.

–Dobrze się trzyma! – stwierdziła Orlith. – Im też słońce grzeje w plecy.

Było już widać skraj Opadu, a na niebie po obydwu jego stronach rozbłysły płomienie nagłych wybuchów. Po układzie smoczych płomieni Moreta zorientowała się, że Opad był nieregularny.

–Kadith mówi, że Opad jest cały poszarpany. Powiększyć front. Zbliża się druga grupa. Południowe skrzydła nawiązały kontakt. – Orlith miała zwyczaj komentować Opad na bieżąco, dopóki królowe nie musiały użyć miotaczy płomieni. Wtedy całą jej uwagę pochłaniała troska o to, żeby obydwie z Moreta wyszły z walki bez szwanku. – Górny poziom opada. Żadnych obrażeń.

„Rzadko odnosimy obrażenia w ciągu tych pierwszych kilku podniecających chwil Opadu, nawet jeśli ma fatalny układ” – pomyślała Moreta. Jeźdźcy są wypoczęci, ich smoki pełne zapału. Kiedy już ocenią Opad, gęsty czy rzadki, szybki czy wolny, wtedy zaczną się zdarzać błędy. Druga godzina Opadu była najbardziej niebezpieczna. Jeźdźcy i smoki tracili swą początkową sprawność, nie trafiali w Nici, źle oceniali odległość.

–Kadith rusza do akcji. Zieje ogniem! – Podniecenie zabarwiło spokojny dotąd głos Orlith. – Jest w przestworzach. Wszystkie skrzydła wdały się już w walkę. Pierwsza grupa wraca, by dokonać ponownego przelotu.

Moreta poczuła powiew wiatru. Ułożyła lepiej na ramieniu miotacz płomieni. Wiatr niósł ze sobą drobne kruszynki czarnych, spopielonych Nici. W deszczowy dzień jej gogle pokrywały się niekiedy warstwą błotnistego osadu. Znalazły się pod frontowym skrajem Nici.

–Nic nie umknęło skrzydłom – powiedziała Orlith,

Te pola pod nimi uprawiano starannie przez całe setki Obrotów. Teraz w żyznej, ciemnej ziemi płaskowyzu było dość mineralnej pożywki, żeby Nici przeżyły jakiś czas i zdążyły wszystko spustoszyć.

Zbliżały się do pierwszego szeregu pagórków i pierwszych gospodarstw Cromu. Symetryczne szeregi okien, szczelnie zakrytych metalowymi okiennicami, rysowały się na tle chroniącego je stoku. Kiedy przelatywały nad płonącymi wzgórzami ogniowymi, Moreta zastanowiła się, czy wszyscy w tym gospodarstwie są zdrowi.

–Zapytaj whera – stróża, Orlith.

–On nic nie wie – odparła pogardliwie Orlith. Królowej nie bawiła wymiana zdań z takim prostaczkiem.

–Whery one też się czasem przydają – powiedziała Moreta. Nawiążemy dziś kontakt ze wszystkimi stróżami. Sh’gall nie życzy sobie, żebyśmy się kontaktowały z ludźmi, ale może tak uda nam się czegoś dowiedzieć.

Kiedy wyłoniło się następne pasmo pagórków, Orlith wzbiła się na większą wysokość. Jeźdźcy i

królowa nie spuszczały z oczu srebrzystego deszczu, klucząc po wyznaczonej im trasie. Zobaczyły nad sąsiednim płaskowyżem Lidorę i Ilith, również lecących zygzakiem.

–Kadith mówi, że mamy zbiórkę nad Warownią Crom – powiedziała Orlith po kilku długich przelotach.

–No to dołączmy do nich.

Moreta skupiła myśli na wzgórzach ogniowych Cromu, śpiewnie wypowiedziała zaklęcie i już były na miejscu. Warownia została usytuowana w pobliżu rzeki, z jej okien, kiedy nie były zasłonięte okiennicami, można było zobaczyć wodospad. Zwierzęta, które zwykle pasły się na polach, zostały zapędzone do środka. Moreta przypomniała sobie wesołe, bogate dekoracje na oknach Ruathy i poprosiła Orlith, żeby porozmawiała z wherem – stróżem Cromu.

–On się tylko martwi Nićmi. Nic nie wie o chorobie – powiedziała Orlith z odrazą. – Kadith mówi, że Opad jest teraz bardzo gęsty i powinniśmy być ostrożne. Są już trzy pobrużdżenia. Wszystkie smoki zieją ogniem.

Cóż to za wspaniały widok, kiedy wszystkie skrzydła zbierały się nad Warownią Crom. Szkoda, że gospodarze nie mogli tego zobaczyć. Złot wyglądał fantastycznie, ale takie skupisko smoków stwarzało Niciom doskonałą okazję do ataku.

Nagle Orlith skrzyła i Moreta zobaczyła pasmo Nici. Natychmiast w jego stronę skierował się jakiś błękitny smok.

–Jesteśmy w lepszej pozycji – zawołała wiedząc, że Orlith uprzedzi nurkującego błękitnego smoka. Odkryła dyszę swojego miotacza płomieni i kiedy Orlith podlatywała od dołu do płataniny Nici, wychyliła się jak najdalej w lewo w bojowej uprzęży. Nacisnęła guzik. Płomień trafił w cel, ale tuż obok mignęły błękitne skrzydła.

–Za blisko podleciałaś, ty głupcze. Kto to był?

–N’men, jeździec Jeltha – powiedziała Orlith. – Jeden z młodych błękitnych. Nie oparzyłaś go.

–Gdybym oparzyła, nauczyłoby go to karności – kipiała z gniewu Moreta, ale zrobiło jej się lżej na sercu, że młody jeździec nie doznał żadnego uszczerbku. – Cóż za głupota, latać tak nisko. Czy on nas nie widział? Dobrze mu natrę uszu!

–Znowu Nici! – Orlith zmieniła temat. Lidora również widziała te Nici, ale była bliżej. Orlith odstąpiła jej zdobycz. Nadlatują inni.

Skrzydło królowych ponownie się uformowało i utworzyło wachlarz, kiedy strzępy Nici zaczęły opadać w dziwnych konfiguracjach z powodu wywołanych przez smoki prądów powietrznych. To dopiero była robota dla królowych!

Moreta i Orlith ścigały to cały kłęb Nici, to znowu jakieś pasmo, świadome, że Sh'gall pospiesznie przegrupowuje kilka skrzydeł tak, by kryły górne poziomy. Potem Sh'gall wysłał jeźdźców na północ na rekonesans, żeby się upewnili, czy żadne Nici nie wylądowały na ziemi.

Opad trwał, skrzydła ponownie uformowały szeregi. Jeźdźcy wołali o smoczy kamień i wyznaczali spotkania z transportowymi weyrzątkami. Moreta sprawdziła swój miotacz i przekonała się, że ma pół baku zapalającej cieczy. A Opad wciąż trwał.

Orlith doniosła jej o następnych obrażeniach, żadne nie było poważne – czubki skrzydeł i ogony. Przeleciały z Moretą na poziomie obserwacyjnym nad pierwszymi, zwieńczonymi śniegiem górami, wzdłuż nieregularnej granicy pomiędzy Gromem i Nabolem. Nici zamarzną i zwiędną na tych zboczach. Sh'gall i Kadith rozkazali skrzydłom polecieć w „pomiędzy” na drugą stronę gór i do Nabolu.

Haura powiedziała, że obie z Leri potrzebują świeżych cylindrów do miotaczy płomieni i opadły w dół przy osiedlu górniczym.

–Leri, zapytaj o to whera – stróża!

–Holth mówi, że wszystkie whery są głupie i nie wiedzą nic, co mogłoby się nam przydać. Będę pytała dalej.

Każde lądowanie było wysiłkiem dla Holth, która trochę już zniedołężniała. Moreta przyglądała jej się z niepokojem, ale Leri uwzględniła kłopoty Holth i wylądowała na szerokiej półce skalnej w pobliżu osiedla górniczego. Pojawiło się zielone weyrzątko z cylindrami zawieszonymi na szyi. Wylądowało z gracją. Jego jeździec odczepił pojemnik i zsiadł. Podbiegł do Holth, wspiął się na jej przednią łapę, trzymając jedną ręką pasy od cylindra, a drugą chwytając za ramię bojowe. Wymiany cylindrów dokonano, kiedy Moreta i Orlith szybowały nad nimi Holth zrobiła kilka kroków do przodu, wychyliła się poza półkę i machnęła skrzydłami.

–Już lecą. Wszystko w porządku – powiedziała Orlith.

–Lećmy do Kaditha!

Wynurzyły się nad jakąś dziką doliną w momencie, kiedy o najbliższy grzbiet rozszczepiał się kłęb Nici.

–Tapeth leci za nimi!

Zielona smoczyca, ze skrzydłami złożonymi płasko przy grzebieniu grzbietowym, opadała w kierunku punktu zderzenia Nici ze skałą. Jej płomienny oddech opalił grań. Kiedy wyglądało na to, że zaraz zderzy się z górą, rozłożyła skrzydła i skręciła w bok.

–Lećmy tam! – Moreta rzuciła okiem na wskaźnik baku. Będzie potrzebowała więcej cieczy, żeby zalać tę grań. Żadna załoga naziemna nie dotrze do tej ślepej doliny.

Znalazły się nad okopconą skałą. Posłuszna myślowym rozkazom swojej partnerki, Orlith zawisała bez ruchu, żeby Moreta mogła opalić płomieniem drugą stronę grzbietu. Włókienka Nici zasyczały i zwinęły się w czarny popiół. Moreta metodycznie opalała ziemię żeby mieć pewność, że nie umknie jej ani krztyna tego pasożyta

–Wylądujemy kawałeczek dalej, Orlith. Będzie mi potrzebny następny zbiornik.

–Już jest w drodze! – Orlith wylądowała lekko.

–Chcę sprawdzić ten grzbiet

Moreta rozluźniła rzemienie bojowe i zsunęła się na ziemię. Jej stopy były obolałe od długiej jazdy i pomimo grubej wyściółki w butach trochę straciła czucie. Trzymając palec na spuście miotacza płomieni, dreptała powoli w kierunku poczerniałego obszaru. Po dwukrotnym opaleniu skała zachowała jeszcze trochę ciepła i Moreta zwolniła kroku, by ogrzać odrętwiałe stopy. Szła bardzo ostrożnie. Nigdy nie lubiła tych miejsc, gdzie były Nici. Jednak należało sprawdzić teren, im szybciej, tym lepiej. Nici potrafią zaryć się w każdą szczelinę i rozpadlinę.

Wschodnią stronę grzbietu tworzyła pionowa skała. Nie było na niej żadnego pęknięcia czy szpary, gdzie mogłyby zagnieździć się Nici. Zachodnią ścianę również tworzyła jednolita masa skalna. Płomień Tapeth musiał dopaść Nici w momencie lądowania.

Kiedy wracała do Orlith, było już jej cieplej w stopy. I właśnie wtedy pojawiło się błękitne weyrzątko. Pazury smoka znalazły się nie dalej jak na palec od wystającej iglicy skalnej. Błękitny smok wyhamował skrzydłami i wylądował. Orlith zagrzmiała, a błękitny smok zadygotał, słysząc naganę królowej. Na twarzy jeźdźca pojawił się niepokój.

–Nie próbuj takich sztuczek, Tragelu! Lataj bezpiecznie! krzyknęła na niego Moreta. – Nigdy jeszcze tutaj nie byłeś. Czy F'neldril nie wbijał ci do głowy, że zarówno przy lądowaniu jaki przy starcie potrzebna jest odpowiednia przestrzeń?

Młody jeździec drżącymi rękami gmerał przy pasach podtrzymujących zbiornik przy boku błękitnego smoka, a Moreta szła w jego stronę wciąż jeszcze kipiąc z wściekłości, że tak ją przestraszył.

–Dużo bardziej cieszy mnie ostrożność, niż z takie popisy. Niemalże wyrwała mu zbiornik z ręki.

–Zsiadaj. Zostaniesz tutaj, aż ten grzbiet wystygnie. Sprawdź, czy nie jest zakażony. Odrobinę niżej rośnie mech. Czy umiesz posługiwać się miotaczem płomieni? Dobrze. To, co zostało w moim zbiorniku, powinno wystarczyć. Ale każ swojemu smokowi zawiadomić nas, gdybyś zauważył, że na tym grzbiecie coś się rusza. Cokolwiek!

Jak ten młody jeździec przez godzinę pomarźnie, stojąc na warcie w wielkim strachu, to na przyszłość przestanie tak się wygłupiać. Mistrz Weyrzątek i Przywódca Weyru ostrzegali weyrzątko bez końca, ale mimo to zdarzało im się w niewytłumaczalny sposób ginąć. Starsze smoki bolały nad tą stratą. Te śmiertelne wypadki tak bardzo uszczuplały zasoby Weyru.

Wsiadła znowu na Orlith. Chłopiec stanął na warcie jak najbliżej swego smoka, usiłując w nim znaleźć jakąś pociechę. Obydwaj wyglądali na wstrząśniętych i niepoczyszonych.

–Kadith nas woła!

–Widocznie zbliża się koniec Opadu! – Moreta zapięła znowu pasy. Wygłoszona przed chwilą oracja straciłaby na wartości, gdyby spadła ze smoka przy starcie.

–B’lerion jedzie!

Moreta uśmiechnęła się, kazała Orlith wzbić się w powietrze i połączyć się z pozostałymi skrzydłami. Zastanawiała się w zimnych przestworzach, jak tam B’lerionowi idzie z Okliną.

A potem znalazły się po zachodniej stronie Pasma Nabolu, gdzie Nici opadały gęsto i szybko. Moreta i Orlith zniszczyły właśnie płataninę Nici tuż nad ziemią, kiedy Orlith nagle oznajmiła:

–Opad się skończył!

Rozpędzona królowa zaczęła wolno szybować. Moreta oparła się ze znużeniem o rzemienie bojowe, a miotacz ognia zaciążył jej w zmęczonej dłoni. W głowie jej dudniło, bo musiała patrzeć na zbyt wiele rzeczy naraz, trzeba było unosić się, szybować i odpowiednio nachylać płomień.

–Ile obrażeń?

–Trzydzieści trzy. Dwa poważnie uszkodzone skrzydła. Czterech jeźdźców z popękkanymi żebrami i trzech ze zwichniętymi barkami.

–Żebra i barki! To nie był dobry dzień! – Mimo wszystko Moreta odczuła ulgę. Ale te dwa skrzydła! Okropnie nie lubiła zabiegów przy skrzydłach, chociaż miała bardzo wiele wprawy.

–B’lerion nas pozdrawia. Spiżowy Nabeth dobrze się spisał. – Orlith z podziwem wyciągała szyję, kiedy spiżowy smok z Dalekich Rubieży zrównał się z nimi. B’lerion pomachał ręką na powitanie.

–Zapytaj go, czy dobrze się bawił na Zgromadzeniu. Chciała koniecznie zapomnieć o pociętych przez Nici skrzydłach, którymi musi się zająć.

–Dobrze. – W głosie Orlith brzmiało rozbawienie. – Kadith mówi, że powinniśmy wrócić do Weyru, do tych poranionych skrzydeł.

–Zapytaj najpierw B’leriona, co słyszał o epidemii – Tylko tyle, że istnieje. – I dodała: – Kadith mówi, że Dilanth odniósł bardzo poważne obrażenia. Moreta pomachała na pożegnanie B’lerionowi, przypomniawszy sobie że Sh’gall i Kadith uważali B’leriona i Nabetha za rywali. Zresztą może i byli rywalami. Orlith lubiła spiżowego smoka B’leriona, a Moreta uważała, że dużo zabawniej byłoby spędzać Przerwę z kimś tak wesołym jak B’lerion.

–Lećmy do Weyru.

Absolutny, bezgłośny chłód przestworzy podział na Moretę odświeżająco. A potem pojawiły się obydwie nisko nad Niecką. Orlith wynurzyła się z „pomiędzy” równie precyzyjnie i ryzykownie, jak wcześniej to błękitne weyrzątko. Ziemia usiana była rannymi smokami, każdego otaczała grupka obsługujących. Przenikliwe krzyki rannych i wyczerpanych smoków napełniały powietrze.

–Pokaż mi Dilentha – poprosiła Orlith, kiedy królowa skręcała nad Niecką.

–Pobruździło mu główny płat skrzydła. Uspokoję go! Królowa zataczała kręgi nad miotającym się błękitnym smokiem tak blisko, jak tylko się dało. Jeźdźcy i mieszkańcy Weyru usiłowali posmarować kojącym balsamem poranione skrzydło, ale Dilenth wyrywał im się, wijąc się z bólu. Kiedy Orlith zawisała w powietrzu, Moreta wyraźnie zobaczyła okaleczone skrzydło, trzepoczące niezgrabnie w pyle.

To było bardzo poważne obrażenie. Nici zniszczyły skraj skrzydła Dilentha głównie na odcinku od stawu łokciowego do palcowego. Wzmacniające chrząstki rozpadły się i pokruszyły, wbijając się w masę głównego płata skrzydła. Prawdopodobnie uszkodzony został również płat palcowy pomiędzy stawem a wzmacniającym żebrowaniem, tam, gdzie Nici ześlizgnęły się, kiedy Dilenth usiłował zrobić spóźniony unik. Więcej szkody doznała wierzchnia strona skrzydła niż spodnia. Podłużnica w zasadzie była cała. Kto wie, czy nie zostało uszkodzone żebrowanie palcowe. Jeżeli było uszkodzone, to do głównego Płata nie dojdzie posoka i smok nigdy nie odzyska pełnej władzy w skrzydle. Może też nie móc go składać.

Dilenth odniósł najgorsze dla smoka obrażenia, ponieważ w grę wchodziła zarówno krawędź wiodąca głównego płata, jak i krawędź tylna. W dodatku gojąca się błona skrzydła może wytworzyć tkankę kaloidainą, a wtedy lotka stanie się mniej czuła, pozbawiając smoka równowagi przy szybowaniu. Najpierw Moreta będzie musiała ułożyć strzępy pozostałych tkanek i jakoś je umocować, mając nadzieję, że pozostało wystarczająco dużo błony, żeby ukierunkować odbudowę. Dilenth miał młody organizm, zdolny do regeneracji tkanek, ale przez długi jeszcze czas będzie rekonwalescentem.

Moreta zobaczyła, że w grupie zajmującej się Dilenthem krząta się Nesso. Jeździec Dilentha, F’ duril, robił, co mógł, żeby pocieszyć smoka, ale Dilenth ciągle wyrywał się z uścisku swojego jeźdźca, i w udręce rzucał głową.

Orlith wylądowała tuż przed błękitnym smokiem. Moreta natychmiast rozluźniła rzemienie bojowe i ześliznęła się na ziemię. Pojawiły się weyrzątko i zabrały jej pojemnik na hanocz oraz całe wyposażenie.

–Gdzie jest czerwone ziele do mycia? – zapytała głośno żeby zagłuszyć to zawodzenie, od którego dudniło jej w głowie. – Orlith, ucisz go!

Krzyki Dilentha nagle umilkły, kiedy królowa wbiła spojrzenie w jego oczy. Błękitny smok przestał walić głową i poddał się opiece swojego jeźdźca. F’ duril błagał Dilentha, żeby był dzielny, a także dziękował Orlith i Morecie.

–Dilenth jest w szoku – powiedziała Moreta do F’durila, szorując ręce w miednicy z czerwonym ziele. Roztwór piekł ją w zziębnięte palce.

–Te rozdarcia są bardzo poważne. Z głównego płata skrzydła nic nie zostało, poza strzępami i skrawkami – powiedziała Nesso stojąca u jej boku. – Jak ma się to zagoić?

–Zobaczymy – powiedziała Moreta; była niezadowolona, że Nesso zgłasza publicznie wątpliwości, których ona starała się nie ujawniać. – Przynieś mi tę szeroką belę delikatnego materiału i najcieńsze trzcinki na koszyki, jakie znajdziesz. Gdzie są Declan i Maylone?

–Declan jest z Uraylem. Sorthowi mnóstwo Nici spadło na kłąb. Maylone też gdzieś jest z jakimś smokiem. – Nesso denerwowała się, że czeka ją tyle pracy. – Musiałam zostawić rannych jeźdźców na łasce ich partnerek i kobiet z weyru. Dlaczego ten Berchar musiał zachorować?

Nic się na to nie poradzi. Haura niedługo wróci i pomoże ci przy jeźdźcach. – Moreta opanowała się całą siłą woli. – Przynieś mi tylko ten materiał i trzcinki. Będzie mi potrzebny stół. Przyślij mi kogoś, kto ma pewne ręce, każ przynieść olej i rozcieńczone kojące ziele, a potem wracaj do jeźdźców. I jeszcze igły i szpulkę odkazonych nici.

Kiedy Nesso popędziła, skrzykując po drodze pomocników, Moreta kontynuowała badanie uszkodzonego skrzydła. Główne kości w skrzydle nie zostały uszkodzone, ale posmarowano je taką ilością mrocznika, że nie mogła zobaczyć, czy wytwarza się posoka. Fragmenty wiodącego płata skrzydła zwisały ze stawu łokciowego i palcowego. Może wystarczy ich do rekonstrukcji. Każdy strzép się przyda. Zgięła palce, które wciąż jeszcze nie rozgrzały się po zimnym locie w czasie Opadu.

Poprzez przytłumione zawrozczenie Dilentha Moreta usłyszała słowa człowieka.

–Sam wiesz, że to moja wina! – robił sobie wyrzuty F’duril. Ty nic na to nie mogłeś poradzić, Dilencie. To nie twoja wina. Tylko moja! Nie miałeś gdzie uskoczyć przed tymi Nićmi.

–F’durilu, opanujże się – zawołała Moreta. – Denerwujesz Dilentha dużo bardziej niż... – Przerwała nagle, zauważając bruzdy od Nici na ciele F’durila. – Czy nikt się jeszcze tobą nie zajął, F’durilu?

–Zmusiłem go, żeby się napił wina, Moreto – powiedział jakiś jeździec w wysmarowanych sadzami skórach. – Mam dla niego opatrunki z kojącym ziele.

–Więc go opatrz! – Moreta rozejrzała się poirytowana. Gdzie się podziała ta Nesso? Czy ona nic dzisiaj nie potrafi zorganizować?

–Czy z Dilenthem jest bardzo źle? – zapytał jeździec, umiejętnie rozcinając pozostałości kurtki F’durila. Moreta rozpoznała teraz w tym młodym człowieku A’dana, partnera weyrowego F’durila. Mówił przyciszonym, zatroskanym głosem.

–Nie najlepiej! – Przyjrzała się bliżej A’danowi, który zręcznie opatrywał F’durila. – Jesteś jego



partnerem? Czy masz pewną rękę?

Jako pomocnik byłby lepszy niż jęcząca Nesso. Na kości skrzydłowej Dilentha przez kojący balsam zaczęły się przesączać kropelki posoki.

–Gdzie są te moje rzeczy, Nesso?

Zaledwie Moreta zrobiła krok w stronę jaskini, chcąc sama wziąć to, co było jej potrzebne, kiedy pojawiła się tęga ochmistrzyni z trzcinkami, garnuszkiem rozcieńczonego mrocznika, dzbankiem oleju i igielnikiem Morety. Za nią maszerowały trzy weyrzątka, jedno z nich niosło owiniętą w skóry belę materiału, tak wysoką, jak on sani, i miskę do mycia, a dwaj pozostali taszczyli stół.

–Och, czy to się w ogóle kiedyś zagoi – zajęczała Nesso posepnym półgłosem, potrząsając głową. Po czym zerknęła na Moretę i szybko uciekła.

Moreta odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić, i sięgnęła po olej. Pokrywała nim ręce, żeby uchronić je przed kontaktem z kojącym balsamem, i wydawała polecenia A'danowi i weyrzątkom.

–Ty, D'ltanie – rozkazała weyrzątkowi, które wyglądało na najsilniejsze – potnij mi ten materiał na pasy tak długie jak skrzydło Dilentha. A'danie, umyj ręce tym olejem i wysusz je, a potem powtórz to jeszcze dwa razy. Będziemy często musieli nacierać ręce olejem, żeby przez ten balsam nie straciły czucia. Ty M'baraku – Moreta wskazała na wysokie weyrzątko – nawlekaj mi igły nićmi i rób to, dopóki ci nie powiem, żebyś przestał. Ty, B'grealu – popatrzyła na trzecie weyrzątko – będziesz mi podawał trzcinki, kiedy o nie poproszę. I wszyscy najpierw wymyjcie sobie ręce w czerwonym zielu.

–Podtrzymamy to skrzydło od spodu za pomocą materiału przyszytego do kości i rozpostartego od stawu grzbietowego dopalcowego – powiedziała, patrząc na A'dana. – Potem musimy... A'danie, jeżeli masz zamiar wymiotować, zrób to teraz. I Dilenthowi, i F'durilowi lżej będzie na sercu, jeżeli to ty mi pomożesz, F'duril wie, że będziesz najbardziej oddanym pielęgniarzem dla Dilentha. Nie myśl o tym jak o smoczym skrzydle. Pomyśl, że jest to wspaniała, letnia tunika, którą trzeba połatać. Nic innego nie będziemy robili. Tylko łatali!

Naoliwioną ręką wzięła od weyrzątka ostrą igłę, usiłując własnym przykładem dodać A'danowi hartu ducha. „Orlith!” - odezwała się w myślach do swojej królowej.

„Mogę porozmawiać tylko z jego zieloną Tgrath – powiedziała Orlith nieco cierpko. – Dilenth potrzebuje całego mojego skupienia, a jeszcze nie wróciła żadna z pozostałych królowych, żeby mi pomóc.”

Po chwili A'dan otrząsnął się, skończył myć ręce i odwrócił się do Morety. Jego twarz nie była już taka szara, a oczy uspokoiły się, chociaż wciąż konwulsyjnie przełykał ślinę.

–W porządku. Zaczynamy. Pamiętajcie! Jakbyśmy łatali tunikę!

Moreta wskoczyła na mocny stół, skinęła na A'dana, żeby poszedł w jej ślady, a potem sięgnęła po

pierwszy pas materiału. Kiedy zaczynała fastrygować, Dilenth i A'dan drgnęli niemal jednocześnie. Dzięki kontroli Orlith i takiej ilości mrocznika na kości, Dilenth nie odczuwał żadnego bólu. Moreta szycząc przemawiała do A'dana, od czasu do czasu prosząc go, żeby naciągnął czy poluzował delikatny materiał.

–Teraz przymocuję to od spodu. Pociągnij na lewo. Wiodący skraj skrzydła będzie gruby, nic się na to nie poradzi... Gotowe! Teraz, A'danie, weź szpatułkę i posmaruj materiał kojącym balsamem. Położymy go na tych zachowanych fragmentach żagla. To jest bardzo cieniutka letnia tunika. Delikatnie! M'baraku, utnij mi jeszcze jeden pas. To ścięgno zostało naderwane, ale na szczęście wciąż jeszcze trzyma się łokcia. „Orlith, niech on przestanie wymachiwać ogonem. Każdy jego ruch utrudnia operację” – powiedziała w myślach do swej królowej.

Dilenth nagle przestał się wrywać. Prawdopodobnie na pomoc Orlith przyleciała następna królowa. Wydawało jej się, że widzi Sh'galla, ale nie przerywała pracy.

–Mamy szczęście, że to ścięgno się zachowało – podjęła swoją przemowę. – Daj teraz te trzcinki, B'grealu. Tę najdłuższą. Widzisz, A'danie, możemy w ten sposób napiąć wiodący skraj i za pomocą gazy podtrzymać go. Chyba wystarczy nam tych kawałków błony. Tak, Dilenth jeszcze sobie polata. M'baraku, czy możesz podać mi ten bardziej rozcieńczony balsam?

Kiedy obydwójce z A'danem cierpliwie rekonstruowali główny płat skrzydła, Moreta pomyślała, że gdyby F'duril i błękitny smok wynurzyli się z przestworzy chwilę wcześniej, pałace Nici zwałyby F'durila ze smoka. Musi mu powiedzieć, że mieli niezwykle szczęście.

Odzyskali więcej fragmentów płata, niż się początkowo spodziewała. Teraz z większą pewnością przyszywała trzcinkę do ścięgna. Po jakimś czasie wszystko to się zagoi, chociaż świeże tkanki nałożą się na stare i nieładne zgrubienia utrzymają się jeszcze przez wiele miesięcy, zanim zetrze ich niesiony wiatrem piasek. Dilenth nauczy się wyrównywać te zmiany. Większość smoków z łatwością przyzwyczajała się do nierówności powierzchni skrzydeł, kiedy tylko znalazły się w powietrzu.

„Dilenth będzie znowu latał – powiedziała Orlith pogodnie, kiedy Moreta odsunęła się o krok od połatanego skrzydła. – Zrobiłaś tyle, ile mogłaś.”

–Orlith mówi, że zrobiliśmy kawał dobrej roboty, A'danie – powiedziała Moreta ze znużonym uśmiechem do zielonego jeźdźca. – Wspaniali z was pomocnicy, M'baraku, D'ltanie, B'grealu! Skinęła z wdzięcznością głową trzem weyrzątkom. – Teraz jeszcze tylko zaprowadzimy Dilentha do parterowych weyrów i możecie sobie odpocząć.

Zeskoczyła ze stołu i byłaby się rozciągnęła jak długa, gdyby A'dan jej nie podtrzymał. Na moment oparła się o brzeg stołu. Pojawiła się Nesso i naląła wina, najpierw Morecie, a potem pozostałym.

Pod Dilenthem, uwolnionym spod kontroli Orlith, zaczęły się uginać nogi i przechylił się niebezpiecznie na prawą stronę. Orlith ponownie nad nim zapanowała, podczas gdy Moreta rozglądała się dookoła za F'durilem.

–Z niego nie będzie żadnej pociechy – zauważyła kwaśno Nesso. Wszyscy przyglądali się, jak błękitny jeździec powoli osuwa się na ziemię w omdleniu.

–To z powodu tego napięcia i ran, jakie odniósł – powiedział A’dan, podbiegając do niego.

Dilenth zajęczał i opuścił pysk w kierunku swego jeźdźca.

–Nic mu nie będzie, Dilencie – powiedział A’dan, ostrożnie odwracając F’durila na bok.

–Przy tym wszystkim jest porządnie pijany! – mruknął M’barak, dając znak dwóm pozostałym weyrzątkom, żeby pomogły A’danowi przy F’durilu.

–Najgorsze za nami! – powiedział A’dan wesoło.

–On nie ma pojęcia, co tu jest najgorsze – ponuro mruknęła Nesso, kiedy błękitny smok odszedł na uginających się łapach podtrzymywany z jednej strony przez A’danowego Tigratha, a z drugiej przez K’lona i jego błękitnego Rogetha.

Moreta dopiero po chwili uświadomiła sobie, że K’lona i Rogetha nie powinno było tu być.

–Co tu robi K’lon?

–Zgłosił się na ochotnika. Powiedział, że świetnie się czuje i nie może wytrzymać tego nieróbstwa, kiedy jest tak bardzo potrzebny. A nikogo innego nie było!

–Nikogo innego?

–To był rozkaz, którego Weyr nie mógł zignorować. On i F’neldril zdecydowali, że trzeba zareagować na ten sygnał bębnów.

–O jakim sygnale bębnów mówisz, Nesso? – Nagle Moreta zrozumiała, dlaczego Nesso nie patrzy jej w oczy. Ta kobieta znowu przekroczyła swoje uprawnienia ochmistrzyni.

–Warownia Fort zażądała smoczego jeźdźcy, który by przewiózł Lorda Tolocampa z Ruathy do Warowni Fort. Pilnie. W Ruacie panuje zaraza, a jeszcze więcej chorych jest w Warowni Fort. Nie można pozbawiać Warowni jej własnego Lorda w czasie takiej klęski. – Nesso wyrzucała to z siebie, spoglądając niespokojnie na Moretę, żeby ocenić jej reakcję. – Mistrz Capiam jest chory... musi tak być, bo na wszelkie pytania odpowiada Fortine, a nie Mistrz Uzdrowiciel. – Nesso skrzywiła się, załamując ręce. – A w Igenie, Iście i w Telgarze chorują także jeźdźcy. Za dwa dni na południu będzie Opad... powiedz mi, kto wyleci walczyć z Nićmi, jeżeli z trzech Weyrów nie będzie można wysłać jeźdźców?

Moreta zmusiła się, żeby w spokoju przemyśleć sens słów Nesso. Może z powodu ulgi, że wyznała wszystko, a może pod wpływem wyrzutów sumienia, Nesso zaczęła płakać.

–Kiedy bębny nadały tę wiadomość?

–Były dwie wiadomości. Pierwsza, wzywająca kogoś, kto by przewiózł Lorda Tolocampa, przysłała tuż po tym, jak skrzydła wyleciały do Opadu! – Nesso otarła oczy, bez słów prosząc Moretę o wybaczenie. – Curmir powiedział, że musimy zareagować!

–No i zareagowaliście! – Szlochy Nesso denerwowały Moretę. – Nie mogliście poczekać, aż wrócimy z Opadu? Przecież chyba Curmir powiedział im, że Weyr wyleciał do Opadu?

Wiedzieli o tym. Jednakże F’neldril i K’lon byli tutaj... Kiedy usłyszeliśmy tę wiadomość, K’lon powiedział natychmiast, że poleci. Tłumaczył nam, że skoro już przeszedł przez tę gorączkę, to mało prawdopodobne, żeby znowu ją złapał. Nie chciał pozwolić, aby ryzykował F’neldril, któreś z weyrzątek, albo ktoś z inwalidów. – Nesso spojrzeniem błagała, żeby ją ktoś pocieszył. Próbowaliśmy zapytać Berchara, jakie jest niebezpieczeństwo zarażenia, ale S’gor nie pozwolił nikomu się z nim zobaczyć, a sam nie potrafił odpowiedzieć za niego. Przecież musieliśmy zareagować na prośbę Lorda Tolocampa. Lord Warowni powinien być w swojej Warowni podczas takiego kryzysu. Curmir dowodził, że w takiej szczególnej chwili obowiązek zmusza nas do udzielenia pomocy Lordowi Warowni, nawet jeżeli oznacza to nieposłuszeństwo wobec Przywódcy Weyru!

–Żeby już nie wspomnieć o nieposłuszeństwie wobec Mistrza Uzdrawiciela i o ogólnej kwarantannie.

–Przecież Mistrz Capiam jest właśnie w Warowni Fort – zaprotestowała Nesso, jak gdyby to usprawiedliwiało wszystko. – A nie potrafię sobie wyobrazić, co mogło się tam wydarzyć pod nieobecność Lorda Tolocampa!

Dużo bardziej interesowało Moretę, co dzieje się w Warowni Ruatha i jaka była ta druga nadana przez bębny wiadomość.

–A co z tymi chorymi jeźdźcami? Czy była to wiadomość zakodowana?

–Oczywiście, że tak! Żeby ją zrozumieć, Curmir musiał sięgnąć do kroniki. Jednakże w tej sprawie nic nie zrobiliśmy. Nawet nie przekazaliśmy wiadomości dalej, bo nie dostaliśmy takiego polecenia. F’neldril i K’lon powiedzieli, że powinnaś się o tym dowiedzieć. W samym Telgarze zachorowało czterdziestu pięciu jeźdźców! Nesso dramatycznym gestem położyła sobie rękę na piersi. – Dziewięciu jest ciężko chorych! W Igenie choruje dwudziestu dwóch, a w Iście czternastu. – Te liczby jak gdyby radowały Nesso.

Osiemdziesięciu jeden jeźdźców padło ofiarą tej epidemii? Moreta poczuła nagłą rozpacz i lęk. Zachorowali jeźdźcy? Zakręciło jej się w głowie. Przecież był Opad! Potrzebni byli wszyscy jeźdźcy smoków. Siły Weyr Fortu po poprzednim Opadzie zostały pomniejszone o trzydziestu, a po tym o trzydziestu trzech ludzi. Minie pełny Obrót, zanim Dilenth będzie mógł latać. Dlaczego tak się stało? Pozostało tylko osiem Obrotów w tym Przejściu, a potem jeźdźcy uwolniliby się od zniszczenia, jakie Nici wyrządzały smokom, ludziom, całemu Pernowi. Moreta potrząsnęła głową, usiłując myśleć

logicznie. Należało zwrócić więcej uwagi na to, jak wstrząśnięty był Sh'gall donosząc jej o chorobie, a nie lekceważyć tej prawdy, ponieważ była przykra. Wiedziała, że Mistrz Capiam nie miał zwyczaju bez powodu wydawać arbitralnych rozkazów. Jeźdźcy byli zdrowi, w dobrej formie, mniej podatni na wszelkie dolegliwości. Dlaczego również oni padali ofiarą tej epidemii, która szalała w warowniach, cechach i wśród zwierząt, chociaż przebywali w odosobnieniu, robiąc to, co im nakazywała tradycja?

Mówiła sobie, że zło szerzyło się już w momencie, kiedy Sh'gall przyniósł jej te wiadomości. Ona sama mimowolnie dołożyła się do tego, kiedy popisywała się swoją wrażliwością, żeby zaimponować Alessanowi. Czyż na Ruathańskim Zgromadzeniu mogło komukolwiek przyjść na myśl, że zbliżanie się do tego umierającego biegusa jest niebezpieczne? Przecież kiedy Talpan odkrył współzależność pomiędzy chorobą a podrózami tego zamkniętego w klatce zwierzaka, oni z Alessanem już przyglądali się wyścigom.

–„Nie ma w tym twojej winy – odezwał się czuły, kochający głos Orlith. – Nie wyrządziłaś żadnej krzywdy temu biegusowi. Miałaś prawo bawić się na Zgromadzeniu.”

–Czy jest coś, co powinniśmy zrobić, jeśli chodzi o inne Weyry, Moreto? – zapytała Nesso. Przestała płakać, ale wciąż jeszcze załamywała ręce, co niemal tak samo denerwowało Moretę.

–Czy Sh'gall już wrócił?

–Tak i poszedł szukać Leri. Był zły.

„Orlith?” – Moreta zwróciła się w myślach do swojej królowej. „Są zajęci, ale nic im się nie stało” – odpowiedziała Orlith.

–Nesso, czy powiedziałaś mu, jaką wiadomość nadały bębny? Nesso rzuciła na Moretę rozpaczliwe spojrzenie i pokręciła głową.

–Nie, był tu zbyt krótko.

–Rozumiem. – Oczywiście. Nesso nigdy by się nie zdobyła na to, żeby przekazać Przywódcy Weyru tak fatalną wiadomość. Moreta pomyślała, że sama będzie musiała porozmawiać z Sh'gallem, chociaż wcale się do tego nie kwapiła. – Jak się czuje Sorth?

–Wszystko w porządku – powiedziała Nesso, podejmując ten temat z dużo większym entuzjazmem. – Jest tam. Pomyślałam, że może chciałabyś sprawdzić, co z nim robiłam.

Blask zachodzącego słońca odbijał się od Zębatej Turni nad Weyrem Fort. Moreta popatrzyła tam, gdzie wskazywała Nesso, i od światła zaboląły ją zmęczone oczy. Nie zdawała sobie sprawy, że łatanie skrzydła Dilentha zajęło jej tak wiele czasu. „Słońce wciąż jeszcze świeci na twoją półkę skalną, Orlith. Powinnaś się nim nacieszyć. Pozbyć zimna przestworzy.” „Ty też jesteś zmęczona. Kiedy wreszcie odpoczniesz?” „Kiedy skończę robić to, co muszę” – powiedziała Moreta, ale troskliwość smoczycy pocieszyła ją. Potarła opuszki palców, które zdrętwiały jej, kiedy mrocznik

przesiąkł przez olej. Wypłukała rękę w czerwonym ziele i wytarła je porządnie w szmatkę.

Jakiś błękitny smok zaskomlał żałośnie ze swojej półki skalnej i zmartwiona Moreta spojrzała w tamtą stronę.

–Jego jeździec ma złamany bark – powiedziała Nesso, pociągnawszy nosem.

Moreta przypomniała sobie o innym błękitnym jeźdźcu. „Orlith, co z tym jeźdźcem błękitnego weyrzątka? Czy wrócił z tamtego grzbietu?” – zapytała.

„Tak, nie było tam Nici, Zgłosił się do Mistrza Weyrzątek, który chce zamienić z tobą parę słów na temat narażania bardzo młodego jeźdźca, na ryzyko.”

„Ten chłopak naraziłby się na większe ryzyko, gdyby kontynuował swoje sztuczki, a ja mam do pogadania z Mistrzem Weyrzątek jeszcze na inny temat”

–Chodźmy zobaczyć Sortha – powiedziała Moreta głośno do Nesso.

–To stary smok. Wątpię, żeby rany dobrze mu się goiły – paplała Nesso nerwowo, pragnąc wrócić do łask Morety. Niezbyt wiele wiedziała o obrażeniach smoków, ale uważała, że doskonale zna się na kierowaniu Weyrem.

W pewnej chwili Moreta stwierdziła, że sama również nie zważając na kwarantannę, rozkazałaby przewieźć Lorda Tolocampa, gdyby była wówczas w Weyrze. Tolocamp mógł bardziej przydać się w Warowni Fort niż w Ruacie. Ciekawe, czy w Ruacie ktoś zachorował. A jeżeli tak, to jak to się stało, że Alessan pozwolił Tolocampowi naruszyć kwarantannę?

Kłęb splątanych Nici uderzył Sortha prosto w przedni palec skrzydłowy, przecinając kość tuż za kłykiem. L’rayl nie wiedział, jak chwalić Declana. Przypomniał sobie też o Nesso, kiedy spiorunowała go wzrokiem. „Zrobili kawał dobrej roboty” – zauważyła fachowo Moreta, wkładając tę kość w łubki i dowiązując w odpowiednie miejsca trzcinki na silnie znieczulone ciało.

–Rzeczywiście, nieprzyjemna sprawa – rzekła Moreta, kiedy Sorth ostrożnie opuścił zranione skrzydło, żeby mogła je obejrzeć dokładnie.

–Odrobinę bliżej kłykcia i Sorth utraciłby zdolność ruchu – powiedział L’rayl z godną pochwały powściągliwością,

–Jak się wymoczy jutro w jeziorze, kiedy już posoka pokryje ranę, to opadnie mu opuchlizna – powiedziała Moreta, gładząc starego brunatnego smoka po barku.

–Sorth mówi – odpowiedział po chwili L’rayl – że pływanie bardzo dobrze mu robi. Woda podtrzyma to skrzydło i nie będzie go tak bolało. – L’rayl uśmiechnął się, dumny ze swego smoka, a potem, żeby okryć swoje zakłopotanie, odwrócił się i zaczął drapać Sortha po zieleniejącym pysku. – Ilu jeźdźców doznało obrażeń? – zapytała Moreta Nesso, gdy skierowały się w stronę infirmerii.

Jeżeli tyłu jest chorych, może będą musieli wysłać kogoś na zastępstwo.

–Więcej niż powinno było – odparła Nesso, jak zwykle enigmatycznie.

Większość rannych jeźdźców spała lub była półprzytomna od soku fellisowego i Moreta nie zatrzymywała się dłużej w infirmerii. Wyglądało też na to, że nie zdoła uwolnić się od towarzystwa Nesso.

–Moreto, powinnaś teraz zjeść porządną porcję mojego pysznego gulaszu.

Moreta nie była głodna. Wiedziała, że powinna coś zjeść, ale chciała poczekać na powrót Sh’galla i Leri. W chwilowym przypływie złośliwości ruszyła do Niższej Jaskini tak długim krokiem, że Nesso biegła obok niej, żeby nie zostać w tyle. Zirytowana na samą siebie Moreta w milczeniu zносиła krzątaninę Nesso, która musiała dopilnować, żeby kucharz właściwie ją obsłużył. Nesso usłuźnie pokroiła chleb i położyła stos kromek na talerz Morety, a potem – robiąc z tego całe widowisko – usadziła Władczynię Weyru przy stole. Na szczęście, zanim zdołała się wyczerpać cierpliwość Morety, jeden z wychowanków przybiegł powiedzieć, że Tellani pilnie potrzebuje Nesso.

–Pewnie już rodzi. Bóle zaczęły się jeszcze przed Opadem. Nesso w geście rezygnacji wzniosła oczy i ręce w stronę sufitu. Pewnie nigdy się nie dowiemy, kto jest ojcem, skoro Tellani sama tego nie wie.

–Przyglądając się dziecku, jakoś to ustalimy. Życz ode mnie Tellani wszystkiego dobrego.

W myśli Moreta błogosławiła Tellani za to, że taką wybrała sobie porę; będzie mogła chwilę odpocząć od ochmistrzyni, a narodziny po Opadzie uważano za pomyślny omen. Chłopiec, jeżeli nawet jego rodowód był niepewny, ucieszy jeźdźców. Moreta postanowiła porozmawiać surowo z Tellani, która powinna orientować się lepiej w swoich kochankach. Weyr musiał być ostrożny, kiedy chodziło o pokrewieństwo. Może nawet warto oddawać dzieci Tellani na wychowanie do innych Weyrów. Łatwiej było myśleć o zbliżających się narodzinach, niż o takich sprawach, jak chorzy jeźdźcy w trzech Weyrach, jak Mistrz Uzdrowiciel, który nie podpisywał wysyłanych wiadomości, jak ukaranie harfiarza i jeźdźca, którzy postąpili wbrew rozkazom swojego Przywódcy Weyru, jak smok z rozdartym skrzydłem, który będzie uwięziony do Weyru przez całe miesiące, jak chory uzdrowiciel, który może jest umierający.

„Malto mówi, że Berchar jest bardzo słaby, a S’gor bardzo się martwi – powiedziała Orlith łagodnym, sennym głosem. – Doszliśmy do wniosku, że ta kobieta nosi w sobie samca” – ciągnęła dalej Orlith.

„Jaka jesteś dla mnie dobra, moja ty złota, najukochańsza!” – Moreta zasłoniła sobie twarz rękami, żeby nikt w jaskini nie mógł dostrzec w jej oczach łez, wywołanych tą niespodziewaną, życzliwą zmianą tematu i jej nieustanną radością, że ze wszystkich dziewcząt, które stały na terenie Wylęgarni Istańskiej tamtego dnia, całe Obroty temu, Orlith na swojego jeźdźca wybrała tę, która się spóźniła.

–Moreto?

Sploszona podniosła wzrok i zobaczyła Curmira, K'lona i F'neldrila, którzy stali przed jej stołem.

–To ja nalegałem, żeby przewieźć Lorda Tolocampa – rzekł stanowczo K'lon. Głowę trzymał wysoko podniesioną, oczy mu błyszczały. – Można by powiedzieć, że nie słyszałem rozkazu Przywódcy Weyru, kiedy zarządzał kwarantannę, ponieważ obydwaj z Rogethem spaliśmy w niższym weyrze. – K'lon beczelnie puścił do Morety oko. Należał do starszych, urodzonych w Weyrze jeźdźców i nie był zachwycony, kiedy to Kadith Sh'galla dogonił w locie godowym Orlith, wynosząc na pozycję Przywódcy Weyru w miejsce L'mala znacznie młodszego spiżowego jeźdźca. Niezadowolenie K'lona ze zmiany na stanowisku przywódcy pogarszała jeszcze nieukrywana dezaprobatą Sh'galla dla powiązań K'lona z zielonym jeźdźcem Igenu, A'murym.

Moreta usiłowała przybrać oficjalny wyraz twarzy, ale po minie Curmira zorientowała się, że nie całkiem jej się to udało.

–Postąpiłeś zgodnie ze zwyczajem! – Moreta postanowiła okazać nieco tolerancji – Lord Warowni Fort musi być przewożony przez ten Weyr. Czy przewiozłeś też jego rodzinę?

–Nie, chociaż chciałem to uczynić. Rogeth nie miałby nic przeciwko temu, ale pani Pendra zdecydowała, że jej i jej córkom nie wolno wyłamać się z kwarantanny.

Moreta znowu zauważyła spojrzenie Curmira i zorientowała się, że podobnie jak wszyscy ludzie na zachodzie, tak i harfiarz doskonale wiedział, czemu to pani Pendra nie chciała wyłamywać się z kwarantanny. Morecie żal się zrobiło Alessana. Nie tylko wciąż miał na karku dziewczęta z Fortu, ale i wszystkie inne panny, które przybyły do Ruathy.

–Pani Pendra powiedziała, że odczeka te cztery dni.

–Cztery dni, cztery Obroty – prychnął F'neldril – nie zmieni to ich urody i nie poprawi widoków na powodzenie u Alessana.

–Czy widziałeś Mistrza Capiama, Klonie? Wyraz twarzy K'lona zmienił się.

–Nie, Moreto. Lord Tolocamp kazał, żebym go wysadził na frontowym dziedzińcu Warowni. Natychmiast Lord Campen, Mistrz Fortine i jeszcze kilku innych mężczyzn, których imion sobie nie przypominam, porwało go na jakieś spotkanie. Nie wpuszczono mnie do Wielkiej Sali żebym się nie zaraził, chociaż tłumaczyłem, że już chorowałem.

Zanim Moreta zdążyła się odezwać, smok jeźdźca wartownika głośno zatrąbił. To wreszcie Sh'gall wrócił ze swoim skrzydłem. Kiedy Moreta pośpiesznie wstała od stołu, zobaczyła kurz, który uniósł się przy lądowaniu smoków.

„Wszyscy są zdrowi – uspokoiła ją Orlith. – Kadith mówi, że Opad już się skończył, ale jest wściekły, że było tak niewiele drużyn naziemnych.”

–Nie było drużyn naziemnych – powiedziała Moreta ostrzegawczo do stojących obok niej mężczyzn.



Sh'gall wielkimi krokami przeszedł przez chmurę pyłu, którą smoki wzbiły skacząc do swoich weyrów. Jeźdźcy Sh'gallowego skrzydła posuwali się dyskretnie w pewnej odległości za swoim Przywódcą. Sh'gall ruszył prosto na Moretę, wyglądając tak groźnie, że K'lon, Curmir i F'neldril woleli usunąć się na bok.

–Crom nie wysłał żadnych drużyn naziemnych – krzyknął Sh'gall, ciskając na stół rękawice, hełm i gogle z taką siłą, że przejechały po blacie i ześliznęły się na podłogę. – Nabol skrzyknął zaledwie dwie po tym, jak im Leri zagroziła! Ani w Cromie, ani w Nabolu nie ma choroby. Leniwi głupi górale! Wykorzystali tę Capiamową zarazę jako wymówkę, żeby uniknąć swoich zobowiązań wobec mnie! Jeżeli ten Weyr jest w stanie latać, to oni też spokojnie mogą wykonywać, co do nich należy!

Już ja pogadam z Mistrzem Capiamem na temat tych nadawanych przez bębny wiadomości, które tylko sieją panikę wśród gospodarzy.

–Nadeszła jeszcze jedna wiadomość – odezwała się Moreta. – W Iście, Igenie i Telgarze są chorzy jeźdźcy. Weyrom może być ciężko wypełnić zobowiązania.

–Ten Weyr zawsze będzie wypełniał swoje zobowiązania, dopóki jestem jego Przywódcą! – Sh'gall spiorunował ją wzrokiem, jak gdyby mu się sprzeciwiała. – Potem odwrócił się na pięcie i stanął twarzą do tych, którzy siedzieli przy stołach w jaskini jadalnej. – Czy wszyscy wyraźnie zrozumieli to, co mówię? Weyr Fort wypełni swój obowiązek!

Nagle rozległ się dźwięk, który grozą przejmował każdego jeźdźca, szarpiący nerwy, wysoki, przenikliwy krzyk smoków, zawiadamiających o śmierci jednego z nich.

Ch'mon, spizowy jeździec z Igeny, zmarł na gorączkę, a jego smok, Helith, natychmiast opuścił ziemię. Wieczorem jeszcze pięciu jeźdźców umarło w Telgarze.

Sh'gall rozkazał Curmirowi, żeby wysłał do Siedziby Uzdrowicieli pilną wiadomość z żądaniem informacji na temat stanu kontynentu, na temat działań mających utrzymać w korbach rozprzestrzenianie się choroby, i tego, jakie środki ją leczą. Jeszcze bardziej się zdenerwował, kiedy Fortine odpowiedział, że chorobę uznano już za pandemię, a chorych należało bezwarunkowo odizolować. Przy leczeniu proponowano stosować raczej środki przeciwgorączkowe niż napotne, rozsądne dawki tojadu na palpacje, wierzbowy salicyl lub sok fellisowy na bóle głowy, żywokost, podbiał lub jakiś inny środek na kaszel. Sh'gall poprosił pilnie o odpowiedź od Mistrza Capiama, ale Siedziba Uzdrowicieli już się nie odezwała.

–Czy ktoś wie – pytał na cały głos Sh'gall, miotając się z wściekłością po drodze do Niższych Jaskiń – czy to jest właśnie to, na co chorował K'lon? Czym się leczył Berchar?

–Stosował to, co proponuje Mistrz Fortine. A K'lon wyzdrowiał – odparła Moreta.

–Ale Ch'mon umarł! – zawołał oskarżycielskim tonem.

–Ta choroba jest wśród nas, Sh'gallu – powiedziała Moreta, czerpiąc siłę z wewnętrznego źródła,

któremu na imię było Orlith. – Nie możemy teraz ani powiedzieć, ani zrobić nic, co by mogło to zmienić. Nikt nas nie zmuszał do brania udziału w Zgromadzeniach. A większość z nas się dobrze bawiła.

–I widzisz, co się stało! – Sh’gall dygotał z wściekłości.

–Nie możemy odwrócić tego, co się stało, Sh’gallu. K’lon przeżył tę zarazę, podobnie jak my przeżyliśmy dzisiaj Nici i wszystkie Opady przez ostatnie czterdzieści trzy Obroty, tak jak przeżyliśmy inne klęski żywiołowe, które na nas spadały od Przeprawy. – Uśmiechnęła się ze znużeniem. – Musimy być bardzo twardzi, jeśli tak długo wyżyliśmy na tej planecie.

Ta wypowiedź Morety pokrzepiła na duchu mieszkańców Weyru i jeźdźców. Sh’gall spojrział na nią z oburzeniem i sztywno wyszedł z Niższych Jaskiń.

Ta konfrontacja wstrząsnęła Moreta. Wyczerpała całe jej zasoby energii, nawet te, które czerpała z Orlith. Z trudem trzymała się na nogach. Dygocąc chwyciła za oparcie krzesła. Nie chodziło tylko o wściekłość Sh’galla, ale o tę świadomość, której nie dawało się od siebie odsunąć, że prawdopodobnie to ona będzie następną ofiarą zarazy w Weyrze. Zaczynała ją boleć głowa, a nie był to ten rodzaj bólu, jaki przychodzi po napięciu i po koncentracji na opatrywaniu smoczycych ran.

„Nie jesteś zdrowa” – potwierdziła Orlith jej własną diagnozę.

„Prawdopodobnie nie byłam zdrowa od czasu, kiedy udałam się na ratunek temu biegusowi – odparła Moreta. – L’mal zawsze mówił, że biegusy doprowadzą mnie do zguby.”

„Wcale się nie zgubiłaś, tylko zachorowałaś – poprawiła ją Orlith z ponurym humorem. – Chodź teraz do weyru i odpocznij.” – Curmirze. – Moreta skinęła na harfiarza, żeby podszedł bliżej. – Biorąc pod uwagę chorobę Berchara, musimy poprosić o jeszcze jednego uzdrowiciela z Siedziby. O jakiegoś Mistrza Uzdrowiciela i co najmniej jednego pomocnika.

Curmir kiwnął głową, mierząc ją przeciągłym, badawczym spojrzeniem.

–Niech S’peren sporządzi jakiś temblak dla Dilentha. Nie możemy oczekiwać, że Tangrath będzie stał pod jego skrzydłem, aż mu się ono wygoi. Takie poświęcenie może zepsuć stosunki między partnerami w weyrze! – Moreta wstała ostrożnie, żeby nie poruszyć obolałą głową. Nigdy jeszcze nie przeżywała tak gwałtownego silnego bólu. Niemal nic nie widziała na oczy. – Chyba to już wszystko, co od ciebie chciałam. Miałam ciężki dzień i jestem zmęczona.

Curmir zaproponował, że jej pomoże, ale powstrzymała go gestem ręki i powoli wyszła z Niższej Jaskini.

Wieczór był niespodziewanie chłodny. Bez ciągłej zachęty Orlith Morecie nigdy nie udałooby się przejść przez Nieckę, która jakby zrobiła się szersza. Na schodach musiała się oprzeć kilka razy o ścianę.

–A wiec dopadło cię – powiedziała niespodzianie Leri. Starsza Władczyni Weyru siedziała na stopniach weyru Morety, opierając obie dłonie na łasce.

–Nie podchodź do mnie.

–Czyż mogłabym się podnieść z tej mojej grzędy? Teraz już widzę, dlaczego Orlith mnie wezwała. Idź do łóżka. – Leri machnęła laską. – Odmierzyłam już to lekarstwo, które masz zażyć zgodnie z poleceniem Fortine’a. Wierzbowy salicyl, tojad, pierzasta paproć. A do wina dolałam dawkę soku fellisowego z moich własnych zapasów. Jak ja się dla ciebie poświęcam! No, ruszaj! Nie dam rady cię unieść. Musisz dojść o własnych siłach. I dojdiesz. Zawsze sobie radzisz. A ja już wystarczająco dużo zrobiłam dziś dla tego Weyru!

Słowa Leri pobudziły Moretę do działania. Potykając się przeszła tych kilka ostatnich kroków i znalazła się w korytarzu prowadzącym do jej własnego weyru. Widziała, jak na końcu korytarza oczy Orlith połyskują bladożółtym odcieniem zatroskania. Zatrzymała się na moment, bo brakło jej tchu, a w głowie nieznośnie łomotało.

–Zakładam, że nikt w Niższych Jaskiniach nie podejrzewa, że zachorowałaś?

–Curmir. Ale zachowa to dla siebie.

–To dobrze. Ona da sobie radę, Orlith. – Leri niecierpliwie machnęła laską. – Nie, nie będziesz pomagała. Utkniesz w korytarzu przez to twoje ciężkie od jaj brzuszysko. No, ruszaj się, Moreto. Nie mam zamiaru stać na tych chłodnych schodach przez całą noc. Muszę odpocząć. Jutro będę miała bardzo pracowity dzień.

–Miałam nadzieję, że się zgłosisz na ochotnika.

–Jeszcze na tyle nie straciłam rozumu, żeby pozwolić Nesso, by się szarogęsiła. Idź! I zdrowiej – dodała łagodniejszym tonem, z trudem dźwigając się na nogi.

Orlith wyszła jednak na spotkanie Morecie i wyciągnęła głowę tak, by Moreta miała się czego uchwycić. Orlith zachęcająco mruczała, jej miłość i oddanie napływały wyczuwalnymi falami. A chwilę potem Moreta była już we własnej komnacie. Spojrzała na lekarstwa stojące na stole. Błogosławiła Leri, wiedząc ile wysiłku musiało starą Władczynię Weyru kosztować wejście na schody. Jednym haustem zażyła fellis i skrzywiła się, czując gorycz, której nie było w stanie ukryć nawet wino. Jak Leri mogła coś takiego popijać przez cały dzień? Nie rozbierając się, Moreta wsunęła się pod futra i ostrożnie położyła głowę na poduszce.

## **Rozdział IX**

Siedziba Uzdrowicieli, Przejście bieżące, 3. 13. 43;

Spotkanie przy Granitowym Wzgórzu i Weyr Fort, 3. 14. 43;

Capiam nie mógł zasnąć, chociaż usiłował pogрузić się znowu w szalone, gorączkowe majaki; łatwiej przychodziło mu pogodzić się z nimi, niż z cierpieniem, jakie niosła ze sobą pełna świadomość tego, co się dzieje. Coś wdzierало się w jego półprzytomny umysł i zmuszało go, żeby się obudził. Myśl o tym, że musi coś zrobić. Mrugał łzawiącymi, zaropiałymi oczami, aż udało mu się skupić wzrok na zegarze. Godzina dziewiąta. Czas zażyć lekarstwo.

Uzdrawiciel nie mógł nawet pochorować sobie w spokoju. Nie pozwalały mu na to jego zawodowe nawyki. Podparł się na łokciu, żeby dosięgnąć pergaminu, na którym notował przebieg choroby, ale w pół ruchu zatrzymał go atak kaszlu. Miał wrażenie, że jakieś drobnuteńkie ostrza wbijają mu się w gardło. Te napady kaszlu były niesłychanie męczące, gorsze niż ból głowy, gorączka i łamanie w kościach.

Ostrożnie, żeby nie wywołać następnego ataku kaszlu, przeciągnął pergamin na łóżko i zaczął szukać czegoś do pisania.

–Dopiero trzeci dzień? – Przez tę chorobę każda doba ciągnęła się w nieskończoność. Na szczęście trzy czwarte tego dnia już miał za sobą.

Zauważył, że temperatura mu opadła, a ból głowy zmienił się w tępe pulsowanie, które dało się już wytrzymać, ale niewiele go to pocieszyło. Przyłożył palce prawej dłoni do tętnicy lewego przegubu. Puls miał wciąż przyspieszony, chociaż już wolniejszy. Sporządził odpowiednią notatkę i dodał opis tego gwałtownego, suchego kaszlu bez odrobiny flegmy. Kaszel jakby tylko na to czekał, szarpnął nim znowu w następnym ataku, który niczym wąż tunelowy rozdzierał mu gardło i pierś. Musiał zwinąć się w kłębek i podciągnąć kolana pod brodę, żeby rozkurczyć ponapinane od kaszlu mięśnie. Kiedy atak minął, Capiam położył się na plecach, spocony i wyczerpany. Po chwili ocknął się i zażył dawkę salicylu wierzbowego.

Musi przepisać sobie jakieś lekarstwo na kaszel. Jaki środek zadziała najskuteczniej? Dotknął obolałego gardła. Ciekawe, jak wygląda śluzówka w jego gardle?

–Cóż to za straszne uczucie – powiedział ochrypłym głosem. Przysiągł, że na przyszłość będzie miał więcej współczucia dla chorych.

Wieża znowu zaczęła drgać od łomotu bębnów. Ta wiadomość zaszokowała Capiama. Przekazywano kondolencje dla Lorda Tolocampa – skąd wziął się on w Warowni Fort, skoro miał zostać w Ruacie? – i dla Przywódców Weyru Telgar i Weyru Igen z powodu śmierci... Capiam wił się i skręcał w ataku kaszlu, po którym opadł na łóżko osłabły i zadyszany. Nie dosłyszał imion zmarłych jeźdźców! A Pern nie może pozwolić sobie na utratę ani jednego ze smoczycy jeźdźców.

Czemu nie wezwano go wcześniej? Przecież kiedy w Warowni Morskiej zachorowało naraz aż dziewięć osób, choćby przez grzeczność należało powiadomić główną Siedzibę Uzdrawicieli. Czy on sam doceniłby jednak znaczenie tego faktu?

–Capiamie? – Pytanie Desdry było tak ciche, że gdyby spał, nie obudziłoby go.

–Nie śpię, Desdro. – Jego głos przypominał ochryple krakanie.

–Słyszałeś bębny?

–Część wiadomości...

–Sądząc po twoim głosie, nie dosłyszałeś tego, co najważniejsze.

–Nie podchodź bliżej. Ilu jeźdźców nie żyje?

–Straty wynoszą piętnastu w Igenie, dwóch w Iście i ośmiu w Telgarze.

–Ilu w takim razie zachorowało? – Głos mu się załamał.

–Mamy doniesienia, że część z nich wyzdrowiała – powiedziała Desdra weselszym tonem. – Dziewiętnastu w Telgarze, czternastu w Igenie, pięciu w Iście, dwóch w Forcie.

–A w cechach i warowniach? – Z przerażeniem czekał, że poda mu liczbę chorych i zmarłych.

–Fortine zarządza teraz wszystkim, a Boranda i Tirone pomagają mu. – Po jej głosie Capiam zorientował się, że niczego więcej się nie dowie.

–Dlaczego jesteś w moim pokoju? – zapytał gniewnie. Wiesz, że...

–Wiem, że zacząłeś kaszleć i przygotowałam ci trochę łagodzącego syropu.

–Skąd wiesz, co sam bym sobie przepisał?

–Ten, który sam siebie leczy, ma również pacjenta za głupca. Capiam chciał się roześmiać, ale śmiech od razu zmienił się w bolesny, przeciągły kaszel, a nim kaszel minął, po jego policzkach toczyły się łzy.

–To syrop z żywokostu i słodzika z dodatkiem szczypty kojącego ziela, żeby znieczulić tkanki gardła. Powinien uśmierzyć ten kaszel. – Postawiła parujący kubek na stole i natychmiast cofnęła się do drzwi.

–Dzielna i litościwa kobieta z ciebie, Desdro – powiedział Capiam, nie zwracając uwagi na jej sarkastyczne parsknięcie.

–Jestem również ostrożna. Jeżeli to możliwe, wolałabym uniknąć tych męczarni, które przypadły ci w udziale.

–Czy jestem takim trudnym pacjentem? – zapytał żałośnie Capiam. Tak bardzo chciał, żeby go ktoś pocieszył i przyniósł mu ukojenie, a nie tylko kubek syropu o dziwnym smaku.

–Jak się nie da czemuś zaradzić, trzeba to znieść – odparła Desdra.

–Z tych niezyczliwych słów wynika, że w kronikach nie udało wam się znaleźć ani wyjaśnienia, ani lekarstwa.

–Mistrz Tirone i wszyscy jego uczniowie, a także czeladnicy i ich mistrzowie, włączyli się do poszukiwań. Przeszukują kroniki za ostatnie dwieście Obrotów.

Jęk Capiama szybko przerodził się w paroksyzm kaszlu, po którym chciwie chwycił powietrze. Bolały go naraz wszystkie kości. Posłyszał, jak Desdra grzebie w jego buteleczkach i fiolkach.

–Widziałam tu gdzieś aromatyczną maść. Gdyby ci nią natrzeć pierś, może by to pomogło, bo większość syropu rozlałeś.

–Sam się nią natrę, kobieto!

–Nie ma co do tego wątpliwości. Jest tutaj. No tak, to powinno ci przetkać nos.

–Nie ma potrzeby. – Capiam z daleka czuł zapach maści. Dziwne, jak wyostrzał się w tej chorobie zmysł węchu. Wyczerpany ostatnim atakiem kaszlu leżał spokojnie.

–Czy wciąż jeszcze czujesz się taki znużony?

–Znużony? – Capiam usiłował się nie roześmiać, ale to słowo absolutnie nie pasowało do całkowitego bezwładu, który ogarnął jego zwykle energiczne ciało. – To jest krańcowe znużenie! Całkowita apatia! Kompletna niemoc! Nie potrafię nawet napić się syropu, żeby połowy nie rozlać. Nigdy w życiu nie byłem jeszcze taki zmęczony...

–W takim razie choroba jest już solidnie zaawansowana

–Ależ mnie pocieszyłaś! – Wystarczyło mu energii tylko na ten sarkazm.

–Jeżeli – droczyła się z nim, kładąc nacisk na to słowo – to, co pisałeś, jest słuszne, to jutro powinieneś poczuć się lepiej. O ile uda nam się utrzymać cię w łóżku i zapobiec wtórnym infekcjom.

–Co za ulga.

–Tak powinno być.

Capiamowi zaczynało znowu szumieć w głowie od salicylu wierzbowego. Miał właśnie pochwalić Desdrę za skuteczność jej mikstury, kiedy nagle załaskotało go w gardle i zgiął się wpół w ataku kaszlu.

–No, to nie przeszkadzam ci już w twoich zajęciach – powiedziała promiennie Desdra.

Machnął ręką, żeby już wyszła z pokoju, a potem przyłożył obydwie ręce do gardła, pragnąc w ten

sposób ukoić ból.

Miał nadzieję, że Desdra była ostrożna. Nie chciał, żeby zachorowała. Czemu marynarze nie zostawili tego zwierzaka, żeby się utopił? Popatrzcie tylko, do czego człowieka doprowadza ciekawość!

Spotkanie przy Granitowym Wzgórzu, 3. 14. 43

W głębi równin Keroonu, daleko od wszelkich warowni, wznosiło się strome, samotne, granitowe wzgórze, wypchnięte na powierzchnię przez jakieś pradawne trzęsienie ziemi. Ten punkt orientacyjny wykorzystywano przy treningowych lotach weyrzątek. A teraz stało ono się miejscem bezprecedensowego spotkania Przywódców Weyrów.

Wielkie spiżowe smoki przybyły na miejsce niemal jednocześnie i, wykorzystując swoje niesamowite wyczucie odległości, wynurzały się z przestworzy, lecąc skrzydło w skrzydło. Usadowały się na ziemi w olbrzymim kole, po południowej stronie Granitowego Wzgórza. Spiżowi jeźdźcy zsiadli i utworzyli nieco mniejszy krąg, przy czym każdy z nich przezornie trzymał się z daleka od swoich sąsiadów, dopóki K'dren z Bendenu, którego w żadnych okolicznościach nie opuszczało poczucie humoru, nie zaczął chichotać.

Żaden z nas nie przyleciałby tutaj, gdyby miał jakieś oznaki tej choroby – powiedział skinąwszy głową S'perenowi, który zastępował Sh'galla.

Zbyt wielu z nas na nią zapadło – odparł L'bol z Igeny. Oczy miał czerwone od płaczu.

M'tani z Telgaru spojrział spode łba i zacisnął pięści.

–Wspólnie przeżywaliśmy każdą waszą stratę – powiedział S'ligar z Dalekich Rubieży, z pełną powagi kurtuazją pochylając głowę najpierw przed L'bolem, M'tanem i F'galem z Isty. Pozostali dwaj spiżowi jeźdźcy półgłosem złożyli im kondolencje. – Zebraliśmy się tutaj, żeby w tej krytycznej sytuacji podjąć decyzje, których ze względów dyskrecji nie należy powierzać bębnom, a których nasze królowe nie są w stanie przekazać – ciągnął dalej S'ligar. Jako najstarszy z Przywódców Weyrów podjął się prowadzić to spotkanie. Był również z nich wszystkich najpotężniej zbudowany, przerastał pozostałych spiżowych jeźdźców przynajmniej o głowę, a jego szerokiej piersi i barów starczyłoby dla dwóch normalnego rozmiaru ludzi. Był też zadziwiająco łagodny, nigdy nie wykorzystywał swojej potężnej postury. – Jak zwróciły nam uwagę nasze Władczynie, nie możemy ujawniać, jakie straty poniosły Weyry w zmarłych i chorych. Już i tak w Warowniach zapanował zbyt wielki niepokój. Oni cierpią dużo bardziej, niż my.

–To żadna pociecha! – warknął F'gal. – Tyle razy ostrzegałem Lorda Fitatrica, że ten nadmierny tłok w warowniach i chatach będzie miał opłakane skutki.

–Nikt z nas nie miał tego na myśli – powiedział K'dren – ale też nikt z nas nie musiał lecieć i oglądać tego osobliwego zwierzaka. Ani brać udziału w dwóch Zgromadzeniach jednego dnia...

–Wystarczy, K’drenie – powiedział S’ligar. – Przyczyna i skutek są teraz bez znaczenia. Przylecieliśmy tutaj, żeby omówić metody, które pozwolą jeźdźcom smoków z Pernu wypełnić swoją misję.

–Naszą misją jest wymieranie, S’ligarze! – krzyknął L’bol. – Po co wyprawiać się na Nici, jeżeli mamy chronić puste warownie? Po co narażać własną skórę i nasze smoki, skoro nie ma tam nikogo do uratowania? Nie potrafimy nawet obronić się przed tą zarazą! – Smok L’bola zaczął mrużyć i wyciągnął głowę w kierunku swego zrozpaczonego jeźdźca. Pozostałe smoki niespokojnie poruszyły się na ciepłym piasku. L’bol potarł twarz. Tam, gdzie łyzy zmoczyły mu policzki, pozostały białe ślady.

–Będziemy wyprawiać się na Nici, bo tylko to możemy zrobić dla chorych w Warowniach. Nie można dopuścić, żeby bali się zagrożenia Nićmi z zewnątrz! – mówił S’ligar głębokim, łagodnym głosem. – Zbyt długo pracowaliśmy wspólnie, żeby teraz oddać Pern Niciom na zniszczenie z powodu zagrożenia, którego nie możemy zobaczyć. Nie wierzę również, żeby ta choroba, jeżeli nawet szerzy się tak gwałtownie, mogła pokonać nas, którzy przez czterysta Obrotów broniliśmy się skutecznie przed Nićmi. Chorobę można uleczyć, można ją pokonać. A któregoś dnia wyprawimy się na Nici u ich źródła i pokonamy je.

–K’lon, jeździec Rogetha, wyzdrowiał po tej zarazie – oznajmił S’peren w ciszy, która nastąpiła po wypowiedzi S’ligara. Mistrz Capiam też czuje się już lepiej...

–Ilu jest takich? Załedwie dwóch? – powiedział L’bol. – U mnie w Igenie piętnastu nie żyje, a stu czterdziestu zachorowało. Niektóre warownie na środkowym-wschodzie nie odpowiadają już, kiedy wybębnią się ich kod wywoławczy. A co z warowniami, które nie mają bębnow, żeby powiadomić, czego im trzeba i podać liczbę umarłych?

–Capiam czuje się lepiej? – S’ligar uchwycił się tej nadziei. Nie mam żadnych wątpliwości, że tak utalentowany człowiek rozprawi się z tą zarazą. A wyzdrowieć musiało więcej, niż tych dwóch. Stajnie Keroonu wciąż jeszcze bębnią, a ich najbardziej przetrzebiła zaraza. To prawda, że i w Weyrze Dalekich Rubieży, i w Weyrze Fort panuje ta choroba, ale nie ma jej w ogóle w warowniach Tilleku, Dalekich Rubieży, Nabolu i Cromu. Mamy przed sobą już tylko siedem Obrotów do końca tego Przejścia. Przez całe życie czułem zagrożenie Nićmi. – Nagle wyprostował się z surową twarzą. – Nie po to walczyłem z Nićmi, żebym miał się teraz poddać jakiejś gorączce.

–Ja też nie – dodał szybko K’dren i przysunął się o krok do jeźdźca z Dalekich Rubieży. – Wiecie, złożyłem Kuzuthowi przysięgę – tu parsknął śmiechem – że dotrwamy do końca tego Przejścia. Jutro w Keroonie jest Opad, a odpowiedzialność za ten Opad spada na wszystkie Weyry Pernu. Z Bendenu może wylecieć pełnych dwanaście skrzydeł.

–A z Igeny osiem! – U’bol zapomniał o swym smutku i ostrym wzrokiem spiorunował K’drena. Timenth, jego smok, zatrąbił wyzywająco, podniósł się na zadzie i rozpostarł skrzydła. Pozostałe spiżowe smoki również zareagowały krzykiem. Dwa z nich rozpostarły skrzydła i spojrzały niespokojnie w niebo. – Igen wzniesie się do lotu na Opad!



–Oczywiście, że twój Weyr wzniesie się do lotu – powiedział uspokajająco S’ligar, podnosząc dłoń w geście pociechy – ale nasze królowe wiedzą, jak wielu igeńskich jeźdźców choruje. Opad stał się problemem wszystkich Weyrów, tak jak powiedział K’dren. I wszyscy uzupełnimy przerzedzone szeregi zdrowymi jeźdźcami. Dopóki nie minie ta epidemia, Weyry muszą się połączyć. Tym bardziej że w wielu miejscach pozbawieni będziemy załóg naziemnych, które z bliska mogłyby walczyć z Nićmi.

S’ligar wyjął ze swojego worka zwój pergaminów. Rozdał po jednym wszystkim spizowym jeźdźcom, zwracając baczną uwagę, żeby żadnego z nich nie dotknąć.

–Spisałem tu imiona moich przywódców skrzydeł i ich zastępców, ponieważ królowe mają kłopoty z nazywaniem ludzi po imieniu. Przy wpisywaniu jeźdźców na listę kierowałem się tym, do jakiego stopnia zdolni będą kierować skrzydłem lub całym Weyrem. Na mojego osobistego zastępcę wybrałem B’leriona. – Na twarzy jeźdźca z Dalekich Rubieży ukazał się nieczęsto widywany uśmiech. – Przy całkowitym poparciu Falgi.

K’dren ryknął śmiechem.

–Czy to ona go zaproponowała?

S’ligar spojrział na K’drena z łagodnym wyrzutem. – Mądry Przywódca z góry przewiduje, jakie będą decyzje Władczyni jego Weyru.

–Dość tego! – zawołał M’tani rozdrażniony. Spoglądał ze złością spod ciężkich, czarnych brwi. Dorzucił swoje listy do list S’ligara. – T’grel zawsze marzył o stanowisku Przywódcy. Przypomniał mi, że nie był na żadnym z tych Zgromadzeń, więc nagrodzę jego cnotę.

–Masz szczęście – powiedział K’dren bez cienia wesołości w głosie i dodał swoje listy. – L’vin, W’ter i H’grave brali udział w obydwu Zgromadzeniach. Polecam wam M’genta. Jest dosyć młody, ale potrafi kierować ludźmi, co nieczęsto się zdarza. Nie był na Zgromadzeniach.

Flag rozwinął swoje pergaminy. Wydawało się, że pozbywa się ich z niechęcią.

–Wszystko tu jest – powiedział ze znużeniem i rzucił je na piasek.

–Leri zaproponowała mnie – powiedział S’peren, wzruszając ramionami z lekceważeniem dla własnej osoby – chociaż jest całkiem możliwe, że jak Sh’gall wyzdrowieje, to wprowadzi jakieś zmiany. Miał zbyt wysoką gorączkę, żeby mu mówić o tym zebraniu, więc to Leri sporządziła listy.

–Leri wie, co robi – skinął głową K’dren. Przykucnął, żeby podnieść pięć kawałków pergaminu, wyrównał je u góry i zwinął. – Będę rad, jeżeli obrosną kurzem w moim weyrze. Wepchnął rolkę do mieszka. – Pociesza mnie jednak to, że coś zaplanowaliśmy, rozważyliśmy różne ewentualności.

–Oszczędzi nam to niepotrzebnych zmartwień – zgodził się S’ligar, pochylił się i dłonią o długich palcach zgarnął płachty pergaminu. – Radziłbym też, żeby na zastępstwo wysyłać całe skrzydła, a nie

pojedyncze osoby. Jeźdźcy przyzwyczajają się do swoich przywódców i do ich zastępców.

Ta rada została dobrze przyjęta przez pozostałych.

–Pełne skrzydła czy zastępcy, to nie największe zmartwienie. – L’bol spode łba przyglądał się listom, układając je w dłoni. – Problemem jest brak naziemnych drużyn.

–Tu się nie ma o co martwić – odparł K’dren. – Przecież królowe już zdecydowały między sobą, że przejmą tę robotę. Wszyscy zostaliśmy poinformowani, że każda królowa, która jest zdolna latać, będzie brała udział w każdym Opadzie.

M’tani rzucił spode łba kwaśne spojrzenie, L’bol i F’gal nie wydawali się uszczęśliwieni, a S’ligar bez przekonania wzruszył ramionami.

–Królowe i tak zrobią, co będą chciały, ale one dotrzymują przyrzeczeń.

–Kto zaproponował, żeby jako drużyny naziemne wykorzystać weyrzątka? – zapytał M’tani.

–Może będziemy się musieli uciec do tego – powiedział S’ligar.

–Weyrzątka nie mają dość rozumu... – zaczął M’tani. – To zależy od Mistrza Weyrzątek. – stwierdził K’dren.

–Królowe mają zamiar – wtrącił S’ligar, zanim M’tani zdążył się obrazić na uwagę K’drena – trzymać weyrzątka pod kontrolą. Co innego możemy zrobić pod nieobecność naziemnych drużyn?

–No cóż, nie słyszałem jeszcze o weyrzątku, które nie posłuchałoby królowej – przyznał F’gal.

–S’perenie, czy teraz, kiedy Moreta jest chora, Weyrem kieruje Kamiana?

–Nie, Leri – odparł S’peren z niepewną miną. – Przecież robiła to już przedtem.

Zaskoczeni Przywódcy Weyrów zaczęli półgłosem wyrażać swoją dezaprobatę.

–Jeżeli którejs z waszych Władczyń uda się jej to wyperswadować, wszyscy odczujemy dużą ulgę. – S’peren nie ukrywał swojego strapienia. – Zrobiła już dla Weyrów i dla Pernu więcej, niż było jej obowiązkiem. Z drugiej strony, umie kierować ludźmi. Weyr ufa jej, kiedy Moreta i Sh’gall są chorzy.

–Jak się czuje Moreta? – zapytał S’ligar.

–Leri mówi, że Orlith nie wydaje się zmartwiona. Wkrótce będzie składać jaja. Może to i dobrze, że Moreta jest chora, bo inaczej latałyby po całym Pernie. Sami wiecie, jak Morecie zależy na biegusach.

M’tani parsknął z odrazą.

–To nie jest odpowiednia pora, żeby narażać ciężarną królową – powiedział. – Ta choroba atakuje znieścacka i zabija tak prędko, że smoki nie zdają sobie sprawy, co się dzieje. A potem znikają z naszego świata. – Zabrakło mu tchu, zacisnął zęby i zaczął przetykać ślinę, żeby powstrzymać łzy. Inni jeźdźcy udawali, że nie widzą jego rozpacz.

–Kiedy Orlith już złoży jaja, nie będzie nigdzie latała, zanim się wyklują – powiedział S’ligar łagodnie. – S’perenie, czy macie już kandydatów w Weyr Forcie? S’peren pokręcił głową.

–Mieliśmy to dopiero zrobić i wydawało nam się, że mamy masę czasu.

–Uważajcie zanim kogoś przywieziecie do swojego Weyru – doradził z goryczą L’bol.

–Jeżeli zajdzie taka potrzeba, to w Dalekich Rubieżach mamy kilku zdrowych młodzików. Jestem pewien, że i z innych Weyrów da się ich zebrać tylu, ilu będzie trzeba. Powiadomisz Leri?

–Weyr Fort wyraża wdzięczność.

–Czy to wszystko? – zapytał L’bol, odwracając się do swojego smoka.

–Nie całkiem. Jest jeszcze jedna sprawa, skoro już zebraliśmy się tutaj. – S’ligar podciągnął pas. – Wiem, że niektórzy z nas myśleli o tym, żeby udać się na Południowy Kontynent, kiedy skończy się to Przejście...

–Po tym wszystkim? – L’bol wytrzeszczył na S’ligara oczy z niedowierzaniem.

–O to mi właśnie chodzi. Pomimo instrukcji, które nam pozostawiono, nie możemy narażać się na inne jeszcze choroby zakaźne. Południowy Kontynent trzeba pozostawić w spokoju! S’ligar machnął olbrzymią dłonią, jakby ucinął rozmowę. Popatrzył na Przywódcę Weyru Benden, czekając na jego komentarz.

–Rozsądny zakaz – powiedział K’dren. M’tani odwrócił się do S’perena.

–Oczywiście nie mogę mówić za Sh’galla, ale nie potrafię sobie wyobrazić, czemu Weyr Fort miałby się nie zgodzić.

Ten kontynent będzie obłożony interdyktem przez mój Weyr, zapewniam was – powiedział F’gal głośno, z naciskiem.

–A więc królowe będą nas zawiadamiały, ile skrzydeł każdy z Weyrów ma dostarczyć na Opad, aż minie ta krytyczna sytuacja. Znamy już wszystkie szczegóły, potrzebne nam do dalszej pracy. S’ligar potrząsnął swoim zwitkiem, a potem wepchnął go sobie pod tunikę. – Bardzo dobrze, przyjaciele. Pomyślnych lotów! Niech wasze Weyry... – Zawahał się, gdyż słowa, których chciał użyć, były niezbyt stosowne na tę chwilę.

–Weyry będą kwitły, S’ligarze – powiedział K’dren, uśmiechając się. – Zawsze kwitły!

Spізowi jeźdźcy odwrócili się do swoich smoków i wsiedli na nie z łątwością i gracją świadczącą o długiej wprawie. Niemal jednocześnie smoki skręciły na lewo i na prawo od czerwonego, samotnego wzgórza i wzbіły się zwinnie w powietrze. I znowu, jak gdyby już wielokrotnie ćwiczono ten jedyny w swoim rodzaju manewr, po trzecim zamachu sześciu par wielkich skrzydeł smoki zniknęły w przestworzach.

Weyr Fort, 3. 14. 43

Mniej więcej w tym czasie, kiedy spізowi jeźdźcy spotkali się przy Granitowym Wzgórzu, Capiam nauczył się kaszleć właśnie wówczas, kiedy wieża bębnów przekazywała wiadomości. Udawało mu się wtedy zagłuszyć bardziej przykre szczegóły. Kiedy jednak huk bębnów na wieży ustawał, nadal dudniło mu w głowie i nie mógł zasnąć, choć tak bardzo tego pragnął. Co prawda sen nie przynosił mu ani odrobiny wytchnienia. Czuł się jeszcze bardziej zmęczony, kiedy budził się z krótkiej drzemki, na jaką pozwalały mu bębny. A te koszmarnie sny! Bezustannie nękała go płowa bestia o cętkowanym futrze, z pędzelkami na uszach, która przyniosła te osobliwe zarazki na bezbronny kontynent. To była czysta ironia losu, że prawdopodobnie Starożytni sami stworzyli coś, co groziło eksterminacją ich potomkom.

Gdyby ci marynarze zostawili to zwierzę, żeby zdechło na pniu unoszącym się we Wschodnim Prądzie. Gdyby było zdechło na statku, gdyby padło z pragnienia i z wyczerpania – Capiam miał wrażenie, że jemu samemu grozi to w każdej chwili – zanim zaraziło kogoś oprócz marynarzy. Gdyby tylko ci okoliczni gospodarze nie byli tacy ciekawi, tacy spragnieni rozrywek podczas zimowej nudy. Gdyby! Gdyby! Gdyby pragnienia były smokami, to cały Pern by latał!

A gdyby Capiam miał choć trochę energii, to wynalazłby jakąś miksturę, która przyniosłaby chorym ulgę, a może nawet powstrzymałaby chorobę. Przecież Starożytni stykali się chyba z problemem epidemii. W najstarszych kronikach długo rozwodzą się nad tym, że na Pernie zlikwidowano całkowicie dolegliwości, które prześladowały ludzkość przed Przeprawą.

Z tego, co jak utrzymywał Capiam, wynikało, że były dwie Przeprawy, a nie jedna, jak wielu ludzi – łącznie z Tironem sądziło. W czasie tej pierwszej Przeprawy Starożytni przywieźli ze sobą wiele zwierząt, jednokopytne, od których pochodzą biegusy i przeżuwacze, które stały się przodkami bydła; pustorożce, z których wyhodowano owce; psy; i różne mniejsze odmiany tego przekłętego, do kota podobnego nosiciela zarazy. Te stworzenia zostały przewiezione w postaci jaj (przynajmniej tak ujmowały to kroniki) z planety, z której pochodzili Starożytni, która nie była planetą Pern. Na Pern, a nie na Południowy Kontynent. A ta druga Przeprawa to były przenosiny z południa na północ. Prawdopodobnie, jak stwierdzał z goryczą Capiam, chcieli uciec przed tymi kotami, tymi nosicielami zarazy, które poukrywały się w mrocznych jaskiniach i pielęgnowały tę okrutną chorobę, dopóki nierozważni ludzie nie zdejmą któregoś z nich z pnia drzewa, w pobliżu morza. Czy ci Starożytni nie mogliby na chwilę przestać przechwalać się swoimi osiągnięciami i poinformować, jak wyplenili zarazę i pandemię? Bez tego ich sukces tracił na znaczeniu.

Capiam słabą dłonią dotknął pościeli. Śmierdziała. Trzeba by ją wywietrzyć. On sam również śmierdział, ale nie śmiał wyjść z tego pokoju. Jak nie można czemuś zaradzić, trzeba nauczyć się to

znosić – przypomniał sobie ironiczne słowa Desdry.

Był uzdrowicielem: najpierw uzdrowi siebie i w ten sposób dowiedzie innym, że można wyzdrowieć po tej nieszczęsnej chorobie. Musi tylko wyteńczyć swój wyszkolony umysł i niemałą siłę woli. Jak na zawołanie szarpnął nim atak kaszlu. Kiedy już doszedł do siebie, sięgnął po syrop, który Desdra zostawiła na stoliku nocnym. Bardzo chciał, żeby do niego zajrzała.

Fortine odwiedzał Capiama, trzy razy i rozmawiał z nim stojąc przy drzwiach. Pojawiał się też Tirone, na bardzo krótko, chyba po to, żeby upewnić się i donieść wszystkim, że Capiam jeszcze nie odszedł z tego świata.

Zaraza nie dotknęła samej Warowni Fort, chociaż uzdrowiciele – mistrzowie, czeladnicy, uczniowie – jeździli tam, gdzie grasowała. Chorowali na nią ludzie w czterech nadmorskich warowniach Fortu i w dwóch przybrzeżnych gospodarstwach.

Syrop uśmierzył ostry ból gardła, Capiam czuł już nawet jego smak. Głównym składnikiem był tymianek. Pochwalał ten wybór. Jeżeli jego choroba będzie miała podobny przebieg jak u innych kaszel wkrótce powinien się skończyć. Ponieważ leżąc w łóżku skrupulatnie przestrzegał kwarantanny, nie zapadnie przypuszczalnie na żadną wtórną infekcję – wydawało się, że najbardziej ochoczo osłabionego pacjenta atakują choroby płuc i oskrzeli – i powinien zacząć powracać do zdrowia.

K'lon, błękitny jeździec z Weyr Fortu, wyzdrowiał całkowicie. Capiam miał nadzieję, że rzeczywiście była to ta choroba, a nie jakieś ciężkie przeziębienie. Fakt, że K'lon miał bliskiego przyjaciela w opanowanym przez zarazę Igenie i że uzdrowiciel Weyr Fortu, Berchar, i jego zielony partner byli poważnie chorzy, wydawał się świadczyć o słuszności jego rozumowania. Capiam usiłował nie dopuszczać do siebie bolesnej myśli, że smoczy jeźdźcy umierali równie łatwo jak gospodarze. Jeźdźcy smoków nie mogli umierać. Przejście miało jeszcze trwać przez osiem Obrotów. Na Pernie choroby można było zwalczać setkami proszków, korzonków, rodzajów kory i ziół, ale liczba smoków i ich jeźdźców była ograniczona.

Naprawdę Desdra powinna wreszcie pojawić się i przynieść trochę tej swojej pokrzepiającej zupy. Tak lubiła zmuszać go do jedzenia! A on pragnął jej obecności, a nie zupy. Zaczynał się już nudzić podczas długich godzin samotności, kiedy nie miał nic do roboty, a za to nachodziły go niemiłe myśli. Wiedział, że powinien być wdzięczny, iż ma cały pokój dla siebie, jako że w ten sposób prawdopodobieństwo wtórnej infekcji zostało zredukowane do minimum, ale ucieszyłoby go każde towarzystwo. A potem pomyślał o zatłoczonych salach i nie miał już żadnych wątpliwości, że jakieś biedaczysko stamtąd z ogromną radością zamieniłoby się z nim. Capiamowi nie sprawiała przyjemności świadomość, że jego często wygłaszane do Lordów Warowni tyrady na temat bezmyślnego płodzenia potomstwa okazały się tak przerażająco trafne. Jednakże smoczy jeźdźcy nie powinni umierać na tę zarazę. Każdy z nich miał swoją kwaterę, byli mocni, odporni na wiele dolegliwości, które dotykały ludzi żyjących w gorszych warunkach, dostarczano im w daninach wszystkiego co najlepsze. Igen, Keroon, Ista, miały bezpośredni kontakt z tamtym kotem. A jeźdźcy z Fortu Dalekich Rubieży i Bendenu uczestniczyli w Zgromadzeniach. Niemal każdy jeździec miał

okazję zarazić się.

Capiama dręczyły wyrzuty sumienia, iż zażądał, żeby Sh'gall przewiózł go z Południowego Bollu do Warowni Fortu. Z drugiej jednak strony Sh'gall zawiózł Lorda Ratoshigana na Istańskie Zgromadzenie, żeby mógł on zobaczyć to wystawione na pokaz unikalne stworzenie, na dobrych kilka godzin przedtem, zanim Capiam i ten młody uzdrowiciel zwierząt, Talpan, odbyli naradę. Dopiero kiedy Capiam znalazł się w południowym Bollu i zobaczył chorych trenerów Ratoshigana, zdał sobie sprawę, jak szybko rozwija się ta choroba i jak zdradziecko się rozprzestrzenia. Z konieczności wykorzystał najszybszy sposób powrotu do swojej Siedziby, to znaczy lot na grzbiecie smoka z Przywódcą Weyr Fortu. Sh'gall zachorował, ale nic mu się nie stanie, gdyż jest młody i zdrowy. Podobnie rzecz się miała z Ratoshiganem, ale Capiamowi w jakiś osobliwy sposób wydawało się to sprawiedliwe. Istniała taka nieskończona różnorodność osobowości ludzkich, że nie można było lubić wszystkich. Capiam nie lubił Ratoshigana, ale nie powinien się cieszyć, że człowiek ten cierpi razem z najnędniejszymi ze swoich trenerów.

Capiam poprzysiągł ponownie, że kiedy wyzdrowieje, będzie okazywał chorym dużo więcej tolerancji. „Kiedy”, nie „jeżeli” „Jeżeli” oznaczało poddanie się. Jak te tysiące pacjentów, których pielęgnował przez całe Obroty jako uzdrowiciel, było w stanie znieść długie godziny bezlitosnych przemyśleń i introspekcji? Capiam westchnął, w kącikach jego oczy pokazały się łzy: następna oznaka potwornego osłabienia. Kiedy – tak, „kiedy” – będzie miał dość sił, żeby podjąć konstruktywne badania?

Musi istnieć jakaś odpowiedź, jakieś rozwiązanie, lekarstwo, terapia, remedium! Gdzieś coś takiego istnieje. Jeżeli ci Starożytni byli w stanie przemierzać niewyobrażalne odległości, rozmnażać zwierzęta, tworzyć smoki z szablonów wzorowanych na legendarnych jaszczurach ognistych, to przecież chyba potrafili pokonać bakterię czy wirusa, które groziły im i ich zwierzętom. To tylko kwestia czasu, kiedy odkryją tę tajemnicę. Fortine przeszukiwał stopy kronik, złożone w Jaskiniach Bibliotecznych. Kiedy musiał rozesłać czeladników i uczniów uzdrowicieli, żeby wspomogli przepracowanych rzemieślników na obszarach najbardziej dotkniętych zarazą, Tirone wspaniałomyślnie oddał do dyspozycji Fortine'a ludzi swego cechu. Jeżeli jednak któryś z tych niewyszkolonych czytelników pominie istotną wzmiankę, nie pojmując jej znaczenia... Chyba coś tak groźnego, jak epidemia, zasługiwało jednak na dłuższy opis.

Kiedy ta Desdra przyjdzie wreszcie ze swoją zupą i przerwie monotonię tej jego niemiłosiernej samokrytyki?

–Przestań się zamartwiać – powiedział sam sobie, a głos mu tak ochryple zaskrzeczał, że aż się przestraszył. – Jesteś rozdrażniony. Jednak żyjesz. Jak się nie da czegoś usunąć, trzeba się z tym pogodzić... Nie, trzeba to zgnieść, zniszczyć.

Po policzkach zaczęły mu spływać łzy niemocy, kapiąc do taktu bicia w bęben. Capiam chciał sobie zatkać uszy, żeby nie słyszeć tych wieści. Bez wątpienia będą złe. Czyż mogą być inne, dokąd nie odkryją specyfiki leczenia i środków na powstrzymanie zarazy?

Wiadomość wysłały Stajnie Keroonu. Potrzebowali lekarstw. Uzdrowiciel Gorby donosił o zmniejszających się zapasach ogórecznika i tojadu, potrzebował dużych ilości tymianku i macierzanki do leczenia infekcji płucnych i oskrzelowych, oraz wiecznie zielonego dębu na zapalenie płuc.

Capiama ogarnęła trwoga. Czy przy tak bezprecedensowym popycie na zapasy destylarni i magazynów wystarczy nawet tych prostych leków? Stajnie Keroonu, przystosowane do leczenia zwierząt, powinny być w stanie zaspokoić własne potrzeby. Capiam popadł w rozpacz, kiedy pomyślał o mniejszych warowniach. Tam ludzie będą mieli pod ręką tylko niewielkie zapasy podstawowych środków leczniczych. Większość warowni wymieniała miejscowe zioła ze swojego terenu na te, których im brakowało. Jaka gospodyni, nawet najbardziej zapobiegliwa i zaradna, mogła zgromadzić dość leków, żeby poradzić sobie z epidemią?

Do tego choroba ta zaatakowała w porze zimowej. Większość roślin leczniczych zbierano w czasie kwitnienia, kiedy ich uzdrawiające właściwości były najsilniejsze; a korzenie i cebulki zbierano jesienią. Wiosna i kwitnienie, jesień i wczesne zbiory... Niestety trudności mieli teraz!

Capiam wił się w swoich futrach. Gdzie podziewała się Desdra? Jak długo będzie to jeszcze trwało, zanim pozbędzie się przekłętą osłabienia?

–Capiamie? – spokojny głos Desdry przerwał mu te żałosne rozmyślenia. – Chcesz jeszcze zupy?

–Desdro, ta wiadomość ze Stajni Keroonu...

–Jakbyśmy mieli tylko jedno lekarstwo na gorączkę! Fortine ułożył już listę środków zastępczych. – Desdra nie miała cierpliwości do Gorby'ego. – Kora jesionu, bukszpan, tymianek, są równie dobre jak ogórecznik i pierzasta paproć. A kto to wie, może się okazać, że jedno z nich jest właśnie tym szczególnym lekiem na tą chorobę. Semment z Warowni Wielkie Rubieże uważa, że tymianek dużo lepiej działa na te płucne infekcje, które leczył. Mistrz Fortine trzyma się pierzastej paproci, jako jednej z niewielu miejscowych roślin. Jak się czujesz?

–Fatalnie! Nie mogę nawet ręki podnieść.

–Takie zmęczenie jest charakterystyczne dla tej choroby. Zapisywałeś często ten objaw. Jeżeli czemuś nie można zaradzić... Zebrawszy wszystkie siły w nagłym wybuchu irracjonalnego gniewu, Capiam cisnął w nią poduszką. Nie była ani wystarczająco ciężka, ani nie została rzucona wystarczająco mocno, żeby dolecieć do celu. Desdra roześmiała się, podniosła ją i odłożyła na łóżko.

–Widzę, że jesteś już w lepszym nastroju. A teraz wypij zupę. – Postawiła ją na stole.

–Czy tu wszyscy są zdrowi?

–Wszyscy. Nawet ten natrętny Tolocamp, który zamknął się w czterech ścianach swoich apartamentów. Prędzej już złapie zapalenie płuc, jak tak będzie stał w odsłoniętym oknie, pilnując wartowników. – Desdra złośliwie zachichotała. – Poustawiał posłańców na dziedzińcu. Rzuca im

zapiski, które mają zanosić winowajcom. Ani wąż tunelowy nie prześlizgnął się niezauważony. Mistrz Tirone musiał długo i stanowczo przekonywać, żeby założył w rozpadlinie obóz dla internowanych. Tolocamp był uważał, że jak komuś zaoferuje schronienie, to tak, jakby zaprosił niepożądanych ludzi, żeby mieszkali i żywili się na jego koszt. Tirone jest wściekły na Tolocampa, ponieważ chce rozsyłać swoich harfiarzy, mając pewność, że będą mogli wrócić, ale Tolocamp nie chce uwierzyć, że harfiarze potrafią uniknąć zarażenia. Tolocamp wyobraża sobie chorobę jako mgiełkę czy opar, który sączy się z łąk, strumieni i szczelin górskich.

„Desdra próbuje mnie zabawić – pomyślał Capiam – nigdy nie była taka gadatliwa.”

–Przecież zarządziłem kwarantannę. Desdra prychnęła.

–Otóż to! Tolocamp nie powinien był opuszczać Ruathy. Wymógł to na bracie, kiedy Alessan zachorował. Powiadają, że Tolocamp zalewa się łzami, iż musiał pozostawić swoją drogą żonę, panią Pendrę i te swoje cenne córki, na łaskę szalejącej w Ruacie zarazy. – Desdra zachichotała ironicznie. – Zostawił je rozmyślnie. A może to pani Pendra uparła się, że zostaną. Na pewno chciały pielęgnować Alessana.

–Jak stoją sprawy w Weyr Forcie i Ruacie?

–K’lon mówi, że Moreta ma się nie najgorzej. Berchar ma prawdopodobnie zapalenie płuc, a dwiętnastu jeźdźców – łącznie ze Sh’gallem – jest przykutych do weyrów. Ruatha ciężko to przechodzi. Fortine rozesał ochotników. A teraz wypij tę zupę, zanim ostygnie. Mam dużo pracy na dole. Nie mogę tu stać i plotkować z tobą.

Kiedy Capiam podnosił kubek przekonał się, jak ręka mu dygocze.

–Nie powinieneś być marnować tyle energii na rzucanie poduszką – powiedziała Desdra.

Żeby nie rozlać zupy, Capiam musiał ująć w obie ręce kubek. – Co dodałaś? – zapytał, przełykając ostrożnie.

–Trochę tego, trochę tamtego. Wypróbuję na tobie różne leki wzmacniające. Jak podziałają, ugotuję pełny kociołek.

–To jest obrzydliwe!

–Ale również pożywne. Wypij!

–Udławię się.

–Wypij, albo pozwolę Nerilce, tej córce Tolocampa, która przypomina wieszak na ubrania, przyjść i pielęgnować cię. Ciągłe się naprasza. Capiam zaklął pod nosem, ale wypił zupę do dna.

–No, widzę, że wracasz do zdrowia! – zachichotała, zamykając za sobą drzwi.



–Wcale nie mówiłam, że mi się to podoba – powiedziała S’perenowi Leri. – Jednak stare smoki potrafią szybować. Dlatego właśnie Holth i ja możemy jeszcze wyprawiać się na Nici razem ze skrzydłem królowych. – Leri czule poklepała Holth i popatrzyła rozpromieniona na przyjaciółkę swego życia. – To stawy na czubku skrzydeł, w palcu i w łokciu sztywnieją tak, że traci się zdolność do bardziej precyzyjnych manewrów. Szybowanie nie wymaga wielkiego wysiłku przy tym wietrze, jaki nas czeka teraz. Czemu musiało się zrobić tak cholernie zimno? Łatwiej byłoby znieść deszcz, który bardziej pasowałby do tej pory roku. – Leri poprawiła sobie futra na ramionach. – Nie chciałabym powierzać weyrzątkom takiej żmudnej roboty. Na pewno miałyby jakieś niesłychane pomysły, jak ta sztuczka, której przy obecności Morety próbował T’ragel na grzbiecie górskim. Mówiłeś, że L’bol pograżył się w żalobie?

Tak. Stracił obydwu synów. – S’peren ze smutkiem potrząsnął głową i pociągnął następny łyk wina, które podała mu Leri, „żeby sobie przepłukał gardło po tej naradzie przy Granitowym Wzgórzu”. S’perena czuł się podniesiony na duchu mogąc jak dawniej składać raport Leri. Przypomniało mu to dawne czasy sprzed kilku Obrotów, kiedy to L’mal był Przywódcą Weyru, a on sam bardzo często przebywał w jego weyrze. Miał wrażenie, że lada chwila przysadzista postać L’mala pojawi się we drzwiach i usłyszy jowialny, pozdrawiający go głos. To dopiero był Przywódca! On potrafiłby opanować sytuację. „A przecież – pomyślał S’peren, rzucając na Leri przelotne spojrzenie – ona jest ciągle taka jak dawniej.” – Czy Igen mógłby wystawić osiem pełnych skrzydeł na Opad?

–Co? – Leri aż podskoczyła. – Mało prawdopodobne, Torenth powiedziała Holth, że połowa Weyru jest chora, a druga połowa chyba wkrótce zachoruje. Ta ich przekłeta ciekawość i to słońce, które im bez przerwy świeci na głowy. Robią się przez to ślamazarni. Nie mają nic do roboty, a w wolnych chwilach tylko przypiekają sobie rozum. Oczywiście, że wszyscy poszli się pogapić na to dziwo! I nigdy nie darują sobie, że musieli zapłacić taką cenę! – Zajęła się przeglądaniem list, które wręczył jej S’peren. Nie mogę powiedzieć, że bym potrafiła wszędzie dopasować twarze do imion, czy określić, który smok jest od której pary. Dużo tu nowych. Kiedy L’mal był Przywódcą Weyru, znałam wszystkich nowych jeźdźców we wszystkich Weyrach.

–S’ligar pytał o Moretę.

–Martwi się o Orlith i jej jaja? – Leri sponad list rzuciła przenikliwe spojrzenie na spizowego jeźdźca.

S’peren skinął głową.

–S’ligar zaproponował, że da kandydatów, gdyby...

–Nie spodziewałam się niczego innego. – Leri odezwała się cierpko, ale widząc jaką minę ma S’peren, złagodniała. – To miło z jego strony, że z tym wystąpił. Zwłaszcza że Orlith jest w tej chwili jedyną niosącą się królową. – Na twarzy Leri pojawił się złośliwy uśmiezek.

S’peren pokiwał głową. To rzucało inne światło na troskę S’ligara o Moretę i Orlith.

–Nie martw się, S’perenie. Moreta czuje się dobrze. Orlith jest z nią nieustannie, a potrafi bardzo

podtrzymywać na duchu.

–Myślałem, że zachowuje się tak tylko w stosunku do rannych smoków.

–I że nie pocieszyłaby swojej własnej partnerki? Oczywiście, że Orlith pomaga Morecie. Inne Weyry mogłyby się wiele nauczyć od naszej smoczey królowej – seniorki. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby miały nastąpić jakieś przełomowe zmiany, kiedy Moreta wyzdrowieje. I kiedy Orlith znowu wzniesie się do lotu! Leri puściła oko do S’perena. – Ta dziewczyna musi pokazać swojej królowej, kogo naprawdę woli.

S’peren zaskoczony był taką otwartością Leri. Oczywiście, byli starymi przyjaciółmi i to w jego towarzystwie Leri najprędzej mogła sobie pozwolić na szczerość. Łyknął wina. Co właściwie Leri miała na myśli? Moreta bardzo mu się podobała. Obydwie z Orlith zrobiły kawał dobrej roboty, lecząc zeszłego Obrotu długą bruzdę po Niciach na boku jego Cliotha. A Clioth wzniósł się ostatnim razem do lotu godowego z Orlith. W perwersyjny sposób S’peren odczuł ulgę, kiedy Cliothowi się nie udało, pomimo całego swojego podziwu dla Morety i naturalnego pragnienia, żeby wykazać, że jego spiżowy smok był lepszy od innych spiżowych smoków Fortu. Z drugiej strony, nigdy nie podawał w wątpliwość kwalifikacji Sh’galla jako przywódcy lotów. Miał on niesamowite wyczucie, który smok zaczyna tracić siły, któremu wyczerpuje się płomień, który jeździec poczyna sobie mniej odważnie, niż należałoby. Jednakże S’peren nie zazdrościł mu tego Przywództwa ani w połowie tak bardzo, jak Clioth pragnął się parzyć z Orlith. – Czy to K’lon? – powiedziała Leri, przerywając tok jego myśli. Obydwie ze smoczycą patrzyły w stronę wejścia do weyru. Clioth potwierdził S’perenowi, że przybył Rogeth, i powiedział swojemu jeźdźcowi, że przesunie się dalej, żeby błękitny smok mógł wylądować na półce Holth.

–Już najwyższy czas, żeby ten młody człowiek wrócił do swojego weyru – powiedziała, marszcząc brwi Leri. – Jakiś smoczy jeździec musi wreszcie zastąpić K’lona przy pracy, bo padnie ze zmęczenia. A może chciał wpaść do Igeny, żeby zobaczyć się z tym swoim kochankiem? Kiedy błękitny jeździec wszedł do weyru, zobaczyli, jak jest wyczerpany. Ramiona mu obwisły, a krok utracił sprężystość. Twarz miał poznaczoną śladami podróży, za wyjątkiem jaśniejszej skóry naokoło oczu, gdzie przed kurzem w czasie lotu chroniły ją gogle. Jego ubranie było sztywne od wilgoci, która wsiąkła w skóry podczas nieustannych podróży w „pomiędzy”. – Pięć kropli z tej niebieskiej fiołki – powiedziała półgłosem Leri, pospiesznie pochylając się w stronę S’perena. Potem, prostując się, dodała normalnym tonem: – S’perenie, przygotuj dla K’lona kubek kłahu zaprawionego tym moim mocnym winem. A ty usiądź tutaj, młody człowieku, zanim się przewrócisz. – Leri władczo wskazała mu krzesło. Zastąpiła swój stołeczek kilkoma wygodnymi siedziskami, ustawionymi – jak to mówiła – w „nie-zaraźliwych” odległościach przed legowiskiem Holth.

K’lon ciężko osunął się na krzesło. Z jednej osłabłej ręki zwisał mu hełm i gogle, drugą przyjął od S’perena kubek.

–Łyknij sobie dobrze, K’lonie – powiedziała życzliwie Leri. – Przywróci to twojej krwi normalną temperaturę po ”pomiędzy”. Jesteś niemalże tak niebieski jak Rogeth. No i co? Smaczne, nieprawdaż? – Chociaż głos jej brzmiał życzliwie, przyglądała się bacznie K’lonowi. – A teraz

powiedz nam, jakie masz wiadomości z warowni?

Znużona twarz K'lona rozjaśniła się.

–Dobre wiadomości. Mistrz Capiam naprawdę wraca do zdrowia. Rozmawiałem z Desdrą. Jest słaby, ale już głośno przeklina. Desdrą powiedziała, że pewnie będą go musieli przywiązać do łóżka, żeby go w nim zatrzymać aż odzyska siły. Domaga się głośno kronik. A co najważniejsze – z K'lona zdawało się opadać zmęczenie, kiedy to mówił – upiera się, że to nie sama ta choroba powoduje śmierć. Ludzie umierają na zapalenie płuc, oskrzeli, na inne choroby układu oddechowego. Trzeba tylko unikać powikłań – K'lon poruszył się gwałtownie, aż jego hełm i gogle zagrzechotały o siebie a wszystko będzie dobrze. – Nagle posmutniał. – Niestety nie da się tego zrobić w Warowniach. Tylu tu ludzi stłoczonych na małej powierzchni... takie ciężkie warunki życia... zwłaszcza teraz, kiedy zrobiło się tak zimno. Lordowie Warowni umieszczają ludzi w skórzanych namiotach, co było dobre na Zgromadzenie, ale nie wystarcza dla chorych. Byłem wszędzie. Nawet w takich warowniach, które nie wiedzą, co się dzieje gdzie indziej, i myślą, że to tylko u nich taka bieda. Byłem w tylu miejscach...

–A'murry? – Leri delikatnie wspomniała o zielonym jeźdźcu.

K'lon wreszcie mógł się wyzalic.

–Ma infekcję płuc; jeden z mieszkańców Weyru, który go pielęgnował, był bardzo zaziębiony. Fortine dał mi specjalną miksturę i maść żywokostową. Zmusiłem A'murry'ego, żeby zażył lekarstwo, i naprawdę natychmiast przestał kaszleć. Natarłem mu maścią pierś i plecy. – K'lon popatrzył na nich i zobaczył w ich oczach niemy lęk. – Muszę odwiedzać Amurry'ego. Nie zarażę go, bo już jestem zdrow. I nie mówcie mi, że wystarczy, jeśli jak Rogeth i Granth porozumiewają się ze sobą. Wiem, że to robią, ale ja też muszę być z A'murym. – Przez twarz K'lona przeszedł skurcz. Wyglądało na to, że zaraz wybuchnie płaczem, ale powstrzymał się od zrobienia z siebie widowiska i łyknął zaprawionego winem kłahu. – To jest naprawdę bardzo smaczne – stwierdził uprzejmie. – Co jeszcze mógłbym wam powiedzieć o moim... Przerwał, zamrugał oczyma i głowa zaczęła mu opadać na bok. Leri, która tylko na to czekała, dała nagłący znak S'perenowi. – Idealnie to wyliczyłam, jak mi się zdaje – powiedziała, kiedy S'peren złapał K'lona, zanim osunął się on na podłogę. – Masz! – Rzuciła mu poduszkę i ściągnęła z ramion futro. – Owiń go w to, podłóż mu poduszkę pod głowę, a pośpi dobre dwanaście godzin. Holth, bądź taka kochana i powiedz Rogethowi, żeby się zwinął w kłębek w swoim weyrze i trochę odpoczął. A ty będziesz nasłuchiwać, czy nie ma jakichś wiadomości od Granth.

–A jeżeli K'lon będzie potrzebny? – zapytał S'peren, układając go wygodnie. – Cechom, Warowniom lub A'murry'emu? – A'murry jest oczywiście na pierwszym miejscu – powiedziała Leri z namysłem. – Naprawdę nie mogę darować K'lonowi tego, że wyłamał się z kwarantanny. Pomyślę później o jakiejś karze, ponieważ okazał nieposłuszeństwo wobec bezpośredniego rozkazu. Zdecydowałam właśnie, że w miejsce K'lona możemy wykorzystać innych posłańców. Zwłaszcza że jego robota polega przede wszystkim na przewożeniu dostaw i uzdrowicieli. To mogą robić weyrzątka! Będą się czuły docenione, ale z pewnością, że zachowają ostrożność. Paczki na pewno

można przekazywać nie kontaktując się z nikim, a wiadomości zbierać w rozsądnej odległości od chat. Niech ćwiczą siadanie przy chorągiewce, zamiast przy grani. – Leri krytycznie przyjrzała się śpiącemu K’lonowi. – Lepiej jednak, żebyś puścił w obieg tę wiadomość, którą nam przyniósł z Siedziby – że ta zaraza nie zabija. Musimy jeszcze ostrożniej niż dotąd obchodzić się z naszymi rekonwalescentami. Jeżeli ktoś chociaż raz kichnie albo mu pryszcz wyskoczy, nie ma prawa opiekować się jeźdźcami. – I tak trudno jest namówić mieszkańców weyru, żeby się nimi opiekowali – zauważył S’peren.

–Hm! Zapytaj tych leni, kto będzie się opiekował nimi, kiedy znajdą się w potrzebie? – Leri zwinęła listy jeźdźców i odłożyła je na półkę obok siebie. – No, stary przyjacielu, zaniesiesz do Niższych Jaskiń dobre wiadomości z Siedziby Uzdrowicieli, a potem wyznaczysz skrzydła, które jutro wyruszą przeciw Niciom!

Siedziba Uzdrowicieli, 3. 15. 43

Ostry blask licznych żarów, które Capiam kazał sobie przynieść, żeby oświetlić drobne, wyblakłe pismo starych rejestrów, padał na przystojne oblicze Tirone’a, Mistrza Harfiarza Pernu, siedzącego obok wielkiego biurka Capiama. Tirone spoglądał spode łba na uzdrowiciela, a był to całkowicie nietypowy wyraz twarzy u tego człowieka, znanego ze swojej jowialności i dobrego humoru. Ta epidemia – nie, trzeba było podać jej prawdziwe rozmiary, ta pandemia – wywarła swe piętno na wszystkich, nawet na tych, którym udało się nie zachorować.

Wielu ludzi wierzyło, że Tirone’a musiały chronić jakieś dobre czary, kiedy na obszarze całego kontynentu usiłował wypełniać swoje obowiązki. Na granicy pomiędzy Tillekiem a Dalekimi Rubieżami zatrzymała Harfiarza dysputa na temat kopalni, co nie pozwoliło mu wziąć udziału w Ruathańskim Zgromadzeniu. Kiedy bębny już ogłosiły kwarantannę, Tirone udał się z powrotem do Siedziby sztafetą biegusów, mijając gospodarstwa, gdzie ta zaraza jeszcze nie dotarła, i takie, do których nie doszły nawet wieści o niej. Urządził awanturę Tolocampowi, który nie chciał go wpuścić do Warowni. Przeważała argumentacja Tirone’a, że noga jego nie powstała na żadnym z zarażonych obszarów. A może to jeden z wartowników powiedział Mistrzowi Harfiarzowi, jak to Lord Tolocamp powrócił z Ruathy?

Tirone przewyciężył również obiekcje Desdry, prosząc, żeby pozwoliła mu odwiedzić Mistrza Uzdrowiciela.

–Jeżeli nie dowiem się tego od ciebie, Capiamie, będę zmuszony polegać na pogłoskach, a to nie jest właściwe źródło dla Mistrza Harfiarza.

–Tirone, ja wcale nie wybieram się na tamten świat. I chociaż pochwalam twoją gorliwość, żeby poznać prawdę, mam bardziej naglące obowiązki! – Capiam wziął do ręki rejestr. – Ja wróciłem do zdrowia, ale muszę dowiedzieć się, jak leczyć lub zatrzymać rozprzestrzenianie się tej nieszczęsnej choroby, zanim zabije ona następne tysiące ludzi.

–Mam surowo przykazane, żeby cię nie zmęczyć, bo Desdra wydrapie mi oczy – odpowiedział

Tirone z figlarnym uśmiechem. Faktem jest jednak, że miałem stanowczo za mało kontaktów z Siedzibą w tym najbardziej krytycznym okresie. Nie mogę nawet otrzymać przyzwoitej relacji od mistrza Bębniaków, chociaż potrafię zrozumieć, że ani on, ani jego czeladnicy nie mieli czasu rejestrować tych licznych wiadomości, które przyjmowali na wieży i nadawali. Tolocamp nie chce ze mną rozmawiać, chociaż minęło już pięć dni od Zgromadzenia w Ruacie... a po nim nie widać żadnych oznak choroby. Muszę więc mieć coś, na czym będę mógł się oprzeć, oprócz nieskładnych i pogmatwanych wersji. Obserwacje kogoś wykształconego, takiego jak ty sam, są bezcenne dla kronikarza. Dano mi do zrozumienia, że rozmawiałeś z Talpanem w Iście. – Pióro Tirona zawisło nad czystym, wygładzonym pergaminem.

–Talpan... to z tym człowiekiem powinieneś porozmawiać, kiedy się już wszystko skończy.

–Tego się nie da zrobić. Na Skorupy! Czy nic ci nie mówiono?

–Nie, nic nie wiedziałem. – Capiam przymknął na moment oczy, żeby dojść do siebie. – Pewnie sądzili, że będzie to dla mnie wielki cios. I mieli rację. To był wspaniały człowiek, bystry, rozgarnięty. Prawdziwy Mistrz Hodowca. – Capiam usłyszał, że Tirone westchnął ciężko. Otworzył oczy. – Mistrz Pasterzy Trumie także? – Tirone potwierdzająco skinął głową. A więc to dlatego pozwolono Tirone'owi zobaczyć się z nim. – Myślę, że lepiej będzie, jeśli przekażesz mi te wszystkie złe wiadomości, które ani Desdrze, ani Fortine'owi nie przeszły przez gardło. Jakoś to zniosę.

–Ponieśliśmy straszliwe straty...

–Czy są jakieś dane liczbowe?

–W Keroonie z każdego dziesięciu, którzy zachorowali, umarło dziewięciu! W Morskiej Warowni w Igenie piętnastu ludzi ledwie już żyło, kiedy dotarł do nich statek z pomocą z Neratu. Nie mamy danych zbiorczych z warowni otaczających Igen, nie wiemy też, jaki zasięg ma epidemia w Igenie, Keroonie i Ruacie. Możesz być bardzo dumny ze swoich rzemieślników, mężczyzn i kobiet, Capiamie. Robili wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby przyjść chorym z pomocą...

–Czy oni też nie żyją? – zapytał Capiam, kiedy głos Tirone'a zamarł.

–Przynieśli zaszczyt twojej Siedzibie.

Serce Capiama łomotało w udęce. Wszyscy zmarli? Mibbut, zgodny Kylos, tak bardzo rzeczowa Loreana, poważny Rapal, nastawiacz kości Snel, Galnish. Nikt z nich nie żyje? Czy naprawdę upłynęło dopiero siedem dni, od czasu, gdy po raz pierwszy usłyszał o tej straszliwej chorobie? A ci, których pielęgnował w Keroonie i Igenie, którzy już wtedy byli śmiertelnie chorzy? Chociaż był teraz przekonany, że sama zaraza nie zabija, musieli oni stanąć w obliczu innego rodzaju śmierci – śmierci nadziei, przyjaźni, tego wszystkiego, co jeszcze mogło się wydarzyć w przyszłości ludziom, których życie zostało tak nagle przerwane. A działo się to tak blisko Przerwy, obiecującej odmianę ich losów. Capiam poczuł, jak po policzkach spływają mu łzy, ale pozwolił im płynąć, bo łagodziły bolesny skurcz w piersi. Oddychał powoli, aż znowu opanował swoje uczucia. Nie wolno mu

kierować się emocjami, musi myśleć jak uzdrowiciel. – Morska Warownia w Igenie mieściła niemal tysiąc ludzi; było tylko pięćdziesięciu chorych, kiedy zająłem się nimi na wezwanie Burdiona.

–Burdion jest jednym z tych, którzy przeżyli.

–Mam nadzieję, że notował wszystko.

–Chyba tak. Istnieje również dziennik pokładowy „Szkwał”. – Kapitan nie żył już, kiedy dojechałem do Warowni Morskiej.

–Czy widziałeś to zwierzę? – Tirone pochylił się lekko do przodu, w oczach błysnęła mu ciekawość, której nie wyraził słowami.

–Tak, widziałem je! – Ten obraz wżarł się na zawsze w pamięć Capiama. Zwierzę to stale wracało do niego w gorączkowych snach i niespokojnych koszmarach. Nie mógł zapomnieć jego wyszczerzonych zębów, biało-czarnych wąsów, sterczących z potężnej mordy, brązowych plam na kłach, karbów na zakończonych pędzelkami, położonych płasko uszach, ciemnobrązowych cętek na płowym, lśniącym futrze. Przypominał sobie jego dziki ryk. Już wtedy przyszło mu na myśl, że to stworzenie doskonale wie, że weźmie pomstę na istotach, które wepchnęły je do tej klatki i gapiły się na nie w każdej warowni czy cechu. Tak, Tirone, widziałem je na własne oczy. Jak i setki innych ludzi, którzy brali udział w Zgromadzeniu Istańskim. Tylko że ja przeżyłem i mogę o tym opowiedzieć. Talpan i ja spędziliśmy dwadzieścia minut na obserwacji tego zwierzęcia. Wyjaśniał mi, dlaczego jego zdaniem musi ono umrzeć. Przez te dwadzieścia minut zaraziło ono prawdopodobnie wielu ludzi, chociaż Talpan kazał gapiom trzymać się z daleka od klatki. Prawdopodobnie zaraziłem się właśnie tam. Z samego źródła choroby. – Ten wniosek pocieszył trochę Capiama. Osłabiony zmęczeniem zachorował już dwadzieścia cztery godziny później. Lepiej tak, niż gdyby miał sądzić, że zaniedbał obowiązki higieny w Igenie i Keroonie. – Talpan doszedł do wniosku, że przyczyną choroby, która już powalała biegusy od Igeny do Keroonu, musiało być właśnie to zwierzę. Widzisz, wezwano mnie i do Keroonu, ponieważ tylu tamtejszych mieszkańców zaczynało chorować. Ja śledziłem, jak zarażają się ludzie, a Talpan, jak zarażają się biegusy. Doszliśmy obydwaj do tego samego wniosku na Zgromadzeniu w Iście. Wiesz, to stworzenie straszliwie bało się smoków.

–Naprawdę?

–Tak mi mówiono. Jednak K’dall jest wśród zmarłych z Weyr Telgar, jak również jego błękitny smok.

Tirone zamruczał coś, cały czas pisząc zawzięcie.

–Jak więc dostała się ta choroba do Południowego Bollu, jeżeli to zwierzę zostało uśmiercone na Istańskim Zgromadzeniu?

–Zapominasz o pogodzie.

–O pogodzie?

–Było tak ciepło, że Stajnie Keroonu zaczęły rozsyłać biegusy statkami na samym początku tego Obrotu, korzystając ze sprzyjających wiatrów. Tak więc Lord Ratoshigan wcześniej otrzymał swój rozplodowy inwentarz, a nadto niespodziewaną premię. Podobnie jak kilku innych znakomych hodowców, którzy brali udział w Zgromadzeniu w Ruacie.

–To ciekawe. Fatalny zbieg tyłu drobnych wydarzeń.

–Powinniśmy się cieszyć, że Tillek hoduje własne zwierzęta i zaopatruje Dalekie Rubieże, Crom i Nabol. Że wyhodowane w Keroonie biegusy, przeznaczone dla Bendenu, Lemosu, Bitry i Neratu, albo wymarły na zarazę, albo nie zostały popędzone w głąb lądu.

–Przywódcy Weyrów wydali zakaz wszelkich podróży na Południowy Kontynent! – powiedział Tirone. – Starożytni mieli powody, żeby opuścić to miejsce. Zbyt wiele czekało na nich zagrożeń dla życia.

–Nie myl faktów, Tirone – powiedział Capiam poirytowany. – Większość istot żyjących tutaj została stworzona i ukształtowana tam!

–Jeszcze nie widziałem, żeby to udowodniono...

–Życie i zachowanie życia to moja domena, Mistrzu Harfiarzu. – Capiam ujął starożytny rejestr i potrząsnął nim przed Tirone'em. – Tak jak tworzenie i rozwój życia były niegdyś domeną naszych przodków. Starożytni przywieźli ze sobą z Południowego Kontynentu wszystkie zwierzęta, które towarzyszą nam dzisiaj, łącznie ze smokami, które zaprojektowali genetycznie, by mogły spełnić swoją niezwykłą rolę.

Tirone zacisnął zęby, gotów bronić swego zdania.

–Straciliśmy te umiejętności, które posiadali Starożytni, nawet jeżeli potrafimy poprawiać rasę biegusów i bydląt, by osiągać pożądane cechy. – Tu Capiam urwał, przerażony tym co przyszło mu do głowy. – Nagle zdałem sobie sprawę, że w dwójnasób grozi nam teraz zguba. – Pomyślał o stracie bystrego Talpana, który tak dobrze się zapowiadał, o Mistrzu Hodowcy Trumem, o kapitanie „Szkwała”, o swoich własnych zmarłych rzemieślnikach, z których każdy posiadał pewne niepowtarzalne zalety, zaprzepaszczone teraz przez tę szybką, śmiertelną chorobę. – Straciliśmy dużo więcej, niż tylko spójny obraz przebiegu zarazy, Tirone. I to tym powinieneś się martwić. Na całym obszarze Pernu giną nie tylko ludzie, następuje również upadek wiedzy. Tak szybko, jak tylko zdołasz poruszać ręką, notuj to, co wiedzą ludzie, to, co zginie wraz z nimi i czego nie da się już odtworzyć. – Capiam wymachiwał kroniką, a Tirone spoglądał na niego ze zgrozą. – Podobnie jak nie potrafimy w szczegółach odtworzyć tych wszystkich rejestrów i kronik i nie możemy dociec, w jaki sposób Starożytni dokonywali swoich cudów. Nie chodzi nawet o cuda, lecz o zwyczajne, codzienne sprawy. Starożytni nie zawracali sobie głowy, żeby je notować, ponieważ było to coś, o czym wszyscy wiedzieli. A tego nam właśnie teraz brakuje. To, co utraciliśmy przez ostatnie siedem dni, może się okazać nie do odtworzenia!

Capiam opadł na oparcie, wyczerpany swoim wybuchem. Kronika jak ciężki kamień spoczywała na jego brzuchu. Poczucie straty i niepokój przygniatały go coraz bardziej. Tego ranka, kiedy wróciły mu siły, zdał sobie sprawę z tego, jak wiele faktów nigdy nie zapisywał, nigdy nie pomyślał, żeby szerzej się nad nimi zastanowić w swoich osobistych notatkach. Normalnym biegiem rzeczy byłby je przekazał swoim czeladnikom, gdy zgłębialiby arkana tego rzemiosła. O niektórych sprawach powiedzieli mu jego mistrzowie, którzy z kolei dowiedzieli się o nich od swoich nauczycieli albo nabyli te doświadczenia w trakcie pracy. Jednakże aż nazbyt często wszelkie informacje i interpretacje przekazywane były ustnie ludziom, którym ta wiedza miała być potrzebna.

Capiam zdał sobie sprawę, że Tirone wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami. Nie zamierzał wygłaszać tyrady; to zwyczajowo należało do Tirone'a.

–Całkowicie się z tobą zgadzam, Capiamie – zaczął niepewnie Tirone przerywając, żeby odchrząknąć. – Jednak ludzie każdej rangi w każdym Cechu mają skłonność, żeby zachowywać jakieś sekrety, które...

–Na Skorupy! Znowu ten bęben! – Capiam wciągnął głowę w ramiona i zatkał palcami uszy, usiłując nie dopuścić do siebie żadnego dźwięku.

Twarz Tirone'a rozjaśniła się i uniósł się z krzesła, gestem pokazując Capiamowi, żeby sobie odetkał uszy.

–To dobre wieści. Z Igeny. Wyprawili się na Nici i wszystkie zniszczyli. Poleciało dwanaście skrzydeł!

–Dwanaście? – Capiam wyprostował się, myśląc o wielkich stratach poniesionych przez Igenę i przeliczając jego chorych jeźdźców. – Igen nie mógł dziś wystawić dwunastu skrzydeł.

–Smoczy jeźdźcy muszą lecieć, kiedy Nici są na niebie! W dźwięcznym głosie Tirone'a zabrzmiała duma i radosne uniesienie.

Capiam wpatrywał się w niego głęboko skonsternowany. Jak to się mogło stać, że nie pojął znaczenia wzmianki Tirone'a o wspólnym zakazie Przywódców Weyrów, zabraniającym lotów na Południowy Kontynent? Musieli połączyć Weyry, żeby stawić czoło Nicim.

–Oni walkę z Nicimi mają we krwi! Chociaż ponieśli tak okrutne straty, wzniesli się jak zawsze w niebo, żeby chronić kontynent.

Tirone popadł w swój liryczny trans, jak to ironicznie nazywał Capiam. To nie był czas na układanie sag i ballad! Jednak te dźwięczne frazy poruszyły jakąś dawno zapomnianą strunę w jego pamięci.

–Bądźże cicho, Tirone. Muszę pomyśleć! Bo w innym wypadku do walki z Nicimi nie zostanie nam żaden smoczy jeździec. Wynoś się!

Krew! To właśnie powiedział Tirone. Mają to we krwi! Krew! Capiam niemalże słyszał skrzypiący,



starczy głos leciwego Mistrza Gallardy'ego. Tak, przygotowywał się wtedy do swoich egzaminów czeladniczych, a stary Gallardy monotonicznie mówił coś na temat nietypowych i wychodzących z użycia metod postępowania.

Wspomniał o leczniczych właściwościach czegoś sporządzonego z krwi. Co to było? Surowica! Tak, to było to. Surowica jako ostateczne remedium na zakaźne choroby.

–Capiamie? – To było Desdra, w jej głosie brzmiało wahanie. – Czy dobrze się czujesz? Tirone powiedział...

–Czuję się świetnie! Świetnie! Co to ty mi ciągle powtarzałaś? Jak czemuś nie da się zaradzić, trzeba się z tym pogodzić. Można jednak się zahartować. Uodpornić. A to jest we krwi! Nie kora, proszek ani liście, tylko krew. A ja mam teraz ten środek zapobiegawczy w mojej krwi, ponieważ przeżyłem zarazę.

–Mistrzu Capiamie! – Desdra zrobiła krok do przodu i zawahała się, przypomniawszy o środkach ostrożności, obowiązujących podczas ostatnich pięciu dni.

–Nie wydaje mi się, żebym mógł cię jeszcze zarazić, moja Desdro. Teraz sam jestem lekarstwem. A przynajmniej tak mi się wydaje. – Capiam w podnieceniu wyskoczył z łóżka i rozrzucił dookoła pościel, usiłując dostać się do skrzynki, która zawierała jego notatki z czasów uczniowskich i czeladniczych.

–Capiamie! Przewróć się!

Capiam zachwiał się i chwycił za krzesło, na którym poprzednio siedział Tirone. Nie potrafił zebrać dość sił, żeby sięgnąć do półek.

–Podaj mi moje notatki. Te najstarsze, tam po lewej stronie, na najwyższej półce. – Usiadł nagle na krześle, trzęsąc się z osłabienia. – Muszę mieć rację. Nie mogę się mylić. „Krew ozdrowieńca nie pozwala innym zarazić się chorobą.”

–Twoja krew, mój wspaniały, słabiutki przyjacielu – powiedziała cierpko Desdra, odkurzając zapiski zanim mu je podała jest bardzo kiepsciutka i masz natychmiast wracać do łóżka.

–Tak, tak, za minutkę. – Capiam przewracał stronicę, starając się przypomnieć sobie, kiedy dokładnie Mistrz Gallardy wygłaszał te wykłady o „nietypowych metodach postępowania”. Wiosną. To było na wiosnę. Przeszedł do trzeciej części swoich notatek. To musiała być wiosna, ponieważ pozwolił swoim myślom bujać w obłokach i nie słuchać głośno o starożytnych procedurach. Poczł, jak Desdra szarpie go za ramię.

–Najpierw zmusiłeś mnie, żebym spędziła dwie godziny na rozmieszczaniu żarów tak, żeby cię dobrze oświetlały w łóżku, a teraz czytasz w najciemniejszym kącie pokoju. Wracaj do łóżka! Nie po to pielęgnowałam cię tak długo, żebyś miał mi teraz umrzeć z przeziębienia. Hasasz w tych ciemnościach niby znarowiony smok.

–Podaj mi jeszcze moją torbę... – Pozwolił się odprowadzić z powrotem do łóżka, ale nie przerywał czytania. Desdra tak ciasno opatuliła mu futrami stopy, że nie mógł ugiąć nóg w kolanach, żeby podeprzeć notatki. Szarpnął się, wierzgnął i popsuł to, co przed chwilą zrobiła.

–Capiam! – Desdra złapała go za ramię i położyła mu rękę do czoła. Capiam odepchnął jej dłoń, usiłując nie okazywać, jak denerwuje go tym, że mu przerywa.

–Nic mi nie jest.

–Tirone pomyślał, że masz nawrót choroby. Tak się zachowywałeś. To niepodobne do ciebie, żeby krzyżeć: „krew, krew, oni to mają we krwi”. Albo że to ty sam coś masz we krwi.

Capiam słuchał jej tylko jednym uchem, ponieważ trafił właśnie na ciąg wykładów, które przepisywał tamtej wiosny, trzydzieści Obrotów temu, kiedy dużo bardziej interesowały go bruzdy po Niciach, infekcje, dawki zapobiegawcze i odżywianie.

–Ja to mam we krwi. Tak właśnie jest tu napisane – zawołał triumfalnie. – Ta przeźroczyta surowica, która zbiera się u góry w naczyniu, kiedy krew krzepnie, zawiera globuliny powstrzymujące chorobę. Jeżeli surowicę wstrzyknie się dożylnie, chroni ona organizm przez co najmniej czternaście dni, co zwykle jest wystarczającym okresem czasu, żeby epidemia dobiegła kresu. Capiam chciwie czytał. Mógł rozdzielić składniki krwi za pomocą siły odśrodkowej. Mistrz Gallardy powiedział, że Starożytni mieli specjalną wirówkę do rozdzielania krwi, ale można przecież skonstruować jakieś prostsze urządzenie. – Surowica wprowadza do organizmu chorobę w tak osłabionej postaci, że pobudza jego własne czynniki obronne.

Capiam opadł na poduszki i zamknął oczy, ogarnięty nagłą słabością. Czuł ulgę, triumfował. Przypominał sobie, jak buntował się wtedy przeciwko żmudnemu notowaniu procedury, która teraz może uratować tysiące ludzi. I smoczych jeźdźców!

Desdra przyglądała mu się z osobliwym wyrazem twarzy.

–Ależ to jest homeopatia! Poza bezpośrednim wstrzykiwaniem do żyły.

–W ten sposób organizm szybciej wchłonie surowicę, a więc będzie skuteczna. A nam trzeba skutecznego leczenia, Desdro, ilu smoczych jeźdźców zachorowało?

–Nie wiemy, Capiamie. Przestano podawać liczby. Bębny podały wiadomość, że w Igenie do lotu przeciw Niciom wzniosło się dwanaście skrzydeł, ale w ostatnim raporcie, który przywiózł K’lon, była mowa, że zachorowało stu siedemdziesięciu pięciu jeźdźców, łącznie z jedną jeźdźczynią królowej. Dwóch synów L’bola znalazło się wśród pierwszych śmiertelnych ofiar.

–Stu siedemdziesięciu pięciu chorych? A jak chodzi o wtórne infekcje?

–Nic nie mówiono. Co prawda nie pytaliśmy...

–A w Telgarze? W Weyr Forcie?

–Więcej myśleliśmy o tych tysiącach ludzi, którzy umierali, niż o smoczych jeźdźcach – przyznała Desdra posępnym głosem i ręce zaciskała tak silnie, że zbieleły jej kostki.

–A przecież jesteśmy zależni od tych dwóch tysięcy smoczych jeźdźców. Więc przestań już gderać i przynieś mi to, czego będę potrzebował do sporządzenia surowicy. Kiedy pokaże się K’lon, chcę się z nim natychmiast widzieć. Czy jest jeszcze ktoś w Cechach albo Warowniach, kto wyzdrowiał po tej chorobie?

–Nikt nie wyzdrowiał.

–Nic nie szkodzi. Czy K’lon będzie tu niedługo?

–Spodziewamy się go. Przewoził lekarstwa i uzdrowicieli.

–W porządku. Będę potrzebował dużo sterylnych, dwulitrowych pojemników z zakrętkami, mocnego sznurka, świeżych trzcinek, długich na piędź, czerwonego ziela. Igły cierniowe mam... I jeszcze wygotuj mi tę strzykawkę, której kucharz używa do polewania mięsa. Mam kilka strzykawek, które wydmuchał mi Mistrz Clargesh, ale są gdzieś głęboko schowane. I, Desdro, będę potrzebował nieco podwójnie destylowanego alkoholu i jeszcze więcej tej twojej odżywczej zupy.

–Potrafię zrozumieć, że potrzebny ci jest alkohol – powiedziała Desdra od drzwi – ale żebyś chciał więcej zupy, która ci tak nie smakuje?

Capiam zaczął wywijać poduszką i Desdra, śmiejąc się, zamknęła za sobą drzwi.

Capiam przewracał kartki wstecz do początków wykładu Mistrza Gallardy’ego. „W przypadku wybuchu choroby, która może się przenosić z chorego na zdrowego, skuteczne okazało się stosowanie surowicy, przygotowanej z krwi rekonwalescenta po tej samej chorobie. Tam, gdzie ludność jest zdrowa, zastrzyk z surowicy zapobiega chorobie. Podany cierpiącemu, łagodzi jej zjadliwość. Na długo przed Przeprawą dzięki szczepieniom wyeliminowano takie plagi, jak wietrzna ospa, dyfteryt, grypa, odra, krosty, różyczka, szkarlatyna, ospa właściwa, tyfus, dur plamisty, paraliż dziecięcy, gruźlica, zapalenie wątroby, opryszczka wirusowa i rzeżączka...”

Capiam znał tyfus i dur, które pojawiały się od czasu do czasu w wyniku niedostatecznej higieny. Tak jak i uzdrowiciele uważał, że przyczyną mogło być przeludnienie. W ciągu ostatnich kilkuset Obrotów wybuchy dyfterytu i szkarlatyny zdarzały się na tyle często, że szkolono, jak je leczyć. Innych chorób nie znał, poza samymi nazwami. Będzie musiał zajrzeć do etymologicznego słownika w Siedzibie Harfiarzy.

Wczytywał się dalej w rady Mistrza Gallardy’ego. Od każdego ozdrowieńca można było pobrać po półtora litra krwi, z czego po rozdzieleniu otrzyma się około pięćdziesięciu mililitrów surowicy do szczepień. Dawka, jaką należało wstrzykiwać, wahała się według Gallardy’ego od jednego mililitra do dziesięciu. Nie została dokładnie określona. Capiam czynił sobie wyrzuty, że nie słuchał uważniej

tego wykładu.

Nie trzeba było żadnych skomplikowanych obliczeń, żeby uzmysłowić sobie, jak ogromnym zadaniem będzie osiągnięcie pożądanej odporności choćby tylko u tych kilku tysięcy smoczych jeźdźców, u Lordów Warowni i u Mistrzów Rzemiosł, żeby już nie wspomnieć o uzdrowicielach, którzy będą musieli opiekować się chorymi, przygotowywać szczepionkę i szczepić.

We drzwiach ukazała się Desdra. Po raz pierwszy, jak Capiam sięgał pamięcią, wyglądała na wzburzoną. W ręku trzymała koszyk z sitowia.

–Mam to, czego chciałeś i znalazłam te szklane strzykawki, które dla ciebie wydmuchał Mistrz Clargesh. Trzy z nich były rozbite, ale wygotowałam resztę.

Desdra ostrożnie postawiła wiklinowy koszyk przy jego łóżku. Przesunęła stolik nocny na jego zwykłe miejsce i ustawiła na nim słoik z silnym roztworem czerwonego ziele, paczkę trzciniek, związane w liść igły cierniowe, parującą stalową tackę, którą przedtem wcześniej przykryty był kociołek z małym, szklanym słoikiem, i strzykawkami Clargesha. Z kieszeni wyjęła kawał mocnego, dobrze skręconego sznurka.

–To nie jest dwulitrowy słoik.

–Nie, ale jesteś jeszcze za słaby, żeby pobierać od ciebie dwa litry krwi. Pół litra to i tak za dużo. Wkrótce będzie tu K’lon.

Desdra przetarła jego rękę czerwonym ziele, potem obwiązała mu sznurkiem górną jej część, podczas gdy on ścisnął palce, aż ukazała się gruba, sinawa żyła. Za pomocą szczypiec Desdra wyjęła szklany pojemnik z parującej wody. Otworzyła paczkę trzciniek i igieł cierniowych. Wcisnęła cierń w koniec trzciniki.

–Znam tę technikę, ale dawno jej nie stosowałem. – Będziesz musiała to zrobić! Mnie się trzęsą ręce!

Desdra zacisnęła usta, zanurzyła palce w czerwonym ziele, postawiła szklany pojemnik na podłodze przy łóżku, ustawiła w nim ukośnie trzcinę i podniosła cierń. Cienka igła przebiła skórę Capiama, do czego trzeba było niewiele siły, i jednym ruchem poluzowała opaskę uciskową na nabrzmiałej żyły. Capiam zamknął oczy, czując lekki zawrót głowy, kiedy jego krew zaczęła spływać przez trzcinę do pojemnika. Po chwili otworzył oczy i patrzył, zafascynowany widokiem własnej krwi, kapiącej do słoika. Poruszył dłonią i z żyły trysnął cieniutki strumyczek. Z dziwną obojętnością wyczuwał, jak krew opuszcza jego ciało. Serce biło mu coraz mocniej. Zaczynało mu się robić odrobinę niedobrze, kiedy Desdra przycisnęła palcami nasączony czerwonym ziele wacik do ciernia, a potem jednym zręcznym ruchem usunęła cierń.

–To w zupełności wystarczy, Mistrzu Capiamie. Niemal trzy czwarte litra. Strasznie pobladłeś. Przyciśnij to mocno i trzymaj. Wypij też ten alkohol.

Mocny alkohol jak gdyby wypełniał wolne miejsce po upuszczonej krwi.

–A co teraz zrobimy? – zapytała, podnosząc zamknięty szklany słoik z jego krwią,

–Zakręciłaś dobrze wieczko? No to owiń sznurek ściśle dookoła szyjki i zrób mocny węzeł. Dobrze. A teraz podaj mi to.

–Co chcesz zrobić? – zapytała surowo.

–Gallardy mówił, że jeśli będzie się tym kręcić, siła odśrodkowa rozdzieli składniki krwi i uzyskamy surowicę.

–Ja to zrobię. – Desdra cofnęła się od łóżka, upewniła się, czy ma dość miejsca, i zaczęła kręcić słoikiem nad głową.

Capiam był zadowolony, że zgłosiła się na ochotnika. Chyba jemu samemu nie udałooby się tego dokonać.

–Moglibyśmy skonstruować coś w rodzaju rożna, prawda? Potrzebna jest stała szybkość.

–Czy... trzeba będzie to robić... często?

–Jeżeli moja teoria jest słuszna, będziemy potrzebować dosyć dużo surowicy. Czy zostawiłaś wiadomość, że Klon ma się tu stawić, jak tylko przybędzie?

–Tak. Jak długo jeszcze mam kręcić?

Capiam sam nie był tego pewien. Przeklinał siebie w duchu, że tamtej wiosny tak mało przywiązywał uwagi do wykładów Mistrza Gallardy'ego.

–To powinno wystarczyć, Desdro. Dziękuję ci!

Desdra złapała słoik i postawiła go na stole, ze zdumieniem przyglądając się rozwarstwionej krwi.

–I to – z powątpiewaniem wskazała na słomkowej barwy ciecz w górnej warstwie – jest twoje lekarstwo?

–Mówiąc dokładniej nie lekarstwo, lecz środek immunologiczny – Capiam starannie wymówił to słowo.

–Trzeba będzie to pić? – zapytała z niesmakiem.

–Nie, chociaż pewnie smakowałyby nie gorzej niż niektóre mikstury, do picia których mnie zmuszałaś. Nie, to trzeba wstrzyknąć do żył.

–A więc do tego potrzebne ci są te strzykawki. – Potrząsnęła lekko głową. – Nie wystarczy nam ich. I myślę, że powinieneś pójść do Mistrza Fortine'a.

–Czy mi nie ufasz?

–Ufam. Dlatego proponuję, żebyś udał się do Mistrza Fortine’a. Razem ze swoją surowicą. Był zbyt częstym gościem w obozie internowanych naszego ostrożnego Lorda Warowni. Ma już pierwsze symptomy.

## Rozdział X

Weyr Fort i Warownia Ruatha, Przejście bieżące, 3. 16. 43

Kiedy Moreta obudziła się, poczuła radosną obecność Orlith. „Czujesz się lepiej. Najgorsze minęło!”

–Czuję się lepiej? – Moretę zirytowało drżenie własnego głosu. Była jeszcze strasznie wyczerpana.

„Czujesz się dużo lepiej. Dzisiaj z każdą minutą będziesz mocniejsza.”

–Ile z tego to twoje pobożne życzenia, najmilsza? Zadała to pytanie właściwym sobie, czułym tonem i w tej samej chwili przyszło jej na myśl, że Orlith swoje wie. Podczas choroby Morety królowa stała z nią. Wspólnie przeżywały każdą chwilę jej złego samopoczucia. Nigdy jeszcze nie były tak intensywnie połączone w swej świadomości. Orlith łagodziła męczarnie szalonych bólów głowy, gorączki, ostrego, szarpiącego kaszlu. Na czwarty dzień mogła już tylko pocieszać wyczerpaną fizycznie i umysłowo Moretę. Jednak na tym etapie królowa miała wszelkie podstawy do radości.

„Holth mówi, że są jeszcze inne dobre wiadomości! Mistrz Capiam ma jakąś surowicę, która zapobiega tej zarazie.”

–Zapobiega? A czy pomoże chorym? – Pomimo choroby Moreta miała świadomość tego, co się działo. Zdawała sobie sprawę, że w Forcie było wielu chorych, a w innych Weyrach umierali jeźdźcy i smoki. Wiedziała również, że dwa skrzydła Weyr Fortu poleciały z pomocą dla Igeny i razem stawili czoło Opadowi Nici. Że Berchar i nowe dziecko Tellani umarli. Że ta epidemia swoim zdradzieckim uściskiem objęła jeszcze większe połacie kontynentu. Już najwyższy czas, żeby uzdrowiciele znaleźli jakieś specyfiki i opanowali tę zarazę. „Ta zaraza ma nazwę. To jakaś starożytna choroba.”

–Jak ją nazywali?

„Nie umiem zapamiętać”- powiedziała Orlith przeprasza ją. Moreta westchnęła. To była słaba strona smoków, chociaż Orlith i tak pamięta sporo imion. „Holth pyta, czy nie jesteś głodna?”

–Pozdrów ode mnie naszą miłą Holth i łaskawą Leri; wydaje mi się, że jestem głodna. – Moreta powiedziała to z pewnym zaskoczeniem. Przez cztery dni jakakolwiek myśl o jedzeniu wywoływała u niej mdłości. Paliło ją pragnienie, męczył szarpiący gardło kaszel i ogarniała słabość tak głęboka, że chwilami obawiała się, że nigdy się z niej nie otrząśnie. W takich chwilach myślała o Orlith. Gdyby tylko starczyło miejsca, zaprosiłaby królową do swego pokoju.

–Jak się czuje Sh’gall? – zapytała Moreta. Miała już gorączkę tego ranka, kiedy Kadith obudził Holth i Orlith ponurą wieścią, że jego jeździec zachorował.

„Jest słaby. Nie czuje się dobrze.” W tonie głosu Orlith Wyczuwało się pogardę, jak gdyby królowa chciała podkreślić, że jej jeźdźczyni jest dużo dzielniejsza.

–Pamiętaj, Orlith, że Sh’gall nigdy nie chorował. Musiał to być straszliwy cios dla jego ambicji.

Orlith nic nie powiedziała.

–A jakie są wieści z Warowni Ruatha? Lepiej będzie, jak mi powiesz – dodała Moreta, wyczuwając opór Orlith.

„Idzie Leri. – Po Orlith znać było ulgę. – Ona wie wszystko.”

–Leri idzie tutaj? – Moreta usiłowała usiąść, ale tak jej się zakręciło w głowie, że aż krzyknęła. Słyszała coraz bliższe odgłosy szurania nogami i postukiwania laską. – Leri, nie powinnaś...

–A czemu nie? – Głos Leri dochodził z większego weyru. Dzień dobry, Orlith. Doszłam do kresu mojego żywota, więc nie obawiam się tej „wirusowej influency”, jak ją nazwali Uzdrowiciele. – Leri odsunęła kolorową zasłonę w drzwiach i spoglądała bystro na Moretę. – No, no, dzisiaj już masz kolorki. – W lewej ręce trzymała zakryty garnuszek i butelkę. Inne rzeczy zatknęła sobie za pasek, żeby móc swobodnie posługiwać się laską. Złożyła wszystko na skrzyni, którą teraz przysunęto do łóżka Morety, a potem spokojnie opadła na wolne miejsce w nogach łóżka.

–No tak – powiedziała radośnie, stawiając obok sękaty kij – teraz powinno być z tobą wszystko w porządku.

–Coś ładnie pachnie – powiedziała Moreta, pociągając nosem.

–Specjalnie wymyślona przeze mnie potrawa. Kazałam tu przynieść wszystkie wiktuały, żebyś mogła cię sama pielęgnować. Nesso w końcu powaliła choroba i nie zawraca mi głowy. Zarządzaniem zajęła się Gorta – gdyby cię to interesowało, mogę dodać, że radzi sobie niezgorzej. – Nakładając jedzenie do dwóch misek, Leri obrzuciła Moretę przebiegłym spojrzeniem. – Zjemy razem, ponieważ jest to pora również na moje śniadanie. Jak już o tym mowa, zmusiłam dziś rano Orlith, żeby coś zjadła, zanim wyschnie na szczapę. Zjadła cztery tłuste kozły i intrusia. Bardzo była głodna! No, nie miej takiej zrozpaczonej miny. Przecież nie miałaś sił, żeby o nią zadbać. Nie czuła się jednak zanedbana. Mamy z nią dobry kontakt. Nic dziwnego, przecież wylęgła się z jaja Holth! Tak więc zrobiła to, co jej kazałyśmy, i teraz czuje się lepiej. Musiała coś zjeść, Moletto. Następnym etapem będzie dla niej teren Wylęgarni, ale z tym musiałyśmy poczekać, aż wyzdrowiejesz.

Moreta zaczęła pospiesznie rachować.

–Pospieszyła się. Nie powinna znosić jaj jeszcze przez jakieś pięć czy sześć dni.

–Żyła w dużym napięciu. Nie martw się, jedz. Im prędzej odzyskasz siły, tym lepiej będzie dla wszystkich.

–Jestem dziś dużo silniejsza. Wczoraj... – Moreta uśmiechnęła się żałośnie. – Jak ty sobie ze wszystkim poradziłaś?

–Z ogromną łatwością – powiedziała pogodnie Leri, zadowolona z siebie. – Jak już powiedziałam, kazałam tu przynieść wiktuały. Sama sporządzałam ziółka dla ciebie. Orloth nasłuchiwała każdego twojego oddechu i przekazywała informację Holth, więc myślę, że lepiej nie zadbałby o ciebie nawet sam Mistrz Capiam, gdyby siedział przy twoim łóżku.

–Orloth mówiła, że odkrył jakieś lekarstwo.

–Szczepionkę, tak to nazywa. Nie pozwolę mu jednak, by upuścił ci krwi.

–A czemu miałyby to robić? – zapytała zaskoczona Moreta.

–On pobiera krew od ludzi, którzy wyzdrowieli, i robi surowicę, żeby zapobiec tej chorobie u innych. Mówi, że to starożytne lekarstwo, ale ani trochę mi się ten pomysł nie podoba! – Leri wstrząsnął dreszcz. – Niemalże rzucił się na K’lona, kiedy zgłosił się on do przewozów. – Leri zachichotała, potem uśmiechnęła się z szyderczą satysfakcją. – Klon zbyt często bywał „pomiędzy”, załatwiając sprawy Siedziby Uzdrowicieli. Wyznaczyłam do tego weyrzątką. One przynajmniej ściśle trzymają się rozkazów. Och, tyle się działo, że ani nie wiem, od czego zacząć! Moreta wyczuwała zatroskanie i zmęczenie Leri, która jak gdyby odmłodziła podczas tego kryzysu.

–Czy w Weyrze były jeszcze jakieś... zgony? – zapytała Moreta.

–Nie! – Leri pokręciła głową i z zadowoleniem się uśmiechnęła. – W ogóle nie powinien był nikt umrzeć! Wiesz, jak łatwo błękitne i zielone smoki wpadają w panikę? No i zamiast podtrzymywać swoich jeźdźców, kiedy robili się chorzy i słabi, to załamywały się. Niemowlę wykazałoby więcej zdrowego rozsądku. Może rzeczywiście jest coś w tej teorii Jallory, że jedno powoduje drugie... – Leri zapatrzyła się z głębokim namysłem w przestrzeń. – Jallora to ta czeladnicza – uzdrowicielka, którą razem z dwoma uczniami przysłano z Siedziby Uzdrowicieli. Tak więc nie tracimy kontaktu z chorymi jeźdźcami. A ty byłaś bardzo chora. Przyczyniło się do tego ogólne wyczerpanie, ponieważ nie spałaś na tym Zgromadzeniu, potem był Opad i leczenie skrzydła Dilentha. Dilenth czuje się świetnie, ale Orloth jest taka mocna i tak bardzo ciebie potrzebuje, że nie dałaby ci umrzeć. Podsunęło mi to pewien pomysł. – Leri spojrzała surowo na Moretę. Kazałyśmy pozostałym Władczyniom Weyrów, żeby ich królowe pilnowały chorych i nie pozwalały jeźdźcom umierać. Przecież w Weyrach nie ma tego tłoku, który powoduje tyle nieszczęść w Warowniach i Cechach. To śmieszne, żeby jeźdźcy mieli umierać na tę zjadliwą wirusową infekcję.

–Ilu mamy chorych, skoro Weyry musiały się połączyć, żeby wylecieć na Opad?

Leri skrzywiła się.



–Niemal dwie trzecie z każdego Weyru poza Dalekimi Rubieżami jest niezdolne do akcji. Zaraza i obrażenia doprowadziły do tego, że z trudem udaje nam się wysłać dwa skrzydła do walki z Nićmi.

–Mówiłaś, że Mistrz Capiam ma jakieś lekarstwo... – Środek zapobiegawczy. I nie ma jeszcze wystarczająco dużo tej szczepionki. – Leri mówiła z gniewnym żalem. – Dlatego Władczyni Weyru zdecydowały, że trzeba tę dawkę immunizacyjną – zająkną się przy tym obcym słowie – dać jeźdźcom Dalekich Rubieży, ponieważ S’ligar i Falga stanowią oparcie dla nas wszystkich.

W miarę przygotowywania większych ilości tej surowicy będzie szczepiona reszta Weyrów. Właśnie teraz Capiam kazał szukać następnych ozdrowieńców po tej wirusowej influency. Najpierw smoczy jeźdźcy – Leri wyliczała na palcach – potem Uzdrowiciele, potem Lordowie Warowni i inni Mistrzowie Cechów za wyjątkiem Tirone’a, co, jak mi się zdaje, jest rozsądne, niezależnie od protestów Tolocampa.

–Tolocamp nie zachorował?

–Tolocamp nie chce opuścić swoich apartamentów.

–Bardzo wiele wiesz o tym, co się dzieje, jak na kobietę, która większość czasu siedzi we własnym weyrze!

Leri zachichotała.

–K’lon składa mi raporty! Skoro tylko zdoła wyrwać się Capiamowi. Na szczęście błękitne smoki mają dobry apetyt i chociaż Capiam utrzymuje, że smoki, intrusie i whery-stróże nie zapadają na tę zarazę, lepiej, żeby smoki żywiły się stadami odosobnionymi w ich własnych Weyrach. Tak więc na jedzenie K’lon sprowadza Rogetha do domu. Codziennie.

–Smoki nie jedzą codziennie.

–Błękitne smoki, które dwa razy na godzinę muszą skakać w „pomiędzy”, jedzą. – Leri rzuciła na Moretę surowe spojrzenie. – Dostałam list Capiama. Z ledwością odczytałam jego pismo, chwali oddanie K’lona...

–A’murry?

–Wraca do siebie. Niewiele brakowało, ale od momentu kiedy zdałam sobie sprawę, jaka ważna może być pomoc smoka, Holth była w stałym kontakcie z Granth. L’bol stracił obydwu swoich synów i boleje nieustannie. M’tani jest niemożliwy, ale walczył z Nićmi dłużej niż ktokolwiek inny. Gdyby nie K’dren i S’ligar, mielibyśmy kłopoty z F’galem. On również stracił ducha.

–Leri, jest coś, o czym mi nie mówisz.

–Tak, kochana dziewczyno. – Leri poklepała Moretę łagodnie po ręce, a potem wzięła jedną z butelek i napełniła szklanekę. – Wypij łyk tego – zażądała bezapelacyjnie, wręczając jej szklanekę.

Moreta posłusznie wypła.

–Twoja rodzinna warownia – powiedziała Leri ochryłym głosem, unikając wzroku Morety – bardzo ucierpiała.

Głos Leri często się łamał, jednak tym razem było to tak uderzające, że Moreta bacznie spojrzała i dostrzegła łzy spływające po policzkach.

–Przez dwa dni nie odzywał się bęben sygnalizacyjny. Wówczas Harfiarz ze wzgórz Keroonu wyprawił się w podróż w dół rzeki... – Palce Leri zacisnęły się na ręce Morety. – Nikt nie pozostał przy życiu.

–Nikt? – Moreta była oszołomiona. Warownia jej ojca liczyła około trzystu ludzi, a jeszcze z dziesięć rodzin miało chaty w pobliżu, na skałach nadrzecznych.

–Wypij to do dna!

Moreta uczyniła to machinalnie.

–Nikt nie przeżył? Żaden z hodowców?

Leri powoli potrząsnęła głową.

–Stada też nie przeżyły! – powiedziała niemal szeptem.

Moreta była jak ogłuszona tą tragedią. Nie wiadomo dlaczego, ale najbardziej żałowała stad. To już dwadzieścia Obrotów, jak zgodnie z życzeniem swojej rodziny odpowiedziała na apel w czasie Poszukiwania. Żałowała oczywiście, że umarli, bo lubiła swoją matkę, braci i siostry i jednego wuja ze strony ojca; samego ojca szanowała ogromnie. Jednakże najbardziej żal jej było biegusów, które tak pieczołowicie hodowano przez osiem pokoleń.

Orlith nuciła łagodnie, uspokajająco i Moreta czuła, jak straszliwe brzemie bólu zostaje złagodzone przez miłość i czułość, przez całkowite zrozumienie istoty jej smutku, przez obietnicę, że smoczyca będzie zawsze jej podporą.

Po policzkach Morety płynęły łzy, ale przy tym czuła się jakoś dziwnie oderwana od własnego ciała, miała wrażenie, że unosi się w przestworzach obojętna na wszystko. „Leri musiała dodać czegoś do swojego wina” – pomyślała z osobliwą jasnością umysłu. Potem zauważyła, że Leri przygląda jej się bacznie, czy ma niewiarygodnie smutne i zmęczone, każda zmarszczka wielu przeżytych Obrotów rysuje się wyraźnie na jej małej, okrągłej twarzy.

–Nie ma w ogóle żadnych stad? – zapytała w końcu Moreta.

–Czy młode biegusy mogły spędzać zimę na równinach?

Harfiarz nie mógł tego sprawdzić. Nie wiedział, gdzie ich szukać, a nie było czasu, żeby wysłać

jeźdźca na rekonesans.

–Nie, nie, oczywiście, że nie byłoby czasu... – Moreta doskonale zdawała sobie sprawę, że nie istnieje taka możliwość w tej chwili, kiedy potrzebny był każdy trzymający się na nogach jeździec, ale uczepliła się tej myśli. – Roczniaki i ciężarne biegusy powinny teraz znajdować się na zimowych pastwiskach. Ktoś z Warowni mógł się nimi opiekować i przeżyć.

Czuła, że dwie istoty niosą jej pociechę, otulają miłością i dodają pewności siebie. „Jesteśmy z tobą!” „Czy Holth jest z tobą, Orlith?” – zapytała w myślach Moreta.

„Oczywiście” – doszła do niej odpowiedź z dwóch, teraz już odróżnialnych źródeł.

„Och, jakie jesteście dobre!” Myśli Morety płynęły w dziwnym oderwaniu od ciała, aż zdała sobie sprawę z zaniepokojenia Leri.

–Nic mi nie jest. Holth sama ci powie. Czy wiedziałaś, że ona mówi do mnie?

–Tak, przyzwyczała się sprawdzać, co się dzieje z tobą – powiedziała Leri z życzliwym, pogodnym uśmiechem.

–Co dodałaś do tego wina? Czuję się taka... bezcielesna.

–O to mi właśnie chodziło. Sok fellisowy, kojące ziele i pewien środek euforyczny. Żeby złagodzić ci ten szok.

–Może więc teraz mi wszystko, kiedy czuję się taka wyobcowana z życia. Warownia mojej rodziny... nie mogła być jedyną. – Leri pokręciła głową. – Co z Warownią Ruatha?

–Bardzo ich to ciężko dotknęło...

–Alessan? – zapytała najpierw o niego, bo jego najbardziej byłoby tam brak; jeszcze nie zdążył się nawet nacieszyć, że jest Lordem Warowni.

–Nie, on wraca do zdrowia, ale gości Zgromadzenia zdziesiątkowało... jego bracia, niemal wszystkie wyścigowe biegusy...

–Dag?

–Znam niewiele imion. Weyr i Warownia Igen zostały wstrząsająco wyludnione. Lord Fitatric, jego pani, połowa ich dzieci...

–Na Jajo, czy żadne miejsce nie zostało oszczędzone?

–Ściśle mówiąc, w Bitrze, Lemos, Neracie, Bendenie i Tilleku było stosunkowo niewiele przypadków, a i te odizolowano niezwłocznie, żeby zapobiec zarażeniom. Te Warownie zachowały się wspaniale, wysyłając ludzi na porażone obszary.

–Dlaczego? – Moreta zacisnęła pięści, i wzdrygnęła się gwałtownie. – Dlaczego? Przecież jesteśmy tak blisko końca Przejścia, tak blisko Przerwy. Czy wiedziałaś, że mój ród wywodzi swój początek od poprzedniego Przejścia? A teraz, tuż przed następną Przerwą, został zniszczony!

–Nie wiemy tego na pewno. Może ktoś jest z zimującymi stadami? Weź pod uwagę tę możliwość. Jest to całkiem prawdopodobne.

Moreta uspokoiła się szybko. Opadła do tyłu osłabła, powieki jej zaciążyły, ciało zwiotczało. Miała wrażenie, że od niej odpływa.

–W porządku. Śpij teraz. – Leri zanuciła łagodnie, a zawtórowały jej dwa smocze głosy.

–Oczy mi się same zamykają – wymamrotała Moreta, westchnęła i zapadła w sen.

K’lon odczuł gwałtowną ulgę. Młody czeladnik uzdrowicieli Follen wyszedł z pokoju Lorda Alessana. Na zimnym korytarzu panował odór śmierci, którego K’lon nie mógł już znieść, chociaż zdążył przyzwycząć się do widoku opanowanych przez zarazę warowni.

–Zaszczepiłem siostrę, harfiarza i tego biedaka. Lord Alessan mówi, że więcej pacjentów znajdziemy w tym korytarzu, ale górne poziomy udało im się opróżnić. Nie mam pojęcia, jak się z tym uporał. Gdybym wiedział, że będzie tu tak źle, poprosiłbym Mistrza Capiama, żeby dał nam więcej surowicy.

–Nie bardzo jest co rozdzielać.

–Otóż to!

Follen blado się do niego uśmiechnął. Poprzedniego wieczora, kiedy bębny doniosły, że są tu tacy którzy przeżyli zarazę, błękitny jeździec przewiózł czeladnika do Warowni Południowy Boli. Capiam w porę odwiedził Południowy Boli i dzięki jego zaleceniom dla uzdrowicieli Warownia uchroniła się przed tak tragicznymi skutkami zarazy, jak w środkowej części kontynentu. Sprawiedliwość wymagała więc, żeby wszyscy ozdrowieńcy oddali krew na surowicę. Nawet popędliwy i wiecznie rozdrażniony Lord Ratoshigan był dawcą, chociaż uważał, że upuszczanie krwi należało do zalecanego leczenia.

–Możemy tu od nich pobrać krew – ciągnął Follen, rozczesując sobie włosy palcami. – Dam im najpierw trochę tej zupy Desdry, ale z obliczeń Lorda Alessana wynika, że ta Warownia sama będzie w stanie zaopatrzyć tych, którzy przeżyli. Nie zapomnij zapytać Lorda Shaddera, czy nie znalazłby jeszcze kilku ochotników. Jestem pewien, że uda nam się uratować wielu z tych, którzy mają wtórne infekcje, jeżeli będziemy mieli dość pielęgniarzy. Musimy spróbować. Ta Warownia została strasznie spustoszona. K’lon przytaknął skinieniem głowy. Dewastacja Wielkiej Sali w Ruacie napełniła grozą niosącą pomoc grupę. Klon i trzy zielone bendeńskie smoki przywiozły z Warowni Benden Follena, ucznia uzdrowiciela i sześciu ochotników. Klon nigdzie jeszcze nie widział tak straszego widoku, jak ten, który ukazał się ich oczom, gdy wynurzyli się z „pomiędzy”. Monstrualne kopce grzebalne na polu nadrzecznym, szeroki krąg ognisk krematoryjnych w pobliżu terenów

wyścigowych, porzucone namioty, ustawiane w tym miejscu, gdzie były dawniej kramy. Wszystko to świadczyło o tym, jaką Ruatha stoczyła walkę o przetrwanie. Smutne strzępy jaskrawych flag pozostałych po Zgromadzeniu, zwisające z górnych rzędów szczelnie pozamykanych okien, wydały się Klonowi groteskowe, szyderczo wspominały o minionej radości w samym środku tragedii, która dotknęła Warownię. Wiatr rozrzucał rozmaite śmieci po opuszczonym placu tanecznym i po drodze, a nad dawno wygasłym ogniskiem kołysał się kociołek z chochlą, pobrzękującą rytmicznie w podmuchach przenikliwie zimnego wiatru.

–Czy ocalała pani Pendra? – zapytał K’lon. Follen przecząco pokręcił głową.

–Nie, ani żadna z córek, które zabrała na Zgromadzenie Ruathańskie. Lord Tolocamp i tak miał więcej szczęścia niż Lord Alessan, któremu została tylko jedna siostra.

–Tyle z całego potomstwa Leefa?

–Lord Alessan martwi się o nią. I o swoje biegusy. Więcej ich przeżyło niż ludzi. Sam z nim porozmawiaj – zaproponował Follen i klepnąwszy błękitnego jeźdźca po ramieniu, ruszył ciemnym korytarzem do następnego pokoju.

K’lon wyprostował się. Przez ostatnich kilka dni nauczył się nie okazywać swoich uczuć, nadawać głosowi brzmienie nie wesołe, bo to zostałoby poczytane za obrazę, ale ciepłe i podnoszące na duchu. W końcu, jeżeli mieli tę szczepionkę, istniała nadzieja na złagodzenie skutków zarazy i niedopuszczenie do choroby u tych, którzy się jeszcze nie zarazili. Zastukał do ciężkich drzwi i wszedł nie czekając na zaproszenie.

Alessan klęczał przy sienniku, przemywając twarz leżącego na nim człowieka. Pod ścianą sypialni stało jeszcze jedno prowizoryczne łóżko. K’lon omal nie krzyknął, widząc zmiany jakie zaszły w młodym Lordzie Warowni. Alessan może kiedyś przybrać na wadze, jego skóra może odzyskać zdrowy odcień, ale na twarzy już zawsze będzie miał te głębokie bruzdy i wyraz rezygnacji.

–Bądź nam po wielekroć pozdrowiony, Klonie, jeźdźcu błękitnego Rogetha. – Alessan skłonił głowę, a potem zwinął wilgotną szmatkę i przyłożył ją do czoła człowieka, którym się zajmował. – Możesz powiedzieć Mistrzowi Tirone, że gdyby nie bezcenna pomoc i pomysłowość jego harfiarzy, dużo gorzej byłoby z nami w Ruacie. Nasz Tuero był wspaniały. A czeladnik uzdrowiciel... jak miał na imię? – Alessan przeciągnął drżącą dłonią po czole.

–Follen.

–Dziwne, pamiętam tak wiele imion. – Alessan urwał i popatrzył przez okno. Klon wiedział, że Lord Warowni widzi kopce grzebalne i zastanawiał się, czy ten wespółżytomny człowiek ma na myśli tych, którzy leżeli pod ziemią, w masowych grobach. Tak się dzieje z człowiekiem kiedy leży w łóżku, czekając na... Alessan otrząsnął się i chwyciwszy za blat stołu wstał powoli. Przynieście pomoc. Follen mówi, że Tuero, Deefer – wskazał na drugie łóżko – i moja siostra wyzdrowieją. Przepraszał nawet, że nie ma więcej... szczepionki. Bo tak to się nazywa, prawda?

–Usiądź, Lordzie Alessanie...

–Zanim się przewrócę? – Alessan blado się uśmiechnął bezkrwistymi wargami, ale opadł na krzesło, westchnąwszy ciężko ze znużenia, które przekraczało wszelkie fizyczne zmęczenie.

–Dorzucili już do ognia i niedługo będzie regenerująca zupa. To Desdra ją wymyśliła. Pielęgnowała Mistrza Capiama, a on twierdzi, że ta zupa działała na niego w cudowny sposób.

–Miejmy nadzieję, że na nas też tak podziała. – Usłyszeli kaszel i Alessan gwałtownie odwrócił głowę w stronę sypialni, z niepokojem wstrzymując oddech.

–Twoja siostra? Zobaczysz, że po tej szczepionce jej stan się bardzo poprawi – powiedział K’lon z przekonaniem.

–Mam taką nadzieję. Nie pozostał mi nikt więcej z rodziny. Chociaż Alessan powiedział to pozornie obojętnym tonem, K’lon poczuł, że ściska mu gardło współczucie.

–Ta surowica złagodzi działanie wirusa, zapewniam cię. Widziałem, jak ludzie zdumiewająco szybko dochodzili do zdrowia po jej zaaplikowaniu. Surowica, którą dał jej Follen, została prawdopodobnie otrzymana z krwi pobranej ode mnie – kłamał K’lon. Wielu ludzi ta informacja podnosiła na duchu, więc spróbował pocieszyć tak również tego straszliwie osieroczonego człowieka.

Alessan spojrział na K’lona z nieco zdziwioną miną, a wargi drgnęły mu w uśmiechu.

–Ruatha była zawsze dumna ze swoich związków krwi z jeźdźcami smoków, chociaż nigdy nie były one aż tak dosłowne.

Klon zareagował na odpowiedź Alessana bladym uśmiechem. – Nie straciłeś poczucia humoru.

–Niewiele więcej mi pozostało.

–Nie, Lordzie Alessanie, zostało o wiele więcej – powiedział zdecydowanie K’lon. – A otrzymasz całą pomoc, na jaką tylko będzie stać Weyry, Warownie i Cechy.

–Jeżeli tylko to, co przywiozłeś, podziała. – I znowu Alessan odwrócił głowę w stronę pokoju, gdzie leżała jego siostra.

–Rzucę okiem na wasze magazyny i zobaczę, co jest najpilniej potrzebne – zaczął K’lon, przysięgając sobie, że jedną z jego pierwszych czynności będzie pozdejmowanie proporczyków po Zgromadzeniu. Jak okrutny byłby ich widok dla Alessana, skoro nawet jego, K’lona, raziły przypominając o katastrofie.

Lord Warowni wstał tak energicznie że musiał oprzeć się o krzesło.

–Ja doskonale wiem, czego nam trzeba... – Podszedł niepewnie do biurka przy oknie, odstawił na bok brudne talerze. Znalezienie odpowiedniego pergaminu zajęło mu tylko chwilę. Przede wszystkim

lekarstwa. Brak nam tojadu, nie mamy ani grama środków przeciwgorączkowych, mamy tylko syrop nieskuteczny na ten fatalny kaszel, brak nam tymianku, hyzopu, nie mamy mąki ani soli. Niemalże wyczerpał nam się czarny kamień, a od trzech dni nie ma też jarzyn ani mięsa. – Wręczył K’lonowi ten spis z uśmiechem na ustach. – Widzisz, jak bardzo w porę przyjechałeś? Tuero nadał ostatnią wiadomość dziś rano, zanim padł. Wątpię, czy sam miałbym się wspiąć się na wieżę bębnow.

K’lon ujął arkusz dłonią, która drżała tylko prawie tak samo jak ręka Alessana. Pochylił się, żeby ukryć twarz, ale kiedy podniósł wzrok zobaczył, że Alessan wygląda przez okno, z kamiennym wyrazem twarzy.

–Follen powiedział mi, że takie widoki jak ten powtarzają się na całym kontynencie.

–Nie jest tam aż tak źle – powiedział K’lon i głos mu się załamał.

–Follen nie wdawał się w szczegóły... Jak bardzo ucierpiały Weyry?

–Mieliśmy przypadki śmiertelne, to prawda, ale jeźdźcy stawili czoło wszystkim Opadom, Alessan obrzucił go przeciągłym spojrzeniem, a potem odwrócił się, i znowu wyjrzał za okno.

–Tak, na pewno latali, jeśli tylko mogli. Jesteś z Weyr Fortu? K’lon przypomniał sobie, co Nesso mówiła o tańcach Morety, która ponoć w skandaliczny sposób zawładnęła młodym Lordem.

–Pani Moreta wraca do zdrowia. Przywódca Weyru również. W Forcie mieliśmy tylko jeden zgon, umarł starszy brunatny jeździec i jego smok, Kotk. W Igenie było piętnaście ofiar, osiem w Telgarze i dwie w Iście, ale dzięki tej szczepionce mamy nadzieje.

–Tak, jest nadzieja.

Czemu Alessan akurat w tym momencie spojrzał w kierunku gór? Wydawało się, że dodaje mu to ducha.

–Czy wiesz, że zaledwie kilka dni temu mieliśmy tutaj sto dwadzieścia najlepszych wyścigowych biegusów z zachodu i siedmiuset gości, którzy przybyli na Zgromadzenie, by radować się tańcami, winem, ucztami... zarazą...

–Lordzie Alessanie, proszę się tak bez potrzeby nie zamartwiać! Gdyby nie to, że te uroczystości odbyły się tutaj, zagładzie mogła ulec cała Warownia. Udało ci się zapobiec szerzeniu się zarazy. Zgłosiły się wszystkie gospodarstwa na terenie Ruathy. Donoszą o kilku zgonach i przypadkach zarazy, ale zrobiłeś to, co trzeba, i zrobiłeś to dobrze!

Alessan gwałtownie odwrócił się od okna.

–Musisz przekazać ode mnie Lordowi Tolocampowi moje najgłębsze wyrazy współczucia z powodu utraty pani Pendry i jej córek. Pielęgnowały chorych, dopóki ich samych nie zmoęła choroba. Były bardzo dzielne.

K'lon skinął głową. Nie on jeden miał już zawsze winić Lorda Tolocampa za jego ucieczkę z Ruathy. Byli tacy, według których Tolocamp miał absolutną rację, przedkładając dobro swojej Warowni nad dobro małżonki i córek. Lord Tolocamp siedział zamknięty w swoim apartamencie w Warowni Fort, podczas gdy Ruatha konała w męczarniach. Tolocampowi zostanie oszczędzona ta choroba, ponieważ uporczywie domagał się, żeby go zaszczepić, pomimo priorytetów ustalonych przez Władczynię Weyrów i Mistrza Capiama.

–Przekażę twoje kondolencje. Wszystkie zapasy, jakie przywieźliśmy, pochodzą z Warowni Benden lub Nerat.

Oczy Alessana zabłyśły na moment i popatrzył na K'lona, jak gdyby zobaczył błękitnego jeźdźca po raz pierwszy,

–To miło z twojej strony, że mi o tym mówisz. Przekaż wyrazy mojej najgłębszej wdzięczności Lordowi Shadderowi i Lordowi Gramowi. – Widok za oknem znowu przyciągnął spojrzenie Alessana. Ta jego obsesja zaczynała niepokoić K'lona.

–Muszę już iść – powiedział błękitny jeździec. – Jest tyle do zrobienia.

–To prawda! Dzięki wam, że zareagowaliście na bębny... i za słowa pociechy, K'lonie. Wyrazy szacunku dla Rogetha, który tu cię przyniósł – Alessan wyciągnął rękę.

Klon przeszedł przez pokój i ujął ją w obydwie dłonie. Lękał się uściskać te bezsilne palce, ale uśmiechnął się najserdeczniej, jak tylko potrafił, myśląc, że jeżeli Ruatha była dumna z więzów krwi ze smoczymi jeźdźcami, to on był dumny, że te powiązania obejmują również jego. Może jakaś część jego krwi była jednak w tej surowicy?

Wyszedł z pokoju tak szybko, jak pozwalała na to grzeczność, bo nie chciał poddać się uczuciom, które w nim wzbierały. Pospieszył korytarzem – trzeba tu wystawić żary – do Głównej Sali, gdzie sprząтали dwaj ochotnicy z Bendenu. Zwyczajne, domowe odgłosy działały kojąco po tej nienaturalnej ciszy, jaka przywitała ich w Sali w chwili przybycia. Powiedział sprzątającym, że potrzebne są żary i poprosił, żeby jak najszybciej usunęli proporce po Zgromadzeniu. Usłyszał, jak Rogeth ryczy na zewnątrz.

„To miejsce jest wprost rozpaczliwe – mówił żałośnie błękitny smok. – Jest najrozpaczliwsze ze wszystkich miejsc, w jakich byliśmy. Jak długo musimy tu jeszcze zostać?” K'lon wyraził bendeńczykom gorące podziękowania i popędził na frontowy dziedziniec. Rogeth podfrunął na spotkanie K'lona. Oczy wirowały mu ze smutku.

„Ty też odczuwasz smutek tego miejsca. Czy nie moglibyśmy się teraz zobaczyć się z Granth i A'murym?” Słowu „teraz” towarzyszyło rozpaczliwe prychnięcie.

–Możemy odlecieć natychmiast. – K'lon dosiadł Rogetha i mimo woli spojrzął na to straszne pole z rozpadającymi się szafasami, terenem wyścigów i kopcami grzebalnymi. Czy to one przyciągały spojrzenie Lorda Alessana? Czy może ta garść biegusów, które pasły się na dalekim polu? K'lon



wzdrygnął się na turkot wozu umarłych z parą krnąbrnych wołów przy dyszlu.

–Lećmy stąd – powiedział do Rogetha, wstrząśnięty aż do głębi duszy tą zarazą, śmiercią i spustoszeniem. – Muszę spędzić trochę czasu z A'murym, zanim będę w stanie stawić czoło tego rodzaju sprawom.

K'lona ogarnęła tęsknota za jego łagodnym przyjacielem, za wytchnieniem, jakie daje towarzystwo. Powinien wracać prosto do Siedziby Uzdrowicieli. Tyle było do zrobienia. Zamiast tego skierował Rogetha na nakrapiane słońcem wzgórze Weyru Igen, Rogeth z ochotą skoczył z nasypu w powietrze i zabrał ich w „pomiędzy”.

## **Rozdział XI**

Weyr Fort, Przejście bieżące, 3. 17. 43

–Na Skorupy! – zawołała Jallora. – On zemdłał! Znajdujący się w wewnętrznym pomieszczeniu weyru Kadith zaryczał. Moreta zerwała się z krzesła, żeby uspokoić przerażonego smoka, a czeladniczka badała niechętnego dawcę krwi. „Co się stało?” – zapytała ze swojego weyru zatroskana Orlith.

–Sh'gall źle zareagował – odparła Moreta wiedząc doskonale, że Holth natychmiast poinformuje o tym Leri, która będzie wiedziała, co naprawdę się stało. – Uspokój Kaditha!

–Mdleją na ogół właśnie tacy silni ludzie – powiedziała Jallora, kiedy Moreta wróciła na swoje miejsce. – Nic mu nie grozi. Chociaż tak bardzo jest nam potrzebna krew na surowicę, nie narażałabym go na ryzyko.

–Ani przez chwilę nie myślałam, żebyś to miała zrobić, Jalloro – odparła z lekkim uśmiechem Moreta.

Czeladniczka przerwała rozmowę Morety ze Sh'gallem, w czasie której krytykował on wszystkie decyzje, jakie podjęto w Weyrze od samego początku jego choroby. Absolutnie nie brał pod uwagę ani faktu, że Moreta nie podejmowała żadnej z tych decyzji, ani tego, że sama dopiero co wyzdrowiała.

–Tacy jak on są również niezdolni jako pacjenci – mówiła dalej Jallora, chociaż jej uwaga skupiona była na krwi skapującej do szklanego pojemnika.

–Czy jego krew pójdzie dla Ruathy?

–Większość tak, kiedy już zaszczepimy resztę waszych jeźdźców. – Gdy Moreta zrobiła ostrzegawczy gest w stronę Sh'galla, uzdrowicielka dodała dyplomatycznie: – Doskonale rozumiem, zapewniam cię. Wciąż jeszcze nie wrócił do siebie. No, starczy. Wezmę tylko tyle, chociaż mógłby oddać więcej krwi i wcale by tego nie odczuł. – Zręcznie wyciągnęła kolec, skinęła na Moretę, żeby przycisnęła tampon. – Przytomność wróci mu za kilka minut. – Jallora zaczęła pakować swoją tacę, starannie

zamykając pojemnik. – F’duril powiedział mi dziś, że to ty przeprowadziłaś rekonstrukcję skrzydła Dilentha. Wspaniała robota.

–To skrzydło dobrze się goi, prawda? – Morecie miło było od innego uzdrowiciela usłyszeć słowa uznania.

–Na szczęście podobnie goi się rana F’durila i tego młodego, miłego A’dana. Nigdy przedtem nie odwiedzałam żadnego Weyru. I wiesz, nigdy nie przyszło mi do głowy, że smoki mogą odnieść jakieś obrażenia od Nici. Robią takie imponujące wrażenie...

–Niestety nie są niezniszczalne.

–Na szczęście nie zarażały się tą wirusową influencją!

W tym właśnie momencie Sh’gall jęknął. Jallora pospiesznie pozbierała resztę swego wyposażenia.

–O! Już wróciłeś do siebie, Przywódco Weyru? – wzięła ze stołu szklanek pomarańczowego płynu, wolną ręką podłożyła mu zręcznie poduszki pod plecy i przystawiła szklanek do ust. Wypij to, a poczujesz się dobrze.

–Naprawdę nie uważam, żeby to było mądre z twojej strony, że pobrałaś... – odezwał się Sh’gall rozdrażnionym głosem i niechętnie wziął od niej szklanek.

–Jeźdźcy Fortu potrzebują tego, Przywódco Weyru. Zostaną wszyscy zaszczepieni. Chcemy mieć pewność, że żaden z nich nie będzie musiał znosić tego, przez co ty właśnie przeszedłeś.

Do Sh’galla należało mówić właściwie w ten sposób, jak to robiła Jallora. Kiedy Sh’gall pozwolił się jej oddalić, Moreta pożałowała, że sama również nie może opuścić pokoju.

–Uważam, że nie powinna była tego czynić – powtórzył Sh’gall upewniwszy się, że Jallora już go nie usłyszy.

–Ode mnie też pobrała krew. – Moreta podciągnęła rękaw, żeby mu pokazać małe siniak w zgięciu łokcia. Sh’gall odwrócił wzrok. – Mamy stu osiemdziesięciu dwóch jeźdźców niezdolnych do czynu, chorych lub rannych.

–Dlaczego nie zajął się nami Capiam?

–Jallora jest doświadczoną czeladniczką uzdrowicieli. Właśnie miała zdawać egzaminy mistrzowskie, kiedy wybuchła ta zaraza. Capiam sam dopiero co wstał z łóżka, a on musi się martwić o cały kontynent.

–Czyżby Leri nie wiedziała, że na stanowisko Przywódcy wybrałbym F’nine’a? – Sh’gall podjął rozmowę, którą przerwała im Jallora.

–Leri podjęła właściwą decyzję, opierając się na własnych doświadczeniach. Pamiętaj, że była

Władczynią Weyru, zanim ty i ja Naznaczyliśmy.

–To dlaczego Kadith donosi mi, że to T’ral zabiera dzisiaj dwa skrzydła do Tilleku? – zapytał ze złością Sh’gall – T’ral jest zastępcą przywódcy skrzydła.

–Oprócz Dalekich Rubieży, Weyrami wciąż jeszcze kierują zastępcy. Im szybciej będziesz mógł przejąć te obowiązki, tym bardziej zadowolone będą wszystkie Weyry.

Ta uwaga zaskoczyła Sh’galla, ale nie wyglądał na zadowolonego.

–Byłem chory. Byłem bardzo chory.

–Współczuję ci. – Moreta starała się, żeby nie zabrzmiało to ironicznie. – Wierz mi, że wieczorem będziesz się już się czuł dużo lepiej.

–Nie jestem wcale pewien...

–A ja tak! Nie zapominaj, że ja również przez to przesłama. Sh’gall spojrzał na nią z czystą odrazą, ale Moreta nie mogła ustąpić. S’ligarowi należało koniecznie ulżyć w obowiązkach związanych z nieustającymi Opadami. Sh’gall był bardzo dobrym Przywódcą, i przydałyby się teraz jego umiejętności.

–Po Tilleku będzie Nerat – ciągnęła dalej. – Masz szczęście że oni są w stanie wystawić drużyny naziemne.

–Nie wierzyłem Kadithowi, kiedy powiedział mi, że nie było żadnych drużyn naziemnych. Czy ci gospodarze nie zdają sobie sprawy...

–Ci gospodarze doświadczyli znacznie bardziej niż my tej epidemii, Sh’gallu. Porozmawiaj przez parę minut z K’lonem. Zapozna cię z kilkoma brutalnymi faktami. – Wstała. – Mam bardzo dużo roboty. Jallora mówi, że dzisiaj musisz odpoczywać. Jutro będziesz mógł wstać. Kadith może mnie oczywiście zawołać, gdybyś czegoś dzisiaj potrzebował.

–Niczego od ciebie nie potrzebuję. – Sh’gall odwrócił się do niej tyłem i naciągnął sobie futra na głowę.

Moreta chętnie zostawiła go samego. Miała szczerą nadzieję, że za trzy dni nabierze już ochoty przewodzenia swojemu Weyrowi i wyzbędzie się tych pretensji. Dla człowieka, tak żadnego władcy jak Sh’gall, prowadzenie połączonych Weyrów było potężną pokusą. Usiłowała myśleć o nim z nieco większą wyrozumiałością. Wpadł w szok na wieść o spustoszeniu, jakie wywołała ta pandemia, i o druzgocących stratach, jakie ponieśli. Próbował uciec przed tą świadomością, czepiając się drobiazgów, z którymi umiał sobie radzić i które potrafił zrozumieć. Jak na przykład to, kto wylatuje przeciw Niciom, skąd, jak.

Zeszła po schodach do weyru Leri dosyć szybkim krokiem i nie zasapała się przy tym tak bardzo, jak

poprzedniego dnia. Musi założyć uprząż na Holth. Choć Leri była taka zmęczona, Moreta nie potrafiła wyperswadować jej, że nie powinna walczyć w skrzydle królowych. Potem zajmie się destylacją i przyrządzaniem lekarstw z poważnie uszczuplonych zapasów Weyru. Wiedziała, że K'lon podbiera leki, ale nie miała serca protestować.

–Zemdlał, co? – Leri aż zapała ze złośliwego rozradowania. I nie był zadowolony z decyzji, jakie podjęłam podczas jego choroby, prawda?

–Czy Holth znowu podsłuchiwała?

–Nie potrzebuje podsłuchiwać. Nie znam innego powodu, żeby ci się ze złości porobiły na policzkach takie rumieńce.

–Mam równie wiele kłopotów, kiedy chcę zmusić cię, żebyś posłuchała głosu rozsądku. – Moreta odezwała się bardziej cierpko, niż miała zamiar i poczuła, że znowu się czerwieni. Przecież nadwerężasz swoje siły...

Leri machnęła ręką.

–Nie mam zamiaru pozbawiać się przyjemności, jaką daje mi latanie ze skrzydłem królowych. Jak dotąd radzę sobie. I radzę sobie dużo lepiej niż dawniej! – Łyknęła wino.

–A cóż to takiego? – Moreta znacząco spojrzała na kielich.

–Nie zażyję więcej soku fellisowego, póki sama go nie zrobisz, moja droga Moreto.

–K'lon wie, gdzie można zdobyć trochę suszonych owoców.

–Hm. – Obydwie zdawały sobie sprawę, że zapasy K'lona pochodzą prawdopodobnie z jakiegoś gospodarstwa, gdzie już nikomu nie były potrzebne takie lekarstwa.

Moreta odwróciła się do wieszaka na uprząż, w oczach znowu zapiekły ją łzy. Musi przestać myśleć o opustoszałej warowni swojej rodziny. Przed oczami stanął jej widok warowni, drżącej w blasku letniego słońca: dzieci bawiące się na łące przed domem, stare ciotki i wujkowie wygrzewający się na słońcu pod kamiennym murem. Wspomnienia zatarte teraz przez obraz pustego, wymarłego domu. Węże i dzikie intrusie musiały...

–Moreto? – Głos Leri był miękki i życzliwy. – Moreto, Holth mówi, że przybył K'lon – dodała bardziej energicznym tonem właśnie w tym momencie, kiedy Orlith również przekazała swojej jeźdźczyni tę wiadomość.

–Wydaje mi się czasami, że mam więcej niż dwoje uszu i więcej niż jedną głowę.

„Ja nie mam uszu” – zauważyła Orlith.

A potem do weyru wielkimi krokami wszedł K'lon. Energia aż promieniowała z niego; był w

doskonałym humorze. Moreta nagle zwróciła uwagę na ciepły, brązowy kolor jego opalanej twarzy. A kiedy ściągnął hełm do lotów zauważyła, że ma wypłowiałe włosy.

–Moreto, w Neracie mają aż nadto dużo soku fellisowego oznajmił wesoło, zrzucając pękaty plecak.  
– A Lemos mówi, że mają tojad i salicyl wierzbowy.

–A jak czuł się A'murry, kiedy odwiedziłeś go w Igenie? Uśmiechnęła się do niego żeby wiedział, że nie ma mu za złe tego niewielkiego nadłożenia drogi.

–Dużo, dużo lepiej – z wyraźną ulgą powiedział. – Oczywiście jest jeszcze słaby, ale całymi dniami wygrzewa się na słońcu, co mu dobrze robi na piersi, i zaczyna już mieć apetyt.

–Sporo się opalałeś z A'murym, prawda, K'lonie? – zapytała Leri.

Moreta zerknęła na nią, bo głos Leri był podejrzenie suchy.

–Jak miałem czas – zająknął się trochę K'lon, gmerając nerwowo przy plecaku.

–Masz na myśli – Moreta pojęła wreszcie, o czym mówi Leri – że „brałeś” sobie czas, żeby być z A'murym!

–Kiedy pomyśle, jak ciężko pracowałem... – Na zewnątrz weyru Rogeth zaczął trąbić.

–Nikt cię nie gani, Klonie – powiedziała szybko Leri, Holth zanuciła uspokajająco, a oczy jej wirowały błękitem. – Jednakże, mój drogi chłopcze, przy tych manipulacjach z czasem strasznie ryzykowałeś. Mogłeś w drodze spotkać siebie samego...

–Ale nie spotkałem. Byłem bardzo ostrożny!

–A ile to godzin dodawałeś do swoich dni? – W głosie Leri można było wyczuć, zrozumienie, współczucie, a nawet cień rozbawienia.

–Nie wiem. Nigdy nie liczyłem godzin. – Klon niecierpliwie spojrzał w górę. – Przecież wiesz, że musiałem ze wszystkim zdążyć i jeszcze zorganizować czas dla A'murry'ego. Obiecałem mu, że codziennie po południu będę w Igenie. I dotrzymałem tej obietnicy. A równocześnie czułem, że muszę Mistrzowi Capiamowi udzielić wszelkiej pomocy...

–Wierz nam, K'lonie – powiedziała Moreta, kiedy błagalnie zwrócił się do niej – że jesteśmy ci wielce wdzięczne za twoją odwagę i oddanie. Ale taka zabawa z czasem to bardzo niebezpieczna rzecz.

–Czemu nigdy nie wspominał o tym nasz Mistrz Weyrzątek?

–Ta informacja jest zastrzeżona dla spizowych smoków i królowych, K'lonie. Pewnie odkryłeś ją przypadkiem.

–Tak, chyba tak. – Na twarzy K’lona odbiło się zaskoczenie, jakie musiał wtedy przeżyć. – Byłem spóźniony. Wiedziałem, że A’murry będzie się martwił. Myślałem o nim, jak czeka na mnie, taki niespokojny, i zanim się zorientowałem, co się dzieje, zdążyłem na czas!

–Trochę to szokuje, prawda? – Na krągłej, mądrej twarzy Leri pojawił się szeroki uśmiech.

–Sam nie wiedziałem, jak mi się to udało.

–Więc następnego popołudnia zacząłeś ćwiczyć?

K’lon skinął głową; odprężył się, ponieważ, jak mu się zdawało, Władczyni Weyru z wyrozumiałością przyjęła jego wyczyn.

–Zgłaszam się do Mistrza Capiama rano, a on podaje mi rozkład zajęć. Popołudniami jestem w Igenie, a gdzie indziej latam rano i wieczorem. Jestem bardzo ostrożny.

–Od tej chwili będziesz jeszcze bardziej ostrożny – powiedziała groźnie Leri. – A’murry czuje się już lepiej, sam tak powiedziałeś. A ty nie możesz stale żyć w podwójnym czasie. Dlatego więc dziś po południu zamiast polecieć na Opad, spędzisz czas ze swoim przyjacielem. Od tej chwili nie będziesz wydłużał doby. Holth przypilnuje tego. A my zadbamy o to, żeby Mistrz Capiam często wysyłał cię do Igeny.

–Ale... ale...

–Wystarczy, K’lonie, jeden błąd – Leri wyciągnęła w jego kierunku dziwnie powykręcany przez chorobę stawów palec i pogroziła mu nim z naciskiem – a wkrótce będziesz zbyt zmęczony, żeby zdać sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmujesz. Tylko jeden błąd, a nigdy już nie zobaczysz A’murry’ego – Leri urwała, żeby sprawdzić, jakie wrażenie wywarły jej słowa. K’lon spuścił oczy. Holth zanuciła na karcącą nutę, a zaskoczony Rogeth odpowiedział z zewnątrz. Klon podniósł na Leri oczy szeroko rozwarte ze zdumienia. – I chyba nie chcesz mieć do czynienia z Sh’gallem i Kadithem?

K’lon rzucił błagalne spojrzenie na Moretę, która pokręciła tylko głową.

–Będę potrzebny dziś w czasie Opadu – powiedział cichym, niepewnym głosem. – Jak mam wytłumaczyć to A’murry’emu? Mamy kłopoty ze sformowaniem choćby dwóch skrzydeł, a Ista może dać tylko jedno skrzydło i dziesięciu zastępców.

–Powiedz A’murry’emu, iż uznaliśmy, że się przepracowujesz. Kazaliśmy ci odpocząć, ponieważ możesz mieć zwolniony refleks, co jest niebezpieczne w czasie Opadu.

–K’lonie, my również ciebie potrzebujemy – dodała Moreta.

–Faktem jest, że Siedziba Uzdrowicieli i Weyr mają ogromny dług w stosunku do ciebie – powiedziała Leri jak przedtem życzliwie. – A teraz idź już i wyślij tego łobuza, M’baraka, żeby zrobił to wszystko, co Capiam zaplanował dla ciebie. I nigdy, Klonie, nawet słowem nie wspomnisz

nikomu, a zwłaszcza A'murry'emu, że smoki potrafią przenosić się z jednego czasu do drugiego.

Holth wyciągnęła głowę w kierunku K'lona, w jej oczach błysnęły czerwone ogniki. K'lon wyprostował się na całą swoją wysokość, przelęknięty wyglądem smoczycy.

–Dobrze, Leri.

–I? – Leri wskazała na Moretę.

–Dobrze, Moreto!

–Nie będziemy nigdy już do tego wracać. Pozdrów od nas A'murry'ego – rzekła Leri z ujmującą grzecznością. – Gdyby nie było tu tak cholernie zimno, zaproponowałabym ci, żebyś sprowadził jego i Gratha do Fortu, ale przypuszczam, że igeńskie słońce jest dla niego zdrowsze.

Skarcony jeździec opuścił weyr ciężkim krokiem. Obydwie Władczynie Weyru słyszały, jak Rogeth coś zaćwierkał.

–Będzie teraz przez jakiś czas odgrywał męczennika – powiedziała z westchnieniem Leri.

–Lepsze to, niż żeby miał nim naprawdę zostać. Leri zaśmiała się.

–Okropnie trudno było mi zachować właściwy wyraz twarzy, Moreto. Muszę przyznać, że K'lon wykazał wiele sprytu przy podróżach w czasie. Gdyby nie był się tak podejrzenie opalił i gdyby mu nie spłowiały włosy, mogłybyśmy się nigdy nie domyślić.

–Miał za dużo energii! I pomyśleć tylko, że ja czuję się taka zdechła!. Czy Holth zdoła mieć go na oku?

–To bez znaczenia, grunt, żeby on uważał, że się go pilnuje. Sprawdzisz Rogetha od czasu do czasu, prawda, moja spryciulko? – Leri czule poklepała swoją królową. – A teraz załóż na nią uprząż, Moreto, ruszemy na Opad.

Moreta przeciągle przyglądała się swojej przyjaciółce, aż Leri z niecierpliwością wzruszyła ramionami.

–Och, idźże gotować ten fellis! – I wstała z tapczanu. Zakładając uprząż na starą królową, Moreta zastanawiała się w duchu, czy Orlith mogłaby wyperswadować Holth, żeby się tak nie męczyły.

„Nie.”

Moreta zamrugła oczami ze zdumienia, ponieważ bardzo starała się ukryć swoje zmartwienie. Na dodatek nie wiedziała, która to smoczyca się odezwała, Orlith czy Holth. Potem skupiła się na właściwym pozapinaniu rzemieni bojowych. Kiedy Leri była gotowa, Moreta odprowadziła ją i Holth na półkę i patrzyła, jak odlatują z dwoma skrzydłami, które stanowiły wkład Fortu do ochrony Pernu przed Opadem. Kiedy skrzydła zniknęły w „pomiędzy”, pożegnalne trąbienie przykutych do

Weyru smoków zabrzmiało modlitewną nutą pragnienia, wyzwania i zachęty. Widząc tak niewiele smoków na Obrzeżu, Moreta pomyślała, że żaden Weyr ani Pern nie jest niezniszczalny. Było jej bardzo ciężko myśleć o swojej rodzinnej warowni, którą pandemia wyludniła w ciągu kilku dni. Chociaż wiedziała, że takich tragedii na terenie Igeny, Isty, Telgaru, Keroonu i Ruathy jest wiele, nie potrafiła pogodzić się z tym faktem. Ze też po tym cudownym Zgromadzeniu nastąpiła taka katastrofa!

Moreta zdecydowanie odwróciła wzrok od zimnego, niebieskiego nieba i pracowicie zajęła się obieraniem i przygotowywaniem owoców fellisu na sok. Ręce nie drżały jej już tak, jak poprzedniego dnia i mogła się uporać z twardymi łupinami. Kiedy gesty moszcz zaczął się gotować, przeprowadziła przegląd pozostałych zapasów. Była zdumiona, że z takiej obfitości leków pozostało zaledwie po kilka mieszków tego czy owego. Ponieważ wszyscy jeźdźcy zostali zaszczepieni, Weyr nie będzie już potrzebował wielkiej ilości środków przeciwgorączkowych, stymulujących i lekarstw na piersi. Całe szczęście, ponieważ o tej porze roku uzupełnienie zapasów nie było możliwe.

–Gdzie jest K’lon? – zapytała Orlith. „Jest w Igenie.”

–Jak się czuje Sh’gall? – zapytała Moreta z poczucia obowiązku. „Śpi głęboko, a Kadith mówi, że jadł z apetytem. Zdrowieje.” Moretę rozbawiła obojętność w głosie Orlith – jej też na nim nie zależało. Kiedy Orlith znowu wznesie się do lotu godowego... „LECI HOLTH! Falga i Tamianth są poważnie ranne!” Moreta zdjęła z ognia pyrkający sok fellisowy i pospiesznie wyszła na zewnątrz. Holth pojawiła się nad Kamieniami Gwiazdowymi i zanurkowała prosto na swoją półkę. Moreta pobiegła schodami na górę. Ze zręcznością, w którą Moreta nie mogła wprost uwierzyć, Leri zsunęła się ze swojej smoczy i rzuciła nieporęczny pojemnik na hanocz tak, że aż potoczył się pod ścianę, dzwoniąc głucho na kamieniach.

–Tamianth straszliwie pobruździło, Moreto – powiedziała Leri z twarzą poszarzałą z niepokoju. – Uzdrowiciele poradzą sobie z nogą Falgi, ale skrzydło Tamianth... – Łzy żłobiły rowki w zakurzonej od lotu twarzy Leri. – Masz, weź moją kurtkę. Hełm i gogle też będą na ciebie pasowały. Och, ruszaj już!

–Orlith nie może lecieć! – powiedziała Moreta z udręką, wyczuwając rozpacz Leri.

–Orlith nie może, ale polecą Holth! – Leri wpychała wyciągniętą rękę Morety do rękawa swojej kurtki. – Nikt tak jak ty nie przyda się Faldze i Tamianth. Musisz polecieć! Holth nie będzie miała nic na przeciw temu, ani Orlith! To jest sytuacja krytyczna!

Obydwie królowe smoczyce były poruszone. Orlith porykując i wyciągała głowę do swojej jeźdźczynie, do Leri i do Holth. Moreta naciągnęła na siebie kurtkę. Ponieważ była dużo wyższa niż Leri, kurtka nie sięgała jej nawet do talii, a pas Leri trzeba było poluzować aż do ostatniej dziurki. Moreta wcisnęła sobie hełm na głowę i podciągnęła się na rzemieniach bojowych.

–Przebacz mi, Orlith! – zawołała, machając ręką do swojej królowej.

–Co tu jest do przebaczenia?



–Lećże już! – krzyknęła Leri.

Holth skoczyła, poruszając się niemal tak ociężale, jak rozdęta od jaj Orlich. Moreta przez tyle Obrotów kontaktowała się tylko ze swoją smoczą, że poczuła nagle w głowie chaos. Nie miała pojęcia, jak poradzi sobie ze zrozumieniem Holth. I oto nagle zaczęła ją rozumieć. Wyczuwała obecność Holth, a do tego opiekuńczą obecność Orlich. Czy była zazdrosna? Nie, jedynie zatroskana o to, że Moreta nie potrafi porozumiewać się z jej przyjaciółką, Holth. Holth była już w powietrzu, kiedy Moreta nawiązała z nią kontakt.

–Leć powoli i spokojnie – powiedziała Moreta do Holth. Smok wartownik pozdrowił je, życząc Holth i Leri wszystkiego dobrego. Ponieważ na warcie stało zielone weyrzątko, można było mu wybaczyć, że nie poznał jeźdźca Holth, ale Moreta nie mogła pozbyć się tej myśli, kiedy Holth dzielnie i mozolnie wzbijała się lecąc pod porywisty wiatr.

Moreta wyobraziła sobie charakterystyczną grań Weyru Dalekich Rubieży, ten poszarpany grzbiet o siedmiu nierównych turniach.

–Wiem, dokąd się musimy udać. Zaufaj mi – powiedziała stara smoczą.

–Ufam ci, Holth – odparła Moreta. Wiedziała, że Holth ma dużo większe doświadczenie niż Orlich, chociaż młodsza królowa miała więcej wigoru. – Lećmy do Dalekich Rubieży.

Zamiast recytować jak zwykle litanię do „pomiędzy”, Moreta próbowała przeanalizować różnice pomiędzy dwiema smoczymi królowymi. Głos Holth był stary i zmęczony, ale mocny, bogaty, głęboki, o wiele tonów niższy niż głos Orlich. Może kiedy Orlich osiągnie ten wspaniały wiek, jakim cieszyła się Holth, osiągnie też jej głęboką wrażliwość.

A potem znalazły się w cieplejszym powietrzu nad Dalekimi Rubieżami, i Holth, niemal muskając w locie poszarpane turnie, zaczęła opadać z głębokim przechyłem w lewo, tak że Morecie nic nie zasłaniało widoku ziemi i znajdujących się tam rannych smoków. Tamianth najbardziej potrzebowała pomocy. Kiedy Holth schodziła w dół, Moreta zobaczyła, że Tamianth utraciła wiodący skraj wszystkich trzech płatów skrzydła. I że była bardzo pobrużdżona wzdłuż lewego boku.

–Jak to się stało? – Moreta była przerażona.

Leciała w poprzek Opadu – powiedziała Holth i przekazała jej wstrząsający obraz wypadku. Tamianth wznosiła się pod kątem, żeby Falga mogła użyć miotacza płomieni. Zanim wyrównały lot, natrafiły na wznoszący się prąd powietrza. Wielki kłęb Nici opadł na skrzydło i na bark smoczycy. I na nogę Falgi. Holth nie potrafiła zawracać na czubku skrzydła, tak jak Orlich, ale obliczyła dokładnie, gdzie ma wylądować, poszybowała i zatrzymała się na odległość skrzydła od rannej Tamianth.

–Czy możesz mi pomóc uśmierzyć jej ból, Holth? – zapytała Moreta, ześlizgując się w szalonym pośpiechu z grzbietu smoczycy. Trzeba było uspokoić wycie Tamianth.

–Jest z nami Orolith – powiedziała z wielką godnością Holth, a w jej oczach zamigotały jaskrawożółte iskry.

Falga leżała z boku na noszach, z twarzą zwróconą ku swojej królowej, ale była półprzytomna. Dwóch uzdrowicieli okładało jej nogę nasączonymi mrocznikiem bandażami.

–Tamianth – powiedziała Moreta podchodząc do rannej, mając nadzieję, że smoczyca ją zrozumie. – Jestem Moreta, przyszłam cię wyleczyć!

Tamianth rzucała na boki głową i kopała ziemię przednimi łapami, co bardzo przeszkadzało mieszkańcom weyru, którzy usiłowali posmarować skrzydło kojącym balsamem. Moreta zauważyła, że udało im się nałożyć maść na głęboką bruzdę na ciele, z której płynęła posoka; ale prawdziwym źródłem męki dla Tamianth było skrzydło.

–Trzymajcie ją! – krzyknęła Moreta.

Pozostałe ranne smoki i smok wartownik zatrąbiły w odpowiedzi. Holth uniosła się na zadzie, również trąbiąc z rozpostartymi skrzydłami. Z weyrów wychynęły smoki Dalekich Rubieży, których jeźdźcy byli zbyt chorzy, żeby walczyć z Nićmi. Połączoną siłą woli smoki unieruchomiły Tamianth.

–Ruszcie się! – napomniała Moreta mieszkańców weyru, którzy wytrzeszczali oczy ze zdumienia. – Nakładajcie kojący balsam!

Chwyciła szpatułkę i garnek, pospiesznie oceniając rozległość rany. Przypominała ona nieco ranę Dilentha. On stracił skraj wiodący skrzydła, miał uszkodzoną kość i stawy palców, ale Tamianth utraciła więcej płata. Długo nie wznieś się w powietrze.

–Czy moglibyśmy w czymś pomóc temu smokowi? – U jej boku pojawił się niewysoki człowieczek o bystrych oczach, wydatnej szczęce i szerokim nosie. Tuż za nim stał inny, niewiele wyższy mężczyzna, z brwiami ściągniętymi w pełnym niepokoju grymasie. Obydwaj ubrani byli w fiolet uzdrowicieli, a na ramionach mieli węży czeladnicze. Moreta rzuciła pospieszne spojrzenie na nosze Falgi.

–Ona jest nieprzytomna, ma opatrzoną ranę. Nic więcej teraz nie możemy dla niej zrobić. Będzie mi potrzebny olej, trzcinki, cienka gaza, igły, odkażone nici...

–Nie jestem z tego Weyru – powiedział mężczyzna o bystrych oczach i odwrócił się do wyższego, który skinął głową Morecie i pobiegł do niskiego, kamiennego budynku, gdzie znajdowały się główne pomieszczenia mieszkalne Dalekich Rubieży. – Mam na imię Pressen, Władczyni Weyru.

–A więc rozsmaruj ten kojący balsam, Pressenie. Wzdłuż kości. Powinny zostać grubo nim pokryte, zwłaszcza stawy. Tak jak robi się to w przypadku bruzdy po Niciach u ludzi. Rana na boku również ma być grubo pokryta. Nie chcę, żeby Tamianth traciła aż tak wiele posoki.

Jakaś stara kobieta potykając się podeszła do nich z wiaderkiem czerwonego ziele; pokrzykiwała na

trójkę idących za nią dzieci, żeby nie ociągały się niosąc olej. Do Morety zbliżyło się dwóch jeźdźców, obydwaj z zabandażowanymi bruzdami; ich smoki, błękitny i brunatny – obydwaj pobrużdżone, usiadły na skalistej ziemi i wlepiły wirujące troską oczy w Tamianth.

Moreta miała teraz więcej pomocników, niż mogła wykorzystać, więc zmusiła jeźdźców, żeby pomogli temu drugiemu uzdrowicielowi poszukać wszystkich potrzebnych jej rzeczy, a dzieci wysłała po stół, na który zamierzała stanąć. Stara kobieta poinformowała ją, że uzdrowiciele Weyru umarli, a tych dwóch nowych nie wie absolutnie nic o smokach, ale są chętni do pracy. Ona zwykle pomagała uzdrowicielom, ale teraz zbyt drżą jej ręce.

Moreta wysłała ją na poszukiwanie gazy – tego najbardziej potrzebowała. Kiedy kończyła przygotowania do zabiegu przy skrzydle, przeszywający ból Tamianth został dzięki Holth i Orlith zredukowany do tępego pulsowania. Skrzydło Tamianth było znacznie większe niż skrzydło Dilentha i mniej z niego ocalało. Obydwaj jeźdźcy okazali się bardzo pomocni przy sortowaniu gazy.

–Nigdy by mi nie wpadło do głowy, żeby użyć gazy – wymamrotał Pressen, zafascynowany rekonstrukcją. Pomagał Morecie zakładać co delikatniejsze szwy, ponieważ jego drobne dłonie były ogromnie zwinne. Nattal, stareńka ochmistrzyni Dalekich Rubieży, zmusiła Moretę do zrobienia małej przerwy na kubek zupy. Powiedziała, że wie, iż Władczyni Weyru Fortu dopiero co wstała po chorobie i że Dalekie Rubieże zyskałyby sobie złą sławę, gdyby Moreta zwała się tu z nóg. No i co by się wtedy stało z Tamianth? Po kilku chwilach Moreta zorientowała się, że zupa musiała zawierać jakiś środek stymulujący, bo kiedy podjęła pracę, mogła bardziej się nad nią skupić. Mimo to, kiedy skończyła, dygotała ze zmęczenia.

–Musimy wracać – powiedziała Holth tonem niedopuszczającym sprzeciwu.

Moreta nie miała nic przeciwko temu, ale czuła jakiś dziwny, niejasny niepokój. Spojrzała w kierunku Falgi, która leżała pod futrami na noszach albo nieprzytomna, albo pogrążona we śnie. Rozejrzała się nerwowo po skalistej Niece i popatrzyła na pozostałe ranne smoki.

–Jesteś bardzo blada, Moreto – powiedział Pressen, dotykając lekko jej ramienia swoją poplamioną na czerwono ręką. Jestem pewien, że poradzimy sobie z wszelkimi innymi obrażeniami. Pracowałaś jak natchniona.

–Dziękuję ci. Kości należy wciąż nasycać mrocznikiem. Kiedy stawy zaczną produkować posokę, pokryje ona rany i wtedy rozpocznie się proces gojenia.

–Nigdy nie myślałem, że Nici mogą tak poranić smoki – powiedział Pressen, rzucając spojrzenie na smoki na półkach skalnych i na siedem szczytów.

–Chodź! Wsiadaj! – powiedziała natarczywym głosem Holth.

–Muszę lecieć. – Moreta dosiadła Holth, która była chudsza niż Orlith i nie taka wysoka.

Kiedy stara królowa napinała mięśnie, Moreta poczuła niepokój, że smoczyca może być zbyt

zmęczona, żeby wystartować bez rozbiegu. Moreta aż szarpnęło do tyłu, kiedy Holth potężnym skokiem wzniosła się w górę. Lepiej, żeby królowa nie знаła jej wątpliwości. Żeby ukryć zażenowanie, Moreta wyobraziła sobie Kamienie Gwiazdne Weyr Fortu, największy z tych głazów i szczyt który wznosił się wysoko nad Kamieniami.

–Lećmy z powrotem do Fortu, Holth!

Podczas przesywającej zimnem chwili w „pomiędzy” Moretę zaczęły piec ręce w rękawicach. Powinna je była znowu posmarować olejem. Zawsze, kiedy szyła, kaleczyła sobie dłonie igłą. Zielone weyrzątko pozdrowiło je przy powrocie, trąbiąc na niespodziewanie radosną nutę.

Holth poszybowała do swojej półki. Morecie wydawało się, że smoczyca nadlatuje nieco zbyt szybko, i sprężyła się przed lądowaniem.

–Jesteś potrzebna – powiedziała Holth, kiedy Moreta rozluźniała rzemienie.

–Zdejmę ci tylko uprząż...

Jesteś mi już teraz potrzebna! – usłyszała głos Orlith. – Czekałam na ciebie!”

–Oczywiście, że czekałaś, najmilsza i bardzo to było miło z twojej strony, że pozwoliłaś mi polecieć...

–Leri mówi, że nie powinnaś tracić ani chwili – dodała Holth, a jej oczy zaczęły wirować szybciej.

–Czy coś się stało Orlith? – Moreta jak najszybciej pognąła w dół po schodach, serce jej waliło. Skręciła pędem do swojego weyru i stłukła sobie ramię, omal nie przewracając się na zakręcie.

Orlith wystawiła głowę, wypatrując swojej jeźdźczyny. Kiedy Moreta wpadła do weyru, Orlith trąbiła.

Moreta zarzuciła ramiona na łeb swojej smoczycy i zauważyła, że obok stoi Leri, owinięta śpiworem, z przesadnie zadowoloną miną.

–Musisz ją jak najszybciej zaprowadzić do Wylęgarni. Chyba nie zdoła już wytrzymać dłużej. Byłaś jednak potrzebna w Dalekich Rubieżach, prawda?

Przepraszając i pocieszając swoją smoczycę, Moreta przytaknęła.

–Nikt nawet nie wiedział, że cię nie było – powiedziała Leri – ale wątpię, czy udałoby mi się długo jeszcze tak oszukiwać.

–Naprawdę już muszę iść – powiedziała Orlith żałośnie.

## **Rozdział XII**

–Bardzo się cieszę, że wreszcie usłyszałem jakąś dobrą wiadomość – powiedział Capiam, kiedy umilkł głos wielkiego bębna. Wszyscy słyszeli dudnienie bębnow, ale ponieważ siedzieli za grubymi kamiennymi ścianami apartamentu Lorda Tolocampa w Warowni Fort, nie byli w stanie rozpoznać kodów, dopóki Siedziba Harfiarzy nie zaczęła przekazywać wieści dalej.

–Dwadzieścia pięć jaj to niezbyt wiele – powiedział Lord Tolocamp przesadnie ponurym głosem.

Capiam pomyślał, że chyba ta szczepionka, którą wstrzyknięto Lordowi Warowni, musiała zawierać jakieś nietypowe zanieczyszczenie. Zmianie uległa cała osobowość tego człowieka. Niektórzy ludzie mogliby dojść do wniosku, że boleje on po stracie żony i czterech córek, ale Capiam wiedział, że Tolocamp pocieszył się dosyć szybko, biorąc sobie nową żonę, więc jego smutek był podejrzanym. Poza tym Tolocamp uważał, że poniesione przez niego straty usprawiedliwiają wszelkie niedociągnięcia.

–Dwadzieścia pięć jaj i do tego jajo królewskie to znakomity wynik jak na tak późną porę Przejścia – odpowiedział Capiam stanowczo.

Lord Tolocamp poskubał dolną wargę, a potem ciężko westchnął.

–Moreta naprawdę musi się postarać, żeby to jakiś inni smok, a nie Kadith, dogonił Orlith w następnym locie godowym. Sh’gall był taki chory.

–To nie jest nasza sprawa – zauważył Tirone, włączając się do dyskusji. – Poza tym choroba jeźdźca nie ma najmniejszego wpływu na sprawność smoka. A w ogóle to Sh’gall wyleciał do Neratu walczyć z Nićmi, więc chyba całkowicie wyzdrowiał.

–Chciałbym, żeby nas poinformowano, jaki jest stan każdego z Weyrów – powiedział Lord Tolocamp z ciężkim westchnieniem. – Tak się martwię.

–Weyry – powiedział Tirone z naciskiem i spod oka rzucił pełne irytacji spojrzenie na Lorda Warowni – wywiązały się ze swoich zobowiązań wobec Warowni!

–Czy to ja przyniosłem tę chorobę do Weyrów? Albo do Warowni? Gdyby jeźdźcy smoków nie latali tak ochoczo to tu, to tam...

–A Lordowie Warowni nie zapełniali tak ochoczo wszystkich zakątków i zakamarków w swoich...

–Nie czas na czynienie sobie wyrzutów! – Tirone rzucił Capiamowi ostrzegawcze spojrzenie. – Tolocampie, wiesz równie dobrze, a może nawet lepiej niż inni, że na kontynent paskudztwo to sprowadzili marynarze! – Głęboki, grzmiący głos Mistrza Harfiarza był szorstki. – Wróćmy do dyskusji, którą przerwały nam takie dobre wieści. – Mina Tirone’a świadczyła o tym, że Capiam musi zapanować nad swoją antypatią do Tolocampa. W tym twoim obozie mam wielu ciężko chorych ludzi. – Tirone machnął ręką w kierunku okna. – Nie wystarczy nam szczepionki, żeby zahamować

chorobę, ale chorych powinno się przynajmniej porządnie zakwaterować i umiejętnie pielęgnować.

–Są wśród nich uzdrowiciele – odparł posępnie Tolocamp. Przynajmniej tak mi mówiłeś!

–Uzdrowiciele też mogą zachorować na tę wirusową influence i nie potrafią wiele zdziałać bez lekarstw. – Capiam sugestywnie pochylił się nad stołem w kierunku Tolocampa, który gwałtownie się cofnął. Jeszcze jeden jego zwyczaj, który irytował uzdrowiciela. – Masz ogromne magazyny pełne środków leczniczych...

–Zebranych i przygotowanych przez moją zmarłą małżonkę... Capiam z trudem zapanował nad sobą. – Lordzie Tolocampie, nam są koniecznie potrzebne te zapasy... Oczy Tolocampa zwięziły się ze złości.

–Dla Ruathy, co?

–Inne Warownie poza Ruathą też odczuwają braki! – Capiam odezwał się pospiesznie, żeby rozproszyć podejrzenia Tolocampa.

–Za zapasy ponoszą odpowiedzialność poszczególni gospodarze. Nic mnie to nie obchodzi. Nie mogę nadal uszczuplać zapasów, które mogą przydać się dla moich własnych ludzi.

–Jeżeli Weyry, które tak bardzo ucierpiały, potrafiły rozszerzyć obszar swojej działalności, wykraczając poza tereny im przypisane, to jak ty możesz odmówić? – zapytał Tirone.

–Z łatwością. – Tolocamp wydał wargi. – Nikomu z zewnątrz nie wolno przekroczyć granic Warowni. Jeżeli nie złapali akurat tej zarazy, to na pewno przynieśli jakąś inną, równie zaraźliwą chorobę. Nie będę więcej narażał moich ludzi. Nic więcej nie otrzymacie z moich magazynów.

–A więc ja wycofam moich uzdrowicieli z twojej Warowni – powiedział Capiam, zrywając się na równe nogi.

–Ależ... ależ... ty nie możesz tego zrobić!

–Może, co do tego nie ma dwóch zdań! Obaj możemy odparł Tirone. Podniósł się, obszedł stół dookoła i stanął przy Capiamie. – Rzemieślnicy podlegają jurysdykcji swojej Siedziby. Zapomniałeś o tym, prawda?

Capiam wypadł z pokoju tak rozgniewany małostkowością Tolocampa, że mało go krew nie zalała. Tirone szedł tuż za nim.

–Odwołam ich wszystkich! Potem dołączę do ciebie w obozie. – Nie przypuszczałem, że do tego dojdzie! – Capiam chwycił Tirone'a za ramię, usiłując okazać mu, jak jest wdzięczny za tak szybkie poparcie.

–Tolocamp po raz ostatni nadużył wielkoduszności Siedzib! W zwykłe delikatnym głosie Tirone'a

pojawił się twardy ton. Mam nadzieję, że przypomni to innym o naszych prerogatywach.

–Odwołaj naszych ludzi, Tirone, ale nie idź ze mną do obozu. Musisz zostać w siedzibie ze swoimi ludźmi i kierować moimi.

–Moi ludzie – Tirone z przymusem się roześmiał – poza bardzo niewieloma wyjątkami marnieją w tych jego zatraconych obozach. To ty musisz pozostać w siedzibie.

–Mistrzu Capiamie...

Na dźwięk kobiecego głosu obaj gwałtownie się odwrócił. Była to grubokoścista dziewczyna o dużych, brązowych, szeroko rozstawionych oczach i inteligentnej, chociaż nieładnej twarzy. Gęste, czarne włosy miała ściągnięte do tyłu.

–Oto klucze od magazynów.

–Skąd... – Rzadko się zdarzało, żeby Tirone'owi zabrakło słów.

–Lord Tolocamp nie ukrywał swego stanowiska, kiedy zwrócono się do niego z prośbą o lekarstwa – to ja pomagałam je zbierać i przechowywać.

–Pani... – Capiam nie mógł sobie przypomnieć, jak jej na imię.

–Nerilka. – Przedstawiła się szybko, z lekkim uśmiechem. Mam prawo zaoferować wam owoce mojej własnej pracy. – Spojrzała na Capiama. – Jest tylko jeden warunek.

–Wszystko, co będzie w mojej mocy. – Capiam gotów był wiele dać za te lekarstwa.

–Żebym mogła opuścić Warownię w waszym towarzystwie i pracować przy chorych w obozie. Zostałam zaszczepiona. Uśmiechnęła się z przekąsem. – Lord Tolocamp był szczodrobliwy tamtego dnia. Za nic nie zostanę w Warowni, żeby mnie lżyła dziewczyna młodsza ode mnie. Tolocamp zgodził się, żeby weszła razem z rodziną do Warowni od strony wzgórz ogniowych, ale uzdrowicielom i harfiarzom każe tam umierać!

„I pozwolił, żeby moja matka i siostry umarły w Ruacie.” Nie było wątpliwości, że to właśnie miała na myśli.

–Tędy, szybko – powiedziała przejmując inicjatywę i pociągnęła Capiama za rękaw.

–Odwołam moich ludzi z tej Warowni – powiedział Tirone i ruszył szybkim krokiem w kierunku sali.

–Młoda damo, czy zdajesz sobie sprawę, że kiedy raz opuścisz Warownię bez wiedzy swojego ojca, zwłaszcza przy jego obecnym nastawieniu...

–Mistrzu Capiamie, wątpię, czy w ogóle zauważy, że mnie niema – odparła Nerilka, rozgoryczona postępowaniem nowej żony swego ojca. – Te stopnie są bardzo strome – dodała i otworzyła ręczny

żar.

„Strome, kręte i wąskie” – pomyślał Capiam, kiedy stopa pośliznęła mu się na pierwszym stopniu. Nie lubił tajnych schodów, a w Forcie było ich mnóstwo. Kiedy starożytni budowali swoje pierwsze warownie w naturalnych jaskiniach, wykorzystywali chętnie takie schody jako dodatkowe przejścia z jednego poziomu na drugi. Miał wrażenie, że droga ta nigdy nie będzie miała końca. A potem ciemności rozjaśniły się i wyszli na podest, z którego w trzy strony rozchodziły się wąskie, wysokie korytarze. Oprócz tych krętych schodów, którymi właśnie zeszli, były tu jeszcze jedne; miał nadzieję, że nie będą musieli z nich korzystać.

Nerilka poprowadziła go na prawo, potem w dół po szerokich schodkach i na lewo. Kompletnie stracił orientację. Nerilka skręciła w lewo jeszcze raz. Trzej służący, rozwaleni na długich ławach, stojących przy ciężkich, drewnianych drzwiach, podnieśli się na nogi z obojętnym wyrazem twarzy.

–Widzę, że nie ociągaliście się – powiedziała Nerilka i z aprobatą skinęła głową. – Ojciec ceni sobie punktualność. – Do otwarcia zamków potrzebne były trzy wielkie klucze. Służący musiał się dobrze natężyć, żeby otworzyć drzwi. Ze spiżarni doleciała mieszanina aromatów – gorzkawych, wonnych. Czuć było stęchliznę.

Nerilka podniosła przykrywkę na żarze i oświetliła zlewy, palniki, stoły, wysokie taborety, aparaty i przyrządy do odmierzania, lśniące miski i szklane butle. Capiam często bywał w tym pokoju w towarzystwie pani Pendry, ale przychodzili tu od innej strony. A teraz Nerilka otworzyła magazyn i skinęła na niego, żeby poszedł za nią. Uśmiechnęła się, kiedy aż krzyknął z zaskoczenia.

Capiam wiedział, że magazyny Fortu są wielkie, ale nigdy nie był poza miejscem wydawania leków. Stali na szerokim podeście, oddzielonym balustradą od olbrzymiego, ciemnego wnętrza; na główny poziom prowadziły w dół schody. Słyszał, jak pełzają szeleszcząc węże tunelowe, umykają przed nagłym światłem. Capiam widział półki sięgające do wysokiego, sklepionego sufitu. Stały tu rzędami zakurzone beczki, skrzynie i stojaki do suszenia. Zgromadzone tu zapasy przyprawiały go o zawrót głowy i w dwójnasób potępił skąpstwo Tolocampa.

–Spójrz, Mistrzu Capiamie, na owoce mojej pracy. A pracowałam, odkąd urosłam na tyle, że potrafiłam ściąć liść, wykopać cebulkę lub korzeń – powiedziała ze smutkiem Nerilka. – Towarzyszyły mi w tym moje zmarłe siostry, które nie odmówiłyby ci pomocy. Szkoda, że nie wszystkie te nagromadzone zapasy nadają się do użytku, ale zioła i korzenie tracą po pewnym czasie swoją moc. Większość z tego, co tu widzisz, to śmieci, na których tuczą się węże tunelowe. Koromysła są w tamtym kącie, Sim. Weźcie te bele. – Powiedziała autorytatywnym tonem, pokazując służącym paki. – Mistrzu Capiamie, jeżeli nie masz nic przeciwko temu... to jest sok fellisowy. – Wskazała na gąsior w koszu. – Wezmę go. – Podniosła wielką butelę za opasujący ją ramię. Drugą ręką zarzuciła sobie na ramię jedną z pak. – Sporządziłam wczoraj wieczorem świeżą miksturę z podbiału, Mistrzu Capiamie. W porządku, Sim. Ruszajcie w drogę. Przejdziemy wyjściem kuchennym. Lord Tolocamp narzekał, że niszczyliśmy mu dywany w głównej sali. Należy stosować się do jego poleceń, nawet jeżeli oznacza to dla nas nieco dłuższą drogę.



Postawiła gąsior, żeby zamknąć magazyn. Nie ulegało wątpliwości, że musiała zadać sobie wiele trudu, żeby tak wszystko po kryjomu przygotować. Po raz ostatni rozejrzała się dokoła, a potem popatrzyła Capiamowi w oczy. Służący byli już w połowie korytarza.

–Chętnie wzięłabym więcej, ale jeżeli jutro dodamy do waszego orszaku czterech służących, strażnik niczego nie zauważy.

Dopiero wtedy Capiam zwrócił uwagę, że Nerilka ma na sobie ubranie z szorstkiej wełny, jakie zwykła nosić służba: przepasaną skromnym paskiem tunikę, szare spodnie i ocieplane zimowe buty.

–Nikt się nie zainteresuje, jeżeli jeden ze służących pójdzie dalej, do obozu. Nikt też przy wyjściu kuchennym nie uzna tego za dziwne, że Mistrz Uzdrowiciel wychodzi z zapasami. Dziwiliby się raczej, gdyby wychodził z pustymi rękami.

Zamknęła zewnętrzne drzwi i zawahała się spoglądając na pęk kluczy.

–Nigdy nic nie wiadomo – powiedziała sama do siebie. Wepchnęła klucze do mieszka u pasa, a potem, zauważając spojrzenie Capiama uśmiechnęła się do niego. – Moja macocha myśli, że ma jedyny komplet kluczy. Jednakże moja matka uważała, że skoro pracuję w destylarni, powinnam móc sama ją otwierać. Tędy, Mistrzu Capiamie.

Capiam poszedł za nią. Potulność tych dziewcząt była źródłem rubasznym prześmiewek w Cechach za każdym razem, kiedy pani Pendra zapraszała do Warowni niezonatych mężczyzn wyższej rangi. Nerilka, jak ze smutkiem przypomniał sobie Capiam, była najstarszą z jedenastu córek. Miała też dwóch starszych braci, Campena i Mostara, i czterech młodszych. Pani Pendra stale była w ciąży, co powodowało złośliwe komentarze uczniów uzdrowicieli. Capiamowi nigdy nie przyszło do głowy – a już z pewnością nie pomyśleli o tym jego bezwstydni młodszy podwładni – że „Horda z Fortu” mogła mieć swój rozum, czy swoje własne zdanie na jakiś temat. Nerilka zbuntowała się na dobre.

–Pani Nerilko, jeżeli wyjdiesz teraz...

–Wychodzę – powiedziała stanowczym, cichym głosem, kiedy dotarli do korytarza, prowadzącego na tyły kuchni.

–W ten sposób, to Lord Tolocamp...

Nerilka zatrzymała się i stanęła twarzą w twarz z Capiamem pod łukiem wiodącym do hałaśliwej kuchni.

–Nie zateśkni za mną. – Podniosła gąsior i westchnęła ciężko, rzucając spojrzenie na drzwi przez które wyszli służący. – Naprawdę mogę się przydać w tym obozie, bo znam się na mieszanii lekarstw, sporządzaniu wywarów i parzeniu ziół. Będę robiła coś potrzebnego, zamiast siedzieć gdzieś bezczynnie. Wiem, że twoi rzemieślnicy są przepracowani. Potrzebne są wszystkie ręce.

–Poza tym – mogę się wśliznąć z powrotem, kiedy będzie trzeba. – Poklepała klucze w mieszk. –

Służący robią to przez cały czas. Czemu więc ja nie miałabym tego zrobić?

Ruszyła naprzód, a on pospieszył za nią, nie potrafiąc zbić jej argumentów. Kiedy wyszła z kuchennego korytarza, nagle całkowicie się odmieniła; przestała być dumną córką władcy Warowni, stała się gamoniowatą kobietą z ludu, która szła szurając nogami, z opuszczoną głową, niezgrabna, obciążona ponad miarę i zła na cały świat.

Kiedy znaleźli się na drodze, Capiam ukradkiem zerknął w lewo na główny dziedziniec i schody. Tirone z licznymi harfiarzami i uzdrowicielami, którzy zwykle obsługiwali Warownię Fort, schodzili z nasypu.

–On będzie się przyglądał im! Nie nam – powiedziała Nerilka. Zachichotała. – Spróbujże kroczyć nieco mniej dumnie, Mistrzu Capiamie. Chwilowo jesteś jedynie służącym, wysłanym wbrew twej woli w kierunku granicy, przejętym zgrozą, że zachorujesz i umrzesz jak wszyscy w tym obozie.

–W obozie wcale wszyscy nie umierają.

–Oczywiście, że nie, ale Lord Tolocamp tak uważa. Stale nas o tym informował. A, spóźnione starania z jego strony, żeby powstrzymać masowy exodus. Nie zatrzymuj się! – dodała rozkazująco.

Skonsternowany Capiam byłby się zatrzymał, gdyby nie jej ostrzeżenie. Zobaczył jak czterech strażników rusza za grupą Tirone'a.

–Możesz iść bardzo powoli, to zgodne z twoją rolą, ale się nie zatrzymuj – poradziła Nerilka.

Ona też się przyglądała z zaciekawieniem. Z tej odległości Capiam nie potrafił ocenić, czy strażnicy swoje obowiązki wypełniają z entuzjazmem, czy też nie. Po krótkiej szarpaninie Tirone i jego towarzysze niespiesznie poszli dalej drogą w stronę Siedziby Harfiarzy, a Nerilka i Capiam ruszyli w kierunku granicy.

Obóz internowanych założono po lewej stronie od masywu skalnego Warowni Fort, w małej dolince, niewidocznej z Warowni. Rozmieszczono nad nim posterunki straży w taki sposób, żeby Lord Tolocamp mógł je bez trudu widzieć ze swoich okien. Wzniesiono baraczek jako schronienie dla strażników, a po jego obydwu stronach postawiono tymczasowy płot. Patrole straży bez przerwy chodziły tam i z powrotem wzdłuż ogrodzenia.

Trzej służący Nerilki złożyli swoje ciężary przy wartowni, tam gdzie inni stawiali kosze z jedzeniem. Potem zawrócili do Warowni, balansując pustymi nosidłami na ramionach.

–Jeżeli przekroczysz granicę, Mistrzu Capiamie, nie wpuszczą cię z powrotem – przypomniała mu Nerilka.

–Jeżeli więcej niż jedna droga prowadzi do Warowni, czemu miałyby być tylko jedno przejście przez granicę? – zapytał nonszalancko Capiam. – Do zobaczenia, pani Nerilko.

Kiedy podchodzili do baraku, wyznaczano właśnie strażników, którzy mieli przenieść kosze i beły na zakazany teren, gdzie czekała już cierpliwie grupa mężczyzn i kobiet.

–Ej, Mistrzu Capiamie! – zawołał z niepokojem dowódca strażników. – Jak tam wejdiesz, to będziesz już musiał zostać...

–Z tym lekarstwem trzeba się delikatnie obchodzić, Thengu. Wbij im to do głowy.

–Tyle to mogę dla ciebie zrobić – odparł Theng i postawił gąsior obok beł – Należy się z tym obchodzić ostrożnie, najlepiej, żeby zajął się tym jakiś uzdrowiciel. Mistrz Capiam mówi, że to lekarstwo.

Internowani ruszyli się, żeby pozabierać to, co im przyniesiono, a Theng cofnął się. Nerilka znajdowała się tuż za nim i kiedy zawrócił do wartowni, prześliznęła się obok niego i dołączyła do tych, którzy zabierali kosze, jak gdyby była jedną z nich.

Capiam czekał, że ktoś zaraz podniesie krzyk, bo przecież pozostali strażnicy musieli ją zauważyć. Kiedy Theng ujął go za ramię, żeby go poprowadzić z powrotem, Nerilka szła już ciężkim krokiem w dół zbocza, w kierunku namiotów obozu.

–Mistrzu Capiamie, sam wiesz, że nie mogę ci pozwolić na bliski kontakt z żadnym z twoich rzemieślników – powiedział Theng, kiedy Capiam rzucił jeszcze jedno spojrzenie za oddalającą się Nerilką.

–Wiem, Thengu. Martwiłem się o to lekarstwo. Tak niewiele składników nam zostało.

Theng mruknął coś przez zęby i zajął się rozstawianiem straży. Capiam zawrócił w kierunku cechów.

Idąc uświadomił sobie, że nie wolno mu porzucić swojej siedziby w taki sposób, jak Nerilka opuściła Warownię. Jako Mistrz Uzdrowiciel miał pełne prawo odwołać z Warowni uzdrowicieli, ale sam musi tu pozostać, żeby mieli dostęp do niego ci wszyscy, którzy go mogą potrzebować. Całe szczęście, że obóz zyskał nie tylko lekarstwa, ale i cenną pomoc. Musi poprosić o ochotników, żeby jak najszybciej zabrali do Ruathy resztę ukradzionych przez Nerilkę zapasów.

–Można pobrać posokę od jednej królowej i posmarować nią stawy drugiej – powiedziała Moreta do Leri. – A ty nie powinnaś była tu przychodzić z wiadomością, którą mógł przynieść ktoś inny.

Stały u wejścia na teren Wylęgarni i rozmawiały przyciszonym głosem, chociaż śpiąca Orlith pewnie nie zwróciłaby na nie uwagi gdyby nawet zaczęły wrzeszczeć. Wciąż jeszcze była wyczerpana po złożeniu dwudziestu pięciu skórzastych jaj. Leżała zwinięta wokół nich, przednimi łapami objęła królewskie jajo, głowę miała dziwnie skręconą. Skóra na jej brzuchu zaczynała się kurczyć i miała dobry kolor, więc Moreta nie niepokoiła się już o swoją królową i miała czas, żeby martwić się o Tamianth Falgi.

–Nikt tam nie jest w stanie tego zrobić – powiedziała Leri z pogardą – a przynajmniej tak Holth

została poinformowana przez Kilanath. Holth mówi, że Kilanath miała bardzo zmartwiony głos.

–I słusznie, jeżeli uszkodzone skrzydło Tamianth nie wytwarza posoki. – Moreta zaczęła chodzić tam i z powrotem. Czy Falga jest przytomna?

–Majaczy.

–To nie zaraza?

–Nie, gorączka od rany.

–Na Skorupy! Falga umie pobierać posokę. To musi być Kilanath i Diona... – Moreta obejrzała się na drzemającą Orlith.

–Będzie jeszcze długo spała – powiedziała półgłosem Leri wchodząc na teren Wylęgarni i silnie ściskając dłonie Morety w swoich rękach. – Nie zajmie ci wiele czasu, żeby pobrać posokę i rozsmarować ją...

–W ten sposób zawiode zaufanie Orlith!

–Ona mnie też ufa. Ty zwlekasz, a z każdą chwilą...

–Wiem! – Morela z rozpaczą pomyślała o Faldze, Tamianth, o wszystkim, czego tamten Weyr dokonał przez ostatnie kilka dni.

–Gdyby Orlith się zbudziła, Holth będzie o tym wiedziała, a ponieważ sytuacja jest krytyczna, Orlith zrozumie. Już skończyła znosić jaja! – Leri natarczywie ściskała rękę Morety.

Za dużo było tych niecodziennych okoliczności, które usprawiedliwiały niecodzienne czyny.

–Holth chętnie poleci. Zapytałam ją od razu, jak tylko powiedziała mi o Tamianth.

Dla Leri było jasne, że nikt w Forcie nie zdaje sobie sprawy z tego, że dwa dni temu Moreta poleciała leczyć ranną królową Dalekich Rubieży. Moreta rzuciła rozpaczliwe spojrzenie na swoją pograżoną we śnie królową, odpowiedziała uściskiem na uścisk Leri

1 i wyszła pospiesznie z Wylęgarni. Leri nie mogła za nią nadążyć.

–Nie leć tak! – wyszeptwała.

Moreta zwolniła kroku. O tej szarej godzinie przedświt nikogo tu nie było. Miały dziś opadać Nici nad Neratem i jeźdźcy smoków odpoczywali przed akcją.

W drodze do Holth Moreta zatrzymała się tylko na moment, żeby się przebrać się w swój własny strój do lotów. Kurtka Leri nie zakrywała jej całych pleców, a nie mogła ryzykować, że przeiębi sobie nerki. Holth powitała ją u wejścia do swojego weyru i zeszła na skraj półki. Moreta wsiadła na nią, uświadamiając sobie powtórnie, jak różne są smoki. Chciała nie myśleć o tym, że w jakimś sensie zdradza Orlith.

–Lećmy do Dalekich Rubieży, Holth – powiedziała przyciszonym głosem.

–Jeździec na warcie śpi, a błękitny smok nie zauważy naszego odlotu – powiedziała beznamiętnie Holth i pomimo swoich czarnych myśli Moreta musiała się uśmiechnąć. A więc Leri i Holth

pomyślały również o tym.

Holth odbiła się od swojej półki i ledwie uniosła się w powietrze, już zniknęła w „pomiędzy”. Morecie aż dech zaparło na takie zuchwalstwo, nie miała nawet czasu pomyśleć o swoim wierszyku, kiedy ciemności wokół nich rozjaśniły się od żarów otaczających Nieckę Dalekich Rubieży.

–Tamianth jest pod nami, jednak ja wolę startować z jakiejś półki – powiedziała Holth. – Tamianth nie będzie mi miała za złe, że użyję jej półki. – Potem dodała łagodnie: – Orlith śpi. I Leri też.

–Och, wy! – pokiwała głową Moreta.

Holth zwróciła na nią swoje lśniące oczy i cicho fuknęła.

–Czy to ty, Moreto? – zapytał jakiś rozdygotany głos.

–Tak, to ja.

–Ojej, dzięki ci! Tak mi przykro, że cię fatygowałam, ale sama nie potrafię tego zrobić. Tak się boję, że zrobię Kilanath krzywdę. Ze uszkodzę jakiś nerw. Próbowali wytłumaczyć mi, jakie to jest proste, ale ja im nie wierzę. Obudź się, Kilanath. Moreta przyleciała.

Ponizej półki ciemności rozświetliła para smoczycich oczu. Moreta oparła dłoń o ścianę, lewą stopą usiłując wymacać górny stopień. Z kwatery weyrzątek, którą zajmowała teraz Tamianth, sączyło się światło, ale schody pogrążone były w mroku.

–Ojej, pospiesz się, Moreto! – płaczliwie błagała Diona.

–Szłabym szybciej, gdybym widziała, gdzie idę – odparła Moreta, zdenerwowana nieudolnością Diony.

–Tak, oczywiście. Nie pomyślałam o tym. Przecież nie znasz tego Weyru. – Diona otworzyła koszyczek z żarem, ale zanim go podniosła do góry, odwróciła światło od Morety. – Tak, Pressenie, ona jest tutaj. Och, pospiesz się, Moreto. Ojej, przepraszam. Przypomniała sobie, żeby podnieść koszyczek i oświetlić Morecie stopnie.

Moreta popędziła na dół, żeby zdążyć, zanim coś znowu odwróci uwagę Diony. Kilanath pochyliła głowę w stronę Morety i zaczęła ją obwąchiwać, jak gdyby sprawdzając, co to za gość.

–Kilanath, nie denerwuj się – zanuciła jękliwie Diona słodkim głosem, który mógłby zirytować każdą królową. Wiesz, że ona przyleciała tu tylko po to, żeby pomóc. – Diona odwróciła się przepaszająco do Morety. – Ona naprawdę będzie grzeczna, strasznie martwi się o Tamianth.

Kiedy Moreta weszła do kwatery weyrzątek, zrozumiała dlaczego. Tamianth miała kolor bardziej zielony niż złoty, poza szarym skrzydłem i szarą, pokrytą maścią, raną na boku. Skrzydło zostało podparte w barku i włożone w łubki, ale jej skóra bezustannie drgała z napięcia. Tamianth podniosła

powieki szarych z bólu oczu.

–Wody! Dajcie wody! – Falga podniosła głos w gorączkowej skardze.

–Ona nic więcej nie mówi! – Diona załamywała ręce.

Pressen, ten uzdrowiciel o bystrych oczach, podbiegł do Falgi i podał jej wodę, ale ona odepchnęła ją i znowu zaczęła się niespokojnie rzucać.

Moreta podeszła do królowej, ujęła fałd skóry na szyi i aż zakłęła. Smoczyca była odwodniona, skórę miała wysuszoną na wiór.

–Wody. Chyba jasne, że to Tamianth potrzebuje wody! Czy nikt nie dał pić królowej? – Moreta rozejrzała się za czymkolwiek przypominającym zbiornik na wodę.

–Och, nawet o tym nie pomyślałam! – Diona podniosła dłonie do ust, a jej oczy rozszerzyły się z przerażenia – Kilanath ciągle mówiła mi o wodzie, ale myśleliśmy, że to Falga...

–No to, na Jajo Faranth, przynieście wody!

–Wody! Wody! – jęczała Falga, niespokojnie usiłując się podnieść.

–Nie stójże tak, Diono! Czy w sąsiednich budynkach są jakieś weyrzątka? No to niech się ruszą! Weźcie chociażby jakiś kocioł z kuchni, ale przynieście temu nieszczęsnemu zwierzęciu wodę. To cud, że ona jeszcze nie umarła! Ze wszystkich nieodpowiedzialnych, nieudolnych, rozpaplanych idiotek, jakie kiedykolwiek spotkałam... – Moreta zauważyła zaskoczenie na twarzy Pressena. Opamiętała się, zaczęła głęboko oddychać, żeby pozbyć się tego bezsilnego gniewu i przerażenia, które w niej aż kipiały. – Przecież nie mogę tu ciągle przylatywać z powodu twoich niedociągnięć!

–Oczywiście, że nie! – powiedział pojednawczo Pressen. To biedne zwierzę było za słabe, żeby porozumieć się z kimkolwiek poza swoją jeźdźczynią, półprzytomną z bólu! Wściekła na głupotę Diony Moreta chwyciła za najbliższy żar, żeby zbadać skrzydło Tamianth. Dwa dni bez posoki – te brakujące fragmenty skrzydła mogą nie odrosnąć. Żar zalśnił złowieszczo na płamie na podłodze pod zranionym bokiem Tamianth. Ze zduszonym okrzykiem rozpaczy Moreta opadła na kolano, zanurzyła palce w tej cieczy i powąchała ją.

–Pressenie! Przynieś mi czerwone ziele i olej! Ten smok się wykrwawia na śmierć!

–Co?

Pressen potykając się podbiegł do niej, a ona uniosła wysoko żar, oświetlając bok Tamianth. Przypominała sobie, jakie wydała polecenie Pressenowi, który nie był obeznany z ranami smoków: niech rana będzie stale pokryta kojącym balsamem. Czemu sama jej nie sprawdziła? Jak mogła założyć, że ktoś tę ranę należycie opatrzy, kiedy w Dalekich Rubieżach panował taki chaos, uzdrowiciele byli niedoświadczeni, a jeźdźcy zmęczeni? Zamiast zająć się tym, odleciała, szalenie

zadowolona z siebie, że tak zrekonstruowała to skrzydło.

–To moja wina, Pressenie. Powinam była zainteresować się również jej bokiem. Bruzda po Niciach musiała poprzerywać żyły wzdłuż boku i barków. Kojący balsam zamaskował sączącą się posokę. Posoka nie dochodzi do skrzydła. Będziemy musieli pozszywać te żyły. Podobne operacje przeprowadza się na ludziach. Główną różnicą jest kolor krwi.

–Chirurgia nie jest moją mocną stroną, ale – dodał, widząc rozpacz na jej twarzy – asystowałem już przy operacjach i teraz też mogę to uczynić.

–Będą mi potrzebne klamry chirurgiczne, olej, czerwone ziele, nawleczone igły...

Pressen nalewał do misek czerwone ziele i olej.

–Mam wszystkie instrumenty. Przekazano mi wyposażenie po Barlym, kiedy tu przybyłem.

Moreta poszła zbadać uszkodzone skrzydło, zaniepokojona co tam zobaczy. Na stawach pojawiło się kilka kropli posoki, ale dużo mniej niż trzeba. Tamianth musi mieć wiele szczęścia, żeby wyjść z tego. Niewykluczone, że jak się zaaplikuje posokę Kilanath, da się jeszcze uratować sytuację. Dzięki częstemu i obfitemu smarowaniu balsamem kojącym te fragmenty skrzydła przynajmniej nie wyschły. Kiedy żyły Tamianth zostaną już poseszywane i kiedy przyniosą wreszcie biedaczce wodę...

Moreta szorowała ręce czerwonym ziele, od którego piekły niezagojone zadrapania. Potem dokładnie nasmarowała ręce olejem, podczas gdy Pressen czynił te same przygotowania.

–Najpierw musimy oczyścić ranę z kojącego balsamu. Sądzę, że żyły przerwane są tu... i tu, i może nawet jeszcze tu, w pobliżu serc. – Zaznaczyła lekko te obszary, a potem za pomocą nasączonych olejem tamponów zaczęli obydwójce z Pressenem usuwać kojący balsam. Tamianth drgnęła. – Przy takich ilościach kojącego balsamu nie może odczuwać żadnego bólu. Tutaj! Widzisz, skąd sączy się posoka... – Kiedy jej ojciec opatrywał biegusy, zawsze przez cały czas mówił. Wiele z tego, co wtedy słyszała, dało się później zastosować do smoków. Nie powinna myśleć o swoim ojcu w takiej chwili, ale w ten sposób łatwiej nauczyć Pressena. – O, jest pierwsza żyła. Tuż pod twoją lewą ręką, Pressenie, powinna być następna. Tak i jeszcze trzecia, jedna z głównych arterii prowadzących do serc, i żyła brzuszna. – Moreta sięgnęła po cienką igłę i odkażoną nić przygotowaną przez Pressena.

–Tak, to zupełnie inny kolor! – Pressen zobaczył zielonkawe ciało, ciemniejszą, zieloną posokę, która była smoczą krwią, i osobliwie połyskującą włókninę, stanowiącą smocze mięśnie. Był zaintrygowany. – Czy posoka w ogóle dochodziła do skrzydeł? Zręcznymi palcami nakładał szwy na pierwszą rozciętą żyłę.

–W niewystarczającym stopniu.

–Pić! Pić! Wody! – szaleńczo majaczyła Falga.

–Czy ta głupia Diona nie potrafi nic zrobić? Ma tam całe jezioro wody!



Nagle dał się słyszeć głuchy odgłos podzwaniającego metalu. Zapach tak rozpaczliwie pożądanej wody wyrwał smoczyce z otępienia.

Ukryta za skrzydłem Moreta nie widziała, co się dzieje, ale usłyszała brzęk postawionego kotła i plusk wody. Słyszała łakome chłęptanie Tamianth.

–Na Jajo, ona pije beczkami! – powiedział jakiś starszy mężczyzna. – Nie wolno jej dawać za wiele na raz, chłopcy, więc nie spieszcie się z ponownym napełnianiem kotła. Czy jest coś jeszcze, co mógłbym zrobić... – Mistrz Weyrzątek wszedł pod skrzydło i dopiero wtedy zauważył Moretę. – Wydawało mi się że twoja królowa zniosła jaja, Moreto.

–Zniosła, ale tej tu niewiele brakowało do śmierci... Kiedy Moreta pokazała mu poplamioną posoką podłogę,

Mistrz Weyrzątek przeraził się.

–S’ligar jest lekko chory, pomimo szczepionki – powiedział Cr’not. – Ale... – tu spojrzał na Pressena, i Dionę, dziękującą weyrzątkom – sam słyszałem, jak Falga prosiła o wodę...

–To nie jest niczyja wina, Cr’nocie. Wszyscy są zmęczeni. przekroczyli już granice wytrzymałości i próbują robić to, na czym się nie znają. To ja powinnam była zbadać tę ranę dwa dni temu!

–Czasami wydaje mi się, że działamy już całkiem machinalnie – powiedział Cr’not, pocierając sobie twarz i oczy.

–Na to wygląda. No, to już ostatni szew! Dziękuję ci, Pressenie. Masz zadatki na dobrego uzdrowiciela Weyru!

–Jak się wreszcie przyzwyczaję do takich wielkich pacjentów! – Pressen odpowiedział uśmiechem na uśmiech Morety.

–A teraz nauczysz się jeszcze jednej bezcennej techniki leczenia smoków – powiedziała Moreta i skinęła na Pressena, żeby poszedł za nią. Wzięła największą strzykawkę z torby Barly’ego, dopasowała do jej otworu igłę cierniową, namoczyła tampon w czerwonym zielu, a potem zanurkowała pod skrzydło Tamianth. – Diono!

–Och, nie! – zajęczała bojaźliwie Diona rozkładając ręce, żeby zasłonić swoją królową. – Tamianth już znacznie lepiej wygląda. Poprawił jej się kolor.

–Oczywiście, ale jeżeli nie damy jej trochę posoki na stawy, może już nigdy nie móc latać. Holth, powiedz Kilanath!

Cr’not spoglądał zaskoczony na Władczynię Weyru, a Diona jęknęła znowu.

–To nie potrwa długo i nie będzie bolało, Kilanath. Królowa była znacznie bardziej chętna do

współpracy niż jej jeźdźcy, uklękła, żeby poddać się zabiegom Morety, i pochyliła skrzydło.

–Widzisz, Pressenie? Tu, gdzie żyła krzyżuje się z kością? Kiedy Pressen skinął głową, Moreta wtarła trochę czerwonego zieleńca, od czego złota skóra smoczyca zrobiła się brązowa. Delikatny, ostry cieniósł wszedł w skórę i żyłę tak gładko, że smoczyca nawet nie poczuła ukłucia. Moreta zręcznie wciągnęła do rurki posokę, połyskującą zielonkawo w świetle żarów.

–Bardzo ciekawe – powiedział Pressen z napiętym wyrazem twarzy. Żadne z nich nie zwracało uwagi na jęki Diony i okrzyki odrazy Cr’nota.

–A teraz posmarujemy tym stawy i chrząstki. – Moreta powróciła z Pressenem do Tamianth. – Czy widzisz, jakie te chrząstki są suche? Posoka natychmiast w nie wsiąka. A popatrz tutaj, najbliżej barku, widzisz jak tworzą się krople posoki? Organizm Tamianth zaczyna znowu funkcjonować. Uratujemy jeszcze to skrzydło! – Uśmiechnęła się szeroko do małego człowieczka, który patrzył na nią rozpromieniony. – Oczy Tamianth też nabierają koloru.

–Rzeczywiście! Chyba nawet mrugnęła do mnie.

Moreta zaśmiała się. Szarość rzeczywiście odpływała z olbrzymich oczu Tamianth, a kiedy smoczyca poczuła się lepiej, pojawiła się w nich znowu iskierka, którą Pressen wziął za „mruganie”.

–Na to wygląda. Wie, kto jej pomógł.

–A Falga śpi. – Pressen pospiesznie podszedł do łóżka i zbadał puls na szyi Falgi. Odetchnął z ulgą. – Jest teraz dużo spokojniejsza.

„Co tam słyszeć, Holth?” – zapytała w myślach Moreta, uświadamiając sobie, że ma wiele innych zobowiązań. „Obie śpią!” – powiedziała obojętnym tonem Holth.

–Muszę wracać do Fortu. Cr’nocie, czy zrobisz to dla mnie i będziesz kontrolował to skrzydło? Pressen potrafi pobierać posokę i wie gdzie ją nałożyć, kiedy zajdzie potrzeba, ale nie będzie sam wiedział, czy jest to konieczne, czy nie.

–Zrobię to! – Cr’not uroczyście skinął głową. – Nie powinnaś jednak zostawiać swojej królowej – dodał, potrząsając z z troskaniem głową.

–Przychodzi taka chwila, kiedy to, co się powinno robić, ma niewiele wspólnego z tym, co się robi, Cr’nocie. Posłano po mnie! Przyleciałam! A teraz odlatuję! – Skinęła Cr’notowi głową. Mistrzowie Weyrzątek stanowili zupełnie odrębny gatunek ludzi i uważali, że wolno im wszystkich w Weyrze krytykować. Zbierając swoje rzeczy, Moreta mrugnęła do Pressena, a następnie wyszła z budynku.

Wbiegła na schody.

„One śpią” – powtórzyła Holth, a oczy jej pogodnie wirowały.

–My też pójdziemy spać, jak tylko wrócimy do domu powiedziała Moreta, dosiadając chudego grzbietu Holth. – Lećmy teraz do Weyr Fortu.

Holth zeskoczyła z półki skalnej i natychmiast zanurzyła się w „pomiędzy”. Kiedy otulało je zimno nicości, Moreta zastanawiała się, czy nie powinna Leri wspomnieć o tej dziwacznej sztuczce Holth. Czy chodziło tylko o to, że królowa była stara i nie mogła wybić się silnie? A może taka krytyka ze strony Morety zostałaby źle przyjęta?

A potem wynurzyły się w bladym świetle przedświtu i leciały niziutko tuż nad jeziorem Weyr Fortu. Mało prawdopodobne, żeby jeździec wartownik dojrzał w ciemnościach smoka, który leci tak nisko.

Holth wylądowała na swojej półce skalnej, przyjęła podziękowania Morety, po czym poczłapała chwiejnie do swojego weyru. Moreta zbiegła w dół po schodach i wpadła do Wylęgarni. Z ulgą stwierdziła, że Orliith nawet głową nie ruszyła podczas jej nieobecności. A Leri leżała na pryczy Morety, pogrążona w głębokim śnie.

### **Rozdział XIII**

Warownia Ruatha i Weyr Fort, Przejście bieżące, 3. 19. 43

Alessan musiał zrobić przerwę. Krople potu wystąpiły mu na czoło, spływały po policzkach i brodzie. Spocily mu się dłonie, zaciśnięte na rękojeści pługa, a biegusy, ciągnące pług po ubitej deszczem ziemi, dyszały równie ciężko jak on sam. Lord Warowni Ruatha nie zwracał uwagi na to, że pieką go pęcherze, które porobiły mu się przez ostatnie dwa dni, i wytarł dłonie w brudną szmatę zatknietą za pas. Otarł ręką spoconą twarz i kark, łyknął wody z flaszki, podniósł lejce, klepnął po zadach biegusy i uchwycił na powrót nieporęczny pług.

Jeszcze kilka dni i biegusy zapomną, że trenowano je na wyścigi. Powtarzał to sobie stale. Jeżeli chce zarządzać Warownią, musi wytrenować je na nowo. Z gorzkim uśmiechem zastanawiał się, czy te jego kłopoty nie są przypadkiem karą za sprzeciwianie się życzeniom ojca. Jednakże żadne zwierzę tamtej rasy nie przeżyło zarazy. Cięższe biegusy, zwierzęta pociągowe, zwierzęta do pługa, krzepkie długodystansowce, wszystkie one okazały się szczególnie podatne na infekcje płucne. Lekkie, żylaste biegusy jego chowu przeżyły i pasły się na bujnych łąkach nadrzecznych, dopóki nie musiał zaprząć ich do pługa.

Trzeba było zorać i obsiać ziemię, złożyć daninę, wykarmić Warownię. Doszedł na skraj pola i szerokim łukiem zawrócił biegusy. Skiby były nierówne, ale ziemia została odwrócona. Sprawdził kątem oka jak radzą sobie na polach pod Warownią inni oracze. Widział stąd także drogę prowadzącą na północ. Nadjeżdżał nią właśnie jakiś człowiek. Alessan osłonił oczy i zaklął, bo prawy biegus natychmiast wykorzystał tę chwilę jego nieuwagi. Kiedy znów naprostował pług, był już pewien, że mignął mu harfiarski błękit. To Tuero musi wracać z objazdu północnych gospodarstw. Któż inny ośmieliłby się zapaść do Ruathy? Bębny nadały prośbę Alessana o ciężkie, gospodarskie biegusy, ale powiedziano mu, że nikt nie ma nic do zaoferowania. Ani groźby, że je zarekwiruje, ani obietnice, że zapłaci podwójną cenę, nie dały żadnych rezultatów.

–To ta zaraza, Alessanie – powiedział Tuero, tym razem bez uśmiechu. – Najgorsze spustoszenie poczyniła tu, w Ruacie. Dopóki Mistrz Capiam nie roześle tej swojej szczepionki do wszystkich gospodarstw, nikt się tu nie zjawi. A nie sądzę, żeby nawet wtedy mieli przyprowadzić ze sobą zwierzęta. Przecież tyle ich tutaj padło.

–Jeżeli oni nie chcą tu przyjść, to ja będę musiał pójść do nich! Sam przyprowadzę biegusy! Nie ośmielą się odmówić swojemu Lordowi! – Jednakże pomstując na swoich poddanych, Alessan rozumiał ich punkt widzenia – zwłaszcza że sam nie miał jeszcze odwagi posłać po Daga, Fergala i rasowe biegusy. Follen zapewniał go solennie, że zaraza przenosi się przez kaszel i kichanie, przez kontakt osobisty – i że na pewno nie ma jej w ziemi na terenie wyścigów, ani w boksach, gdzie zdechło tyle zwierząt, ale Alessan nie chciał narażać na ryzyko tych kilku bezcennych, rozplodowych biegusów, z którymi Dag czmychnął tamtego ranka, po przeklętym Zgromadzeniu.

Po poważnej dyskusji z Tuero, Deferem i Okliną – których nazywał swoją radą przyboczną – zdecydowano, że on sam nie może nigdzie jechać, ponieważ nikt inny na terenie Warowni nie ma na tyle wysokiej rangi, by ludzie byli mu posłuszni. Alessan nie chciał, żeby to Tuero ruszał w podróż, ponieważ harfiarz dopiero co podniósł się z łóżka. Jednakże Tuero stwierdził, że skoro jest harfiarzem, to najlepiej właśnie jego wysłać jako emisariusza. Jest wiosna, spędzi sobie kilka dni na świeżym powietrzu, sama misja nie wymaga wielkiego wysiłku, a wszystko to razem pozwoli mu ostatecznie odzyskać zdrowie. Poza tym, chociaż jako harfiarz potrafi uporać się z niemal każdą robotą, orać nie umie. Alessan nie uwierzył w ani jedno jego słowo, z ale braku innego kandydata musiał go wysłać.

Chudy, żylasty wierzchowiec szedł szybkim krokiem z uniesioną do góry głową, a kiedy uświadomił sobie, że jest już prawie w domu, jeszcze się ożywił. Stopy Tuero zwisały na poziomie kolan biegusa, a chuda postać harfiarza podrygiwała na jego grzbiecie. Wyglądało na to, że jakoś się zgrali się ze sobą. Zbliżali się do pola Alessana, a on nie mógł puścić rękoności pługa, żeby pozdrawić harfiarza. Dotarł właśnie do miejsca, gdzie pole opadało w dół i orczyk walił po pęczinach biegusy. Orka była już na ukończeniu. Skończy robotę i wtedy będzie mógł poświęcić uwagę wiadomościom od Tuero.

Kiedy skierował znużone biegusy do stajni, siewcy pracowicie sypali już ziarno na ziemię. Będą mieli jakieś plony pomimo tej przeklętej zarazy. Pod warunkiem, że pogoda utrzyma się i żadna inna katastrofa – jak ryjące Nici – nie spadnie na nieszczęsną Ruathę.

Ku zaskoczeniu Alessana Tuero czekał na niego w stajni, siedząc na postawionym do góry dnem wiadrze. U jego stóp stały juki, zaś na pociągłej twarzy harfiarza malował się wyraz satysfakcji. Jego wierzchowiec żuł w swojej przegrodzie słodką trawę, a z grzbietu zniknęły mu już wszelkie ślady po siodle.

–Widziałem, jak ciężko pracujesz, Lordzie Alessanie – zaczął Tuero z isierką rozbawienia w oczach, biorąc od niego lejce. Skiby coraz lepiej ci się udają.

–Jest się z czego poprawiać. – Alessan zaczął odpinać sprzączki uprzęży.

–Na całym obszarze Warowni ludzie legendy już opowiadają o tym, jak pilnie się wszystkim zajmujesz. Wielu bierze z ciebie przykład. Dzięki temu, że imasz się pługą, zyskałeś popularność.

–A czy masz jeszcze jakieś złe wiadomości? – przerwał mu Alessan, zdejmując ciężkie chomąto z prawego biegusa.

–Nic takiego, czego byś się sam nie mógł domyślić. – Tuero kiwnął głową w kierunku juków i zaczął zdejmować chomąto z drugiego biegusa. – Mam tu parę drobiazgów, ale sam widziałem, jak ogłoszone są spiżarnie z najbardziej nawet podstawowych rzeczy. Przynajmniej na północy.

–Co jeszcze? – Alessan wolał wszystkie złe wiadomości otrzymywać hurtem; pozwalało mu uszeregować je stosownie do ich wagi i jednymi przejmować się bardziej, a innymi mniej.

Ludzie zaczęli już uprawiać ziemię. Chociaż tam, na północy. – Tuero machnął w tamtym kierunku wiechciem słomy, którym wycierał wcześniej swojego biegusa z potu – w niektórych warowniach straty są bardzo poważne. Część uczestników Zgromadzenia odeszła, zanim ogłoszono kwarantannę, przynosząc zarazę. Sporządziłem listę zmarłych. Bardzo to bolesny rachunek. Powiadają, że nieszczęśnik cieszy się z towarzystwa innych nieszczęśników. Jak ktoś ma usposobienie melancholika, to może się z tego i cieszy. Mam tu listę, czego komu trzeba i jakie kto ma problemy. A w drodze powrotnej wpadłem na pomysł, który może wszystkim pomóc. Nie myliłem się, twierdząc, że ludzie będą bali się przychodzić tu, do samej Warowni. Miałem rację, że nie zechcą wysyłać dobrych zwierząt na śmierć, nawet gdybyś proponował im nie wiedzieć ile marek. Niełatwo mi przychodziło przekonać ich, żeby wpuścili Chudzielca do swoich warowni. Byli przerażeni.

–Przerażeni?

–Przerażeni, że jest nosicielem zarazy.

–Przecież ten biegus ją przeżył!

–No właśnie. On przeżył, ty i ja przeżyliśmy. Ja wyzdrowiałem prędzej, bo dostałem surowicę. Czy surowica z biegusów – ozdrowieńców nie chroniłaby innych w taki sam sposób, jak szczepionka chroni ludzi? – Uśmiechnął się, widząc reakcję Alessana. – Jeżeli się nie mylę, to masz tam całe pole lekarstw. I dobry towar do przetargu.

Alessan wpatrywał się w Tuero szeroko otwartymi oczami, wyrzucając sobie, że sam nie pomyślał o szczepieniu zwierząt. Wielu z jego drobnych gospodarzy utrzymywało się z hodowli biegusów, ale w tej krytycznej sytuacji Alessanowi sumienie nie pozwalało żądać od nich zapłaty powinności, chociaż miał do tego prawo. Rozumiał, jak bardzo boją się, żeby nie przywlec zarazy do swoich gospodarstw.

–Że też sam o tym nie pomyślałem! Chodź. Odstawmy ten sprzężaj. Mam ochotę na małą pogawędkę z Uzdrowicielem Follenem. – Klepnął prowadzonego zwierzaka po zadzie i przynaglił go, żeby szybciej wszedł do swojej przegrody. – Jak mogłem być taki tępy?

–Miałeś jeszcze kilka innych spraw na głowie.

–Człowieku! Życie mi wracasz! – Alessan nie posiadał się z radości; klepnął chudego harfiarza w ramię i szeroko się uśmiechnął. Była to pierwsza chwila wytchnienia od ponurej rzeczywistości, od kiedy wyzdrowiała Oklina. – I pomyśleć, że wahałem się, czy cię wysłać.

–Ty mogłeś się wahać, ja się nie wahałem – powiedział bezczelnie Tuero, zgarnął swoje juki i podążył za Alessanem do Wielkiej Sali Warowni.

Follena znaleźli natychmiast. Zajmował się chorymi, leżącymi w Wielkiej Sali. Alessan poczuł, jak robi mu się niedobrze od zapachów, których nie były w stanie usunąć żadne kadzidła. Unikał Wielkiej Sali, jak tylko mógł – ten kaszel, chrapliwe oddechy i jęki pacjentów nieustannie przypominały mu, jak okropne przyjęcie zgotował swoim gościom. Niespokojna twarz Follena rozjaśniła się, kiedy zobaczył leki przywiezione przez Tuero. Spotkali się w gabinecie Warowni, który teraz zajmował Follen. Uzdrowicielowi mina zrzędnęła, kiedy przejrzał torby i zwiłki ziół. Alessan wspomniął mu o szczepieniu biegusów.

–Przesłanki wydają się słuszne, Lordzie Alessanie, ale nie znam się na leczeniu zwierząt. Mistrz Hodowca... och, tak, zapomniałem. Jednakże w Stajniach Keroonu musi się znaleźć ktoś, kto będzie w stanie rozważyć tę sprawę i udzielić nam odpowiedzi.

Tuero westchnął z rozczarowania.

–Jest już za późno, żeby wybębnić Keroon. Nie podziękowaliby nam za to, że wrywamy ich z łóżka.

–Mamy tu dużo bliżej kogoś, kto powinien to wiedzieć – powiedział Alessan po namyśle. – Follenie, czy zostało nam jeszcze trochę ludzkiej szczepionki? Tyle, żeby wystarczyło dla dwóch osób?

–Mogę ją oczywiście przygotować.

–Zrób tak, a Tuero i ja prześlemy wiadomość do Weyr Fortu. Moreta będzie wiedziała, czy można szczepić biegusy. A potem – dodał – będę mógł sprowadzić z powrotem Daga i zobaczyć, co mu się udało uratować.

Kiedy bębniasta Weyru odebrał tę wiadomość, Moreta poczuła się zaskoczona. Kwarantanna już nie obowiązywała. Alessan podkreślał, że został zaszczepiony i jest zdrowy. Nie było żadnego powodu, żeby odmówić jego prośbie, a z wielu powodów należało ją spełnić, chociażby przez ciekawość, dlaczego Lord Warowni Ruatha pilnie potrzebuje się z nią zobaczyć. Orlith nie była zachłanną, ponurą smoczyką i chętnie pozwalała ludziom podziwiać swoje jaja, a zwłaszcza jajo królewskie, chociaż leżało ono zawsze w zasięgu jej przedniej łapy. Kiedy wreszcie pozwoliła sobie na posiłek, przed odlotem usypała ochronny krąg wokół tego najważniejszego.

–Przecież nikt ci nie ukradnie żadnego jaja – droczyła się z nią Moreta. Opowiedziała Orlith, jak to o brzasku złożyła wizytę w Dalekich Rubieżach, a smoczyca udzieliła jej rozgrzeszenia za tę

samarytańską misję.

–Leri była tutaj. Holth towarzyszyła tobie. W tych okolicznościach to sprawiedliwa wymiana. A ja spałam.

Po powrocie z Dalekich Rubieży Moreta zdrzemnęła się trochę ale spała niespokojnie, jak gdyby spodziewała się następnego wezwania. Gdyby mogła wybierać, zostałaaby u boku Tamianth tak długo aż do skrzydła zacznie napływać posoka. Pocięszała się, że Pressen wie już, co może grozić Tamianth i umie temu zaradzić. Poza tym ryzyko następnego kryzysu malało, gdy Tamianth odzyskiwała siły, a Falga wracała do zdrowia po gorączce wywołanej raną.

Miniony dzień był długi i pełen napięć. Moreta temu właśnie przypisała dręczące ją uczucie niepokoju i wysłała M’baraka, ulubione weyrzătko Leri, do Ruathy. K’lon opowiadał Leri i Morecie, jakie straszne wrażenie zrobiła na nim ta Warownia. Moreta nie chciała zastanawiać się nad wizją spustoszonej Ruathy, którą podsuwała jej bujna wyobraźnia. Jakie słowa pociechy można przekazać człowiekowi, który stracił aż tak wiele?

Nagle tuż przy Wylęgarni pojawił się Alessan. Ubrany był w zgrzebne skóry, spod których przy szyi wyglądała czysta koszula. Obok niego stał wymizerowany mężczyzna w wypłowiałej, łatanej tunice, koloru harfiarskiego błękitu. Widząc ich wahanie, M’barak uśmiechnął się i gestem ręki wskazał im miejsce, gdzie chwilowo zamieszkała Moreta. Orlith nie spała i przyglądała się, jak wchodzą, nie okazując żadnego poruszenia.

Alessan tak bardzo się zmienił, że Moreta wprost nie mogła go poznać. Wciąż jeszcze miała przed oczyma tamtego pewnego siebie, przystojnego, pełnego optymizmu młodzieńca, który osiem dni temu powitał ją na Zgromadzeniu w Ruacie. Alessan schudł i miał tunikę ciasno przepasaną, bo zrobiła się za szeroka. Jego włosy nie robiły już wrażenia świeżo ostrzyżonych i wyszczotkowanych. Ciekawe, dlaczego akurat ten szczegół ma dla niej tak wielkie znaczenie? Plamy i odciski na jego rękach świadczyły o tym, że ciężko pracował fizycznie, co niewątpliwie przynosiło mu zaszczyt, podobnie jak ślady czerwonego ziela na jej dłoniach. Żal jednak było patrzeć na bruzdę na jego twarzy, na gorzko skrzywione usta i wyraz znużenia w jasnozielonych oczach.

–To jest Tuero, Moreto, który był dla mnie bezcenny... od tego Zgromadzenia. – Alessan przerwał na moment, potem mówił dalej, nie chcąc wysłuchiwać żadnych komentarzy. – Wysunął teorię, na którą nie potrafię znaleźć kontrargumentów, ale ponieważ o tej godzinie nie mogę porozumieć się z nikim ważnym w Stajniach Keroonu, pomyślałem, że może ty nam powiesz, co o tym myślisz.

–O co chodzi? – zapytała Moreta, zaskoczona jego nieśmiałością. Alessan nie tylko wyglądał inaczej, zmiany musiały sięgać dużo głębiej.

–Tuero – Alessan lekko skłonił się przed harfiarzem – zastanawiał się, czy nie można by sporządzić szczepionki z krwi biegusów, żeby ochronić je przed zarazą.

–Oczywiście, że można! Czy chcesz powiedzieć, że nikt tego nie robił? – Moretę zalała taka fala wściekłości, że Orlith ze swojej pólężącej pozycji podniosła się na wszystkie cztery łapy, oczy

zawirowały jej na różowo, a z gardła wydobył się zatroskany, pytający grzmot.

–Otóż to.

–Nikt nie pomyślał, żeby to robić, czy nie było na to czasu? – zapytała. Straszno jej się zrobiło na myśl o dalszych stratach wśród zwierząt i ludzi. Ponuro zacięte usta Alessana i westchnienie Harfiarza starczyły za odpowiedź. – Sądziłam, że... – Zamknęła oczy i zacisnęła pięści. Przypomniała sobie ciężkie straty poniesione przez Stajnie Keroonu... opustoszałą warownię swojej rodziny...

–Były ważniejsze sprawy – powiedział Alessan. Mówił obojętnie, jak gdyby dał za wygraną wobec brutalnych faktów.

–Tak, oczywiście. Czy macie jakichś uzdrowicieli?

–Jest kilku.

–Z krwi biegusów w ten sam sposób można otrzymać taką samą surowicę. Metodą odwirowania. Oczywiście od biegusów można pobierać więcej krwi, a szczepionkę należy podawać proporcjonalnie do wagi ciała. Im cięższy...

Alessan podniósł jedną brew i Moreta zorientowała się, że w Ruacie nie było już żadnych cięższych zwierząt.

–Czy masz może zbędne igły cierniowe? – zapytał Alessan, przerywając milczenie.

–Tak. – W tym momencie Moreta byłaby Alessanowi dała wszystko, żeby tylko mu pomóc. – Jeżeli coś jeszcze jest ci potrzebne w Ruacie, to bierz.

–Obiecano nam, że z Fortu przyjdzie karawana z zaopatrzeniem – powiedział Tuero – ale dopóki woźnice nie będą mieli gwarancji, że w Ruacie ludzie i zwierzęta są zdrowi, nikt nie ośmieli się zbliżyć do Warowni.

Moreta pokiwała głową, z oczami utkwionymi w Alessana. Mówił obojętnie, jak gdyby go to nie dotyczyło. Jakże jednak inaczej mógłby znieść tyle nieszczęść?

–M'baraku, zabierz Lorda Alessana i czeladnika Tuero do magazynu. Mogą wziąć z naszych zapasów wszystko, czego im trzeba.

Oczy M'baraka rozszerzyły się.

–Zaraz do was dołączę – rzekł Alessan i Tuero odszedł razem z M'barakiem. Alessan zsunął z ramienia plecak. – Nie przybyłem tutaj – powiedział z ironicznym uśmiechem – w oczekiwaniu na szczodre dary. Mogę jednak przynajmniej zwrócić ci twoją sukienkę. – Wyjął starannie złożoną złotobrazową suknię i podał ją jej z uprzejmym ukłonem.



Moreta wzięła suknię drżącymi rękoma. Pomyślała o wyścigach, o tańcach, o tym jak bardzo cieszyła się Zgromadzeniem, jak urzeczona była znakomitą organizacją wieczoru, kiedy obydwie z Okliną torowały sobie drogę na plac taneczny. Nigdy nie zapomni tej nocy. Długo powstrzymywany gniew, tłumione żale, konieczność porzucenia Orlith, co oznaczała dla niej zdradę Naznaczenia, spowodowało, że Moreta wtuliła twarz w sukienkę i wybuchnęła nieopanowanym płaczem.

Orlith zaczęła pocieszająco nucić. Alessan mocno objął Moretę. Nie mogła się już powstrzymać i jej łzy popłynęły strumieniem. Poczowała, że również Alessan spazmatycznie łapie powietrze. Nareszcie i on dał wyraz swojej rozpacz. Razem płakali i pocieszali się nawzajem, a płacz działał na nich oczyszczająco.

„To było potrzebne” – powiedziała Orlith, a Moreta wiedziała, że jej współczucie dotyczy również Alessana.

Pierwsza doszła do siebie Moreta. Tuląc mocno rozdygotanego Alessana, szeptała słowa pociechy i zachęty, chwaliła jego nieugiętą wolę i niezłomny charakter, powtarzając wszystko to, co usłyszała od K’lona. Wreszcie Alessan przestał dygotać i po raz ostatni głęboko westchnął pozbywając się całego balastu smutku i wyrzutów sumienia. Teraz nie przytulali się już do siebie tak szaleńczo. Popatrzyli sobie w oczy. Z twarzy Alessana zniknęło poprzednie napięcie. Uniósł rękę i delikatnie otarł jej policzki z łez.

Znowu objął ją mocniej i przyciągnął do siebie. Moreta przyjęła jego pocałunek, myśląc, że przypieczętują nim wzajemne ukojenie swoich smutków. Żadne z nich nie spodziewało się tego wybuchu namiętności – ani Moreta, która przestała myśleć o mężczyznach spoza Weyru, ani Alessan, który sądził, że wypalił się do cna przez nieszczęścia, które go dotknęły w Ruacie.

Orlith pogodnie nuciła, ale ogarnięta falą namiętności Moreta niemalże jej nie słyszała. Krew w niej się wzburzyła od bliskości Alessana, od dotknięcia jego silnie umięśnionych ud. Nawet jej dziewczęca miłość do Talpana nie budziła takich niepohamowanej reakcji. Moreta przywarła do Alessana, pragnąc, by ta chwila trwała wiecznie.

Powoli, niechętnie Alessan oderwał usta od jej warg i spojrzał na nią z pełnym niedowierzania napięciem. Potem również i on uświadomił sobie, że smoczyca nuci i zaskoczony zerknął w jej stronę.

–Ona nie ma nic przeciwko temu! – To go jeszcze bardziej zdumiało i zrozumiał, na jakie się narażał ryzyko. – Gdyby miała, wiedziałbyś o tym. – Moreta roześmiała się. Wyraz konsternacji na jego twarzy nagle zmieniał się w zachwyty. Moreta wprost tryskała szczęściem.

Orlith nuciła już niemal sopranem, na ile pozwalała jej na to smocza krtań. Moreta cofnęła się o krok od Alessana i uśmiechnęła się z żalem.

–Czy oni to usłyszą? – zapytał, odpowiadając jej smętnym uśmiechem, niechętnie wypuszczając ją z objęć.

–Pewnie uznają, że cieszy się tak z jaj.

–Twoja suknia! – Schylił się po suknię, która leżała pomięta u ich stóp. Właśnie podawał ją Morecie, kiedy pojawili się M’barak i Tuero.

–Musisz myśleć o tak wielu sprawach, Alessanie – powiedziała Moreta, sama zaskoczona swoim opanowaniem – że nie spodziewałam się, żebyś o tym pamiętał.

–Jeżeli zwrot zapomnianej sukni zawsze nagradzasz tak szczerze, to zostawiaj u mnie więcej rzeczy! – powiedział Alessan, wskazując ręką na pełny plecak Tuero.

Moreta nie mogła powstrzymać się od śmiechu. M’barak popatrywał to na nią, to na Orlith. Tuero czuł, że coś się wydarzyło, ale nie miał pojęcia, co.

–Nie wziąłem wszystkiego, co jest nam potrzebne – powiedział harfiarz, patrząc to na Władczynię Weyru, to na Lorda Warowni z zakłopotanym uśmiechem. – Musiałbym wam kompletnie ogołocić magazyny.

–Sądzę, że łatwiej mnie będzie o uzupełnienie zapasów, niż wam. Jak mówiłam Alessanowi – Moreta uważała, że muszą ukrywać swoje uczucia – mam wrażenie, że w jakichś starych kronikach jest wzmianka o takim szczepieniu zwierząt, ale nie pamiętam szczegółów. Powinniście wypróbować tę surowicę najpierw na jakimś bezwartościowym zwierzęciu...

–Tak się składa, że teraz nie ma żadnych bezwartościowych zwierząt w Ruacie – powiedział Alessan nieco ironicznie. – Należy mieć nadzieję, że szczepionka okaże się równie skuteczna, jak w przypadku ludzi.

–Czy pytałeś Mistrza Capiama? – dowiadywała się Moreta, żałując, że Alessan odsunął się od niej tak szybko, chociaż rozumiała, że było to konieczne.

–To ty znasz się na biegusach, a nie Mistrz Capiam. Chciałem się upewnić, czy da się ten pomysł zrealizować, bo w innym wypadku po co go budzić?

–Wydaje mi się, że jest to wykonalne. – Moreta położyła rękę na rękę Alessana. – Chyba natychmiast powinieneś zawiadomić Siedzibę Uzdrowicieli. I przesyłaj mi wiadomości na bieżąco.

Alessan uśmiechnął się, uprzejmie się uklonił, a ściskając jej dłoń, pogładził ją ukradkiem po palcach.

–Możesz być tego pewna.

–Wiem, że Oklina żyje. – Te słowa wyrwały jej się, kiedy Alessan zawrócił do wyjścia. – Czy Dag... i Kwiczek...

–A jak myślisz, czemu tak rozpaczliwie chcę zaszczepić te biegusy? Kwiczek być może jest jedynym

ogierem, jaki mi został. – Alessan zatrzymał się na moment przy wejściu, żeby pokłonić się Orlith, i wyszedł.

Tuero pospieszył za nim z zaskoczeniem na twarzy. Jako ostatni odszedł M'barak.

Orlith zaczęła znowu nucić, jej fasetowe oczy świeciły na niebiesko, połyskując czerwienią. Osłabiona tyłoma przeżyciami Moreta opadła na kamienne siedzenie, splatając drżące dłonie. Zastanawiała się, czy jest jakaś szansa, żeby Holth i Leri nie dowiedziały się o tym burzliwym spotkaniu.

## **Rozdział XIV**

Siedziba Uzdrowicieli, Warownia Ruatha, Weyr Fort, Warownia Ista, Przejście bieżące, 3. 20. 43

–Spróbuj potraktować to jako ambitne zadanie – zaproponował Capiam Mistrzowi Tirone.

Harfiarz trzasnął za sobą drzwiami, co było tak niepodobne do niego, że Desdra przestraszyła się, a Mistrz Fortine dostał ataku nerwowego kaszlu.

–Jako ambitne zadanie? Jeszcze ci ich było mało przez te ostatnie dziesięć dni? – zapytał Tirone z oburzeniem. – Pół kontynentu chore na zarazę, druga połowa chora z przerażenia, każdy najmniejszy kaszel czy kichnięcie budzi podejrzenia, jeźdźcy smoków z trudem stawiają czoło atakom Nici. We wszystkich Cechach poumierali niezastąpieni Mistrzowie i obiecujący czeladnicy. A ty mi radzisz, żebym to potraktował jako ambitne zadanie? – Tirone wepchnął pięści za pas i piorunował wzrokiem Mistrza Uzdrowiciela. Przybrał pozę, którą Capiam trochę lekceważąco nazywał „harfiarską manierą”. Nie był to odpowiedni moment na żarty, więc Capiam nie ośmielił się zerknąć na Desdrę, której wcześniej zwierzył się ze swojego spostrzeżenia. – Czy to nie ty sam powiedziałaś mi dziś rano – ciągnął dalej Tirone, a jego bas dźwięcznie wibrował ze złości – że nie ma żadnych doniesień o nowych przypadkach zarazy?

–Powiedziałem. Jednak cieszyć się będę dopiero wtedy, kiedy taki stan potrwa ze cztery dni. Na razie oznacza to tylko, że mija pierwsza fala wirusowej grypy. Ta „grypa” – tak ją przezwali Starożytni – może mieć nawroty. Martwię się przeokropnie następną jej falą.

–Następną? – Tirone wpatrywał się tępo w harfiarza, jak gdyby w nadziei, że się przesłyszał.

Capiam westchnął. Wcale nie był zadowolony z tej rozmowy. Miał nadzieję, że uda mu się ją odłożyć do czasu, aż będzie miał gotowy jakiś plan. Ludzie mniej byli skłonni do popadania w panikę, jeżeli przedstawiło im się plan działania. Niemalże zakończył już obliczenia, ile muszą mieć szczepionki, ilu potrzeba jeźdźców, żeby tę szczepionkę rozwiązać (a musiał przyjąć, że będą chcieli uniknąć powtórnego wybuchu zarazy tak samo jak on), ile jest warowni i cechów, gdzie należy ją podać. Tę rozmowę z Tironem poprzedziły plotki uczniów i spekulacje, z jakiego to właściwie powodu uzdrowiciele proszą, żeby znowu oddawać krew na surowicę, skoro jest coraz mniej doniesień o przypadkach tej „grypy”, i dlaczego nie zlikwidowano obozu dla internowanych.

–Następna? – W głosie Tirone’a dało się wyczuć niedowierzanie.

–Niestety, tak – odparł Mistrz Fortine ze swojego kąta, uważając że jego kolega potrzebuje wsparcia.  
– Jak dotąd znaleźliśmy cztery wyraźne wzmianki na temat wirusowej grypy tego typu. Wygląda na to, że ten wirus podlega mutacji. Surowica, która działa na jedną jego odmianę, nie zawsze ma wpływ na drugą.

–Obawiam się, że szczegóły mogą znudzić Mistrza Tirone’a – powiedział Capiam. Nie należy wszczynać paniki. Capiam uczeplił się tej jednej jedynej nadziei, że jeżeli zaszczepią wszystkich ludzi na Północnym Kontynencie i wyłowią przy tym wszystkich nosicieli tej odmiany wirusa, to zmniejszy się ryzyko następnych wybuchów grypy, a jej objawy rozpoznają z łatwością i szybko sobie z nimi poradzą.

–Szczegóły interesują mnie bardziej, niż ci się zdaje – powiedział Tirone. Wielkimi krokami podszedł do biurka Capiama i usadowił się na krześle, krzyżując na piersiach ręce. – Zapoznaj mnie z nimi.

Capiam podrapał się po karku. Weszło mu to ostatnio w nawyk i sam nad tym ubolewał.

–Wiesz, że przeglądaliśmy stare kroniki, żeby znaleźć wzmianki o tej wirusowej grypie...

–Wiem. Co to za głupia nazwa.

–Znaleźliśmy cztery oddzielne wzmianki dotyczące „grypy”, plagi, która okresowo trapiła ludzi przed Przeprawą. Nawet przed Pierwszą Przeprawą.

–Nie wdawajmy się w politykę.

Capiam otworzył szeroko oczy i popatrzył na harfiarza z łagodnym wyrzutem.

–Nie wdaję się. Jednak zawsze uważałem, że należysz do dwuprzeprowowej szkoły myślenia. Wystarczy powiedzieć – dodała pospiesznie, kiedy brwi Tirone’a zaczęły drgać nerwowo – że nasi przodkowie również byli nosicielami rozmaitych bakterii i wirusów, niemożliwych do wytopienia.

–Nie ma co do tego wątpliwości, ale są one konieczne, żeby we właściwy sposób funkcjonowały zarówno nasze ciała, jak i organizmy zwierząt, sprowadzonych w czasie obydwu Przepaw – powiedział Mistrz Fortine, z przejęciem popierając swojego kolegę.

–Jak mówi Fortine, niektórych infekcji nie uda nam się uniknąć. Musimy jednak zapobiec drugiej infekcji wirusowej. Ta choroba może mieć nawroty. Takie nawroty muszą też niewątpliwie zdarzać się okresowo na Południowym Kontynencie. Na własnej skórze przekonaliśmy się, że wystarczy jeden nosiciel. Nie możemy pozwolić, żeby to się powtórzyło, Tirone. Nie mamy ani lekarstw, ani personelu, żeby poradzić sobie z drugą epidemią.

–Wiem o tym równie dobrze, jak ty – powiedział Tirone głosem ochryłym ze zdenerwowania. – Czy

te twoje drogocenne kroniki mówią, jak sobie radzili z tym Starożytni? – Z pogardą wskazał na grube kroniki na biurku Capiama.

–Masowe szczepienia!

Dopiero o dłuższej chwili Tirone zorientował się, że Capiam odpowiedział na jego pytanie.

–Masowe szczepienia? Całego kontynentu? Ale ja zostałem już zaszczepiony.

–Taka surowica, jaką jesteśmy w stanie wyprodukować, daje odporność zaledwie na jakieś czternaście dni. Tak więc sam widzisz, że mamy bardzo mało czasu... a w Igenie i Keroonie to może już ostatnia chwila, chyba że zdążymy zaszczepić absolutnie wszystkich. To jest to ambitne zadanie. Moja Siedziba dostarczy surowicy i personelu do szczepień; twoja zapobiegnie panice w cechach, warowniach i Weyrach!

–Panika? Tutaj muszę się z tobą zgodzić! – Tirone ostrym gestem wskazał na Warownię Fort, gdzie Lord Tolocamp wciąż jeszcze odmawiał opuszczenia swojego apartamentu. – Paniki powinieneś się bardziej bać niż zarazy.

–Wiem. – Capiam wszystko zawarł w tym jednym słowie. Desdra przysunęła się do niego. Nie był pewien, czy miała zamiar popierać go czy chronić, ale bardzo sobie cenił jej bliskość. Musimy działać szybko i przyłożyć się do pracy. Jeżeli w Igenie, Keroonie czy Ruacie zostanie choć jeden nosiciel...

Gniewne spojrzenie Tirone'a przypominało mu jego własną reakcję, kiedy musiał przyznać, że z czterech wzmianek, które z ociąganiem pokazali mu Fortine, a potem Desdra, nieuchronnie wypływają takie, a nie inne wnioski.

–Żeby zapobiec drugiej epidemii, musimy przeprowadzić szczepienia teraz, w przeciągu najbliższych kilku dni. – Capiam zwrócił się energicznie w stronę map, nad którymi wcześniej pracował. – Niektóre części Lemosu, Bitry, Cromu, Nabolu i górnego Telgaru, Dalekich Rubieży i Tilleku nie miały kontaktu z nikim, odkąd rozpoczęła się zimna pora. Ich możemy zaszczepić później, kiedy stopnieją śniegi, ale zanim zaczną się wiosenne deszcze, bo wtedy ludzie zaczną się bardziej swobodnie poruszać. Musimy więc zatroszczyć się o tę część kontynentu. – Capiam przesunął ręką po południowej połowie mapy. – Struktura społeczna Pernu, zwłaszcza w okresie Przejścia, pozwala prześledzić, gdzie kto jest. Wiemy również w przybliżeniu, ilu ludzi przeżyło pierwszą falę grypy i kto został zaszczepiony. Wszystko więc sprowadza się do przeprowadzenia szczepień w wyznaczony dzień. Ponieważ jeźdźcy smoków są podatni na tę chorobę, mam wrażenie, że możemy liczyć na ich współpracę przy dostarczaniu szczepionki do punktów rozdziału, które zaznaczyłem na całym kontynencie.

Tirone parsknął gniewnie.

–Nie licz na żadną współpracę M'taniego z Telgaru. L'bol z Igeny też nie przyda się do niczego. Weyrem kieruje Wimmia i mamy szczęście, że do Opadu wylatują połączone Weyry. Może nam

pomóc F'gal...

Zniecierpliwiony Capiam potrząsnął głową.

–Całą potrzebną mi pomoc mogę otrzymać od Morety, S'ligara i K'drena. Musimy to jednak zrobić teraz, żeby pohamować rozprzestrzenianie się grypy. Można ją zatrzymać, unicestwić, jeżeli nie będzie nowych ofiar, dzięki którym mogłaby się szerzyć.

–Jak Nici?

–Jest tu pewna analogia – przyznał ze znużeniem Capiam. Ostatnio tak wiele czasu spędzał na przekonywaniu Fortine'a, Desdry, innych Mistrzów, a nawet siebie samego. Im częściej o tym mówił, tym wyraźniej czuł że działać trzeba bezzwłocznie. Wystarczy jedna Nić, żeby zdewastować pole czy kontynent. Wystarczy jeden nosiciel, żeby zaraza się rozniosła.

–Albo jeden mistrz marynarski, który będzie usiłował zabezpieczyć swoje przedwczesne roszczenia do ziemi na Południowym Kontynencie...

–Co takiego?

Tirone wyjął spod tuniki poplamiony wodą plik pergaminów.

–Właśnie się do ciebie w tej sprawie wybierałem, Mistrzu Capiamie. Mistrz Burdion, uzdrowiciel w Morskiej Warowni Igeny, powierzył te papiery mojemu czeladnikowi. Potrzebne mi były do sporządzenia dokładnego sprawozdania z tego okresu.

–Tak, tak, zadręczałeś mnie tym w czasie choroby. – Capiam chciał wziąć księgę od Tirone'a, ale on zgromił go spojrzeniem.

–Nie istniało żadne pływające po morzu zwierzę i wcale nie trafili na nie przypadkiem, Capiamie. Oni wylądowali na Południowym Kontynencie. Burdion, jak wiesz, dosyć ciężko przechodził tę grypę i w czasie rekonwalescencji, z braku innej lektury, przeczytał dziennik pokładowy starego „Szkwała”. Przebywał już wystarczająco długo w nadmorskiej warowni, żeby rozeznac się w adnotacjach marynarzy. Mówił, że Mistrz Varney był uczciwym człowiekiem. Zapisał w dzienniku pokładowym zgodnie z prawdą, że dopadł ich huragan i zboczyli z kursu. Jednakże nie powinni byli lądować. Nie należało podejmować badań Południowego Kontynentu przed zakończeniem tego Przejścia. Miał to być połączony wysiłek Siedzib, Warowni i Weyrów. Stali tam na kotwicy przez trzy dni! – Tirone podkreślał swoje słowa waląc ręką w dziennik i Capiam w żaden sposób nie mógł nic odczytać. Kiedy Tirone puścił dziennik, Capiam natychmiast go chwycił. Desdra przysunęła się bokiem, żeby też rzucić nań okiem.

–Ojej, jakże Mistrz Varney mógł sobie pozwolić na coś takiego – powiedział Mistrz Fortine. – Wynika z tego, Capiamie, że nie jest to choroba przenoszona ze zwierząt na ludzi, tylko bezpośrednie zarażenie.

–Tylko wtedy, gdyby na Południowym Kontynencie byli jacyś ludzie – powiedział z nadzieją Capiam.

–Sądząc po wpisach w dzienniku, nie wygląda mi na to? – utracił tę możliwość Tirone.

–Kroniki dotyczące Drugiego Przejścia nie pozostawiają żadnych wątpliwości.

–Czy mamy pewność – zapytała Desdra – że oni faktycznie znaleźli się na południowych wodach?

–O tak – powiedział Tirone. – Czeladnik harfiarz, który dzieciństwo spędził na morzu, potwierdził, że zapisy położenia odpowiadają Południowemu Kontynentowi. Powiedział, że poza kontynentem nie ma tam takiej płycizny, gdzie można by zarzucić kotwicę. Oni tam byli przez trzy dni!

–Według zapisu w dzienniku musieli jakoś naprawić szalupę, uszkodzoną przez burzę.

–Niewątpliwie dokonywali jakichś napraw, ale mam tu notatkę Burdiona. – Tirone teatralnym gestem wyciągnął jakiś pergamin i przeczytał: – „W nieopróżnionym wiadrze kuchennym znalazłem niezwyklej rozmiarów pestki i zgniłe łupiny, zupełnie mi nieznane, chociaż jestem w tej Warowni już od wielu Obrotów.” – Tirone pochylił w stronę Capiama, oczy mu lśniły. A więc, moi przyjaciele, „Szkwał” dokonał przedwczesnego lądowania. I popatrzcie tylko, gdzie my przez to wylądowaliśmy! Tirone rozłożył ręce jednym ze swoich imponujących gestów.

Capiam opadł ze znużeniem na oparcie krzesła, wbił oczy w mapy i postukiwał palcami po swoich starannie wykonanych Ustach.

–Dziennik może naświetlić pewne aspekty tej sprawy, mój zacny przyjacielu, ale stanowi również ostrzeżenie przed projektowanym powrotem na Południowy Kontynent.

–Zgadzam się z całego serca!

–Utwierdziło mnie to w przekonaniu, że szczepienia są konieczne, jeżeli mamy zapobiec rozprzestrzenianiu się zarazy. Trzeba również zaszczepić biegusy. Naprawdę nie liczyłem się z tą komplikacją.

–Potraktuj ją może jak ambitne zadanie? – powiedziała sucho Desdra, która masowała napięte mięśnie na barkach Capiama.

–Obawiam się, że nasz nieoficjalny Mistrz Hodowca nie poradzi sobie z tego rodzaju ambitnym zadaniem – rzekł Capiam.

–Czy przyda nam się tu Moreta? Wychowała się w warowni, gdzie hodowano biegusy, jej rodzina miała wspaniałe stajnie rozplodowe w Keroonie... – Tutaj nawet bezwzględny zwykle Mistrz Harfiarz zająknął się, bo wiedział o tragedii, jaka spotkała tę warownię. – To ona zajęła się tym średniodystansowym biegusem na Zgromadzeniu w Ruacie. Pamiętasz, to był pierwszy przypadek tu, na zachodzie.

–Nie, Tirone, nie pamiętam – powiedział z rozdrażnieniem Capiam. Czyż należało do niego również leczenie chorych zwierząt? – To ty jesteś pamięcią naszych czasów.

–Przecież jeżeli umiemy robić ludzką szczepionkę, możemy tą samą metodą wyprodukować szczepionkę zwierzęcą – powiedziała pojednawczo Desdra. – A u Lorda Alessana z pewnością znajdzie się wystarczająco dużo dawców. Słyszałam, że niektóre z jego biegusów przeżyły tę zarazę.

–Tak, tak, przeżyły – powiedział Tirone, zerkając na przygnębionego Mistrza Uzdrawiciela i niespokojnie marszcząc brwi. No, przyjacielu, rozwiązałeś tak wiele z naszych problemów. Nie wolno ci teraz tracić ducha. – Bas Tirone’a przepojony był błaganiem i perswazją.

–Nie, nie, mój drogi Capiamie, nie możemy się teraz załamywać – dodał Mistrz Fortine ze swojego kąta.

Tirone podniósł się tryskając energią.

–Słuchaj, Capiamie, poproszę o transport dla ciebie. Możesz polecieć do Weyr Fortu, zobaczysz, co ci powie Moreta. A potem polec do tego nowego... jak mu tam, Bessela... do warowni Mistrza Zwierząt. Ponieważ ten twój program szczepień jest jeszcze bardziej pilny, od razu przystąpię do uspokajania cechów i warowni. Zacznę od Tolocampa – Tirone machnął ręką w kierunku Warowni Fort. – Jeżeli on się zgodzi, inni Lordowie Warowni nie przysporzą mi kłopotów, nawet ten wąż szczelinowy, Ratoshigan.

–Biorąc pod uwagę stan umysłu Tolocampa, jakim cudem chcesz go pozyskać dla naszych planów? – zapytał Capiam, pobudzony do działania pewnością Tirone’a.

–Może przypominasz sobie, mój kolego Mistrzu, że przez ostatnich kilka dni Lord Tolocamp pozbawiony był naszych usług. Ponieważ nigdy nie zachęcał ani swoich dzieci, ani żadnego z gospodarzy do myślenia, potrzebne mu będą nasze pomysły. Miał wystarczająco dużo czasu, żeby zastanowić się nad tym – odparł Tirone ze zwodniczo dobrotliwym uśmiechem. Ty zajmij się tą szczepionką, a ja zorganizuję resztę.

Mistrz Harfiarz nie zapomniawszy odebrać od Capiama dziennika pokładowego „Szkwała”, wyszedł z pokoju energicznym krokiem i głośno zatrzasnął za sobą drzwi.

Po spotkaniu w Weyr Forcie Alessan aż kipiał z radości. Nie spodziewał się, że ze strony Morety spotka go tyle sympatii i zrozumienia. Do tego obudziła się w nim znowu nadzieja. Byłby chętnie dłużej wspominał te chwile, ale sprawy osobiste musiały ustąpić przed najbardziej pilnym zadaniem, którym było otrzymanie nadającej się do użytku szczepionki dla biegusów, zwłaszcza dla tych, które uratował Dag.

M’barak przewiózł Alessana i Tuero z powrotem do Warowni Ruatha i wylądował z nimi na frontowym dziedzińcu. Natychmiast pojawiła się tam Oklina, co świadczyło o tym, z jakim niepokojem wyczekiwała na powrót swojego brata. Przystanęła na stopniach i podniosła głowę, żeby na niego popatrzeć. Zsiadający z błękitnego smoka Alessan wydał okrzyk radości. Na twarzy Okliny



pojawił się wyraz ulgi i dziewczyna rzuciła mu się na spotkanie. Alessan pochwycił ją w ramiona, dopiero teraz widząc, jak szczuplutka była w porównaniu z Moretą. Delikatnie pocałował Oklinę w policzek. Niewiele mieli ostatnio czasu na okazywanie uczuć, ale podczas choroby Okliny Alessan uświadomił sobie, jak bardzo jest mu ona droga. A sam się niedawno przekonał, ile życzliwości można przekazać jednym pocałunkiem.

–Moretą orzekła, że ten pomysł z surowicą jest całkiem sensowny. Wypróbujemy go! – powiedział Alessan. – Jeżeli szczepionka zadziała, to Ruatha znowu stanie się miastem otwartym, a moi gospodarze nie będą mogli uchylać się od pracy. Jeżeli nie zadziała, nic się nie zmieni w naszej sytuacji.

–Musi się udać! – zawołała Oklina żarliwie.

–Będzie nam potrzebna pomoc Follena, jego przyrządy i ta stara, rasowa klacz. Wiem, że przeżyła zarazę, a nie mogę narażać zwierząt, których używamy do prac polowych.

–Arith! Zachowuj się przyzwoicie. To jest pani Oklina! – wykrzyknął M’barak. Błękitny smok, chwijając nią lekko na boki, zbliżał pysk do Okliny, a oczy mu wirowały. Oklina przytuliła się do Alessana, nie wiedząc, jak ma reagować na takie smocze karesy.

Na reprymendę swojego jeźdźca. Arith wydał z siebie cichuteńki dźwięk, parsknął z rozczarowaniem i odwrócił głowę.

–Naprawdę nie mam pojęcia, co go naszło – tłumaczył się M’barak. – Arith zwykle jest taki grzeczny. Zrobiło się późno, jest zmęczony i lepiej będzie, jak już wrócimy do Weyru. – Ku zaskoczeniu M’baraka Arith prychnął donośnie.

Alessan podziękował M’barakowi i Arithowi za podwiezienie i odprowadził Oklinę na bok, a za nimi poszedł zamyślony Tuero.

–Błękitne smoki na ogół nie interesują się zbyt płcią przeciwną – powiedział harfiarz do Alessana.

–Naprawdę? – odpowiedział roztargniony Alessan, rozmyślając nad procedurą przerabiania krwi biegusów na szczepionkę.

–Tak, a na terenie Wylęgarni Weyr Fortu znajduje się jajo królowej.

–I co z tego? – Alessana rozmyślała nad tym, że czeka go jeszcze bardzo wiele roboty, zanim będzie mógł zobaczyć, co Dag uratował ze stad Ruathy.

Tuero uśmiechnął się.

–O ile dobrze pamiętam, Ruatha ma niemało związków krwi z jeźdźcami smoków.

Alessan popatrzył najpierw w Oklinę, potem na smoka, który już wzbił się w powietrze, i przypomniał sobie co mówił K'lon tamtego dnia, kiedy przywiózł szczepionkę do Warowni Ruatha.

–To niemożliwe!

W tym momencie pojawił się Follen i Alessan zaczął z nim rozmawiać o szczepionkach.

Tuero przyprowadził klacz zarodową z pola; była tak spokojna, że dawała się prowadzić za grzywę. Follen, Oklina, Deeper i kilku zaufanych wychowanków zanieśli wyposażenie medyczne do stajni. Pracowali z entuzjazmem, aż wreszcie okazało się, że brak im pojemników szklanych na taką ilość krwi zwierzęcej. Wtedy Oklina przypomniała sobie, że Mistrz Clargesh podarował kiedyś Lordom Warowni ogromne, ozdobne butle szklane, pracowicie wykonane i zaprojektowane przez jego uczniów, a pani Oma gdzieś je schowała. Żeby wprawić takie wielkie butle w ruch obrotowy Alessan, Tuero i Deeper przymocowali do zapasowego koła od wozu kółka zębate i korbę i zrobili z tego dużą wirówkę.

Klacz stała spokojnie i obojętnie, pobieranie krwi wcale jej nie zaniepokoiło.

–Dziwne – powiedział Follen, kiedy ukończono wirowanie pierwszej partii i odciągnięto słomkową ciecz. – Ma ten sam kolor, co surowica ludzka.

–To tylko smoki mają zieloną krew.

–Wypróbujemy szczepionkę na tym kulawym biegusie – powiedział Alessan, zastanawiając się, który to błękitny jeździec zawrócił w głowie jego siostrze. Przez cały ten czas, kiedy koło wirowało, Alessan nie mógł usiedzieć spokojnie. Dotąd czekał cierpliwie, ponieważ nie miał innego wyjścia, ale teraz, kiedy mógł ruszyć na poszukiwanie Daga, z utęsknieniem wyglądał chwili odjazdu. – Jeżeli u tego stworzenia nie zaobserwujemy żadnej negatywnej reakcji, możemy założyć, że surowica działa, ponieważ szczepienie ludzi opiera się na tej samej zasadzie.

–I tak jest już dziś za późno, żeby coś więcej zrobić – powiedział Follen ziewając po wstrzyknięciu surowicy kulawemu biegusowi.

–O tej porze Siedziba Harfiarzy nie podziękuje nam za wiadomość – zgodził się Tuero, pocierając oczy.

–Przenocuję tu na wszelki wypadek, gdyby coś się z nim działo. – Alessan wskazał głową na kulawego biegusa.

–I wyruszysz z samego rana, prawda? – Oklina pochyliła się ku bratu i popatrzyła mu w oczy. To, co mówiła, przeznaczone było wyłącznie dla jego uszu. – Żeby znaleźć Daga i Kwiczka?

Skinął głową i czule ją uściskał i kazał iść za uzdrowicielem i harfiarzem. Spoglądał w ślad za nimi, dopóki niesione przez nich trzy koszycki z żarami nie zniknęły mu z oczu w jakimś zagłębieniu na drodze. Potem wyościł słomą przegrodę obok zaszczepionego biegusa. Chociaż postanowił, że

będzie czuwał i zwracał uwagę na to, co się z nim dzieje, zasnął i spał głęboko do pierwszego brzasku. Zaszczepiony biegus wyglądał zdrowo i zjadł sporą porcję czystej podściółki.

Podniesiony na duchu Alessan osiodłał biegusa, którego Tuero przezwał Chudzielcem – nie bardzo nadawał się on do jazdy wierzchem, ale w tej chwili w Ruacie nie było z czego wybierać. Starannie zapakował surowicę, igły i szklaną strzykawkę Follena do juków, okładając je czystą słomą, a potem dosiadł Chudzielca i ruszył w drogę.

Poprzedniego wieczoru, kiedy czekali na surowicę, opadły go wątpliwości: stawał pod znakiem zapytania wiele spraw, kwestionował nawet nieoczekiwaną reakcję Morety na jego bliskość. Pomyślał o pocałunku, którym sam obdarzył swoją siostrę. Może Moreta chciała tylko okazać mu życzliwość? Jednakże dzisiaj, kiedy wstawał jasny, świeży, wiosenny poranek wiedział już, że Moreta darzyła go innym uczuciem. Przez tę krótką chwilę myśleli i czuli to samo. A smocza królowa śpiewała im na znak przyzwolenia.

Chudzielec przestraszył się czegoś w krzakach zieleniejących przy trakcie i uskoczył w bok. Alessan zachwiał się w siodle i powstrzymał biegusa. Upewnił się, czy juki są w porządku. Lubił szybką jazdę, ale nie mógł narażać cennej szczepionki na ryzyko.

Musi się skupić na jeździe, a nie na nierealnych marzeniach. Moreta jest Władczynią Weyr Fortu. Chociaż potajemny związek z nim mógłby jej odpowiadać, a może nawet zdecydowałyby się mieć z nim dziecko... Nagle Alessan zapragnął mieć dziecko, co nigdy dotąd mu się nie zdarzało, nawet wówczas gdy był z Surianą... Przede wszystkim jest Lordem rodu, który poniósł bardzo ciężkie straty. Musi mieć żonę i inne kobiety, które będą rodziły jego dzieci, tyle, ile tylko zdoła ich spłodzić.

„Stary Runel nie żyje”, pomyślał z przebłyskiem żalu. Stary Runel umarł, a razem z nim umarły jego rodowody rasowych biegusów, ruathańskich i innych, sięgające aż do Przeprawy. Nigdy nie przypuszczał, że będzie żałować Runela.

Chudzielec szedł zgrabnym truchtem. Szkoda, że został wykastrowany. Jednakże kiedyś w Ruacie do rozmnażania wykorzystywano dużo lepsze okazy. Alessan pomyślał o nadziei, jaką budził w nim cel tej wyprawy, i głęboko wciągnął powietrze w płuca. Usiłował nie zastanawiać się nad tym, które zwierzęta zabrał ze sobą Dag. Gdyby wśród nich była choć jedna para zarodowa ciężkich biegusów pociągowych Lorda Leefa... Lista utraconych zwierząt, którą zaczął prowadzić Norman, zaginęła podczas likwidacji tymczasowego szpitalika na terenach wyścigów. Alessana ogarnął próżny żal, że tamtego obłądnego ranka, kiedy powaliła go choroba, nie zdążył zaglądnąć do stajni.

Dojechał do rozstaju. Na pola dla źrebaków prowadziły stąd dwie drogi. Dag pewnie wybrał tę trudniejszą. Alessan zatrzymał się jednak, żeby sprawdzić, czy na rozstaju nie pozostawiono jakiejś wiadomości. Nie znalazł ani szmatki, ani kości, ani poukładanych kamyczków. Minęło dziewięć dni od czasu, kiedy Dag odjechał z Fergalem. Jak dotąd, Alessanowi udawało się spychać lęk w najgłębsze zakamarki mózgu, ale teraz zaczynał bać się na nowo.

Wbił piętę w boki Chudzielca, a zwierzę natychmiast pognało pod górę, ledwie muskając drogę w

pędzie i oddychając tak szybko, jak gdyby i jemu udzieliło się podniecenie jeźdźca. Powszechnie uważano, że biegusy są głupie, że można się z nimi porozumieć tylko w bardzo ograniczonym zakresie, ale czasem potrafiły one odgadnąć, co czują siedzący na nich ludzie. Alessan położył uspokajająco rękę na wygiętym karku Chudzielca i nakłonił go do bardziej statecznego kroku.

Dojechali do ułożonej z kolczastych krzaków i kamieni przegrody, za którą zaczynało się pastwisko. W pierwszej chwili Alessan nie dostrzegł żadnego człowieka ani zwierzęcia. Mało mu serce nie pękło. Jednakże tę barierę musiał postawić jakiś człowiek! Uniósł się w strzemiionach przerażony, że Dag przyniósł zarazę ze sobą i umarł razem ze wszystkimi zwierzętami. A potem ujrzał cienką smużkę dymu po prawej stronie i zobaczył, jak na gałęzi powiewa susząca się koszula. Usłyszał przeszywający gwizd.

W odpowiedzi na to wezwanie ze zbocza opadającego w kierunku strumienia gromadą posłusznie ruszyły biegusy. Alessan poczuł, że pieką go oczy od łez. Zawrócił zręcznie Chudzielca na drogę i wbił piętę w jego kościste żebra. Biegus przeleciał nad barierą wspaniałym susem i aż kłapnął pyskiem ze zdumienia, kiedy wylądowali po drugiej stronie. Alessan ściągnął wodze, przypomniał sobie, po co tu przyjechał. I dopiero wtedy zobaczył, jak w górę zbocza wśród innych zwierząt biegną na chwiejnych nóżkach niezgrabne źrebaczki i rozkołysanym krokiem posuwają się ciężarne kłacze. Alessan wydał triumfalny okrzyk radości, który echem odbił się od pagórków. Czyżby Dag zabrał wszystkie ciężarne kłacze? Do tej chwili Alessan sądził, że widocznie wszystkie źrebaki padły na zarazę albo zostały poronione, ponieważ na polach pod Warownią nie znalazł żadnych zwierząt poza wałachami i jałowymi kłaczami.

W odpowiedzi na swój okrzyk usłyszał wołanie z niewielkiego, prymitywnego szałasu na zboczu góry. Mała, stojąca u wejścia postać zaczęła wymachiwać obiema rękami. Jedna mała postać! Alessan mimo woli przyhamował Chudzielca, a potem pognął go do przodu. Jedna czarnowłosa, niewielka postać w obszarpanych spodniach, która teraz stała podparta pod boki. Fergal!

–Ależ to ci dużo czasu zabrało, Lordzie Alessanie! – powiedział chłopiec głosem pełnym urazy.

–Co z Dagem? – Głos Alessana załamał się z niepokoju. Nie mógł ruszyć się w siodle. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo cieszył się na spotkanie ze starym trenerem i jak bardzo potrzebował mądrych porad Daga, jeżeli ruathańskie biegusy mają kiedyś odzyskać swoją dawną renomę.

Fergal wzruszył ramionami, a potem spojrzał na Alessana spod oka.

–Już myślałem, że o nas zapomniałeś! – Wskazał ręką na szałas. – On złamał sobie nogę. To ja troszczyłem się o wszystkie biegusy, nawet te, które się źrebiły. Odwaliłem kawał dobrej roboty, nie?

Alessan chętnie przetrzepałby mu skórę za taką zuchwałość, ale Fergal, złośliwie szczerząc zęby, wymknął się zwinnie pod ochronę swoich podopiecznych.

–Alessan? – z głębi szałas dobiegł głos Daga. Zapomniał o tym, że powinien przywołać do

porządku Fergala, Alessan popędził do swojego starego druha. – Ocaliłem dla ciebie wszystko, co mogłem, Alessanie. Ocaliłem wszystko, co mogłem. – Ocaliłeś także Ruatę!

–Wybacz mi, że niepokoję cię w Wylęgarni, Moreto – powiedział Capiam, zaglądając ostrożnie przez drzwi.

–Wejdz, wejdz! – zawołała Moreta, zapraszając go do swojej tymczasowej kwatery na pierwszym podeście.

Capiam zerknął przez ramię, a potem wszedł, niespokojnie popatrując na siedzącą wśród jaj Orlith.

–Wydaje się taka radosna, prawda?

–Tak, bardzo się cieszy!

–M’barak, który przywiózł tutaj Desdrę i mnie, powiedział, że Orlith pozwala nawet niekiedy oglądać to wspaniałe królewskie jajo, które złożyła.

–Desdra jest tutaj? Wiele o niej słyszałam od M’baraka i K’lona.

–Plotkuje z Jallorą, żebym mógł z tobą zamienić kilka słów na osobności. – Capiam odchrząknął nerwowo, co było u niego rzeczą całkiem niezwykłą.

Moreta pomyślała, że może to z powodu Orlith jest taki podenerwowany i wyciągnęła do niego ręce. Chyba musi pogodzić się ze zmianami, jakie w ludziach wywołała ta zaraza. Capiam schudł, ale oczy mu nadal błyszcząły, a jego twarz o wyrazistych rysach robiła się z wiekiem coraz bardziej atrakcyjna. Czarne włosy przerzedziły mu się nieco na skroniach i było w nich coraz więcej siwizny, ale nie utracił siły ducha, ani siły fizycznej, co stwierdziła, kiedy chwycił ją za ręce.

–Czemu zawdzięczam tę niespodziewaną wizytę? – zapytała. W oczach Capiama pojawiła się figlarna iskierka.

–Niespodziewane... ambitne zadanie, jak powiedziałem to Mistrzowi Tirone’owi.

Moreta, zaniepokojona jego słowami, spojrzała mu badawczo w oczy.

–Co to za zadanie?

–Jeśli pozwolisz, przejdę do tego za chwilę. Najpierw chciałbym się dowiedzieć, czy biegusom również może pomóc szczepionka surowicza.

Moreta wytrzeszczyła na niego oczy, zdumiona, że w tak krótkim odstępie czasu dwa razy zadano jej to samo pytanie. Znów poczuła gniew na to, że nikt nic nie zrobił, żeby uchronić biegusy, tak cenne dla Północnego Kontynentu. Tłumaczyła sobie, że w pierwszym rzędzie trzeba było ratować życie ludzi, ale mimo wszystko w którymś z hodowlanych gospodarstw powinno było komuś przyjść do głowy, żeby zastosować tę metodę do zwierząt. Kiedy wczoraj wieczorem Alessan zwrócił się do

niej z prośbą o radę, poczuła się mile połączona. Teraz jednak czuła się rozdrażniona i rozbawiona, że takim pytaniem zwraca się do niej, do Władczyni Weyru, sam Mistrz Uzdrowiciel.

–Wczoraj wieczorem odpowiedziałam na to samo pytanie Alessanowi.

–Tak? – Capiam z zaskoczeniem zamrugał oczami. – A jakiej odpowiedzi udzieliłaś Lordowi Alessanowi?

–Pozytywnej.

–Czy skontaktował się z Mistrzem Balforem?

–Było już za późno, żeby bębniami przekazywać wiadomości do Keroonu. Czy Balfor jest nowym Mistrzem Hodowcą?

–Pełniącym obowiązki. Ktoś musi to czynić.

–Alessan powinien był zawiadomić ciebie, albo przynajmniej Siedzibę Harfiarzy... – Moreta zmarszczyła brwi. Jeżeli Alessan był za bardzo zajęty, mógł to uczynić Tuero. Może Alessanowi nie starczyło czasu na zrobienie surowicy? Miała wrażenie, że zabierze się do tego natychmiast.

–Nie ma jeszcze południa – powiedział taktownie Capiam, skłonny interpretować każdą wątpliwość na korzyść Alessana. Zgodnie z teorią szczepionka surowicza powinna uodparniać biegusy. Alessanowi przydałby się hit szczęścia, jak również nasza pomoc.

Moreta przytaknęła ruchem głowy.

–Dlaczego jednak Siedziba Uzdrowicieli zaczęła nagle zajmować się szczepionkami dla zwierząt?

–Ponieważ mamy powody, żeby sądzić, że jest to zaraza przekazywana człowiekowi przez zwierzęta i może wybuchnąć ponownie – odzwierzęca i nawracająca, takich terminów używali Starożytni na określenie tych cech.

–A więc to znaczy, że może wybuchnąć następna epidemia? Na Skorupy! Capiamie, ten kontynent nie zdoła przetrwać następnej epidemii! – Z rozpaczy uniosła ręce. – Weyry mają już trudności ze skompletowaniem skrzydeł przy każdym kolejnym Opadzie, przecież wielu jeźdźców dopiero dochodzi do siebie po wtórnych infekcjach i świeżo odniesionych obrażeniach. Jeżeli ogarnie nas znowu zaraza, nie skompletujemy nawet jednego skrzydła! – Zaczęła wzburzona chodzić tam i z powrotem, a potem zatrzymała się i przyjrzała się badawczo Capiamowi. – Jeżeli zadziała szczepionka dla zwierząt, to będziesz mógł powstrzymać tę chorobę odzwierzęcą? Zaszczepisz przeciw niej zarówno ludzi, jak i zwierzęta? A tego ambitnego zadania – aż się uśmiechnęła, ponieważ tak zręcznie podsunął jej to określenie – mają się podjąć smoczy jeźdźcy, pomagając w rozwożeniu szczepionki.

–Najlepiej, żeby dotarła jednego dnia do wszystkich miejsc, skąd będzie rozdzielana dalej. – Capiam

rozłożył kopię swego planu. Podając dokument, obserwował uważnie jej reakcję. Masowe szczepienia to jedyny sposób, żeby powstrzymać tę zarazę. Moje cechy zaczęły już zbierać ludzką szczepionkę. Mówiąc otwarcie, nie doceniliśmy podatności biegusów. To musi być choroba odzwierzęca. Z raportów Tirone'a i wyczerpujących badań Desdry wynika, że nie ma innego sposobu, żeby ta zaraza mogła rozprzestrzeniać się tak szybko i obejmować tak wielkie tereny. Nie da się inaczej zapobiec nawrotowi tej wirusowej grypy. Trzeba powstrzymać ją w ciągu najbliższych kilku dni, albo przetrzymać drugą jej falę.

Moretę przeszedł dreszcz grozy. Zaczęła przeglądać jego plan.

–Oczywiście – dodał, odchylając skraj pergaminu – ten plan zależy, po pierwsze, od tego, czy da się otrzymać szczepionkę dla biegusów, a po drugie, czy Weyry zechcą współpracować przy jej rozprowadzaniu.

–Czy zwracałeś się już do innych Weyrów?

–Chciałem najpierw uzyskać wiążącą odpowiedź na temat szczepienia biegusów, a na tym terenie największym autorytetem jesteś ty.

–Przecież chyba Lord Tolocamp...

–Lordem Tolocampem zajmie się Mistrz Tirone – powiedział uzdrowiciel z gryzącą zjadliwością. – A ja chciałem, żeby odpowiedzią na moje pytanie zajął się ktoś rozsądny. Nie tylko mam odpowiedź, mam również i źródło.

–To jedynie przypuszczenie...

–Które sprawdzę, jak tylko mnie zapewnisz, że Weyry będą nam mogły pomóc w rozwożeniu szczepionek. Jeden z moich czeladników ma smykałkę do tego, co nazywa koordynacją czasoprzestrzenną. Jeżeli będziemy mogli liczyć na to, że co najmniej sześciu jeźdźców z każdego Weyru obleci zgodnie z wykazem warownie, cechy i Weyry, to ta sprawa zostanie załatwiona.

Moreta przeliczała w myśli dane Capiama.

–Jednakże tylko pod warunkiem, że jeźdźcy będą... – Ugryzła się w język. Capiam uśmiechał się coraz szerzej i Moreta nagle zrozumiała, o co mu chodzi.

–Ostatnio sporo czasu spędzałem w Archiwach, Moreto. – Capiam był zadowolony z siebie i wcale nie wyglądał na skruszonego, że tak ją zaszokował.

–A skąd ta informacja znalazła się w Archiwach Uzdrowicieli? – Moreta była tak wściekła, że Orlith rozbudziła się na dobre i opiekuńczym gestem objęła pazurami królewskie jajo.

–A cóż to dziwnego? – zapytał Capiam ze zwodniczą łagodnością. – W końcu to mój cech wszczepił tę cechę smokom. Czy one naprawdę potrafią przenosić się z jednego czasu do innego? – zapytał z

nadzieją.

–Potrafią – odpowiedziała z całą surowością, na jaką było ją stać. – Jednak wcale ich do tego nie zachęcamy! – Pomyślała o K’lonie, wiedziała bardzo dobrze jak często ten błękitny jeździec bywał w Siedzibie Uzdrowicieli, i zaczęła podejrzliwie zastanawiać się, skąd akurat tam wzięła się taka przydatna kronika. Z drugiej jednak strony to właśnie cech Capiama mógł poszczycić się wieloma odkryciami, okrytymi teraz tajemnicą. Zganiła sama siebie za to, że mogła wątpić w prawość Mistrza Capiama, zwłaszcza w tej krytycznej godzinie, kiedy najważniejsze było przywrócenie równowagi na kontynencie. – Capiamie, podróże w czasie są źródłem paradoksów, które mogą być bardzo niebezpieczne.

–Właśnie dlatego proponuję, żeby dostawy były sukcesywne i nie nakładały się na siebie w czasie. – Rozbroił ją swoją gorliwością.

–Możemy mieć kłopoty z przekonaniem M’taniego z Telgaru.

–Tak, słyszałem, że ma wszystkim wszystko za złe. Wiem także, że F’gal z Isty jest chory na ciężkie przeziębienie nerek, a L’bol jest w depresji. Dlatego właśnie podałem najmniejszą liczbę jeźdźców, jakiego będzie wymagało to przedsięwzięcie. Nie mam pojęcia, jak ten kontynent zdołałby przetrwać bez pomocy.

–Czy wystarczy ci szczepionki dla ludzi?

–Wystarczy. Mistrz Tirone z właściwą sobie zręcznością porusza już ten temat w warowniach i cechach.

–To mądrze i przezornie z waszej strony.

Pierś Capiama uniosła się w ciężkim westchnieniu.

–No tak, teraz musimy się tylko upewnić, czy Lordowi Alessanowi uda się szczęśliwie wyprodukować tą zwierzęcą szczepionkę.

„Jedź z nimi do Ruathy – powiedziała Orlith. I po chwili dodała: – Holth się zgodza.”

Wbrew zdrowemu rozsądkowi Moreta poczuła, jak narasta w niej opór przeciwko tej eskapadzie, na którą zezwolenia udzieliła jej Orlith. Ale dlaczego? Przecież to całkiem normalne, że chce zobaczyć, jak udały się Alessanowi doświadczenia. Może tak bardzo jej się podobał, że podświadomie się przed tym broniła? Rzadko trapiła ją taka niezdolność do podjęcia jakiejś decyzji.

„Zawsze lubiłaś biegusy. Należy im się teraz twoja pomoc.” Ton głosu był w dwójnasób głęboki i Moreta poznała, że mówią to Holth i Orlith. „Przecież kiedyś musisz zobaczyć Ruathę.” Tym razem niewątpliwie odezwała się sama Orlith.

Moreta głęboko i smutno westchnęła. Orlith odkryła sedno rzeczy: Moreta nie chciała zobaczyć



zdeprawionej Ruathy, takiej, jaką opisywał K'lon.

–Myślę, Capiamie – wzięła się w garść – że powinnam ci towarzyszyć.

„Arith robi to z ogromną ochotą. Podoba mu się ta dziewczyna” – powiedziała Orloth. Schowała szpony, którymi do tej chwili obejmowała królewskie jajo. Z Niecki doleciało potakujące trąbienie Aritha.

„Jaka dziewczyna?” – zapytała w myślach Moreta, zaskoczona tą uwagą.

Orloth zignorowała jej pytanie i zajęła się wygrzebywaniem dołka, do którego wturlała jajo. Tymczasem Moreta, nadrabiając miną, przygotowała swój ekwipunek do lotów.

–Arith mówi, że zabierze nas do Warowni Ruatha.

–Możesz ją zostawić? – Capiam popatrzył w stronę królowej.

–To był jej pomysł, żebym tam poleciała. Orloth ma pogodne usposobienie i nie musi, jak niektóre smoczyce, być stale doglądana przez swojego jeźdźcę. Poza tym Leri i Holth będą w pobliżu. Moja nieobecność nie potrwa przecież długo.

Kiedy Moreta i Capiam doszli do Niecki, Jallora zajęta była rozmową z ciemnowłosą kobietą, która stała o kilka długości smoka od M'baraka i Aritha. Desdra była starsza, niż wynikało to z opowieści K'lona, starsza od Morety. A przecież Jallora mówiła, że Desdra pracuje nad uzyskaniem stopnia mistrza w Siedzibie Uzdrawicieli. Wyglądała na osobę powściągliwą, nie tyle wyniosłą, ile niekomunikatywną. Dwa skrzydła z Fortu miały wylecieć do Bitry i Lemosu. Sh'gall poleciał już do Bendenu, żeby zobaczyć się z K'drenem. Moreta marzyła o tym, żeby wreszcie Weyry mogły powrócić na własne terytoria.

–Desdro, Moreta poleci z nami do Ruathy – powiedział Capiam. – Wygląda na to, że Lord Alessan wcześniej od nas wpadł na pomysł, żeby szczepić biegusy.

Desdra skłoniła kurtuazyjnie głowę przed Władczynią Weyru, a potem podniosła swoje duże, szare oczy i spokojnie zmierzyła ją wzrokiem.

–Nie przejmuj się Desdrą, Moreto – powiedział Capiam. Ona niczego nie przyjmuje na wiarę; twierdzi, że uzdrawiciela musi cechować obiektywizm.

–Jallora opowiadała mi, jak wspaniale zrekonstruowałaś pobrużdżone przez Nici skrzydło smoka – odpowiedziała Desdra niskim głosem i rzuciła przelotne spojrzenie na dłonie Morety, kiedy wkładała ona rękawice.

–Gdy będziemy miały trochę czasu, przyleć do nas i zbadaj Dillentha. Tej techniki nauczył mnie Ind, Uzdrawiciel z Istańskiego Weyru. Miałam wiele okazji, żeby doprowadzić ją do perfekcji.

–Zapomniałem, że dzisiaj jest Opad, Moreto – powiedział niepewnie Capiam, kiedy rozejrzał się dookoła i zobaczył niepozostawiające żadnych wątpliwości przygotowania.

–Oczywiście muszę wrócić na koniec Opadu – odparła Moreta, która teraz na przekór wszystkiemu postawiła polecieć do Ruathy. – Jednak od czasu, gdy wybuchła zaraza, skrzydła ponoszą mniej obrażeń. Niewykluczone, że starają się jak najlepiej wypaść wobec innych Weyrów.

–Naprawdę? To bardzo ciekawe – stwierdził zaskoczony Capiam.

M’barak uprzejmym gestem zaprosił Moretę, żeby pierwsza dosiadła Aritha. Moreta usadowiła się z tyłu i pomogła Desdrze. Chociaż Desdra nic nie mówiła i zachowywała się ze stoickim spokojem, widać było, że niezbyt często korzystała z takiego środka transportu.

Capiam, wyraźnie zachwycony, odwrócił się do tyłu, żeby przesłać uśmiech Morecie siedzącej za Desdrą, a potem dyskretnie upewnił się, czy uzdrowicielce jest wygodnie.

–Czy Arithowi nie będzie za ciężko z czterema jeźdźcami, M’baraku? – zapytał, kiedy błękitny jeździec zajął swoje miejsce z przodu.

–Na pewno nie – odparł chłopiec zdecydowanie.

Arith wystartował tak ochoczo, jak gdyby chciał im pokazać, do czego jest zdolny. Wszystkich szarpnęło do tyłu. Moreta instynktownie zacisnęła nogi na grzbiecie smoka i chwyciła za wyrostek grzebienia za sobą, żeby utrzymać Desdrę, którą pchnął do tyłu Capiam. Kiedy M’barak postukał Aritha po karku, smok szybko wyrównał lot. M’barak, pamiętając, że siedzi za nim Władczyni jego Weyru, pożegnał się z jeźdźcem na warcie, zachowując pełny ceremoniał. Zanim M’barak podał wytyczne Arithowi, obejrzał się i skinął Morecie głową, żeby ją uprzedzić.

–Czarne, czarniejsze, najczarniejsze...

Litania urwała się, kiedy wylecieli z „pomiędzy” nad Ruathą. Morecie aż dech zaparło i ścisnęło się serce na widok zdeptanego pola, zrytych terenów wyścigowych, ogromnych kręgów po ogniskach, wzbudzającego grozę kopca grzebalnego. Jej ręce mimo woli zacisnęły się na talii Desdry i poczuła, jak uzdrowicielka kładzie na nich łagodnie swoje ciepłe dłonie w pełnym zrozumienia współczuciu.

Pamiętała aż za dobrze, jak chwaliła radosną atmosferę, panującą na ruathańskim Zgromadzeniu. Gorzkie to było wspomnienie, kiedy przed oczami miała posępny epilog tego Zgromadzenia. Arith szybował nad terenami wyścigów, lecąc prosto na Warownię. Moreta widziała tyczki startowe, leżące samotnie w tym samym miejscu, gdzie odbywał się ten spektakularny, zakończony remisem bieg. Zmusiła się, żeby spojrzeć na nagą ziemię kopców grzebalnych i pogodzić się z myślą, że z tego beztroskiego, świątecznie wystrojonego tłumu umarło tak wielu. Trzeba było również pogodzić się z ogniskami, na których palono martwe zwierzęta, bez różnicy, czy wygrały, czy przegrały w czasie tych dziesięciu wyścigów, które przywabiły je do Ruathy na tak fatalnie zakończoną uroczystość. Przez chwilę miała Alessanowi za złe, że nie znalazł czasu na to, żeby z drogi i z pól pousuwać te pozostałości po wozach, skrzyniach i świątecznych kramach. Spojrzała na rżysko, poczerńiałe teraz

od obozowych ognisk. To stamtąd wraz z Lordem Warowni przyglądali się wyścigom. Górne okna Ruathy, z których przedtem powiewały kolorowe proporce, były teraz zasłonięte okiennicami, nikomu niepotrzebne. Przypominały o tym, że Ruatha opierała się większemu zagrożeniu, niż Opad Nici.

Serce jej się ścisnęło na widok tak zaniedbanej dumnej Warowni. Na polach dostrzegła pasące się tam biegusy – nie te duże, masywne zwierzęta, które kazał Alessanowi hodować Lord Leef, tylko żylaste, drobnokościste biegusy w rodzaju Kwiczka. Ta ironia losu pomogła jej odzyskać zimną krew. Łzami nie pocieszy Alessana.

Arith nie miał zamiaru lądować na frontowym dziedzińcu, za co Moreta była mu niezmiernie wdzięczna. Leciał wzdłuż drogi, prowadzącej do pomieszczeń dla zwierząt, gdzie najwyraźniej coś się działo. Od pług wyprzęgano trzy biegusy, na ziemi leżały jakieś siodła, a z magazynku ktoś wyciągnął niewielki wózek. Ludzie pędzili drogą, ostrożnie niosąc jakieś koszyki. Wydawało się, że odrodziła się żywotność Ruathy.

–M’barak mówi, że widział Alessana przy stajniach – powiedziała Desdra do Morety, wyraźnie wymawiając słowa, żeby było ją słychać pomimo wiatru. Nic nie wskazywało na to, żeby pamiętała o pierwszej, pełnej bólu reakcji Morety na widok zniszczonej przez zarazę Warowni.

Ludzie przy stajni zorientowali się, że nadlatuje smok, i kiedy Arith zgrabnie wylądował po drugiej stronie drogi, z budynku wyszło dwóch mężczyzn. Obydwaj byli wysocy, i choć twarze mieli ukryte w cieniu, Moreta poznała, że ten po prawej to Alessan. On też ją poznał, aż drgnął zaskoczony i ruszył witać gości tak szybko, jak tylko pozwalała mu na to godność Lorda Warowni. Znowu poruszał się jak Lord Ruathy, pewnie i dumnie.

–Proszę wybaczyć, że przybywamy w nieodpowiednim momencie, Lordzie Alessanie – zawołał zsiadając Capiam.

–Zawsze jesteście tu mile widziani – odparł Alessan. Przez długą chwilę patrzył Morecie prosto w oczy, a potem pomógł zasiać Capiamowi. – Wraz z Tuero – wskazał na wysokiego harfiarza, który podszedł w ślad za nim – układaliśmy właśnie wiadomość dla was. – Tu Alessan zapomniał o etykietce i szeroko uśmiechnął się do Morety. – Dag uratował Kwiczka! Mamy też żrebaki! Trzy wspaniałe ogiery! – Ostatnie zdanie wykrzyczał, dając upust radości, której już nie mógł dłużej pohamować.

–To cudownie, Alessanie! – Moreta przerzuciła prawą nogę przez grzbiet Aritha i zsunęła się po jego boku. Arith okazał się nieco wyższy niż jej się zdawało, ale na szczęście Alessan złapał ją w pasie i łagodnie postawił na ziemi. Odwróciła się do niego. Jasnozielone oczy Alessana błyszczały z radości. Miała nadzieję, że to jej niespodziewana wizyta przyczyniła się do tego. – I pomyśleć tylko, że to właśnie rasa Kwiczka przeżyła! I żrebaki! Och, ależ się musiałeś cieszyć!

–Właśnie wracani z łąk dla żrebaków – powiedział, odchodząc z nią od Aritha. Nie puszczał jej ręki, szczęśliwy, że może nie tracić z nią kontaktu. – Zabrakło mi szczepionki. Nie spodziewałem się żrebaków. A Dag ma złamaną nogę, więc musimy wysłać po niego wózek. Za sześć dni będzie tutaj

Opad! Dag uratował dla nas rasowe zwierzęta. Uratował ich wystarczająco dużo i uratował Ruathę!

Moreta przyłapała się na tym, że ciągle trzyma go za rękę i ściskają mocno. Czy ktoś nie zwróci na to uwagi? Przecież chyba wolno jej było publicznie pogratulować mu tego wspaniałego, nieprawdopodobnego sukcesu. Potem Capiam przyprowadził Desdrę, żeby ją przedstawić. Moreta zobaczyła, że Desdra przygląda się Alessanowi przenikliwie i bacznie, tak samo jak przedtem patrzyła na nią. Przelękała się, że uzdrowicielka odgadnie, jak bardzo on się jej podoba.

–Domyślam się, że wyprodukowałaś szczepionkę i użyłaś jej.

–Tak Capiamie, nie mogłem narażać na ryzyko rasowych zwierząt na tym zarażonym terenie. – Wiele mówiącym gestem Alessan wskazał Warownię i jej pola. – Czeladnik Follen sporządza następną partię szczepionki. Ponieśliśmy przez tę zarazę straszliwe straty zarówno w ludziach, jak i zwierzętach. – Gestem ręki zaprosił ich, żeby weszli razem z nim do stajni. – Jak tylko wróciłem wczoraj wieczorem, wzięliśmy się do przygotowania surowicy. Zastryk dałem temu zwierzęciu. – Alessan wskazał kulawego biegusa, który prawą nogę opierał na czubku kopyta. Nie wydaje się, żeby mu to zaszkodziło...

–I nie zaszkodzi, zapewniam cię – powiedział Capiam, odprowadzając ich na bok, gdzie nikogo nie było. – Ta teoria sprawdza się tak samo na zwierzętach, jak sprawdziła się na

ludziach. A w tym stanie rzeczy – tutaj ściszył głos i spojrzał znacząco najpierw na Alessana, a potem na Tuero – szczepienia stały się absolutnie niezbędne. – Zerknął na Desdrę, czy zauważyła, że mimowolnie wykorzystał jedno z ukochanych sformułowań Tirone’a. Lekkie skrzywienie jej ust wskazywało na to, że zauważyła. Capiam wziął Alessana i Tuero pod rękę. Rozejrzał się, czy aby na pewno wszyscy inni są czymś zajęci. Follen razem ze swoją grupą krzątał się przy wirówce, a gospodarze stali przy zwierzętach, które miały dostać surowicę. – Lordzie Alessanie, ta zaraza może wybuchnąć ponownie.

Moreta złapała Alessana za rękę, kiedy Lord zachwiał się na nogach. Uzdrowiciel podtrzymał go z drugiej strony. Tuero spoglądał na Alessana ze współczującym wyrazem twarzy.

–Tym razem szczepieniom trzeba poddać zarówno zwierzęta, jak i ludzi – ciągnął dalej Capiam. – Na całym kontynencie. Opracowałem plan dystrybucji szczepionki, a Moreta postara się o pomoc smoczyców jeźdźców. Potrzebna jest nam teraz surowica od ozdowieńców. Masz dość biegusów, żeby zaspokoić potrzeby tej Warowni, Fortu i Południowego Bollu oraz tej części Telgaru, która podchodzi pod twoje granice. Lord Shadder wyświadczy nam tę przysługę na wschodzie.

–Przecież stada w Keroonie są przeogromne... – Alessana oszołomiła nagle skala tego przedsięwzięcia.

–Już nie – powiedział łagodnie Capiam. – Jeżeli ten twój Dag ocalił rasowe biegusy, to jesteś bogatszy, niż ci się wydaje. Czy możemy liczyć na twoją pomoc?

Alessan popatrzył na Mistrza Uzdrowiciela.

–Ruatha straciła bardzo wiele: ludzi, stada, wszystko, z czego była tak dumna. Użyczymy jednak wszelkiej pomocy, jakiej tylko będziemy w stanie udzielić. Może w ten sposób uda nam się zmyć hańbę naszej wieczystej – Alessan wskazał na kopiec grzebalny – gościnności.

W głosie młodego Lorda Warowni nie było goryczy, ale nikt ani przez chwilę nie wątpił, że epilog tego Zgromadzenia pozostawił niezatarte ślady w jego duszy.

–Dlaczego uważasz, że to na ciebie spada odpowiedzialność za to? – Jednym gwałtownym gestem Capiam wskazał kopce grzebalne, a drugim stajnię. – Nie ponosisz żadnej winy, Lordzie Alessanie. To niedający się przewidzieć zbieg okoliczności. „Szkwał” został zepchnięty z kursu. Oportunizm kazał kapitanowi wylądować na Południowym Kontynencie, a chciwość trzymała go tam przez trzy dni. Co skusiło załogę, żeby przewieźć tamto zwierzę na północ, nie dowiemy się nigdy, ponieważ żaden ze świadków tej nagannej decyzji już nie żyje. Nie miałeś na to żadnego wpływu. Jednakże ty, Lordzie Alessanie, wykazałeś wielką odwagę, opiekowałeś się chorymi, starałeś się obsiać pola, zachować rasowe stado Ruathy. A najważniejsze – tu Capiam odetchnął głęboko – że po tych wszystkich ciężkich przeżyciach wciąż jeszcze chcesz pomagać innym.

–Kiedy spada na człowieka nieszczęście, ten kto nie jest zaradny i nie ma wyobraźni, rozgląda się naokoło i szuka, na kogo by tu zrzucić winę; człowiek śmiały godzi się ze swoją niedolą i podejmuje wysiłki, żeby przetrwać, a przy tym dojrzewa i doskonali się.

–Z kursu został zepchnięty przez niewczesny szkwał jeden jedyny rybacki statek i wydarzenie to miało wpływ na nas wszystkich – mówił dalej Capiam ze smutnym wyrazem twarzy. Rzucił spojrzenie na Desdrę, która przyglądała mu się z zakłopotaniem. – Jeżeli uważasz, że u podstaw życia leży sprawiedliwość, to stało jej się zadość, bo kapitan i załoga nie żyją. My zaś żyjemy. I czeka nas robota. – Capiam chwycił Alessana za ramię i potrząsnął nim, żeby podkreślić swoje słowa. – Lordzie Alessanie, nic z tego nie jest twoją winą, ale chwała ci za twoją przenikliwość!

Na zewnątrz Arith zatrząbił nagle na powitanie; odpowiedział mu jakiś głębszy głos.

–Spizowy smok? Tutaj? – Moreta szybko skierowała się do wyjścia ze stajni. M’barak stał przy Arithu, który wpatrywał się w niebo. Błękitny smok zachowywał się spokojnie, ale Moreta obawiała się, że mógł za nią przylecieć Sh’gall. – M’baraku, kto to przyleciał?

–Nabeth i B’lerion – powiedział obojętnie M’barak, osłaniając oczy od słońca.

–B’lerion! – Moreta odetchnęła z ulgą, a kiedy z Warowni wypadła jakaś smukła postać i pomknęła w dół nasypu, zrozumiała, skąd wziął się tu ów jeździec.

Arith uniósł się na zadzie i zaryczał.

–Nie mam pojęcia, co go napadło, Moreto – zawołał zażenowany M’barak. – Zaczął być strasznie opiekuńczy w stosunku do pani Okliny.

–W Wylęgarni leży królewskie jajo, M’baraku – powiedziała Moreta, a kiedy zrozumiała, że jej

wyjaśnienie nie dotarło do weyrzątka, dodała: – Błękitne smoki często okazują wielkie podniecenie w czasie Poszukiwania. Chociaż wydaje się, że Arith dojrzał przedwcześnie. – Zmarszczyła brwi patrząc na Oklinę, która czekała na B’leriona. – Nie sądzę, żeby Weyr Fort miał prawo zabierać ją z Ruathy.

Odwróciła się na pięcie. Alessan prowadził właśnie Capiama, Desdrę i Tuero do wirówki. Wielkie koło już zwalniało i można było zbadać następną porcję surowicy. Odwróciwszy głowę Moreta ujrzała, że Nabeth wylądował i B’lerion ześlizguje się niezgrabnie po boku spiżowego smoka. Oklina powitała go powściągliwie, wskazując na pomieszczenia dla zwierząt. B’lerion wziął ją za rękę i poszli. Kiedy skręcili na drogę, Moreta zobaczyła, że lewa ręka B’leriona spoczywa na temblaku. Nie mógł polecieć na Opad. Czy cieszył się, że może pozostać na ziemi? Może uznał to obrażenie za dobrą wymówkę, pozwalającą odwiedzić Oklinę?

Wycofawszy się w cień, Moreta przyłączyła się do grupy przy wirówce. Stała z boku – żeby lepiej widzieć Alessana – a uzdrowiciele zastanawiali się, ile potrzeba szczepionki, jaka może być najmniejsza efektywna dawka, jak dyskretnie dowiedzieć się, ile biegusów jest po gospodarstwach.

–Należy brać pod uwagę masę ciała – powiedziała Moreta, włączając się do rozmowy.

–Musimy liczyć się z tym, że w różnych zapadłych gospodarstwach na pewno znajdą się trenerzy nie tylko niekompetentni, ale i sceptycznie nastawieni. Jeśli w ogóle żyją tam jeszcze jacyś trenerzy. – Zarumienił się, kiedy Capiam zganił go wzrokiem.

–Powynajdywaliśmy różnych utalentowanych ludzi i skierowaliśmy ich tam, gdzie są potrzebni. To zdumiewające, jak wiele ludzie mogą zdziałać, kiedy są do tego zmuszeni.

–Mistrzu Capiamie, czy to szczepienie biegusów jest takie istotne w obecnej chwili? – zapytała Desdra, nie spuszczać swoich szarych oczu z twarzy Uzdrowiciela.

–Jeżeli o zarażeniu decyduje czynnik zwierzęcy, a wydawało mi się, że co do tego doszliśmy do porozumienia...

–Tak, ale nie stać nas na daremny wysiłek. – Desdra wskazała na ozdobną butlę, w której warstwy krwi już się ustały. Muszę ci wyznać, że ledwo starczy nam igieł na zaszczepienie ludzi. Nie byłoby rzeczą roztropną używać igieł po kilka razy ciągnęła dalej cicho Desdra. – Niebezpieczeństwo zarażenia...

–Wiem, wiem. – Capiam potarł rękami czoło. Uśmiechnął się słabo. – Tylko wtedy możemy mieć pewność, że wyplenimy tę zarazę, jeżeli zaszczepimy ludzi i zwierzęta.

–Czy brakuje wam jedynie igieł cierniowych? – zapytała Moreta, zauważając przygnębienie Capiama.

–Brakuje nam też czasu – odparła Desdra odwracając się, żeby nie widzieć rozczarowania swojego mistrza. Nie zauważyła wymiany spojrzeń pomiędzy Moretą a Capiamem. – Zwróciłam się z prośbą

do wszystkich warowni i cechów, objętych siecią bębnow, żeby przysłały nam spis posiadanych zapasów. W obecnym stanie rzeczy będziemy być może musieli wykluczyć niektórych ludzi...

–Jak? Kto? Kiedy? – Capiam zadawał Morecie te lapidarne pytania ochrypłym szeptem, ale głos miał tak napięty, że wszyscy ucichli, a Desdra gwałtownie odwróciła się i spojrzała na niego.

Moreta nerwowo wzruszyła ramionami. – Trzeba rozejrzeć się. I zachować milczenie, bo jest to równie ważne jak same igły. – W tym momencie pojawili się B’lerion i Oklina. – Czy jesteś ciężko ranny, B’lerionie? – zapytała, pozdrawiając wesoło spiżowego jeźdźca, i dodała cichszym głosem, zwracając się do Capiama: – Nie może być z nim tak bardzo źle, bo nie ryzykowałby lotu w „pomiędzy”.

–Nie, wywichnąłem sobie tylko ramię – odpowiedział niepewnie spiżowy jeździec. – Pressenowi potrzebny był ktoś, kto by przewiózł do Ruathy to, co możemy im oddać z naszych zapasów, więc się zgłosiłem na ochotnika. – B’lerion nawet nie spojrzał na Oklinę, która stała tuż przy nim, ale skłonił się z milczącym współczuciem Alessanowi. – Chciałem wyrazić...

–Możesz nam w czymś pomóc, skoro już tu jesteś – powiedziała Moreta, a B’lerion spojrzał na nią zaskoczony. Odciągnęła go na bok, wytłumaczyła, jaka jest sytuacja, i przedstawiła swą prośbę.

–Przyznaję ci rację – odparł B’lerion, pospiesznie zerkając w kierunku Capiama i Alessana – że sprawa jest niesłychanie pilna, ale dodać kilka godzin do dnia to co innego niż przeskoczyć parę miesięcy. Sama dobrze wiesz, że jest to cholernie niebezpieczne! – Chociaż B’lerion często lekceważył formy dobrego zachowania, nie był nieroztropny ani nieodpowiedzialny.

–B’lerionie, wiem dokąd trzeba polecieć. Wiem, kiedy dojrzewają do zbiorów igły cierniowe. Zawsze kwitną wtedy drzewa ging, a las tropikalny przypomina zieloną twarz o tysiącu oczu w ciemnej oprawie...

–Szalenie poetyczne, Morelo, ale chyba potrzebna by mi była jakaś bardziej dokładna wskazówka.

–To określa nam porę, a dokładne współrzędne uzyskamy sprawdzając, jakie jest jesienne położenie Czerwonej Gwiazdy. Alessan ma mapy. Czerwona Gwiazda wschodzi coraz bardziej na zachód. Trzeba tylko obliczyć jej jesienne położenie. Widziała, że ten argument bardzo go uspokoił.

–Szczерze mówiąc, nie spodziewałem się, że spędzę wolne popołudnie na zbieraniu igieł cierniowych...

–Możemy tam spędzić tyle czasu, ile trzeba będzie, B’lerionie, i zebrać to, co jest nam teraz tak rozpaczliwie potrzebne. Musimy jednak polecieć już teraz, ponieważ chcę wrócić do Weyru na koniec Opadu. Nabeth sobie z tym poradzi.

–Oczywiście, ale oni się dowiedzą – pokazał palcem stojącą w oczekiwaniu grupkę – że poleciliśmy naprzód w czasie, Moreto.

–Capiam i Desdra już wiedzą, że jest to możliwe. – Uśmiechnęła się widząc jego minę. – W końcu to Siedziba Uzdrowicieli wyhodowała smoki.

–No tak – przyznał B’lerion.

–Będziemy również musieli wykorzystać tę zdolność w dzień rozwożenia szczepionki.

B’lerion zamrugał oczami i zerknął na Oklinę.

–Może i Weyry darują nam, jeżeli zrobimy z tego taki użytek, Moreto.

–Nie muszą wiedzieć, że dzisiaj zrobiliśmy sobie trochę czasu. Kto wie, że tutaj przyleciałeś?

–Pressen i ten chłopak na dworze.

–Wyślę stąd M’baraka z jakimś zadaniem. Z pewnością możemy liczyć na milczenie Okliny. W ten sposób będziemy mieli sześćiosobową grupę roboczą. Weyry, warownie i cechy nie wytrzymają drugiej epidemii.

–Muszę ci przyznać rację, Moreto. – B’lerion rozejrzał się dokoła. – Ten widok zwała człowieka z nóg. – Każę Nabethowi skontaktować się Orlith. Jeżeli ona się zgodzi...

–Powiedz Orlith, że to dla biegusów. Musimy o nie dbać. Kiedy Moreta przedstawiła swój plan Capiamowi, Desdrze i Alessanowi, odpowiedzieli zaskoczeni, że nie mają czasu, żeby przyłączyć się do tej wyprawy.

–Mistrzu Capiamie, to, o co mi chodzi, nie zajmie nam w ogóle czasu teraźniejszego – odparła surowo na ich protesty. – Alessanie, przecież da się chyba zorganizować sprawy w Warowni w taki sposób, żebyś mógł oddalić się stąd na godzinę? – Tymczasem twoi ludzie przywiozą tu Daga i spędzą na dół kłacze i żrebaki. Co masz teraz do roboty? Przyglądać się, jak wirują butelki? Najważniejsze, żeby nasze przedsięwzięcie zostało utrzymane w tajemnicy. Capiam i Desdra wiedzą już o tej zdolności smoków i bardzo są im potrzebne igły cierniowe. B’lerion gotów jest do drogi. Nabeth bez trudu uniesie naszą szóstkę, a przez dzień ciężkiej pracy przy zbiorach zdobędziemy to, co jest konieczne, żeby zaraza nie objęła znowu swoim zasięgiem całego kontynentu. Nikt więcej nie może o tym będzie wiedzieć.

–Sześcioro? – zapytał Alessan po pełnej namysłu pauzie.

–B’lerionowi zależy na towarzystwie twojej siostry. Desdra zachichotała. Capiam szeroko się uśmiechnął, a Alessan wyglądał na zaskoczonego.

–Wspominałaś coś o paradoksie czasowym, Moreto – zaczął Capiam.

–To nas nie będzie dotyczyć, chyba że wrócimy do Isty tego dnia, kiedy rozkwitają drzewa ging.

–Bardzo mało prawdopodobne.



–Do jaru, o który mi chodzi, można dostać się tylko od strony wysokiego urwiska. Zbierałam tam już kolce wiele razy, kiedy byłam w Iście.

Alessan wahał się jeszcze przez chwilę, spoglądając na Follena i ludzi, którzy czekali z biegunami zaprzężonym do wózka.

–Jeszcze jeden drobny, ale bardzo ważny szczegół, Alessanie – powiedziała Desdra. – Twoje stajnie są bardzo dobrze utrzymane, ale, ściśle rzecz biorąc, nie jest to idealne środowisko do produkowania dużych ilości surowicy, która musi być wolna od zanieczyszczeń. – Wskazała na łajno kulawego biegusa.

–Bardzo słusznie – zgodził się Alessan, a potem uśmiechnął się ironicznie i dodał – Sprzątanie nie powinno zająć więcej niż godzinę. Jakie wyposażenie powinniśmy wziąć ze sobą?

–Siatki – odpowiedziała Moreta. – Wszystkiego innego dostarczy nam dżungla.

B'lerion podszedł do nich uśmiechnięty.

–Nabeth był zaskoczony, że rozmawia z dwiema królowymi naraz, ale masz jej pozwolenie na lot, żeby tylko nie zajęło ci to zbyt wiele czasu. Wysłałem M'baraka do Warowni Dalekich Rubieży, żeby przywiózł więcej butli wyprodukowanych przez uczniów Mistrza Claresha. Pewnie w każdej większej warowni na zachodzie trochę ich się znajdzie. Clargesh taki był z nich dumny. To mu zajmie trochę czasu.

–Dobrze, B'lerionie, a teraz znajdź jakąś kurtkę dla Okliny,

–Ona jest taka niezwykła, prawda? Nic dziwnego, że Arith to zauważył.

Capiam i Desdra udzielali Follenowi i Tuero instrukcji, jak powinni zorganizować produkcję szczepionek. Alessan wysłał ludzi po Daga i stada biegunów, a potem zaproponował, żeby aparat do szczepionek zainstalować w Wielkiej Sali, ponieważ większość znajdujących się tam pacjentów można przenieść na wyższe piętra Warowni albo nawet do ich własnych chat. Moreta pomogła Alessanowi przygotować do zabrania wszystkie siatki, które wisały na ścianach stajni, spinając je rzemieniami w jeden tobołek. Zanim z Warowni wrócił B'lerion z Oklina, inni zaczęli się już niecierpliwić.

–Musiałem poszukać map, moja droga Moreto. Nie mam zamiaru skakać w przyszłość, mając za jedyłą współrzędną "zieloną twarz o tysiącu oczu w ciemnej oprawie". Musimy znaleźć się tam o świcie, żeby mieć absolutną pewność, ponieważ będą wtedy widoczne obydwa księżyce.

Kiedy zaczęli dosiadać rosnącego Nabetha, Moreta odwróciła się do Alessana.

–Przygląda się nam Tuero. Może się czegoś domyśla? – Alessan błędził rękoma po jej talii, niby to pomagając jej przesunąć się w stronę B'leriona, który już siedział na karku Nabetha.

–Każdy harfiarz zawsze się czegoś domyśla i nie ma na to rady. Staralem się jednak zasugerować Tuerowi, że wybieramy się do Mistrza Balfora, w sprawie tej szczepionki dla zwierząt. Niedługo zaczną przenosić wszystko do Wielkiej Sali, a wtedy nie będzie miał czasu zastanawiać się nad innymi sprawami.

B'lerion uparł się, żeby Okliną usiadła przed nim, gdzie mógł ją przypiąć pasami bojowymi. Moreta umieściła się za nim, żeby pomóc w kierowaniu Nabethem. Dalej siedzieli Desdra, a na końcu Capiam, jako najbardziej z nich doświadczony.

„Orlith, nie zajmie mi to wiele czasu, ale muszę jechać” – powiedziała w myślach Moreta.

„Słyszałem to już od Nabetha” – odparła beztrosko Orlith.

–Moreto! – zawołał B'lerion i łokciem dał jej sójkę w bok. Mam już wizualizację księżyców i Czerwonej Gwiazdy. Popatrz na północny zachód. Czerwona Gwiazda jest na horyzoncie, Belior jest w pierwszej kwadrze, a rogalik Timora w połowie wysokości nieba. Bądź uprzejma skupić się na tym, jak wygląda Ista z kwitającymi drzewami ging. Myśl o tym, że kwitną teraz, w Iście, pomyśl o jesiennym upale, o zapachu wilgotnych lasów tropikalnych.

Nabeth, choć bardzo podniecony, wystartował precyzyjnie i gładko, jak na doświadczonego smoka przystało, tak że pasażerowie nawet się nie zachwiali.

Moreta wyobraziła sobie urwiste skały Isty w całej ich jesiennej krasie, Czerwoną Gwiazdę żarzącą się złowieszczo na zachodzie nad morzem, Beliora w pierwszej kwadrze i unoszący się skromnie nad nim rogalik mniejszego Timora. Kiedy poczuła, że Nabeth kieruje się „pomiędzy”, skupiła wszystkie myśli na tej wizji. Chciała zacząć swoją litanie, ale do uspokojenia wystarczyły jej kwiatowe oczy drzew ging i niebiescy przewodnicy. A potem, kiedy lęk zaczął dławić jej piersi, niespodzianie wynurzyli się z „pomiędzy” wysoko nad skalistym brzegiem Isty. Było ciepło, a śmietankowe oczy kwiatów ging odwracały się ku pierwszym promieniom wschodzącego słońca. B'lerion wydał okrzyk radości, a Okliną cichutko pisnęła.

Nabeth natychmiast zauważył półkę skalną, na której Moreta często lądowała z Orlith, żeby zbierać iglaste ciernie. Położona była wysoko nad falami, wałącymi o urwisko. Nabeth wylądował równie sprawnie, jak wystartował, uderzeniem skrzydeł rozplaszczając zarośla.

–Iglaste ciernie są trochę niżej, na tym stoku – zawołała Moreta, kiedy przygotowywali się do zsiadania.

B'lerion tak się popisował przy zsiadaniu z Nabetha, że aż jego smok obejrzał się zdziwiony.

–Mogłeś sobie złamać drugą rękę, B'lerionie – powiedziała Moreta. Wy tłumaczyła Oklinie, jak należy bezpiecznie zsiadać z wysokiego smoka, a Nabeth posłusznie uniósł przednią łapę.

–Czy naprawdę jesteśmy w przyszłości? – zapytał Capiam, kiedy Alessan rozdawał siatki. Rozejrzał się dookoła z wyrazem nabożnej czci na twarzy.

–Lepiej, żebyśmy byli – powiedział B’lerion, spoglądając na Moretę z udawaną srogością, a potem bacznie przyglądając się trzem jaśniejącym na niebie przewodnikom.

–Jesteśmy – powiedziała z całym spokojem, na jaki ją było stać. Coraz silniej uświadamiała sobie, że jest w jakiś osobliwy sposób zdezorientowana, że ogarnia ją poczucie nieważkości i narasta w niej euforia. Nigdy dotąd nie przeżyła czegoś takiego. Jak się weźmie do pracy, to przestaną nią targać takie sprzeczne uczucia. Wskazała pobliskie zbocze. – Pójdziemy tedy i już wkrótce przekonamy się, czy są tu iglaste ciernie. W zeszłym roku sama je w tym miejscu zbierałam za pozwoleniem Isty. Oni ograniczają się do bardziej dostępnych stoków.

Wąwóz ciągnął się na dziesięć czy więcej smoczych długości od skraju urwiska i Moretę nagle ogarnął niepokój. Zeszłej jesieni nie ogołociła doszczętnie krzaków z kolców, ale wtedy układ księżyców na niebie był inny, a Czerwona Gwiazda znajdowała się wyżej na zachodzie. Nikt więc nie poczuł większej ulgi niż ona, kiedy stanąwszy na krawędzi wąwozu zobaczyli, że krzaki oblepione są brązowymi kolcami. Nad nimi dżungla zasłaniała niebo. Wąwóz wił się z północy na południe, utworzyło go jakieś pradawne trzęsienie ziemi. Cienka warstwa gleby na litej skale nie dawała oparcia bujnej roślinności lasu tropikalnego, która trzymała się w bezpiecznej odległości od krzaków iglastych cierni. Zaciekawilo to Alessana.

–Te krzaki są wszystkożerne – powiedziała Moreta. – Na wiosnę i w lecie mają trujące kolce. Wysysają sok ze wszystkiego, co się do nich zbliży, aż do jesieni, kiedy łodyga rośliny zgromadzi już wystarczająco dużo wilgoci i pożywienia, roślinnego czy zwierzęcego. Podobno ma smaczny miąższ.

Oklinę przeszedł dreszcz, ale Desdra przyklękła obok krzaka, któremu się przypatrywali.

–Wiosną i latem krzew ten wydziela zapach zwabiający węże i owady. Puste w środku kolce wysysają soki żywotne ze stworzeń, które się na nie nabijają, wchłaniając wodę deszczową. Popatrzcie, czubek tej rośliny jest uszkodzony. Jakieś zwierzę musiało obłamać kolce. Będzie łatwiej zbierać.

–Powiedziałaś, że kolce są jadowite. – B’lerion nie palił się do tej roboty.

–Na wiosnę i w lecie, ale teraz trucizna już wyschła. Popatrzcie, pojawiają się pączki nowych kolców. Stare kolce muszą odpaść. Wystarczy więc... – Przesunęła dłonią po gałęzi i zerwała całą masę igieł. – To bardzo proste, ale najpierw oczyszczajcie tylko teren wokół siebie, żeby można się było poruszać. Uważajcie, żeby nie uszkodzić czubków igieł i unikajcie dotykania delikatnych włosków na gałązkach. Mają drażniące działanie i mogą wywołać zapalenie skóry.

–Nie możemy przewozić ich w taki sposób – powiedział Capiam, patrząc na igły zebrane przez Moretę.

–Musimy owinać je w liście palmy ging. Jeśli natniemy skraj liścia, sok będzie działał jak klej. Liście są grube i mięsiste, zamortyzują wstrząsy i ochronią igły. Może podzielimy się teraz na pary: jedno będzie zbierać igły, a drugie pakować.

–Ja będę pakował dla ciebie, Moreto – zaproponował Alessan. Wyjął nóż z pochwy u pasa i ruszył po najbliższy liść palmowy.

–Wspaniały pomysł – powiedział B’lerion z wesołymi ognikami w oczach. Położył władczo rękę na ramieniu Okliny. Zgodzisz się pracować z takim inwalidą?

–Moja droga czeladniczko, wolisz pakować czy zbierać? – zapytał z humorem Capiam i ukłonił się Desdrze. – Możemy się zamienić po pewnym czasie.

–Ośmielę się powiedzieć, że częściej zbierałam te kolce niż ty, mój zacny Mistrzu. – Ze śmiechem poprowadziła Capiama w dół wąwozu. – Najlepiej przypatrz się najpierw, jak to się robi.

–Wybieraj mniej dojrzałe liście, Alessanie – uprzedziła Moreta. – Są bardziej soczyste i giętkie.

Zanim Moreta pokazała Alessanowi, jak szybkim szarpnięciem w dół odrywać liście od drzewa, zdążył już kilka z nich uciąć, mrużąc przy tym coś na temat wykonywania pracy drwala za pomocą zwykłego noża. Każdy liść miał przy ogonku zagłębienie. Moreta wsypała tam ciernie, zręcznie obciąła nadmiar liścia i zrobiła z niego malutką kopertę, sklejjąc krawędzie sokiem.

–Miałaś rację, że w tym tropikalnym lesie znajdziemy wszystko, czego nam trzeba. To nic trudnego, jeżeli się tylko wie, gdzie szukać.

–Teraz już i ty wiesz. – Uśmiechnęła się do niego. – Ta paczuszka zawiera około dwustu igieł. Próbowalam je kiedyś liczyć, ale natychmiast się pogubiłam. Przypuszczam, że ma to jakiś związek ze zmianą czasu. Na większych krzakach może być i po tysiąc kolców, a każdy z nich jest tak duży, że wystarczy nawet dla największego biegusa.

Kiedy Alessan chwycił ją za rękę, umilkła, nagle czując jakieś ośmielenie. Byli sami, chociaż słyszeli, jak Desdra droczy się z Capiamem, wytykając mu niezręczność, a B’lerion wesoło dodaje Oklinie odwagi.

–Powiedziałaś, że możemy tu zostać tak długo, aż zbierzemy tyle kolców, ile nam potrzeba – powiedział cicho Alessan, klęcząc obok niej. – I mimo to wrócimy do Ruathy, zanim tam upłynie godzina... – Popatrzył badawczo w jej odwróconą twarz i chwycił ją za ręce, zanim zdążyła sięgnąć po następne ciernie. – Czy nie moglibyśmy przywłaszczyć sobie odrobiny tego czasu?

Usłyszeli dźwięczny, pełen zachwytu śmiech Okliny, a po nim przekleństwo zaskoczonego B’leriona.

–To diabelstwo gryzie!

Moreta napotkała spojrzenie Alessana. Podniosła rękę, przesunęła palcami po bruzdach, jakie napięcie i niepokój wyłobily na jego obliczu. Wystarczyło to lekkie dotknięcie, a zareagowało całe jej ciało. Kiedy ją pocałował, bez sprzeciwu osunęła się w jego ramiona. Zalała ją fala gorącego uczucia. Klęczeli przy krzaku, który właśnie oczyszczali z iglastych cierni. Moreta zarzuciła Alessanowi jedną rękę na szyję, a drugą mocno przycisnęła go do siebie.

–A czego więcej można się spodziewać po jednorękim człowieku? – głośno narzekał B’lerion.

Moreta i Alessan oderwali się od siebie, ale spizowego jeźdźca nie było jeszcze widać. Alessan uśmiechnął się rozbawiony ich zmieszaniem.

–W południe będzie za gorąco, żeby pracować, Alessanie, i na pewno uda nam się wtedy znaleźć jakieś miejsce, gdzie nikt nam nie zakłóci spokoju.

–Sprytnie uczyniłaś dzieląc nas na pary.

–Człowiek zawsze bardziej żałuje tego, czego nie zrobił, niż tego, co zrobił – powiedziała Moreta z udawaną surowością.

–Ja osobiście nie lubię, kiedy jest za gorąco. – Teraz Alessan w skupieniu zaczął całować jej policzki i szyję. Wystarczył jeden nie ostrożny ruch i dotknął ręką cierniowego krzaka. Odskokzył jak oparzony, pociągając za sobą Moretę. – One naprawdę gryzą! – Pocierał rękę, gdzie na skórze pojawił się rząderek drobnych, krwawych koralików.

–Oczywiście, że gryzą. – Sięgnęła po ucięty ging i wycisnęła trochę soku na ukłucia. – Ten sok zaklei też ranki. Naprawdę, Alessanie – ucałowała go i pogładziła po twarzy – musimy zająć się tym, po co tu przybyliśmy!

–Ja się zaraz policzę z tym krzakiem – powiedział Alessan i garściami zaczął zrywać ciernie. – Masz nauczkę, mój kolczasty przyjacielu! A masz! A masz! I oto już jesteś goły!

Na ten pełny oburzenia monolog Moreta parsknęła śmiechem i zaczęła w pośpiechu pakować plon jego zemsty.

–Ty obierałaś pierwszy krzak. Teraz pakuj dla mnie! – mruknął Alessan. Kiedy zamykała ostatnią paczkę, zaczął całować ją w szyję, w brodę.

–Chyba na całym Pernie nikt nie pakuje szybciej, niż ty – pochwalił ją, nie zajmując się już kolcami.

–Teraz moja kolej, żeby zbierać – powiedziała Moreta, skubiąc go zębami za ucho i gładząc jego gęste włosy. – Ktoś w końcu musi zrobić z tobą porządek – mruknęła. Alessan miał już tak potarganą czuprynę, jak za dawnych lat, co ją z jakiegoś powodu denerwowało.

–To ja z tobą zrobię porządek, jeśli się nie weźmiesz do roboty, Moreto.

–I tak pracuję szybciej niż ty – powiedziała, obrywając pospiesznie z najbliższego krzaka całe garście kolców i sypiąc je na stos, który Alessan miał zapakować.

–Czy nie potraficie pracować w zgodzie? – zapytał B’lerion, wyłaniając się nagle zza zakrętu wąwozu.

–Wkrótce się nauczymy! – odpowiedzieli chórem, wesoło machając do niego rękami. B’lerion

przyjrzał im się przez chwilę i odszedł.

–Teraz czas na pracę, bawić się będziemy później – powiedziała Moreta, dalej ogałając cierniste krzaki z kolców.

–Można pracę połączyć z zabawą. – Alessan lekko musnął ją dłonią.

Pracowali solidnie, ale oboje wykorzystywali każdą okazję, żeby się przytulić czy pocałować, kiedy zawijali igłowe ciernie w ging. Klęcząc pod krzakami dotykali się kolanami lub udami. Moreta czuła, jak podnoszą jej się na rękach cieniutkie włoski, jak reaguje na jego rozkoszną bliskość. Miała ochotę rozchichotać się jak ostatnia idiotka. Widziała, że Alessan ma również na twarzy niezbyt mądry uśmiech. Zdążyli już niemal całkiem zapomnieć o obecności reszty towarzystwa, kiedy B'lerion i Oklina z hałasem przedarli się na szczyt wąwozu.

–Ale z was pracusie – powiedział B'lerion z niechętnym uznaniem. – Nie zauważyliście, że się zrobiło okropnie gorąco? Był goły do pasa, a Oklina podwiązała sobie koszulę pod pierśmi, odsłaniając talię. Niosła cztery siatki zapakowanych igieł cierniowych. – Poza tym zgłodniałem, chociaż może wam nie chce się jeść. – Zakołysał tobołkiem zrobionym z koszuli. – Znalazłem trochę dojrzałych owoców i zrąbałem jedną z tych palm, które mają jadalny rdzeń. Nie wytrzymacie tego tempa pracy – gestem wskazał na ich pełne siatki – jeśli czegoś nie zjecie... Capiamie! Desdro! Zjedzmy coś!

Capiam i Desdra, którzy kłócili się właśnie o ściągające własności soku z drzew ging, wolnym krokiem podeszli do nich. Capiam również ściągnął tunikę i zarzucił ją sobie na ramiona. Był bardzo chudy, wyraźnie było mu widać wszystkie żebra.

–Wiem, że jest gorąco – zaczęła zręcznie Moreta – ale żadne z nas nie może wrócić do Ruathy z oparzeniami od słońca.

Capiam pokazał liść, którego używał jako wachlarza.

–Ani z porażeniem słonecznym. – Na widok pełnych siatek uniósł z podziwem brwi. – Nasze siatki zostawiliśmy tam, zgodnie z tradycją powinniśmy o tej porze dnia zrobić sobie sjęstę.

Wszyscy przyznali, że to rozsądny pomysł.

–Znalazłam trochę melonów i tych czerwonych korzeni, które tak smakują Istańczykom – powiedziała Desdra.

–Na wszystkich drzewach wiszą całe pęki orzechów, Alessanie. Mógłbyś zerwać trochę, jeżeli potrafisz się wspinać – rzekła Moreta.

–Wejdę na drzewo, a ty łap.

Alessan zdjął koszulę, żeby mu się nie podarła, a Moreta wrzucała do niej orzechy. Kiedy skończyli

pracę, w nagrodę przytuliła go mocno, a on wsunął ręce pod jej tunikę i pieścił jej ramiona. Ku własnemu zaskoczeniu Moreta przekonała się, że Alessan ma skórę gładką jak skóra Orlich, a zapach niemal korzenny.

Przypomnieli sobie o swoich obowiązkach. Ta prosta czynność nie powinna zająć im zbyt wiele czasu. Moreta stwierdziła, że nieco spiekła się na słońcu.

–Na tej szerokości geograficznej słońce zbyt ostro świeci, jak na naszą wybladłą, zimową skórę – powiedziała Desdra, wylegając się na liściach gingu, których w tym celu nacięli oboje z Capiamem.  
– A ten upał każdego by zmęczył – dodała, wachlując się.

Przy jedzeniu odprężyli się wszyscy. Czerwone korzenie były mięsiste, miękkie orzechy właśnie dojrzały, a melony miały winny posmak. Rdzeń palmy był orzeźwiająco chłodny i chrupiący B'lerion ani na chwilę nie przestawał żartować i komentować faktu, że podczas wyprawy, która ma uratować cały kontynent, dysponuje zaledwie jedną ręką. Czy wobec tego ma oczekiwać tylko połowy należnego mu uznania?

–Czy on zawsze jest taki? – zapytał cicho Alessan, kiedy B'lerion opowiedział im zabawną historyjkę, naśmiewając się z Lorda Diatisa. – Nawet harfiarze nie mogą się z nim równać.

–Potrafi dobrze śpiewać, ale jest przy tym najprawdziwszym smoczym jeźdźcem – odparła Moreta.

–Czemu więc nie został twoim partnerem w Weyrze?

–Orlich wybrała Kaditha.

–A ty w tej sprawie nie miałaś nic do powiedzenia? – zirytował się Alessan. Rano, podczas wspólnej pracy, Moreta zorientowała się, że nie darzy on sympatią Sh'galla. Czy aby Ruatha nie straci oparcia w Przywódcy Weyr Fortu na skutek ich wzajemnych powiązań? Usiłowała właśnie odpowiedzieć sobie na to pytanie, kiedy Alessan z błagalnym i skruszonym wyrazem twarzy położył dłoń na jej ręce, prosząc, żeby wybaczyła mu te szorstkie słowa. – Przepraszam cię, Moreto. To jest sprawa Weyru.

–B'lerion jest zawsze taki – powiedziała. – Czarujący, zabawny. Jednak to Sh'gall jest dobrym przywódcą i ma niesamowite wyczucie jeśli chodzi o Opady, tak przynajmniej uważał jego poprzednik, L'mal.

–No, no, B'lerionie. Tej opowieści nigdy jeszcze nie słyszałem. – Capiam zaśmiał się wstając. – Przypuszczam, że harfiarzy obowiązuje jednak pewna dyskrekcja. – Czy pamiętasz może, gdzie widziałaś te rośliny o ściągających własnościach, Desdro? Wiem, że przybyliśmy tu po igły cierniowe, ale Siedziba odczuwa takie braki wszystkiego...

–Poszukamy tych roślin, mój drogi Mistrzu Capiamie, ale ty również musisz odpocząć. – Nie oglądając się za siebie, poszli w górę wąwozu i zniknęli za zakrętem.

–Chodź, Oklino – powiedział B’lerion – na naszym półku iglastych cierni jest mnóstwo cienia i wieje tam rześki wiaterek. Wykorzystajmy czas jak się należy.

B’lerion z uśmiechem podał Oklinie pomocne ramię i zniknęli z pola widzenia. Gęste listowie zamarło w bezruchu w upale południa.

Alessan przyciągnął Moretę do siebie, zaczął ją całować i pieścić, budząc w niej namiętność.

–Chodźmy, Moreto. Nie mam zamiaru narażać się na następny atak tych iglastych cierni. – Wyprowadził ją z wąwozu w kierunku urwiska. – Chciałbym tylko zrozumieć, czemu ten błękitny smok M’baraka ciągle węszy koło Okliny. Rozumiem, że robi to Nabeth, skoro wpadła w oko B’lerionowi, ale Arith... Czy może to mieć jakiś związek z leżącym w Wylęgarni królewskim jajem, jak to sugerował Tuero?

–Niewykluczone, ale poddając Oklinę Poszukiwaniu, Alessanie, odebralibyśmy ci członka twojego rodu. Tego Weyr Fort nie zrobi.

–Tu będzie nam nieźle. Rzućmy tylko na ziemię trochę tych liści palmowych – powiedział Alessan. – Nie chcę, żeby porobiły ci się siniaki. Byłoby to równie trudno wytłumaczyć, jako parzenia czy udar słoneczny. – Moreta pomogła mu wymościć posłanie, wszystkie jej zmysły nagle zagrały, żałowała tylko, że to Nabeth, a nie Orloth, siedzi na istańskiej półce skalnej. – Wracając do Okliny, z wiarygodnych źródeł dowiedziałem się – Alessan uśmiechnął się, a w oczach żywo zapłonęły mu wesołe iskierki, że w jej żyłach płynie już krew smoczych jeźdźców... Gdyby można było zawrzeć taką umowę, że jej dzieci wrócą do Ruathy, a Oklina miałaby szansę Naznaczyć smoka, nie sprzeciwiałbym się. – Zdecydowanym ruchem cisnął ostanią garść liści na ziemię i wziął Moretę w objęcia. – Widzisz, jestem inny niż mój ojciec.

–Gdyby to był twój ojciec, nie poszłabym do tego tropikalnego lasu.

–A czemu nie? To był zmysłowy człowiek. A ja mam zamiar dowieść, że godzien jestem jego reputacji!

Moreta śmiała się, kiedy kładł ją na nakrapianym słońcem posłaniu z liści. Okazał się tak namiętnym i czułym kochankiem, jakiego kobieta tylko może sobie wymarzyć. Przez jedną wspaniałą chwilę Moreta zapomniała o wszystkim.

Zmorzeni upałem zdrzemnęli się w swoich objęciach. Spali krótko, bo jakieś drobniutkie owady zaczęły szukać na ich ciałach wilgoci i tak im dokuczały, że się obudzili.

–Żywcem mnie pożerają! – zawołał Alessan.

–Zerwij kawałek tego pnącza – powiedziała Moreta i przyłóż jego liście. Nie będzie cię swędziało.

–Skąd tyle wiesz?



–Przecież Naznaczyłam w Iście. Znam tutejsze zagrożenia. Nawzajem opatrywali sobie miejsca po ukąszeniach owadów i trwało to znacznie dłużej, niż wymagała tego sytuacja. Alessan usiłował pocałować Moretę, ale skleił sobie wargi świeżym sokiem pnącza. Pokładając się ze śmiechu wrócili do wąwozu, gdzie zrobiło się już nieco chłodniej, bo zachodzące słońce schowało się za zboczem.

Kiedy tropikalny zmierzch uniemożliwił im pracę, zebrali się wszyscy na półce, gdzie leżał senny Nabeth. Zaczęli składać na stos pełne siatki.

–Nabeth mówi – B’lerion klepnął czule spizowego smoka że poza polującymi jaszczurkami ognistymi nie widział żywego ducha! Mam nadzieje, że wystarczy ci tego, co zebraliśmy, Mistrzu Capiamie, bo muszę powiedzieć, że ta moja jedyna ręka – pokazał podrapaną cierniami dłoń – wystarczająco się napracowała, jak na jeden dzień!

Capiam i Desdra spojrzeli na siatki, a potem na siebie.

–Czy ktoś z was pamiętał, żeby je policzyć? – zapytał Capiam.

–Nie, i nie mam zamiaru teraz tego czynić – odezwał się stanowczo B’lerion.

–Nawet przez myśl by mi nie przeszło, żeby ci to proponować!

–Jednak chętnie tu wrócę i narwę tyle, ile będziecie potrzebowali.

Moreta dotknęła jego ramienia.

–Nie, B’lerionie. Jeżeli przypadkiem nazbieraliśmy za mało, poleć do Neratu. Nie wracaj tutaj.

–No tak. To zapobiegnie paradoksom czasowym. A w Neracie księżycy będą w tym samym położeniu względem siebie.

–A teraz powinniśmy już wracać – powiedział ze znużeniem Capiam.

–Wręcz przeciwnie, mój drogi Mistrzu Capiamie, to by dopiero dało pole do spekulacji, czym się dziś zajmowaliśmy zauważył B’lerion. – Wylatujemy z Ruathy pełni energii i w świetnym humorze, a w godzinę później wracamy wyczerpani, zarumienieni od słońca i głodni. Oklino, w której siatce mamy obiad? A, tutaj. Rozsiądźcie się wygodnie. Oprzyjcie się o Nabetha. Wystarczy tego dla wszystkich.

Oklina podała mu siatkę z powiązanych ze sobą pnączy. B’lerion podniósł ją do góry, żeby wszyscy zobaczyli spieczone bryłki gliny.

–Złowiłem kilka ryb, kiedy odpoczywaliśmy – powiedział B’lerion – a Oklina znalazła bulwy. Więc upiekliśmy je razem. Na skałach w wąwozie było tak gorąco, że, za przeproszeniem, Moreto, można by tam usmażyć smocze jajo. Alessanie, czy moglibyście z Moretą poszukać jeszcze paru takich

dojrzałych melonów, zanim się ściemni? Mielibyśmy ucztę godną... Wyklucia! B'lerion ugryzł się w język i tylko Moreta zorientowała się, że zastąpił jedną uroczystą okazję inną.

Chcąc odwrócić uwagę Alessana, pociągnęła go za sobą i poszli po te melony. Wiedzieli dokładnie, gdzie można je znaleźć, ponieważ po południu wyprawiali się na to poletko kilka razy, żeby zaspokoić pragnienie.

Po części przyczyną ich zmęczenia był głód. Moreta podziękowała Oklinie, że pomyślała o przygotowaniu jedzenia.

–To był pomysł B'leriona – powiedziała Oklina. – Łapał ryby ręką.

–Czy i ciebie nauczył tego? – zapytał Alessan.

–Nie – odpowiedziała Oklina. – Mnie uczył tego Dag. Tę samą metodę można również stosować w naszych rzekach.

Kiedy Alessan usiadł obok Morety, zaśmiała się na widok jego miny.

–Po głębszym namyśle dochodzę do wniosku, że ona naprawdę zasługuje na to, żeby być w Weyrze – powiedział Alessan półgłosem. Potem uświadomił sobie, że opiera się o spiżowego smoka i gwałtownym ruchem pochylił się w przód.

–Nabeth nie weźmie ci tego za złe. Jest również moim starym przyjacielem.

Alessan mruknął coś i rozłupał jedną z bryłek gliny. Ukazała się długa, smukła bulwa. Potem Moreta z innej bryłki wydłubała rybę. Podzielili się tym zgodnie.

–Bardzo z ciebie sprytny człowiek – powiedział Capiam z pełnymi ustami. Oboje z Desdrą usadowili się w łuku Nabethowego ogona. Desdrą przytaknęła głową, ale zbyt była zajęta oblizywaniem palców, żeby się odezwać.

–Znalazłoby się parę rzeczy, które potrafię dobrze robić powiedział B'lerion z przesadną skromnością, z którą bardzo mu było do twarzy. – Wad mam niewiele, ale jedną z nich jest łakomstwo. Owoce mogę jeść w południe, kiedy jest upał, ale przed snem lubię napełnić żołądek czymś konkretnym...

–Przed snem? – zawołali równocześnie Capiam i Moreta.

–A tak. – B'lerion podniósł do góry rękę, żeby powstrzymać ich protesty. – Spojrzał surowo na Moretę. – Ty po Opadzie będziesz musiała przez następne godziny latać smoki. Nie poradzisz sobie z tym po takim dniu. – Ty, Alessanie, będziesz musiał zaszczepić te swoje bezcenne kłaczki rozplodowe i żrebaki i sprowadzić je na dół z łąk. Nie wyobrażam sobie, żebyś pozwolił komuś innemu tym kierować. Wy, Desdro i Capiamie, po powrocie będziecie musieli rozszerzyć program szczepień tak, żeby objął biegusy, a nie jest to łatwe zadanie. Skoro więc skończymy jeść, należy się przespać.

Kiedy wszędzie Belior, Nabeth nas obudzi, prawda, ty mój wspomniały? – B'lerion klepnął smoka po karku.

–B'lerionie – zaprotestowała energicznie Moreta – ja naprawdę powinnam wracać do Orlith.

–Orlith ma się świetnie, moja droga. Świetnie! Nie będzie cię tylko przez godzinę rzeczywistego czasu. A mówiąc szczerze, moja droga przyjaciółko, lecisz już z nóg! – B'lerion pochylił się i zmierzwił jej włosy śmiałym gestem, na co siedzący obok Alessan aż zeszywniał. Moreta szybko położyła mu rękę na udo, żeby go uspokoić. – Tak czy owak – ciągnął dalej B'lerion – nie masz wyboru, Moreto. – Był tak rozbawiony, że jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. – Możesz stąd odlecieć wyłącznie na Nabecie. A on słucha moich rozkazów.

–Przebiegły z ciebie człowiek – powiedział bez urazy Capiam.

–Nie przebiegły, tylko rozsądny – poprawiła go Desdrą. Przerazenie mnie ogarniało na samą myśl o tym, że wpadnę znów w ten wir pracy, w te wszystkie obowiązki. Nie mówiąc już o tym, jak to wytłumaczymy. – Przyjrzała się swoim podrapanym ręką.

–Jeżeli każdemu dasz tyle do roboty, co zwykle, Desdro – powiedział Capiam – nikt nie będzie miał czasu, żeby zwrócić na to uwagę.

–Ułóżcie się więc jak najwygodniej przy Nabecie. Jemu nie przeszkadza to, że będzie nam służył zarówno za poduszkę, jaki za osłonę przed wiatrem. Jest tu miękka trawa, a wiatr od morza odpędzi komary.

Potem B'lerion kazał Nabethowi wyciągnąć szyję i usadowili się tam razem z Okliną. Capiam i Desdra ułożyli się w zakręcie ogona, a Moreta przytuliła się do boku Nabetha i skinęła na Alessana, żeby do niej dołączył.

–Nie przygnieciecie nas? – wyszeptał Alessan.

–Dopóki B'lerion leży mu na karku, nawet nie drgnie. Tak więc Alessan wtulił się plecami w Moretę, oplótł się w pasie jej rękami i ścisnął jej dłonie. Moreta czuła, jak jego oddech robi się coraz wolniejszy. Przytuliła twarz do jego silnych pleców. Tropikalna noc była ciepła i wonna. Moreta usłyszała, jak Capiam mruknął coś i ucichł. Alessan spał, ale Morecie nie dawało spokoju to samo poczucie dezorientacji, które męczyło ją rano. Czuła kojący, korzenny zapach smoka, z niewielką domieszką smoczego kamienia, i zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy od dwudziestu Obrotów spędziła dzień bez Orlith. Tęskniła za nią. Orlith podobałoby się to, jak czule kochał ją Alessan. Kiedy się kochali, brakowało jej tylko tego, żeby smoczyca mogła podzielać jej szczęście. Uspokojona Moreta zasnęła.

Jak tylko Nabeth wpadł w przestrzeń powietrzną nad Ruathą, z Moretą skontaktowała się rozpaczliwie zdenerwowana Orlith.

„Jesteś tam! Gdzie byłaś?”

„Gdzieś się podziewała”? – spytała zaniepokojona Holth.

„Byłam w Iście. Tak jak wam powiedział Nabeth.”

„Nie mogliśmy cię tam znaleźć!” – odezwały się obydwie królowe.

„Jestem tutaj. Mam to, po co polecieliśmy. Wszystko w porządku! Niedługo wracam.”

Jak tylko Moreta poczuła obecność Orlith, skończyła się ta związana ze zmianą czasu dezorientacja i dziwaczne poczucie niespójności, które męczyło ją w Iście nawet we snach. Była nie tylko wypoczęta, ale i niezwykle ożywiona. Miała wrażenie, że gdzieś w środku tkwi w niej ciepła kula euforii, która rośnie i napełnia siłą całe jej ciało. Rzeczywiście było to bardzo rozsądne ze strony B’leriona, że uparł się, żeby się przespali.

Siedzący za Moretą Alessan nagle zeszywniał i mocno zacisnął ręce na jej talii. Choć od wiatru wywołanego szybowaniem Nabetha gwizdało jej w uszach, słyszała przekleństwa Alessana. Spojrzała w dół na posępną Ruathę i zdała sobie sprawę, jak Alessan musi cierpieć, patrząc z perspektywy smoczego grzbietu na swoją zrujnowaną Warownię. Kiedy udało jej się obrócić tak, żeby na niego popatrzeć, zobaczyła na jego twarzy wyraz bezwzględnej determinacji.

Skoro tylko Nabeth zwinnie wylądował obok stajni, Alessan zwrócił się do Okliny.

– Chyba niektórzy z rekonwalescentów mogliby już zabrać się do sprzątnięcia, Oklino. Czy przyjrzałaś się dobrze naszej Warowni? To jedna ruina. Pozwól, Moreto. Pomogę ci. – Alessan zsunął się po boku Nabetha i wyciągnął do niej ręce. Moreta wiedziała, że to tylko pretekst, żeby ją przytulić. – Będę nadal produkować surowicę, Mistrzu Capiamie i czekał na dalsze instrukcje. Oklino, czy wiesz, o co mi chodzi? No, to pomogę ci zsiąść. Kłaniam ci się, Nabethu, jestem ci bezgranicznie wdzięczny. – Alessan skłonił się uroczyście przed spiżowym smokiem, który mrugnął do niego z sympatią. Jego oczy zawirowały zielononiebieskim światłem.

– Mówi, że to nie był obowiązek, lecz przyjemność – powiedział B’lerion, pomagając Oklinie usiąść na uniesioną przednią łapę smoka. Zaczekał, aż zeszła na ziemię, a potem, kiedy Nabeth znowu wzleciał w powietrze, pomachał im wesoło ręką.

Właściwie to pożegnali się jeszcze w Iście, kiedy na istańskie niebo wzeszedł okrągły i zielonozłoty Belior. Gdyby okazało się za mało cierni, B’lerion miał zebrać je dyskretnie w Neracie razem z Okliną i Desdrą. Capiam ułożył komunikat dla Mistrza Hodowcy i wszystkich warowni, gdzie hodowano albo trzymano biegusy. Do osiedli, gdzie nie było bębnow, miały się udać sztafety.

Ledwie wiatr uniósł obłok kurzu, który wzbił się przy odlocie Nabetha, kiedy ze stajni wyszedł Tuero z wyrazem zaskoczenia na swojej nieładnej twarzy.

– Nie zajęło wam to wiele czasu – powiedział. – Alessanie, nie możemy robić następnej partii, póki M’barak nie znajdzie więcej szklanych butli. Nie wiem, dlaczego tak długo go nie ma.

Wszyscy troje drgnęli, ale zanim Tuero zdążył ich zapytać o powód tego niepokoju, nad polami przeleciał Arith z M'barakiem i wylądował niemalże w tym samym miejscu, co Nabeth. Moreta chwyciła Alessana za rękę.

–Kogo on przywiózł ze sobą? – zapytał Tuero. Kiedy błękitny smok usiadł na ziemi, na jego grzbiecie zobaczyli trzech pasażerów i jakieś siatki.

–Moreto! – zawołał M'barak, poganiając ją ruchami rąk. Pospiesz się. Weźcie te butelki. Mam tutaj ludzi, którzy mówią, że potrafią się obchodzić z biegusami. Pośpieszcie się, bo muszę się przygotować do Opadu. F'nedril żywcem obedrze mnie ze skóry, jeżeli nie przybędę na czas.

Alessan, Tuero, Oklina i Moreta pędem rzucili się, żeby zdjąć z Aritha pasażerów i butle. Potem Alessan podsadził Moretę na grzbiet Aritha. Trochę za długo nie mógł oderwać dłoni od jej nogi, ale nikt tego nie komentował. Kiedy Moreta spojrzała na zwróconą ku górze twarz Alessana, pożałowała, że na pożegnanie może ofiarować mu tylko uśmiech. Alessan cofnął się o krok i jedna z nowo przybyłych osób dotknęła jego łokcia. Była to kobieta, wysoka i szczupła, ostrzyżona tak krótko, jak kobiety z Weyrów. Przypominała kogoś Morecie. Chwilę potem byli już w powietrzu i M'barak uprzedził ją, że polecą w „pomiędzy”, jak tylko Arith będzie miał dość przestrzeni powietrznej.

Kiedy znaleźli się z powrotem nad Weyrem, tyle było tu krzątających z przygotowaniem do odlotu dużych skrzydeł, że nikt nie zauważył ich przybycia, chociaż na wszelki wypadek M'barak wynurzył się z „pomiędzy” tuż nad jeziorem, Arith poszybował dalej, żeby wysadzić Moretę przy Wylęgarni. Moreta z wdzięcznością poklepała błękitnego smoka i pobiegła przez piaski do Orlith. Wcale nie była zaskoczona, kiedy obok Orlith zobaczyła Leri.

–Jesteś wreszcie! – powiedziała z ulgą Orlith rozpościerając skrzydła i obsypując piaskiem niewielką postać Leri.

–Wszystko w porządku, Orlith, jestem tutaj! Nie rób takiego zamieszania! – Moreta podbiegła do swojej smoczycy, zarzuciła ramiona na głowę Orlith, tuląc ją mocno, drapiąc po wyrostkach nad oczami i mrucząc uspokajająco.

–Na pierwsze Jajo – powiedziała Leri, opierając się o bok Orlith – tak się cieszę, że cię widzę! Co się z tobą działo? Holth również nie potrafiła cię znaleźć. Och, bądź już cicho!

–W końcu wróciłaś. – Orlith nigdy nie umiałaby powiedzieć tego z takim wyrzutem, jak Holth.

–Czy nie miałaś kontaktu z Nabethem? – zapytała Moreta Orlith. Orlith miała bardzo niezdrowy kolor, a twarz Leri poszarzała z udręki. Moreta poczuła się do głębi skruszona. Nie chciała ich na to narażać. – Czemu nie porozumiałyście się z Nabethem?

–Ja chciałam ciebie – powiedziała żałośnie Orlith.

–Czy zechciałabyś poświęcić jedną chwilkę na wyjaśnienie, co tu się działo? – zapytała Leri

sarkastycznym tonem. – Ta ostatnia godzina była okropna. Musiałam powstrzymać Orlith, która chciała polecieć za tobą nie wiadomo gdzie... A gdzie ty właściwie byłaś?

–Czy Nabeth wam nie wytłumaczył?

Ze zdenerwowania Leri zamachała rękami.

–Powiedział tylko, że leciecie w podróż, która jest konieczna i która nie zajmie wam więcej jak godzinę.

–No i upłynęła nie więcej niż godzina i byliśmy z powrotem w Ruacie. – Teraz, kiedy znowu miała obok siebie Orlith, tamte dwadzieścia subiektywnych godzin wydawało jej się snem.

–Nie – powiedziała stanowczo Leri – w rzeczywistości było to nieco więcej niż godzina. Rozmawiałaś o czymś z Capiamem a potem ty, on i ta jego czeladniczka popędziliście jak szaleni na M’barakowym Aricie do Ruathy. Następnie Holth przekazała mi prośbę od Nabetha i B’leriona. – Leri obrzuciła Moretę surowym spojrzeniem; efekt byłby wspaniały, gdyby nie to, że wygłaszając reprimendę, przestępowała z nogi na nogę.

–Wyglądasz, jakby cię trochę parzył ten piasek, Leri. Lepiej wyjdźmy z Wylęgarni. Mam ci wiele do opowiedzenia. Nie, Orlith, będziesz mnie miała przez cały czas na oku, a to gorąco, tak potrzebne twoim jajom, nie wpływa na mnie najlepiej. – Moreta popchnęła lekko Leri w kierunku swojej tymczasowej kwatery, a potem pogładziła smoczykę po pysku.

Zanim Moreta uspokoiła Orlith, Leri zdążyła już się usadowić. Królowa łagodnie odsunęła swoją partnerkę i zaczęła turlać królewskie jajo.

–To wszystko zaczęło się wówczas – powiedziała Moreta do Leri, kiedy już obie rozsiadły się na poduszkach – gdy przybył Mistrz Capiam, żeby zadać mi to samo pytanie, jakie usłyszałam od Alessana. Dotyczyło ono szczepienia biegusów.

Leri parsknęła z niezadowoleniem.

–Jeszcze mu mało, kiedy ma na głowie leczenie wszystkich ludzi?

–To choroba odzwierzęca. Zwierzęta zarażają ludzi i inne zwierzęta.

Leri spojrzała na Moretę z przerażeniem. – Choroba odzwierzęca? Już samo to określenie jest okropne! – Poprawiła poduszkę, którą miała za plecami. – No, teraz jest mi wygodniej. Mów dalej.

Moreta opowiedziała Leri o wizycie Capiama, o jego obawach, że ta odzwierzęca choroba może rozejść się drugą falą jeszcze bardziej jadowitej infekcji wirusowej, i wyjaśniła, dlaczego masowe szczepienia są takie istotne. Capiam zostawił jej swoje wykresy. Moreta wyciągnęła je i dała Leri do obejrzenia.

–Capiam zaplanował wszystko tak, żeby użyć do tego jak najmniej smoczycich jeźdźców. – Urwała, widząc zaskoczenie na twarzy Leri. Starsza Władczyni Weyru zorientowała się w metodzie dystrybucji.

–A więc jeźdźcy będą musieli wędrować w czasie! – Leri patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami, nozdrza jej prostego nosa o szlachetnej linii rozděły się z oburzenia. – Powiedziałaś, że to Capiam przywiózł ten... ten nieprawdopodobny plan? – Moreta skinęła głową. – A skąd, jeżeli wolno zapytać, skąd Mistrz Capiam wiedział, że smoki mogą poruszać się w czasie? Obedrę K'lona ze skóry! – Leri aż podskakiwała na kamiennym podeście. Na górze na znak protestu zatrąbiła Holth.

–To nie był K'lona – powiedziała Moreta, chwytając za rękę gestykulującą gorączkowo Leri. – Uspokój Holth. Sprowadzi nam tu Sh'galla!

–Jeżeli to ty, Moreto, powiedziałaś Capiamowi...

–Nie bądź niemądra. On już przedtem wiedział o tym! Moreta pamiętała, jak bardzo sama była oburzona na Capiama, gdy usłyszała to z jego ust. – Musiał mi przypomnieć, że to jego cech rozwinął tę zdolność u smoków.

Leri otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale po chwili namysłu skinęła głową.

–Wciąż jeszcze masz parę spraw do wyjaśnienia, Moreto. Gdzie byłaś przez tę godzinę, kiedy nie mogły się z tobą skomunikować ani Orlith, ani Holth?

Nagle Moreta przelęknęła się, jak zareaguje Leri, kiedy powie jej, gdzie naprawdę była, zwłaszcza teraz, kiedy stało się oczywiste, że Nabeth nie udzielił zbyt wyczerpujących wyjaśnień.

–Polecieliśmy do Isty. Polecieliśmy naprzód w czasie do Isty, żeby nazbierać igieł cierniowych. Niewiele ma sensu produkowanie szczepionki, jeżeli nie będzie czym robić zastrzyków.

Moreta potulnie zniosła przeszywające spojrzenie Leri, wyrażające niedowierzanie, gniew, niepokój, a w końcu rezygnację.

–A więc tak po prostu przenieśliście się o cztery czy pięć miesięcy w przyszłość?

–B'lerion sprawdził położenie Czerwonej Gwiazdy i obydwóch księżyców, żeby mieć pewność, że znajdziemy się blisko jesiennej równonocy. I wróciliśmy do Ruathy po godzinie.

Leri zabębniła palcami po swoich krótkich udach, co świadczyło o tym, że jest bardzo niezadowolona.

Obejrzała dłonie Morety, dopiero teraz dostrzegając zadrapania od kolców.

–Dobrze ci tak. – Parsknęła z niesmakiem. A potem z niechętnym uśmiechem dodała: – Przecież powinnaś się była czegoś nauczyć na błędach K'lona. A tu proszę! Spiekłaś się na słońcu. Podrapałaś

się!

–Wszystko to mogę zamaskować czerwonym zieleń. – Wsunęła obydwie dłonie pod uda i poczuła chłód kamienia na głębszych rankach. – Nabeth nie powiedział ci, że lecimy do Isty? Wybrałam miejsce, które naprawdę jest trudno dostępne od strony tropikalnego lasu. Na północnym kontynencie są tylko dwa miejsca, gdzie rosną iglaste ciernie, ale pomyślałam sobie, że ten wąwóz w Iście będzie bardziej bezpieczny niż Nerat. Byliśmy absolutnie bezpieczni przez cały czas.

–My? – I znowu Leri patrzyła na Moretę w popłochu.

–Trudno by mi było samej zebrać tyle igieł – Moreta zdała sobie sprawę, że usiłując uspokoić Leri, powiedziała więcej, niż musiała.

–Kto poleciał?

–B’lerion...

–Tego nie dałoby się uniknąć.

–Mistrz Capiam i Desdra, ta czeladniczka. Wiedziała o podróżach w czasie, bo to właśnie ona znalazła te wpisy w starych kronikach.

–Czy nie mogłybyśmy poprosić Mistrza Capiama, żeby spalił te stare kroniki? – zapytała z nadzieją w głosie Leri.

–Zgodził się je „zagubić”. I to właśnie dlatego zgodziłam się polecieć.

–To są cztery osoby. Kto jeszcze poleciał? Znamy się już zbyt długo, moja droga, żebyś mogła mnie oszukać.

–Alessan i Oklina.

Leri ciężko westchnęła i zakryła oczy ręką.

–Alessan jest zbyt honorowy, żeby miał plotkować o tej zdolności smoków. A sądząc po tym, jak Arith węszy naokoło Okliny, może być ona kandydatką do jaja Orlich – powiedziała Moreta.

–Ty chyba nie mogłabyś... nie chciałabyś zabierać Alessanowi siostry... – zdumiała się Leri.

–Ja bym tego nie zrobiła, ale królowa może. Alessan powiedział, że nie będzie się sprzeciwiał, jeżeli wszystkim urodzonym przez nią dzieciom wolno będzie wrócić do Ruathy.

–No, no! – wykrzyknęła z pochwałą Leri. – Dużo osiągnęłaś przez tę jedną godzinę, prawda?

–B’lerion uparł się, żebyśmy się przespali sześć godzin w Iście w tamtym czasie, no i musieliśmy sobie zostawić godzinę na powrót do Ruathy.



–Wśliznęliście się tak z powrotem do Ruathy, niosąc siatki pełne igieł cierniowych, nie udzielając żadnych wyjaśnień?

Napięcie Morety opadło. Kiedy już Leri uspokoi się, zacznie ona dostrzegać humorystyczną stronę tej przygody.

–B’lerion wysadził Alessana, Oklinę i mnie, a potem odleciał do Siedziby Uzdrowicieli razem z Capiamem i Desdrą. Jeszcze kurz nie opadł, kiedy przyleciał M’barak z następnymi szklanymi butlami i ochotnikami. Poza tym, kto miałby żądać od Lorda Ruathy, żeby tłumaczył się ze swojej godzinnej nieobecności, albo wypytywać Mistrza Capiama, gdzie zdobył igły cierniowe? Ma je! Nikt więcej nie musi wiedzieć!

–Trafne spostrzeżenie. – Leri odzyskała dobry humor.

–Tak więc – powiedziała Morela, kiedy jakimś cudem udało jej się uspokoić Leri – jutro muszę się zwrócić do innych Weyrów i poprosić o pomoc przy rozwożeniu szczepionki. Obiecałam to Capiamowi.

–Moja droga dziewczyno, możesz wymknąć się stąd na godzinkę w jakimś tajemniczym celu, ale jak wytłumaczysz swoją nieobecność, kiedy zaczniesz skakać z Weyru do Weyru?

–Mam świetny pretekst. Oto leży tu jajo królewskie. Mogę odwiedzać Weyry w celu Poszukiwań. Nawet Orlith zgodziłaby się, że jest to konieczne! A jeżeli dobrze pamiętam, Przywódcy Weyrów obiecali na tym swoim historycznym spotkaniu przy Granitowym Wzgórzu, że dostarczą kandydatów dla jaj Orlith.

–To było kiedyś, a nie dzisiaj – zwróciła jej sardonicznie uwagę Leri. – Wiesz chyba przecież, jaki niezadowolony jest M’tani ze wszystkich i ze wszystkiego. Nie zanosì się na to, żeby miał się rozstać choćby z największym tępakiem ze swojej Jaskini.

–Pomyślałam o tym. Pamiętasz te listy, które Przywódcy Weyrów dali S’perenowi? A może oddałaś je Sh’gallowi?

–Nie bądź śmieszna. Leżą bezpiecznie w moim weyrze.

–Możemy zorientować się, po których spizowych jeźdźcach Telgaru najprędzej można się spodziewać, że podróżują w czasie. Nie wyobrażam sobie, żeby Benden czy Dalekie Rubieże miały wycofać się z oferowania kandydatów...

–Oczywiście, że nie zrobiliby tego. W Telgarze powinnaś się zobaczyć z T’grelem. I mogłabyś się zwrócić do Dalovej w Igenie. Trochę za dużo trajkocze, ale to rozsądna osoba. Wszystko to już sobie przemyślałaś, co? – Leri zachichotała cichutko, podziwiając przebiegłość Morety. – Moja droga, zanosì się na to, że będziesz wspaniałą Władczynią Weyru. Pozbądź się tylko tego spizowego jeźdźca i znajdź sobie kogoś, z kim będziesz szczęśliwa. Bynajmniej nie mam na myśli tego jasnookiego Lorda Warowni, razem z jego zapasami bendeńskiego białego wina. Chociaż muszę przyznać, że to

przystojny chłopak!

Na zewnątrz Kadith spżowym głosem zwoływał bojowe skrzydła na Obrzeze.

## Rozdział XI

Weyry Fort, Ista, Igen, Telgar i Dalekich Rubieży, Przejście bieżące, 3. 21. 43

–Któregoś dnia, M’baraku, i to w niedalekiej przyszłości powiedziała Moreta smukłemu, młodemu weyrztku – nie zostanie nam do roboty nic innego, jak tylko wylegiwać się na słońcu.

–Mnie nie przeszkadza wożenie ludzi, Moreto. To doskonały trening dla Aritha. – M’barak odwrócił wzrok i Moreta zobaczyła, jak jego szyję i policzki oblewa rumieniec. – F’neldril wytłumaczył mi wczoraj wieczorem, za co są odpowiedzialne Poszukujące smoki i dlaczego Arith był taki nieuprzejmy.

–To nie jest brak uprzejmości, M’baraku.

–Może, ale wcale mi się to nie podoba. Smok nie powinien się tak zachowywać w stosunku do kogoś takiego jak pani Oklina.

–M’baraku, ona też wie, o co chodzi. A o ten instykt Aritha musimy się wszyscy troszczyć. To wspaniały, wrażliwy błękitny smok, a ty okazałeś wielką pomoc Weyrom, cechom i warowniom! No, dziś musimy zacząć nasze Poszukiwanie od Bendenu. Przywódcy Weyru obiecali nam kandydatów...

–... takich, których już zaszczepiono – dodał M’barak pospiesznie.

Rozbawiona tym zastrzeżeniem Moreta złapała go za ramię. Dosiedli Aritha i opuścili Weyr Fort.

–Zawsze jesteś mile widziana w Bendenie – powiedziała Levalla, kiedy wprowadzono Moretę do weyru królowej – jeżeli tylko przybywasz bez Orlith, która nie daje żyć Tuzuthowi. Władczyni Weyru Benden zerknęła spod oka na K’drena. – Mam nadzieję, że jest teraz na dobre uziemiona w Wylęgarni.

–To jest jeden z powodów mojej wizyty. – Moreta była sam na sam z parą Przywódców Weyru, ponieważ udało jej się M’baraka zostawić razem z Arithem w Niece. K’dren i Levalla wyglądali na zmęczonych i Moreta z żalem myślała o tym, że musi wystawić ich siły na jeszcze cięższą próbę, ale jeden Weyr w żaden sposób nie poradziłby sobie z dystrybucją szczepionki.

–Przyleciałaś z powodu Orlith? – szeroko uśmiechnął się K’dren. – Ach, tak, oczywiście. Kandydaci na twój Wylęg. Nie ma najmniejszej obawy, że wycofam się z tego zobowiązania. Mamy kilku obiecujących wychowanków w naszych jaskiniach. Wszyscy zostali już zaszczepieni...

–To jest ten drugi powód, dla którego przyleciałam. – Moreta musiała przy pierwszej nadarzącej się okazji wyjawic prawdziwy powód swojej wizyty.

K'dren i Levalla słuchali jej w pełnym znużenia milczeniu. K'dren drapał się po faworytach, a Levalla przesuwała w palcach drewnienko, którym się bawiła, ilekroć była czymś zmartwiona. Używała go już od wielu Obrotów i powierzchnia drewnienka stała się jedwabście gładka.

–Czego jak czego, ale następnej epidemii to nam na pewno nie trzeba – powiedziała Levalla, kiedy Moreta przedstawiła im plan Capiama. – Tu, na wschodzie, wymarło stosunkowo niewiele stad biegusów, ale jestem pewna, że Lord Shadder ucieszy się ze szczepionki. I pomyśleć, że Alessan jest w stanie ją produkować po tym wszystkim, co przeszedł!

–Nie podoba mi się to, że mamy prosić jeźdźców, żeby podróżowali w czasie, Levallo.

–Nonsens, K'drenie, poprosimy tylko tych, którzy i tak to robią. Nie dalej jak zeszłego Obrotu Oribeth musiała przywołać do porządku V'mula, a to zaledwie brunatny jeździec. Ta para jest leniwa do szpiku kości. Sama wiesz, Moreto, jacy potrafią być brunatni jeźdźcy. A ty doskonale wiesz, K'drenie, że M'gent podróżuje w czasie, kiedy tylko ma na to ochotę.

–No to poruczymy jego pieczy tych bendeńskich jeźdźców, którzy mają pomagać Siedzibie Uzdrawicieli – powiedział K'dren, strzeliwszy palcami. – Właśnie czegoś takiego trzeba, żeby powstrzymać go od psich figli. Wiecie co, zły był – tu K'dren puścił oko do Morety – że tak szybko wróciłem do zdrowia po tej chorobie. Z przyjemnością przewodził skrzydłom. Ani się obejrzymy, a będzie z niego Przywódca Weyru, prawda, partnerko?

Spojrzał na swoją śliczną Levallę, ale widać było, że pod tym względem nie ma żadnych obaw. Levalla roześmiała się.

–Czyż mam teraz czas na umizgi? Świetnie wyglądasz, Moreto. Czy ktoś z twego Weyru odniósł jakieś obrażenia po wczorajszym Opadzie?

–Kilka pobruźdeń od Nici i jedno zwichnięte ramię. Dzięki konsolidacji Weyrów każde skrzydło dokłada wszelkich starań, żeby wypaść jak najlepiej w porównaniu z innymi.

–Ja też tak uważam – powiedział K'dren – ale kamień spadnie mi z serca, kiedy będziemy mogli wrócić do pracy w naszych tradycyjnych regionach. Chcę, żebyś wiedziała, że nie chodzi mi o Sh'galla – jest naprawdę świetnym Przywódcą; to ten zgorzkniały pasożyt z Telgaru...

–K'drenie... – odezwała się Levalla ze stanowczą naganą.

–Moreta jest dyskretna, ale ten człowiek... – K'dren zacisnął pięści, a oczy zapłonęły mu złością. – On ci nie pomoże w niczym, nie ma go co prosić, Moreto!

Moreta wyjęła swoje listy. Na ich widok K'dren aż krzyknął ze zdumienia.

–A więc jednak się do czegoś przydadzą. Pozwól mi na nie spojrzeć. – Przerzucał arkusze, aż ujrzał kanciaste pochylone pismo M'taniego. – T'grel jest tym człowiekiem, z którym należy się skontaktować w Telgarze. To odpowiedzialny jeździec i robi to chętnie w odwecie za niektóre

sztuczki M'taniego. Potrzebni ci będą jeźdźcy ze wszystkich Weyrów, żeby powynajdywać gospodarstwa i chaty, które nie są zaznaczone na mapach. Możesz być pewna poparcia Bendenu. A zastanawiałem się, czemu nasz uzdrowiciel znowu wziął się do pobierania krwi!

–Czy Capiam jest pewny, że to szczepienie pomoże? – zapytała Levalla. Szybko obracała swoje drewno w palcach, co świadczyło o tym, jak jest niespokojna.

–On porównuje tę zarazę do Nici. Jeżeli nie będzie się miała do czego przyczepić, to nie przetrwa.

–A wracając do sprawy Wylęgu... Mamy tu bardzo bystrego młodego człowieka z górniczej osady na wyżynach Lemosu, na którego trafiliśmy podczas Poszukiwania dwa Obroty temu powiedziała Levalla, wracając do rzekomej przyczyny przyjazdu Morety. – Nie wiem, dlaczego nie Naznaczył, ale jeżeli na waszym terenie nie znajdzie partnera, weźmiemy go jeszcze raz. Na imię ma Dannell i chętnie dalej zajmowałby się górnictwem.

–Czy większość Poszukiwań prowadzicie w cechach, a nie w warowniach?

–Kiedy widać już koniec Przejścia, lepiej mieć w Weyrze ludzi, którzy potrafią wykorzystać swój wolny czas z korzyścią dla Weyru.

–Otrzymujemy daninę niezależnie od tego, czy jest Przejście, czy go nie ma – powiedziała Moreta, marszcząc brwi.

K'dren podniósł wzrok znad listy imion, którą uważnie czytał.

–Z pewnością, ale kiedy Przejście już minie, Lordowie mogą nie być aż tacy hojni. Podkreśliłem imiona tych jeźdźców, których podejrzewam o podróżowanie w czasie. Nikt się do tego oficjalnie nie przyznaje, ale T'grel musi to czynić, żeby poradzić sobie z M'tanem. Przestań myśleć o L'bolu z Igeniu. Jest do niczego. Idź bezpośrednio do Dalovej, jeźdźczyni Allaneth. Ona straciła wielu krewnych w Morskiej Warowni w Igenie. Będzie wiedziała, którzy spośród jej jeźdźców podróżują w czasie. A w Igenie jest mnóstwo malutkich zagród, poutykanych gdzieś na pustyni i na brzegach rzek. W Iście z pewnością znajdziesz jeszcze kilku starych przyjaciół. Przecież spędziłaś tam dziesięć Obrotów. Czy słyszałaś, że F'gal ciężko chorował na nerki?

–Tak, dlatego też muszę porozmawiać z Wimmia. Albo z D'sayem, jeźdźcem Krithitha.

–Masz z nim syna, prawda? – powiedziała Levalla z tolerancyjnym uśmiechem. – Takie powiązania okazują się pomocne w najbardziej niespodziewanych momentach.

–D'say to porządny człowiek, a chłopiec Naznaczył brunatnego smoka z ostatnich jaj, jakie złożyła Torenth – powiedziała Moreta z dumą. Podniosła się. Chętnie posiedziałyby dłużej z Przywódcami Weyru Benden, ale miała przed sobą długi dzień.

–Damy Dannellowi czas, żeby się spakował, i jutro wyślemy go z M'gentem do was, do Fortu. Będziesz mogła wykorzystać tę okazję, żeby omówić z nim wszystkie szczegóły. Czy mam dyskretnie

wspomnieć o tej sprawie Lordowi mojej Warowni?

–Mistrz Tirone powinien ich ugłaskać, ale twoje poparcie bardzo by się przydało.

Kiedy K’dren odprowadzał Moretę do schodów, Levalla pomachała im na pożegnanie, wciąż obracając drewno w palcach lewej dłoni.

Bendeńscy Przywódcy bardzo podnieśli Moretę na duchu, co pomogło jej znieść następne trzy wizyty. W Iście F’gal i Wimmia byli w swoim weyrze, a spizowy Thnenth leżał na półce skalnej, jako milczący znak, że chcą być sami. Moreta poleciła M’barakowi, żeby Arith wylądował przy weyrze D’saya. Kritith podniósł się na zadzie, rozłożył skrzydła i powitał Moretę wirującymi na niebiesko, lśniąco oczami. Potem spojrział na półki skalne, i najwyraźniej zawiedziony, że Moreta przyleciała na niebieskim smoku, a nie na swojej królowej. Z części sypialnej weyru wyrżał D’say. Moreta zmartwiła się, że wyrwała go ze snu, którego tak bardzo potrzebował. Był jednym z niewielu ludzi, których nie powaliła pierwsza fala choroby, bez chwili wytchnienia latał zwalczając Nici, pielęgnował innych chorych jeźdźców i usiłował pomagać choremu na nerki F’galowi w przewodzeniu Weyrem. Kiedy dyskutowała z D’sayem na temat konieczności ponownego podjęcia współpracy z Siedzibą Uzdrowicieli, pomyślała, że gdyby sam chorował na tę zarazę, natychmiast by się zgodził. D’say opierał się jej propozycjom i Moretę zaczynała już ogarniać rezygnacja, kiedy nagle ich syn, M’ray, wbiegł pędem po schodach na górę.

–Wybacz mi, D’sayu, ale mój Quoarth powiedział mi, że jest tutaj Moreta. – Chłopiec zatrzymał się na moment na progu, czekając aż D’say pozwoli mu wejść. Potem popędził do Morety i objął ją mocno. M’ray miał brązowe, głęboko osadzone oczy Morety i takie jak on brwi. Jednakże budową ciała bardziej przypominał D’saya. – Wiem, że chorowałaś. Cieszę się, że znowu dobrze wyglądasz.

–Orlith złożyła jaja. Niewiele miałam do roboty poza łataniem pobrużdżonych jeźdźców i smoków.

M’ray puścił ją i popatrywał to na ojca, to na matkę, mając nadzieję, że otrzyma odpowiedź na swoje niewypowiedziane pytania.

–Moreta potrzebuje pomocy, a nie sądzę, żeby uzyskała ją od chorego F’gala – powiedział dyplomatycznie D’say. Napełnił ponownie kubek Morety klahem, milcząco przyzwalając, by powiedziała ich synowi, o co chodzi.

Kiedy to zrobiła, oczy chłopca zapłonęły z ochoty, by podjąć to wyzwanie.

–Wimmia zgodziłaby się, D’sayu, sam wiesz, że zgodziłaby się. Musimy jej tylko wytłumaczyć, jakie to jest pilne. Ona nie jest taka bierna, jak F’gal, który... bardzo ostatnio się zmienił. M’ray popatrzył na D’saya, który tylko wzruszył ramionami. –

–A w każdym razie ja chciałbym pomóc, a mój przywódca skrzydła, T’lonneg, wychował się w tej warowni. Doskonale zna gospodarstwa leżące w dżungli. Chorował na tę zarazę i też stracił rodzinę. Powinien dowiedzieć się o tym, D’sayu, naprawdę powinien. Takiej prośbie nie można odmówić. Tak samo, jak nie możemy przestać walczyć z Nićmi. – M’ray stał zwrócony twarzą do swojego ojca,

z brodą wysuniętą do przodu. Moreta przypomniała sobie, że robiła identyczną minę, kiedy z własnej inicjatywy zabierała się do leczenia jakiegoś biegusa w swojej rodzinnej warowni. – Przy każdym Opadzie latałem razem z istańskimi skrzydłami. I nie mam ani jednego oparzenia.

–I niech tak będzie dalej – zauważył D’say bezbarwnym głosem, próbując ukryć jaki jest dumny ze swojego chłopca. T’lonneg mówi, że M’ray i Quarth dobrze się spisują.

–Mogliśmy się tego spodziewać – powiedziała Moreta, uśmiechając się do chłopca serdecznie. Wielka szkoda, że nie mogła mu poświęcić więcej czasu, ale musiała przenieść się do Weyr Fortu, a D’say pozostał w Iście. – K’dren sądzi, że będziemy potrzebowali sześciu lub siedmiu jeźdźców z każdego Weyru.

D’say podniósł się i stanął przy swoim synu; byli tego samego wzrostu. Moreta nigdy nie miała matczynych uczuć w stosunku do swoich dzieci; jako jeźdźczyni królowej musiała je natychmiast oddawać na wychowanie. Była jednak dumna z M’raya. Przyszło jej nagle na myśl, że nad warownią w Keroonie mógłby nadal panować jej ród.

–Zwerbujemy jeźdźców, którzy poradzą sobie z tym zadaniem i spełnią nałożony przez Siedzibę obowiązek – zapewnił ją D’say. – Porozmawiam z Wimmia, jak tylko będzie wolna. Ona będzie się orientować, którzy z naszych wychowanków mogą kandydować do jaj twojej królowej, ale nie spodziewaj się za wiele, bo utraciliśmy bardzo wielu mieszkańców weyrów i warowni. Wszyscy chcieli zobaczyć to dziwaczne zwierzę, kiedy przejeżdżało przez Istę w drodze na Zgromadzenie.

–Bolałam nad tym, że ponieśliście takie straty. – Moreta podniosła oczy na swojego wspaniałego chłopca, wdzięczna losowi, że go oszczędził. – Kiedy już wszystko ustalicie, wyślij gońca do Mistrza Capiama. To on opracował ten plan.

–Czy zobaczę się z tobą na Wylegu? – zapytał M’ray.

–Oczywiście! – roześmiała się Moreta. M’ray objął ją znowu, ramiona miał bardzo mocne, ale tym razem nie ścisnął jej jak szalony. Obydwaj jeźdźcy odprowadzili ją do wyjścia z weyru.

–Lecisz teraz do Igeny? – zapytał D’say. – Zobacz się z Dalovą. Na pewno się zgodzi. D’say wciąż miał czarujący uśmiech. To właśnie nim podbił kiedyś jej serce. Nigdy nie spieszył się z podejmowaniem decyzji, ale kiedy to już zrobił, był bardzo lojalny. – Nie próbuj rozmawiać z M’tanim w Telgarze. Poszukaj T’grela. On jest znacznie bardziej rozsądny.

Spizowy i brunatny jeździec podsadzili Moretę na grzbiet Aritha i uprzedzili żartobliwie M’baraka, że radzą mu dobrze uważać na swoją pasażerkę. M’barak odparł uroczyście, że jest to jego święty obowiązek.

I oto byli już nad Weyrem Igen. Słońce lśniło jasno, a jego blask odbijał się od dalekiego jeziora i raził ich boleśnie w oślepienie przez „pomiędzy” oczy. Było gorąco i kiedy Arith trąbił do jeźdźca na warcie, przekazując mu swoją prośbę, z rozkoszą rozgrzewali przemarznięte ciała na tym suchym, intensywnym, pustynnym upale.

Dalova wyszła na półkę przy swoim weyrze, by powitać Moretę. Uśmiechnęła się z zachwytem na widok gościa, a jej opalona twarz rozpromieniła się.

–Przyleciałaś na Poszukiwanie? – zawołała, obejmując Moretę i wciągając ją do swojej chłodnej kwatery. Dalova była wylewna i czuła, ale ciężkie przeżycia ostatnich dni zostawiły na niej ślady. Słuchając, jak Moreta wyjaśnia podwójny cel swojego Poszukiwania, kręciła się i krzywiła nerwowo, postukując palcami po łapie Allaneth.

–Na pewno nie odmówię ci pomocy, Moreto. Silga, Empie i Namurra również nie odmówią. Mówisz, że Capiamowi potrzeba sześciu jeźdźców? Jestem pewna – roześmiała się piskliwym, nerwowym śmiechem – że P’leen podróżuje w czasie. Trudno mnie oszukać. Pewnie ty też się w tym orientujesz. Skrzywiła się, od czego pogłębiły się zmarszczki wokół jej smutnych, brązowych oczu. – Gdyby tylko L’bol nie był taki przybity. Uważa, że jeśli nie pozwolimy naszym jeźdźcom wozić tego okropnego zwierzęcia to tu, to tam... – Urwała i wyciągnęła przed siebie ręce, jak gdyby chcąc odepchnąć te wszystkie przykre wspomnienia. Z roztargnieniem poklepała swoją smoczycę po pysku, a Allaneth popatrzyła na nią czule. – Mogę wam pomóc w rozwożeniu tej szczepionki, ale sumienie nie pozwala mi dać wam żadnych kandydatów. Tak niewielu mamy młodych ludzi, których możemy przedstawić smoczątkom, a co dopiero królowym. Poza tym Allaneth powinna niedługo wznieść się do lotu; liczę na to.

–Nie ma to jak dobry lot godowy, żeby podnieść na duchu cały Weyr – powiedziała Moreta, coraz bardziej niecierpliwie myśląc o następnym locie Orlith.

–Co, ty też? – zapytała z niepewnym uśmiechem Dalova. W jej wyrazistych, brązowych oczach pokazały się łzy, a królowa zaczęła lizać ją po ręce.

Bez chwili wahania Moreta wzięła Dalovą w ramiona, a ona płakała cicho i beznadziejnie, jak ktoś, komu płacz nie przynosi ulgi.

–Tak wielu umarło, Moreto, tak wielu. To był taki szok, kiedy odeszli Ch’mon i Helith. A potem... – Rozszlochała się na dobre. – L’bol pograżył się w apatii. To P’leen latał z igeńskimi skrzydłami. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, ale kiedy Weyry przestaną się łączyć i okaże się, że on nie potrafi już przewodzić... Dlatego liczę na to, że Allaneth wzniesie się do lotu, i liczę na siebie! Dobry lot godowy wszystkim poprawi nastrój. A kiedy minie lęk przed tą ohydną zarazą, ludzie wreszcie ożyją. – Dalova uniosła głowę z ramienia Morety i otarła oczy. – Wiesz, jak ja kicham od kamienia smoczego. Teraz powstrzymuję się od tego ze wszystkich sił, bo kichanie przeraża ludzi. Śmieszne to, ale prawdziwe. – Dalova znalazła chusteczkę i wydmuchała nos. – Czuję się lepiej, mogąc ci to wszystko powiedzieć. A teraz popatrzmy na mapy naszego Weyru. Tak, Mistrz Capiam opracował to tak szczegółowo, że nie będzie żadnych problemów. Zorganizuję Igen. Czy byłaś już w Telgarze? Porozmawiaj tam z T’grelem. A potem lecisz do Dalekich Rubieży? Czy Falga czuje się lepiej? Czy Tamianth naprawdę będzie jeszcze latać? Och, to dobra wieść. Słuchaj, bardzo bym chciała cię zatrzymać, ale lepiej jedź już, albo znowu zacznę płakać. Usiłuję tego nie robić ze względu na L’bola. Nie masz pojęcia, jaką ulgę przyniosło mi to, że tak się przy tobie wypłakałam. Słuchaj, wyślę Empie, kiedy podejmiemy decyzję, a niewykluczone, że spytam tylko królowe albo P’leena.

Mogę im zaufać, ale L'bol nigdy nie aprobował podróŜowania w czasie i nie jest to właściwa chwila, Źeby go denerwować. – Dalova prowadziła Moretę do wyjścia z weyru, mocno przyciskając do siebie jej rękę. Uśmiechnęła się ciepło do M'baraka, pogłaskała Aritha po nosie i podsadziła Moretę.

W Telgarze smok wartownik zatrąbił groźnie na Aritha i rozkazał błękitnemu smokowi wylądować na Obrzeżu, nie pozwalając mu lecieć dalej do Niecki.

–Takie mam rozkazy, Władczyni Weyru – powiedział C'vebez słowa przeprosin. – M'tani nie Źyczy sobie obcych w swoim Weyrze.

–Odkąd to smoczy jeźdźcy są dla siebie obcy? – zapytała Moreta, obrażona zarówno rozkazem, jak i butnym tonem C'vera. Arith zaćwierkał, wyczuwając wściekłość Morety. – Przyleciałam na Poszukiwanie...

–I zostawiłaś swoją królową? – powiedział C'ver z otwartą pogardą.

–Jaja twardnieją. Domagam się, Źeby M'tani dotrzymał obietnicy danej S'perenowi, Źe wyśle nam kandydatów na Naznaczenie. Mam ze sobą szczepionkę, jeŹeli będzie dla nich potrzebna.

–Wystarczy nam szczepionki dla tych, którzy na nią zasługują.

–Gdybym siedziała na Orlith, C'verze...

–Nawet gdybyś przyleciała na swojej królowej, Moreto z Fortu, nie byłabyś tu mile widziana! Leć na Poszukiwanie do własnych Warowni. Oczywiście, jeŹeli ktoś ci tam przeŹył!

–JeŹeli tak się na to zapatrujesz, C'verze...

–Właśnie tak.

–To strzeŹ się, kiedy się skończy to Przejście. StrzeŹ się! C'ver wybuchnął śmiechem, a jego brunatny smok uniósł się na tylne łapy, trąbiąc urągłiwie. Arith dygotał od pyska do czubka ogona.

–Lećmy stąd, M'baraku – powiedziała Moreta przez zaciśnięte Źęby. Gdyby cały Telgar płonął w gorączce, za nic nie wysłuchałaby ich prósb. Gdyby został im ostatni worek smoczego kamienia, nie wysłalałaby im ani okruszyny. Gdyby ich Weyr był pełen Nici... – Lećmy do Dalekich RubieŹy.

Łądowanie na Obrzeżu, coś takiego! Zimno „pomiędzy” nie ostudziło wściekłości Morety, a Arith przestał dygotać dopiero wtedy, kiedy smok wartownik Dalekich RubieŹy rozśpiewał się wesoło na powitanie.

–Powiedz Arithowi, Źeby poprosił o pozwolenie na lądowanie w Niecce, w pobliŹu pomieszczenia Tamianth. Powiedz, Źe przybyliśmy na Poszukiwanie.

–JuŹ to zrobiłem, Moreto – powiedział M'barak, ciągle jeszcze ponury po odmowie Telgaru. –



Dalekie Rubieże witają nas gorąco. Arith mówi, że Tamiath aż szczebiocze z radości.

Kiedy Arith przeleciał nad Siedmioma Wrzecionami i machającym do nich wartownikiem, usłyszeli głos Tamianth. Dołączył się do niej Nabeth B'leriona, który wypadł ze swojego weyru na półkę. Gianarth S'ligara pojawił się nagle, jak wystrzelony z katapulty, trzepotał skrzydłami i skrzeczał to śpiewnie, to piskliwie, kiedy Arith lądował.

M'barak odwrócił się do Morety uśmiechnięty. Bardzo podniosło go na duchu to życzliwe, spontaniczne powitanie. Potem Moreta zobaczyła B'leriona, który stał w szerokiej szczelinie prowadzącej do kwatery weyrzątek, przystosowanej teraz dla rannej Tamianth. Pomachał z werwą zdrową ręką, a potem biegiem ruszył jej na spotkanie.

–Słówko na stronie – powiedział, obejmując ją z niedbałą swobodą. – Wczoraj wieczorem zabrałem Desdrę i Oklinę na plantacje Neratu. Mamy tyle igieł, ile może nam być potrzebne. Nie wspominałem Faldze i S'ligarowi, o co chodzi w twoich Poszukiwaniach, i nikt nie zadawał mi żadnych kłopotliwych pytań. – Podniósł głos, niby to gawędząc z nią od niechcienia. – Skrzydło Tamianth ocieka wprost posoką i dostała wannę do nurkowania; ze S'ligarem jest coraz lepiej, świeci słońce, Weyr wrócił do równowagi, a Pressen i ja wyprowadzaliśmy właśnie Falgę na mały spacer. Pressen bardzo wysoko cię ceni, moja droga Moreto. Cr'not może sobie zachwalać Dionę, ale my dobrze już ją znamy, prawda? Pressen zajął się obrażeniami smoków po wczorajszym Opadzie. Spędza cały swój wolny czas, wypytując Falgę o metody leczenia smoków, dzięki czemu nie czuje się ona niepotrzebna. O, właśnie przyszedł następny nosiwoda!

Moreta zauważyła olbrzymią kadź na wodę, ustawioną po lewej stronie Tamianth, pełną po brzegi. Potem zobaczyła porządnie ustawiony stos wiaderek.

B'lerion zachichotał.

–To mój pomysł. Każdy, kto chce odwiedzić Falgę, idzie do jeziora i przynosi pełne wiadro wody. Co godzinę weyrzątka odnoszą puste wiadra z powrotem do jeziora. Jeżeli policzysz wiadra, które tu teraz stoją, zorientujesz się, że Falga ma aż za wielu gości. Albo pragnienie Tamianth zostało wreszcie zaspokojone.

Falga siedziała na szerokim tapczanie, opierając się o poduszki. Tapczan był zrobiony z kilku powiązanych ze sobą łózek weyrzątek. Moreta z zadowoleniem stwierdziła, że Falga ma zdrową cerę. Serdecznie się uściskały. Była niemal zażenowana tym, że Falga tak rozplływa się w podziękowaniach za uratowanie życia jej królowej. Potem, na gorące życzenie Falgi, Moreta razem z Pressenem sprawdzili, jak goi się skrzydło Tamianth, podczas gdy smoczyca cicho nuciła i przyglądała się Morecie łagodnie jarzącymi się oczami.

–Holth mówi, że Orloth śpi. – To powiedziała Tamianth. Zaskoczona Moreta spojrzała na równie zdziwioną Falgę.

–Przybyłaś na Poszukiwanie – zaczęła Falga. – Chyba jeszcze trochę za wcześnie, żeby zwozić kandydatów do Weyru. Czy to aby rozsądne? – Wskazała, by Moreta usiadła na jednym końcu

tapczanu, a B'lerion na drugim.

Moreta z wahaniem spojrzała na Pressena, ale był on zajęty czymś w drugim końcu wielkiej izby.

–Są dwa powody, dla których przyleciałam.

–Przecież jest tylko jedno jajo królowej. – Falga osunęła się na poduszki. – Co się więc znowu stało?

–Mistrzowi Capiamowi potrzebna jest nasza współpraca. Szybko wyjaśniła wszystko po raz kolejny, poirytowana tym, że to B'lerion udaje zaskoczenie. – Część mieszkańców Nabolu, Cromu i Dalekich Rubieży z nikim się nie kontaktuje. Mistrz Capiam sądzi, że mogą poczekać, więc oszczędzimy sobie pracy...

–Moreto, po tym jak uratowałaś Tamianth, możesz od tego Weyru żądać wszystkiego... poza S'ligarem i Gianarthem. Na szczęście – Falga roześmiała się uroczo – wiek daje mu się już we znaki. B'lerionie, wiem że podróżujesz w czasie, jeżeli tylko może ci to ułatwić życie. A więc potrafisz coś takiego zorganizować. Poza tym wątpię, czy w którymś z zachodnich gospodarstw znajdzie się chociaż jedna chałupa, której byś nie znał.

–Falgo! – B'lerion udał, że jest oburzony i dotknięty, i położył sobie prawą dłoń na sercu. – Czy mógłbym zobaczyć ten plan Mistrza Capiama?

Spizowy jeździec bardzo dobrze umiał się maskować. Bacznie przyglądał się planowi, jak gdyby pierwszy raz widział go na oczy. – Moreto – powiedziała Falga, bacznie jej się przyglądając – jeżeli Tamianth mówi, że według Holth Orlith śpi, musiałaś się już gdzieś zatrzymać, zanim przyleciałaś do Dalekich Rubieży.

–Tak, najlepsze zostawiłam sobie na koniec.

–Czy to może właśnie dlatego Tamianth mówi mi, że Raylinth i jego jeździec przylecieli bardzo podenerwowani do Fortu? Kiedy Moreta posępnie skinęła głową, dodała: – M'tani nie chce mieć z tym nic wspólnego?

–Jeździec wartownik kazał Arithowi wylądować na Obrzeżu. B'lerion zaklął gwałtownie, cała jego ospałość zniknęła.

–Gdybym była na Orlith, to ten nędzny, brunatny C'ver aniby się nie...

–Zastanów się, o kim mówisz – przerwała jej Falga. – Zwykły brunatny jeździec! Naprawdę, Moreto, szkoda twojej złości, zachowaj ją dla kogoś, kto godzien będzie twojej pogardy. Nie wiem, co napadło M'taniego. Walczył z Nićmi przez tak wiele lat, może czuje się znużony. Kompletnie zgorzkniał, co ma wpływ na cały jego Weyr. Byłoby to fatalne, gdyby nawet nic specjalnego się nie działo, ale dzięki tej zarazie wszystkie jego mankamenty wyszły na wierzch. Może będziemy tam musieli siłą wprowadzić zmiany? Rozważymy to później. Tymczasem Dalekie Rubieże przejmą

dystrybucję po wschodniej stronie regionu Telgar. Bessera umie przenosić się w czasie, pewnie dlatego ma często taką zadowoloną minę. B'lerionie, a jak się przedstawia sytuacja spiżowych smoków?

–Sharth, Melath, Odioth – B'lerion odliczał imiona na palcach. – Nabeth, jak podejrzewałaś, Ponteth i Bidorth. To daje nam siedem smoków, a jeżeli pamięć mnie nie zawodzi, N'mool, jeździec Bidertha, pochodzi z Górnych Równin Telgaru. Oczywiście T'grel nie jest jedynym jeźdźcem niezadowolonym z Przywództwa M'taniego. Mówiłem ci, Falgo, że kiedy ci jeźdźcy z Telgaru zakosztują prawdziwego przywództwa, będą kłopoty. – Uśmiechnął się ujmująco do Morety. – Muszę skłonić głowę przed talentem Sh'galla. Chociaż to nudziarz... nie, nie, nie zamydlisz oczu przyjacielowi B'lerionowi... ale jest cholernie dobrym Przywódcą! I nie groź mi palcem, Falgo.

–Przestań paplać, B'lerionie. Holth powiedziała Tamianth, że Moreta powinna już wracać do swojego Weyru. Wyślemy ci kilku wychowanków z naszej jaskini. Będiesz miała w czym wybierać. Jeżeli podczas rozwożenia tej mikstury Mistrza Capiama trafimy na jakichś stosownych chłopaków i dziewczyny, też ich przywieziemy.

–Pomogę Morecie przy wsiadaniu – zawołał B'lerion przez ramię, pospiesznie wychodząc z nią na zewnątrz.

–Na szczęście masz tylko jedną rękę, B'lerionie – zawołała za nim Falga.

–Zamierzam wracać przez Ruathę – powiedziała Moreta niespokojnie.

–Tak myślałem. Nie musisz. Idzie im wspaniale. Capiam przysłał więcej ludzi do pomocy. Desdra ich nadzoruje. Mówi, że Tirone i jego harfiarze świetnie sobie radzą z Lordami Warowni i Mistrzami Siedzib Rzemieślniczych.

–Nie wątpię. Nie widziałam K'lona od wielu dni.

–Dobry facet z tego K'lona; a nie zwykłem mówić tego o pierwszym lepszym błękitnym jeźdźcu.

Podeszli do Aritha i chociaż B'lerion miał tylko jedną sprawną rękę, omal nie przerzucił Morety ponad smokiem.

Kiedy wróciła do Weyr Fortu, Orlith nie spała, ponieważ Sh'gall obudził ją, szukając Morety. Przechadzał się teraz tam i z powrotem przed podestem, a kiedy weszła, zwrócił się gwałtownie w jej stronę.

–M'tani przysłał zielone weyrzątko – zawołał, kipiąc z gniewu – niemal niemowlę, i kazał mu przekazać naszemu smokowi wartownikowi najbardziej obelżywą wiadomość, jaką kiedykolwiek otrzymałem. M'tani odrzuca wszelkie umowy, zawarte na spotkaniu przy Granitowym Wzgórzu, na którym nie byłem obecny. – Sh'gall potrząsnął pięścią najpierw w kierunku Morety, a potem gdzieś w stronę Wzgórza. – Na tym to spotkaniu podjęto arbitralne decyzje, z którymi nie potrafię się pogodzić, chociaż zostałem zmuszony się do nich stosować! M'tani odrzuca wszelkie umowy, ugody,

porozumienia, układy i pakty. Mamy mu nie zawracać głowy... tak to właśnie określił... żadnymi problemami naszych Weyrów. Jeżeli doszło do tego, że musimy zebrać o łaskę i prowadzić Poszukiwania w innych Weyrach, to w ogóle nie zasługujemy na to, żeby mieć jaja – zakończył Sh'gall, wymachując rękami jak uczeń bębniaków.

Moreta nigdy jeszcze nie widziała go w takiej furii. Wysłuchiwała, co miał do powiedzenia, ale sama nic nie mówiła w nadziei, że Sh'gall wyszumi się i pójdzie sobie. Jednakże on wracał do tego, że wyruszyła tam bezmyślnie, narażając go na taki afront, jak zwykle skarżył się na swoją chorobę, narzekał, że Orlith zniosła tak mało jaj. Wreszcie Moreta nie wytrzymała.

–Leży przed nami królewskie jajo, Sh'gallu. Musi być dość kandydatek, żeby malutka królowa miała z czego wybierać.

Zwróciłam się do Weyru Telgar, podobnie jak do Bendenu, Igeny, Isty i Dalekich Rubieży. Nikomu innemu moja prośba nie wydała się natrętna. A teraz idź już stąd. Wystarczająco, jak na jeden dzień, zdenerwowałaś Orlith.

Biegając przez piasek do Orlith Moreta widziała, że smoczyca jest zdenerwowana. Jednakże to nie Sh'gall ją zdenerwował, lecz Weyr Telgar. Orlith chodziła tam i z powrotem przed leżącymi na piasku jajami, oczy jej wirowały, zmieniając odcień od czerwonego przez żółty do pomarańczowego, i recytowała swojej jeźdźczyni wykaz obrażeń, jakie zada spiżowemu Hogarthrowi, z takimi szczegółami, że Moretę na przemian ogarniał to śmiech, to groza. W czasie rui gnana popędem płciowym smoczyca potrafiła być okrutna i dzika, ale po zniesieniu jaj zwykle łagodniała.

Chcąc uspokoić Orlith, Moreta zaczęła skrobać ją po wyrostkach nad oczami, po łbie i namawiała ją, żeby zajęła się jajami, zasnęła na gorącym piasku.

„Ona ma parę bardzo dobrych pomysłów – odezwał się łatwy do rozpoznania głos Holth. – Leri mówi, że jeździec Raylintha zrozumiał wszystko, co trzeba. Mówi, że masz zostać na terenie Wylegarni, dobrze się najeść i wyspać.”

„Czy przed wami nie można mieć żadnych tajemnic?”

„Nie. Jeżeli Orlith nie wykończy Hogartha w należyty sposób, ja to zrobię.”

„Leri mówi – tym razem był to głos samej Orlith – że nie wolno nam wstrzymywać Holth. Gdybyś jechała na mnie, nie zostałabyś znieważona.”

–Właściwie to wolałabym zrobić sobie dywanik ze skóry C'vera – powiedziała Moreta po głębokim namyśle. – Jest wystarczająco włochaty.

Na pomysł obdarcia jeźdźca ze skóry wpadła Leri, ale szczegółowe rozważanie tej czynności pomogło Morecie wrócić do równowagi, a pośrednio uspokoiło Orlith. Może powinna też obdrzeć ze skóry Sh'galla, jednakże lubiła Kaditha i za nic nie chciała go zmartwić.

„Nadchodzi Kamiana” – powiedziała Orlith spokojniejszym tonem, a jej oczy zrobiły się bardziej zielone.

Moreta podniosła oczy i zobaczyła, jak Kamiana przywołuje ją gwałtownymi ruchami na podest.

–Leri kazała mi zaczekać, aż trochę ochłoniecie – powiedziała Kamiana, ze współczuciem uśmiechając się do Morety. – Ależ ten Sh’gall marudzi, jak coś jest nie po jego myśli. Można by pomyśleć, że tę zarazę wymyślono tylko po to, żeby go zdenerwować. A ten M’tani? Wszyscy jesteśmy zmęczeni Nićmi, ale mimo to robimy, co do nas należy. Na następny Opad będzie musiał lecieć sam, a wiem, że jego Weyr dysponuje tylko połową swoich sił. Czy nie możemy zdjąć go ze stanowiska? Czy też musimy czekać ze zmianą Przywódcy, aż wzniesie się do lotu telgarska Dalgeth? Z tą szczepionką Capiama polecimy jutro we trzy: Lidora, Haura i ja. Nie można wyperswadować Leri, żeby nie latała, ale to prawda, że doskonale zna te ukryte w różnych zakątkach osiedla. Namówiłam S’perena, żeby wziął K’lona, chociaż to tylko błękitny jeździec. Lepszy byłby P’nine, ale go pobruździło.

–K’lon odkrył przypadkiem, jak można podróżować w czasie; poza tym ostatnio ciągle rozwoził jakieś przesyłki.

–Nie miałam pojęcia – Kamiana znowu wymownie podniosła oczy do góry – jak wiele tu się dzieje, Moreto. A ta twoja królowa to tylko grzebie w piasku i obsypuje nim jaja!

W głównej Sali Warowni Ruatha, która jeszcze do niedawna służyła za szpital, stało czterdzieści wirówek, skonstruowanych z kół od wozów. Pod ścianą, gdzie kiedyś, na podium, stał stół bankietowy Lordów Ruathy, złożono ze sto ozdobnych butli, teraz już niepotrzebnych. Szalona krzątanka ostatnich czterech dni zmieniła się późną nocą w niemrawe przygotowania do mającej nastąpić o świcie ostatniej akcji. Zmęczonych ludzi wcale nie pocieszał fakt, że podobna krzątanka trwała również w Stajniach Keroonu i w Warowni Benden.

W kącie, przy drzwiach kuchennych, ustawiono na koziołkach stół, który w porze posiłków służył do jedzenia, a przez resztę czasu – do pracy. Na końcu stołu pod ścianą, do której przypięto mapy i listy, ponieważ się resztki wieczornego posiłku. Na długich ławach siedziało ośmiu ludzi, których Alessan nazywał swoją Lojalną Załogą. Alessan przyniósł bukłak białego bendenu i teraz załoga odpoczywała, popijając wino.

–Nie bardzo byłem zachwycony tym Mistrzem Balforem mówił Dag, wpatrując się w wino w swojej czarce.

–Nie został jeszcze zatwierdzony na to stanowisko – powiedział Alessan. Był tak znużony, że nie chciało mu się rozmawiać, a do tego miał świadomość, że Fergal z właściwą sobie przebiegłością przysłuchuje się im chciwie, że by zapamiętać jak najwięcej szczegółów na każdy temat.

–Martwię się raczej tym, że nie ma komu zaproponować tego stanowiska. Mistrzowi Balforowi z pewnością brak doświadczenia.

–Zrobił wszystko, o co go prosił Mistrz Capiam – powiedział Tuero, popatrując na Desdrę, która najwyraźniej ich nie słuchała.

–Smutne to, jak się pomyśli, ilu umarło zacnych ludzi. – Dag podniósł czarkę w milczącym toaście. – Ile wspaniałych rodów zostało po prostu zmiecionych z powierzchni ziemi. Kiedy pomyślę, że Kwiczek nie będzie miał teraz żadnego rywala...

Alessan nalał mu jeszcze wina. Zaproponowano też czarkę wina Fergalowi, ale chłopak odmówił i to w sposób dość bezczelny. Alessan darował mu jego zuchwałość tylko dlatego, że tak sumiennie wykonywał każde wyznaczone zadanie. Fergal niewątpliwie odziedziczył po swoim dziadku zamiłowanie do hodowli biegusów.

–Mówisz, że Runel nie żyje? – zapytał Dag, nie mogąc pogodzić się z tym jak niewielu ze starych przyjaciół pozostało przy życiu. – Czy zginął cały jego ród?

–Jego najstarszy syn z rodziną są w swojej warowni.

–To dobrze, on nadaje się na hodowcę. Rzucę tylko okiem na tę brązową klacz. Może się ożrebić jeszcze dziś w nocy. Chodź no, Fergalu. – Dag zsunął nogę w łubkach z ławy i wziął kule, które dla niego zmagistrował Tuero. Przez jedną króciutką chwilę wyglądało na to, że Fergal się zbuntuje.

–Ja pójdę z tobą, jeżeli pozwolisz – powiedziała Rill, podnosząc się i dyskretnie pomagając Dagowi. – Narodziny to szczęśliwa chwila!

Fergal natychmiast zerwał się na nogi, niezmiernie zazdrosny o Daga. Za nic nie chciał dzielić się nim jego uwagą z kimkolwiek, nawet z Nerilką, do której się szczerze przywiązał.

Tuero przyglądał się im, kiedy wychodzili z Sali.

–Już kiedyś widziałem tę kobietę.

–Ja też – powiedziała Desdra – albo może kogoś z jej krewniaków. Tak ich dużo było! – Opierała się plecami o ścianę, jej osłabłe ręce spoczywały na podołku, kilka pasemek ciemnych włosów wymknęło się z ciasno splecionych warkoczy. – Kiedy jutro będziemy już mieli to za sobą, mam zamiar położyć się i spać, spać, spać. Jeżeli ktokolwiek, spróbuje mnie obudzić, to ja mu... jestem za bardzo zmęczona, żeby wymyślić coś odpowiednio okropnego.

–To wino było wspaniałe, Lordzie Alessanie – powiedział wstając Follen. Pociągnął Deefera za rękaw. – Dziś w nocy musimy złać jeszcze trzy partie. Na wszelki wypadek dobrze mieć zapas. To już nie zajmie wiele czasu.

Deefer potężnie ziewnął, ponieważ zasłonił usta i przeprasząco rozejrzał się dookoła. Jednak ziewanie nie robiło na

nikim takiego wrażenia jak kichanie czy kaszel.

–A myślałem – zaczął Tuero, z przeciągłym westchnieniem wpatrując się we wnętrze swojej pustej czaruki – że na ruathańskim Zgromadzeniu mniej będzie roboty, niż na weselu w Gromie.

Alessan podniósł wzrok, a jego jasnozielone oczy rozbliły.

–Czy to znaczy, mój przyjacielu, że rozważyłeś moją propozycję i przyjmiesz posadę w Ruacie?

Tuero cicho się zaśmiał.

–Mój zacny Lordzie Alessanie, przychodzi taki moment w życiu harfiarza, że ma dość braku stabilizacji i pragnie osiąść w jakimś miłym miejscu, gdzie ludzie docenią jego zdolności, gdzie przy stole prowadzi się dowcipne rozmowy – co pozwala harfiarzowi oszczędzać palce, bo nie musi wówczas grać – gdzie nie będzie się nadmiernie go eksploatować...

–W takim wypadku nie starałabym się o posadę w Ruacie zauważyła sarkastycznie Desdra.

–Nikt ci jej nie proponował – odparł Alessan z figlarnym błyskiem w oczach.

–To żadna radość służyć komuś nadmiernie ostrożnemu. Tuero objął Alessana za ramiona. – Jest jednak jeden warunek, który... – tu harfiarz przerwał na moment i podniósł do góry długi palec wskazujący – który musi zostać spełniony.

–Na pierwsze Jajo – zaprotestował Alessan – zmusiłeś mnie już, żebym się zgodził na apartament na pierwszym piętrze, po wewnętrznej stronie i na drugą daninę naszych Cechów...

–Kiedy znowu obsadysz je ludźmi...

–Na to, żebyś mógł sobie wybrać biegusa, na maksymalną premię przysługującą czeladnikowi, na pozwolenie na wyjazd, jeżeli będziesz miał ochotę zdawać egzaminy mistrzowskie, kiedy skończy się Przejście. O cóż więcej mógłbyś prosić zubożalego Lorda Warowni?

–Proszę tylko o to, co przystoi człowiekowi, który ma taki talent i takie osiągnięcia jak ja. – Tuero pokornie położył dłoń na sercu.

–No to jaki jest ten ostateczny warunek?

–Żebyś zaopatrywał mnie w białe bendeńskie wino. – Niestety w tym momencie dostał czkawki, co zepsuło nieco powagę jego oświadczenia. Gwałtownie ponaglił Alessana, żeby napełnił jego czarukę, i pił wino małymi łydkami, by pohamować skurcze. No więc jak?

–Mój zacny Tuero, jeżeli ja tylko będę miał bendeńskie białe wino, również ty na tym skorzystasz. – Podniósł uroczyście czarukę. – A więc zgoda?

Tuero czknął.

–Zgoda!

Desdra popatrzyła na Alessana, a potem pochyliła się do przodu i popukała palcem w bukłak, który miał pod pachą. Niewiele w nim zostało – zapewnił ją Alessan.

–To i dobrze. Jutro musicie trzeźwo myśleć. Chodź, Oklino, oczy ci się już kleją.

Alessan spoglądał na nią i zastanawiał się, czy Desdra naprawdę tak troszczy się o jego siostrę, czy też koniecznie potrzebuje kogoś, kto by jej pomógł wejść na schody. Obydwie kobiety szły niezbyt pewnie i niezbyt prosto, chociaż nie zawsze tarasowało drogę wyposażenie tej wielkiej, bielonej Sali.

–Jeszcze muszę pomalować tę salę – zdecydował nagle Alessan. Surowa biel ścian przywozowała na myśl zbyt wiele różnych bolesnych przeżyć.

–Słuchaj, Alessanie – rzekł Tuero, pociągając Lorda Warowni za rękaw – skąd ty właściwie masz tyle tego bendeńskiego białego wina?

Alessan wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Muszę mieć jakieś swoje sekrety. – Głowa mu się chwiała. Trzeba uważać, żeby nie opadła na stół.

–Sekrety? Przed swoim własnym harfiarzem? – Tuero usiłował powiedzieć to oburzonym tonem.

–Jeżeli odkryjesz tajemnicę, powiem ci, czy masz rację. Tuero rozpromienił się. – Masz rację. Jeżeli harfiarz nie potrafi sam odkryć tajemnicy, to znaczy, że nie jest godzien jej znać. Prawda, Alessanie?

Jednakże głowa Alessana spoczywała już na stole; z jego pół otwartych ust wydobywało się chrapanie. Tuero wpatrywał się w niego przez chwilę na poły z litością, a na pory z wyrzutem, potem wziął bukłak. Zostało w nim zaledwie kilka kropel.

Za Tuero rozległy się kroki. Odwrócił się.

–Bukłak już pusty? – zapytała Rill.

–Tak, pusty, a tylko on wie, gdzie przechowywane jest wino! Rill uśmiechnęła się.

–Ten zrebak to ogier, wspaniały i silny. Lord Alessan ucieszy się z niego. Dag i Fergal pilnują go, chcą mieć pewność, że utrzyma się na nogach i że będzie ssał. – Spojrzała czule na śpiącego Lorda Warowni i nagle jej twarz stała się jakoś niezwykle piękna.

Tuero zamrugał oczami, zastanawiając się, czy to może wypite przez niego wino dodało urody tej wysokiej kobiecie. Z ogromnym wysiłkiem skoncentrował się. Miała regularne rysy. Byłaby całkiem atrakcyjna, gdyby włożyła coś bardziej kolorowego i nie obcinała tak krótko włosów. Po chwili wyraz jej twarzy zmienił się i przestała wydawać się taka piękna... ale znowu mu kogoś przypominała.

–Już przedtem musiałem cię gdzieś spotkać – powiedział Tuero.

–Nie należę do ludzi, których mógłby znać czeladnik harfiarski – odparła. – A teraz wstawaj, nie możemy dopuścić, żeby Alessan spał w tej niewygodnej pozycji.

–Nie jestem pewny, czy uda mi się stanąć.

–Spróbuj. – Zostało to powiedziane tak kategorycznie, że Tuero natychmiast jej posłuchał.

Rill była zaledwie o pół głowy niższa od Alessana. Zarzuciła sobie na ramię jedną jego bezwładną rękę i poleciła Tuero, żeby go podparł z drugiej strony. Wspólnym wysiłkiem udało im się unieść Alessana, który nie całkiem zdawał sobie sprawę, co z nim robią. Na szczęście pokoje Alessana znajdowały się tuż za podestem schodów. Rill ułożyła go w sypialni i starannie okryła. Tuero poczuł zazdrość, że ta kobieta dba o Alessana.

–Chciałbym... chciałbym... – zaczął, ale brak mu było słów, by wyrazić swoje pragnienie.

–W sąsiednim pokoju stoi drugie łóżko, Harfiarzu.

–A przykryjesz mnie też? – zapytał z nadzieją Tuero. Rill uśmiechnęła się, wskazała palcem na siennik na podłodze i rozłożyła zwinięty koc. Tuero westchnął z wdzięczności i położył się na boku.

–Jesteś dobra dla takiego harfiarza pijaczyny jak ja – wymamrotał, kiedy poczuł, że okrywa go kocem. – Któregoś dnia przypomnę...

Ten ranek zaczął się jak każdy inny. Chociaż Nesso wciąż jeszcze kaszlała, czuła się znacznie lepiej. Przyniosła Morecie śniadanie i zaczęła narzekać na to, jak Gorta zarządzała Niższymi Jaskiniami podczas jej choroby. Moreta ucięła jej tyradę mówiąc, że musi sprawdzić uprząż Leri.

–Nie potrafię zrozumieć, dlaczego jeźdźczynie królowych lecą razem z Telgarem po tym, co M'tani zrobił wczoraj.

Moreta z radością pomyślała, że Opad ukryje prawdziwą działalność królowych. Nesso nie domyśla się, że walka z Nićmi stanowi tylko pretekst, że Telgar nie ma nic wspólnego z dzisiejszym lotem królowych.

–To już po raz ostatni – powiedziała, pospiesznie opróżniając swój kubek. – Mamy zobowiązania względem warowni i



cechów!

Orlith ostrożnie turlała jaja na gorącym piasku i delikatnym językiem sprawdzała skorupy. Najbardziej troszczyła się o królewskie jajo i odwracała je niemal co godzinę; z innymi jajami czyniła to trzy lub cztery razy dziennie. Moreta postanowiła, że wyśle Leri z jej misją, a potem zabierze Orlith na teren polowań. Kiedy minie zagrożenie zarazą, poganiacze muszą uzupełnić zapasy Weyru. Teraz jednak nie bardzo jest w czym wybierać wśród pozostałych na wybiegu zwierząt. Porozmawia z Peterparem. Może dałoby się znaleźć gdzieś w pobliżu dzikie intrusie, pasące się na niższych stokach gór. Kiedy skończy się ten dzień, będzie musiała zająć się całym mnóstwem drobnych spraw. Wszystko musi powrócić do normalnego rytmu. A wtedy można będzie rozpocząć prawdziwe Poszukiwanie kandydatów.

Leri była już ubrana do lotu, ale narzekała na samopoczucie.

–Może lepiej, żebyś nie leciała na obchód, jeżeli aż tak dokuczają ci stawy. Czy dolałaś sobie soku fellisowego do wina?

–Ha! Wiedziałam, że nadejdzie taki dzień, kiedy będziesz mnie błagała, że bym zażyła soku fellisowego!

–Wcale nie błagam...

–A jednak przypominasz mi. Po prostu źle spałam ostatniej nocy. Ciągle rozważam, co kto ma zabrać i gdzie ma z tym lecieć. Wiesz, będziesz dzisiaj musiała porozmawiać z Sh'galem. Całe szczęście, że zgodnie z naszym planem masz zostać na terenie Wylęgarni; inaczej mogłoby nabrać podejrzeń.

–Na razie Sh'gall śpi.

–I nie powinien się szybko obudzić! Gorta mówiła mi, że wlał w siebie dwa bukłaki wina. A teraz może byś mi podała ten pasek?

Holth z niespodziewaną czułością przytuliła się do Morety, która zakładała jej pasek na kark.

–Będziesz dzisiaj dbała o Leri, prawda?

–Oczywiście!

–Coś niesłychanego! Rozmowy za plecami jeźdźca! – Leri udawała oburzenie, ale uśmiechnęła się ciepło do Morety, a potem szarpnęła za uprząż, żeby upewnić się, czy sprzączki dobrze trzymają. – No gotowe! – Klepnęła Holth po karku. – Muszę już lecieć. Zajmę się tamtymi wzgórzami. Czy mam zostawić w Ruacie jakąś wiadomość, kiedy będę odbierać stamtąd szczepionkę?

–Życz im wszystkiego najlepszego, i przekonaj się, co Holth myśli o Oklinie.

–Naturalnie!

Moreta poszła razem z Leri na półkę i kiedy Holth nisko przycupnęła, pomogła jej wsiąść. Leri zapięła pasy, usadowiła się wygodnie na grzbiecniu Holth i niedbale pomachała Morecie na pożegnanie. Moreta cofnęła się pod ścianę, a Holth zeskoczyła z półki, silnie i pewnie machając skrzydłami. Poleciała w kierunku terenów polowań, a potem zniknęła w „pomiędzy”. Moreta martwiła się trochę, że Holth ma zwyczaj wlatywać w „pomiędzy” natychmiast po starcie, ale smoczyca była stara i pewnie brakło już jej sił. Kiedy wszystkich zaszczepią, Moreta miała zamiar wytoczyć argumenty najcięższego kalibru i przekonać Leri, że w ogóle nie powinna już latać. Mądra, stara Władczyni Weyru bardzo by się przydała w Iście, a istański klimat posłużyłby i smoczycy, i jeźdźcy.

Podjąwszy decyzję co do przyszłości Leri, Moreta zauważyła, że na terenie polowań znajdowały się jakieś smoki. Niewielkie stado intrusiów umykało co sił w nogach. Ścigająca je zielona smoczyca wpadła do jeziora w ślad za jednym z uciekinierów. Wytrysnęła fontanna wody i tęczowo zalśniła w porannym słońcu. Triumfalnie trąbiąca smoczyca wynurzyła się z mokrym intrusiem, zwisającym jej z pyska. Zamiast odlecieć na swoją półkę i rozkoszować się posiłkiem, zielona smoczyca skręciła i złożyła intrusia u stóp błękitnego smoka po drugiej stronie jeziora. Tigrath polowała dla Dilentha, a przyglądali się temu F'duril i A'dan. Jeżeli Morety nie zawodził wzrok, trzecim człowiekiem, który się temu przyglądał, był Peterpar, pasterz Weyru.

Kiedy dołączyła do ich trójki, Peterpar kończył właśnie ustalać szczegóły polowania na intrusie, które miało się odbyć tego popołudnia, jeżeli utrzyma się ładna pogoda.

– Są takie zakątki wysoko w wąwozach, gdzie chętnie się chowają, Moreto – tłumaczył Peterpar. – Jeżeli utrzyma się słoneczna pogoda – popatrzył na bezchmurny horyzont – a na to wygląda, to wyjdą się paść. A’ dan również chce zagalopować.

– A może poprosimy S’gora, żeby się do nas przyłączył? – zapytał A’ dan. – Malth dobrze by zrobiło, gdyby mogła rozprostować skrzydła, a i S’gora takie polowanie podniosłoby na duchu!

– Nie powinien się tak zamykać w czterech ścianach – zgodził się F’duril, zerkając w stronę weyru S’gora w północnym haku Niecki.

– Zwierzyna w górach szybko nam się skończy, Moreto, jak zaczniemy na nią polować – powiedział Peterpar, potrząsając głową. Zmarszczył brwi i czubkiem buta zgarnął kilka kamyków. Jak myślisz, kiedy gospodarze przyślą nam jakieś stado?

– A może poprosić ich, żeby pozwolili nam polować, aż minie zagrożenie zarazą? – zapytał A’ dan. Ani on, ani F’duril nie zarazili się grypą, ponieważ w najgorszym okresie żaden z nich nie opuszczał ranego Dilentha F’durila.

– Gospodarze nie musieliby wtedy pędzić do nas swoich stad, a przecież brakuje im ludzi i wkrótce czekają ich wiosenne prace polowe – zgodziła się Moreta.

– Połapcie gospodarzom w Keroonie i Telgarze ich zabłąkane zwierzęta – powiedział Peterpar, kiwając głową. – Słyszałem, że rozpuszczali stada, kiedy ludzie byli zbyt chorzy, żeby się o nie troszczyć. – Potem wskazał palcem na niebo. – A gdzież to wybierają się jeźdźczynie królowych? Czy to S’peren jest z nimi?

– Na Poszukiwanie – odpowiedziała obojętnym tonem Moreta.

– Królowe nie latają na Poszukiwania – stwierdził Peterpar z wielką pewnością siebie.

– Jeżeli ktoś potraktuje Władczynię Weyru tak nieuprzejmie, jak potraktowano mnie w Telgar, to latają – oznajmiła Moreta tak surowo, że Peterpar przestał zadawać pytania. A teraz upolujcie coś dobrego dla Orlith.

Uśmiechnęła się i odeszła. Ten Peterpar zawsze musi wszystko wiedzieć. Nie wspomniał jednak nic o Holth ani o Leri, może więc Holth miała rację, że natychmiast skryła się w „pomiędzy”. K’lon musiał odlecieć już wcześniej, ale on ciągle coś lub kogoś przywoził i odwoził, więc nikt się już tym nie interesował. Rozbawiło Moretę, że również M’tani przydał się na coś, chociaż chciał tylko im przeszkadzać. Gdyby tak jeszcze Sh’gall spał przez cały dzień...

Tego ranka czuła się wprost znakomicie, pachniała jej wiosna, grzała ją słońce, słyszała śmiech bawiących się w pobliżu Jaskini dzieci. Kiedy smoki skończą się pożywiać, dzieci wrócą nad jezioro, na swoje ukochane miejsce zabaw. Niecka znowu pełna była gwaru, normalnej krzątaniny, przestała wisieć nad nią pełna niepokoju cisza. Kiedy jednak weszła do infirmerii, szukając Jallery, która szczepiła jednego z pobrużdżonych wczoraj jeźdźców, wyczuła nastrój oczekiwania, tłumionego podniecenia.

– Dzień dobry, Moreto – powiedziała Jallora. – Przyszłaś w samą porę. Dam ci od razu tę drugą porcję szczepionki, którą Capiam zamówił dla Weyrów. Jeźdźcy smoków tak dużo podróżują. – Mówiła to z łagodnym, przeprasającym uśmiechem. Zaszczepiła Moretę ze zręcznością świadczącą o dużej praktyce.

– Czy mogę ci w czymś pomóc?

– Bardzo bym ci była wdzięczna. Muszę obsłużyć Niższą Jaskinię. Zaszczepiłam jeźdźczynie królowych, zanim poleciały wypełniać swoją misję.

Czy Morecie tylko się zdawało, że w oczach Jallery błysnęła iskierka zrozumienia? Dobrze, pomoże jej, przynajmniej będzie miała coś do roboty i jakoś szybciej minie to przedpołudnie. Kiedy zobaczyła A’dana z Peterparem i S’gorem, poszła powiedzieć Orlith, że będzie miała większy wybór jedzenia, jeżeli uda jej się wytrzymać do wieczora.

– Dzikie intrusie są łykowate – zauważyła Orlith z pewnym rozdrażnieniem – ale dosyć smaczne – dodała, wyczuwając zatroskanie Morety i trącąc ją nosem. – Kadith śpi. Holth mówi, że wszystko idzie dobrze.

Sh’gall na pewno dowie się, że jeźdźcy Fortu brali udział w rozwoju Capiamowej szczepionki, tego się nie da uniknąć, ale lepiej, żeby najpierw odespał wypite wczoraj wino i uspokoił się po obeldze M’taniego. Moreta mogła się mylić, ale przemknęło jej przez myśl, że Sh’gall w pewnym sensie zadowolony był z tego, że M’tani tak ją potraktował.

Nagle Orlith usiadła na zadzie, jej oczy zabłysły na czerwono i pomarańczowo w takim przeżeniu, że Moreta gwałtownie odwróciła się wypatrując niebezpieczeństwa.

–On nie pozwala polecieć spizowym. Sutanith się martwi. On jest niebezpieczny. Dalgeth, najstarsza królowa, powstrzymuje wszystkich. – Głos Orlith brzmiał, tak jak gdyby nic z tego nie rozumiała i gotowała się do obrony.

–To Sutanith mówi do ciebie? – zdziwiła się Moreta. Sutanith była królową Miridan, władczyni bardzo niskiej rangi. Moreta niezbyt dobrze ją знаła, ponieważ Fort rzadko łączył się z Telgarem.

–Przywódca udał się „pomiędzy” do Opadu, więc Sutanith ostrzega cię, że są problemy, że spizowe nie mogą pomóc.

–M’tani dowiedział się, że T’grel zamierzał rozwozić szczepionkę?

–Sutanith odeszła. – Orlith rozluźniła napięte mięśnie.

–A Dalgreth ich powstrzymuje? Jak M’tani się dowiedział? Wydawało mi się, że Leri i T’grel dopracowali wszystkie szczegóły. A Keroon musi dostać tę szczepionkę. – Moreta zaczęła chodzić tam i z powrotem szarpiąc włosy, jak gdyby mogło to pomóc jej w znalezieniu jakiegoś planu. – Jeżeli Keroon nie dostanie tej szczepionki, to cały plan może zawieść! – Popędziła przez piasek na swój podest i znalazła notatki Capiama. Keroon i Telgar muszą zostać objęte szczepieniem, a na tym terenie było wiele warowni i cechów. Który z jeźdźców mógł znać Telgar i Keroon wystarczająco dobrze, żeby...

–Leci tutaj Oribeth. – Orlith jednym susem skoczyła przed swoje jaja, rozłożyła skrzydła i wygięła szyję, instynktownie broniąc ich przed obcą królową.

–Nie bądź niemądra, Orlith. Levalla przyleciała, żeby się ze mną zobaczyć!

Dlaczego ta bendeńska para pojawiła się w Weyr Forcie? Moreta pobiegła na spotkanie Levalli. Levalla i Oribeth wylądowały na samym środku Niecki, daleko od Wylęgarni i Jaskini. Kiedy Moreta biegła na spotkanie swoich gości, Levalla uważnie sprawdziła położenie słońca względem Gwiezdných Kamieni, a potem ześliznęła się z grzbietu swojej królowej.

–Świetnie udała mi się ta podróż w czasie. Nie chciałam, żebyś się niepotrzebnie martwiła.

–Orlith właśnie przekazała mi tajemniczą wiadomość od Sutanith. Czy wiesz coś o tym? – Moreta musiała przekrzykiwać zgiełk, jaki robiły smoki Weyru, które zaczęły trąbić, zdezorientowane popłochem Orlith i obecnością Oribeth. Moreta przesłała sygnał uspokajający swojej królowej i Orlith przestała trąbić.

–Uspokójże ich wszystkich. Nie miałam zamiaru wprawić Weyru w panikę. Proszę o wybaczenie Orlith i smoka wartownika, ale musiałam się z tobą natychmiast zobaczyć. Całkiem dobrze podróżowało mi się w czasie na drugą stronę kontynentu, jeżeli weźmie się pod uwagę, ile mam teraz spraw na głowie. – Levalla ściągnęła rękawicę i przesuwiała w palcach swoje drewno. – Tak, wiemy na wschodzie wszystko na ten temat. Tuż przed południem naszego czasu M’gentowi zaczęło wydawać się, że chyba coś jest nie w porządku, kiedy Lord Shadder doniósł nam, że nikt z Weyru Telgar nie odebrał od niego żadnych szczepionek dla Mistrza Balfora. W pewnym sensie zostaliśmy więc uprzedzeni. Sutanith udało się przekazać ostrzeżenie do Oribeth, Wimmi i Allaneeth. Uważam, że Miridan należy się najwyższe uznanie za odwagę. Jednak K’dren twierdzi, że jest ona partnerką T’grela, a on występuje już zdecydowanie przeciw M’taniemu. Tak więc zarobiliśmy sobie trochę czasu – Levalla uśmiechnęła się porozumiewawczo do Morety – i wyznaczyliśmy dwóch brunatnych jeźdźców, którzy znają równiny Telgaru i warownie nad rzeką. D’say zgodził się wysłać jednego jeźdźca ze swojej grupy na patrol wzdłuż wybrzeża telgarskiego aż do delty rzeki. Dalova mówi, że może rozszerzyć podległy jej teren tak, by objął góry, cofnie się w czasie przed Opad, gdyż Niciom zachciało się właśnie dzisiaj tam opadać. Nie mamy jednak nikogo, kto by wystarczająco dobrze znał Równiny Keroonu. – Zmierzyła Moretę przeciągłym spojrzeniem. – A ty je znasz. Czy mogłabyś tam polecieć na tym młodym błękitnym smoku?

–Holth przylatuje – powiedziała Orlith.

–Oho, idzie Sh’gall. Strasznie zdenerwowany. Będą kłopoty. – Levalla zerknęła na schody prowadzące do Weyru i odciągnęła Moretę na bok, kryjąc się z nią za Oribeth. – Czy Sh’gall już wie, czy może obudziło go to zamieszanie, jakiego narobiła Orlith?

–Nie wie. – Moreta nie była pewna, czy zrozumiała chociaż połowę z tego, co tak zwięźle wytłumaczyła jej Levalla. Pojawiła się Holth, nie więcej jak dwie długości skrzydeł nad Niecką.

–Na Skorupy, ależ ona lata ryzykownie! – Levalla cofnęła się mimo woli – Sh’gall myśli, że wczoraj poleciałaś tylko na Poszukiwanie? – Kiedy Moreta skinęła głową, ciągnęła dalej. – No to wszystko w porządku. Zatrzymam go. A ty leć do Keroonu. Te warownie z biegusami muszą otrzymać szczepionkę. U Mistrza Balfora wszyscy są w pogotowiu, szczepionki są przygotowane, w warowniach czekają z pomocą trenerzy. Znajdź sobie jakiegoś smoka i leć. Oribeth i ja zrobiłyśmy wszystko, co w naszej mocy.

Levalla wetknęła swoje drewno za pas i szybkim krokiem ruszyła na spotkanie Sh’gallowi, który zołdkował się, że go tak brutalnie obudzono i że jakieś obce królowe zagrażają spokojowi jego Weyru.

Holth szybowiała dalej i wylądowała tuż przy wejściu do Wylęgarni. Po drodze spiorunowała wzrokiem Oribeth, która odpowiedziała jej w podobny sposób. Moreta popędziła, że by złapać Leri, zanim zobaczy ją Sh’gall.

–Co tu się dzieje? Orlith wpadła w panikę i przywołała Holth z powodu Sutanith i Oribeth.

Moreta machała rękami jak szalona, pokazując na Sh’galla. Holth przycupnęła tak nisko, że nie musiała krzyczeć do Leri. Stara królowa zaszczała uspokajająco w kierunku Orlith.

–M’tani kazał Dalgeth powstrzymać T’grela i pozostałe spizowe smoki. Telgar i Keroon nie dostały żadnej szczepionki. Sutanith przekazała ostrzeżenie niektórym królowym, ale M’gent z Bendenu już podejrzewał, że dzieje się coś złego, ponieważ żaden z jeźdźców Telgaru nie zgłosił się po szczepionkę. Levalla zorganizowała dostawy dla Równin Telgaru i warowni nad rzeką, D’say powiedział, że zajmie się wybrzeżem aż do delty, Dalova przejęła góry...

–Zostały więc Równiny Keroonu. Idź po swoje rzeczy. Na wschodzie minęło już pół dnia. Powiem Kamianie, żeby wzięła na siebie resztę mojej trasy. S’peren może oblecieć wybrzeże. Przechywałam, że nie obejdzie się bez kłopotów. Ja obleciałam te wszystkie zapadłe dziury w najwyższym paśmie. Pozostałe łatwo jest znaleźć. Prawdę mówiąc – Leri miała kłopoty z przełożeniem nogi przy zsiadaniu – czuję się już znużona. Całkiem chętnie siadę sobie u boku Orlith i będę popijać sok fellisowy i wino.

–Peterpar ma dla niej upolować dzikie intrusie. Zmusz ją, żeby coś zjadła.

–Zachowam kilka co tłustszych dla Holth. Jak wrócicie, będzie musiała coś zjeść – zawołała wesoło Leri za Moreta, która już biegła po swoje rzeczy. Moreta chciała się pożegnać z Orlith, ale Leri powiedziała ostrzegawczo: – Nie trać czasu. Masz bardzo wiele do zrobienia.

–Musisz polecieć do Keroonu – powiedziała Orlith, nie spuszczając z oka bendeńskiej królowej, siedzącej na środku Niecki Weyr Fortu. – Holth cię zabierze. Ja muszę strzec moich jaj.

–Oribeth wcale nie chce twoich jaj – zawołała Moreta, wdrapując się po boku Holth.

–Już jej to mówiłam – powiedziała Holth.

Moreta była wyższa od Leri, więc musiała przedłużyć pasy uprzęży. Zapięła je i powiedziała Holth, że jest gotowa. Holth odwróciła się, wzięła rozbieg w kierunku jeziora, trochę w bok od Oribeth, i wystartowała. Morecie mignęła przed oczami Levalla, która stała na schodach, pogrążona w rozmowie ze Sh’galem. Sh’gall nawet nie podniósł oczu, kiedy Holth wzbijała się w powietrze. Moreta z ulgą stwierdziła, że spizowy jeździec nie zauważył wymiany jeźdźców.

–A teraz lećmy do Stajni Keroonu, Holth – powiedziała Moreta i wyobraziła sobie charakterystyczny układ pól, który znała równie dobrze z ziemi, jak z powietrza. Zobaczyła w myśli cały Keroon, jak mapę, którą jako dziecko widywała codziennie w wielkiej sali swojej rodzinnej warowni. Tę część Keroonu znała nawet lepiej niż północne warownie, bo jako dziecko jeździła tam na biegusach; północne warownie widywała tylko z grzbietu smoczej królowej.

Na Stajni Keroonu składały się przysadziste, kamienne budynki, czworokątne, niskie, pokryte dachówką stajnie i zespół wybiegów dla biegusów. To właśnie tu przyniesiono tego wielkiego kota do identyfikacji, to z tych pól biegusy rozniosły zarazę. Rzeczywiście, na polach widać było niewiele zwierząt, ale i tak więcej, niż się Moreta spodziewała. Może i w warowni jej ojca udało się wyłapać zabłąkane biegusy i nie cała hodowla poszła na marne? Holth wylądowała nie daleko budynku, przy którym widać było grupkę mężczyzn, którzy wyraźnie na nią czekali, i leżące na ziemi siatki.

Moreta poznała Balfora, poważnego mężczyznę, mówiącego zwykle monosylabami. A może tylko dyplomatycznie ustępował pierwszeństwa elokwentnemu Mistrzowi Hodowcy, Sufurowi? Niewątpliwie teraz Balfor był bardziej wymowny, kiedy spieszył do Morety i Holth i gestem poganiał swoich ludzi, żeby przynieśli pierwsze siatki.

–Poukładaliśmy te siatki w odpowiedniej kolejności, Władczyni Weyru – powiedział – zaczynając od warowni na wschodzie. Bębniści przeprowadzili spis ludności i zwierząt. Zrobiliśmy, co w naszej mocy, żeby na pewno wystarczyło szczepionki dla wszystkich. Leć szybko, bo wkrótce zapadnie mrok.

Balfor oczywiście przesadzał, gdyż słońce dopiero co minęło zenit.

–Postaram się je dobrze wykorzystać. Nie rozchodźcie się. Zaraz wracam.

Moreta ustawiła Holth przy starcie pod takim kątem, żeby obydwie dobrze widziały, jak wysoko na niebie jest słońce. Potem sprawdziła pierwszą etykietę: Warownia Nadrzeczna Keroonu, usytuowana w miejscu, gdzie rzeka, spadając z płaskowyżu, pędziła jak szalona przez wąską gardziel skalną. Holth skoczyła w niebo i zniknęła „pomiędzy”, a Moreta koncentrowała się na tej skalistej gardzieli. Na spotkanie wyszedł jej uzdrowiciel Warowni Nadrzecznej Keroonu i z wdzięcznością przyjął dostawę. Zaczynali się już martwić, ponieważ obiecano im szczepionkę wczesnym rankiem.

Następnie poleciały bardziej na pomocny wschód, do Warowni Wysokiego Płaskowyżu. Ktoś wpadł na dobry pomysł i biegusy zapędzono do kanionu, gdzie czekały na szczepionkę. Gospodarza trzeba było zapewnić, że „to coś” im pomoże, ponieważ od momentu, kiedy otrzymał komunikat o kwarantannie, nie kontaktował się z nikim „z nizin” i wiedział tylko tyle, ile podały bębny. Oczywiście chciał dowiedzieć się czegoś więcej, ale Moreta powiedziała mu, że kiedy już zakończy szczepienia, może zejść na dół, a tam mu ktoś wszystko dokładnie opowie. Następnie poleciała na zachód, gdzie przy wielkim uskoku skalnym znajdowała się Warownia Krzywej Góry, w której zgromadzono liczne stado biegusów. I to był koniec pierwszej rundy.

Obleciała jeszcze cztery gospodarstwa i za każdym razem, kiedy lądowała przy Stajniach po następne szczepionki, słońce było o godzinę niżej na niebie, chociaż dla nich z Holth trwało to dużo dłużej. Holth startowała z coraz większym wysiłkiem. Dwa razy Moreta pytała smoczycę, czy nie chce chwilę odpocząć. Za każdym razem Holth odpowiadała stanowczo, że może latać dalej.

Wysokość słońca na niebie była główną współrzędną, jaką Moreta podawała Holth. Teraz opadło już ono ku zachodowi i wyglądało jak latarnia, płonąca na coraz bardziej pomarańczowy kolor. Moreta walczyła z upływem czasu i zaczynało jej się wydawać, że walczy z tym opadającym coraz niżej słońcem. Potrzebowały czasu, żeby rozpoznać każdy nowy cel podróży, dolecieć do warowni czy chaty, przekazać butelki ze szczepionką i pakietki igieł cierniowych, cierpliwie raz po raz tłumaczyć, ile wynosi dawka dla zwierzęcia i człowieka, powtarzać polecenia, które wcześniej przesłano już za pomocą bębnow i posłańców. Mimo usilnych starań Mistrza Tirone’a, w niektórych co bardziej osamotnionych warowniach, gdzie nie dotarła zaraza, ludzie wpadali w panikę. Tym większą grozą przejmowały ich cierpienia, których sami nie zaznali. Tylko fakt, że przylatywała na grzbiecie smoka, nieco ich uspokajał. Smoki zawsze oznaczały bezpieczeństwo, nawet dla osadników żyjących w największym odosobnieniu. Musiała tracić cenny czas, żeby podnosić Holth na duchu, wracać do Stajni po następny ładunek szczepionki i znowu lecieć.

Przez całą ostatnią rundę utrzymywała słońce na wysokości wczesnego popołudnia. Czowała, jak narasta w niej potworne zmęczenie, związane z podróżowaniem w czasie, jak Holth robi się coraz bardziej ociężała. Kiedy je jednak zapytała smoczycę, czy nie powinny przez chwilę odpocząć, Holth odparła, że chciałaby tylko, żeby ten Keroon miał parę porządných gór, a nie tylko te okropne równiny.

Wreszcie dostarczyły ostatnią porcję szczepionki i siatki leżące w poprzek kłębu Holth zrobiły się wreszcie puste. Znajdowały się w niewielkim, położonym na zachodzie gospodarstwie, w samym środku olbrzymiej, falującej równiny. Niespokojna gromada biegusów stała wokół wielkiego wodopoju. Gospodarz wahał się, czy zacząć szczepić, jeszcze przed zmrokiem, czy zaproponować gościnę smoczej parze.

–Idź, masz tak wiele do zrobienia – powiedziała mu Moreta. – To już był nasz ostatni przystanek.

Rozpływając się w podziękowaniach, mężczyzna zaczął wydawać szczepionkę swoim trenerom. Ciągłe klaniał się jej i Holth i czołgał się w kierunku stada, nie przestając dziękować im za przybycie.

Moreta przyglądała mu się tępym wzrokiem, Holth dygotała pod nią. Poglądziła starą królową po szyi.

–Orlith, wszystko w porządku? – Zadała pytanie, które często dzisiaj powtarzała.

„Jestem zanadto zmęczona, żeby myśleć na taką odległość.”

Moreta popatrzyła na słońce nad równiną Keroonu, zastanawiając się z jakąś straszliwą ospałością, która naprawdę może

być godzina.

–Jeszcze ten jeden, ostatni raz, Holth.

Stara królowa sprężyła się do skoku. Moreta z wdzięcznością rozpoczęła swoją litanię: „Czarne, czarniejsze, najczarniejsze...”

Wleciały w „pomiedzy”.

–Leri, czy Moreta nie powinna była już wrócić? – Błękitny jeździec kręcił się niespokojnie po podeście.

Leri zamrugała oczami i odwróciła się od K’lona. Jego wzburzenie potęgowało jej niepokój, pomimo zaprawionego fellisem wina, które popijała przez całe popołudnie. Fellis złagodził ból stawów, wywołany pełnym napięciem porannym lotem, ale nie rozproszył obaw. Z rozdrażnieniem wzruszyła ramionami, i spojrzała uważnie na Orlith, która leżała drzemiąc obok swoich jaj.

–Popatrz na Orlith i bierz z niej przykład. Nie wygląda chyba na zdenerwowaną. A ja nie będę im przerywała skupienia niepotrzebnymi pytaniami – odparła gniewnie. – Będą bardzo zmęczone. Musiały walczyć z czasem i rozciągać każdą minutę dwudziestokrotnie, żeby rozprowadzić tę szczepionkę. – Leri uderzyła się pięścią po udzie. – Rozgniotę M’taniego na miazgę. – Zgięła palce, jak gdyby chciała chwycić go za gardło. – A Holth roze drze tego jego spiżowego smoka na strzępy.

Zaskoczony K’lon patrzył na nią z nabożną czcią.

–A mnie się wydawało, że Sh’gall... Leri parsknęła z pogardą.

–L’malowi nie byłyby potrzebne żadne „dyskusje” na ten temat z K’drenem i S’ligarem. Byłby już w Telgarze, żądając satysfakcji.

–I co z tego?

–Żaden Przywódca Weyru nie może lekceważyć epidemii zagrażającej całemu kontynentowi. Capiam ciągle jeszcze o wszystkim decyduje. No cóż, M’tani pożałuje, że nie współpracował z nami. A Dalgeth – Leri uśmiechnęła się złośliwie – odpowie przed innymi królowymi.

–Naprawdę?

–Tak. Naprawdę! – Leri zabębniła palcami po nóżce swojej czarki. – Jak tylko Moreta wróci, sam zobaczysz.

K’lon wyjrzał z Wylęgarni.

–Słońce już niemal zaszło. W Keroonie musi być całkiem ciemno...

Później Klon uświadomił sobie, że Leri i Orlith dowiedziały się o tym w tej samej chwili. Jednak reakcja Orlith była bardziej głośniejsza, spektakularna. Odwrócił się, słysząc rozdzierający krzyk. Orlith, która leżała na tyłach Wylęgarni, mając przed sobą rozsypane na piasku jaja, uniosła się na tylne łapy i wygięła szyję w łuk, wyjąc z rozpacz. Tylko jej nieporadnie skręcony ogon bronił ją przed upadkiem w tył. Wydawała z siebie jakieś upiorne zawodzenie, przerywane niesamowitymi dźwiękami, jakby podrzynano jej gardło. A potem, z niewiarogodnym wysiłkiem wystrzeliła w górę i opadła na ziemię z pyskiem zagrzebanym w piasek. Nagle utraciła cały swój złocisty kolor. Zaczęła się więc, rzucając głową i ogonem, wałąc powietrze lewym skrzydłem, nie zwracając uwagi na to, że prawe podwinęło się pod nią.

„Nie ma już Holth” – usłyszał K’lon głos Rogetha.

–Holth nie żyje? A Moreta? – K’lon nie chciał za nic przyjąć tego do wiadomości, chociaż widział przecież reakcję zrozpaczonej królowej.

„Leri!”

–Och, nie!

K’lon obrócił się gwałtownie. Leri krztusząc się opadła na poduszki, usta miała wykrzywione, oczy wychodziły jej z orbit. Jedną rękę przyciskała do piersi, drugą szarpała gardło. K’lon skoczył do niej.

„Ona nie może oddychać.”

– Czy się zakrztusiłaś? – zapytał K’lon. Przyjrzał się jej z przerażeniem. – Czy ty chcesz umrzeć? – K’lona tak przeraziła myśl, że Leri na jego oczach wyzionie ducha, że chwycił ją za ramiona i gwałtownie zaczął nią potrząsać. Dzięki tym wstrząsom do płuc Leri dostało się trochę powietrza. Z cichym, bolesnym jękiem, bardziej żalnym niż szarpiące nerwy krzyki Orlith, Leri zwiśla mu w ramionach, rozdzierająco płacząc.

„Przytul ją” – usłyszał głos Rogetha, zwielokrotniony echem.

– Dlaczego? – krzyknął K’lon, zdając sobie nagle sprawę, że w swojej egoistycznej panice pokrzyżował plany Leri. Jeżeli Holth nie żyła, ona też miała prawo umrzeć. Jego serce wezbrało bólem, paraliżującym bólem współczucia, udręki i wyrzutów sumienia. – Jak to się stało? – zapytał niezdolny pojąć, jakie straszliwe okoliczności mogły pozbawić Orlith Morety, a Leri Holth.

„Były przemęczone. Nie powinny były pracować tak długo. Polecały „pomiędzy... „ donikąd” – odpowiedział smutno chór wszystkich smoków w Weyrze.

– Och, co ja zrobiłem? – Łzy spływały po twarzy K’lona, kiedy kołysał w ramionach kruche ciało starej Władczynie Weyru. – Och, Leri, tak mi przykro. Wybacz mi. Tak mi przykro. Rogeth! Pomóż mi! Co ja zrobiłem?

„To, co było konieczne – odpowiedział Rogeth zwielokrotnionym, niewypowiedzianym smutnym głosem. – Orlith jej potrzebuje.”

Teraz powietrze rozdzwoniło się od lamentu smoków Weyru, które dołączały do straszliwego trenu Orlith. Dźwięk ten huczał w Wylęgarni, odbijał się dzikim echem od ścian wielkiej, kamiennej jaskini. K’lon kołysał Leri, a u wejścia na teren Wylęgarni z szacunkiem gromadziły się smoki. Pospuszczały wielkie głowy, ich oczy zrobiły się matowe i szare, podzielały boleść smoka, który nie mógł umrzeć wraz ze swoim jeźdźcą, zniewolony do pozostania w Wylęgarni przez twarde jaja.

Obok smoków przeciskali się ludzie i z szacunkiem przystawali na moment przed Orlith. K’lon rozpoznał S’perena i F’neldrila, tuż za nimi pojawiły się jeźdźczynie smoków i Jallora. Kamiana odwróciła się i stanowczym gestem nakazała mieszkańcom weyru zatrzymać się przy wejściu. Jednakże Jallora szybko podeszła do błękitnego jeźdźcy, zaczęła półgłosem, czule przemawiać do Leri, gładzić ją po włosach.

– Ona chciała umrzeć – wyjąkał K’lon do Kamiany, błagając wzrokiem o wybaczenie. – I omal nie umarła.

– Wiemy. – Na twarzy Kamiany malowała się rozpacz.

– Nalej wina, Kamiano – powiedziała Jallora, kołysząc Leri tak, jak to przedtem robił K’lon. Błękitny jeździec odczuł niejasną ulgę, że przynajmniej to zrobił dobrze. – Dodaj sporo soku fellisowego. Z tej brązowej fiołki. Nalej też czarkę dla K’lona.

– Wszystkim nam by się przydało – mruknęła Lidora, pomagając Kamianie.

Kiedy jednak Jallora zbliżyła czarkę do ust Leri, zacisnęła ona wargi i odwróciła głowę.

– Wypij to, Leri – powiedziała Jallora z głębokim współczuciem.

– Musisz to zrobić, Leri – nalegała Kamiana załamującym się głosem. – Orlith nie ma już nikogo, oprócz ciebie.

K’lon nie mógł znieść wyrzutu w pełnych bólu oczach Leri i dygocząc ukrył twarz w dłoniach. F’neldril objął go łagodnie za ramiona, chcąc podtrzymać go na duchu.

– Wypij, Leri. L’mal tego był właśnie po tobie oczekiwał. Błagam cię. Wypij to wino. Ono ci naprawdę pomoże – powiedział S’perena ochryłym głosem.

– No tak, Leri, jesteś dzielna, odważna – rzekła półgłosem z aprobatą Jallora. K’lon podniósł głowę i zobaczył, że Władczynie Weyru przyjęła wino.

Lidora wcisnęła mu czarkę do dłoni. To wino musiało być pół na pół z sokiem fellisowym. Nie wierzył, żeby mogło mu to pomóc. Całe wino Pernu nie uśmierzyłyby jego bólu i wyrzutów sumienia. Nie mógł przestać płakać. Nawet pokryta bliznami

twarz F'neldrila zalana była łzami, kiedy pocieszająco gładził S'perena po ramieniu.

–Zaprowadźmy ją do jej weyru – powiedziała Jallora, dając znak S'perenowi i F'neldrilowi, żeby jej pomogli.

–Nie! – gwałtownie zaprotestowała Leri.

„Nie” – powiedział ten złożony głos i K'lon chwycił S'perena za ramię.

–Zostanę – Leri spojrzała na Orlith – zostanę tutaj.

–A ona? – zapytała Jallora jeźdźczynie królowych, mając na myśli smoczycę.

–Orlith też tu zostanie – powiedziała Kamiana ledwie dosłyszalnym głosem, podczas gdy Leri powoli kiwała potakująco głową. – Zostanie, aż jaja będą gotowe do wylęgu.

–A wtedy odejdziemy obydwie – dodała Leri cicho. K'lon wiedział, że słowa te na zawsze pozostaną w jego pamięci, trwale i niezatarte, podobnie jak reszta tej straszliwej sceny. S'peren i F'neldril stali obok niego, przygarbieni z bólu, z nagle postarzałymi twarzami. Haura i Lidora przywarły do siebie płacząc, a Kamiana stała z boku, wyprężona i sztywna. Za nimi, pod łukami wejść, tłoczyły się szare z żalości smoki i milcząca grupa mieszkańców Weyru, oszołomionych bolesną stratą. Nagle tłum się rozstał i trzech jeźdźców weszło na teren Wylęgarni. S'ligar i K'dren przyprawdzili tu Sh'galla. Smutek przygniatał go do ziemi. Upadł na kolana i zakrył rękami twarz, niezauważony przez niepokieszoną Orlith, która wiała się w rozdzierające j duszę męce, że rozdzielono ją z jej ukochaną jeźdźczynią, Moretą.



## Epilog

Przejdźcie bieżące, 4. 23. 43

„A przecież Wylęg powinien być radosną okazją” – myślał Mistrz Capiam. Patrzył, jak smoki szybują ku grupkom pasażerów, oczekujących na przewiezienie do Weyr Fortu, ale nie znalazłby teraz w sobie ani odrobiny optymizmu.

Nie zwracał uwagi na to, co mówi co niego Mistrz Tirone. Aż nagle dotarły do jego uszu pożegnalne słowa Mistrza Harfiarza:

–Zaśpiewał moją nową balladę, skomponowaną dla uczczenia Morety!

–Dla uczczenia? – krzyknął Capiam. Desdra chwyciła go za rękę i uratowała przed stratowaniem przez Rogetha. – Dla uczczenia? Czy ten Tirone zwariował?

–Och, Capiamie! – zawołała cicho Desdra, która dopiero co otrzymała tytuł Mistrza Uzdrawiciela. Capiam szybko rozejrzał się dookoła, żeby sprawdzić, o co jej chodzi. I zobaczył pożłobioną bólem twarz K’lona, który właśnie zsiadał ze smoka.

–Leri i Orloth odeszły przed świtem – powiedział K’lon załamującym się głosem. – Nikt nie mógł... nikt z nas nie śmiał ich zatrzymać. Jednakże musieliśmy na to patrzeć, być z nimi. Tyle tylko mogliśmy zrobić! – Pełne łez oczy K’lona błagały o jakieś słowo pociechy.

Desdra objęła go, a Capiam gładził po plecach, podając błękitnemu jeźdźcowi swoją chustkę, która akurat w tej chwili również jemu samemu była potrzebna. Desdra nie płakała, ale szczęki miała mocno zaciśnięte, a nos bardzo czerwony.

–Zostały tylko z powodu tych jaj, żeby mieć pewność, którego dnia się wyklują. A my musieliśmy patrzeć, jak odchodzą – szlochał K’lon.

Capiam zaczął się zastanawiać, czy K’lonowi nie należałoby podać jakiegoś środka uspokajającego, ale Desdra lekko pokręciła głową.

–Były takie dzielne. Takie wspaniałe! Jaka to była okropna świadomość, że któregoś dnia obudzimy się, a ich nie będzie! Tak jak Morety i Holth!

–Mogły odejść tamtego dnia... – zaczął Capiam wiedząc, że nie to powinien był powiedzieć, z trudem szukając słów, które mogłyby K’lonowi przynieść ulgę w jego bólu.

–Orloth nie mogła odejść, dopóki nie stwardniały jaja – powiedziała Desdra. – Leri została razem z nią. Miały zadanie do spełnienia i teraz osiągnęły swój cel. Dzisiejszy dzień musi być radosny, bo wylęgną się smoki. I chyba to dobry dzień na odejście. Dzień, który zaczął się niezmiernym smutkiem, skończy się wielką radością. Nowy początek dla dwudziestu pięciu... nie, dla pięćdziesięciu istot, bo młodzi ludzie, którzy Naznaczą dzisiaj, zaczynają nowe życie!

Capiam z zadziwieniem wytrzeszczył oczy na Desdrę. Sam nie umiałby tego tak dobrze wyrazić. Desdra rzadko się odzywała, ale jak już coś powiedziała, miało to głęboki sens.

–Tak, tak – rzekł K’lon, ocierając oczy. – Muszę się na tym skupić. Muszę myśleć o tym, co się dziś zaczyna. Nie o tym, co się kończy! – Wyprostował się i dosiadł znowu swojego smutnego Rogetha.

Smoki nie płakały tak jak ludzie, ale Capiam pomyślał, że chyba wolałby łzy od tego szarego odcienia, który przybrała ich skóra i oczy. Dosiedli z K’lonem Rogetha, który przewiózł ich do Weyr Fortu. Łzy zamarły na moment na policzkach Capiama i popłynęły na nowo, kiedy zobaczył zwieńczony smokami Weyr. Nie miał czasu ich liczyć, ale chyba nawet niechętny im Telgarski Weyr musiał przysłać swoją reprezentację. Klon tak pokierował Rogethem, żeby wylądować jak najbliżej Wylęgami, co było dosyć niebezpieczne, bo wszędzie dookoła smoki wzbijały się w powietrze i lądowały w Niecce.

Łzy znowu popłynęły po twarzy Capiamowi. Desdra głaskała go po rękach, wiedziała jak głęboko to przeżywa. Nie pozostawała obojętna na tragedie, ale smutek można okazywać na wiele sposobów, a to spokojne podsumowanie, które przekazała K’lonowi, przyniosło i Capiamowi pewną ulgę.

Zsieadli szybko z Rogetha i uśmiechnęli się do K’lona, który opanował łzy, chociaż miał nadal bolesny wyraz twarzy. A potem błękitny smok znowu skoczył w niebo.

Capiam zauważył, że przed Niższą Jaskinię wystawiono te same co zwykle stoły i ławy. Jak zawsze odbędzie się uczta z okazji Naznaczenia. Miał nadzieję, że tak się upije, że nie usłyszy ballady Mistrza Tirone'a. Czuł zapach pieczonych mięs, ale nie pobudzało to jego apetytu. Był prześliczny dzień. Pomyślał, że mógłby to być taki wspaniały poranek. Gwałtownie potarł twarz, żeby powstrzymać napływające łzy. Jeżeli Mistrz Uzdrowiciel Pernu nie potrafi się opanować, da tym zły przykład innym. To był dzień początku, nie końca!

Kiedy Desdra pociągnęła go w kierunku Wylęgarni, mimo woli rzucił okiem tam, gdzie Moreta przeżyła ostatnie dni swojego życia. Zaczął rozpaczliwie wycierać nos.

Zwrócił uwagę na jaja. Były bardzo porządnie ułożone, królewskie jajo znajdowało się na samym środku na usypanym troskliwie kopczyku. Capiam znowu wysiakał nos i potknął się na pierwszym stopniu.

Ludzie płakali, buczeli, szlochali, wszędzie widać było kolorowe chustki do nosa.

Czy zebrane na Obrzeżu smoki mogły zapobiec odejściu Orlith i Leri? Capiam zgañił się za takie czcze myśli. Nie, nic nie mogło im zastąpić tych istot, których zabrakło. Orlith boleśnie tęskniła za Moreta, Leri za Holth. Podobnie jak to uczynił K'lon, Capiam musi pogodzić się z nieuniknionym.

Podeszwami butów wyczuł wibrację ziemi. Zorientował się, że smoczęta wylęgna się lada chwila. Smoki zaczęły nucić. Nie tylko te smoki, które siedziały w Wylęgarni, ale i te na zewnątrz, aż zadrgała cała skała Weyr Fortu. Ta melancholijna melodia była pełna oczekiwania. Na początku smoki nuciły cicho, im bliżej Wylęgu, tym głośniejsza stawała się melodia. Ludzie rzucili się do środka.

Capiam znowu rozejrzał się dookoła, żeby zobaczyć twarze, których nie zasłaniały już chustki. Na górnym podejściu na lewo od niego siedział Lord Shadder i jego pani, za nimi Levalła, K'dren i M'gent, tuż obok Balfora, który odmówił zaszczytu zostania Mistrzem Hodowcą. Podobno uważał, że ponosi odpowiedzialność za to, że Moreta umarła, pomagając jego Warowni.

Desdra pociągnęła Capiama za rękę. Podążając za jej spojrzeniem, zobaczył, jak do Wylęgarni wchodzi Alessan z panią Nerilką. Była z nich piękna para, Alessan przerastał małżonkę o pół głowy, ale nawet z tej odległości Capiam widział, że jest bardzo blady. Szedł powoli równym krokiem, trzymając Nerilkę pod rękę. Po jego prawej znajdował się Tuero. Dag i mały Fergal przynajmniej tym razem z uszanowaniem szli o krok z tyłu. Capiam był zaskoczony wyborem Alessana, ale Desdra powiedziała, że Nerilka będzie dla niego prawdziwą podporą.

Przybył Mistrz Tirone z Lordem Tolocampem i jego śmieszna, niską żoną. Ciekawe, czy Tolocamp na dobre wyszedł ze swej samotni i czy jego obecność na dzisiejszej uroczystości nie będzie męcząca dla innych. Nerilka mówiła prawdę, nie zauważył on nawet braku córki. Kiedy powiedziano mu, że Nerilka została żoną Alessana, Tolocamp stwierdził, że Ruatha zabrała wszystkie jego kobiety i Nerilka może mu się nie pokazywać na oczy.

Przybył Lord Ratoshigan, jak zawsze sam. Drobiąc po gorącym piasku, przeszedł do szybko wypełniających się podestów. Nucenie smoków przybierało teraz na sile, było już mniej żałosne. Ostatni Lordowie Warowni i Mistrzowie Cechów śpieszyli w stronę podestów. S'ligar podtrzymywał Falgę, która choć jeszcze kulą, brała udział w każdym Opadzie. B'lerion przyszedł sam i zajął miejsce, nie patrząc na nikogo. Wśród czeladników, drobnych gospodarzy, uczniów i mieszkańców różnych Weyrów Capiam zobaczył tylko kilku noszących barwy Telgaru. Było za to wielu z Keroonu.

Przejęte Wylęgiem smoki zaintonowały teraz pieśń powitalną. Jedno z jaj zaczęło się kołysać i wśród widzów zapadła pełna oczekiwania cisza, a pieśń smoków wypełniła się radosnym zachwytem.

Sh'gall wprowadził ubranych na biało kandydatów. Przodem szły cztery dziewczyny. Podprowadził je do jaja królowej. Capiam pospiesznie przeliczył chłopców: trzydziestu dwóch. Nie tak wielki wybór, ale zawsze...

Capiam pomyślał, że Oklina wygląda fantastycznie. Pamiętał, jak trudno ją było zauważyć wśród licznej rodziny. Była taka nieśmiała i zawsze usuwała się w cień. Teraz najwyraźniej rozkwitła. Potem zauważył, że B'lerion z uwagą jej się przygląda. On również niezwykle się zmienił, kiedy umarła Moreta. Znowu zapiekły go łzy. Poczul uścisk ręki Desdry. Skąd ona zawsze wiedziała, kiedy nadchodzi go smutek?

Ludzi ogarniało podniecenie. Pokazywali sobie palcami to jajo, które pierwsze zaczęło się kołysać. Skorupa jaja pękała. W śpiewie smoków pojawiła się nowa nuta podniecenia i Capiam poczuł, że brak mu powietrza. Zaczęło się poruszać drugie jajo, trzecie... Już nie było wiadomo, gdzie najpierw patrzeć. Pieśń smoków drgała między skalami, obejmowała całą Wylęgarnię, pokrywała jaja niemal widzialną otoczką. W odpowiedzi jaja zaczęły się kołysać i chwiać jak szalone.

Nagle jedno jajo pękło i pokazała się mokra smocza główka. Smoczątko zawodziło żałościwie, otrzepując się ze skorupy. To był spiżowy smok! Wśród terenu rozległo się westchnienie ulgi. To dobry znak, że jako pierwszy wyklął się spiżowy smok! Małe zwierzątko, potykając się, ruszyło wprost do wysokiego chłopca z szopą jasnych włosów na głowie. To również był dobry omen, że smoczątko wiedziało, kogo chce. Chłopiec nie mógł uwierzyć w swoje szczęście i stał niezdecydowany. Kiedy popchnięto go w tamtą stronę, podbiegł do spiżowego smoczątka, ukląkł obok i pogładził je po głowie.

Capiamowi znowu napłynęły do oczu łzy, ale były to łzy radości. Dokonał się cud Naznaczenia i jak łagodzący balsam ukoił ich smutek. Kiedy ocierał sobie twarz, drugie smoczątko, błękitne, znalazło swojego jeźdźca. Do nucenia dorosłych smoków dołączyło się jęgliwe popiskiwanie maluchów i podniecone okrzyki nowo wybranych jeźdźców.

Nagle nowe poruszenie zasygnalizowało, że coś dzieje się w pobliżu jaja królowej, które – jak się Capiamowi zdawało – kołysało się bardziej władczo niż inne. Nagle jajo rozpękło się na pół i malutka królowa wyskoczyła ze skorupy. Znowu wspaniały omen! Capiam nie miał nigdy ani cienia wątpliwości, którą dziewczynę wybierze królowa.

Odwrócił się i objął Desdrę. Tuląc się do siebie patrzyli, jak Oklina podnosi błyszczące oczy i spojrzeniem odnajduje B'leriona.

–Na imię jej Hannath!

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-17

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*